

KAROL  
**BUNNSCH**



**PRZEŁOM**

POWIĘŚCI BASTOWSKIE



Bunsch Karol

PRZEŁOM

POWIEŚĆ

WYDAWNICTWO LITERACKIE

KRAKÓW

Na cmentarzu oliwskiego klasztoru szumiały już drzewa wyrosłe na mogiłach ofiar rzezi, jaką rycerze teutońskiego zakonu Najświętszej Panny zapoczątkowali zabór Pomorza.

Kopczyki zapadły w ziemię, która wchłonęła zwłoki mężów, niewiast i dzieci, tu czekające na Sąd Ostateczny.

Nierychlejsza zdała się ziemską sprawiedliwość i pożółkły już pergamin ze skargą na morderców od lat okrywał się kurzem w Awinionie. Zakon zbyt potężny był, by papież, wołając go przed sąd - czasu prowadzonej z cesarzem Ludwikiem Wittelsbachem walki - miał

go zepchnąć na szalę przeciwnika.

Pobłażliwością jednak nie zdołała Kuria zjednać Zakonu dla siebie. Krzyżacy odmawiali nawet płacenia świętopietrza z oderwanych od Polski ziem, od czasów Wielkiego Mieszka zasilających papieski skarbiec. Już tylko danina przypominała przynależność tych ziem do potężnego ongiś, a teraz na bezsilne dzielnice rozerwanego państwa.

Ale jak prowadzący pęd z uschłego na pozór pnia - nad głowy samolubnych i krótkowzrocznych książątek wyrastał, tężał i piął się w górę Łokietek. Korona, jaka - mimo sprzeciwu Jana luksemburskiego - zabłysła na jego głowie, była nie tylko przypomnieniem dawnej jedności, której przywrócenie poręczył koronacyjną przysięgą. Ściągała jednocześnie uwagę świata na odradzającą się siłę. Zabiegi o sąd nad grabieżcami, od lat czynione przez arcybiskupa Borzysława, a po jego śmierci przez włocławskiego Gerwarda, odniosły wreszcie skutek: Jan Dwudziestego drugiego wyznaczył sędziów, którzy zawisłą jeszcze za Klemensa Piątego sprawę mieli rozpatrzyć. Krew wymordowanych w Gdańsku ofiar przypomni całemu chrześcijaństwu, jakim sposobem Zakon zawładnął ziemią.

Sądzić mieli trzej dostojnicy polskiego Kościoła, co więcej - stwierdzić tylko *summariæ, sine figura iudicii*, czy prawdziwe są zawarte w skardze zarzuty, Ojciec Święty bowiem, w przystępie przychylności dla Łokietka, zawiesił przywileje Zakonu, którymi ten mógłby się bronić w procesie. Przesądził tym wyrok, a odebrał prawo odwołania.

Przewodniczący sądu, arcybiskup Janisław, wezwał już mistrza i braci oraz komturów zagrabionych grodów Gdańska, Świecia i Gniewa do jawienia się na zrok czternastego kwietnia w kaplicy Świętego Mikołaja w Inowrocławiu. Zdać by się mogło, że w jedynym zysku pozostanie Zakonowi osława przeniewierstwa i okrucieństwa. Proces jednak toczyć się miał tylko o zwrot zagrabionych ziem i korzyści. Ukaranie morderców nadal pozostawiono Bogu.

Mglisty marcowy dzień niewiele już przesączał światła przez wąskie okienka w małym refektarzu toruńskiego zamku. Z półmroku sklepionej izby wybijały się białą płaszcz siedzących na ławie za stołem dwóch mężów. Milczeli, widocznie na coś czekając.

Pociągnęła, okolonasiwiejącą brodatwarzpruskiego landmistrza, Fryderyka von Wildenberg, zdradzała niecierpliwienie. Poruszył się, jakby zamierzając wstać, i powiedział:

- Bratu Zygrydowi nie spieszo...

Gęstwina czarnego zarostu komtura Lutra von Sparenberg ukryła uśmiech, gdy odparł: *1 summariae, sine figura iudicii* (łac.) - sumarycznie, bez formalności - W tej sprawie nikomu z nas nie spieszo. Odleżała się dziesięć lat, niechaj się wlecze dalej. Zakon jest wieczny, każdy rok władzę jego nad zdobytymi ziemiami umacnia, a wydarzenia głębiej w niepamięci grzebie. Przedawnia się nawet prawda, nowy ład zakorzeni się i nie minie pokolenie, a polskiej mowy tu nie usłyszysz.

Landmistrz zdał się jednak nie podzielać mniemania toruńskiego komtura. Surowa i ponura jego twarz wyrażała troskę. Odparł po chwili:

- Jeszcze mimo zakazu i pruską mowę słyszeć, choć pół wieku minęło, jak Zakon zgniótł opór pogański przeciwko swej władzy i szybko napływa niemiecki kolonista do pruskich komturii. A opornie do pomorskich, bo póki krakowski król rozszereży swych do Pomorza się nie wyrzeczy, osadnicy lękają się, że tyle jeno ziemi tu najdą, ile na mogiłę starczy. I to nie poświęconej, gdy nad Pomorzem interdikt zawisł. Oslawa zasię zahamować może przyływ zachodniego rycerstwa. Gdyby to źródło wyschło i Zakon uschnąć by musiał... Wždy potomków mamy jeno z ducha.

Komtur Luter nieznacznie ramionami wzruszył, ale nie śmiał surowemu, a wyższemu godnością dostojnikowi kpina odpowiedzieć.

- Z obcym rycerstwem jeno kłopot - rzekł wymijająco - pochlebiać mu, ugaszczać, tłumaczyć i wyjaśniać. Zakon od zaczątków niemiecki był i w tym źródło jego siły. Ze starego kraju zasię za wždy napływać będą tacy, którym odpuśczenia win potrzeba lubo zgoła przed oprawcą uchodzą...

Umilkł pod przenikliwym, kolącym spojrzeniem srogich oczu landmistrza, który wiedział, co Sparenberga zagnało w szeregi Zakonu. Ale wiedział, że Zakon składać się nie może z samych łotrów, pod białym płaszczem szukających jeno ochrony dla swej nieprawości. Nie po to Krzyżacy zdobywają bogactwa i władzę, by modlić się i pościć, spać w nie opalanych dormitoriach, nie zdejmując odzieży, pić wodę i milczeć. Zbyt daleko Zakon zeszedł ze swej drogi, by można na nią zawrócić. Nietrudno przyszło Wildenbergowi z poparciem marszałka von Plotzke wysadzić z urzędu wielkiego mistrza Karola z Trewiru, gdy próbował zmusić do tego nie tylko prostych braci, ale i dostojników. Teraz jednak, w obliczu procesu, zaciężyła landmistrzowi odpowiedzialność. Rozłam w Zakonie i brak jednolitego kierownictwa może się odbić ujemnie na przebiegu sprawy. Wildenberg z niechęcią myślał, że trzeba będzie wysłać posłów do Karola z Trewiru z prośbą, by wrócił na urząd. Człek był

ujmującego obejścia i czystego życia, wymowny i doświadczony. Jeśli kto, to on jedynie zdoła

odwrócić nieprzychylnie nastawienie Kurii.

Wildenberg zamyślił się tak, że zapomniał niemal, iż czeka na papowskiego plebana, by omówić obronę w procesie. Sam na prawie się nie znał, rozumiał jeno, że Zakon siłą, chytrą czy pieniądzem przy Pomorzu utrzymać się musi, jeśli nie ma uschnąć jak gałąź

oderwana od macierzystego pnia. Niemiecki osadnik niechętnie zawierzał swe życie i mienie kruchym deskom statków, zabezpieczenie lądowego połączenia z macierzystym krajem było koniecznością, która kosztowała już sporo trudu, krwi i pieniędzy.

O pieniądze najmniejsza. Rycerze zmieniają się w handlarzy. Reguła pozwalała wprawdzie sprzedawać jeno nadmiar, zbędny dla zaspokojenia własnych skromnych potrzeb.

Od czasów jednak zgniecenia pruskich powstań i postawienia stopy na wybrzeżach Zakon współzawodniczyć jął w handlu z portowymi miastami Długiego, Niemieckiego i nawet Śródziemnego Morza, gromadząc bogactwa, które wprawdzie wzmagaly jego potęgę, ale stanowiły zarazem źródło zepsucia.

W sprawie jednak, która zaprzętała myśli landmistrza, pieniądz okazał się bezsilny.

Darmo usiłowano skusić wiecznie na pustej skrzyni siedzącego Łokietka, by za pieniądze zrzekł się swych praw do zagrabionego Pomorza. Odrzucona przez polskiego króla oferta stanowiła jeno uznanie jego praw, dlatego landmistrz za zmarnowany uważał pieniądz, wypłacony brandenburskim Askańczykom za ich rzekome prawa. I głupi zrozumie złą wiarę zarówno Zakonu, jak i margrafa. Tak tanio sprzedawać można jeno cudze.

Zamyślenie landmistrza przerwało wejście papowskiego plebana Zygfyryda, a wraz z nim służebnego brata ze światłem. W blasku świec Wildenberg spozierał przenikliwie na niepozornego człowieka, którego mu zalecono jako najtęższego jurystę w Zakonie. Z

niechęcią myślał przy tym, że największa obrotność czarnego białym nie uczyni. Kłamstwa i wykręty nie zdadzą się na nic, Wildenberg nie miał ni chwili wątpliwości, jaki wyrok zapaść musi, jak również, że Zakon wyrokowi się nie podda. Co siłą rozpoczęto, siłą prowadzić należy. Toteż w głosie Wildenberga brzmiało pogardliwe lekceważenie, gdy zwrócił się do stojącego w pokornej postawie, z dłońmi wsuniętymi w obszerne rękawy habitu, Zygfyryda:

- Wtórym razem rad bym nie czekać na was tak długo. Czas mój policzony jest...

Gniewnie rzucił na stół cytację sądową, ciągnąc:

- Na świętego Justyna stawić się mam w Inowrocławiu. Niespełna trzy niedziele, a jeszcze z wielkim mistrzem i Kapitułą porozumieć się muszę, zali zgoła na sąd mam stawać.

Papieskim sędziom mogę jeno rzec, że wzięliśmy Pomorze i nie oddamy.

Zygfyryd jakby nie słyszał przygany, z nieporuszoną twarzą, bez słowa, wyciągnął

suchą dłoń po pergamin i zbliżywszy go do świecznika, szybko przebiegał nieco kosymi oczyma. Skończywszy, skierował kolące spojrzenie na landmistrza.

- Po cóż wam drogi czas tracić - rzekł - skoro nie wiada nawet, zali podpisani tu przewielebni prałaci iście przez Ojca Świętego sędziami ustanowieni ostali.

Wildenberg zachnął się niecierpliwie:

- Takowymi kruczkami sprawy nie wygracie, gdy będziecie przeczyć temu, co bez trudu udowodnić mogą. Wiemy, że Łokieć sprawę wniósł do Kurii, i wiemy, że ninie skaptować go chcą przeciwko cesarzowi, by ubytek w austriackim obozie węgierskiego Karola Roberta krakowskim królem załatać...

Zygfyrd pochylił głowę i rzekł pokornie:

- Podziwiam, dostojny mistrzu, bystrość, z jaką się w onych zawiłych arkanach wyznawacie. Ale gdy rzecz prawa dotyczy, zwólcie i mnie służyć Zakonowi skromną wiedzą, jaką mozolnie posiadam. My nic nie potrzebujemy sprawy wygrać, skoro Pomorze już dzierzmy. Starczy nie dopuścić, by ją wygrał krakowski król. Tedy przeczyć będą wszystkiemu, a przeciwnik niechaj się męczy, traci czas, pieniądze i cierpliwość, by wykazać to, co nam wcześniej niżli jemu było wiadome.

Ze złośliwym uśmiechem na swej pomarszczonej twarzy wyjął z rękawa pergamin.

- Brat prokurator Konrad - ciągnął - nie darmo siedzi w Awinionie i nie darmo w Kurii zaufanych ludzi opłaca. Oto odpis bulli, którą Łokciowi doręczono. Ale póki nie doręczą nam, przeczyć będę nawet, że iście wydana została.

Sparenberg roześmiał się i zwrócił się do landmistrza:

- Zda mi się, dostojny bracie, że możecie wielebnemu Zygfrydowi zaufać, iż sprawa nieprędko zakończona zostanie. Wždy idzie o czas, a ten niesie zmiany. Nie będzie Łokieć Kurii potrzebny, nie będzie z Zakonem zadzierać o niego, jawnie jego stronę biorąc. Wždy wszystkich trzech sędziów w zależnych od niego ludziach ustanowiono.

- Nie wiem - wtrącił Zygfryd - zali Kuria sobie i nam furty w tym właśnie ostawić nie chciała. Iudex in sua causa ipso facto suspectus<sup>2</sup>, a wždy arcybiskup Janisław starostą jest nawet kaliskim. Przędzi przeto zażądamy, by się sędziowie arbitrowi poddali, który by orzekł

o ich bezstronności. Jeśli odmówią, tym bardziej będą suspecti<sup>3</sup> i jako tacy ważnego wyroku wydać nie władni. Niechaj się jeno wiatr w Kurii odmieni, wyrok, choćby go wydać zdążyli, za nieważny musi być uznany i nowi sędziowie ustanowieni. Tedy iście poręczyć mogę, że sprawa nierychło zakończona zostanie. A o czas idzie, jako rzekł dostojny komtur.

- Nie o czas jeno - chmurnie odparł Wildenberg. - Proces przypomni wypadki, z których wrogowie Zakonu i tak już broń kuli przeciw niemu, by nam los templariuszów zgotować. Lata przytłumiły już pamięć; ninie dawne sprawy przypomniane zostaną, utrwalone i ujęte na pergaminie, pod powagą przysięgi świadków. Ani temu zaprzeczyć się nie da, że jawnie przeciw własnym statutom i Wielkiej

Karcie Honoriusza Wtórego działaliśmy, z chrześcijany walcząc.

- Statuty i Magna Charta dla dobra Zakonu nadane były i tak tylko mogą być wykładane. Zakon nie jeno prawo ma, ale obowiązek własności swej, zbożnym jego celom służącej, bronić.

- Nie przede mną bronić macie Zakonu - odparł Wildenberg porywczo i wyniośle. -

Swojej własności! A wielki mistrz, nie radząc się Kapituły, kupić chciał Pomorze od Łokcia, tym samym za pana tego kraju go uznając.

- Pozwólcie sobie przypomnieć, dostojny bracie - na pozór pokornie odparł Zygfryd -

że światłej pamięci cesarz Henryk Siódmy prawa nasze do tego kraju zatwierdził. Jeśli przeto pobożny i czcigodny Karol z Trewiru onemu uroszczycielowi płacić chciał za to, co prawnie i faktycznie posiadamy, w tym dowód tylko, że Zakon nawet przed ofiarą się nie cofa, byle pokój między chrześcijany zachować.

Gdy Wildenberg lekceważąco ramionami wzruszył, Zygfryd ciągnął nadal pokornie, ale nie na tyle, by nie dało się wyczuć uszczypliwości:

- Widzę, że w rycerskiej prostoduszności waszej gotowi bylibyście uznać prawa onego zawziętego karła, który się królem polskim mieni, a który sam widno ich niepewny; bo czemuż by rozjemstwo, którego chciał wielki mistrz, odrzucił? Ja nie przeczę, że Pomorze do 2 Iudex in sua causa ipso facto suspectus (łac.) - Sędzia we własnej sprawie przez to sumo podejrzany.

3 Suspecti (łac.) - podejrzani korony polskiej należało, jeno że prawo do niej ma Jan luksemburski. Wždy nawet Stolica Święta, choć Łokciowi nad zasługę przychylna, na koronację jego przyzwolenie dając, zastrzegła warunek, by cudze prawa naruszone nie zostały. Właśni jego rodowcy, kromie kujawskich i dobrzyńskich bratanków, króla w nim nie uznają.

Landmistrz gniewnie ręką machnął.

- Sam bym skoro uwierzył, że iście prawnie posiadliśmy Pomorze. Wygotujecie procuratorium, pojedziecie za mnie do Inowrocławia oczyma świecić, bo ja nawet powtórzyć bym nie zdołał tego, co mówicie.

Zygfryd z obszernego rękawa wydobyl znowu pergamin i kładąc go przed landmistrzem, rzekł:

- Słusznie! Niechaj każdy służy Zakonowi, czym umie: wy ręką, ja głową. Zechciejcie jeno pieczęć waszą tu przywiesić.

Landmistrz, biorąc pergamin, zapytał:

- Zali potrzebne będą i pieczęcie komturów, dla których takż na moje ręce przyszło wezwanie?

- Nie. W bulli nic o nich nie wspomniano, tedy wzywając ich, rzekomy sąd nadużył

swych uprawnień.

- Wierę, że na języki ze mną sprawę wygralibyście - odparł landmistrz. - Jeno że i Łokieć ludzi na sąd wysła biegłych w kanonach. A jednego pewnikiem nie wydolicie: świadkom gęby zatkać.

- Ja zasię mieczem z wami bym nie wygrał - odparł Zygfryd z ledwo wyczuwalną drwiną. - Ale doświadczeni w nim bracia mówili mi, że najskuteczniej się bronić, samemu uderzając.

- Iście tak, jeno nie rozumiem, do czego pijecie.

- Łokieć się za owieczkę w Kurii przedstawia, która jeno od papieskiego sądu sprawiedliwości czeka. A granice łotrami poobsadzał, którzy spokojnych osadników łupią, kupców obierają po drogach, a nawet poselstwa nasze mordują. Zali i to chrześcijanie, z którymi walczyć nie Iza? - Głos Zygfryda zasyczał zjadliwie.

- Jakoże udowodnić, że z jego poręki grasują, jeśli się ich wyprze? - mruknął

landmistrz niechętnie.

Teraz jednak komtur, który, milcząc, przysłuchiwał się rozmowie, wtrącił:

- Nie wyprze się. Któżże onym zbójceckim matecznikiem w Nakle rządzi, że nie osiąść, ale i przejechać w jego pobliżu niebezpiecznie? Łokietkowy dostojnik. A onże osilek, któregośmy w zbójceckiej komyszy pojмали nad Tonczyną, też rycerskiego musi być stanu, bo skąd by takową zbroję miał, jakąśmy na nim wzięli? Stamtąd napaść wyszła, która poselstwo nasze wytraciła pod Grabiami, gdy to przesławny konfrater Mścigniew bez wieści zaginął.

Jeniec cości wiedzieć o tym musi, jeno gadać nie chce. Ale już ja mu gębę otworzę, niechby jeno pozdrowiał. Tak jak jest, zdechnąć gotów, gdy go na spytki wziąć, choć widno -

twarde bydlę. Inny dawno by doszedł, gdyby mu tyle posoki upuścić. Bluzgał nią jak zarżnięty wół, a jeszcze na kolanach się bronił, widno lżejszej śmierci szukając...

- Każcie go do Malborka wraz ze zbroją odesłać - przerwał landmistrz, wstając. -

Ważny to może być dowód w rękę wielkiego mistrza.

Skinął głową pozostałym i wyszedł. Gdy drzwi się za nim zamknęły, komtur zwrócił

się do

Zygfryda:

- Szczęście to, że wielki mistrz człek roztropny i obrotny, a do Zakonu przywiązany, uczynionej mu ujmmy zapomnieć gotów. Dobrzeście landmistrzowi przymówili, że w pięści ma rozum. Mistrz Karol lepiej nowe czasy i potrzeby Zakonu rozumie. Ale onego brańca chętnie odeślę. I z jego zbroi mi nic, bo gdzie naleźć wielkoluda, który by ją kupił?

Łokietek również świadomy był, że łaska Kurii na pstrym koniu jeździ i szybko wyzyskać ją należy. Odprawivszy pospiesznie koronację, zajął się procesem, chociaż słabą miał nadzieję, by wyrok przywrócić mógł Polsce Pomorze. Trzeba by go wykonać siłą, a tej Łokietek nie miał. Krakowskie i sandomierskie rycerstwo, stanowiące jej trzon, zajęte było w walkach na węgierskiej granicy. Przyjazne, a przynajmniej spokojne dotychczas stosunki z Węgrami pogorszyły się. Po śmierci Marii bytomskiej Karol Robert pojął z poręki Zakonu Beatę, siostrę wrogiego Łokietkowi i Kurii Jana luksemburskiego. Wildenberg słusznie mniemał, że papież Jan po to wzmocnić chce Łokietka, by zastąpił ubytek węgierskiego sprzymierzeńca w obozie Habsburgów, stanowiącym oparcie papiestwa w walce z cesarzem o opanowanie Italii i powrót Piotrowej Stolicy do Rzymu, by wyzwolić się od francuskiej zależności. To było źródło łask dla Łokietka, ale zarazem wiązało jego siły na południu.

Północ państwa ponownie zmuszony był pozostawić miejscowym siłom, a te nie były wielkie.

Przybysław Borkowic z Sierakowa w Wielkopolsce i Henryk Świętosławie z Rynarzewa w Krainie powierzona mieli stróżę granic, zda się aż nazbyt ciężką, by poza obroną przepraw zdolni byli coś przedsięwziąć. Król jasno oceniał położenie własne i Zakonu, który w czasie trwania procesu, stojąc pod pręgierzem ciężkich zarzutów, na dobitkę rozdarto wewnątrz, nie może się porwać do nowych gwałtów; z tej strony tymczasem nic nie grozi. Chociaż nie spodziewał się Łokietek, by Zakon poddał się wyrokowi, sam jednak przebieg procesu nie był

mu obojętny. Wystawiwszy przeto w Sandomierzu pełnomocnictwa swym prokuratorom, z kanclerzem wielkopolskim Filipem na czele, polecił donosić sobie o przebiegu spraw do Krakowa, dokąd wzywało go wiele, a najpilniejsze było pojednanie z węgierskim Karolem Robertem. Jak już niejednokrotnie, i teraz śmierć zdała się w przymierzu być z Łokietkiem.

Usunęła jedną z głównych przyczyn rozdźwięku między przyjaznymi dotąd monarchami -

małżeństwo węgierskiego króla z siostrą Luksemburczyka. Po niespełna dwu latach Beata niespodziewanie zmarła. Karol Robert przestał być dziewierzem czeskiego Jana i rzecznikiem jego roszczeń do polskiej korony. Wydarzenie na rękę było również Kurii. W swym poszukiwaniu sojuszników przeciw cesarzowi obydwu władców brano w rachubę. Skutki zmienionego położenia już zdały się objawiać, bo wojewoda Jaśko Leliwa donosił, że wszczął

z Węgrami układy o rozejm i mu nadzieję wkrótce go uzyskać, bo i Karolowi spokój na rękę; gdy sam zajęty poskramianiem buntu siedmiogrodzkiego wojewody, Macieja z Trenczyna. Po koronacji królowa Jadwiga pozostała z dziećmi w Krakowie i król spieszył tam, ale nie dla wypoczynku na łonie rodziny. Królowna Elżbieta ukończyła czternaście lat, czas obejrzeć się za stosownym dla niej małżeństwem. Gdyby zajęła miejsce zmarłej Beaty, stałaby się rękojmnią trwałej przyjaźni między ojcem a małżonkiem. Nad sprawą jednak Włodzisław naradzić się chciał z Jadwigą, nie tylko dlatego, by bez udziału matki nie stanowić o losie córki. Sprawę należało prząść cienko, niewiasty lepiej się na tym wyznają.

Wypoczynkiem była podróż pogodną porą wiosenną, a kroi potrzebował go. Skończył

lat sześćdziesiąt, sił zaczynało ubywać, ale nie pracy i trosk. Coraz trudniej było mu hamować wrodzoną popędliwość, a rozstrzyganie ważnych spraw wymagało spokoju i cierpliwości. Te



zawsze znajdował u Jadwigi, choć nieraz i na nią fuknął.

Przy wjeździe przez Mikołajską Bramę, uprzedzone o przybyciu króla, stały Rada i Ława, witając go uroczyście. Poza nimi jednak niewiele zgromadziło się mieszczaństwa i w powitaniu brakło zapału. Przyczynę nietrudno było odgadnąć: wojna z Węgrami wysuszyła ostatnie źródło zysków mieszczaństwa. Poprawa stosunków otworzy znowu, teraz niemal jedyne, drogi handlowe na południe. Niemniej król chciał wiedzieć, co się w mieście dzieje i mówi, skinąwszy więc na wielkiego wójta Niclasa Wirzina, zwanego z polską Wierzynką, polecił mu stawić się na zamku. Z zadowoleniem patrzył na zacierające się już ślady buntu, który wstrząsnął posadami odbudowującego się państwa, a omal nie obrócił w gruzy jego stolicy. Rycerstwo otrzymało skonfiskowane zbuntowanym nieruchomości miejskie. Czas i współzycie zatrą wrogość między obu stanami, mnożyć się będą związki rodzinne, które pomogą zasypać przepaść między rycerstwem a mieszczaństwem, pogłębioną jeszcze w czasie buntu. Widać było rządzą gospodarzkę i ład, dzięki którym miasto po zniszczeniach dzwigało się szybko, mimo że skurczyły się zyski z handlu.

Za Grodzką Bramą, wzdłuż stawów Ciągających się aż pod Wawel, lśniły w wiosennym słońcu nowością dworki, należące przeważnie do katedralnych kanoników, tworząc na Okolę nową osadę, łączącą miasto z zamkiem. Ongiś, na wyraźne żądanie rozzuchwalonego niemieckiego mieszczaństwa, Łokietek poręczyć musiał, że tego połączenia nigdy nie będzie. Miasto i zamek leżały naprzeciw siebie jak dwa obce, często wrogie obozy.

Po poskromieniu buntu wszystkie przywileje i poręczenia zostały zniesione, miasto zrasta się z grodem. Król chciał w tym widzieć dobrą wróżbę.

Pod koniec rządów Muskaty i z kapitułą był spokój, jeno jeszcze do ładu daleko było w krakowskiej diecezji, przez lata nieobecności biskupa rozprężonej i rozdwojonej. Król rozważał w drodze, kogo by po śmierci Muskaty na biskupim stolcu osadzić, by rychło odrobił zaniedbania.

Przy wjeździe na Wawel z zadowoleniem też spostrzegł, że wreszcie zaczęto się krzątać przy odbudowie spalonej przed piętnastu laty Hermanowej katedry. Okopcone mury rozbierano, stopy budulca zaległy znaczną część zewnętrznego dziedzińca. Po powitaniu jednak małżonki, zanim zdążył rozpytać się o nieobecne dzieci, dowiedział się, że kapituła przed kilku dniami, nie czekając na zapowiedziany powrót króla, obrała biskupem dziekana swego, Okszę Nankera.

Na wiadomość o tym Łokietek aż w ręce piasnął z zaskoczenia i gniewu. Nanker, rodem z opolskiego księstwa, w czasie walk o Kraków należał do stronników biskupa, a nawet po pojednaniu starł się z królem ostro. Człek był surowy i śmiały, o prawa Kościoła walczyć będzie bezwzględnie. Łokietek nie wątpił, że to sam Nanker nakłonił kapitułę, by dokonała wyboru bez porozumienia się z królem. Wprawdzie służyło jej prawo wolnego wyboru, wywalczone przed stu laty przez arcybiskupa Henryka Kietlicza w czasie, gdy brakło uznawanego przez wszystkich pana całej Polski. Poprzednio jednak, od Chrobrego, obsadzanie stolic biskupich należało do króla i w pominięciu swej osoby Łokietek dopatrywał

się nieuznawania królewskiej władzy. Zakrzyknął:

- Mało było jednego Muskaty, drugiego mi tu gotują! Jeno zabyli, że Kuria wybór musi zatwierdzić, a

bez mej zgody tego nie uczyni.

W podnieceniu biegać jął po komnacie. Jadwiga w milczeniu czekała, aż się małżonek uspokoi. Gdy usiadł, sapiąc gniewnie, zapytała:

- Kogóż uważalibyście za godniejszego?

- Nie godniejszego, jeno dogodniejszego. Zadość innych trosk, bym się jeszcze z biskupem zwodził. Nie zapomnieć mi, ile szkód wyrządził Muskata. Jego to bodaj zasługa, że Pomorza obronić nie wydolił.

Na samo wspomnienie król poderwał się znowu. Jadwiga, kładąc rękę na głowie małżonka, rzekła:

- Niechaj Muskata w Bogu spoczywa i niechaj mu Bóg wybaczy. Pokutował i ile jeno mógł, zadość chciał uczynić. Aleć nie o niego sprawa, jeno o Nankera. A iście nawet nie o niego, jeno o Kościół krakowski, od tylu lat pozbawiony pasterza. Takiego potrzeba, który by posłuch i ład chciał i umiał przywrócić. Bo czego nam brak najbardziej, to ładu i prawa.

Widząc, że małżonek, choć chmurny, słucha z uwagą, ciągnęła:

- Wierzajcie mi, że Nanker nie będzie Muskata. Nawet to, że swemu biskupowi w złej i dobrej doli wiary dochowywał, na dobro winno być poczytane. Prawda, że człek jest szorstki i nieustępliwy, ale jeno to czyni, co za swój obowiązek uważa - dobra Kościoła wiernie strzec. Daj Bóg, by świeccy dostojnicy jego wzorem o dobru państwa myśleli, a nie o własnych korzyściach.

- Daj to Bóg! Jeno że dobro Kościoła nic zawždy w parze z korzyścią królestwa chadzać zwykło - mruknął Łokietek. Królowa jednak odparła:

- Zda mi się największą korzyścią, królestwa ład i poszanowanie wszelkich praw.

Pierwsze, co Nanker, objąwszy zarząd po śmierci biskupa, uczynił, to katedrę jął

odbudowywać.

- Swoją katedrę - wtrącił król zgryźliwie, ale królowa odparła żywo:

- Wždy dłużej katedry niżli biskupa. Nanker twardy jest nie jeno dla podwładnego kleru, który od karności odwykł, ale i dla siebie.

- Dla mnie też. I jam nie wieczny, jeno naród nasz, który bez państwa swego w poniewierkę obcych iść by musiał. A nie stać sił ni cierpliwości na wewnętrzne rozterki, gdy dla postronnych ich brak. Nanker, jeszcze biskupem nie będąc, o zwrot biskupich zamków się upominał, którem krwawo dobywać musiał, bo wrogom służyły za ostoję.

- A jeśli nie zatwierdzicie Nankera, nie będzie to przyczyną rozterki? Przewidzieć nietrudno, że Nanker praw kapituły do wolnego wyboru bronić będzie. Wyznaczycie innego, to jeno gorszące rozgrywki się zaczną, jako we Wrocławiu między Witem a Lutoldem.

Pomnijcie też, że przez takowe spory arcybiskupia stolica, nim ją błogosławionej pamięci Jakub objął, przez lat dwanaście opuszczona stała. Ostatnia obręcz, jaka wondrous spajała rozbite państwo, groziła pęknięciem. Pomyślcie sami, zali jest o co wszczynać walkę?

- Niechaj będzie - niechętnie zgodził się Łokietek - i bogdaj mi żałować nie przyszło, że rady waszej posłuchał. Ale dość o tym, ważniejsze i pilniejsze są sprawy. Beata zmarła, Karol Robert za nowym związkiem będzie się obzierał. Sposobność byłaby nie jeno dawną życzliwość przywrócić, lecz trwale od południa się ubezpieczyć i pewnego sprzymierzeńca odzyskać. Elżbieta żrała już jest...

Król urwał i patrzył pytająco na Jadwigę, która przez chwilę milczała zamyślona.

Sądząc, że na opór trafi, Włodzisław podjął niecierpliwie:

- Prędzej lubo później wydać ją trzeba, nie, pora matczyną słabością się kierować.

Jadwiga odparła z uśmiechem:

- Nad tym myślę, jak zamiar wasz do skutku doprowadzić, bo juści nam swatów słać nie przystoi.

Łokietek odetchnął i również uśmiechając się, powiedział:

- Wybaczcie! Cierpliwości brak, a sprawa ważna i pilna. Krzyżacy, ani chybi, znowu swatać zechcą Karola, jak im dogodnie. Ubiec ich trzeba. Może by ostrychomski arcybiskup<sup>4</sup>

pośredniczyć zechciał. Widno rozumiecie, jak wiele od tego zależy, by z Węgrami pokój i przyjaźń powróciły.

- Wiem - odparła. - Pod waszą nieobecność Wierzynek tu zachodził; doniósł, że mieszczanie szemrają, iż z miasta wynosić się przyjdzie, jeśli się Węgry dla handlu nie otworzą.

Widząc, że małżonek znowu spochmurniał, dodała:

- Ale mówił też, że i mieszczanom z Koszyc, Ujvaru i innym również dojadło wstrzymanie handlu. Przez nich by do Karola Roberta uderzyć, który takż z mieszczaństwem się liczy, bo zasobów krajowi przysparzają i gotowy pieniądz tylko u nich najdzie. Pogadajcież z Wierzynkiem, człek obrotny jest i znajomków mu nie brak między węgierskim kupiectwem. Tymczasem zasię można by drobniejszymi ustępstwami mieszczan załagodzić.

Król ramionami wzruszył.

- Wierzynek skoro patrzeć tu będzie. Nic nie mam przeciw ustępstwom w nieważnych sprawach, jeno jakich?

- Niechby choć rycerstwo przestało drażnić mieszczan samowolą pogardą - rzekła Jadwiga.

<sup>4</sup> Bolesław książę Toszku

Na czole Włodzisława zjawiała się zmarszczka gniewu.

- Kogom ukarać miał - ukarałem, ninie spokój chcę mieć z mieszczany i mącić go nie zwołę. Kto zasię tu swawolić się waży? Potrafię i rycerstwu okazać, żem ja tu panem.

Królowa złąła się gwałtowności małżonka i zawahała się z odpowiedzią. Rycerstwo wciąż jeszcze nie chciało zrozumieć znaczenia mieszczaństwa, ale król w rycerstwie jeno miał oparcie i popędliwe wymierzenie kary za naruszanie praw miejskich mogło go i tej ostoi pozbawić. Jadwiga patrzyła na męża z współczuciem: ustawicznie zmuszany do działania ze związanymi rękoma, nic dziwnego, że traci cierpliwość. Chcąc jednak dać mu czas, by się opanował, rzuciła wymijająco:

- Nie będę świadczyć, o czym sama jeno z opowieści wiem. Nic zresztą poważnego.

Często tak bywa, gdy kto miarę w napitku przebierze.

- Tego mi jeszcze brakło, bym się burdami przez opojów wszczynanymi zajmował!

Od czego hutman, wiertelnicy i ceklarze?

- Hutman praw był, że się wdania w sprawę odmówił - odparła królowa. - Pomnijcie, żeście sami miastu prawo sądu i kary nad ludźmi rycerskiego stanu odebrali...

- Tedy są jeszcze kasztelańscy pachółkowie - przerwał król. - Pogadam ja z Pakosławem.

- Nie sierzcie się, nic się wielkiego nie stało, może właśnie dlatego, że i Pakosław wdania się w sprawę odmówił, bo winowajca nietutejszy i immunitet ma; tedy waszemu jeno sądowi podlega.

- Już ja go osądzę! Jeno cóże u licha się stało i o kogo idzie?

Jadwiga nie chciała jednak dopuścić, by król w gniewie rozstrzygał sprawę, i powtórzyła:

- Ani oskarżać, ani świadczyć nie mogę, bo wiem jeno od Wierzynka, który w tej sprawie do kasztelana Pakosława zachodził. Ten go do was skierował, tedy od Wierzynka się dowiedcie. Sprawa, jako rzekłam, zda się błaha, jeno że niepotrzebnie dbałych o swe prawa i dostojęstwa mieszczan rozsierzdziła.

- Już ja onemu opojowi miód gorzkim uczynię, błaha sprawa zali nie! Człek nie o góry się potyka, jeno o kamienie, a miece mi je pod nogi, komu wola.

- To drobny kamyk, tyle że w ciżmie uwiera - odparła Jadwiga. - Spocząc idźcie z drogi, a ja tymczasem po Bietkę i Kazimierza poślę do Łobzowa, by powitali rodzica.

- Pójdę spocząc - odparł Włodzisław. - Jeno gdybym usnął, kaźcie mnie zbudzić, gdy nadejdzie Wierzynek.

- Poczeka, aż się sami obudzicie. Zdrowie ważniejsze niżli wszystko, a Kazimierz jeszcze nieprędko wyręką wam będzie.

- Nieprędko - westchnął król. - Pierworodny Stefanek byłby już żrałym mężem, gdyby go Bóg nie zabrał przedwcześnie.

- Niechaj w Bogu spoczywa, my zaś Mu dziękujemy, że Kazimierz zdrowo się chowa. Bietce żal będzie go żegnać, bo wielce do brata przywiązana.

Samej Jadwidze widno żal było żegnać córę, bo głos jej zadrżał, ale dodała zaraz:

- Może to i lepiej, bo prawdę rzec, psuje wyrostka, dogadzając wszystkim jego zachciankom, a przewiny osłaniając.

- I nam żal będzie żegnać Bietkę - odparł król, przygarniając małżonkę - ale nie dla siebie człek dzieci chowa. A Kazka i tak wezmę w swoje ręce, bo wcześniej do rządów przyuczać się winien. Starym już, może rychło państwo zdać mu przyjdzie, daj Bóg, by uładzone.

- Spocznicie, to wam złe myśli przejdą - powiedziała Jadwiga.

Gdy wyszedł, zamyśliła się. Niewiele ulżyć może małżonkowi, sprawę jednak z mieszczanami miała nadzieję załagodzić; dlatego porozumieć się chciała zawczasu z Wierzyńkiem. Niclas - człek jest życzliwy i przemyślny, poważany w mieście i przez Łokietka, wiele zależy od tego, jak sprawę przedstawi królowi.

Jadwiga rozmyślnie starała się rzecz pomniejszyć, świadoma jednak była, że skutki zajścia mogą być poważne a oplakane. Rozumiała też, że nadużycie napitku nie jest istotną przyczyną zajścia i korzenie tkwią głębiej. Z pewnym też niepokojem czekała na Wierzyńka.

Na szczęście nadszedł, nim król się obudził. Poprosiła Niclasa do babinca i zasiadłszy przy krosnach, wskazała mu miejsce naprzeciw siebie.

- Prosić was chciałam - zaczęła - byście sprawę onej burdy, którą wywołał rycerz Radocha, jako błażostkę panu przedstawili, o którą sierzcić się nie warto. Wielce się bowiem rozgniewał i lękam się, że karać gotów bez pomiarkowania, a wiecie, że rycerstwo - i bez tego niechętne mieszczanom - wzburzyć się gotowe. Jeszcze się skutki buntu nie odstały, łagodzić trzeba, a nie mącić.

- Rad bym, miłościwa pani, i wam dogodzić, i panu trosk oszczędzić - odparł układnie Wierzynek, skinąwszy głową ze zrozumieniem. - Ale pan dlatego mi ufa, że go nigdy nie zwiódł. Jakoż mu oczy mydlić, że to jeno pijacki wybryk, gdy wiadomo, że nie na dnie kielicha sprawa leży, jeno w tym, że rycerstwo niczych praw krom własnych uznać a do ładu nakłonić się nie chce. Tedy może i lepiej będzie, by przykładną karę poniósł nowy człek, miles de cmethone<sup>5</sup>, w rzeczy samej de lathrone<sup>6</sup>, niżli rodowiec, za którym swojacy ująć by się mogli.

- Nie zapominajcie, że nie brak nowych ludzi, za zasługi do rycerskiego stanu podniesionych - odparła królowa. - A prawdę rzec, więcej się oni do zjednoczenia przyczynili, choćby i on Radocha, niżli stare rody, którym dogodniejsi byli mali pankowie, co 5 miles de cmethone (łac.) - rycerz z chłopa

<sup>6</sup> de lathrone (łac.) - z łotra się z nimi liczyć musieli. A jedni i drudzy za Radocha ująć się gotowi,

choćby z niechęci do mieszczaństwa.

Na zamysłonej, gładkiej twarzy Wierzyńka zjawił się wyraz wahania. Odparł, ważąc słowa:

- Prawda i to, miłościwa pani. Pozwólcie jednak, że otwarcie mówić będę; i mnie łacniej zrozumiecie, i sprawę. Jak wiecie, Niemiec jestem. Nie będę swoich zasług podnosił, bo nie mniej sowicie wynagrodzony za nie zostałem niżli rycerz Radocha za swoje. Jeno zaznaczyć chciałem, że - jakom, tu przyszedłszy, postanowił - ućciwie służę nowemu panu i nowej ojczyźnie. I nie ja jeden, choć nam trudniej niżli tutejszym, bo nawet miłościwy pan nie zwykł tajemnicy czynić, że Niemców nie lubi ani im nie ufa. Na dobitkę przeciw swojakom występować było trzeba. Ale rozumiem też, że nie bez przyczyny nienawiść i nieufność do Niemców. Jeśli jednak mimo tego król Wilhelma miejskim, Petra Guisa sądowym wójtem mianował, to dlatego że to ludzie wierni i wypróbowani. Tedy sam jako obelgę i niesprawiedliwość odczuwać muszę, co ich spotkało, że im rycerz Radocha wszem wobec od psów niemieckich naurągał i kopniakami z gospody wyrzucił, za to jeno, że po niemiecku między sobą gadali. A gdy się wirt za dostojnymi gośćmi ujął, we własnej jego piwnicy łeb mu faską rozbił, że do dziś słabuje. Choćbym się zasię wbrew sercu i z oczywistą szkodą dla ładu i prawa za gwałtownikiem chciał wstawić, lubo winę jego osłaniać, tantym gęby nie zamknę, a zaufanie króla mógłbym utracić.

Królowa przez chwilę haftowała w milczeniu. Wierzynek, przeczekawszy, sądząc, że rozmowa skończona, powstał i skłonił się, Jadwiga jednak powiedziała:

- Siadajcież. Myślę, jak wyjść ze sprawy, by nikomu szkody nie przyniosła. Wždy na tej samej strunie można grać wesoło i smutno. Nie żądam, byście panu nieprawdę rzekli lubo sprawę zataili, bo iście nic dobrego z tego by nie wyszło. Ani też nie chcę, by winowajcy płazem puszczone, co przewinił. Jeno by kara takowym zajściom na przyszłość zapobiegła, a nie nowych była przyczyną. Rozumiem was, aleć i jego zrozumieć trzeba. Rzekliście z przekazem, że to miles de lathrone. Iście prawda, wywiedziałam się. Jeno skąd się wziął na gościńcu? Pacholęciem dom rodzinny z ziemią mu zrównali Krzyżacy. Niemce! Dokąd miał

iść, i cóż dziwnego, że gdy mowę niemiecką posłyszysz, zwłaszcza gdy w głowie ma, krzywdę mu to przypomina. Człek jest nieokrzesany, tedy przytając nie umie, co w sercu chowa.

Królowa podniosła oczy na Wierzyńka i ciągnęła:

- Nie jemu, ale panu przysługę oddacie, łagodząc sprawę. Ale choć małżonek mój wiedzieć o tym nie będzie, ja wam nie zapomnę. Najdzie się dla was miejsce w krakowskiej Ławie, jeno zmiana przyjdzie.

Wierzynek odparł:

- Rad bym zadośćuczynił życzeniu miłościwej pani, jeno przódzi pogadać bym musiał

z Petrem i innymi, byśmy jedno mówili. A kiedyż, skoro pan czekać mi tu kazał i pewnikiem pierwsze o tę sprawę pytać będzie.

- Nie czekajcie - powiedziała Jadwiga. - Późno już, rozmyślnie po dzieci posłać kazałam do Łobzowa. Skoro ich patrzyć i do wieczerzy siadać będziem. Tedy rzekę małżonkowi, że was odesłała, by choć ten jeden wieczór miał dla siebie i dla nas.

- Jeszcze i kasztelan wie o sprawie i jego miłościwy pan zapytać gotów.

- Pakosław do swego Mstyczowa wyjechał - odparła Jadwiga. - Gdyby wrócił, powiem mu, jak sprawa stoi. Liczę na waszą życzliwość i przemyślność.

Podąła Wierzynekowi dłoń, którą ten ucałował i wyszedł.

Sprawca rozsierzenia mieszczan, gniewu króla i niepokoju królowej, nieświadomy zbierającej ile, nad nim burzy, siedząc przed chatą Kundzi na Rybakach, zabawiał się właśnie beztrosko z jej małą dziewczuszką. Rozpuszczone przez niego i rozigrane dziecko pozwalało sobie na wszystko. Radocha, choć nieraz świeczki mu w oczach stawały, uśmiechał się jeno.

Teraz jednak nawet uśmiechnąć się nie mógł, bo mała, uchwyciwszy go za sumiasty wąs, ciągnęła co sił. Zajęta przy gospodarstwie matka zrazu nie zwróciła uwagi, ale spostrzegłszy, co się dzieje, powiedziała surowo:

- Puść wujka, Krysiu! Sama płaczesz, gdy cię przy czesaniu za włosy pociągnąć, tedy wiesz, że to boli. Jeszcze wąs oberwiesz.

Gdy jednak dziewczynka, śmiejąc się, szarpała dalej, Kundzia mimo krzykliwych sprzeciwów uwolniła od dziecka Radochę. Choć odetchnął z ulgą, powiedział:

- Nie oberwie, mocny wąs mam. A kogóż ma ciągnąć? Wam wąs nie roście, Braciszek gębę goli.

- Nikogo - odparła Kundzia, udając, że nie rozumie dalekiego objeżdżania Radochy, iż ojca rad by dziecku zastąpić. Dobrze zdawała sobie sprawę, dlaczego Radocha po koronacji nie wyjechał z Krakowa i za niańkę się naraił do dziecka, znosząc mu łakocie i zabawki i rozpieszczając je tak, że chowanie małej utrudnia. Nie chciała jednak dotknąć życzliwego człeka, wzbraniając mu tego, zwłaszcza że odmówiła przyjmowania świadczeń dla siebie, wiedząc, na jaką odwdziękę liczy. Ale nic z tego być nie mogło. Nie wierzyła w śmierć swego małżonka. Mimo pozornych dowodów przecucie jej mówiło, że żyje. Jedno pewne: że wrócić nie może.

Westchnęła i skierowała się do domu, jednak gdy Radocha wstał, by się pożegnać, powiedziała życzliwie:

- Ostańcież. Braciszek pewnikiem zaraz nadejdzie, wraz przysposobię wieczerzę, jeno dziecko ułożę.

- Nie będę sierot objadał - mruknął. Widać jednak, nie spieszo mu było do samotnego siedzenia na swej gospodzie lub wieczerzania w towarzystwie przygodnych opojów w karczmie na Bawole, bo usiadł znowu. Kundzia pominęła napomknienie i odparła:

- Nawet tego nie odjecie, coście nam nadawali. Choć w części chciałabym odwdzięczyć, skon. żyć mam z czego.

- Takie tam życie - burknął, ale nie śmiał wypowiedzieć, że u niego nie brak prócz gospodyni niczego.

- Mnie ociec z rybołówstwa wychował i nawet srebra trochę uścibał. Wychowam i ja dziecko.

- Siedlik był chłop, sam łowił - napomknął Radocha, ale Kundzia jakby nie słyszała, zabrała małą i weszła do chaty. Radocha zadumał się chmurnie. Kuńdzia wierzyć nie chce, że Krzych nie żyje. Samego Radochę nachodziły teraz wątpliwości. Wracać będzie trzeba do ponurego gródka na krzyżackiej granicy, wieczory spędzać samotnie lub w towarzystwie tego jękały lubo zgoła niemowy

- Pizły. Tęsknił czasem za starym druhem, z którym dzielił los, ciągnęło go do ziemi. Wiosna! Ziemia nic nie da temu, co o nią nie zadba. Jeno co po tym, gdy zbierać nie ma dla kogo! Sam z towarzyszem od małości żyli z lasu i z gościńca. Na starość zachciało mu się odmiany! Zaklął grubo.

- Na wieki wieków - odpowiedział mu nosowy głos.

Cicho jak kot zjawił się wagant w wypłowiałym i połatanym franciszkańskim habicie i usiadł na ławie koło Radochy. Rycerz odmruknął:

- Głupiś! Tak sobie klnę, bo cóże mi zostało? Wyjechać chyba przyjdzie, sieroty ostawić na takowej opiece jak twoja, co sam o siebie zadbać nie umiesz.

- Jakoś się żywię na Bożej opiece. A wam się dobrze składa - odparł Braciszek - bo właśnie król przyjechał.

- A cóże to ma do mnie? Gospody w karczmie będę musiał panu ustąpić?

- Nie. Jeno miasto dla was za ciasne po tym, coście tu nabroili. Mieszczany się pieklą i skarżyć się będą.

Radocha ramionami wzruszył lekceważąco.

- Ać się skarżą. Gdziesi mam ich gniewy.

- Ale nie król. Po cóż wam czekać na jego sąd?

Radocha poskrobał się po łbie, ale widocznie niezbyt rozumiał, bo zapytał:

- O co sąd? Wždy za to, zem Niemców prał, kanym ich dopadł, i w Krakowie, i w Poznaniu, i indziej, pan mi pas nadali i włości, i ten - jak mu ta? - mini...

- Immunitet - dokończył wagant.

- Właśnie! Cóże przy tym tych parę kopniaków, którem panom rajcom rozdał, bo nie posłuchnęli, kiem im zakazał po niemiecku szczekać. Pewnikiem znowu coś knowali, skoro nie chcieli, by rycerski człek rozumiał.

- Może by się wam i więcej nazbierało - odparł Braciszek. - Ino po co się wam sprawiać, skoro i tak



wyjechać macie? Na sąd czekać nie warto.

- Na sąd nie. Jeny z kim dziewczuszka siedzieć będzie - ty się włóczysz, a Kundzia albo gospodarką zajęta, albo rybami handluje. U mnie by panią była, a tak co? Wyda się za byle wywlokę, bo juści do śmierci bydlić nie będzie w gdowym stanie, a całe jej wiano to ta buda i dziecko. A mnie by to nie wadziło, bo dość mam swego.

- Nie wyda się, bo nie wierzy, by rycerz Krzych legł. Iście, dowodu nie ma.

- Jakiegoż, u biesa?! Wždy wiadomo, że samowtór z Unikiem na swym gródku siedział nad Tonczyną i tam go Krzyżaki naszły. Ze się żywym wziąć nie dał - to pewna, a na własnym oczy widział bajoro krwie pod drzewem, kany się bronił.

- Może jeno ranny był. Grobuście nie naszli.

- Juści. Krzyżaki ze śpiewaniem mordowanych chowają - ze złością rzucił Radocha. -

Moich rodzicieli i siostry grobu takóž nie naszedłem, jeno zaorane pogorzeliśko. Tedy może i oni żywią? A jeśli Krzych jeno ranny był, to go w ogień pewnikiem cisnęli, jako u nich jest obyczaj. Albo pod lód, jak ongi Pizło psubratów. Choćbym był i kości odgrzebał w zgliszczach, pozna to czyje?

- Kości nie. Ale na pograniczu pojmać możecie kogo, co był w krzyżackim poczcie i wiedzieć będzie, co się stało. A tymczasem sprawa się z mieszczany odstoi, gdy ich w oczy kłuć przestaniecie. Ostróżka mi rzekł, że się Peter Guis z innymi jutro sprosić do króla zamierzają. Gdy się raz sprawa zacznie, wyjechać może być trudno.

- Bierz ich lichy - rzekł Radocha. - Mam jechać, to zara. Jeno ty znać daj, gdyby Kundzi co trza było lubo mi się kto koło niej kręcił. Mam łba nakładać, by dowieść, że gdową jest, to juści nie po to, by ją kto inny pojął.

Wstał, by się pożegnać, i urwał zmieszany. Kundzia stała w wejściu. Musiała słyszeć, o czym mówili, bo przybladła na twarzy, ale powiedziała spokojnym, choć nieswoim głosem:

- Na wieczerzę was proszę.

- Dzięki - odparł Radocha - ale spieszno mi. O świcie wyjeżdżam, tedy zebrać się trzeba.

Nic nie odrzekła, jeno podała mu rękę. Trzymał ją przez chwilę w swojej, jakby na coś czekając. Kundzia zapłoniła się i powiedziała:

- Dziecku żal będzie...

Radocha odwrócił się i skinąwszy Braciszкови ręką, odszedł. Gdy zniknął im z oczu za skałką, a Kundzia stała zadumana, Braciszek odezwał się:

- Mnie na wieczerzę nie prosisz? Głodnego nakarmić... Nie trapże się. Radocha wszystko uczyni, by

się o Krzycha wywiedzieć. I tobie lepiej pewność mieć.

- Lepiej mieć nadzieję - odparła cicho. - Ale żywię mój małżonek lubo nie, za nikogo się nie wydam. Wiesz zasię, jakiej odwzięki Radocha czeka, a nijak mi odpłacić za to, co już dla nas uczynił.

- Lepiej, żeś mu tego nie rzekła. Jeśli Krzych żywię, Radocha sam zrozumie, że próżne jego zamiary. Ale pokąd nie wiada, niechaj i on karmi swoją nadzieję. Od małości nie miał nikogo. Tyś oca miała, potem małżonka, ninie dziewczuszka ci ostała, a bez nadziei ciężko ci. Wiem, że twoją i jego nijak pogodzić, aleć i tak będzie, co ma być.

Choć Radocha opuszczał Kraków wbrew swej woli, niczego nie osiągnąwszy, gdy konia poczuł pod sobą i owionął go ciepły wiatr, nabrał lepszej myśli. Póki Kundzia dowodnie się nie przekona, że wdową została, niczego u niej nie wskóra, na nic jałowe oczekiwanie. Teraz przynajmniej wie, co mu poczynać, by usunąć przeszkodę na drodze swych zamierzeń, która mimo wszystko zdała mu się jedyną. Pod wpływem Kundzi bowiem sam powziął wątpliwości co do losów jej męża. Znaczniejszych ludzi Krzyżacy w jeństwo brać zwykli dla okupu. Nawet pomstę sprzedać gotowi.

- Tfu! - splunął Radocha z obrzydzeniem, ale jednocześnie pomyślał, że krzyżacka chciwość mogła ocalić Krzychowi życie. A jeśli żyje, pomoc mu trzeba. Zaklął ze złością:

- U biesa! Dużo z tego przyjdzie Kundzi i dziecku! Wzbierał w nim zarazem żal i gniew. Choćby wykupić

Krzycha, tu czeka go jeno haniebna śmierć za napad na klasztor i porwanie mniszki.

Lepiej by zginął z krzyżackich rąk. Tak potrafił sobie i swoim zawikłać życie, że ni jemu, ni im pomoc nie można.

Zarazem jednak odzywało się w Radosze dawne przywiązanie do Krzycha i litość nad jego losem, który go od niemowlęcia prześladował. Zaczęło się bez jego winy i tak już szło.

- Za jedno, wiedzieć trzeba, żywię zali nie. Potem się zobaczy - mruknął Radocha do siebie i popędził konia.

Wiosna była pogodna i ciepła, drogi suche, przeprawy łatwe, jechał tedy dość szparko, na Sieradz i Konin, ale podróż była daleka i dłużyła się. Maj skończył się tymczasem, a czerwiec zaczął dopiekać. W skwarne godziny trzeba było stawać na postoje, byzczędzić koni, zwłaszcza jucnych, które z trudem nadążały za wierzchowymi, tak że pachołek często zostawał z tyłu, a nie całkiem było bezpiecznie. Jechali do ostatniej zorzy, nieraz nocując pod gołym niebem, żywiąc się z juków. Zapasy skończyły się jednak i trzeba je było uzupełnić.

Gdy więc dociągnęli do Kruszwicy o zupełnym już zmroku, Radocha zajechał do gospody u rozstai bydgoskiego i brzeskiego gościńca. Mimo spóźnionej pory, z dala już doszedł go gwar licznych głosów, u na obejściu roilo się od ludzi.

Radocha kazał swemu pachołkowi spętać konie i puścić je na paszę na łące nad Gopłem, a sam skierował się do gospodnej izby, by popić i pogawędzić.

W izbie tłoczno było i gwarno. Przy niepewnym świetle smolnych szczap Radocha rozglądał się gdzie by usiąść. Przy głównym stole ławy zajęte były przez nie znanych mu rycerzy, w rogu izby natomiast siedział samotnie młody dostojnik, który z zajęciem przysłuchiwał się ich rozmowie. Na widok Radochy dźwignął się i skinął na niego, a Radocha poznał w nim nakielskiego starostę Henryka z Rynarzewa. Przecisnął się ku niemu, podwójnie rad ze spotkania: nie będzie musiał jeździć do Nakła, by zmówić się na łowienie zakonnych pocztów, które ongiś dobrze im społem szło, a teraz nie potrzebuje pić i gadać z nieznanymi rycerzami, często lubiącymi wynosić się nad nowych ludzi. Starosta Henryk zaś, mimo młodego wieku sam wysoki dostojnik i z prastarego rodu Pałuków, ongiś pono ksiąząt w Krainie, choć kąśliwy kpiarz, ale jednako gadał z królem, jak z chłopem i Radocha nawykł

już do tego, że Henryk wszystkich i wszystko zwykł brać lekko. I teraz kpina powitał dawnego towarzysza:

- Urwaliście się od niewieściej zapaski? Jużem mniemał, żeście pocieszyli wdowę po Krzychu i społem rybami handlujecie, czekając na przychówek.

Radocha skrzywił się, ale odparł:

- Gdowa - nie gdowa, i o tym pogadamy, jeno nie w karczmie. Ninie zaś wiedzieć chciałbym, co tu słyhać.

- Tedy nalejcie sobie i słuchajcie - podsunął Radosze dzban i kubek. - Właśnie z Brześcia wracają, gdzie ichmoście świadczyli przeciw Krzyżakom. Nawet ich przyjaciele, Wańko płocki i biskup Florian Leszczyc z Kościelca, pono prawdę zeznawali, choć ostrożnie.

Ale i tak pewnikiem gęsto się będą musieli mistrzowi sprawiać, dlaczego nie łgali jak Krzyżakom potrzeba.

Radocha ramionami wzruszył.

- Nie ciekawym. Dużo ta z tego przyjdzie, że się psubratom do oczu wypomni ich łotrostwa.

- Nie do oczu, bo na zrok nie stawili się. Jeno nie dlatego, by im wstyd było słyhać, jeno by lepiej kręcić. Z tego, co prawi Dobrosław z Jerzewa - wskazał na poważnego męża, który opowiadał o przebiegu rozprawy w Brześciu - widne, że prawem lepiej wojować wy dolą niżli królewscy prokuratorzy. Skoro sam sędzią bywam, dobrze wiedzieć, jak się sprawiedliwość za nos wodzi, tedy rad posłucham, a wy pijcie. Jedno zasię pewne, że Krzyżacy woleliby, by ich chwalebne uczynki nie były na pergaminie utrwalone. Arcybiskup zrok wyznaczył do odczytania zeznań na świętych Jana i Remigiusza. Nie zawadzi, że się w Kurii dowiedzą, jak sobie diabelskie mnichy poczynają.

Radocha ręką machnął.

- Ja zasię wiem bez pergaminów, i wiem, że tyle sprawiedliwości, ile jej sam sobie uczynię. I onemu krzyżackiemu prokuratorowi, co go nasi we trzech przegadać nie wydolili, raz bym w pysk dał, toby

go bez sześć niedziel nie ozwał.

- Tedy szkoda, że król was swym prokuratorem nie uczynił. Ale o naszych sposobach pogwarzymy w drodze, bo spory kęs razem pojedziemy, tedy cichajcie.

Radocha umilkł i wziął się do picia, że jednak zdrożony był, po chwili pożegnał się i poszedł spocząć. Ale pierwszy świt barwił dopiero pogodne niebo, gdy stał gotów do drogi, czekając na starostę, który zasnął nieco, bo do późna słuchał o przebiegu procesu. Zrazu też poganiał konie i nie było sposobu rozmawiać, ale gdy słońce wzbiło się i zaczęło przypiekać, przeszedł w stępa i naprzód rozpytywać zaczął o wieści z Krakowa. Radocha tyle wiedział, że na węgierskiej granicy uspokoiło się i król ma nadzieję z Karolem Robertem się uładzić.

- Pewnikiem wonzas do Krzyżaków się weźmie - zakończył, ale starosta Henryk odparł:

- Póki się z nimi prawu je, nijak mu to uczynić. Ale wyrok iście sam będzie musiał

wykonać, bo Krzyżaki za nic mają kościelne nakazy i cenzury, jeno obchodzić je umieją, jak ninie: papież im prawo odwołania od wyroku odebrał, to apelują od wszystkiego, cokolwiek sąd postanowi lub uczyni, byle do wyroku nie dopuścić.

- Z tego, co prawicie, widne, że do sądneho dnia prawować się będą, a mnie pilno wziąć się za psubratów.

- Ninie wam pilno, a pół roku z górą siedzieliście w Krakowie. Król po prawdzie jeno kupieckie i poselskie poczty zakazał przez Kujawy i Wielką Polskę przepuszczać, ale na własny rachunek możemy i Malborka dobyć. Gniewać się o to nie będzie.

Radocha odetchnął i powiedział:

- Co ta będę skrywał, kiej o pomoc was prosić chciałem. Kundzia uwierzyć nie chce, że

Krzych nie żywię. Ułapić trzeba któregoś, co był w Krzychowym gródku, gdzie go naszli.

- Gdy białka sobie coś uwidzi, nie przekonacie jej, choćbyście takiego przywiedli, co go sam zarznął. A wyście nigdy innych białek nie mieli, jeno wdowy?

- Ostawcie! Pojąć ją chciałem, a jakoż jeśli Krzych iście żywię?

- Skoroście się na Kundzię uwzięli, za nic wam ją ze łba czy skądś tam wybijać. A dużo jej z tego, skoro jej chłop sam sobie pętlę na szyję namotał i nijak wracać nie może, jeśli i żywię.

Widząc, że Radocha spochmurniał, ciągnął:

- Nie trapcie się. Jeśli żywię, jest rada: schwytać go i królowi do ukarania wydać.

Będzie mogła sama ujrzyć, jak go mistrz sprawi.

- Chyba drwicie - zachnął się Radocha. - Ja mam go pod topór wydać, po to, by wdowę po nim pojąć! W oczy bym jej spojrzeć się nie ważył.

- Nie wy, jeno ja. Nicem mu nie dłużny, a nie podobał mi się, bo głupi a zadzierzysty.

Zresztą z urzędu swego wywołańców łowić winienem, a wam by to iście pomogło, tedy oco się żlicie?

- Nie o takową pomoc proszę - burknął Radocha. Henryk lekceważąco ramionami wzruszył.

- Boście też głupi. Ale spierać się nie ma o co, bo przeklętnik dawno zgnił pewnikiem.

A złowim jakich psich synów, możecie ich o swego Krzycha rozpytywać, choćby im pięty przypiekać przyszło. To mi nie wadzi.

Radocha umilkł przygnębiony. To, co mówił Pałuk, uświadomiło mu, że sam nie wie, do czego zmierza. Po chwili mruknął do siebie:

- Jeśli żywię, to co mi poczynać?

- Wy znowu swoje. Tedy jedno wam rzekę: jeśli żyw, to Jeno dlatego, że poszedł służyć

Krzyżakom. Zali i wtedy będziecie za nim obstawać?

- Co prawicie! - zakrzyknął Radocha. - Wždy go znam. Byście widzieli, jak psubratów prał!

- Mało takich, choćby ów Peregryn z Zajączkowa czy inni, co raniej bili Krzyżaków, a ninie im służą, by się przy swych majątnościach na Pomorzu utrzymać? Aniby to dziwne było, gdyby Krzych do nich poszedł, bo gdzie lepiej schronić się wyklętemu i ściganemu przez prawo łotrowi, jeśli nie w Zakonie?

Rozterka Radochy przeszła w udrękę. Ponad to, co słyszał od Henryka, wiedział

przecie, że i ojciec Krzycha służył Krzyżakom, też pewnikiem zagnany przez nieszczęście.

Ulgi szukał Radocha w myśli, że Krzych jednak nie żyje, i wypowiedział ją półgłosem:

- Wól by zdechł, gdyby mu tyle krwi upuścić, ilem tam widział, choćby i psubraty Krzycha nie dobiły.

- Tak by dla wszystkich było najlepiej - zakończył Henryk. - Nawet dla niego samego.

Kapituła w Malborku zachodziła w głowę, czym się to dzieje, że gdy tak szybko i bez większego wysiłku Zakon opanował warowne i obsadzone załogami grody pomorskie, bezbronno na pozór kraju opanować nie może. Przypisywano to niedbalstwu czy nieporadności pogranicznych komturów,

k którzy sami bezpiecznie Biedzą w murowanych naprędcie zamkach, a nie troszczą się o niemieckich osadników, nigdy nie pewnych, czy nie obudzą się z dachem płonącym nad głową. Kapituła szczególnie chodziło o bezpieczeństwo dróg, niezbędnych nie tylko dla handlu, lecz przede wszystkim dla utrzymywania łączności ze Śląskiem i Czechami. Echem w całym Zakonie odbiło się wyrżnięcie w pień pod Grabiami, mimo wszelkich podstępów i ubezpieczeń, silnego oddziały wysłanego z zadaniem zniszczenia zbójckiego gródka nad Tonzyną. Oddział przepadł jak kamień w wodzie, że ni świadek nie wrócił.

Potem gródek dłuższy czas stał pustką, ale napaści bynajmniej nie ustały. Komtur Sparenberg rozmyślnie nie niszczył go w nadziei, że po jakimś czasie zbóje, upewnieni, powrócą do niego i łatwiej ich tam będzie wytepić niż po bagnach i lasach, gdzie łowy na nich jeno stratami się kończyły. Jakoż istotnie otrzymał ubiegłej zimy wiadomość, że osiadł

tam słynny zbój Pizło, na którego głowę jeszcze poprzednik Sparenberga wyznaczył wysoką nagrodę, z powodu okrucieństw, jakich dopuszczał się nad zakonnymi ludźmi, nie szczędząc nawet duchowieństwa. Komtur, zebrawszy siły, jakie miał pod ręką, nad ranem zaskoczył

gródek, lecz ku swemu zdziwieniu zastał tam jeno dwóch ludzi.

Mimo to jednak walka kosztowała go sporo, zanim obezwładniono olbrzyma, który bronił się jak szaleniec, niemniej Sparenberg uważał, że się opłaciła. Miał w ręku dowód, że zbóje nie działają na własną rękę, lecz pod kierunkiem ludzi Łokietka, i postępkami ich będzie go można obciążyć.

Zrazu wątpliwe było tylko, czy jeniec wyżyje. Rany jego, choć liczne, były lekkie, z wyjątkiem ostatniego ciosu w tył głowy, po którym padł. Broczył jednak silnie, tak że zdało się, iż się wykrwawi. Komtur nie pozwolił go dobić swym ludzom, rozjuszonym oporem i stratami. Kazał nawet jeńca opatrzyć, chcąc mieć wobec Kapituły dowód, że troszczy się o bezpieczeństwo i spokój w podbitym kraju. Dowiózł go też żywego do Torunia, choć jeniec przez długi czas nie odzyskiwał przytomności. Z wolna przychodził do siebie, zdać się mogło jednak, że utracił mowę. Nie tylko nigdy nie wyrzekł ani słowa, ale nawet nie jęknął, gdy bez żadnych względów opatrywano jego rany, przemywając je palącym jak ogień wywarem z ziół. Nieczuły był na nic, nawet na głód, karmić go trzeba było. Tylko wodę pił chciwie, widocznie dręczony pragnieniem. Wychudł na szczapę, ale rany goiły się, jeszcze tylko jątrzyła się rana na głowie. Mowy jednak nie utracił, komturowi doniesiono bowiem, że nocami szepce coś do siebie. Gdy jednak Sparenberg udał się do niego i zagadnął o imię i ród, w odpowiedzi otrzymał jeno obojętne, ale przytomne spojrzenie jasnyc oczu. Potem jeniec przymknął powieki i nie odezwał się, mimo że komtur zagroził, że każe go ogniem przypiekać, jeśli odmawiać będzie odpowiedzi.

Z wykonaniem groźby czekał jednak, by jeniec przyszedł do sił, z zachowania jego bowiem przy bolesnych zabiegach pomiarkował, że twardy jest, i obawiał się, że z osłabionego prędzej ducha wyciśnie niż słowo. Na razie spróbował pozbawić go wody. Ale jeniec o napój się nie upomniął, choć męczył się widocznie, bo gryzł do krwi spękane wargi i dyszał chrapliwie. Komtur przeto z ulgą odesłał go do Malborka, by pozbyć się odpowiedzialności i kłopotu. Dla bezpieczeństwa kazał go związać i wraz ze zbroją załadowawszy do łodzi, polecił dwóm knechtom odstawić go na miejsce.

Wiosna na wodzie zdwaja swe uroki. Odbite w wodnej płaszczyźnie brzegi zdały się odcinać rzekę

od reszty świata, z jego troskami i obowiązkami. I knechtom widocznie nie spieszo było do nich. Płynęli po spokojnej, choć jeszcze wezbranej fali wiślanej, nie tykając wiosł. Zatrzymywali się często, by łowić ryby po zalewiskach i łachach lubo z łuków polować na ptactwo, od którego roiło się w przybrzeżnych trzcinach i szuwarach. Nie lękając się wychudłego na wiór jeńca, na dzień zdejmowali mu pęta, by nie troszczyć się o jego potrzeby. Obojętnie pozwalał się wiązać, gdy, wcześniej stając na noclegi, układali się beztrosko na pośłaniu z szuwarów, gwarząc między sobą, póki nie zmorzył ich sen. Jeniec siadywał wówczas na burcie łodzi, śledząc zamyślonym spojrzeniem zapadające na noc w szuwały ptactwo, odbłaski gasnącej zorzy na rzece, a potem migotanie na spokojnej fali odbicia zapalających się gwiazd.

Czasem z ciekawości lub z nudy knechci zagadnęli i jego. Zdał się chwilami rozumieć, choć mówili po niemiecku, ale nie odpowiedział nigdy ni słowem. Chyba jednak nie rozumiał, bo wyraz jego twarzy nie zmienił się, gdy głośno rozważali sposoby, jakimi oprawcy zmuszą go, by wyjawiał, kim jest, z czyjego nakazu siedział w gródku nad Tonczyną i co się stało z zaginionym poczem krzyżackim.

W słońcu i powietrzu, którego od miesięcy był pozbawiony, jeniec podebrał się, nie trzeba go było przymuszać do jadła, chuda i wyblakła twarz jego jakby się wypełniła i nabrała zdrowszej barwy. Jeno nie opatrywana od szeregu dni rana dolegała mu widocznie, bo chwilami bladł i z bólu mrużył oczy.

Minąwszy Gniew, knechci popłynęli prędzej, na Nogacie bowiem roiło się od zakonnych łodzi i statków, które niechętnie zapuszczały się w górę Wisły. Handel zresztą z polskimi miastami ustał, a żegluga nie była całkiem bezpieczna, na rzece bowiem grasowali piraci, którzy z niebywałym zuchwalstwem, niemal na oczach komtura, pod samym Toruniem zrabowali zakonny statek i wycięli jego załogę. W porozumieniu z księciem Wańkiem płockim, który też ponosił straty w cłach, próbowano ich łowić, ale bezskutecznie. Nijak ich było poścignąć w rzecznych zakamarkach, niedostępnych ni z bagnistych brzegów, ni większymi statkami od rzeki.

Na Nogacie jednak bezpiecznie było, knechci nie potrzebowali już unikać spotkań i w płaskim jak stół kraju z dala rysowały się wkrótce baszty i mury rozsiadłej na prawym brzegu nowej krzyżackiej stolicy, zbudowanej na wzór Starkenbergu, pierwszej siedziby Zakonu w Ziemi Świętej.

Miasto, założone przed niespełną pół wiekiem przez landmistrza Konrada von Thierberg, na łagodnym skłonie niewyniosłej wyżynki, w pół drogi z Gdańska do Elbląga, położenie miało korzystne, które jeszcze się polepszyło z chwilą zdobycia Gdańska. Dlatego wielki mistrz Zygfryd von Feuchtwangen, przenosząc się do Prus, tu obrał swą siedzibę.

Leżąc z dala od nowych granic krzyżackiego państwa, omal w jego środku, a niezbyt daleko od ruchliwych portów, miasto nęciło osadników nadzieją zysków i bezpieczeństwa, jakie zapewniała liczna załoga szybko rozbudowującego się zamku. Pierwotnie siedziba przeniesionej tu przed i czterdziestu laty komturii z położonego na uboczu Zantyr, mimo przebudowy nie starczyła na godne pomieszczenie najwyższych władz bogacącego się Zakonu i licznie napływających dostojnych gości z Zachodu, których razić mógł surowy i ponury wygląd klasztorutwierdzy. Chociaż dobudowano wschodnie skrzydło, stary zamek zbyt szczupły był, toteż praca wrzała przy rozbudowie dawnego przedzamcza na wspaniałą i obszerną siedzibę, jaką nie każdy udzielny władca mógł się poszczycić.

Dalej ku północy, łącząc się w jedną obronną całość, powstawało nowe przedzamcze, przeznaczone dla licznych i różnorodnych celów gospodarczych i wojskowych Zakonu.

Stary zamek natomiast, zwany teraz wysokim, pozostał siedzibą komtura domowego i podwładnej mu załogi, niezbyt licznej, gdy po zgnieceniu powstań pruskich i zdobyciu Pomorza nie było go przed kim bronić. Zbędne pomieszczenia nadziemne przeznaczono zatem na składy i zbrojownie, w obszernych zaś lochach, ciemnych i wilgotnych od wypełnionych wodą fos, siedzieli ludzie, których dosięgła krzyżacka sprawiedliwość lub którzy tu na jej wymiar czekali.

Na przystani, koło mostu łączącego wysoki zamek z warownym przyczółkiem na zachodnim brzegu, na pamiątkę pierwszej pruskiej siedziby zakonnych rycerzy zwanym Vogelsang, knechci przywiązali łądź, oddali jeńca wraz ze zbroją w ręce zamkowego wójta, a sami za wrócili w górę rzeki ku rozbudowującemu się wzdłuż niej miastu, by użyć uciech, jakie gotowało dla przyjezdnych kupców i rycerskich gości z Zachodu, których w Malborku nigdy nie brakło, a Kapituła patrzyła na to przez palce; nie takie grzechy głodzi walka z pogaństwem. Czasy się zmieniły. Czystość i ubóstwo należały do przeszłości i rycerscy bracia mogli nawet posiadać majątkości i lenna, a narastające bogactwa Zakonu i konieczność wystawnego podejmowania obcych posłów i dostojników też rozluźniły surowy ongiś tryb życia. Z dominikańskiej reguły, którą przejął Zakon, stosowano tylko przepisy budowlane oraz nakaz posłuszeństwa, które wraz z bitnością stanowiło podstawę osiągnięć Zakonu.

Z

dawnych surowych rygorów za łamanie ślubu czystości pozostały jeno srogie kary za sodomie, która jak choroba nawiedzała Zakon przy każdej próbie powściągnięcia rozwiązłości. Sprzyjały jej szerzeniu się wspólne wedle reguły sypialnie, pozbawiając nieraz szeregi zakonne najcięższych rycerzy, którzy w łańcuchach do końca żywota pokutować musieli za grzech, który sam Bóg ogniem tępił już w tym' życiu. Za wszystkie inne grzechy pokuty były lekkie i zamtuzy miejskie cieszyły się u rycerskich mnichów nie mniejszym powodzeniem jak gospody i piwiarnie.

Zawleczona jednak raz choroba wygasnąć nie chciała i w lochach malborskiego zamku niemal zawsze kilku wszeteczników oczekiwało wyzwolenia od śmierci, bo na inne nie było już nadziei. By własnej ręki przyłożyć do niej nie mogli, grzech dodając do grzechu, czekali na nią zakuci w łańcuchy, za życia już cuchnąc jak trupy w grobowym zaduchu piwnicy, tym jeno różnej od grobu, że przez wąskie okienko u powały czasem o zachodzie promyk słonecznego światła rozjaśnił ciemność, by przypomnieć skazańcom, że skalane obrzydłym grzechem ich ciała nigdy już nie zaznają jego czystej pieśczoły. Piekło, jakie przejdą na ziemi, może im starczy za pokutę i pozwoli uniknąć wiekiustego potępienia. Ale i tu zdać się mogło wiecznym, zanim jurne młode ciało, pozbawione wszystkiego, czego trzeba do życia, poza chlebem i wodą, zamieni się w bezwolny łachman, nie czekający na nic, nawet na zniszczenie.

Gdy Grób Zbawiciela przestał być celem walki, Zakon stał się celem sam w sobie.

Pokora i miłosierdzie wobec chorych i słabych, leżące w założeniu Zakonu, w dalszym jego biegu zapomniane zostały zupełnie. Zawsze był w mniejszości wśród podbitych ludów, pałających nienawiścią i zemstą, obcych mową, obyczajem i wiarą, z którymi związani regułą zakonnicy nie mogli nawet łączyć się wzorem innych zdobywców. Poczuciem swej przewagi wzbijani w pychę, nie nawiązywali nawet zwykłych ludzkich stosunków. Pewność bezkarności w tym i przyszłym życiu



głuszyła odruchy sumienia, a pozbawienie własnej woli wyjałowiało wszelkie uczucie. Mimo nakazu braterstwa - nawet między zakonnymi braćmi rzadko i jeno za młodu zdarzały się wypadki przyjaźni. Niemiłosierne dobijanie własnych towarzyszy, gdy wskutek ran niezdolni byli dosiąść konia czy utrzymać się na nogach, weszło w obyczaj zakonnych wojsk. Ongiś uzasadniany był troską o zbawienie duszy, by popadłszy w saraceńską niewolę zakonnik nie wyrzekł się prawdziwej wiary; teraz obyczaj pozostał jako czyste okrucieństwo, rzekomy dowód hartu i posłuszeństwa, w istocie pogarda dla wszelkiej słabości.

Wzorem tych cnót mógł być wójt zamkowy Volrad, w którego ręce knechci oddali przywiezionego jeńca. Z dumą nosił imię swego krewniaka, wsławionego tym, że spalił

żywcem zaproszonych na ucztę wielmożów pruskich. Było to wprawdzie bezpośrednią przyczyną wybuchu krwawego, z trudem stłumionego powstania, ale też i ostatecznego zgniecenia pozbawionego przywódców narodu.

Dowiedziawszy się, gdzie wzięty był jeńiec i w jakim celu odesłany został do Malborka, Volrad tylko uśmiechnął się i mruknął:

- U mnie nie jeno gadać będzie, ale śpiewać.

Na uwagę, że komtur Sparenberg dlatego sam nie wybadał jeńca, bo obawiał się, że badań nie przetrzyma, wójt odparł:

- Sam się prosić będzie, by mógł gadać. Tam, gdzie go posadzę, każdy duszę sprzedałby diabłu, byle się wydostać.

Miał na myśli celę sodomitów, z których jeden dokończył właśnie żywota, drugi natomiast - w pełni jeszcze sił - rozszalał się tak, że dozorczy lękali się do niego przystąpić.

Choć loch był głęboki, a mury grube, całymi nocami słyhać było nieludzkie wycie opętańca i dzwonienie łańcuchów, które usiłował zerwać. Wspólny pobyt z nim wkrótce winien złamać zaciętość więźnia.

Wójt pomylił się jednak. Zamiast spodziewanej wiadomości, że jeńiec prosi o rozmowę, strażnik doniósł mu, iż zda się jakby dochodził. Volrad zaniepokoił się. Miał zyskać pochwałę za gorliwość, gotów ściągnąć na siebie odpowiedzialność za zmarnowanie cennego dowodu, potrzebnego wielkiemu mistrzowi, który osobiście miał się udać do Rzymu, by oczyścić Zakon ze stawianych przez Łokietka i ryskiego arcybiskupa zarzutów, a swoje wzajem przedstawić.

Gdy wójt ujrzał więźnia, przeląkł się, iż o jego stanie doniesiono mu zbyt późno.

Wychudła twarz jeńca płonęła gorętwą, zsiniałe powieki przysłaniały wpadnięte oczy, chwilami rzęził, jakby już wyzionąć miał ducha. Opatrunek spadł z głowy, odkrywając otwartą znowu ranę, odór jej wybijał się nawet w piwnicznym zaduchu.

Wójt kazał co prędzej odnieść jeńca do infirmerii, modląc się, by go doniesiono jeszcze żywego. Trupa nie przyjmą, ale jeśli tam skona, kto inny będzie się musiał sprawiać.

Doniesiono żywego, a nawet nazajutrz rano, gdy wójt nie całkiem spokojny udał się wywiedzieć o jeńca, żył jeszcze, a doświadczony szpitalnik, który go opatrywał, wyraził

nadzieję, że da się jeńca utrzymać przy życiu. To już Volrada nie obchodziło. Pozbył się kłopotu i przestał o nim myśleć. Będzie czas na to, gdy mu wyleczonego jeńca oddadzą, nieprędko zapewne, bo nie opatrywana i zanieczyszczona rana gnoić się. Jeniec, mimo iż nieprzytomny, cierpiał widocznie, ale i w nieświadomości działała zapieczona zaciętość, bo nawet nie jęczał.

Szpitalnik Hagen von Fichtenhein, od dawna obyty z ranami i śmiercią, sam nie zdawał sobie sprawy, dlaczego obiecywał, iż jeńca wyleczy. Gdy przy pomocy służebnego brata rozebrał rannego, by go umyć i opatryć, ujrzał tyle blizn świeżych i starych, że tylko na tak ogromnym ciele mogły się pomieścić. Dziwił się, że jeniec jeszcze żyje. Musiał być potężnej siły i żywotności, ale i te mają swój kres i zdało się, że go osiągnęły. Gdy ranny spoczął na twardym pościeliu, napojony odwarem z ziół przeciw gorętkom, szpitalnik patrzył

na niego. Wzrostem i budową przypominał Hagenowi jedyne go człowieka, któremu dłużny był wdzięczność: w najstraszniejszej dlań chwili, własne życie stawiać, podał Hagenowi pomocną dłoń.

Ćwierć wieku minęło od czasu, gdy Hagen sam leżał tutaj, przez długi czas walcząc ze śmiercią, a wyszedł na zawsze niezdolny do boju. Słabych na braci rycerskich nie przyjmowano, ale nawet dla tych, którzy siły stracili w Zakonie, droga do wyższych godności była zamknięta. A z myślą o nich wstępował w jego szeregi w chłopięcym niemal wieku, tęgi i sprawny - wybijał się szybko nad innych. Śmiały do zuchwalstwa, bezwzględny w zmierzaniu do celu, nieustępliwy w walce i niemiłosierny w zwycięstwie, zyskał

przychylność przełożonych, a nie dbał o niczyją inną. Sam od dziecka krzywdzony, nie znał

miłosierdzia, chyba z pergaminów zakonnych statutów. W życiu nie spotkał się z nim nigdy, a zwłaszcza w obchodzeniu się ze zgnębionymi już Prusami ni w rozpoczętych właśnie walkach z Litwą.

Z Litwą walka cięższa była niż z rozbitym i pozbawionym kierownictwa narodem pruskim. Litwini korzystali z doświadczeń Prusów, których wielu zbiegło do nich, swą znajomością kraju i sposobów krzyżackiego wojowania służąc w odwetowych wyprawach, którymi jednocząca się pod naciskiem Litwa płaciła za napaści, a okrucieństwem za okrucieństwo. Palenie żywcem jeńców krzyżackich na ofiarę bogom najtwardsze serca przejmowało niepokojem i wzmagало zaciętość walki. Lżejsza jest każda inna śmierć.

W wieku dwudziestu lat jednak nie chce się umierać. Hagen i we śnie pamiętał chwilę, gdy - przygnieciony przez obalonego konia, ze strzaskaną nogą i połamanymi żebrami - nie mógł się ni ruszyć, ni głosu z siebie wydobyć, ażeby uchodzących towarzyszy uprosić, by go chociaż dobili. W ciemnej głębi boru, gdzie wpadli w zasadzkę, jak wilki pomykali litewscy wojownicy. Każdej chwili spodziewał się, że go któryś dostrzeże.

Niespodzianie miast litewskiego wojownika ujrzał nad sobą ogromnego męża w płaszczu konfratra z

półkrzyżem, z mieczem w ręku. Na leżącego spojrzęły jasne tęczówki o ciemniejszych obwódkach. W Hagenie zamarło serce: lżejsza śmierć jest także kresem wszystkich nadziei i zamierzeń.

Spojrzenie jasnych oczu nieznanego rycerza pamiętać będzie Hagen do śmierci, wraz z uczuciem niewypowiedzianej ulgi, gdy ten, odciągawszy ściervo padłego konia, przerzucił

rannego przez łęk swego siodła.

Co się dalej działo, Hagen nie wiedział, bo zmysły odzyskał w malborskim szpitalu.

Leczono go, jak chorego konia, z myślą o jego przydatności, a wkrótce jasne się stało, że nigdy nie przyjdzie do zdrowia. Długo pluł krwią z poranionych złamanymi żebrami płuc, a strzaskana noga zrosła się krzywo. Pewne było, że wojować już nie będzie, nikogo zaś nie obchodziło, co chory czuje i myśli.

Leżąc beczynnym niemal dwa lata, czas miał wiele przemyśleć i po raz pierwszy w życiu w oschłym sercu budzić się zaczęło uczucie dla nieznanego zbawcy, który naraził

własne życie, by jego ratować. Bez trudu dowiedział się, kim był, bo tymczasem imię Mścigniewa głośnie się stało w Zakonie. Ale nie ujrzał go nigdy. Z biegiem czasu, miał zapomnieć, jak udrękę odczuwać zaczął niemożność odwdzięczenia się bodaj słowem swemu wybawcy. Łudził się, że go jeszcze kiedyś zobaczy, by mu wyrazić podziękę nie za nędzne życie, ale za okazanie miłosierdzia nad bezbronnym człowiekiem. Wtedy zrozumiał, że obojętność na cudze nieszczęście nie jest dowodem hartu, męstwo nie w zadawaniu cierpień się przejawia. Leżąc długo bez sił, niczym brak wody w skwarnej dzień odczuwał nieraz obojętność otoczenia. Jak chore dziecko w bezsennej nocy marzył o tym, by go ktoś pogładził

po wilgotnych od potu włosach lub choć dolnym słowem się nad nim użalił. Ale gdy wyszedłszy z infirmerii, niezdolny do walki, sam został szpitalnikiem malborskiej komturii i postanowił, że szpital stanie się przybytkiem wygnanego miłosierdzia, przekonał się, że mało jest chcieć. Miłosierdzie nie płynie z wyjąłowanego serca, i nic nie czuł dla swoich chorych.

Drobne usługi czy zdawkowe pieśszoty przyjmowano z niechętnym zdziwieniem, Jak jałmużnę fałszywą monetą.

Teraz serce drgnęło w nim wspomnieniem, gdy przyniesiono jeńca. Nie jeno postawą przypominał tamtego, którego raz widzianą twarz ćwierć wieku wytarło z pamięci. Siedząc przez kilka nocy nad rannym, Hagen wpatrywał się w jeńca przy mdłym świetle łożowego kaganka, usiłując z bolesnym uporem z mgły niepamięci wydobyć tamtą twarz. Ale pamiętał

tylko oczy i czekał w napięciu, kiedy jeniec swoje otworzy.

Leżał niemal bez ruchu, tylko pierś jego podnosiła się ledwo widocznie spokojnym oddechem. Goręta spadła zapewne, ale słaby być musiał, bo przy świetle kaganka na czole jego lśniły kropelki potu. Zdało się, że śpi. Gdy jednak Hagen otarł ręcznikiem jego czoło, a potem lekko na nim rękę położył, by stwierdzić, czy jest chłodne, wargi rannego poruszyły się ledwo dosłyszalnym szeptem:

- Kundzia!

Hagen nie znał polskiej mowy, ale zrozumiał, że to kobiece imię. Cofnął dłoń zawstydzony, jakby oszukał rannego. Wtedy ten pomалу podniósł powieki i na Hageną spojrzęły jasne oczy o ciemniejszych obwódkach; te same, co przed ćwierć wiekiem! Próżno rozsądek mówił, że gdyby tamten żył, musiałby być o wiele starszy. Hagen pochwycił

zerwaną nić jedyne, jakie żywił, uczucia. Temu człowiekowi spłaci dręczący go dług wdzięczności. Już nie tylko wyleczyć go postanowił, ale ocalić.

Sprawa nie była łatwa, ale też nie pilna, jeniec nieprędko powróci do sił na tyle, by go można wydać w ręce Volrada. Wójt zresztą nie pytał o niego więcej, gdy tylko się upewnił, że jeniec wyżyje. Ale pytać o niego może kto inny, zapewne będzie potrzebny w związku z podniesionymi przeciw Zakonowi zarzutami. Na niedzielnym zebraniu konwentu, na którym urzędnicy Zakonu, zdawali sprawę ze swych czynności, będzie niewątpliwie o jeńcu mowa.

W wielkim dwunawowym refektarzu średniego zamku o sklepieniu wspartym na sześciu smukłych kolumnach, przy długich dębowych stołach zasiadło liczniejsze niż zazwyczaj grono, prócz bowiem miejscowych braci i dostojników przybyło kilku obcych. Po modlitwie do Ducha Świętego, by oświecił obradujących, landmistrz, odkładając zwyczajne sprawozdanie, wezwał do niego papowskiego plebana, prowadzoną przez niego sprawę o zwrot Pomorza widocznie uważając za najważniejszą.

Zygfyrd jednostajnym, nieco skrzekliwym głosem jął przedstawiać dotychczasowy przebieg procesu, nie tając nawet, że zadowolony jest z siebie i spodziewa się nagród i zaszczytów. A i ci z zebranych, którzy choć trochę rozumieli się na prawie, musieli przyznać, że nie zawiódł położonego w nim zaufania. Już w pełnomocnictwie zostawił sobie furtkę zaczepienia właściwości sądu, bezstronności sędziów, ograniczając je zarazem do sprawy postawionego przez polską stronę żądania pieniężnego odszkodowania, mimo że pełnomocnicy Łokietka doręczyli mu odpis bulli, z której wynikało, że głównym przedmiotem sporu jest zwrot zagrabionych ziem i na zasadzie kanonu „reintegranda” pozew należy skierować przeciw rzeczywistym ich dzierżycielom. Zygfryd zarzucił, że w myśl statutów członkowie Zakonu niczego posiadać nie mogą we własnym imieniu i niczego działać bez zezwolenia mistrza i Kapituły. Wobec tego zażądał odroczenia terminu do Bożego Narodzenia, mimo że zwyczajnym terminem posiedzeń Kapituły był dzień Podniesienia Świętego Krzyża<sup>7</sup>.

Wobec tak oczywistej gry na zwłokę sąd odrzucił jego żądanie, wyznaczając termin na drugiego czerwca. Od tego jednak - korzystając chytrze, że papież odebrał Zakonowi prawo apelacji tylko od wyroku - Zygfryd wniósł apelację od wyznaczenia terminu, którą - mimo 7 14 września jej odrzucenia - należało wraz z uzasadnieniem odmowy przedłożyć w Kurii. Jasne było, że wszelkie próby zarówno strony polskiej, jak i sądu, by tok procesu przyspieszyć, dzięki umiejętnemu pieniactwu Zygfryda odnosiły odwrotny skutek. Co więcej, złożony apelację, wyjechał, nie dopuszczając tym samym do kontestacji sporu i uchylając się od ustalenia pytań dla świadków, by móc jednostronnie proces zarzucić.

Składającemu sprawozdanie ze swych poczynań Zygfrydowi dostojnicy nie szczędzili słów uznania, niektórzy śmiali się nawet, gdy Zygfryd zgryźliwie podrwiwał ze swych procesowych przeciwników.

Tylko landmistrz nie brał udziału w chórze pochwał dla kapelana, a gdy ten skończył, odezwał się:

- Jeno, jako rzekłem, świadkom gęby nie zamkniecie. Tedy jedyna korzyść z przewlekania procesu, że póki Łokieć pergaminem wojuje, do miecza nie sięgnie. Aleć i tak mu nie pora, gdy z Karolem Robertem ma zadrę. A gdyby ich nawet pojednał Ojciec Święty, dogodniej Łokciowi ninie odebrać, co z Wielkiej Polski utracił na rzecz Nowej Marchii, gdy zamęt tam po śmierci Waldemara i bezrząd. Nie pora mu walkę wszczynać o Pomorze.

- Niechby spróbował! - rzucił ktoś popędliwie, umilkł jednak zgromiony spojrzeniem landmistrza, który odparł:

- I nam sięgać do miecza nie pora. A na zarzuty najdzie się czym odpowiedzieć, jeno dowody zebrać trzeba, które by wielki mistrz w Kurii mógł przedstawić.

- Kazałem też pojmanego w zbójeckim gródku jeńca waszej dostojności odstawić -

odparł Sparenberg. - Jeno zda mi się ważniejsze, niżli wzajem na łotrostwa się żalić, kres im położyć.

- Ważne jedno i drugie - odparł landmistrz. - Ale o tym na Kapitulie radzić będziemy.

Nie jeno nam rozboje szkodę przynoszą, ale i Warcisławowi szczecińskiemu, i kamińskiemu biskupowi. Z nimi porozumieć się trzeba, jak zniszczyć owo zbójeckie gniazdo w Nakle.

Onego zasię jeńca wybadać, kto zacz i co samowtór robił w gródku.

Hagen, który z niepokojem słuchał, gdy o jeńcu była mowa, teraz odezwał się:

- Ciężko w głowę cięty i wykrwawiony, ale może i wydobrzeje. Jeno nie wiem, zali mowy nie utracił, bo dotąd nie odezwał się ni słowem.

- Jeśli nie od niego, to o nim się wywiemy - odparł landmistrz, a wielki szatny, Eberhard von Dohna, dodał:

- Nałęczkę ma na szczycie, który wraz ze zbroją mi oddano. Nałęczce ród znaczny w Wielkiej Polsce i z grafami von Ost spowinowacony. Po zbroi zasię miarkując, niezwykłego wzrostu być musi, jakiego nie co dzień spotkać. Tedy wywiedzieć się łatwo będzie, kto zacz.

Usłyszawszy to Hagen zadrżał. Rycerz, który mu życie ocalił, też miał Nałęczkę na tarczy. Tych dwóch ludzi łączyło coś więcej niż podobieństwo. Za wszelką cenę musi sprawę wybadać, choć nie dla tych celów, jakie landmistrz miał na oku.

Przeświadczenie, iż znowu złączą się cierpienia, gnębiło Krzycha, gdy odzyskawszy zmysły pod dziwnie troskliwą opieką szpitalnika, czuł, jak siły złączają mu wracać. Toteż do zabiegów Hageny odnosił się z niechęcią i z nieufnością zarazem. Nacierpiał się dość, by umrzeć, a nie łudził się, by wracające życie przynieść mu mogło odmianę. Pamiętał

zapowiedź toruńskiego komtura i pobyt w lochu Volrada, nie tylko cierpienia ciała, do których nawykł tak, że aż dziwne mu się zdało, iż nic go nie boli. Przytłaczała go pewność, że cokolwiek by począł, na złe wyjść musi, nie tylko jemu, ale każdemu, kogo z nim zwiąże los.

Roznosi nieszczęście jak zarazę. Nawet biedny pacholek Unik, który, nie mając nikogo bliskiego, chciał podzielić dolę przeklętego przez Kościół wywołańca, życiem to zapłacił.

Krzych nie wiedział wprawdzie, co się z pacholkiem stało, bo opadnięty w swym gródku zniecka przez gromadę wrogów nie miał możliwości za nim się; obejrzeć, a potem cios w głowę na długo odebrał mu zmysły. Ale jeśli nawet Unik nie zginął w walce, nie był

Krzyżakom potrzebny ani dla okupu, ani dla jakichś innych celów, dla których widać oszczędzono jego i starano się go przy życiu utrzymać. Choć zaciął się w milczeniu, do którego nawykł w samotnej młodości, a potem długi czas ukrywając się przed sprawiedliwością, nieraz paliło mu wargi pytanie o los pacholka. Ale nie wierzył, by mógł

otrzymać odpowiedź, a przewidywał, że gdy raz przełamie milczenie, jego pytać zaczną. O

tym zaś mimo wszystko myślał z trwogą.

Niepokój jego wzrastał w miarę, jak przybywało mu sił. To, że go jeszcze trzymają w infirmerii i obchodzą się z nim jak z obłożnikiem, uważał za podstęp, bo tego był pewny, że nie z miłosierdzia. Dziwiło go jednak, że Hagen na zagojoną już ranę nakłada opatrunek, a jeszcze bardziej, że przenieść go kazał z ogólnej sali do przyległej małej komory, przeznaczonej widocznie dla dostojniejszych chorych, bo łoże było miękkie, izba jasna, wyżywienie lepsze, a okno wychodziło na Nogat. Całymi dniami jeniec siadywał przy nim, wpatrzony w siną odbiciem jesiennego już nieba płaszczyznę rzeki. O tym, by odzyskać wolność, nawet nie marzył, natomiast niepewność losu stawała się nieznośna. Wolałby już najgorszą pewność.

Jedyną ulgą była samotność. Dwa razy w dniu zjawiał się stary brat służebny z żywnością, sprzątał izbę i znikał, jak przyszedł, bez słowa, tak że jeniec, zamyślony, nieraz nie zauważył jego obecności. Hagen przychodził rzadko, posiedział chwilę, jakby na coś czekając, i odchodził. Wszystko to było niezrozumiałe i Krzych czuł się jak osaczone zwierzę, które wietrzy zewsząd niebezpieczeństwo, choć nie wie, kiedy i skąd padnie śmiertelny pocisk. Stał się czujny, nawet przez sen, który rzadko go zresztą nawiedzał.

Jednej nocy leżał w ciemności z szeroko otwartymi oczyma, gdy posłyszał szmer skradających się kroków. Zerwał się i patrzył w rozwierające się drzwi; stanął w nich Hagen z łojowym kagankiem w rękę, postawił go na stole i usiadł. Niezwykły był też wyraz jego twarzy, gdy przez chwilę w milczeniu wpatrywał się w jeńca. Niespodzianie zagadnął:

- Kundzia to małżonka wasza?

Zaskoczony drgnął tak wyraźnie, że Hagen nie mógł mieć wątpliwości, iż jeniec rozumie niemiecką mowę. Darmo jednak przez długą chwilę czekał na odpowiedź. Wreszcie dorzucił:

- A wyście rycerz Krzych Nałęcz.

Teraz nie potrzebował odpowiedzi, bo wyczytać ją mógł z twarzy jeńca. Wyrażała zaskoczenie, ale zaraz skrzepła zaciętą nieufnością. Hagen podjął z goryczą:

- Cóż mam uczynić, by was przekonać, że dobro wasze mam na względzie, samego siebie narażając? Landmistrz pytał już o was. Ninie wyjechał, ale gdy wróci, wydać się musi, że go zwodził. Sami wiecie, że dawno Volradowi winienem was odesłać. Tam was inaczej pytać będą. A jakby cudem sposobność się nadarzyła, by was ocalić.

Z jasnych oczu Krzycha nie zniknął wyraz nieufności. Hagenowi ręce opadły.

Wszystko, co uczynił, własny los stawiając, jeniec za podstęp uważa, dla wyłudzenia tego, czego nie zdołano wymusić poniewierką. Niespodzianie Krzych spytał cicho:

- Mnie ocalić? Dlaczego?

Pytanie zarazem uradowało i zmieszało Hageną. Jak może jeniec uwierzyć, że odpłacić mu chce za dobrodziejstwo innego człowieka, dlatego tylko, że są do siebie podobni.

W murze nieufności, jakim jeniec odgradził się, powstała jednak rysa, może przełomie go zupełną otwartością. Zaczął mówić:

- Pytacie dlaczego. Samego siebie trudno zrozumieć, ale powiem. Rodzic obumarł

mnie pacholęciem. Od najmłodszych lat jeno krzywdy i poniewierki. Krzywdził mnie własny brat. Gdym doszedł do sprawności, upomniałem się. Jeszcze drwił ze mnie. Ubiłem go.

Przerwał i zadumał się. Po chwili podjął:

- Uchodzić trzeba było. Jeśli się ku mnie wyciągnęła jaka ręka, to jeno by mi pętlę założyć na szyję. A było mi piętnaście godów. Wy sami znacie żywot ściganego zwierza.

- Skąd wiecie? - wyrwało się Krzychowi, ale Hagen ciągnął:

- Spotkałem takiego jak ja sam. Przebierał się tu i od wiedziałem się, iż w Zakonie można żyć, nie dbając ni o świeckie, ni o duchowne sądy, bo Zakon przywileje ma, każdego łotra przyjąć i winy jego odpuścić władny. Był tęgi był i mieczem robić umiał. Może nie uwierzycie, patrząc na cherlaka, jakim dziś jestem, że umiałem zabijać. Nie znałem ni strachu, ni miłosierdzia. Wstąpiłem do Zakonu.

Krzych słuchał, zmieszany. Zaczynał wierzyć szpitalikowi, że ten zamierza go ocalić.

Powiedział cicho:

- Ja wstąpić nie mogę. Małżonkę mam... - To nie przeszkoda odparł Hagen, oddychając z ulgą. - Przywileje wszystkich dotyczą, co z Zakonem pozostają we wspólności.

Świeckim konfratrom zasię te same prawa służą, co braciom, nawet udział w wyborze wielkiego mistrza.

- Nie mogę - cicho powtórzył Krzych.

- Czemuż to? - niemal zakrzyknął Hagen, wyłamując palce. - Nie rozumiecie, że to jedyna droga ocalenia?

- Dlaczego chcecie mnie ocalić? - powtórzył Krzych. - Ja nie chcę żyć.



## 8 przywileje Aleksandra IV i Honoriusza III

Zaległo milczenie. W nocnej ciszy słyhać było tylko skwierczenie łożowego kaganka.

Hagena ogarnęło takie przygnębienie, że nie chciało mu się nawet odejść. Raz w życiu doznał miłosierdzia, ale ni raz nie dane mu za nie odplacić. Trudził i narażał się na darmo. Zaczął niemal błagalnie:

- Posłuchajcie! Macie małżonkę, może i dziecko...

- Dziewuszkę - szepnął Krzych.

- Ja nie miałem nikogo; nikogo - powtórzył - ni rodziny, ni druha. Mówiłem wam, że nie znałem strachu. Poznałem strach. Ćwierć wieku minęło, a jeszcze nieraz się przyśni, że leżę pod koniem z połamanymi kośćmi. Towarzysze uszli, dokoła w gęstwinie roją się litewscy wojownicy. Od wyrostka w oczy patrzyłem śmierci, ale nie takiej. Jak bydlę płonąć na ofiarę pogańskim bałwanom! Jeno że dla bydlęcia jest jeszcze miłosierdzie. Zabija się je przódzi. Ale żywcem! Budzę się spotniały ze strachu. A wy sądzicie, że lżejsza śmierć was czeka za świętokradztwo?!

Mimo niepewnego światła Hagen ujrzał, jak fala krwi uderzyła jeńcowi do twarzy.

Potem zbladł i drżącymi wargami znów wyszeptał:

- Skąd wiecie?

- Skąd wiem? Przyjechał tu od Wańki płocki biskup Florian Leszczyc i wraz z posłami Konrada, kamińskiego biskupa i księżęcia Warcisława szczecińskiego na landmistrza czekają. I im, i Zakonowi dojadły już pograniczne rozboje i układ zawrzeć chcą o zniszczenie zbójceckich, gniazd, a zwłaszcza Nakła. Landmistrz nie wątpi, że to z poręki krakowskiego króla grasują zbóje. Was w takowym gródku pojmano, z którego nieraz już wychodziły napaści, i wydobyć chcą od was przyznanie, że Łokieć to nakazał, by Zakon spokojnie posiadać nie mógł Pomorza. Aliści Florian prosił o uwiadomienie biskupów kamińskiego, warmińskiego i sambijskiego, aby klątwę głosić kazali w swych kościołach na rycerza Krzycha Nałęczka za świętokradzkie najście na klasztor, porwanie mniszki i zabójstwo kościelnych ludzi, a samego wywołańca chwycić i krakowskiemu biskupowi wydać.

Gdy jeniec milczał, opuściwszy oczy, Hagen ciągnął:

- Ja wiem, że to wy, a domyślą się i inni. Wielki szatny już na zebraniu mówił, że Nałęczka jest na szczycie, który wam zabrano, i wywiedzieć się o was kazał...

- Co mi czynić by półbratem ostać? - przerwał Krzych. Hagen chwycił go za rękę.

- Przecież was przekonał, byście sami nad sobą mieli zmiłowanie!

W głosie brzmiała ulga, gdy podjął w podnieceniu:

- Kapelana do was przyślę. Grzechy swe wypowiadać winniście i gotowość oświadczyć walki z poganami, która i wszelkie winy gładzi. On prośbę waszą landmistrzowi przedstawi, by sposobność wam była dana. Jeśli się zgodzi przyjąć na konfratra, zakonnemu jeno sądowi podlegacie i zakonnym jeno przełożonym dłużniście posłuszeństwo. O winy w Polsce popełnione nikt was ściagał nie będzie.

- Wždy zakonnych ludzi narznąłem, nim mnie pojmano.

- Kapelanowi wyjaśnicie, że was z nagła napadli i nijak się było sprawiać, żeście jeno przez przypadek w zbójckim gródku się naszli, przed prawem uchodząc do Zakonu.

- Słyszałem, że Zakon odpłaty pobiera od wywołańców, których pod ochronę bierze, a ja nie mani nic - napomknął Krzych niepewnie.

- W zwyczajnym czasie i od obcych - odparł Hagen. - Ale wy mowę naszą znacie, tedy i przy spowiedzi tłumacza m nie trzeba. Jako słyszałem, spokrewnieni jesteście z grafami von Ost, którzy dobrodziejami są Zakonu. Ninie landmistrz trudności czynić nie będzie.

Wielką wyprawę zarządził na Żmudź, jeno bagna staną. Marszałek von Plotzke ściąga już ludzi ku granicy. Srogi to człek, ale wojownik zawołany, łącno się pod nim męstwem odznaczyć, a nie brak go wam, ze wszystkiego, co o was wiemy, miarkując.

Przedwcześnie zwiędła, zniszczona twarz szpitalnika promieniowała radością. Oburącz ująwszy dłoń Krzycha, zakończył:

- A my druhami ostaniem. Prawda?

Miast odpowiedzieć, Krzych, nie podnosząc oczu, zapytał:

- Nie rzekliście mi, dlaczego usiłujecie mnie ocalić.

- Dziwny z was człek i nieufny - odparł szpitalnik, puszcżając jego dłoń. - Zali nie zajedno, dlaczego? Ale rzekę. Mówiłem, jak poznałem strach. Ale wonzas poznałem też miłosierdzie. Półbrat jeden wydobył mnie spod ubitego konia i własne życie stawiając - moje ocalił. Nie znał mnie, nic mi nie był dłużny, nijakiej odwdzięki nie żądał. Nie ujrzałem go nigdy więcej i jak wyrzut sumienia gryzło mnie, że jedyne dobrodziejstwo, jakiegom w życiu zaznał, pozostawić muszę bez odpłaty.

Krzych patrzył pytająco, nie wiedząc, do czego Hagen zmierza, a ten ciągnął:

- Może zrozumiecie: gdym was pierwszy raz ujrzał, tknęło mnie coś. Twarzy tamtego nie pomnę, pamiętam jeno, że wielki był jak wy. Ale gdyście na mnie spojrzeli, zdało mi się, że to on patrzy na mnie, choć dawno nie żywię pewnikiem. Niechaj przekłeta będzie ręka, która ubiła najlepszego człeka, jakiegom spotkał w swym żywocie. Pod Grabiami polec musiał, dowodząc wyprawą przeciw temuż zbójckiemu gniazdu, w którym was pojmano.

Wam dług uiścić postanowiłem, którym u niego zaciągnął.

Hagen ze zdziwieniem patrzył na wrażenie, jakie opowieść jego wywarła na Krzychu, który ochryplym głosem zapytał:

- Mnie? Dlaczego?

- Może dlatego, żeście podobni. Ale nie tylko to. Godło miał to samo, co wy. Może krewniak? Mścigniew mu było.

- Nie znałem go - odparł Krzych z wysiłkiem, nie podnosząc oczu.

- Zajedno. Ale ulżyło mi. Bądźcie i wy dobrej myśli i śpijcie spokojnie. Rano kapelana wam przyślę.

Gdy odszedł, Krzych usiadł na łożu i zapatrzył się w ciemność. Jeśli ocali życie, to jeno jak zwierz, który zerwie sieć, ale wlecze ją za sobą. Nie miał jednak wyboru, nawet własną ręką nie wolno mu ukończyć obmierzłego żywota, bo wojewodzie Jaškowi przyrzekł, że będzie żył, by ofiara Hanny nie poszła na marne. A wszystko lepsze, niż by Kundzia świadkiem była śmieci małżonka z ręki kata. Niechaj ona i wszyscy, z którymi związał go los.

mniemają, że zginął w walce z wrogiem. Gdy jednak pójdzie w jego służbę, nigdy już nie będzie mógł wrócić między swoich, nawet gdyby stał się cud i król mu wybaczył. Dla nich pozostanie zdrajcą, a przedsmak goryczy tego imienia dał mu odczuć Pizło. Stare życie skończyło się nieodwołalnie i bez reszty.

Gdy jednak pomyślał o dalszym życiu, które miał rozpocząć, uświadomił sobie, że z dawnego pozostało to, co w nim było przyczyną wszelkiego zła: wlokące się za nim tajemnice. Już teraz zataić musiał przed Hagenem, że sam jest zabójcą człowieka, za którego przyjął odwdziękę, zatając będzie musiał, że to on wytracił krzyżacki hufiec pod Grabiami i utopił poselstwo w Płocku. Jedyna nadzieja, że uda mu się zginąć w walce z pogańską Litwą.

Przez chwilę myśl tym przyniosła mu ulgę, ale i ta nie trwała długo.

- Kundzia czeka - szepnął. Z sieci, która go oplatała, nie było żadnego wyjścia.

Z wolna dźwigał się jednak Krzych z dna przygnębienia. Ruch i powietrze, od których odwykł, odurzały go, ustawiczne ćwiczenia, zrazu znoszone z trudem, nie pozostawiały czasu na rozpamiętywanie. Wieczorami walił się na swe twarde legowisko we wspólnej sypialni i po raz pierwszy od dawna sypiał kamieniem. Siły wracały szybko, konne ćwiczenia i ujeżdżanie zaczynały mu dawać zadowolenie, bo zawsze lubił konie i umiał się z nimi obchodzić. Marszałek stajenny zauważył to zaraz i zlecił mu nadzór nad ujeżdżaniem koni i zaprawę nowicjuszy. Życie samo zaczynało wciągać Krzycha w swój bieg, choć postanowił

nie zbliżać się do nikogo. Nawet od Hageną uporczywie stronił, wobec powierzonych sobie młodzików odpychający i kolczasty - mimo woli jednak pod białym płaszczem zaczynał

dostrzegać ludzi. Łatwo było pomiarkować, iż żelazna karność, bezwzględne przestrzeganie

przepisów, czyniące z Zakonu machinę wojenną, a z człowieka jej cząstkę, kończyły się tam, gdzie sprawy nie dotyczyły wojny. Rzekomo w komturiach, zwłaszcza wschodnich, przestrzegano jeszcze reguły z dawną surowością, ale Krzych rychło przestał w to wierzyć.

Folwarki zakonne, obrabiane przez niewolnych chłopów, wypełniały spichrze i lamusy obfitością wszelkich płodów. Od niemieckich osadników, a także z rycerskich dóbr, prócz czynszów pieniężnych, płynęły świadczenia w drobiu, bydło i dziczyźnie, wyłączność rybołówstwa dostarczała w nadmiarze ryb, handel - zamorskich syropów, korzeni i win.

Krzych wiedział, że nie przejadają tego goście, a tym bardziej ubodzy. Wyjeżdżając kilkakroć po konie, widział, że nawet pracującym niewolnym chłopom wydziela się żywność skąpo jak obrok bydła i świadkiem bywał srogich kar, jakie spadały na tych, którzy byt swój usiłovali poprawić. Widok ten budził w nim starą nienawiść, ale hamowała ją świadomość bezradności i bezsily. Nic od niego nie zależy. Z utęsknieniem wyczekiwał na wyprawę, która oderwie go od życia, do jakiego nie chciał i nie umiał nawyknąć, a tymczasem ulgi szukał w samotności, o którą jednak łatwo nie było. Nawet zamkowa kaplica nie dawała jej, ale znajdował w niej spokój. Niewielu braci gromadziło się na kanoniczne modły, odmawiane jednostajnym półgłosem. Ten szmer wraz z cieniem i chłodem, panującym wśród strzelistych kolumn, przypominał Krzychowi szum lasu. Po niesporze, gdy bracia wyszli, a nie czekały go obowiązki, pozostać mógł sam i wtedy dawał folgę myślom, które traciły wówczas swą gryzącą gorycz. Choć świadomie zdeptać chciał każdą iskierki; nadziei, jaka w nim zatliła, chwycił się na tym, że marzyć zaczyna o przyszłości. Litwa była wspólnym wrogiem Polski i Zakonu, walczył przeciw niej pod wodzą Łokietka, i się, zyskał rycerski pas. Klątwę z niego w Zakonie już zdjęto, prócz modłów i postów zadając mu jako pokutę walkę z poganami.

Niczego innego nie chciał. Pamięć o małżonce, czekającej na niego, narzucała mu jednak myśl o powrocie do kraju. Słyszał, że Zakon próbować będzie sprawę pomorską poddać i rozjemstwu. Gdyby się Łokietek ugodził, będzie musiał wybaczyć polskiemu rycerstwu, które walczyło w szeregach Zakonu. Może wybaczy i jemu, walki z Litwą za złe brać mu nie może.

Chciwie też nadstawiał uszu, gdy mówiono o tych sprawach. Nie zanosilo się jednak na ugodę. Ale przynajmniej uspokajał się, że podczas trwania procesu nie będzie wojny między Polską a Zakonem, a wszczęty proces przeciągnie się długo. Wprawdzie późną jesienią przyszła wiadomość, że na rozprawie w dniu świętych Jana i Remigiusza arcybiskup Janisław zamknął postępowanie dowodowe i wyznaczył już zrok na ogłoszenie wyroku w Inowrocławiu, ale krzyżaccy prokuratorzy zapewniali, że od tego daleko jeszcze do zakończenia sprawy. Wielki mistrz bawił już w Awinionie, zdołał zjednać dla sprawy wpływowych dostojników Kurii, i - jak w procesie z ryskim biskupem o Dynaburg - Zakon sprawę przewlekać potrafi latami.

Krzycha, który ongiś sam był uczestnikiem walk przeciw Zakonowi o Pomorze, mierziło to krzyżackie kręactwo, niemniej ono właśnie tymczasem usuwało obawę, że teraz będzie zmuszony walczyć po przeciwnej stronie. Wstrząs, jakiego doznał, uświadomiwszy sobie, że zabił własnego ojca, przygasł w ogólnym przygnębieniu. Rodzic musiał mu wybaczyć, skoro prosił, by tarczę ze znakiem Nałęczki zatrzymał dla jego pamięci. Minęło też wzburzenie przeciw królowi o to, że zło rozpętał, dopuściwszy, by krzywda Mścigniewa pozostała bez odpłaty. Krzych miał czas przemyśleć sprawy spokojniej i zrozumiał, że związanymi rękoma trudno udziżyć miecz sprawiedliwości. Kto i co zyskał, gdy Krzych W

porywczosci swej po raz drugi zawiódł króla? Zaprzepaścił własne zasługi, skrzywdził własną żonę i dziecko, stracił dobre imię, a nawet sławę, przychylność życzliwych ludzi, samego siebie zaś wpędził w położenie bez wyjścia. Teraz zaprzedać się musiał znieawidzonym mnichom i - w razie wojny - walczyć w ich złej sprawie przeciw swojakom. Znając zaciętość Łokietka, nie był spokojny, czy uzyskawszy wyrok przeciw Zakonowi, będzie cierpliwie czekał na jego wykonanie. A zdobywca Pomorza marszałek von Plotzke nie ustąpi, nawet gdyby ustąpić chciał wielki mistrz, którego wysadzić potrafił z siodła i wysadzić zdoła każdego, kto mu się sprzeciwi. Liczni zwolennicy sławili głośno marszałka, jako twórcę potęgi Zakonu, przeciwnicy szeptali, że jest jego złym duchem. Od podwładnych von Plotzke wymagał tylko męstwa i posłuszeństwa. W pruskiej gałęzi Zakonu niewielu też miał

przeciwników, przeważnie wśród nie mających wpływu i znaczenia starszych braci, którzy swą przyganę dla panoszącego się rozpasania wyrażali jeno osobistym przestrzeganiem dawnych surowych przepisów. Wśród młodzi zakonnej rzadko się trafił taki, którego do Zakonu przywiódł zapał do walki za wiarę i surowy urok zakonnych wyrzeczeń, ale i takiemu wkrótce udzielało się coraz powszedniejsze rozluźnienie obyczajów.

Krzych, obcując przeważnie z młodzieżą, widział, jak szybko następuje ta przemiana, ale patrzył na to obojętnie. Nie umiał włączyć się w życie środowiska, i nie chciał. Objawy podziwu, jakie wśród młodzików budziły jego siła i sprawność, zbywał kamienną obojętnością, wszelkie próby zbliżenia - opryskliwością. Troszczył się o konie, ludzie byli mu obojętni. W gromadzie powierzonych mu nowicjuszy zwrócił jednak jego uwagę piętnastoletni wyrostek, wybijający się postęпами we władaniu koniem. Wśród szorstkich i rozpasanych towarzyszy wyróżniał się też ujmującym, skromnym obejściem i spokojną godnością, z jaką znosił złośliwe docinki, które tylko dlatego nie zmieniły się w prześladowa

- ni, e choć smukły, rosły był i silny.

Krzych pomiarkował wkrótce, dlaczego chłopak nie zyskuje względów towarzyszy.

Podczas posiłków nie pił wina, nie podnosił głosu, nie wymykał się na noc z dormitorium i nie opuszczał przepisanych modłów. Często nawet po ich ukończeniu pozostawał w kaplicy i Krzych ze zdziwieniem spostrzegł, że obecność młodzieniaszka mu nie wadzi. Patrzył na jego jasną twarz okoloną złotym włosem, z błękitnymi, rozmarzonymi oczyma, jak na obraz.

Wiedział, że ten nie wstąpił do Zakonu jak wielu innych, by ująć przed prawem czy też - jak młodzi synowie możnych rodów oddawani w mnichy - by nie dzielić dziedzictwa. Zwał się Hans von Nendorf, był jedynakiem możnego rycerza z Nowej Marchii, białego płaszcza nie potrzebował dla zapewnienia sobie dostatniego bytu. Krzych starannie jednak wystrzegał się czynienia różnicy w odnoszeniu do powierzonych sobie nowicjuszów. Hans natomiast nieśmiało, ale wyraźnie usiłował się zbliżyć do niego, czy to przez drobne usługi, czy też szukając jego towarzystwa. Ilekroć Krzych po modłach zostawał w kaplicy, pewny był, że zostanie i Nendorf. Postanowił przeciąć próby zbliżenia. Już teraz czuł, że niełatwo mu to przyjdzie, potem może być jeszcze trudniej. Hans jest Krzyżakiem, prędzej czy później upodobni się do innych.

Patrzył na chłopca, jakby go nie widział, nie dostrzegał jego przysług, nigdy nie oddał

mu uśmiechu, nawet w czasie ćwiczeń przestał odzywać się do niego.

Hans wyraźnie posmutniał, w obejściu z Krzychem stał nie powściągliwy i nieśmiały, ale nadal po modłach pozostawał w kaplicy, ilekroć pozostał tam Krzych. Ale teraz nie modlił

się. Jego wyrazista twarz zdradzała napięcie, jakby zmagał się z czymś.

Przeciągająca się sprawa zaczynała drażnić Krzycha. Czuł, że słabnie w swym postanowieniu. Czekał jeno sposobności, by z tym skończyć.

Nadarzyła się jednego dnia po niesporze, po którym - jak zwykle - obydwaj pozostali w kaplicy. Gdy po dłuższej chwili Krzych wyszedł pierwszy, posłyszał za sobą szybkie kroki.

Odwrócił się i stanęli, patrząc na siebie wzajem. Krzych zagadnął oschle:

- Czego chcesz?

Hans, stropiony, opuścił oczy i drżącym głosem zapytał:

- Zali wam w czym zawiniłem?

- Gdybyś zawinił, tobym cię ukarał - odparł Krzych i odwrócił się, by odejść. Hans uchwycił go za rękę.

- Nie odpychajcie! - odezwał się błagalnie. - Wždy reguła każe braciom współżyć dobrotliwie, w duchu łagodności i życzliwości.

Krzych parsknął nieszczerym śmiechem.

- Reguła! Czy to tylko nakazuje? Żyjże sobie w duchu życzliwości z innymi. Jam jeno półbratem i nic mi do tego, ale nie widzę, by bracia żyli wedle reguły.

Z nieoczekiwaną śmiałością Hans odparł:

- Ja żywię wedle niej. I wy też, ale prawda, że takich niewielu. Czyż choć między takimi braterska życzliwość panować nie może? Wždy to najłatwiejsze z przykazań.

Gdy Krzych milczał, zmagając się z sobą, Hans dodał, opuszczając oczy, by ukryć napływające łzy:

- Myślałem, że prawda, iż dobre i radosne jest bytowanie braci w zgodzie. A towarzysze jeno drwią ze mnie. Nie mam druha, a ciężko mi w samotności.

Krzych wiedział, że jeśli teraz przygarnie chłopca, zwiążą się na zawsze, a żadnemu z nich na dobre to nie wyjdzie. Nie przyszedł tu z dobrej woli, nie pozostanie dłużej, niż mus trzymać go będzie. Żał mu było Hansa, ale tym bardziej nie wolno mu wciągać zapalnego i łatwowiernego młodzika we własny niepewny los. Musiałby mu wyjawic własną przeszłość albo nieszczerością odpłacić jego wylanie. Opanował się i powiedział zimno:

- Do samotności nawykniesz, jako ja nawykłem. Albo się żyć jak drudzy. Wtedy najdziesz do woli towarzyszy.

Odwrócił się, by odejść. Hans nie poszedł już za nim.

Rozmokłą ziemię ścinać zaczynały przymrozki, przygodo do wyprawy miały się ku końcowi. Lekka jazda pruska i piesze wojska odeszły już do Ragnety i Krzych niecierpliwie oczekiwał dnia wymarszu pozostałych wojsk zakonnych wraz z pocztami wciąż jeszcze napływających do Malborka gości i lenników. Męczyły go wyprawiane ku ich czci tłumne i gwarne uczy, ale bardziej jeszcze drażnił go widok Hansa; daremnie usiłował

pozbyć się myśli o nim, narzucał się jej nagłą zmianą zachowania. Krzych nie widywał go już w kaplicy, zauważył, że przy posiłkach pija wino. Podejrzliwie przyglądał się jego zbliżeniu z możliwym grafem von SchwarzburgBlankenburg. Graf zjechał do Malborka ze znacznym pocztem, by wziąć udział w wyprawie, i wyróżniano go jako krewniaka dostojników Zakonu, spowinowaconego z landgrafem Turynгии i margrafami Miśni. Rosły i urodziwy, odbijał od szorstkiego rycerstwa gładkością i swobodą obejścia. Mimo że w pełni lat męskich, żył w bezżeństwie i spodziewano się, że zechce pozostać w Zakonie.

Krzych od pierwszego wejrzenia powziął do grafa odrazę, mimo że bezpośrednio nie zetknął się z nim jeszcze, bo po skończonym posiłku, gdy landmistrz dawał znak powstania, wychodził z refektarza. Zauważył jednak, że Schwarzburg szuka towarzystwa młodzieży i baraszkuje z nią przy kubkach. W jakiś sposób kojarzyło się to z nagłą zmianą, jaką zauważył

u Hansa, i zaczynało się w Krzychu budzić jakby poczucie odpowiedzialności za niego. Mimo iż mówił sobie, że to nie jego sprawa, niepokoił go niezdrowy śmiech podchmielonego Hansa, gdy graf, wmieszawszy się między młodzików, coś im widocznie wesołego opowiadał. Raz Krzych nie wyszedł jak zazwyczaj, gdy wstawano od stołów. Z pewnym zdziwieniem spostrzegł, że Schwarzburg kieruje się w jego stronę. Przystąpiwszy, zagadnął:

- Zda mi się, żeśmy się już gdzieś spotkali? Krzych zmieszał się, ale odparł sztywno:

- Zda wam się, bom ja tu niedawno.

- Tedy możemy się poznać, gdy społem przeciw poganom skoro ciągnąć nam przyjdzie.

Nalał wina w dwa kubki, trącił je i wyciągnął rękę do Krzycha, ten jednak powiedział

odpychająco:

- Dzięki. Nie pijam wina.

Graf udał, że go to nie obeszło, uśmiechnął się tylko.

- I ja nie pijam z byle kim. Niewielki to grzech, walka z poganami nie takie głodzi. Na niejedno pozwolić sobie można na poczet zupełnego odpustu.

Z wyraźnym lekceważeniem odwrócił się od Krzycha i zwracając się do zgromadzonych dokoła młodzików, powiedział z uśmiechem:

- Nie gorszymy maluczkich. Który z was ze mną zgrzeszy?

- Ja! - powiedział Hans, patrząc wyzywająco na Krzycha. Trącił się z grafem i wypili.

Graf roześmiał się i przygarniając Hansa pocałował go w usta, po czym zwracając się do rozbawionych młodzików, zawołał:

- In vino veritas! Kto się z większego grzechu wydać nie lęka, po kolei zdrowie Hansa von Nendorf.

Otoczyli chłopca, przypijając do niego ze śmiechem, a Krzych patrzył na to ze zmarszczonym czołem.

Tego wieczora łoże Hansa w dormitorium pozostało puste i Krzych długo nie mógł

usnąć. Prześladowało go wspomnienie celi sodomitów. Jeśli tam zgaśnie promienna młodość Hansa, on sobie będzie mógł winę przypisać. Zarazem burzył się przeciw temu poczuciu.

Hans mu ni brat, ni swat, nic mu do zgnilizny w Zakonie. Nie przyszedł tu, by go naprawiać, a jeśli ma się w nim utrzymać, nie wolno mu mieszać się w drażliwą sprawę. Graf von Schwarzburg jest pożądanym gościem Zakonu, na jego sprawki patrzeć będą przez palce.

Narażając mu się, dość już nierozsądnie postąpił. A Hans? Nauczy się żyć jak inni. Krzych uspokoił się: nic mi do tego.

Na porannych modłach nie spotkał Nendorfa. Ujrzał go dopiero na błoni nad Nogatem, gdzie landmistrz zapowiedział przed wyruszeniem przegląd młodzi zakonnej i nowicjuszy. Na przyprószonym pierwszym śniegiem rozległym łęgu stali w długim szeregu, a Krzych obchodził ich po kolei, opatrując ryszunek i konie. Gdy doszedł do Hansa, podejrzenie zmieniło się niemal w pewność. Twarz miał przywiedłą i przybladłą, oczy zaczerwienione; gdy Krzych zatrzymał się koło niego i obejrzał go w milczeniu, nie podniósł

powiek. Dokończywszy przeglądu, Krzych dosiadł konia i wyjechał przed szereg, krzyknął:

- Acht! Ufsitzen!9

Chrzęst rzemieni przeleciał przez szereg i jeźdźcy sprawnie znaleźli się w siodłach, ale w szeregu była luka. Hans po trzykroć daremnie usiłował wspiąć się na konia. Gdy znalazł się wreszcie w siodle, Krzych podjechał i przez chwilę patrzył na niego. Hans odpowiedział

spojrzeniem, które miało być zuchwałe i wyzywające, ale oczy zasły mu łzami. Krzych niespodzianie trącił go wierzchem dłoni w pierś, a chłopak przeleciał przez łęk i legł na ziemi.

Zerwał się zaraz. Na twarzy jego widniała wściekłość, rozpacz i wstyd. Zdać się mogło, że rzuci się na Krzycha, ale ten zimno, jakby się namyślając, powiedział:



- Konia odprowadź do stajni, a sam zgłosisz w infirmerii, żeś chory. Albo hauskomturowi, żeś pijany przyszedł na przegląd.

Wiedział, że teraz odepchnął Hansa na zawsze, Hauskomtur skarże go na chłosty i wykluczy z wyprawy. W infirmerii żądają spowiedzi, za pokutę co najmniej pozbawią go prawa noszenia krzyża. Zhańbiony będzie na zawsze. Ale skończy się sprawa ze Schwarzburgiem i próby zbliżenia do Krzycha. Odwrócił się i dał rozkaz: - Trab! Marsch!

Pokłusował na czele szeregu, ale kątem oka widział, jak Hans z opuszczoną głową prowadzi konia w kierunku stajen. Przed wyruszeniem nie ujrzał go więcej, a tylko przelotnie w czasie drogi do Ragnety. Krzyż miał na płaszczu, ale twarz postarzała o ponurym wyrazie.

Skończona sprawa.

Ciągnęli szybko bitą drogą przez Elbląg i Królewiec, gdzie dołączyły się oddziały z tamtejszych komturii, i w połowie grudnia ujrzeli na krańcu rozległej białej płaszczyzny czerniejące w dali, spowite dymami obozujących pod nią wojsk mury zamku w Ragnecie. I tu dbano widocznie, by wojska zakonne nie mieszały się z obcymi. Poczty braci rycerskich i służebnych stały obozem pod murami zamku, w dół rzeki rozbili namioty półbracia, goście i rycerstwo lenne z zakonnych ziem, wśród których nie brakło i dawnych poddanych Łokietka, pozostałych w ziemi chełmskiej, michałowskiej i na Pomorzu. Obecność ich Krzyż odczuł

jak ulgę. Oni z własnej woli, by utrzymać się przy swych dobrach, poszli w służbę Zakonu, on był do niej przymuszony. Piechoty miejskie, sołeckie i ochrzczonych Prusów stały odrębnie, a wraz z nimi niewolni pogańscy Prusowie z podwodami i jucznymi końmi pod sprzęt i zapasy. Tym nie wolno się było wydalać poza obóz, nie mieli też namiotów, lecz wraz ze swymi kudłatymi konikami stali pod gołym niebem, mimo że zima zaczynała się srożyć.

Niemnem płynęła już gęsta kra i marszałek z wymarszem czekał widocznie, aż rzeka stanie.

Rycerstwo, korzystając ze swobody ruchów, skracalo sobie czas oczekiwania biesiadowaniem, słuchało przy kielichach opowieści doświadczonych już w walkach z Litwą wojowników o pogańskich sposobach wojennych, trudnościach i niebezpieczeństwach, jakie stawia sama przyroda kraju.

Niejednemu z nowicjuszy przychodziło na myśl, że nietanio przyjdzie kupić odpust zupełny, na ogół jednak duch panował dobry, a Krzyżacy podtrzymywali go umiejętnie.

9 Acht! Ufsitzen (niem.) - Bacność! Wsiadać!

Budziły zapał zwłaszcza opowieści o wyprawie marszałka sprzed sześciu lat w głąb Litwy, w czasie której zdobył i palił Nowogródek, do nogi wyrzynając liczną i silną załogę.

Przemilczano tylko, że spalił też kościół i wyrznął misyjne duchowieństwo, które na Litwie szerzyć miało wiarę prawdziwą. Karol z Trewiru z trudem jeno załagodzić zdołał sprawę w Awinionie, przysięgając, że Zakon nie będzie więcej przeszkadzał szerzeniu wśród pogan chrześcijaństwa. Winę

tego, co się stało, przypisywał własnej słabości i zobowiązał się złożyć godność, by jego następcą silniejszą ręką powściągnął rozpasanie i nadużycia.

Choć von Plotzke nie zwykł się liczyć z nikim i z niczym, nawet z wielkim mistrzem ni jego przysięgami, teraz nie zachodziła obawa powtórzenia bezbożnego czynu. Wyprawa bowiem skierowana była w głąb Żmudzi, która najuporczywiej trzymała się pogaństwa, bo krzyż znała tylko z zakonnych płaszczy. Jeżeli uda się zniszczyć leżące po drodze grody, wyprawa dotrzeć ma aż do Kurlandii, zapewniając połączenie obu gałęzi Zakonu i dając mu wolną rękę na zachodzie i południu.

Toteż von Plotzke wyprawę przygotował starannie, zbierając siły także z komturii graniczących z Polską, pewny, że podczas procesu nic ze strony Łokietka nie grozi. Przeciw pogranicznym rozbójnikom i ich ostoji w Nakle Zakon zabezpieczył się zawartym w lecie układem z Warcisławem szczecińskim i biskupem Konradem kamieńskim. Tym większe znaczenie przywiązywał landmistrz do wyprawy, że w inflanckiej gałęzi Zakonu, która winna wziąć na siebie ciężar walki ze Żmudzią, działo się źle. Inflancki landmistrz, Konrad von York, nie zdołał opanować zamieszek, von Plotzke zamierzał dotrzeć do Kurlandii, by poskromić zbuntowanych. Toteż niczego nie zaniechał, by zapewnić sobie powodzenie.

Kra skuła wreszcie rzekę i w obozie zapanowało podniecenie. Nie udzielało się jednak ono Krzychowi. Z utęsknieniem natomiast oczekiwał chwili, kiedy znajdzie się wśród lasów i bagien, wśród których spędził większość swego życia i lepiej się tam czuł niż w obcojęzycznym gwarze obozowym, wśród ludzi, przeciw którym chętniej by walczył niż przeciw obojętnej mu, pogańskiej Żmudzi. Ale nigdy nie miał wyboru i przestał się opierać losowi. Będzie się bił ze Żmudzią, bo nic nie zależy od jego woli. Tedy chciał już tylko samotności, by nie zwracać na siebie uwagi. Rzucające się widocznie w oczy podobieństwo do zabitego ojca łatwiej jeszcze niż Hagen mogliby zauważyć ci, którzy lepiej znali Mścigniewa. Wielki marszałek zapewne pamięta go z Gdańska. Na dobitkę Krzych nosił

zbroję zabitego i tarczę z jego znakiem, a wyjaśnienie, gdzie i jak je zdobył, zdradziłoby jego przeszłość. Zresztą gdy raz się zaparł pokrewieństwa, nie mógł się już doń przyznać, a zarazem zdało mu się, że zdradza pamięć ojca, którego cień jakby mu towarzyszył. Tajemnica pochodzenia, która tak zaciężyła na życiu Krzycha, wlekła się za nim nadal, tylko że teraz on jej musiał dochowywać, a każdej chwili mogła być zdradzona.

Z niepokojem też stał w pierwszym szeregu hufca półbraci, gdy o szarym świcie ponurego dnia grudniowego wojska gromadziły się do wyruszenia. Głos trąb postawił obóz na nogi, giermkowie i służebni bracia biegali z rozkazami. Niskie, szare niebo prószyło śniegiem, który padał od wieczora, półprzejrzystą zasłoną zakrywając długie szeregi wojsk zgromadzonych na brzegu rzeki, niewidocznej już pod białym całunem. Stały w milczeniu i bezruchu, czekając na wielkiego marszałka i starszyznę. W ciszy słyhać było jeno chrzęst świeżego śniegu pod kopytami przestępujących z nogi na nogę koni i świst wiatru w lesie sterczących włóczy. Potem zadudniły kopyta na zwodzonym moście i ukazał się von Plotzke w towarzystwie Bernera, komtura Ragnety. Jechał wzdłuż szeregu konnych hufców, chwilami zwalniał lub przystawał, odbierając meldunki. Krzych z niepokojem a zarazem z podnieceniem patrzył na zbliżającego się osławionego zdobywcę Pomorza.

Przy jadącym obok potężnym Bernerze, von Plotzke zdał się drobny. Wiek jego trudno było określić. Okolona krótkim, lekko szpakowatym zarostem twarz, sucha i spalona od wiatrów, czerstwa była, ruchy mocne i pewne, świetna postawa jeździecka rzucała się w oczy. Powodował koniem bez wodzy, jakby zrosnięty z nim. Poznać można było wojownika, który nic miał równego w Zakonie, a sława jednała mu zapalonych zwolenników. Ale gdy zbliżył się na tyle, że Krzych ujrzał jego oczy, zrozumiał, dlaczego budzi też nienawiść i przesadną trwogę. Takie oczy musiałyby mieć zły duch, gdyby się przyśnił: przenikliwe, palące, mądre i złe. Gdy spoczęły na Krzychu, poczuł, że krew pulsuje mu w skroniach, ogarnęła go zarazem trwoga i gniew. Wstawała w nim chęć, by rozbić ten łeb i zgasić spojrzenie, którego znieść nie mógł. W zamięcie, jaki ogarnął jego umysł, nie myślał o tym, że stoi przed nim przeniwierzcy morderca niewiast i dzieci, choć pamiętał, ile nieszczęść spowodował; niemożliwe zabić szatana, zjawi się w innej postaci. Zdało mu się, że von Plotzke widzi, co się w nim dzieje, i drwiąco się uśmiecha. Spojrzenie przeniósł z twarzy Krzycha na blachy na jego piersi.

Krzych pewny był, że von Plotzke patrzy na zaklepany przez płatnerza ślad po jego własnym mieczu i poznaje pancerz Mścigniewa. Hamować się musiał, by nie krzyknąć: „to ja go zabiłem!” Ale gdy padło pytanie, na które czekał: „Skąd macie ten pancerz?” odparł

obcym dla siebie głosem, jakby odpowiedział kto inny:

- Otrzymałem od trapiera w Malborku.

Tym razem von Plotzke uśmiechnął się wyraźnie i rzekł:

- Widziałem już ten pancerz, jeno tego - wskazał na uszkodzenie - wonczas nie było.

Dziwne, skąd się wziął u trapiera.

Na szczęście von Plotzke nie spojrział na tarczę, zawieszoną na łąku siodła, i ruszył

dalej. Krzych odetchnął głęboko. Marszałek nieprędko zapyta o to szatnego, a tymczasem trzeba nauczyć się kłamać. Mimo że wiatr był mroźny, poczuł, że pod skórzanym kubrakiem gieżło lepi mu się od potu.

Wydłużony czworobok wojsk jął się łamać i rozwijać w długiego węża, który z wolna pełznął przez zamrzniętą rzekę i zanurzał się w zaniemeńskich borach, a sypiący wciąż śnieg zacierał szybko ślad po nim. Uszczuplona załoga zamku stała na murach, patrząc, póki nie zniknęły ostatnie szeregi piechoty, ubezpieczającej wieziony na saniach sprzęt i zapasy.

Nieprędko ujrzą wracających, choć tylko dwadzieścia pięć mil dzieli Ragnetę od kurlandzkiej granicy. Długo czekać przyjdzie nawet na wieści, które landmistrz natychmiast przekazywać polecił rozstawnymi końmi, widno wielką wagę przywiązując do wyprawy, skoro nawet osobne modły zarządził za jej powodzenie. Ale imię Henryka von Plotzke budziło otuchę. Nie ma w Zakonie męźniejszego i wytrawniejszego wojownika.

Nowicjuszom i gościom, po raz pierwszy biorącym udział w zimowym rejsie, wydłużały się twarze,

posiniałe od północnego wiatru, miotającego śnieżne płaty, które - tając

- mroziły zapał. Zdało się im, że starczy przekroczyć krzyżacką granicę, by w pełni sił i z pełnym brzuchem stoczyć łatwą walkę ze źle uzbrojonymi i okrytymi pogańskimi gromadami. Doświadczeni już wojownicy wiedzieli, że walka to najlżejszy z mozołów, jakie ich czekają. Przymusić do niej można nieuchwytnego przeciwnika jeno przy obleganiu grodów, położonych w głębi kraju. By jednak do nich dotrzeć, przebyć trzeba bezludny pas pograniczny, najeżony zdradliwymi zasadzkami, które zastawia zarówno przyroda kraju, jak i dziki, zawzięty a świadomy niższości swego uzbrojenia wróg. Toteż marszałek wiódł pochód krętymi drogami, w miarę możliwości trzymając się otwartych przestrzeni zamarzniętych bagien, jezior i leśnych strug lub gonnego, niepodszytego boru. Ale nie zawsze dało się uniknąć przedzierania przez gęstwiny, wiatrołomy i wykroty, jakby położone przez przyrodę przesieki i wilcze doły lub oparzeliska pokryte świeżym śniegiem, zdolne pochłonąć bez śladu i ratunku jeźdźca wraz z koniem. Często trzeba było prowadzić i limaki za wodze, a za każdym pniem i wykrotem czyhać mógł wymierzony w pierś pocisk lub na głowę spaść sadzona krzemieniami maczuga.

Pierwszy dzień pochodu przeszedł jednak spokojnie i bez wypadków. Od idącej w przedniej straży lekkiej jazdy pruskich zaprzających ni z bocznych straży piechoty miejskiej i najemnej, przedzierającej się w kopnym śniegu z napiętymi kuszami, ani razu nie doszły odgłosy walki, choć marszałek zdawał sobie sprawę, że pochód nie jest dla nieprzyjaciela tajemnicą. Jeśli nawet zwiady nie doniosły o gromadzeniu wojsk w Ragnecie, obyty z puszcza jak wilk, leśny naród z innych oznak pomiarkować umie nadsłuchiwanie wroga. Mimo że nie stawiał przeszkód, wojska nie przebyły nawet mili, gdy o wczesnym zmroku marszałek zatrzymał pochód i zarządził postój na nocleg w dolince strumienia między dwoma pasmami pagórków porośniętych borem. Gdy w namiocie marszałka starszyzna składała sprawozdania i odbierała rozkazy, wojska posilały się przy rozpalonych ogniskach; suszono namokłe ciżmy, pojono i obrządzano konie. Gwar obozu szybko jednak nacichał, ogniska przygasły i szumiał

jeno wiatr, a i ten odgłos wkrótce ustał. Niebo przestało pruszyć, przetarło się i koło północy zaśniło gwiazdami. Brał mróz, kroki zmieniających się straży skrzypiec zaczynały na śniegu, a ciągnąca od oparzelisk mgła, marznąca, okrywała wszystko białą pleśnią, która zaśniła tysiącem blasków, gdy wzeszło pogodne słońce.

Wojska po nabożeństwie i posiłku rażno ruszały naprzód. W pogodne, mroźne dni pochód bywał prędszy i bezpieczniejszy, jasne księżycowe noce niesposobne były do nagłych napaści, skute mrozem bagna w dorzeczu Jury, Almeny i Szumy pozwalały skracać drogę i trzymać się otwartych przestrzeni. W miarę jednak jak pochód oddalał się od Niemna, kraj stawał się falisty, zarosłe podszytym borem, obłe pagórki kryć mogły zasadzki, zmuszając do trzymania się krętego biegu Jury. Straże coraz częściej donosiły o napotkaniu ludzkich śladów, pas bezludnej dziczy kończył się. Opustoszałe leśne i nadrzeczne osady świadczyły, że nieprzyjaciel, uprzedzony o najeździe, zapewne gotuje opór. Parę razy natknięto się na opuszczone obozowiska, ginąć zaczęli ludzie ze straży, którzy wbrew zakazowi niebacznie oddalili się od swego oddziału, nigdzie jednak dotychczas nie doszło do walki.

Marszałek z wieloletniego doświadczenia wiedział, że niełatwo dopaść wroga, choć czuło się niemal, że skrada się w ślad za wojskiem, jak wilcy za śladem dzików. Oporu spodziewano się dopiero pod tynami silnego grodu w Miednikach. Nie można było poniechać go w dalszym

pochodzie, a obecność licznych, choć licho zbrojnych gromad w czasie oblężenia mogła się stać groźna. Największe niebezpieczeństwo przedstawiałyby utrata zapasów, ongiś rejs na Nowogródek skończył się zupełną niemal klęską, gdy w powrotnej drodze pozbawione zaopatrzenia wojska w krótkim czasie stały się łatwym łupem przeciwnika, gdy sprzymierzył się z nim głód i mróz.

Von Plotzke wiedział, że i teraz Żmudź uczyni wszystko, by jego wojska pozbawić zaopatrzenia. Postanowił z niego uczynić przynętę, by dopaść i zniszczyć postępujące za nim siły, nim stanie pod Miednikami, odległymi już jeno o dzień drogi. Pewny był, że wszystkie jego ruchy są wrogom znane. W dzień Bożego Narodzenia przedłużył postój i po nabożeństwie wysłał przodem sanie ze sprzętem oblężniczym pod silną strażą pieszych wojsk, w południe zaś po posiłku ruszył całą jazdą, pozostawiając tabory z zapasami i juczne konie pod osłoną miejskich piechot, które, wolno ciągnąc, pozostawały coraz bardziej w tyle.

Wpójć chciał w nieprzyjaciela przekonanie, że zamierza zaskoczyć gród o świcie, i parł z jazdą tak szybko, jak tylko pozwalało leśne bezdroże. O pierwszym zmroku, gdy przeświadczony już był, że nieprzyjacielskich zwiadowców pozostawił za sobą, zatrzymał

pochód i lekką jazdę podzieliwszy na dwa oddziały, wysłał ją z powrotem, z poleceniem, by dalekim łukiem zaszła za idące w tyle tabory, tak, by w chwili napaści odciąć odwrót nieprzyjacielowi, gdy sam z ciężką jazdą uderzy. Nie Oczekiwał napadu przed świtem, tymczasem zaś tabory zbliżą się na tyle, że dopadnie ich jednym skokiem. Wystawiwszy przeto strażę, zezwolił popuścić koniom popręgi, a ludziom spocząć, jak kto wydoli, nakazując jeno zupełną ciszę.

Spać było trudno, choć mróz, który pod wieczór zelżał, koło północy złamał się zupełnie, wyraźnie ciepły powiew szedł z południa, a głuchą ciszę grudniowej nocy mącić zaczynał zrazu szelest opadającej okiści, a potem szmer gęstniejących jak deszcz kropel wody. Biały mrok szarzał, niebo zaciągało się oparem, przez który ledwo już przeświecał

malejący i pochylony księżyc. Potem zgasł i noc uczyniła się ciemna.

Von Plotzke, po wydaniu zarządzeń, usiadł na obalonym pniu i oparłszy się o rozwidlony konar, otulił płaszczem i usiłował zasnąć. Spokojny był. Nie po raz pierwszy grał

zuchwale. Powodzenie nie zawiedzie go i tym razem, gdy zdobycie Żmudzi, odcięcie Litwy od morza i połączenie obu gałęzi Zakonu ukoronować ma dzieło jego życia, stworzyć luką potęgę, że polski karzeł nie odważy się już podnieść przeciw niemu miecza. Zajadły kundel, gdy ugryźć nie może, szczeka. Ale skończy się i to, Kuria zawsze w ostatku słuszność przyzna silniejszemu. A twórcą siły Zakonu jest von Plotzke. Nic to, że nie został wielkim mistrzem, wszystko w Zakonie dzieje się za jego wolą.

Czego chce? O tym będzie myśleć, gdy dokona dzieła a tymczasem musi wytepić pogan do ostatniej nogi, wraz z nasieniem. In morte pagani glorificatur Christus<sup>10</sup>.

W Gdańsku co prawda wyrznąć kazał chrześcijan, dla dobra Zakonu. Kto jest jego wrogiem, jest wrogiem Chrystusa. Litość jest tylko słabością, a tą marszałek nie grzeszył

nigdy, resztę mu Chrystus wybaczy, dla chwały, której Mu przysporzył.

Tak rozmyślając, von Plotzke zasnął. Zbudziła go zimna kropla, która upadła mu na twarz. Przetarł oczy, bo zdało mu się, że jeszcze klei je sen, ale szary mrok nadal zacierał

zarysy najbliższych przedmiotów. Marszałek otrzeźwiał i zerwał się. Wstała mgła i gęstniała z każdą chwilą. Tego nie przewidział, zastawiając pułapkę. Tuman szarzał już, do świtu niedaleko, nie było czasu do stracenia. Za chwilę podjazd ruszał w kierunku Miednik z rozkazem zawrócenia idącej przodem piechoty, a jazdę poprowadził sam marszałek dawnym śladem. Ale trudno go było rozeznąć w grząskiej mazi powstałej ze śniegu, w tumanie gęstym już jak mleko. Von Plotzke z przybocznymi sam jechał przodem, co kilkadziesiąt kroków zatrzymując się i nasłuchując. Jeśli napaść istotnie nastąpiła, lada chwila posłyszeć winien gwar bitewny. Choć mgła tłumiała odgłosy i myliła ich źródło, pewniejszy to będzie drogowskaz niż kręte i zatarte ślady. Bielała już od dziennego światła, von Plotzke zaczynał

10 In morte pagani glorificatur Christus.(łac.) - W śmierci pogan chwała Chrystusa.

żyć nadzieję, że mgła i przeciwnikowi nie pozwoli odnaleźć zastawionej przynęty, skoro sam czuł, że błądzi. Koło południa tuman winien zrzędnać, wojska zbiorą się i jeno stracony dzień i zmarnowana noc będą ceną nieudanej zasadzki.

Ale gdy zatrzymał się, znowu nasłuchując, poznał, że tak tanio się nie wykupi.

Posłyszał gwar odległy, ale wyraźny. Jeszcze nie porzucił nadziei, że przyjdzie na czas. Jeśli nawet lekka jazda nie nadąży, by wziąć udział w bitwie i odciąć odwrót Żmudzi, niespodziane uderzenie winno rozproszyć nawet o wiele liczniejszego przeciwnika, który nie zwykł

dotrzymywać pola pancernym.

Widoczność jęła się polepszać i jazda nadążała teraz szybko. Bór rzednął, ale gwar, choć bliski już, zaczynał nacichać. Gdy wypadli na otwarty łęg nad rzeczkę, von Plotzke poznał, że przyszedł za późno. O dwa stajania widać było w ustępującej mgle jakby mierzwę na rozdeptanym klepisku. Za rzeczką pomykały cienie uchodzących nieprzyjaciół, które zniknęły zaraz w krzaczach. Na poboju panował już martwy spokój. Koni pozostało tyle, ile wśród porzucanych sań leżało ich ścierwa, zmieszanego z niezbyt licznymi ludzkimi trupami. Znaczna część ochrony taborów ująć musiała, ale marszałek wiedział, że już jej nie zobaczy.

Bez zwykłego gwaru wojska rozkładały się na wypoczynek po bezsennej niemal nocy, znużone i przygnębione, choć nie wszyscy zdawali sobie sprawę ze skutków niepowodzenia.

Von Plotzke spokojny był i nieporuszony. Spalić kazał poległych, bo nie było czasu ni sprzętu na kopanie mogiły w zmarzniętej ziemi, końskie ścierwa oskórować, połowę i owędzić, z reszty przyrządzić posiłek. Gdy koło południa ściągnęła pruska jazda, silnie poszarpana w leśnych zasadzkach, dobić kazał ciężiej rannych, niezdatnych do walki, a powiesić kilku Prusów, którzy usiłowali się temu sprzeciwić, i nie czekając na powrót pieszych wojsk ze sprzętem ni wysłanego za nimi podjazdu, pozostałe podniósł do pochodu.

Najmniej doświadczeni miarkowali już, że wyprawa chybiła, nikt nie wątpił, że marszałek, by resztę wojsk ocalić, nakaże odwrót, pozostawiając wysłaną przodem piechotę Własnemu losowi. Żywności starczy na jeden dzień, potem trzeba jeść konie, ale luźnych i jucznych już nie było, a biada temu, który od swego wierzchowca odpadnie. Zakonne hufce i pruska jazda gromadziły się w ponurym milczeniu, ale wśród gości rycerskich rozlegał się niechętny szmer, który zamienił się w pomruk, gdy von Plotzke, dosiadłszy konia, przejeżdżał

wzdłuż szeregów, wodząc po twarzach palącym spojrzeniem. Zatrzymał się przed hufcem gości, na czele którego stał graf von Schwarzburg, i przemówił:

- Nie winem na ucztach, ale krwią zmywa się grzechy i po toście tu przyszli. Kto cudzą jeno przelać zamierzył, niechaj wraca biesiadować do Malborka, grzechy swe zabierając z sobą.

Marszałek cofnął konia i podniósł głos:

- My, którzyśmy cały swój żywot Wszechmocnemu i Zakonowi ofiarowali, nie prosimy o zmiłowanie nad nami, ale by Zakon szkody nie poniósł. Nie mnie, któremu miecz swój powierzył, nad wami czy nad sobą się litować. Moją rzeczą czynić wszystko, by cel wyprawy osiągnięty został, waszą - męstwo i posłuszeństwo, bo niczym jest każdy z was wobec Zakonu; a kto by o tym chciał zapomnieć, niechaj pamięta, że żywot jego w moim ręku i przed Zakonem jeno będę się sprawiać, co z nim uczynię. Kto jednak sam tego nie rozumie, temu rzekę: bliżej stąd do Kurlandii niżli do Ragnety, łatwiej wyżywić się w osiadłym kraju niżli w bezludnej puszczy, lżej umierać w walce niżli od głodu i mrozu. A kto walczy, ten jeszcze nie przegrał. Ruszamy na Miedniki. Za mną!

Obyty z wojną a z borem zżyty jak zwierz, Krzych trudy wyprawy znosił lekko, wynik jej był mu obojętny i równie obojętnie patrzył na niszczenie pogańskiego kraju. To samo Litwa czyni w Polsce. Nie rozpamiętywał przeszłości, odprężył się i uspokoił. Nie wiadomo, czy wróci z wyprawy, bardziej niż wielu innych świadomy był jej niebezpieczeństw. Nie pragnął już zbyć żywota, ale i o tym, że może zginąć, myślał nieporuszony. Chwilami odzywał się w Krzychu niepokój, jaki wzbudził w nim von Plotzke, nie tylko dlatego, że marszałek zaważyć mógł na jego życiu, które już zaczynało się układać. Krzych słyszał o praktykach, które templariuszy zaprowadziły na stos, wiedział, czemu przeciwnicy marszałka przypisują jego nieustanne powodzenie. Gdy von Plotzke zarządził rozdzielenie wojsk, Krzycha ogarnęło zaciekawienie. Przewidywał, że po nagłej odwilży musi przyjść mgła, a wiedział, jak trudno zmiarkować kierunek w nieprzejrzystej okolicy, gdy coraz to zbaczać trzeba z drogi, by obejść nieoczekiwane przeszkody. Odczuł ulgę, gdy sprawdzać się jęły jego przewidywania, a niemal radość, kiedy pozbawione zasobów wojska stanęły w obliczu klęski.

Von Plotzke wpadł we własne sidła, sprzyjające mu te moce okazały się bezsilne lub zdradziły go. Krzych się o niebie nie troszczył, nawykł żyć w lesie i z lasu, poradzi sobie, gdy w braku zaopatrzenia każdy na własną rękę zacznie szukać wyjścia. Stropiło go, że von Plotzke potrafił opanować przygnębione wojska i wzbudzić w nich nadzieję ocalenia. Sam zaczynał wierzyć, iż nienaruszone jeszcze jądro krzyżackich wojsk, znakomicie zbrojnych i wyćwiczonych, pod takim wodzem jak von Plotzke, może zadać bezładnym gromadom lichu zbrojnych Żmudzinów, mimo ich zwierzęcej zajadłości, taką klęskę, że będzie można bez obawy rozdzielić wojska na kilka zagonów. Wówczas zdołają się one wyżywić w drodze do niedalekiej kurlandzkiej granicy.

Jasne jednak było, że rozprawić się należy z wrogiem, nim głód rozprzęgnie karność i wytrąci oręż z ręki krzyżackich wojsk. To zapewne miał na względzie marszałek, nie wysyłając nawet bocznych straży, które by hamowały pochód, a przedniej nakazując iść szybko i tak długo, aż połączy się wysłanymi przodem pieszymi wojskami. Sam wysforował

się na czoło i parł konia, o ile to było tylko możliwe w pagórkowatej, chaszczami zarosłej okolicy. Wkrótce jednak opuścili kręty bieg Jury, kraj zaczynał się otwarty, a zmierzające na północ strugi świadczyły o bliskości rzeki Minii, nad którą położony był gród w Miednikach.

Przed zmrokiem krótkiego, grudniowego dnia napotkali spaloną większą osadę i trupy żmudzkie, już ostygłe. Znak, że przeszły tędy wojska krzyżackie, a mieszkańcy widoczni, zaskoczeni zostali napadem. Może i gród w Miednikach uda się zaskoczyć. Mimo to, gdy po krótkim postoju von Plotzke nakazał dalszy pochód, ruszano niechętnie i ociągliwie. Po niespanej niemal nocy, o jednym posiłku, wojskom doskwierał głód i ogarniało je znużenie, na dobitkę biorący znów mróz chłodem przenikał ciała i ściał obtajały śnieg w ostrą skorupę szreni, na której wlokące nogi konie potykały się, kalecząc pęciny.

Marszałek zdał się tego nie dostrzegać, ale jadący w odwodzie komtur Berner, w miarę jak zapadała ciemność, zaczynał niepokoić się i zżymać. Jeśli nawet przepadł podjazd wysłany, by zawrócić idące w przdzie wojska piesze, co zdało się już pewne, dawno winni byli piechotę napotkać. Odwilż zatarła niemal ślady jej pochodu, w ciemności mogą się minąć. Jeśli zaś i piechota przepadła wraz ze sprzętem, nie było co myśleć o wzięciu grodu, jeno o ocaleniu reszty. Lęk przed zagładą przeważył w Bernerze obawę przed marszałkiem.

Jest panem życia każdego, ale nie wolno mu lekkomyślnie narażać zakonnych wojsk na zgubę. To pycha nie pozwala mu zmienić postanowień, by nie sprawiać się przed Kapitułą z przyczyny niepowodzenia.

Gdy jednak Berner dopadł jadącego na przdzie marszałka, który nawet nie spojrzął

na niego, jakby nie zauważył obecności komtura, stracił śmiałość i nie wiedział, jak zacząć.

- Wasza dostojność! Konie ustają, a luźnych nie mamy - ozwał się po chwili.

- Wiem o tym. Walczyć można też pieszo - sucho uciał von Plotzke.

- Ludzie znużeni i głodni...

- Ja też. Spoczniemy i pożywimy się przed bitwą.

Powiedział to tak spokojnie i obojętnie, jakby nie zdawał sobie sprawy, że przegrana to nie tylko chybienie celu wyprawy, ale za cud może uważać, kto w razie klęski zdoła wrócić w zakonne ziemie. Berner nieraz patrzył w oczy śmierci, ale na myśl o takiej, jaka czekać może niedobitków, upadło w nim serce. Von Plotzke widno tak zadufany w sobie, że nie liczy się z tym, iż jego samego spotkać może ten straszny los. Zacinając się z podniecenia, komtur powiedział:

- Zali nie lepiej ominąć grody w Miednikach i Telszach? Piechota ze sprzętem i tak pewnikiem



przepadła. Mamy ciągnąć nocą, skrećmy na wschód. Za cztery dni, jeśli Bóg pozwoli, możemy być w Kurlandii.

- Może pozwoli wam, gdy po mnie obejmiecie dowództwo. Ja z Bogiem nie mam układu i na sobie jeno zwykłem polegać.

Von Plotzke bluźni! Komturowi włosy zjeżyły się pod nikapeluszem. Powściągnął

wodzami konia, a rozsądku samego siebie, by nie zawrócić swego hufca na południe, nawet nie dlatego, by siebie ocalić, ale by uciec od człowieka, który budził w nim przesadną trwogę; woli zgubić siebie i wojska, niż przyznać się do błędu.

Gdyby Berner mógł widzieć w ciemności uśmiech marszałka, byłby może mimo wszystko próbował ocalić swój hufiec na własną rękę. Marszałek nie podzielał wiary w zwycięstwo, jaką obudził w innych tylko po to, by zmusić ich do walki do ostatniego tchu.

Zakon mniejszą szkodę poniesie z zatury całego wojska, za którą nieprzyjaciel krwawo zapłaci, niż on z utraty sławy niezwycięzonego; wódz, który legnie, nie potrzebuje sprawiać się z niczego. Von Plotzke nie żałował siebie, tym mniej powierzonych sobie ludzi. Zakon dość ma zasobów i sposobów, by ściągnąć nowych gości i zaciągnąć nowych najemników.

Pobite wojska szerzą tylko niewiarę i zwątpienie, rozprzegają karność. Lepiej, gdy przestaną istnieć. Niemniej przed walką należy się im posiłek i spoczynek. Marszałek zatrzymał pochód przy obłym pagórku nad strumieniem, zezwolił palić ogniska, spożyć resztkę zapasów i spać.

Sam usiadł pod rozpiętą płachtą, czekając na posiłek. Potem pożywił się, myśląc, jak przedziwny smak ma polewka z kaszy i końskiego mięsa, gdy się wie, że spożywa się ją po raz ostatni. Nasycony, owinał się końską derą i usiłował zwabić sen. Spokojny był, wszystko, co czynił w życiu, czynił dla dobra Zakonu, dla siebie dbał jeno o sławę. Nie zgaśnie póki istnieć będzie Zakon.

Gdy wojska stanęły na wypoczynek, Krzych usiadł przy ognisku i czekając na warzoną strawę, przysłuchiwał się rozmowie towarzyszy. W codziennym obcowaniu mimo woli zżył się z nimi, a choć strzegł się zdradzać swą przeszłość, nie potrafił ukryć, że nie po raz pierwszy ciągnie przeciw pogańskiej Litwie. Nie widział w tym zresztą niebezpieczeństwa, nie mogli znać Mścigniewa ni pamiętać wydarzeń sprzed lat. Nasyчени, gwarzyli beztróska o spodziewanej bitwie, nie zdając sobie widocznie sprawy, że wielu z nich jadło po raz ostatni; jeśli Żmudź stanie do walnej rozprawy, to jeno gdy pewna będzie zwycięstwa. Von Plotzke też wie o tym i wie, że jedynym źródłem zaopatrzenia dla jego wojsk pozostały konie. Dlatego pod samym niemal grodem stanął na oczach nieprzyjaciela, nie wysyłając nawet podjazdów, by stwierdziły siły i położenie grodu. Teraz przynęta ma być całe wojsko. Otoczony zewsząd borem, obszerny łąg jest korzystnym polem bitwy dla jazdy, ale w razie klęski, z którą von Plotzke musi się liczyć, stanie się pułapką. Nie ma wprawdzie takiej bitwy, z której by nikt nie wyszedł, ale uchodzących w rozproszeniu czekają trudy i wyrzeczenia, jakim jeno nadludzką niemal wytrzymałością będą mogli sprostać. Krzych widział zarosłe i chude twarze towarzyszy. Kilka nocy bez dachu nad głową a jeden dzień bez strawy już pozostawiły na nich wyraźny ślad. Nakarmieni, układali się teraz dokoła ogniska, otulając się derami, ciasno jeden obok drugiego, by jak najmniej tracić drogiego ciepła.

Parę godzin snu nie nawykłym do tego nie przywrócił się. Krzych patrzył na nich z politowaniem, ale bardziej żał mu było koni. Stały obok, z opuszczonymi łbami, od dwóch dni karmione jeno zwiędłymi liśćmi i korą. Nie można ich nawet puścić na łęg, by same wygrzebały spod śnieżnej skorupy choćby zeschlą trawę. Dla swego miał jeszcze w sakwie trochę owsa. Sięgnął do niej i karmił konia z ręki, bacząc, by nie zmamiło się ni jedno ziarno.

Potem usiadł przy ognisku i zadumał się. Sen go nie brał, przespał się jadąc, ale rozmarzało go ciepło, bijące od żarzących się głowni, i naszły wspomnienia, tak silne, że przez chwilę zdało mu się, iż jest na wyprawie z Łokietkiem, a w Krakowie czeka Hanna. Otrząsnął się: teraz wodzem jego jest wróg, a na całym świecie, jeśli ktoś czeka na niego, to jedynie Kundzia.

Zawsze czekała, nawet wtedy, gdy nie był jej małżonkiem, czeka pewnie i teraz, choć nie wie, czy on żyje. A nie wolno mu dać znaku życia, bo przywlokłaby się za nim jak wierny pies, by wraz z dzieckiem zmarnieć wśród obcych. Całe jego mienie to wyrko we wspólnym dormitorium i miska przy wspólnym stole. Z tej wyprawy łupów nie przywiezie. Jedno winien dla niej uczynić: starać się zachować życie, a resztę zdać na los.

Wrócił myślą do chwili obecnej i rozejrzał się. Śnieg przestał prószyć, niebo przecierało się, tu i ówdzie błysnęła gwiazda. Dawno już po północy, ale jeszcze żadnych oznak wstającego dnia. Obóz leżał w ciszy, słychać było tylko tupot stępujących z nogi na nogę koni, a chwilami kroki zmieniających się straży. Przybierał mróz, dzień będzie poro, lny. Krzych dorzucił drew na ogień, owinał się derą i przestał rozmyślać.

Może i zasnął, ale nagle zerwał się i nasłuchiwał. Niebo dopiero odcinać się zaczynało jaśniejszym pasmem od dalekiej ściany boru, przesłoniętej lekką mgiełką przedświtu.

Majaczyły w niej na równinie jakby kępy krzów; poruszały li jednak i zbliżały.

Głos spizu poderwał wszystkich, ogniska buchnęły jaśniejszym płomieniem, dociągano na gwałt popręgi. Krzych pierwszy znalazł się w siodle i patrzył, jak sprawnie stanął w szyku zakonny hufiec, a na czoło wyjechał von Plotzke w otoczeniu starszyzny.

Wódz przez chwilę rozglądał się, wskazując na nadciągającego wroga, i wydał widno zarządzenia, bo zaraz starszyzna rozjechała się. Na skrzydłach rozległy się głosy rozkazów i zatętniły kopyta. Pierwsza ruszyła do bitwy lekka jazda pruska.

Choć rozjaśniało się z każdą chwilą, Krzych nie widział jej uderzenia, bo porośnięte krzami zбочa zasłaniały widok. Nasilająca się wrzawa wskazywała jednak, że jazda starła się już skutecznie ze Żmudzią, a nadciągające gromady cofały się bezładnie ku środkowi pola.

Na to widocznie czekał marszałek, gdyż po stoku ruszyła krzyżacka chorągiew, nabierając pędu, który rozwiewał białe płaszcze braci rycerskich i szare służebnych, jak skrzydła stada ptaków biegnących, by zerwać się do lotu. Klinem wparli się w zwarty tłum, orząc za sobą bruzdę jak okręt idący na fali. W nieopisanej wrzawie wybijały się przeraźliwe gwizdy puszczalek i bezładny na pozór tłum rozstępował się przed idącym hufcem, który, przebiwszy się przezeń, zatoczył półkole i ponownie uderzył.

Dzień już był jasny, zza boru wychynęła czerwona tarcza słoneczna i wzbijała się ponad mgiełkę, spędzając ją z pola. W jej świetle widać było, jak z boru wynurzają się nowe gromady, stając do bitwy; przesuwała się znowu ku wyżynce, ale teraz już wolniej.

Wydłużony klin zakonnego hufca skracał się i rozszerzał, wreszcie zmienił się w kolisko, które kolebało się na fali głów, niczym zakotwiczona łódź.

Nowicjusze, którzy widzieli, jak łatwo hufiec przebił się przez tłumy, drżeli z niecierpliwości, czekając, kiedy im uderzyć przyjdzie, by wesprzeć zmagających się z wielokrotnie przeważającym liczbą nieprzyjacielem. Bystrzejsze oczy mogły dostrzec, jak coraz częściej w głąb koliska wycofują się ranni czy znużeni już rycerze. Marszałek jednak na coś czekał widocznie. Na pochyłości, skąd widzieć mógł całe pole bitwy, stał w otoczeniu przybocznych braci i kilku giermków, rozglądając się. Wrzawa, dochodząca ze skrzydeł, gdzie walczyła od początku lekka jazda pruska, zdała się nacichać. Lżej zbrojna i nie nawykła do walki w zwarciu, musiała ulec przewadze lub zbiec.

Von Plotzke nie liczył już widno na jej udział w bitwie, gdyż patrzył teraz na kolisko krzyżackiego hufca, które topniało w oczach, osadzone na miejscu. Znowu do uszu stojących na skłonie doszły przeraźliwe gwizdy, odpowiedział im krzyk tysięcy gardzieli, krzyżackie kolisko zakolebało się i pękło.

Komtur Berner z rozpaczą spozierał ku wyżynce, gdzie - świecąc w słońcu bronią -

stały w gotowości hufce półbraci i rycerskich gości. Daremnie, przekrzykując gwar, usiłował

zewrzeć szyki, by dać ochronę rannym, a zziąjanym pozwolić na schwytnie oddechu. Klnąc w duchu marszałka, komtur skrzyknął najbliższych i wyskoczył na czoło. Znaczny potężnym wzrostem i pióropuszem na hełmie, oburęcznym mieczem obalając wszystko przed sobą, wyrąbać zdołał wyłom w napierającej ścianie wrogów. Towarzysze cięli się z doskakującymi z boków i razem parli ku zbawczej wyżynce, a w powstający za nimi luz wciskał się, kto jeno zdoła! oderwać się od nieprzyjaciela i hufiec ruszył z miejsca, samorzutnie formując się w klin, niezdolny jednak nabrać zabójczego pędu.

W tej chwili na tyłach krzyżackiego hufca rozległy się krzyki, ale brzmiała w nich radość i ulga. Berner spojrział i odetchnął: po pochyłości toczył się ku nim hufiec półbraci, a na skrzydłach świeciły broje i chwiały się pióropusze gości rycerskich: idąc ławą, zagarniały rozrzucone po równinie gromadki żmudzkich wojowników, których piszczałki starszyny wzywały do ustąpienia. Wielu nie zdążyło jednak i teraz, parci ze wszystkich stron ciężarem pancernej jazdy, skupiali się odcinając rozpaczliwie. Wiedzieli, że nie ma wyjścia ani miłosierdzia, walczyli też jeszcze leżąc na ziemi ku leczyli konie, zanim ich kopyta wydeptały z nich ostatni dech.

Bitwa się przedłużała, nie pojone od wieczora rumaki chrapać zaczynały, ale niedoświadczonym wojownikom, którzy po raz pierwszy walczyli ze Żmudzią, zdało się już, starczy dorznąć coraz topniejącą gromadę odciętych od reszty wrogów, by zwyciężyć. Nie zajęte walką tylne szeregi widziały, jak nieprzyjaciel ściąga się w las, poniesione przez niego straty były ogromne, na polu, którądy przetoczyła się bitwa czerniały miejscami całe sterty ciał. Gwar walki cichnął, aż zgasł, zziąjane piersi odetchnęły z ulgą.

Słońce stało już na południu, ale nie było się czym pożywić, co gorsze - nawet czym zwilżyć wyschniętych gardzieli. Zeszkapiałe konie stały rozkraczone, z opuszczonymi łbami, ludzie nie lepszy przedstawiali widok. Marszałek wiedział, że jeśli teraz pozwoli na spoczynek, nie poderwą się już do walki, a nie łudził się, że to jej koniec. Jak okiem sięgnąć dokoła obszernej polany - wszędzie z lasu dobywały się dymy. Pozostałe parę godzin dnia wykorzystać trzeba, by przebić się do rzeki, obwarować się nad nią i tam dopiero spocząć; jeśli zdoła do niej dotrzeć. Na otwartej przestrzeni przewagę ma jazda, w borze piesi.

Żmudzcy wodzowie równie dobrze wiedzą, że, co żyje, musi pić, wody nie zastąpi śnieg, który zlizywały spragnione rumaki. Von Plotzke wydał rozkazy i starszyzna sprawiać jeła szyki. Wielu zresztą odpadło od koni, ubitych czy pokaleczonych. Marszałek sformował z nich dwa piesze zastępy, które z boków ubezpieczać miały jazdę, i dał rozkaz pochodu.

Ruszyli w ponurym milczeniu, nie obzierając się. Za nimi dobijano rannych, niezdatnych do drogi, rozpaczliwe ich krzyki umilkły zaraz, ale długo brzmiały w uszach odchodzących jak przypomnienie, co czeka każdego, który niezdolny się stanie do walki. Ale teraz nie buntował

się nikt, wszyscy wiedzieli już, że tylko ten żywiec może nadzieję ocalenia, kto mocno stoi na nogach. Ze spieszonych słabsi zrzucali jeła zbroje, które już po pierwszych krokach ciężyc zaczynały. Pochód ruszył z wolna ku północy. Otwierał go von Plotzke. Patrzył na zbliżającą się ścianę lasu, tam gdzieś w ciemnej głębi leży kres jego drogi. Przeżył już raz odwrót bez snu, żywności i dachu nad głową. Teraz nie przeżyje, woli zginąć w walce.

Zamykał pochód hufiec rycerskich gości. Najpóźniej wszedłszy do bitwy, straty poniósł najmniejsze i najmniejszy włożył w nią wysiłek. Koni też niewiele utracił, a graf von Schwarzburg zdołał ocalić nawet jucznego, bo nawykły do wygod i nie związany zakonnym porządkiem - trzymał go stale przy sobie. Śmierci się nie lękał, ale też nie myślał umierać.

Wiedział już, że wyprawa musi zakończyć się klęską, ktoś przecie jednak uniesie gardło.

Między nimi będzie on, syty był i dobrej myśli. Póki wojska walczą zware, trzymać się ich należy. Walki z lichym zbrojnym przeciwnikiem się nie lękał, raczej odwrotu z wygłodniałymi gromadami rozbitków, gdy kończy się wszelka karność i na nic godności i dostojeństwa.

Wtedy uchodzić woli samoczwart, z giermkim swym i pachółkami.

Graf rozejrzał się. Niebo, dotychczas pogodne, zasnuwać i., zaczynało ciągnącymi z północy obłokami, które świeciły w pochylonym już słońcu. Łączyły się jednak szybko, zakrywając już większą część nieba, gdy hufiec zakonny dotarł pod ścianę boru i zatrzymał

się bez rozkazu. W głębi ciemno było, grudniowy dzień kończył się, na zachodzie tylko świecił jaskrawy pas nieba, w którym na chwilę ukazało się słońce. Ten i ów obejrzał się i niejednemu serce ścisnęło przeczucie, że widzi je ostatni raz.

Krzych szedł w pierwszym szeregu pieszego oddziału. W bitwie bardziej niż siebie chronił konia. Zarazem zajadły i skupiony, szeroko otwartymi oczyma łowił każdy ruch doskakujących kudłatych

postaci, ciosem miecza lub zwrotem tarczy uprzedzając ich ciosy.

Pracował równo i bez wysiłku, coraz częściej miał wyszczerzonych zębów i błyszczących zwierzęcą zaciekłością oczu widząc przed sobą okryte kozuchami plecy. Gdy odcięto gromadę żmudzkich wojowników i rozpoczęła się rzeź, znalazł się na obwodzie zamykającego ich pierścienia i wówczas poczuł, że koń chwije się pod nim. Zeskoczył na ziemię, a koń przysiadł na zadzie, po czym legł. Dźwignął jeszcze głowę, patrząc na Krzycha ludzkim niemal spojrzeniem, jakby od niego czekając ratunku. W brzuchu jego tkwiła złamana włócznia.

Z ciężkim sercem Krzych dobił zwierzę, z którym się zżył, teraz szedł w gromadzie przypadkowej zbieraniny ze wszystkich hufców, z którą nic go nie łączyło. Pewny był, że każdy myśli jeno o tym, jak własny żywot ocalić, i sam liczył już tylko na siebie. Szedł

czujny i napięty, starając się przeniknąć mroczniejącą głąb boru. Zaraz z kraja napotkano kilka świeżo zdeptanych ognisk. Po kilku stajaniach pochód zanurzył się w wąwóz, którego spodem sączyła się leśna struga. Zatrzymał się, by napoić pozostałe konie, i ruszył dalej.

Straże boczne szły górą urwistych ścian wąwozu. Ciemność zapadała szybko, szare niebo prószyć znów zaczynało śniegiem, ruszył wiatr, nasilał się i szumiał już w szczytach drzew, głusząc inne głosy. Szum przechodził w wycie, śnieżycą w zawieję, przez którą na parę kroków nic widać nie było.

Mimo że oczekiwane - uderzenie przyszło tak nagle, jak spod śnieżnego całunu wytryśnie stado cietrzewi. Huk i szum walonych drzew i wrzask tysięcy piersi zgłuszyły wycie wichury. Z gałęzi jak rysie spadały ośnieżone postacie wprost na karki jeźdźców, spłoszone konie bić jęły kopytami, sforny zastęp w jednej chwili zmienił się w kotłowisko, które kłębiło się i przewalało. Cięto na oślepie, każdy walczył jeno o to, by wydostać się z zamętu, każdy, kto stał w drodze, był wrogiem.

Krzych, nie bacząc, czy ktoś idzie za nim, rzucił się naprzeciw nadbiegających i obalając ich, wyrąbywał drogę kilkunastu innym, którzy w porę spostrzegli jego ruch. Parli ku północy, odcinając się doskakującym napastnikom, przebili się przez zwarty pierścień i ścigani przez kilku wojowników, którzy w zamęcie darmo usiłowali skrzyknąć liczniejszy pościg, uchodzili, póki starczyło oddechu.

Krzych zatrzymał się, gdy poczuł raczej, niż usłyszał, że idący wraz z nim przyzostają w tyle. Bezpieczniej uchodzić gromadą, przynajmniej póki się nie odbije dość daleko, by móc przespać się i odpocząć. Potem towarzysze stać się mogą jeno ciężarem. Nie widział nawet ich twarzy w zupełnym już niemal zmroku, zauważył jeno czarny krzyż na płaszczu jednego z nich. Mimo że dyszeli chrapliwie i potykali się, ruszył dalej, gdy jeno dociągnęli. Opad śnieżny rzednął, gdy ustanie, wlec zaczną za sobą ślad, który zdradzić ich może pościgowi, skoro nastanie dzień. Im dalej się odbiją, tym większe prawdopodobieństwo, że zdołają ujść.

Wiatr nacichał, odgłosy walki dawno zamilkły i wlekli się noga za nogą w milczeniu.

Krzych szedł pierwszy, przecierając drogę w kopnym miejscami śniegu. I on czuł już wysiłek całego dnia walki, głód i pragnienie, ale przede wszystkim ogarniała go senność.

Miał w sakwie resztkę owsa, kawał końskiego mięsa i krzesiwo, ale zbyt jeszcze było blisko, by można rozniecić ogień. Jeszcze z północy szedł powiew, dym może ściągnąć nieprzyjaciela. Noc zaś na mrozie bez ognia i ciepłej stawy byłaby niezawodnie ostatnią.

Wszyscy rozumieli to widno, bo wlekli się, zataczając i padając, wolno jak czas, który zdał się nie płynąć. Krzychowi dwoiło się w oczach, darmo przecierał je śniegiem, zadrzemywał, ilekroć przystanął, by poczekać na coraz wolniej idących towarzyszy. Gdy raz obejrzał się, ujrzał już tylko trzech. Zakonnego rycerza nie było.

Zawahał się. Wiatr był coraz słabszy, zmieniał się w ledwo wyczuwalny powiew.

Odbili się dość daleko, pościg nie wyruszy przed świtem, zresztą uchodzących we wszystkie strony będzie zapewne więcej. Towarzysze, doszedłszy, usiedli jak jeden. Było widoczne, że dalej nie ujdą. Krzych, mimo że postanawiał nie obciążać się nikim, wiedząc, że czekają ich tygodnie wędrówki, do jakiej i jemu sił może zbraknąć, zapytał szeptem:

- Gdzie czwarty?

- Ustał - posłyszał obojętną odpowiedź, jakby nie o życie szło.

Rozglądał się za miejscem, w którym dałoby się rozniecić ognisko, nie zdradzając go przynajmniej blaskiem, i wbrew woli myślał o Krzyżaku, który pozostał. Pamiętał, co czuje człowiek wyzbyty z sił, pozostawiony w puszczy samemu sobie. Nie śmierć jest straszna, ale czekanie na nią, jednocześnie uświadomił sobie, że sam życie zawdzięcza temu, iż przed laty ojciec jego okazał obcemu człowiekowi miłosierdzie, którego tamten nie znał ani nie zaznał

nigdy. Mścigniew nie mógł przeczuć, że ocali tym życie własnego syna; dziwnie los prowadzi Krzycha drogami człowieka, którego raz jeno widział za życia. Nie myślał już o tym, że nijak pomóc takiemu, który nie zdoła iść o własnych siłach. Zwrócił się do siedzących:

- Poszukajcie huby, próchna i suszu. Ja pójdę po tamtego.

Szedł dość długo własnym śladem i w białym mroku byłby minął Krzyżaka, gdyby nie czarny krzyż na płaszczu, którym nakrył się wraz z głową. Krzych jął trącać siedzącego, ale gdy nie wstawał i nie odezwał się, ujął go pod ramiona. Na dłoni poczuł ciepłą i lepłą ciecz: krew. Krzyżak musiał być ranny, choć niezbyt ciężko, skoro uszedł tak daleko, ale starczy to, by nie sprostął czekającym ich wyrzeczeniom i trudom. Rozsądek doradzał Krzychowi porzucić go. Do rana dojdzie na mrozie, to najłżejsza śmierć ze wszystkich, jakie grozić mogą w dalekiej drodze. A jednocześnie, sam zataczając się i potykając, pod wpływem jakiegoś przymusu włókł jednak z wysiłkiem rannego, klnąc samego siebie.

Rozdrażnienie jego przeszło w gniew, gdy dostrzegł, że żaden z pozostałych nie ruszył

się, by przygotować rozpalenie ognia. Fuknął:

- Pachołka wam trzeba do posługi? Komu ogień niepotrzebny, nie będzie przy nim siedział.

Znużony był i rozdrażniony, zdało mu się, że zwalić chcą na niego troskę o wszystkich. Zaskoczyła go odpowiedź:

- Ktoś ci tu już ogień pali. Czekaliśmy na was.

Istotnie z powiewem zalatywał wąły zapach dymu, należało zbadać jego źródło.

Jeżeli ludzka siedziba, bezpieczniej uchodzić dalej, ale Krzych, choć nawykł do dalekich pieszych wędrówek, czuł, że zbliża się kres jego sił. Z towarzyszy nie ruszy się żaden, pokładli się na śniegu, tylko brat zakonny siedział oparty o pień. Z westchnieniem utrudzenia Krzych ruszył, nasłuchując i węsząc. Las był nieprzejrzysty, wiatr ustawał i zapach dymu zatracił się chwilami. Ale silniejszy powiew przyniósł go znowu, wraz z końskim odorem.

Krzych był niemal pewny, że napotkali zbiegów, konni mogli ich wyprzedzić, Żmudź koni hoduje mało i nie w leśnych osadach. Szedł śmieiej, obchodząc jednak zarośla i wykroty, by nie natknąć się na ludzi niespodzianie, i wyteżał wzrok, by dojrzeć światło. Zdało mu się, że zauważył niepewny poblask pod ośnieżonym nawisem gałęzi obalonej sosny. Gdy przystanął, posłyszał głucho tąpnięcia kopyt. Konie musiały go poczuć i niepokoiły się. Stał w oczekiwaniu, ale gdy żaden odgłos nie zdradzał, by obudziły czujność człowieka, jął się podsuwać. Ognisko musiało wygasnąć, bo bliski już poblask ledwo był widoczny. Dojrzał

zarysy dwóch koni, ludzi natomiast nie dostrzegł, spali zapewne. Po namyśle Krzych ruszył

po towarzyszy. Nieznanych lepiej najść we śnie.

Napotkani spali tak twardo, że nie obudził ich nawet trzask, gdy Krzych z towarzyszami przedzierał się przez gęstwinę, otaczającą małą łysinkę wśród krzów. Leżeli na podściółce z jedliny, nakryci końskimi derami tak, że nawet twarzy widać nie było. Przy ognisku stał kociołek ze śladami polewki, pożywili się widocznie i posnęli, nie zwolniwszy nawet koniom popręgów i nie zdjawszy juk. Kształt jednej sakwy zdradzał, że zawiera zbroję; zapewne rycerz z giermkim lub pachołkiem. Krzych zatroszczył się o konie, a potem przyglądał się towarzyszom, ze stroju miarkując knechta zakonnego i pachołków z rycerskiego hufca. Dobrali się do juk, suszu było pod ręką, ile strzyma, i wkrótce ciepło ogniska przenikać jęło skostniałe członki, a w kociołku bulgotała kasza, którą jęli się pożywiać, parząc usta. Tylko brat zakonny siedział nieporuszony, z głową opartą na dłoni.

Okap hełmu rzucał cień na jego twarz, widać było tylko zarys brody, pokrytej dopiero kiełkującym jasnym zarostem.

Pojadłszy, pachołkowie układli się ciasno jeden obok drugiego i posnęli natychmiast.

Krzych przystąpił do Krzyżaka, mówiąc:

- Ranę wam opatrzę, a potem pożywcie się i spać.

Drgnął. Spod okapu hełmu spojrzwały na niego błękitne oczy Hansa von Nendorf, ale nie odezwał się ni słowem. Nie wydał żadnego jęku, gdy Krzych oddzierał przyschnięte już sukno rękawa lewej ręki, rozoranej widocznie nożem od przegubu niemal do łokcia. Rana była powierzchowna, ale musiała

być bolesna i znowu krwawić zaczęła. Krzych oderwał

pasmo płótna z zakonnego płaszcza i owinąwszy rękę, zawiesił ją na opasce, po czym przysunął kociołek i podając Hansowi łyżkę, mruknął: - Pożyw się.

Hans przecząco poruszył głową, ale gdy Krzych, dokończywszy kaszy, natopił śniegu i podał mu wodę, pił chciwie. Z upływu krwi musiało go dręczyć pragnienie, a może brała gorętki. Wbrew postanowieniu, że dbać będzie tylko o siebie, i przekonaniu, że tylko niezwykle wytrzymały człowiek dotrzeć zdoła w zakonne ziemie, Krzych rozważał, jak Hansa ocalić. Pod wrażeniem niespodziewanego spotkania senność mu przeszła, a ciężko milczenie, odpychające, niemal wrogie. Głos Krzycha zabrzmiał prośbą, gdy zwrócił się do niego:

- Jeść musisz, bo z sił opadniesz.

- Dalej nie pójdę. A wam cóże o to? - odparł Hans głucho.

- Skórom cię tu przywłókl, to i nie poniecham - rzucił Krzych porywczo. - Odwdzięki nie czekam, anim wiedział, ktoś jest...

- Gdym ręce do was wyciągał - rzucił Hans gwałtownie - odegnaliście mnie jak parszywego psa. Czemuż was teraz nie mierzi rękę mi podać, gdym splugawiony? Nie czekacie odwdzięki? Sprawiedliwie!

W głosie Hansa była rozpacz, zdało się, że płaczem wybuchnie, bo lśniące oczy zasłonił dłonią i dyszał szybko. Krzych milczał, zagryzając wargi. Darmo mówił sobie, że żadnych nie miał wobec Nendorfa zobowiązań i do żadnej nie poczuwa się winy. Ostawić go swemu losowi, szczególnie jeden Krzyżak więcej. A jednak żal mu było Hansa i żal, że odepchnął jedyne go człowieka, którego przywiązanie wybawiłoby go od gnębiącego uczucia samotności w tłumie. Chciał, by go Hans zrozumiał. Długo milczeli, tylko przyskała ogień i słyszeć było ciężkie oddechy śpiących. Krzychowi zdało się, że i Hans usnął, zmorzony raną, wysiłkiem i bezsennością, bo siedział, nie podnosząc głowy. Ale widocznie nie mógł myśli oderwać od gnębiącej go sprawy, bo znowu zaczął cicho:

- Mierzył was mój płaszcz zakonny. Alem ja nie wiedział, że Zakon, jak templariusze, zaprzedał się diabłu. A jako z piekielnych bram, nie było dla mnie wyjścia. Ale wy? Po coście przyszli? By mnie obalić w gnój, gdym ustać już nie mógł i podpory szukał?

- Posłuchaj! - zaczął Krzych z przymusem. - Po com przyszedł? W więzach mnie przywlekli, bez duszy. Ostalem, bo nie było innej drogi. Mniej by mnie ziemia gniotła niżli ten płaszcz półbrata. Dziś bym go cisnął w płomień i uchodził, ale nie Iza. Czekają na mnie, może się los odmieni. Jakoż mi wiązać się było i jako wiązać ciebie? Nauczyłem się już kłamać, nawet na spowiedzi, ale tobie kłamać nie chciałem..

Na twarzy Hansa zjawił się dziwny uśmiech.

- I tyś zaprzedał się diabłu! To dobrze. Społem mu służyć możemy.



Roześmiał się i umilkł. Krzycha przeszedł dreszcz. Ratując Krzyżaka, chciał spłacić jakiś dług pamięci swego ojca, a może to iście szatan podsunął mu Nendorfa dla swoich celów. Nie wiedział, co Hans zamierza, ale wiedział, że go już nie poniecha, cokolwiek z tego wyniknie. Znużony się poczuł, szkoda się opierać.

Nie wiedział, kiedy zapadł w nieświadomość i jak długo trwała. Jak spod wody słyszał

gniewne głosy i gdy ocknął się wreszcie, przypominać sobie musiał, gdzie jest i skąd się tu wziął. Nie czuł zdrętwiałego ciała, nie mógł otworzyć ołowianych powiek. Świadomość wróciła mu nagle wraz z przypomnieniem wczorajszego dnia i zerwał się. Trzeba uchościć dalej. Otworzył oczy.

Mrok ustępował, światło płonącego ogniska traciło już barwę i blask. Nad siedzącym koło ognia pachółkiem, odwrócony tyłem do Krzycha, stał rosły mąż w rycerskim pasie, klnąc podniesionym głosem. Reszta spała jeszcze kamiennym snem.

Krzych pomiarkował, że rycerz sierzni się o dobranie do jego juków z żywnością.

Teraz nie myślał o tym, że sam postanawiał nie mieć względu na nikogo. Wilcze okoliczności narzucały wilcze prawo, żywność oznaczała życie. Ale gwar, jaki czynił poszkodowany, groził bliższym niebezpieczeństwem: zwabieniem pościgu. W ciszy przedświtów niósł się daleko po lesie. Krzycha ogarnęła złość. Trącił wymachującymi rękami nad pachółkiem rycerza, mówiąc ostrym szeptem:

- Dostyc wrzawy! Co żeżarli, nie oddadzą. Bogu podziękować, że was kto inny nie naszedł. Tu nie Malbork, jeno bór.

Rycerz odwrócił się gwałtownie i umilkł zaskoczony. Skurczona gniewem jego twarz wygładziła się w wymuszonym uśmiechu i odparł drwiąco:

- W Malborku mierziło was przypięć do mnie, tu nie' mierzi sakwami się podzielić. Ale nie zawsze będziem w lesie.

W głosie grafa von Schwarzburg zabrzmiała groźba. Odwrócił się i kopnął swego towarzysza, a gdy ten zerwał się, przecierając oczy, rozkazał ostro:

- Spakuj juki i jedziem.

Pachółek posłusznie jął zbierać i ładować sakwy, a Krzych patrzył, gryząc wargi i hamując porywczosć. W Malborku graf istotnie potrafi mu szkodzić. Ale do Malborka daleko i wcale nie pewne, kto tam dotrzeć zdoła. Gdy pachółek dociągnął popręgi i zamierzał dosiąść swojego konia, Krzych położył rękę na jego ramieniu, mówiąc:

- Poczekaj. Nie ty na nim pojedziesz.

Sam nie wiedział, skąd mu przyszło nagłe postanowienie. Graf, siedząc już w siodle, spojrzał na niego lekceważąco i do pachółka, który patrzył z wahaniem, odezwał się:

- Ty pojedziesz. Szlachetny rycerz może raz iść pieszo. Krzych gwałtownym ruchem ściągnął na ziemię pachołka, gdy zamierzał dosiąść konia, i rzucił przez zęby:

- Ja mogę. Ale jest tu raniony rycerz zakonny, który iść nie może. Graf, zmieszany, odparł ze złością:

- Sam marszałek, świeć mu Panie, rannych dobijać kazał, bo nie dowlecze ich do domu.

Mnie pachołka potrzeba do posługi, a nie obciążać się niedołągą.

- Dobijcie go tedy sami - odparł zimno Krzych. - To Hans von Nendorf.

Nie wytrzymał jednak i dodał ochryplym z hamowanego gniewu głosem:

- Jeśli wam sił brak, by się bez pachołka w drodze obywać, to i was możemy dobić.

Graf pomiarkował, że groźba niepróżna, zwłaszcza że rozbudzeni sporem pozostali towarzysze niewątpliwie staną po stronie Krzycha. Myślał już tylko o tym, by się ich pozbyć, i powiedział z kpina:

- Przyjaźniliśmy się z bratem von Nendorf, widzę, że wy także. Niechaj tedy on sam między nami wybierze.

Krzych, zaskoczony, odwrócił się i spojrzał na Hansa. Sądził, że po tym, co mówił, nie zechce jechać z grafem. Hans jednak wstał bez słowa, z trudem dosiadł konia i za chwilę wraz ze Schwarzburgiem zniknęli z oczu pozostałych.

Krzych patrzył za nimi z dziwnym uczuciem, zarazem ulgi i obrzydzenia. Hans mimo wszystko wybrał plugawę tycie. Niepotrzebnie zaprzętał sobie głowę jego losem i narażał się grafowi. O nikogo więcej troszczyć się nie będzie. Spojrzał na różowiejące już na wschodzie niebo i zwrócił się do towarzyszy:

- Czas w drogę. Kto wydoli, może iść ze mną. Ruszył, nie obzierając się. Na zmarzniętym, mieniącym się od zorzy śniegu wyraźnie odcinały się błękitnawe ślady końskich kopyt. Krzych szedł przetartym przez nie w syrkim śniegu szlakiem, wiedząc, że nie nadaży mu nikt. Samotność po miesiącach nieustannego, przymusowego pobytu wśród obojętnych lub niemiłych mu ludzi spłynęła na niego ulgą, a wysiłek niósł zapomnienie.

Spotkania ze zwierzem się nie obawiał, z pościgiem było mało prawdopodobne. Z tyłu wleką się pozostali pachołkowie, przed nim Schwarzburg z Nendorfem. Zmarniałe ich konie w kopnym śniegu szły stępą, chwilami po śladach miarkował, że nawet się do nich zbliża. Koło południa zatrzymał się przeto, rozpalił ogień, pożywił się kawałkiem koniny, śniegiem, jak się dało, ugasił pragnienie i ruszył dalej, przyspieszywszy kroku. Jasny z rana dzień mroczniał

prędko, mróz zelżał, a niebo zasnuwało się oparem. Znowu szło na śnieg, który zasypie przetarty szlak, zmniejszając możliwość pościgu, ale też cięższym czyniąc pochód.

Krzych szedł aż do zupełnego zmroku, raczej już wyczuwając, niż widząc ciągnący się przed nim

ślad. Powietrze było nieruchome; zaczynał padać śnieg, pojedynczymi płatkami, potem coraz gęściejszy. Czasem z suchym szelestem osypała się gdzieś okiść.

Krzych stawał wówczas i nasłuchiwał, czy nie strącił jej zwierz lub człowiek. Potem ruszał dalej. Zmęczenia jeszcze nie czuł, ale dręczyć go zaczynał głód, a zarazem ogarniała senność.

Idąc, rozglądał się już za miejscem zdatnym na schronienie przed zimnem i zwierzem. Przez białą zasłonę opadu zauważył jakiś ciemniejszy kształt, ale gdy ruszył ku niemu, ten rozplynął się kilkoma cieniami i zniknął: wilki! Niewątpliwie żerowały, ich łupem zaopatrzy się w mięso.

Gdy jednak podchodził do miejsca spodziewając się znaleźć ścierwo zarżniętej sarny lub jelenia, nie dostrzegł nic. Może łup przysypał śnieg.

Omam nie nastąpił na istotnie śniegiem zasypany kształt ludzki i cofnął się. Serce załomotało w nim, a przez myśl przeleciało przypuszczenie, że to graf von Schwarzburg pozbył się niewygodnego towarzysza. Ale gdy pochylił się nad zwłokami, ujrzał ciemny zarost na odkrytej głowie i twarzy napoczętej już przez wilki. Zabitym był graf von Schwarzburg, von Nendorf zabójcą.

Myśli zakotłowały w głowie Krzycha, ale nad wszystkie wybiła się pewność, że jeśli idący za nim znajdą zwłoki, za zabójcę będzie uchodził on. Byli świadkami sporu i pogróżki, a Nendorf, choćby zechciał przyznać się do zbrodni, nigdy samotnie nie dotrze w zakonne ziemie. Niemal nie myśląc, co czyni, Krzych ujął trupa za nogi i odwlókłszy spory kawał od szlaku, powrócił, zacierając ślad świerkową gałęzią. Reszty dokona śnieg. W podnieceniu przeszedł Krzychowi głód i senność, dognać zapragnął Nendorfa, póki bruzda w śniegu, jaką ciągnęły za sobą konie, da się jeszcze zmiarkować. Hans nie mógł ujść daleko, ślad był

głęboki i w miarę jak Krzych za nim nadażał, coraz wyraźniejszy. Schodził w dolinkę między dwoma pasmami pokrytych gęstymi zaroślami pagórków, nad leśną strugę, teraz zamarznąłą i zasypaną śniegiem. Nendorf musiał tędy podążać, nie trzeba było szukać śladu. W jednym miejscu lód na strumyku był pokruszony, widocznie spragnione konie tu dobrały się do wody.

Krzych również napił się do syta. Znowu poczuł głód, ale oszukiwał go, żując owies.

Odczuwał też zmęczenie, pancerz ciążył mu coraz bardziej i ziębił, opierał się jednak chęci porzucenia go. Jeśli znajdzie Nendorfa, załaduje na konia to smutne dziedzictwo. Von Plotzke nie będzie już dopytywał szatnego o pochodzenie pancerza.

Wraz ze znużeniem ogarniała Krzycha senność, mącąc jego myśli. Nie zdawał sobie sprawy, po co chce odnaleźć Nendorfa, wiedział jedynie, że jeśli nie odnajdzie go dziś, nie odnajdzie nigdy.

Znalazł go wcześniej, niż się spodziewał. O kilkadziesiąt kroków od wodopoju, za niskim, ale stromym pagórkiem dolinka skręcała nagle i rozdawała się, jedną odnogą przechodząc w parów, o niewysokich, lecz urwistych ścianach, w poprzek, jak dachem, nakryty ośnieżoną koroną obalonej sosny. U wlotu stały dwa konie, tuląc się do siebie i niespokojnie strzygąc uszami. Widocznie czuły wilki. Hansa nigdzie widać nie było, ale Krzych niemal był pewny, gdzie go znajdzie. O lepszym

schronieniu trudno było myśleć, woda była pod ręką, ogień można palić bez obawy, że zdradzi go blask. Krzych spętał przeto konie, by nie rozbiegły się, spłoszone przez zwierza, zdjął z nich siodła i juki, dał im po garści owsa, poklepał, by je uspokoić, a gdy zaczęły wygrzebywać spod śniegu zeschnię trawy, zawrócił do parowu i stanąwszy u wlotu, nasłuchiwał. Istotnie z ciemnej głębi posłyszał

płytki, lecz równy oddech, Hans spał widocznie. Zapewne nic nie jadł, juki były nierozpakowane. Krzych postanowił nie budzić go, póki nie przyrządzi wieczerzy, sam walczył ze snem, ale silniejszy był głód. U wejścia do schronu ułożył susz i jął krzesać ogień.

Jasną smugą w ciemności posypały się iskry i zajęty chwytaniem ich na hubę, by rozdmuchać żar, Krzych ledwo zdążył odruchowo uskoknąć, uchwycić za rękę Hansa i wydrzeć nóż. Bez trudu obalił młodzika na ziemię i szamocąc się z nim, syknął:

- Oszalałeś! To ja, Krzych Nałęcz.

Zawlókł słaniającego się na nogach Hansa w głąb schronienia, odszukał upuszczone krzesiwo i gdy wreszcie wyskoczył płomień, przy jego blasku spojrzał na Hansa. Siedział

skulony pod gliniastą ścianą parowu, w wychudłej i zapadniętej twarzy, o ponurym i zaciętym wyrazie, gorętwą świeciły oczy. Prawą ręką podtrzymywał lewe ramię, widno uraziwszy ranę w czasie szamotania.

Krzych w milczeniu krzątał się koło posiłku. Zapasy w jukach, uszczuplone wczorajszą wieczerzą zgłodniałej gromady ludzi, dla dwóch mogły starczyć zaledwie na parę dni, ale Krzych umiał zarówno głodować, jak i zaopatrzyć się w żywność z lasu. Natomiast troską przejmował go stan Hansa. Zapomniał o tym, że ślubował sobie nie troszczyć się o nikogo. We wspomnieniu wstawał obraz kwitnącego, pełnego chłopięcego wdzięku młodzieńca, który u niego szukał oparcia, by ocalić swą wiarę w ludzi i posłannictwo Zakonu; przed sobą miał ruinę pięknego ciała i duszy, skrytobójcę, który patrzył na niego złym i nieufnym spojrzeniem. Krzych rozumiał jego uczynek: w otwartej walce nie mógł się pomścić na potężnym możnowładcy, a tęższym od siebie i zdrowym mężu. Dlatego zgodził

się jechać samowtór z nie przeczuwającym podstępem grafem. Niemniej budziłby w Krzychu obrzydzenie, gdyby nie wstające znowu poczucie winy i litości jak nad pokrzywdzonym dzieckiem.

Gdy polewka się uwarzyła, Krzych, nie pytając, karmił jął Hansa, po czym rozwinął

opatrunek na jego przedramieniu. Rana była zaogniona, otwarta w czasie szamotania, krwawiła znowu. Niełatwo będzie go ocalić, a jeśli się nawet uda, to co go czeka? Mimo woli położył rękę na jego spotniałym czole, mówiąc łagodnie:

- Teraz ułóż się spać i nie myśl już o niczym. Sił trzeba do drogi.

Hans gwałtownie odepchnął rękę Krzycha.

- Strać mi się z oczu, bo ubiję i ciebie. Nie kupisz mnie litością. Chcę zdechnąć.

W półprzytomnym jego spojrzeniu była nienawiść i rozpacz. Krzych w piersi czuł ucisk, dławiło go w gardle. Przemógł się i zaczął:

- Posłuchaj! Cóżem ci winien? Bogiem się świadczę, iżem cię wbrew sercu odepchnął.

I mnie nic po żywocie, po dwakroć własną ręką zbyć go chciałem, ale ją powstrzymało miłowanie. Może i ciebie ktoś miłuje i czeka.

Hans niespodzianie parsknął śmiechem, aż Krzycha dreszcz przeszedł.

- Miłuje i czeka! Zgadłeś. Miłowaliśmy się... jako święci Franciszek i Klara.

Ślubowaliśmy sobie, że się czyści spotkamy w lepszym żywocie, gdzie nie ma zdrady, starości ni grzechu. Mniemaliśmy, że najłatwiej o zbawienie w zakonnym żywocie...

Znowu wybuchnął śmiechem i zacinając się, ciągnął:

- Czyści! Może iście spotkamy się... w piekle... jeśli i ona dziewczką ostanie... jako ja...

tego piekielnika.

Zerwał się i zachłystując się niemal, krzyczał:

- Gdym cię ujrzał, mniemałem, że to on wrócił... żywym czy upiorem. Żeby miał sto żywotów, sto razy bym zabił. Zakonny żywot! Zbawienie!

Padł na ziemię i zaniósł się szlochem, że zdać się mogło, iż ducha wyzionie. Krzych przymknął oczy, bo go piekły, i gładził Hansa po głowie. Nie wiedział, kiedy obaj posnęli.

Zbudziło ich dopiero jaskrawe światło. Na polu był jasny, mroźny dzień.

Gdy Krzych osiodłał konie i gdy bladego jak zakonny płaszcz Hansa podsadzał na siodło, ten powiedział:

- Nie zabiję ciebie. Jednego grzechu nie przewidziały zakonne statuty...

Urwał i uśmiechnął się dziwnie. Krzych sądził, że Hans mówi o skrytobójczym morderstwie zakonnego gościa. Sam z troską myślał, czy nadludzkiego wysiłku ocalenia życia Nendorfa nie podejmuje po to, by wydać go pomście zakonnych krewniaków grafa.

Hans nie przyzna się, za co go zabił, ale Krzych nie wątpił, że jeśli się sprawa wyda, przyzna się do popełnionego uczynku.

Natomiast wątpić zaczynał, czy zdoła Hansa ocalić. Konie, żywione tylko korą i suchą trawą, którą

same musiały wygrzebywać, wlokły się noga za nogą. Szybciej niż drogi ubywało żywności, konieczność wystarania się o nową stawała się nagląca. Ustaliła się mroźna pogoda i śnieżny całun zaroił się śladami drobnego i grubego zwierza, ale łowy z nożem jeno w rękę nie były rzeczą łatwą, prostą ani bezpieczną, a wymagały czasu i swobody ruchów. Krzych rozglądał się za wilczymi śladami. O tej porze roku drapieżniki te nie polują stadami, zarznąwszy grubego zwierza, przez kilka dni karmią się jego ścierwem, można się z nimi łupem podzielić. Ale daremnie wypatrywał, lękał się oddalić na dłuższy czas od Hansa i koni, a trzeciego dnia po skąpym południowym posiłku sakwy opróżniły się już niemal doszczętnie. Pozostawały tylko łowy lub zarznięcie jednego z koni. Na drugiego niewiele mięsa będzie można załadować, skoro musi nieść niezdolnego do drogi Hansa. Prędzej czy później łowy staną się jedynym źródłem zaopatrzenia się w żywność, a sprzyjająca teraz pogoda może się odmienić.

Krzych przestał się wahać. Wyszukał zaciszny wykrot, zdatny na dłuższe schronienie dla Hansa. Nazbierał dla koni suchej trawy, a suszu na podtrzymanie ognia przez kilka dni, skoro Hans, rękę mając uszkodzoną, nie zdoła go sam rozniecić. Wcześniej, bez wieczerzy ułożył się do snu, a daleko jeszcze było do świtu, gdy dorzuciwszy grubego drewna na ognisko, by nie wygasło, nim się Hans obudzi, ruszył w las.

Powiew wstał od północnego wschodu, zapowiadając dalszą mroźną pogodę. Krzych szedł pod wiatr, rozglądając się za śladami, skoro tylko pojaśniało na tyle, że można je było rozeznaczyć. Wypatrywał dziczych. Stado podejść się nie da, ale samotnego odyńca można zająć śpiącego w barłogu. Nielękliwy jest, toteż spotkanie z nim z nożem jeno w rękę może oznaczać kres. Nie ma gorszych ran niż od dziczych szabel, a w tych warunkach każda równała się śmierci.

Krzych jednak również nielekliwy był, a nie pierwszy raz polował samotnie na dzika.

Gdy znalazł wreszcie ślad sporej sztuki, ruszył za nią. Z dala już na śnieżnej pościeli dojrzał czarne plamy. Odyniec buchtował w nocy, zorał spore poletko, nażarty, powinien zaleć niedaleko. Krzych odszukał wyjściowy ślad. W głębokim kopnym śniegu dzik orał głęboką bruzdę, z dala widoczną.

Na leżącego dzika można nadepnąć, nim się zauważy zaśnieżone cielsko, toteż Krzych szedł niezmiernie ostrożnie, obchodząc każdy kierz. Opoślad ślad skreślił na zachód i Krzych przystanął. Dzik zmierzał w kierunku obozowiska, co było okolicznością pomyślną, gdyby nie to, że z wiatrem nie da się zaskoczyć i prędzej zwęszy Krzycha, nim ten go dostrzeże.

Nie było innej rady, jeno zejść ze śladu ku południowi i iść równoległe do niego.

Lekko północny kierunek wiatru nie pozwoli dzikowi zwęszyć wroga, ale też zaskoczenie odyńca w barłogu stawało się mniej prawdopodobne.

Gdy podszyty bór przeszedł w drągowinę, Krzych pomiarkował, że dzik idzie wprost na obozowisko. Jeśli nie zalegnie zaraz, pójdzie daleko, spłoszony wonią człowieka i ognia.

Niespodzianie ujrzał zwierza na łysej wyżynie, a zachowanie jego zdradziło, że nie zamierza zaleć.

Stał zwrócony ku zachodowi, postawiwszy chyb i uszy. Zwęszyć obozowiska jeszcze nie mógł, coś innego obudziło jego czujność. Nagle zawrócił i wzbijając kurzawę sypkiego śniegu, ostrym kłusem popędził z powrotem.

Łowy były chybione, ale Krzych nie myślał już o nich. Stał również nasłuchując i co sił ruszył ku obozowisku. Dochodziły stamtąd dalekie, ledwo dosłyszalne ludzkie głosy.

Zanim kopiąc się w śniegu, dopadł wykrotu, posłyszał przeraźliwy, śmiertelny kwik konia.

Dobiegając, nie widział, co się dzieje w głębi wykrotu, ale nie miał już wątpliwości. Jacyś zbiegowie napadli na Hansa, by zrabować konie. Dochodziły niemieckie słowa:

- Zarznij i jego. Jedna gęba mniej i do żarcia, i do gadania.

Na skraju wykrotu Krzych ujrzał, jak dwóch ludzi sprawiało zarzniętego konia, a trzeci, klęczący na piersi Hansa, podniósł nóż. Jednym skokiem z dwusążniowej wysokości Krzych spadł między napastników. Szamocący się z Hansem człowiek, pchnięty nożem w plecy, zapiał i zwał się w tył, ale Krzych sam ledwo zdołał uchylić się od ciosu i wbić nóż w pierś napastnika, a niemal jednocześnie lewą pięścią wyciął trzeciego w czoło, że ten legł bez ruchu. Stał nad nimi dysząc i patrzył. Nie było wątpliwości: zabitymi byli towarzysze, z którymi początkowo uchodził, trzecim był giermek von Schwarzburga. Czwarty zapewne ustał i zostawili go na przepadłe. Wilcze prawo!

Napastnik, ogłuszony, poruszył się i usiadł, patrząc półprzytomnie. Hans dźwigał się z ziemi, trzymając się za zranioną rękę. Krzych rozglądał się za drugim koniem. Zapewne, spłoszony, zerwał się i pognął w las; utracenie go równałoby się ostatecznej klęsce. Krzych bez namysłu pobiegł za śladem.

Na szczęście niezbyt daleko koń zapętał się trzęzłą o kierz i stanął. Krzych uspokoił go i powiódł do obozowiska. Gdy dotarł do wykrotu, ujrzał, jak Hans wyciera nóż o kubrak giermka, który leżał bez ruchu na ziemi, a z ust jego sączyła się krew. Hans spojrzał na Krzycha i jakby wyjaśniając, powiedział obojętnie:

- Jedna gęba mniej do żarcia i do gadania.

Krzych nie wątpił, co Hans ma na myśli. Nikt się już nie dowie, co stało się z grafem.

Ale dokonująca się w Hansie przemiana gasiła litość i współczucie. Krzych sam nie czuł

żadnych wyrzutów z powodu zabójstwa ani oburzenia na postępek pachołków. Każdy ma prawo walczyć o życie. Bez słowa jął oprować konia. Los rozstrzygnął, łowy stały się niepotrzebne. Gdy skończył, załadował juki na pozostałego konia i ruszyli. Szedł przodem pieszo. Nie chciał mówić z Hansem. Jak szybko w Zakonie święty Franciszek zmienia się w zimnego mordercę.

Hans zmiarkował widocznie zmianę, zaszła w zachowaniu Krzycha, ale nie wszczynał rozmowy. Dopiero gdy o zmroku stanęli na nocleg, odezwał się:

- Pewnikiem i nad nim byś się lutował, dlatego sam go zarznąłem. Za miętkie masz serce do Zakonu.

Krzych nic nie odrzekł i niewiele już mówili z sobą, zanim po tygodniu niewypowiedzianych trudów i ponieważ zabłysła przed nimi iskrząca bielą w pogodnym słońcu zaśnieżona wstęga zamrożonego Niemna.

W Ragnecie przyszło im się rozstać, bo Hans zostawał w infirmerii, a Krzych wraz z wynędzniałymi niedobitkami, których o dzień wcześniej przywiódł komtur Berner, odchodził

do Królewca. Wieczorem przed odjazdem Hans odszukał Krzycha i powiedział:

- Nie dziękuję ci, bo wiem, że gardzisz moją odwdzięką, jako ja żywotem. Ale jeszcze rad będziesz, żeś mi go ocalił, bo wiem też, że nienawidzisz Zakonu.

Modły o pomyślny wynik wyprawy von Plotzkego nie większy odniosły skutek niż gusła, które odprawiano, budząc nawet wśród światlejszych braci zgorzienie i obawę, by nie zgotowało to Zakonowi losu templariuszy. Co gorsza, nie tylko wróżby pogańskich żyrców, ale i uczone horoskopy astrologów nie zapowiadały pomyślnych dla Zakonu wydarzeń w rozpoczętym wieścią o klęsce i śmierci wielkiego marszałka roku Pańskim 1321. Do Malborka, gdzie von Wildenberg na czas nieobecności wielkiego mistrza przeniósł z Elbląga swą siedzibę, jedna za drugą napływały jęły wieści, które przyczyniały landmistrzowi trosk i zgryzoty. Nic to jeszcze, że pogańskie gromady, rozzuchwalone powodzeniem, a ubezpieczone nieładem w Inflantach, wzmożyły swą napastliwość, zmuszając pograniczne komturie do ustawicznej czujności i ściągania sił z głębi kraju. Ale niespodziane małżeństwo przychylnego dotąd, a przynajmniej uległego wobec Zakonu Wańki płockiego z córą Giedymina Danutą Elżbietą oznaczało wzmocnienie groźnego i tak wroga. Wańko niewątpliwie przez małżeństwo zabezpieczyć się chciał od niszczących najazdów litewskich, ale zarazem sam zabezpieczał teścia od strony Mazowsza. Landmistrz natychmiast wysłał do Płocka poselstwo, z żądaniem wyjaśnienia, jakie zawarto układy, dając zarazem księciu do zrozumienia, że nie uda mu się stać na uboczu. Zaprzysiężony przyjaciel Krzyżaków, a potężny i wpływowy biskup Florian Leszczyc z Kościelca dopilnuje zapewne w Płocku interesów Zakonu, niemniej sprawa wymagała bacności i zabiegów. Bardziej jeszcze niepokojąca była wieść o drugim związku - Elżbiety Łokietkówny z węgierskim Karolem Robertem. Krzyżacką kabałą wywołana wrogość między sąsiednimi monarchami zamieniła się przez to małżeństwo w trwałe przymierze, nie tylko zwalniając siły Łokietka na południu, ale podnosząc jego cenę w Kurii w okresie, gdy dojrzewał właśnie proces o Pomorze.

Ogłoszenie wyroku w Inowrocławiu, wyznaczone pierwotnie na dzień świętej Agnieszki, przełożone zostało na oktawę oczyszczenia Najświętszej Panny Marii, z powodu przeszkód po stronie sędziów. Wprawdzie od tego terminu brat Zygfryd wniósł apelację, ale mógł przez to uzyskać zwłokę na tygodnie, a chełpił się, że na lata. Landmistrz stracił zaufanie do jego obrotności. Wystawił przeto dodatkowe pełnomocnictwo plebanowi od Świętego Jana z Torunia, magistrowi Fryderykowi, i polecił mu za wszelką cenę nie dopuścić do ogłoszenia wyroku. Obawiał się bowiem, że umocniony Łokietek nie będzie czekał na wynik krzyżackich zabiegów w Awinionie, lecz mając wyrok w ręku, zechce egzekwować go mieczem w chwili najmniej dla Zakonu sposobnej.

Gdyby jednak von Wildenberg sam był obecny na posiedzeniu sądu w kościele Świętego Mikołaja,



byłby odzyskał zaufanie do brata Zygryda, nie mniej i z magistra Fryderyka byłby zadowolony. Jak większość zgromadzonych w kościele dygnitarzy nie rozumiałby wprowadzie sypanych niczym z rękawa liczb i nazw kanonów, na które się powoływali krzyżacy prokuratorzy, ale samo ich zachowanie wobec działających z ramienia Stolicy Apostolskiej wysokich dostojników kościelnych ujawniało pewność siebie, a wystąpienia wyrażały lekceważenie zarówno osób sędziów, jak i zapaść mającego wyroku.

Po niesporze sąd zasiadł na podwyższeniu przed ołtarzem i udzielił głosu kanclerzowi sieradzkiemu Zbyszkowi, który powołując się na kanon „reintegranda” zażądał

przysądzenia królowi Pomorza i odszkodowania w wysokości 30 000 grzywien, skoro udowodnione zostało, że będąc w posiadaniu przedmiotu sporu, bezprawnie został go pozbawiony. W czasie gdy wywodził, krzyżacy prokuratorzy rozmawiali między sobą głośno po niemiecku, pogardliwą obojętnością zbywając karcące spojrzenia i gesty arcybiskupa i podnoszący się chwilami wśród obecnych szmer oburzenia. Gdy Zbyszko skończył, magister Fryderyk leniwie dźwignął swą chudą, lekko przygarbioną postać i pospiesznie, jak wyuczoną lekcję, sypać jął zarzuty. Były ubliżające zarówno dla sędziów, jak i dla króla: stroniczość, wyłudzenie papieskiego reskryptu fałszywymi danymi, wygaśnięcie jego mocy na skutek nadużycia. Z kolei skierował zarzuty przeciw trybowi prowadzenia procesu, wbrew oczywistości twierdząc, że Zakon pozbawiony został możliwości obrony w procesie, nie wzywany do przesłuchania świadków, że odmówiono mu dostarczenia akt. Łącząc w żywe oczy, drwiąco patrzył na sędziów, widocznie w przekonaniu, że sąd odbierze mu głos, i ukuć będzie mógł z tego nowy zarzut. Arcybiskup mienił się na twarzy, opat oczy wznosił w górę, jakby niebo biorąc za świadka krzyżackiego kręactwa, biskup Domarat Grzymalita pięści zaciskał, ale gdy wyciąć zamierzył w stół, Janisław rękę na jego dłoni położył. Wysłuchał z cierpliwością do końca, ale wyczerpawszy ją widocznie, ogłosił

odroczenie rozprawy do następnego dnia, celem wysłuchania odpowiedzi królewskich prokuratorów i ogłoszenia wyroku.

Nazajutrz Janisław w asyście obu sędziów celebrował mszę w nabitym do ostatniej głowy kościele. Tylko przeznaczone dla krzyżackich prokuratorów miejsca w stallach świeciły pustką. Zaciekawienie, wyrokiem było powszechne, zwłaszcza pośród tych, którzy po zajęciu Pomorza przez Zakon zmuszeni byli opuścić swe domy i majątności. Nikt nie miał

wątpliwości, jaki wyrok musi zapaść, ale z napięciem czekano, jakich kruczków chwycą się Krzyżacy. Niektórzy sądzili, że nie stawią się, by uzyskać nowy pozór zwłoki lub dodatkowy zarzut. Ale gdy arcybiskup odszedł od ołtarza, celem złożenia szat pontyfikalnych, przy wejściu do kościoła powstał szmer: kapelani Fryderyk i Zygryd przepychali się do prezbiterium, odsuwając z dostojnym zniecierpliwieniem zagrządzających im drogę. Wśród niechętnych szeptów czyniono im przejście. Gdy dotarli do stall, zajęli swe miejsca, nie skłoniwszy się nawet sądowi, i natychmiast rozpoczęli rozmowę.

Wezwany do głosu podkanclerzy Zbyszko zbijać jął krzyżackie zarzuty, wykazując, że są zarówno bezpodstawne, jak spóźnione i zmierzające do przewłoki. Zakończył żądaniem ogłoszenia wyroku. Nim skończył, kilkakrotnie przerywał wywód, ostentacyjnie czekając, by krzyżacy prokuratorzy umilkli. Wówczas słyhać było, jak siedzący za kanonikiem Janem z Rudy nakielski starosta Henryk

szeptem z nim rozmawia. Sędziowie trwali nieporuszeni, widno z góry postanowiwszy, że niczym nie pozwolą się wyprowadzić z cierpliwości.

Cierpliwie też słuchali, jak z kolei magister Fryderyk ponownie jął powtarzać podniesione już zarzuty, pomijając milczeniem, jakby ich nie słyszał, wszystkie argumenty podkanclerzego i zaprzysiężone zeznania najpoważniejszych świadków, jakby niewarte były nawet wzmianki; twierdził, że ani Łokietek, ani jego dziad, ani pradziad nigdy nie posiadali Pomorza. Po śmierci Mestwina należało do króla czeskiego, który je odstąpił brandenburskim margrafom, a Zakon kupił je od nich prawnym i zatwierdzonym przez cesarza tytułem. Mówiąc co innego, król wprowadził w błąd Stolicę Apostolską i wyłudził reskrypt. Reskrypt poza tym należy do prawa ścisłego i nie może się odnosić do innych osób niż te, co zostały w nim wymienione. Gdy przeto opiewa przeciw wielkiemu mistrzowi i braciom, wzywając landmistrza i komturów - sąd dopuścił się nadużycia. Ukarać sędziów domagać się będzie Zakon przed właściwym sądem, ale niezależnie od tego reskrypt zgasł przez nadużycie i na jego zasadzie nic ważnie przedsięwziąć nie wolno.

Skończywszy, magister Fryderyk patrzył wyzywająco na sędziów. Arcybiskup, hamując się, kręcił pierścień pasterski na palcu, biskup Domarat szeptał coś do niego w podnieceniu. Po kościele rozchodził się szmer, widno ci, co rozumieli przemówienie Krzyżaka, wyjaśniali je drugim, gdyż czuć było wzrastające napięcie. Niespodzianie ponad szmer wybił się głos starosty Henryka:

- Wždy mówiłem, że reskrypt opiewać winien przeciw psubratom. Wiadomo byłoby, że dotyczy wszystkich Krzyżaków.

Napięcie nagle rozładowało się śmiechem. Arcybiskup, stukając o stół krucyfiksem, by przypomnieć powagę miejsca i sądu, starał się go pohamować. Fryderyk stał, to czerwieniąc się, to blednąc, gdy zerwał się Zygfryd. Rozumiał polską mowę i obelga rzucona publicznie

Zakonowi zdała mu się świętokradztwem, godnym piorunu z nieba. Zachłystując się ze wzburzenia, podniósł głos:

- Wasza przewielebność nie dowodzi bezstronności, bezkarnie zezwalając lżyć wielkiego mistrza i Zakon, których majestat my tu przedstawiamy...

Arcybiskupowi żyły nabrzmiały na czole i przerwał ostro:

- Musiałem i wasze obelgi równie bezkarnie puścić mimo uszu, skoro wy zakonnemu jeno sądowi podlegacie. Starosta zasię królewskiemu, i służy wam prawo u pana naszego o cześć Zakonu się upomnieć. Ja mogę tylko zlecić wciągnięcie do akt, co powiedział dostojny starosta Henryk z Rynarzewa, by wam dowód zabezpieczyć.

Nim Zygfryd zdołał odpowiedzieć, Henryk ozwał się na cały głos:

- Nie trzeba, wasza przewielebność. Wszędy im to powtórzę, ilekroć zapragną.

Arcybiskup gniewnie opanował zrywające się znowu śmiechy i zwracając się do starosty, powiedział:

- Wasza dostojność zechce nie wzorować się na czcigodnych rzecznikach Zakonu, jeśli ich czcigodnymi zwać przystoi.

Henryk głową skinął z uśmiechem, lecz widno nie wziął do serca przygany, bo zaraz szeptać jął do Jana z Rudy, który, wstawszy, o głos poprosił. Gdy Janisław skinął przyzwa -

lająco, rad skończyć zajście, kanonik oświadczył:

- Proszę o wciągnięcie do akt, iż prokuratorzy wobec sądu przyznali, że tutaj wielkiego mistrza i Zakon przedstawiają.

Magister Fryderyk zerwał się i zaczął wzbudzony:

- Kogo tu przedstawiamy, świadczy treść pełnomocnictwa. Za drwiny zasię uznać musimy radę, byśmy u waszego pana szukali sprawiedliwości. Nie będziemy o nią prosić, dostojny landmistrz sam potrafi jej domierzyć.

Spojrzenie kosych oczu wpił w Henryka, który uśmiechał się i odparł z kpiną:

- Nie będzie potrzebował trudzić się do mnie, bo was wkrótce odwiedzę na naszym Pomorzu.

Fryderyk zbierał się widocznie do gwałtownej odpowiedzi, ale zniecierpliwiony do ostateczności Janisław krucyfiksem wyciął o stół, a gdy ucichło, polecił obecnym wstać, a notariuszowi Bogusławowi z Sandomierza odczytać sentencję. Notariusz rozpoczął od wymienienia składu sądu stron i zastępców, po czym odczytał reskrypt papieski. Gdy zaś skończył, sam arcybiskup rozpoczął odczytywać uzasadnienie. W tej chwili Zygfryd ujął

leżący przed nim pergamin i jednocześnie na cały głos czytać jął apelację. W kościele znów podniósł się wzbudzony szmer, tak że chwilami nie słyhać było czytających. Arcybiskup jednak nie zważał już na to i nie przerwał, gdy Henryk z Rynarzewa, powstawszy z miejsca, wygarnął:

- Szkoda, że nie ma tu rycerza Radochy, który przyrzekł tak zdzielić Krzyżaka w pysk, żeby go przez sześć niedziel nie rozwarł. Wyjdę, bo mnie samego ręka świerzbi.

Skłonił się sądowi, w stronę krzyżackich prokuratorów wzgardliwie przytknął palcami i zwrócił się do wyjścia. Za nim jęli wychodzić inni i arcybiskup dokończył czytania wyroku w niemal opustoszałym kościele. Pozostali tylko duchowni, by móc świadczyć, że wyrok zgodnie z prawem został ogłoszony.

Wyznaczywszy na dzień świętych Symeona i Konstancji w Brześciu termin do załatwienia krzyżackiej apelacji i wręczenia zakonnym prokuratorom listów do Stolicy Apostolskiej, Janisław wyjechał do Włocławka, celem naradzenia się z biskupem Gerwardem Leszczycem nad dalszym prowadzeniem sprawy. Nie wątpił, że Zakon czynić będzie w Awinionie zabiegi, by wyrok obalić. Gerward miał w Kurii znajomości i wpływy, które należało wyzyskać, by zapobiec krzyżackiemu krętaństwu. Rozjechali się też inni świeccy i kościelni dostojnicy, których w Inowrocławiu trzymała ciekawość.

Kujawskie rycerstwo i dostojnicy od czasu wspólnej z Zakonem wyprawy przeciw Świętopełkowi, w czasie drugiego powstania pruskiego, utrzymywali z Krzyżakami sąsiedzkie stosunki, odczuwając wrogość dopiero z chwilą naruszenia ich własnych praw.

Gerward, choć światlejszy i szerszego umysłu, również zdał sobie sprawę z krzyżackiego niebezpieczeństwa dopiero, gdy po zajęciu Pomorza zaczęli obsadzać swymi duchownymi należące do jego diecezji parafie. Rozpoczęty z nimi zatarg o obsadzenie kościoła w Świeciu zaostriął się, namiętny i nieustępliwy biskup stał się zawziętym, a przez swą obrotność i znajomość Kurii - niebezpiecznym wrogiem Zakonu, a tym samym najgorliwszym współpracownikiem Łokietka. Przypomnienie krzyżackich okrucieństw i bezprawia oraz jawne drwiny z prawa i sprawiedliwości roznosiły falę oburzenia przeciw Zakonowi i stwarzały poczucie wspólnego niebezpieczeństwa. Przygnębienie pewnością siebie i czelnością zakonnych prokuratorów minęło. Okazane Krzyżakom przez Henryka z Rynarzewa lekceważenie i rzucona otwarta groźba pozwalały być lepszej myśli. Pałuk, siedząc na samej granicy, nie lęka się widocznie krzyżackiej potęgi, choć zdrowo już dojadł

Zakonowi.

Starosta Henryk, zbierając się również do wyjazdu, rozmyślał, jak zapowiedź swą wykonać. Tym razem nie szło już o zwyczajne łupienie krzyżackich wójtostw czy kupieckich pocztów, na co wystarczała szczupła załoga Nakła, ale o zamęt na całej granicy, by dać odczuć Krzyżakom, że drwić mogą z pergaminów, ale nie z żelaza. Po klęsce i śmierci wielkiego marszałka, o której były już wieści, szczególnie zależeć im musiało na spokoju, trzeba im go zakłócić.

Zamiast przeto na Szubin starosta ruszył na Bydgoszcz, by po drodze odwiedzić Radochę w jego gródki i porozumieć się z nim w sprawie współdziałania. Spotkał go jednak zawód, bo nie zastał Radochy, jeno samego Pizłę. Trudno się było dogadać z zająkliwym milczkiem, który na dobitkę nastroszony był czemuś. Zagadnięty o Radochę, odburknął:

- Ani wiem, gdzie jest, ani kiedy wróci.

Starostę złość porwała, ale znalazł już Pizłę i świadomy był, że na siłę nic z niego nic wydusi. Pohamował się i zapytał spokojnie:

- Kiedy wyjechał i po co?

- Jeno bagna Stańły. A po co, nie wiem, bo nie gadamy z sobą.

Starosta z sykiem wciągnął powietrze.

- Nie pytam po próżnicy, nie każ mi zgadywać. O coście się pocięli?

- Mnie winuje, że Krzych nie ściągnął tu, jeno nad Tonczyną osiadł na przepadłe.

Może Pizło sam czuł się winien, ale tym bardziej źliła go ta sprawa, bo dodał:

- Rzekłem Krzychowi, com myślał. Moja wina, że nigdy nie wiada, co pocznie? A przestrzegałem, by samowtór nie siedział psubratom pod boki. Cóżem go miał prosić?

- Prawda - przytaknął Henryk, czując, że wreszcie pociągnął Pizłę za język. - Licho też wie, po co tam siedział, bo juści, że samowtór niczego by nie zdziałał przeciw Krzyżakom. Ale co się głowić o zeszłoroczny śnieg. Zginął, to zginął, nie on jeden ani ostatni. Nic po takim, co rady nie posłuchnie, a sam nie wie, czego chce.

- A Radocha to wie? - warknął Pizło. - Na mnie się biesi, że Krzych przepadł, a wdowę po nim rad by pojał. Jeno mu uwierzyć nie chciała, że jej małżonek legł. Tedy pewnikiem dowodu szukać pojechał.

- Iście mówił mi o tym, gdyśmy się w Kruszwicy spotkali, a nawet o pomoc prosił.

Ale że się nie przypomniał, myślałem, że mu ze łba wywietrzało.

- Zaś ta co z zakutego łba wywietrzeje! Zabrał, co było lepszych ludzi, i pojechał.

Licho wie, czy sam nie przepadł.

Pizło widocznie zarówno zły był na towarzysza, jak i niespokojny o niego. Ale Henryk nie lubił się trapić, odparł więc niefrasobliwie:

- Pewnikiem wróci, skoro wody puszczą, jeno że wtedy nie pora coś poczynać, chyba na rzece. Krzyżacy o handel wielce dbali, trzeba im przeszkadzać. Pono i ty znajomków masz między tymi, co się obieżą wodną parają.

- Juści mam - mruknął Pizło - jeno póki Radocha nie wróci, nijak mi się ruszyć.

- Każdy gdzieś kości posieje - odparł Henryk niecierpliwie. - Bywa, że człek po niedźwiedzią skórę pojedzie, a swoją ostawi. Pokąd będziesz czekał? Ale Radosze nie nowina zabawiać się z Krzyżaki, tedy pewnikiem wróci.

- Na to jedno nie głupi - mruknął Pizło i odetchnął z ulgą. - Jeno jak gródek ostawić, kiedy i na stróżę ludzi mi brak.

- Na stróżę ludzi mogę podesać, bo na to śmiałków nie trzeba, a ty ruszaj, nie mieszkając. Ładnie by było w samym Toruniu przystań splądrować, a czego nie weźmie -

spalić. Jeno zmówić się trzeba dobrze.

Starosta wyjechał nazajutrz, przyrzekając przysłać ludzi na strażę, a Pizło zbierał się do drogi, gdy niespodzianie wrócił Radocha, zmarnowany i zły, że nie przystap. Pizło od ludzi dowiedział się, że grasowali pod Toruniem, kilkakroć omal nie wpadłszy w łapy komtura. Gdy tam się ciasno uczyniło, przeprawili się za Wisłę, otrzymawszy wiadomość, że stary Sagan wrócił na rzekę. Znaleźli go nad Drwęcą, ale o czym gadał z Radocha, pachółkowie nie umieli powiedzieć, tyle że od tej pory Radocha stał się milczący i zgryźliwy.

Na dobitkę nagły najazd litewski na ziemię dobrzyńską zaskoczył ich i ledwo zdołali ujść z życiem.

Pizło nie próbował wydobyć z Radochy, co go gryzie, wiedząc, że prędzej czy później sam wygada. Zdziwił się jednak, że gdy mu powtórzył zlecenie starosty, Radocha tylko ramionami wzruszył. Może zmęczony był, bo wychudł i twarz mu zapadła; wypocznie, łącniej będzie się rozmówić. Sposobność się trafi, gdy starosta przyśle ludzi.

Zamiast nich Pałuk przysłał wiadomość, że król zlecił spokój utrzymać na granicy, a jemu jechać do Poznania. Przypuszczał, że król zamyśla wmieszać się w śląskie sprawy, bo na zachodzie siły gromadzi.

Posłaniec starosty przyjechał pod nieobecność Radochy. Gdy mu Pizło powtórzył wiadomość, Radocha odburknął:

- Juści! Spokój zachować!

Pizło przypuszczał, że Radocha o to zły, że niczego się nie dowiedział o Krzychu, i nadal zamierza łowy na zakonnych ludzi. Zdało mu się jednak, że się pomylił, gdy Radocha dodał:

- Albo to jeno ja zbijam!

Wydusił wreszcie, że jakaś zgraja rabusiów spustoszyła majątności biskupa Gerwarda, tak że ten aż do księcia Leszka się odniósł, by mu gród w Sławsku wystawić zezwolił dla obrony, a co gorsze, pozory były, że uczynili to ludzie Radochy. Sądząc jednak, że druh niepotrzebnie się tym przejął, Pizło rzekł:

- Że biskup gród wystawi, nie wadzi i niechże się on o to trapi. A naszym ludziom starczy zapowiedzieć, by go osławili w spokoju. Nie wiesz, co za jedni?

- Obcy. Zda się, od krzyżackiej strony. Juści, że się nie oznajmiali, a mnie się sprawiać przyjdzie. Leszczyce cięci na mnie o Rozdrzała, podjudzą biskupa, by się panu poskarżył.

- To się sprawisz, a ninie, gdy bagna puszcza, i tak spokój będzie. Cni ci się, to możesz się gospodarką zabawić.

Gdy Radocha niechętnie coś mruknął, Pizło, by go pociągnąć za język, dodał:

- Albo do Krakowa jechać.

- Mogę! Mieszczany ino na mnie czekają z ortylem, by mnie z miasta wyświecić.

Powiedział to obojętnie, ale Pizło znał go zbyt dobrze, by się nie domyślić, że Radocha nie mówi, co go istotnie gryzie. Ciągnął:

- Tedy jedź do Poznania. Będzie cię biskup winił, sprawisz się od razu. Najdzie się i robota, a zasłużysz się, możesz pod królewskim płaszczem jechać do Krakowa.

- Mieszczany ninie ważniejsze niżli rycerstwo - mruknął Radocha - o biskupie nie mówięcy, którego

król potrzebuje. Z czym zresztą pojedę?! - fuknął z nagłą złością.

- Nie wywiedziałeś się niczego? - zapytał Pizło, a nie otrzymawszy odpowiedzi, zakończył:

- Nie chcesz gadać, to nie. A nie wiesz, co działać, to się obwieś.

Mylił się jednak Pizło, sądząc, że Radocha mówić nie chce, bo go aż roznosiło, by się wywnętrzyć. Ale Pizło był ostatni, z którym chciałby mówić o tym, co się wywiedziało. Tym mniej, że wieść była z trzeciej ręki, niepewna, wręcz zda się nieprawdopodobna. Pochodziła od chłopca pruskiego, zbiegłego z wyprawy wielkiego marszałka, który o niej opowiadał

Saganowi. Między półbraćmi zauważył rycerza, którego opis przystawał do Krzycha, jak ulał, aż do Nałęczki na tarczy. Jeśli wieść była prawdziwa, Krzych przepadł dla Kundzi, a Kundzia dla Radochy. Na domiar z dręczącej go wątpliwości nie mógł się zwierzyć druhowi, choć ten by milczał przynajmniej. Starosta Henryk natomiast nie omieszkałby ostrzyć sobie języka, od żadnego zaś z nich nie mógł oczekiwać pomocy. Sam musi starać się wieść sprawdzić, a nie ma sposobu. Choćby chciał nie posłuchać królewskiego rozkazu, handel na rzece ustał, poczty poselskie czy kupieckie na Śląsk nie pójdą, skoro tam rozpoczęły się walki. Trzeba zdać się na los lub przypadek, a przede wszystkim uzbroić w cierpliwość. Tymczasem lata płyną, pół

wieku minęło Radosze, zima niemal bez dachu nad głową przypominała mu, że już nie młody. Zdałoby się, by ktoś zadbał o niego, pogwarzył z nim we włokące się wieczory. Choć cniło mu się na gródku, do Poznania się nie wybierał, nawet nie dlatego, że czuł się znużony.

Lepiej, by król zapomniał o jego krakowskich wybrykach, długo na Śląsku pewnikiem bawić nie będzie, bo ważniejsza krzyżacka sprawa.

Wkrótce zresztą zaczęły się roztopy, ciepłe deszcze zmyły resztki śniegowej skorupy, potem pod wiosennym słońcem ziemia dymić zaczęła, a w mgiełce wstającej rankami zadzwoniły skowronki. Radocha dość już miał bezczynności i bezpłodnych rozmyślań.

Odetchnął szerzej i z zajadłością wziął się do gospodarki. Ale gdy wieczorami zdrowo zmęczony rozsiadł się przed paleniskiem, mimo woli zaczynał myśleć o przyszłości. Krzych musiał zginąć, pewne było, że napadnięto go w gródku i poraniono, a nawet nad własnymi rannymi Krzyżacy nie mieli miłosierdzia. Gdy zaś Radocha wspominał wspólne z Krzychem przeciw nim walki, wiadomość, że poszedł im służyć, coraz mniej zdała się prawdopodobna.

Musiał zginąć. Żałował go, ale bardziej Kundzi i dziecka. Pokąd mają czekać, biedując w Krakowie, gdy tutaj opływałyby we wszystko.

Z Pizłą nadal gadali tyle, ile tylko konieczne, ale jednego wieczoru Radocha mimo woli myśl swą ubrał w słowa:

- Dziewuszka wyrosnąć musiała...

Pizło wiedział widocznie, o kim mówi towarzysz, bo odmruknął:

- Co młode - roście. Raniej ona żrała będzie, by się wydać, niż ty się Kundzi doczekasz. Uparłeś się babę brać, bierz taką, co też zechce bez czekania, bo ci czekać nie pora. Nie odmłodziłeś bez ten czas.

Radochę poderwało, ale pohamował się. Dość miał milczących rozważań, a jeśli bryźnie złością, Pizło ni słowa więcej nie powie. Patrzył na swe szerokie, szorstkie dłonie, posmutniał i przygaś. Zawsze jeno mordować mają? Tak by się chciało pogładzić dziecięcą główkę! Ale o tym szkoda mówić z Pizłą. On jeno krwi chciwy, jak strzyga, nie zrozumie.

Pizło jednak rozumiał towarzysza. Nadchodząca starość budziła potrzebę tkliwej troskliwości, której obydwaj pozbawieni zostali w chłopięcym wieku, gdy dom Radochy przyorali Krzyżacy. Pizło wiedział, że na zawsze, Radocha jednak szuka własnego dzieciństwa. Nie to go ciągnie do Kundzi, co do dziesiątków niewiast, które przez ręce przepuścił. Ale Pizło wiedział też, że druh jej nie dostanie. Im więcej upływało czasu, znalezienie dowodu śmierci Krzycha stawało się mniej prawdopodobne. Gdyby ocalał, to dałby znak życia, chyba że iście poszedł służyć wrogom. Wtedy byłaby rada: odnaleźć go i ubić. Jedno i drugie niełatwe, co więcej, Radocha by się nie zgodził. Przywiązany był do Krzycha. Głupiec!

Pizłę złość wzięła na druha, ale spojrzawszy na niego, zmilczał. Radocha zapatrzył się w płomień, jego jasne oczy lśniły, choć wąż poruszył się, jakby w uśmiechu. W płomieniu można zobaczyć wszystko, co się w sercu tli, w nocnej ciszy usłyszeć głosy, które dawno przebrzmiały. Pizło nie chciał spłoszyć wspomnień Radochy.

Ale spłoszył je inny głos. Na Samborzy zahuczał puchacz. Radocha drgnął i zaklął:

- Przekłete ptaszyska! Jeno to się tutaj gnieździ. U nas doma - pomnisz - jaskółki piskały, kiedy wywiodły potomstwo.

Umilkli obydwaj, zadumani. Ale myśl Radochy krążyła koło rodzicieli i siostrzyczki, a Pizły nad zaorany pogorzeliem, które pokryło jedyne miejsce na ziemi, gdzie zaznał

odrobiny dobra. Niechby choć Radocha odnalazł swój dom, skoro samą zemstą żyć nie umie.

Łokietek istotnie nie zamierzał długo bawić w Poznaniu, dokąd zjeżdżał niechętnie: nie chciał dać się wciągnąć w zadawnioną waśń między rodami Nałęczów i Zarembów.

Zatrzymał się jeno na parę dni w zamczku Przemysława, czekając na starostów Henryka z Rynarzewa i Przybysława z Sierakowa, by wysłuchać ich sprawozdań i wydać zarządzenia w sprawie zbrojnej pomocy dla książąt Wrocławia, Brzegu i Opola przeciw Konradowi namysłowskiemu, za którym stał ruchliwy i przedsiębiorczy Jan czeski. Łokietek równo dobrze jak Luksemburczyk wiedział, że rozbity i skłócony Śląsk musi się stać łupem mocniejszego sąsiada. Zamel w Brandenburgii po wygaśnięciu Askańczyków, przymierze z książętami halickowłodzimierskimi i spokój od krzyżackiej ściany pozwalały wzrok i siły skierować na zachód. Sprawy pomorskiej nie tracił z oczu i nie łudził się, by się na wyroku skończyła; ale nim do innych sięgnąć będzie mógł środków, umocnić się należy.



Starostowie nie dali czekać na siebie i Łokietek rad ich zobaczył. Lubił i cenił

obydwu, choć niczym do siebie nie byli podobni. Przybysław z mało znanego i nieznacznego rodu Napiwoniów, mimo to na swym trudnym stanowisku potrafił zdobyć powagę, nie pozwalając się wciągnąć w spory i niechęci między możnowładcami. Niski był, krępy, potężne ramiona zdały się rozsadzać rękawy jaki, pod wypukłym czołem, przykrytym lśniąca czarna grzywką, świeciły oczy bystre i rozumne. Powściągliwy w mowie i w ruchach, stanowił przeciwieństwo Henryka, ale może właśnie dlatego doskonale się uzupełniali w powierzonym sobie, odpowiedzialnym zadaniu pilnowania granic. Pałuk szukał w tym rozrywki, Przybysław gromadził chciwie bogactwa, zapewne przy ich i łaski królewskiej pomocy zamierzając ród swój wynieść między pierwsze. Tego Henryk nie potrzebował, ale że nigdy nie dał odczuć drażliwemu na to człowiekowi, że się za lepszego uważa, Przybysław Borkowic lubił go widocznie, z czego król rad był, sam zresztą słabość żywiąc do człowieka, który, mimo wysokiej godności i pół kopy lat z górą, wciąż miał w sobie coś z dawnego urwipołcia. I teraz Henryk, opowiadając o przebiegu procesu w Inowrocławiu, przedstawiał

go tak, że król mimo woli kilkakroć się uśmiechnął, choć sprawa zgoła do śmiechu się nie nadawała. Gdy napomknął o Radosze, król przerwał Henrykowi:

- Gdy go obaczysz, rzeknij mu, że przede mną chować się nie potrzebuje. Małżonka moja jakoś sprawę załagodziła, nie patrzyłem jej na ręce, bo nic mi do tego, byle spokój był.

Ale w Krakowie radziej niechaj się Radocha nie pokazuje. Tam, gdzie siedzi, prawie dla niego miejsce.

- Kiedy właśnie w Krakowie podwika żywie, do której tak go ciągnie, że się mało nie urwie - zaśmiał się Henryk.

- Szukać jagód w zimie, na starość miłości! Co staremu myśleć o podwikach - mruknął

Łokietek, ale starosta odpalił:

- Krzepki chłop, nie jeno myśleć by wydolił. Cóż, kiedy się właśnie na tę uparł, a o innych ani myśleć nie chce. Darmo go namawiałem, by klin klinem wybić.

- Ja zasię ciebie, byś się ustatkował. I on niechby się zenił, skoro się uparł, ale w mieście nic takiemu do szukania.

- Statecznie myślę o żeniacze, miłościwy panie. Niech mi jeno dziewczki zbrzydną, wraz się ożenię. Ale jemu widno zbrzydły, a żenić się nie może, bo nawet nie wiada - zameżna czy wdowa.

Gdy król spojrział pytająco, dodał:

- To po onym rycerzu Krzychu Nałęczu czy Leliwie o którym nigdy nic nie wiadomo... Widząc, że Łokietek zmarszczył się niechętnie, ciągnął:

- Nawet zali legł lubo żywię. Ale zda się, że go Krzyżaki ubiły w jego gródku nad Tonczyną.

- Nieszczęsny człek - powiedział Łokietek w zamyśleniu. - Tedy koniec byłby sprawie, co się zawlekła w pokolenia. Jeśli zginął, niechaj Bóg odpuści jemu i wszystkim, co do niej ręki przyłożyli.

- Jeno nie Krzyżakom, amen! - zakończył Henryk.

Roztopy zatrzymały króla w Poznaniu dłużej, niż bawić zamyślał, skorzystał przeto ze zwłoki, by się rozpatrzeć w sprawach miejscowych i brandenburskich, gdy do miasta zjechał

Wincenty Nałęcz z Szamotuł. Po śmierci Dobrogosta z Dzwonowa, mimo młodego, jeszcze wieku, był głową rodu, który się za pierwszy uważał w Wielkopolsce, on sam zaś za pierwszą w niej osobę. Właściciel obszernych ziem między Wartą a Notecią, dzierżyciel pogranicznych grodów w Wieleniu, Pomorzanach i Czarnkowie, sąsiad i krewniak panów na Drezdenku, grafów von Ost, a przez nich spowinowacony z brandenburskimi możnowładcami, miał w Marchii stosunki i wpływy, które król zamierzał spożytkować, choć niezbyt ufał człowiekowi, który jawnie własne i rodu swego korzyści miał na oku. Zjechał jak udzielny książę, z okazałym dworem i hucem rodowym, i prosił o posłuchanie, a król nie wątpił, że nie po to jedynie, by się pokłonić i służby swe zaofiarować bez wzajemnych żądań. Domyślał się nawet, że pyszałka drażni iż nie on, lecz mało znany Przybysław jest poznańskim wojewodą i starostą Wielkopolski i Kujaw. By okazać więc, że nie przywiązuje nadmiernej wagi do spotkania, przyjął go postanowił bez żadnej okazałości, właśnie w towarzystwie Borkowica, przy którym, jak sądził, Wincenty żądań swych nie wysunie. Rozmyślnie natomiast król nie przyzwał Henryka z Rynarzewa, wiedząc bowiem o jego starciu z Nałęczami po zdobyciu Poznania, przy którym - jak sam mówił - gębę sobie Nałęczką wytarł, wszem wobec wypominając udział Nałęczów w zabójstwie króla Przemysława, lękał się, by niepowściągliwy w słowie Pałuk nowego zajścia nie wywołał. Wincenty jednak, nie bacząc na obecność Przybysława, niemal wprost o stanowisko starosty się przymówił. Gdy bowiem król zapytał o brandenburskie sprawy, Nałęcz wtrącił:

- Pora iście do układów sposobna, ale to rzecz starosty, który wasz majestat tu przedstawia.

Król uciał niecierpliwie:

- Ninie układami wiązać się nie zamierzam, chcę jeno wiedzieć, co się w Marchii mówi i gotuje. Z krewniakami zasię i sąsiadami gadać wolno każdemu, a sam wystąpię, gdy będę wiedział, co poczynąć.

- I z sąsiadem inaczej gadają, gdy wiedzą, że to nie jeno z własnej ciekawości pogwarki, lecz z urzędu, a wpływ ma na sprawy, o które idzie - z uporem odparł Wincenty, ale król przerwał:

- Gdy nadejdzie pora, by gadać w moim imieniu, powrócimy do tego. Urzędy zasię nie są dziedziczne ni nawet dożywotnie. Jako wiecie, i bratanka własnego z wielkopolskiego starostwa zwolniłem, bo to nie jeno zaszczyt, lecz i ciężar, którego zbyt długo nikt dźwigać nie wydoli.

Widząc, że Wincenty zeszywniał, Łokietek dodał:

- Przódzi moje zaufanie zyskać trzeba i trafia się wam sposobność, a nikt o mnie rzecz nie może, bym zasługi ostawiał bez odpłaty. Ale własne, a nie przodków, jako że i win przez nich popełnionych potomkom nie pamiętam.

Nałęcz zrozumiał, do czego król pije, i widział, że niczego na nim nie wymusi. Nie chciał zaś go zrażać, a raczej pozyskać, niezbędnym się przedstawiając. Mówić więc zaczął o położeniu, jakie w Marchii powstało po wygaśnięciu Askańczyków. Istotnie widać było, że sprawy te nie są mu obce, ale król, słuchając, spochmurniał. Ze sprawozdania wynikało bowiem, że po opróżniony stolec margrafa sięgnąć zamierza cesarz Ludwik dla swego syna i znajduje popleczników w partii młodobrandenburskiej. Gdyby zamiar swój przeprowadził

przy poparciu Zakonu, z którym był zaprzyjaźniony, kleszcze na Pomorzu jeszcze by się zacisnęły. Miejsce Askańczyków zajmie potężniejszy od nich wróg, do dawnych przybywała nowa troska. Wincenty, związany z przeciwnikami Wittelsbachów, istotnie zdał się niezbędny, toteż król pożegnał go łaskawie, polecając pilnie baczyć na sprawy i donosić sobie o wszystkim, co mogło wpłynąć na ich przebieg. Zagadnięty jednak przez Nałęcza, czy jego imieniem będzie mógł pomoc zapewnić swojakom, Łokietek odparł wymijająco:

- Każdy popiera wrogów swego wroga. Ale że nie jednego mam, ręce muszę mieć wolne, by tam uderzać, gdzie na j pilniej.

Gdy Wincenty wyszedł, król zwrócił się do Borkowica:

- Co o nim mniemacie?

- To samo, co wy, miłościwy panie.

- Mówcie!

- Że potrzebny, a niepewny.

- A o sprawie?

Borkowic odparł po namyśle:

- Nasze ziemie pociotki niemieckie Wincentego obsiadły: Libeny i Wedele między Drawą a Chudą. Grody - w Ujściu - Guntersbergowie, Uchlönhagen w Skwierzynie i Międzyrzeczu, Osty w Drezdenku. Naszego chłopca i drobne rycerstwo niemiecki kolonista wypiera. Niechajże się wrogowie między sobą zzerają. Zechce kto kupić, nas by sprzedać gotowi.

A Wincenty także - zakończył cicho.

Łokietek nic nie odrzekł. Przybysław znał ludzi, ale i król ich znał i wiedział, że Borkowic nie może przychylnym okiem patrzeć na człowieka, jawnie sięgającego po zajmowane przez niego stanowisko, na którym swoją i swego rodu przyszłość budował.

Przybysław jednak widocznie rozumiał milczenie króla, bo dodał:

- Mnie możecie być pewni, miłościwy panie, cokolwiek uczynicie. Kupować mnie nie trzeba, a o straty z Nałęczami się policzę.

- Dzięki wam - powiedział Łokietek. - Zasług, jako rzekłem, nie zapominam, choć nie każdą mogę zapłacić. Ciężko mi, ale lżej, gdy napotkam człeka, co rozumie, że rosnać można jeno wraz z narodem.

Ledwo drogi podsuszył ciepły wiatr, król rzemiennym dyszlem pociągnął do swego ulubionego Brześcia, odprawiając po drodze sądy i zjazdy, badając obronność grodów i za -

lecając ich umocnienie. Liczył się widno z krzyżackim niebezpieczeństwem, mimo wygrania procesu, a nowiny, jakie zastał w Brześciu, mogły go jeno utrwalić w przekonaniu, że sprawy z Zakonem nie zakończą się piórem. I Zakon zapewne liczył się z tym, że Łokietek żadnych nie pominie środków, by odzyskać Pomorze, i zawczasu już szukał sprzymierzeńców. Króla ogarnęła gorycz na wieść, że własny jego bratanek, Wańko płocki, choć niewątpliwie pod naciskiem czy z namowy biskupa Floriana, został jednym z nich, zawierając w Gołubiu zaczepnoodporne przymierze przeciw wszystkim wrogom. Król nie łudził się pozorem, że chodzi o zabezpieczenie Mazowsza przed litewskimi napadami, tych bowiem Wańko, od niedawna zięć Giedymina, najmniej potrzebował się obawiać. Wrogiem, przeciw któremu w samej rzeczy było skierowane, to własny stryj, dziedzic polskiej korony i pan seniorackiej dzielnicy krakowskiej. Rozgoryczeniu dał król upust w rozmowie z arcybiskupem Janisławem, który również zjechał do Brześcia z początkiem lipca, by omówić dalsze zarządzenia w procesie z Zakonem. Łokietek dziękował mu za poniesione trudy i starania, choć nie taił, iż w skuteczność ich nie wierzy. Janisław również nie sądził, by Zakon ugiął się przed kościelnymi cenzurami, niemniej nieposłuszeństwo prawom Kościoła, niemal bez -

pośrednio po zaprzysiężeniu przez wielkiego mistrza synowskiego posłuszeństwa, nie usposobi przychylnie względem niego Kurii, w czasie gdy rozstrzygać się ma sprawa wniesionych apelacji. Postanowił przeto wysłać litterae executoriae<sup>11</sup> do plebanów w Gdańsku i Tczewie, opatów benedyktynów św. Wojciecha pod Gdańskiem i premonstrantów w Żukowie oraz do biskupa Jana sambijskiego, z wezwaniem, by po trzykroć kanonicznie upomnieli komturów o zwrot zagrabionych ziem i zapłatę szkód. Gdyby odmówili, nakazał

nałożyć na nich klątwę pod powagą Stolicy Apostolskiej, przy biciu w dzwony i zapalonych, a następnie zgaszonych świecach. Braci zaś, którzy z nimi utrzymywać będą stosunki, polecił

zawiesić w służbie Bożej, a na ziemię pomorską nałożyć interdykt, odmawiając wszystkich sakramentów, z wyjątkiem chrztu i spowiedzi konających, a to tak długo, aż komturowie dopełnią nakazu i zasłużą na rozgrzeszenie.

Łokietek słuchał w milczeniu. Sam w czasie walki z Muskata latami pozostawał pod klątwą, a kraj pod interdyktem, a nie ustąpił. Co prawda, przed ich skutkami osłaniał go swą powagą arcybiskup Jakub, ale Krzyżacy mogą znaleźć w Kurii mocniejszych jeszcze popleczników.

O tym jednak Łokietek nie chciał mówić z arcybiskupem, który urząd swój zawdzięczał papieżowi

Janowi. Ale gdy rozmowa zesłała na przymierze Wańki i rolę, jaką w nim odegrał biskup Florian, król bryztał goryczą:

- Łacniej u przypisańca czy zbója najdę wiarę i zrozumienie, że nie z pychy czy dla własnej korzyści panem chcę być na ziemiach Chrobrego, niżli u jego potomków. Każdy się równym mi być mieni i raniej obcym pokłonić się gotowy niżli swojakowi. A wielmożom w to graj, by pankami kręcić wedle swej woli, lubo z zawiści przeciw własnym nawet krewniakom, którzy zasługami ponad nich wyrosną. Onże Florian z Gerwardem jednego dziada wnęki, z sędzią Bogusza jednego ojca syny, a co oni budować pomagają, on burzy.

Bogdaj nie za późno zrozumieli, że na własne też karki jarzmo gotują.

Łokietek machnął ręką i wrócił do procesu:

- Nietrudno przewidzieć, co Krzyżaki uczynią, ale na wyznaczony im zrok czekać przystoi, nim ich o brak posłuchu oskarżyć będzie można. I nie pismem, jeno żywym słowem i kiesą, bo siedzi w Awinionie wielki mistrz i także jednego i drugiego nie żałuje. Jest ci tam nasz zaufany kanonik Andrzej z Wiślicy, ale trzeba kogoś, czyje słowo większą wagę by miało. Szkoda, że Gerwarda nie ma we Włocławku, bo rad bym z nim tę sprawę omówił, a czekać nie mogę, bo i sprawy do Krakowa wzywają, i medyk Marcin nalega, by spocząć.

Istotnie niemal od czasu koronacji Łokietek nigdzie miejsca nie zagrażał. W szybkich zazwyczaj i jakby niecierpliwych jego ruchach znać było pewną ociężałość, nie biegał po 11 litterae executoriae (łac.) - zarządzenie wykonawcze komnacie, jak nawykł, gdy go co dotknęło lub podnieciło. Widać było, że potrzebuje wypoczynku, ale gdy arcybiskup przytaknął, król odparł:

- Nie masz wypoczynku bez spokoju, a ten najdę chyba w krypcie Nankerowej katedry... jeśli ją w porę wykończyć zdoła.

W drodze do Krakowa też nie wypoczynek czekał króla, lecz znowu sądy i zjazdy, tak że słotna już jesień oparem, wstającym z wezbranej Wisły, jej rozlewisk i bagien, zakryta miasto, gdy orszak królewski zbliżał się do niego sandomierskim gościńcem. Ponad miastem jednak w dali majaczył zarys grodu, który zmienił się jakoś. To Nanker nie tracił czasu, dźwigały się mury nowej katedry, zamię wracającego ładu i rządności w krakowskiej diecezji. Król uśmiechnął się smętnie, krypta, w której kiedyś spocznie, zapewne już jest gotowa, ale póki żyje, wolałby rzutkość, rzetelność i stanowczość biskupa widzieć nie tylko w służbie Kościoła. Nanker nie chce, jak Jakub, godzić kościelnych obowiązków z dobrem narodu, a nie kupi go, jak kupić można innych, niczym, nawet gdyby król zwrócił mu pobrane kosztem krwi w czasie walk z Muskata biskupie zamki, które od początku kością niezgody legły między królem a biskupem. Pogodniejsze myśli naszły króla, gdy przy wjeździe w Mikołajską Bramę witały go z zapalem, mimo słotnego dnia, nie tylko Rada i Ława, ale i tłumy bractw cechowych z najliczniejszym rzeźniczym, który ongiś był podporą buntu i do końca stawiał opór, złamany dopiero zniszczeniem niemal całego rzeźniczego kwartału. Choć najsrożej pokarany, pogodził się już snadź z nowym porządkiem. Błogosławione skutki pokoju i przyjaźni z Węgrami widoczne były wszędzie. Mimo spóźnionej pory wrzała praca przy wznoszeniu kamiennych domów na miejsce spalonych drewnianych. Kwadratowa, przysadzista Nowa Brama wypełniła już w obwarowaniach lukę, powstała przez wyłom w furcie „na śmiecie” i zniszczenie wójtowskiego

gródka. Jadąc na Wawel przez Okół, Łokietek zauważył też z zadowoleniem na tyłach ogrodów przy kanoniczych dworach nad stawami pracę przy budowie muru, łączącego miejskie obwarowania z zamkowym, widoczny znak, że mieszczaństwo chce już współpracować w zjednoczeniu i umocnieniu państwa, gdyż widzi w tym wzrost własnego znaczenia i zamożności. Tutaj, w swej stolicy, Łokietek czuł się królem.

Przy wjeździe na zamek stromym podjazdem przez północną bramę królowa z pozostałymi jeszcze pod rodzicielskim dachem dziećmi, imienniczką swą Jadwigą i Kazimierzem, witała małżonka radosną nowiną, że Elżbieta obdarzyła ich wnukiem, który ku czci swego ojca otrzymał imię Karol. Węgierski władca wreszcie z trzeciej żony doczekał się dziedzica, wpływ Elżbiety na małżonka jeszcze wzrosnie, wnuk był nową rękojmą trwałości przyjaźni i przymierza.

Królowa widocznie jednak nie tylko tę pomyślną wieść miała do przekazania małżonkowi, gdy bowiem, zasiadłszy do posiłku w gronie najbliższych, mówić zaczął o sprawach państwa, odwróciła rozmowę:

- Ostawcie! Nawet konie z drogi wypocząć muszą w ciepłej stajni na sowytm obroku, nim znowu brzemię dźwigać im przyjdzie. Zwłaszcza gdy niemłode już są - dodała z uśmiechem.

Włodzisław uśmiechnął się również, sądząc, że małżonką powoduje tylko troska o jego zdrowie.

- Nie wypominajcie, że dziademostałem, bo nie pora mi jeszcze spocząć, póki ten oto zróbek - ramieniem ogarnął siedzącego obok Kazimierza - zdatny nie będzie za mnie ciężary dźwigać. Wzrostem już mnie prześcignął - dodał z zadowoleniem - daj Bóg, by i w czym innym przerósł rodzica.

- Daj Bóg, by dorósł - powiedziała Jadwiga surowo - a przódzi sobą rządzić się nauczył, nim mu innymi rządzić przyjdzie.

Władysław wyczuł przyganę w słowach małżonki; gdy zagadnął o przyczynę, uchyliła się od wyjaśnienia:

- Dzieciństwa to jeszcze, nic poważnego. Ale dwanaście lat skończył, do sprawności mu już niedługo, czas, by przestał być rozpuszczonym pacholęciem. Siostry winuję, a zwłaszcza Elżbietę, bo one to psuły wyrostka, jak często bywa, gdy brat najmłodszy z rodzeństwa. Skończyło się to, jeno nikt z dnia na dzień się nie odmieni. Ale i o tym spokojnie pogwarzymy, gdy odpoczniecie, a ninie jeno się radujcie, że zdrowo rośnie i jego nad wiek pojętność przychwalają preceptorzy, choć nie widzę, by się zbytnio do ksiąg przykładał.

- I nie trzeba - uśmiechnął się Włodzisław. - Nie będzie arcybiskupem, jeno królem, tedy do wojaczki wprawiać się winien. Do wojewody Jaśka go odeślę. Swobodniejszy ninie, gdy spokój od Węgier i Rusi, też pewnie doma odpoczywa. I łowy u niego przednie, i strażą nad gośćmi, a dobrze byłoby, gdyby się Kaźmierz z młodym Spytkiem zaprzyjaźnił. W

pacholęcym wieku o to najłaciej, później człek nieufny się staje, bo gdy już szafarzem jest godności i majątności, o służalczych pochlebców łaciej niż o prawdziwych druhów, a nieraz trudno rozróżnić.

- Jaśko iście w Melsztynie siedzi, ale wieść miałam, że słabuje - odparła Jadwiga. - I on niemłody już, wypoczynek mu się patrzy, a los mu też nie poskąpił trosk i zgryzoty...

- Tedy sam mu Kazka odwiozę. Mile starego druha ujrzę. Niechaj wie, że mu zabyłem, nawet rad jestem, iże onego gwałtownika wypuścił, który córę jego z sądeckiego klasztoru porwał. Może mu to iście Hanna wymodliła, że miast głowę oddać na pieńku, w walce z Krzyżaki ją położył.

Widząc, że małżonka posmutniała, Włodzisław dodał:

- Nie sumuj się nad nim. To najlepsze, co go spotkać mogło.

- Żal mi - powiedziała - bo więcej nieszczęścia w nim było niż winy. Ale bardziej wdowy po nim i sieroty. Ni im nadziei na odmianę losu, a żeby nie ów Ostróżka, nie wiem, zaliby jeść miały co. Majętność klasztor sądecki zabrał, dzierżawa rybołówstwa po jej rodzicu wyszła, zapisu Bożywoja nie zatwierdziliście. Zawidziły jej mieszczyki z najmożniejszych domów, że za rycerza się wydała z tak wielkiego rodu, a jej ostało jeno upokorzenie.

- Moźnego rodu! - gniewnie powtórzył Łokietek. - Żeby nie ów wielki ród, nie byłoby tego zła. Ale krzywda, która wdowę spotkała, to już tylko Krzycha wina i niczyja więcej. Jego niechaj przeklinają.

Król spochmurniał. Nie lubił wspomnienia swych pierwszych rządów w Wielkopolsce i wciąż jeszcze nie czuł się w niej pewny. On sam zmienił się, ale tam niewiele się zmieniło od ćwierci wieku. Moźnowładcy krzywo patrzą, że nie w Gnieźnie się koronował i nie w Poznaniu obrał swą stolicę, gdzie łatwiej mogliby mu narzucać swą wolę. Troska przywlokła się za królem, psując radość powitania, a jeszcze nie wiedział, że tu czekają na niego nowe przykrości.

Ale królowa już wiedziała, toteż gdy dzieci wyszły po skończonym posiłku, a Włodzisław dopytywać się zaczął, co zaszło pod jego nieobecność, skierowała rozmowę na węgierskie poselstwo. Wcześniej namówiła małżonka, by udał się na wypoczynek, chcąc, by choć jedną noc przespał spokojnie. Na pożegnanie powiedziała:

- Poseł naszego zięcia przywiózł też pisma z Awinionu od kanonika Andrzeja.

Rankiem zlecę przynieść je podkanclerzemu Zbyszkowi ze Szczyrzyca, by je wam przełożył, bo ninie już nie pora. Spijcie spokojnie.

Sama jednak długo nie mogła zasnąć. Wiedziała, że sprawa krzyżacka najbardziej leży małżonkowi na sercu; latami zabiegał w Kurii o sprawiedliwość, nie szczędząc chudej zazwyczaj kiesy, trudów i starań. Jedyńm skutkiem miało być, że teraz, po wyroku, Łokietek z oskarżyciela miał się stać oskarżonym. Jadwiga niepokoiła się, jak to przyjmie.

Wstała wcześniej i komornikowi Giedce zleciła odprawiać wszystkich, których wieść o powrocie króla ściągnie na zamek. Nie śmiał jednak odprawić Nankerowego posłańca, zawiadomił jeno króla, że biskup zamierza go powitać. Niepokój Jadwigi jeszcze wzrósł.

Nanker zawsze drażnił króla, wolałaby zapobiec ich spotkaniu, póki małżonek nie ochłonie po wieściach. W gniewie nie zwykł się liczyć ze słowami, a Nanker z niczym, gdy szło o cześć i korzyść

Kościola.

Podkanclerzy Zbyszko czekał już z pismami, gdy król wstał wreszcie i ubierając się, o niego zapytał. Jadwiga nakłoniła Jednak małżonka, by pożywił się przed posłuchami m, przewidując, że potem jeść nie zechce. Już teraz jadł niechętnie, widocznie nie spodziewał się dobrych wieści, znając bowiem małżonkę wiedział, że pomyślnymi nie omieszkałaby podzielić się z nim.

By uchylić się od pytań, królowa wyszła. W małej świetlicy na przyziomie stołbu podkanclerzy Zbyszko przechadzał się w zamyśleniu.

- Małżonek mój zda się przeczuwać, że nie radość go czeka zaczęta Jadwiga. - Ale tego, co to zawiera - wskazała leżące na stole pergaminy - spodziewać się nie może. Ufam obrotności i przychylności waszej, że sprawę lak przedstawię, by pana oszczędzać. Medyk mu zaleca wypoczynek i spokój...

Urwała, bo w przedsionku rozległy się kroki i wszedł Nanker. Królowa zmieszana się, biskup jednak jakby tego nie zauważył, skłonił się przed nią z szacunkiem, kanonikowi głową skinął na jego pokłon, i na zaproszenie usiadłszy, zamyślił się. Jadwigę onieśmielał surowy i nieprzenikniony wyraz jego twarzy, ale przemogła się, wiedząc, że każdej chwili król może nadejść, i zaczęła:

- Małżonek mój wielce rad widział, że pod jego nieobecność budowa katedry znaczne uczyniła postępy.

- Nie tak znaczne jak po piętnastu leciech być winny - odparł biskup. - I jakby mogły, gdyby zagrabione za mojego poprzednika majątności kościelne zwrócono. Buduję jeno z dochodów sediswakansów<sup>12</sup>, a te zawsze niewielkie i niepewne.

Królowa zagryzła wargi. Nanker z uporem wraca do drażliwej sprawy. Jeśli ją teraz poruszy, spowoduje wybuch. Powiedziała niespokojnie:

- Pana czekają wieści niepomyślne. Nie pora u niego choćby najśluszniejszych praw dochodzić, gdy jego samego krzywda i bezprawie spotyka stamtąd, gdzie krynica być winna prawa i sprawiedliwości.

Biskup nie wiedział, co zawierają pergaminy, ale domyślił się, o czym mówi królowa.

- Nie źródło winić - powiedział - że skalane, jeno tych, co je macą brudnymi rękoma.

Ja zaś nie mogę poniechać dochodzenia słuszných praw Kościoła. Rozumiem niechęć pana ku mnie, ale na nieufność nie zasłużyłem. A chcę wierzyć, że ona tylko jest przyczyną, iż miłościwy pan zwrócić nie chce zamków pobranych czasu nieszczęsnych walk z Janem z Muchowa.

- Nie wiem - odrzekła Jadwiga znękanym głosem - jeno wiem, że od krzywdzonego nie czekać sprawiedliwości, a od zawiedzionego zaufania.

Słyszac na schodach kroki nadchodzącego króla, dodała pospiesznie:



- Roztropność i umiarkowanie ninie potrzebniejsze niż sprawiedliwość i męstwo. Nie poruszajcie tej sprawy.

Nanker głową skinął i powstał, gdy drzwi się otwarły i szybkim krokiem wszedł

Łokietek. Widocznie zaskoczony obecnością biskupa, wskazał mu ręką, by usiadł, i zaczął

niechętnie:

- Wybaczcie, że pierwszy głos dam podkanclerzemu. Wieści są z Awinionu, które rad bym posłyszeć, bo to sprawy najpilniejsze.

- Jeno powitać was chciałem, miłościwy panie. A może i radą służyć, jeśli zajdzie potrzeba.

Jadwiga spojrzeniem podziękowała Nankerowi. Podkanclerzy czytać jął naprzód pismo Andrzeja z Wiślicy, w którym ten prosił o przysłanie pieniędzy, a jeśli można o przyjazd Gerwarda, wobec bowiem zabiegów Karola z Trewiru, szczerze popieranym złotem, zachodzi obawa o wynik procesu z Zakonem.

Królowi żyły nabrzmiały na skroniach i przerwał:

- Jakoże? Wždy na naszą korzyść zapadł już wyrok, a prawo odwołania Krzyżakom odebrano.

- Jeno od wyroku, nie od postępku - wtrącił Nanker. - A zawždy apelacja służy a papa peius informato ad papam melius informatum<sup>13</sup>.

12 sediswakansów (łac.) - z nieobsadzonych beneficjów - Rzeknijcie po polsku -

niecierpliwie rzucił Łokietek - bo nie rozumiem.

Nanker przełożył i dodał:

- Stolica apostolska zresztą każdy wyrok motu proprio<sup>14</sup> zmienić jest władna. Król zachnął się i przez chwilę widocznie hamował ostre słowa, po czym rzucił:

- Czytajcie dalej.

Andrzej donosił, że ma nadzieję, iż przy stosownym poparciu uda się wstrzymać wysłanie bulli<sup>15</sup>, której odpis załącza. Z kolei podkanclerzy odczytywać jął półgłosem po łacinie bullę, Jadwiga z niepokojem i współczuciem patrzyła na męża. Gdy w bulli nazwano go „dux se gerens pro rege Poloniae”<sup>16</sup>, zrozumiał widocznie, bo przerwał i rwącym się głosem zapytał biskupa:

- Zali i kupioną zgodę na koronację Kuria cofnąć jest władna? Wždy za nią zapłaciłem zamianą świętopietrza z podymnego na pogłównę. Teraz rozumiem, co oznaczał warunek w bulli koronacyjnej, by cudzych praw nie naruszyć. Bezecne krętactwo!

Nanker zeszywniał i odparł sucho:

- Nie mnie wydawać sąd o postępowaniu Kurii. Ale i wam przedwcześnie. Królewskie krzyżmo jeno przez odstęstwo od wiary zatarte być może. Z tego zasię, co pisze brat Andrzej, widoczne, że bulla jeszcze nie zatwierdzona przez audientiae litterarum contradictarum<sup>17</sup> i może nigdy zatwierdzona nie będzie. Powstał i ciągnął:

- Kuria niczego nie czyni bez celu i zastanowienia. Ale oto są skutki, gdy uciśniony Ojciec Święty o przychylność byle króla zabiegać musi, bo to jawne ustęstwo wobec Jana czeskiego, który z krzyżackiej namowy roszczenia do naszego królestwa podnosi. Zwólcie mi odejść, miłościwy panie - zakończył - bo nic godzi mi się słuchać, co w gniewie, choćby sprawiedliwym, mówicie.

Biskup skłonił się i wyszedł. Król jednak opanował się widocznie, bo gdy podkanclerzy zaczął przekładać, słuchał w milczeniu, jeno żyłaste jego dłonie zaciskały się na oparciach stołka, tak że aż pobielały knykcie. Jadwiga rozumiała, co musi odczuwać małżonek, gdy ją samą ogarniał gniew i oburzenie. Bulla zarzucała królowi, że w błąd wprowadził Kurię fałszywymi zapodaniami, i zlecała rewizję procesu członkowi Zakonu, biskupowi Janowi sambijskiemu. Łokietek syknął przez zaciśnięte wargi:

- Oto i sędzia niepodejrzany! Ale my wiemy, a dowie się i Kuria, jak te mnichy plugawe za dobrodziejstwa płacić zwykły.

13 papa peius informato ad papam melius informatum (łac.) - ...od papieża gorzej poinformowanego do papieża lepiej poinformowanego.

14 motu proprio (łac.) - z własnej inicjatywy

15 wysłanie bulli - z 9 VI 1321r.

16 „dux se gerens pro rege Poloniae”(łac.) - „książę, który się podaje za króla Polski”

17 audientiae litterarum contradictarum (łac.) - trybunał do spraw spornych -

Tamquam ignis in sinu, mus in pera, serpens in gremio<sup>18</sup>.

Król siedział, opuściwszy oczy, a podkanclerzy ciągnął:

- Zda mi się, miłościwy panie, że Kuria ni wam, ni Zakonowi narazić się nie chce, dlatego sprawę Pomorza woli trzymać w zawieszeniu.

- A od obydwu stron brać - sarknął Łokietek. Królowa położyła dłoń na siwiejącej głowie męża. Taki miał być jedynie skutek jego długoletnich zabiegów i wydatków.

Powiedziała niepewnie:

- Nie sumujcie się. Szybko, jak widać, w Kurii odmieniać się zwykło...

- Nie sumuję się, jeno myślę - odparł. - Nic się w Kurii nie zmienia, wszystko jest na sprzedaż, tedy płacić trzeba. A to z dawna wiem, że mi wyrok Pomorza nie zwróci i że lepiej, gdy Luksemburczyk

prawa do korony rości, a ja ją noszę, niżli na opak; i że od złota tańsze żelazo.

Jadwiga odetchnęła i uśmiechnęła się do męża. Jest, jaki był, nie postarzał się. Im mocniej go przygiąć, tym prędzej odskoczy.

Łokietek chciał jednak, choć na krótko, oderwać się od spraw, które drażniły go tylko, a nic poza dalszymi zabiegami w Kurii przedsięwziąć nie było można. Wysławszy przeto pismo do Gerwarda z poleceniem, by znowu gotował się do dalekiej drogi, sam zbierał się do wyjazdu. Wstrzymały go jednak naprzód jesienne słoty, a potem choroba małej Jadwigi. Z

wiosną zdała się przychodzić do zdrowia i pod koniec maja król wyruszył wreszcie do Melsztyna, zabierając z sobą Kazimierza. Dawno nie był na południu swojego państwa, jedynej jego połaci, w której od czasu zawarcia przymierza z Węgrami panował ład i spokój.

Na oczyszczonych ze zbójów gościńcach poruszały się bezpiecznie kupieckie poczty pod czujną strażą gródków rozsianych nad Dunajcem i Popradem, gospody roiły się od podróżnych, strumień bogactwa płynął w obie strony, a znaczna jego część przez cła drogowe i mostowe zasilala wyczerpany skarbiec. Gdy w dolinie Wisły zaczynały doskwierać już upały, a powiew od miasta niośł na Wawel zaduch rynsztoków i latryn, zbocza pagórków nad zmierzającymi do Dunajca strugami i potokami woniały świeżo skoszonym sianem lub stały jeszcze w barwach kwiecia. Pogoda sprzyjała sianokosom i w podróży król nie spieszył się, pasąc oczy dobrodziejstwami pokoju i ładu oraz zapowiedzią urodzaju.

Po raz pierwszy miał sposobność codziennego przebywania nem. Chłopiec wkrótce oswoił się z ojcem, chętnie i roztropnie odpowiadał na pytania i sam wypytywał o mnóstwo spraw, które zazwyczaj obojętne bywają wyrostkom dwunastoletnim. Rozumiał widocznie, iż kiedyś rządzić mu przyjdzie i że trzeba się do tego sposobić. Łokietek zrazu sądził, iż chłopiec popisać się chce przed nim nabytymi wiadomościami, ale ze dziwieniem stwierdził, iż własne i zgoła niedziecinne myśli wypowiada. Gdy mówiąc o sprawach z Zakonem, król wspomniał, że Krzyżacy za wyrzeczenie się praw do Pomorza zapłacić chcieli dziesięć tysięcy grzywien i tyleż zapłacili brandenburskim margrafom za ich rzekome prawa, Kazimierz niespodzianie zapytał:

18 Tamquam ignis in sinu, mus in pera, serpens in gremio (łac.) - Jak ogień w zanadrzu, mysz w torbie, wąż w łonie. (Określenie Zakonu przez posła węgierskiego po wygnaniu Krzyżaków z Węgier przez Andrzeja Drugiego.)

- Dużo też kosztowały owe sprawy z Zakonem?

- Nie wiem - odparł Włodzisław - bo lata już się to wlecze. Sam postępek w Inowrocławiu sto pięćdziesiąt kóp groszy praskich kosztował, bo tyle prokuratorzy podali pod przysięgą. A podróże Janisława i Gerwarda, podarunki dla dostojników Kurii, utrzymywanie swych ludzi w Awinionie, by na sprawy dawali baczenie...

Król zamyślił się i zachmurzył. Sam nigdy nie liczył wydatków, bo czuł, że choćby miał wydać ostatni grosz czy ostatni dech, nigdy Pomorza się nie wyrzeczce. Zdziwienie jego przeszło w gniew, gdy Kazimierz powiedział:

- Skoro margrafom za nic, jako mówicie, dali dziesięć tysięcy, to nam pewnikiem więcej by dali.

Łokietek odparł porywczo:

- Ani za sto nie przedam ni jednego gródka. Bo z takowej frymarki właśnie państwo naszych przodków do tego doszło, że nikt się już z nim nie liczył. Kiedyś, gdy koronę tego królestwa kłaść będą na twoją głowę, zaprzysiąc musisz, jako i ja zaprzysiąłem, że niczego z ziem do niego przynależnych nie uronisz, a utracone odbierzesz.

Kazimierz milczał. Łokietek, sądząc, iż go stropił gniewnym odezwaniem, zagadnął spokojnie:

- O czym myślisz, synu?

Zamiast odpowiedzieć, Kazimierz zapytał:

- Dlaczego murowanych grodów nie stawiamy, skoro rzekliście, że Zakon tym silny, że gdzie stopę postawi, tam zamek?

Pytanie znowu zastanowiło króla. Bystry chłopak wie zapewne, jaka będzie odpowiedź, jeno nie śmie wprost wyjawić, że myśli inaczej niż ojciec. Król pohamował się jednak. Lata szybko płyną, chciałby jak najrychlej doczekać wyroku i pomocy od syna, muszą się przeto wzajem rozumieć, a nie mogą bez obopólnej szczerości.

- Sądzisz - odparł - że powinienem wziąć odstępnę od Krzyżaków i za to zamki murować, miast tracić pieniądź na zabiegi, które mi Pomorza nie oddadzą?

Kazimierz nic nie odrzekł, jeno zarumienił się, a Łokietek, widząc, że utrafił, ciągnął:

- Nie wstyduj się i nie lękaj. Raduje mnie, że myślisz o sprawach, o których może wkrótce rozstrzygać ci przyjdzie. Mów tedy ze mną nie jako syn z rodzicem, lecz jako ten, który będzie królem, z tym, który nim jest. Jać się za nieomylnego nie podaję, jeno pomnij, że doświadczenie mam, którego tobie brak. Wiem ci też, że z cudzego trudno korzystać, ale ucz się.

Łokietek przerwał, bruzdy na jego czole pogłębiły się, gdy podjął:

- Gdyby pradziad twój, Konrad, miast trwonić siły na ubijaniu się o krakowską stolicę, na Prusów je skierował, i Prusy, i Pomorze byłyby dziś nasze. I nie byłoby tu przeklętych mnichów, którzy już na Węgrzech pokazali, do czego zmierzają. Alem i ja, o tym nie pomnąc, zezwolił wezwać pomocy Zakonu przeciw brandenburskim margrafom. Wolej bym czarną śmierć przyzwał. Przyjdzie i odejdzie. A oni ostali.

Umilkł i przez chwilę jakby coś w sobie ważył. Ciągnął:

- Nie wstydam się przyznać do błędu, choć niełatwo wybierać między jednym złem a drugim. Zda się człeku, że Wybrał mniejsze, a jeno drogę wybrał łatwiejszą. W górę piąć się -

mozolnie, a łącno się zmierza ku przepaści...

Król jakby zapomniał, że mówi do pacholęcia; może mówi! sam do siebie:

- Zrazu zdało się, że o Gdańsk jeno idzie, ninie wiem już że nie masz granic krzyżackiej zachłanności. Drogom zapłacił, by to zrozumieć. Zrozumieć musi każdy, kto polską mową Boga chwali, a zrozumieć nie chcą nawet krewniacy. Leszek Zakonowi ziemię michałowską przefrymarczył, Anastazja - przeprawy na Drwęcy, Wańko z Krzyżaki przeciwko nam się sprzymierzył...

Twarz Łokietka skurczyła się, mięśnie wyskoczyły na szczękach, żyły na skroniach.

Niemal groźnie zwrócił się do syna:

- Nie pieniądze nam liczyć ni za tynami szukać bezpieczeństwa; zawziąć się: ich śmierć lub nasza! Ty pierwszy musisz to zrozumieć. Nie masz ugody o Pomorze, bo nie nasyci niczym smoczej żarłoczności. Strawią jedno, sięgną po drugie. Jak Prusowie, naród nasz niewolnikiem stałby się na własnej ziemi.

Po chwili milczenia król ciągnął spokojniej:

- Nie zmamiłem złota, które na proces wydałem, choćbym nic więcej nie osiągnął, jak jeno to, że wielu zrozumie, iż za nic Krzyżakom prawo i sprawiedliwość, za nic układy i pergaminy. Ale nie odbuduje w jednym pokoleniu tego, co przez cztery burzono: jedności.

Kazimierz jechał przy boku ojca w milczeniu. Król patrzył na niego badawczo. Chciał

wiedzieć, czy syn rozumiał. Zapytał po chwili:

- Nad czym dumasz?

- Że niewolnikom zajedno, kto im jarzmo nakłada.

Łokietek patrzył przenikliwie na syna. Czy ten wyrostek rozumie, co powiedział? Czy własną myśl wyjawiał, czy powtarza, co gdzieś zasłyszał? Odparł z namysłem:

- Zbyt to zawiła i trudna sprawa, byś ją rozumiał. I nie jedna ona. Dość się stare rody krzywią, że nowych ludzi dopuszczam do urzędów i dostojenstw, które ich przywilejem dotąd były. A tobie najpilniejsze nauczyć się koniem dobrze powodować - dorzucił porywczo - bo i tobie więcej na kulbace siedzieć niżli na tronie.

Wojewoda Jaśko Leliwa był na wyjeździe, gdy strażnik z wieży dał znać o nadciąganiu pocztu. Zanim goście stromym podjazdem dotarli pod bramę, stał już przed nią gospodarz z domownikami, witając pana. Król zaraz spostrzegł przygotowania wojewody do wyjazdu, naładowane wozy stały zaprzężone, pacholętkowie trzymali osiodłane konie.

Zagadnięty o cel podróży, Jaśko odparł:

- Czas do drogi sposobny i pora sposobna, gdy nic nie nagli. Tedy córę odwiedzić umyśliłem, bom jej dawno nie widział. Ale innym razem poskoczę, ninie jeno wozy z zapasami dla klasztoru wyślę. Żeście też, panie, o swym przyjeździe uwiadomić mnie nie raczyli - ciągnął z wyrzutem. - Nie dość że nic na wasze przyjęcie nie gotowe, ale mało brakło, nie byłoby komu witać, bo wraz ze Spytkiem się wybierałem. Zwólcie i jemu rękę waszą ucałować.

Rosły młodzian pochylił się do kolan królewskich, a Łokietek, uściskawszy go za głowę, uśmiechnął się:

- Patrzcie! Wyglądałem wyrostka, jakim go pośledni raz widziałem, a on mężem już jest. Ba! Wždy mój Kazko przerósł rodzica. Powitaj mego najstarszego druha - zwrócił się król do syna. - Daj Bóg, by Spyttek takowym ostał dla ciebie. Sposobności zaprzyjaźnić się nie braknie - zwrócił się do Jaśka - bo myślę, że mi nie odmówisz opieki i gościny dla wyrostka. Za długo między babińcem a księgami się chował. Pismo zna, ale nie wiem, zali niedźwiedzi trop od lisiego rozróżni, a na koniu nie siedzi, jeno wisi. - Zaszczyt to dla mnie, a łaska dla mego syna, na którą dopiero zasłużyć musi - odparł Jaśko, a widząc, że Kazimierz zawstydził się przygany, dodał:

- Łacniej się nauczyć władać mieczem niżli piórem, a ślady rozróżniać niż litery. A co się bardziej zda, któż wie. Czasy się zmieniają...

- Ja wiem - przerwał Łokietek - że mi do końca żywota nie schować miecza do pochew i że w tym mi najpilniej potrzebna będzie wyręka. Ty już ją masz - wskazał na młodego Spytka - choć młodszyś ode mnie. Ale postarzeliliśmy się - dodał, patrząc na wojewodę.

Istotnie Jaśko posiwiał zupełnie, a gdy minęło podniecenie przybyciem niespodziewanych gości, twarz zdradzała przygnębienie. Król zaniepokojony zapytał:

- Chorzałeś? Bo coś nietęgo wyglądasz.

- Zdrów jestem - odparł wojewoda i jakby chcąc uniknąć dalszego wypytywania, dodał:

- Zda się wam z drogi spocząć i pożywić się. Zwólcie komnat.

- Posilę się chętnie, a wypoczywałem w drodze i mógłbym choćby zaraz z tobą do Sącza jechać. Nie byłem tam od powzdania Elżbiety Karolowym posłom, a radem i miastu, i klasztorowi okazać, że życzliwie im pamiętam, iż czasu krakowskiego buntu stanęły mi przy boku.

- Ja zasię nie byłem od onego nieszczęsnego porwania Hanny - rzucił Jaśko. Urwał i zasępił się.

Gdy zasiedli w świetlicy za stołem, a Jaśko nie rozchmurzył się nadal, król sądząc, że ubodło go wspomnienie, iż w burzliwym czasie pierwszeństwo dał ojcowskim względom na córę, wbrew obowiązkowi uwalniając świętokradcę i gwałtownika, objął druha ramieniem i powiedział:

- Jeśli cię trapi, żeś wonczas jedyny raz zawiódł ufność, jaką w tobie położyłem, to wiedz, że ninie rad jestem, iż tak się stało.

Widząc zdziwienie na twarzy Jaśka, ciągnął:

- Prawda, że nie wiesz, co z owym nieszczęśnikiem.

- Uszedł do swego gródka nad Tonczyną i tam go Krzyżaki naszli i ubili. Koniec tej przekłętej sprawie, zapomnijmy o niej.

- Mnie nijak zapomnieć - odparł Jaśko, przybladłszy - syna mi z topieli zratował, a mnie samego z niedźwiedzich łap.

- Tedy na msze dajcie za jego duszę - rzucił Łokietek niecierpliwie - bo i nic więcej uczynić dlań nie wydoli. Zadość będzie - zwrócił się do Kazimierza, który pożywiał się z chłopięcym łakomstwem. - Z obżarstwa jeno słoniny na brzuchu, a nie oleju w głowie przybywa. Spytek ci stajnie pokaże, zbrojownię i maszyny.

Gdy młodzi wyszli, król podjął:

- Rozumiem, co cię gryzie, ale nadtoś drażliwy. Za swój i syna żywot z nawiązką odpłaciłeś, od pieńka ratując gwałtownika. Co zasię przedtem było, nie twoja wina. Brat twój za swoją żywotem zapłacił. Dość trosk i zgryzot o sprawy” które żywych dotyczą, by sobie zmarłymi głowę zaprzętać.

- Mylicie się, miłościwy panie - odrzekł Jaśko. - Myślę o tym, żem Hannie przyrzekł

powiadomić ją, co się z tym nieszczęśnikiem stało. Cóż jej powiem? Ze pod klątwą zginął, bez sakramentów, i gnije gdzieś w nie poświęconej ziemi. A gdybym mu Hannę dał, nie dochodząc, kto zacz, aniby się przeniecierstwa nie dopuścił, z siostrą Muskaty się wiążąc, ani na klasztor zbójców naprowadzał i na mniszkę rękę podnosił. Bóg mnie za pychę pokarał.

- Głupiś! - rzucił Łokietek popędliwie. - Któż ze znacznego rodu córę dałby przybłędzie niewiadomego pochodzenia.

- Jeśli dla pieniądza mogą się najznacniejsze rody z mieszczany krewnie, tym ci bardziej z wdzięczności. Wždy żywot droższy od złota. Mogłem dziś wnąki po nich piasto -

wać, a tak? Hanna nigdy nie odzyszcze spokoju, on żywot doczesny i wieczny utracił...

- Może mu Bóg odpuścił, bo nie był zły człek - odparł Łokietek. - Jako rzekłem, msze możesz zakupić, bo nic ponadto dla niego uczynić się nie da.

- Wdowa po nim i sierota bez zaopatrzenia pozostały...

Królowi zdało się, iż w słowach Jaśka słyszy wyrzut, że nie zatwierdził zapisu Bożywoja dla Kundzi. Odparł szorstko:

- O nich sam Krzych winien był pomyśleć, nim się na mniszkę porwał. Nie będę na siebie ściągał niechęci Ciołków, którym prawo bliższości służyło, po to, by wdowę po wywołańcu zaopatrzyć, bobym jeno zachętę dał naśladowcom. Ale nie będę krzyw, jeśli je zaopatrzysz, skoroś taki drażliwy.

- Tak leż uczynię, skoro iście nic więcej uczynić nie mogę - odparł wojewoda.

Dokuczliwy skwar lipcowego słońca dzień za dniem ciężył nad miastem, niewidzialnym brzemieniem uciskając piersi. Bogatsi mieszczenie uciekli przed nim do swych dworków przedmiejskich, gdzie w cieniu sadów, chłodząc się piwem, czekali na ulgę wieczoru. Ale ciężkie od wyziewów powietrze po zachodzie roilo się od komarów, miliardy ich leżyły się w bagnach, w jakie coraz bardziej zamieniały się okalające miasto rozlewiska i stawy. Koło rumusu kręciło się ospale, w rzapiach woda ledwo się sączyła, brudna i ciepła, zaczynały wysychać płytsze studnie. Kto mógł - uchodził z miasta, wyniosły się nawet dziady, na odpustach i pielgrzymkach szukając zarobków, których brakło w pustych niemal kościołach krakowskich. Opustoszał też zamek, gdy oboje królewstwo, których wstrzymywała śmiertelna choroba małej Jadwigi, złożywszy ją u Braci Mniejszych obok Stefana, wyjechali do Włocławka. Król nie chciał osamotnionej małżonki zostawić z jej żalem, sam zaś spieszył, by rozmówić się z Gerwardem przed jego wyjazdem do Awinionu. Pochował już troje dzieci, ale sam na żałobę nigdy nie miał czasu. Dziwiono się też, że pod jego nieobecność ujechał do swego dworca na Gródku wojewoda Jaśko Leliwa. W południowe godziny skwarne go dnia po opustoszałych ulicach i placach nie wałęsały się nawet psy, w cieniu opłotków szukając osłony przed palącymi promieniami słońca. Z rzadka ujrzyć można było ceklarza, obchodzącego swój kwartał od jednego do drugiego sklepu piwnego. Nie mieli zresztą innego zajęcia, najwięcej go przysparzające gromady psotnych wyrostków od rana pławily się w płytkich i ciepłych wodach Wisły lub wygrzewały w piasku coraz szerzej wyłaniających się brzegów, łach i mielizn. Czyniony przez nich gwar, który nacichał w południe, gdy powietrze drgało od żaru, w miarę jak słońce chyliło się ku wzgórzom świętej Bronisławy, wzmagał się i przed zachodem zmieniał się we wrzawę, gdy kto żył ciągnął ku miastu, by zdążyć przed zamknięciem bram.

Zamykano je właśnie, hałas przechodził w odległy szum, ledwo już dosłyszalny u stóp Wawelu, gdzie przed chatą Kundzi z jej małą córeczką siedział Braciszek, patrząc na wygładzone już lustro rzeki, jarzące się odbłaskami płomiennej zorzy zachodu, które gasły jednak, w miarę jak pełny księżyc wspinał się na niebo, rozlewając swe zimne światło. Z

rybaczych domków nad rzeką wzbijały się prostopadłe kiście siwych dymów, srebrząc się w jego blaskach. Najlżejszy powiew nie zachybotał nimi, nie zaszemrał w przywiedłych od skwaru liściach. Po gwarze cisza pogodnego wieczoru dzwoniła w uszach. Przerwał ją Braciszek:

- Czas spać, Krysiu, matusia gniewać się będzie, gdy cię nie zastanie w łódeczku. Inne dzieci dawno już śpią.

Gdy mała nie poruszyła się, zapatrzona w siniejącą płaszczyznę rzeki, Braciszek ciągnął:

- Nawet lepiej się duma w łódeczku, gdy cicho i ciemno. Nad czymżeś się tak zamyśliła?

- Inne dzieci mają rodzicieli - powiedziała cicho dziewczynka.

Spojrzał na nią zdziwiony, ale odparł lekko:

- Ja nie miałem, a widzisz, jaki duży urosłem.

- Pewnikiem zawsze taki byłeś. Matusi mówiła, że się nie zmieniasz. Roześmiał się.



- Może. Ale ty się zmieniasz. Niedawno jeszcze nie wydoliłaś sama się rozebrać, a ninie już umiesz.

- Umiem, ale nie lubię - odparła zadąsana.

- Tedy może ja ci pomogę.

- Ty nie jesteś moim ojcu.

Nigdy dotąd nie wspomniała o ojcu. Gdy zacznie pytać, Kundzi jeszcze ciężiej będzie.

Odpowiedział:

- Nie wszystkie dzieci ojców mają.

- Nie kłam, bo to brzydko. Wždy wiem, że wszystkie. I Bronka Ilikowa, i Zabratowy Przybek. Tomek Osinowy nie ma bo pomarł.

- Gdzież ci to wszystkie. Widziałaś, ile się tego w Wiśle pławi? Anibyś nie wydoliła wszystkich wyptać.

Zachmurzyła się.

- Ty mi nie chcesz rzec. A ja i tak wiem: mój ojciec jest zbój i mieszka w lesie.

- Któż ci takowe głupstwa prawi?

- Przybek powiedział i zakazał innym dzieciom, by się ze mną bawiły.

Siedziała, zasępiona jak młody puchacz. Ludzka złośliwość, która zatruwała życie Kundzi, teraz zaczyna uprzykrzać je dziecku. Gdy Braciszek milczał wzbudzony, mała zapytała niespodzianie:

- Co to znaczy ćwiartować i kołem łamać? Zaskoczony zapytał:

- A to gdzieżeś słyszała?

- Przybek mówił, że jak złapię mojego tatusia, to go będą kołem łamać i ćwiartować.

Nie wytrzymał i odparł:

- Ty powiedz Przybkowi, że jeśli takowych rzeczy prawić nie przestanie, to go zaczaruję w cielaka i jego będą ćwiartować.

Ugryzł się w język. Gadki, że ongiś z kabatów czarami się wykręcił, wciąż jeszcze szeptano. Odwrócił szybko:

- A najlepiej z Przybkim nie gadaj. Głupi jest, nie wie, co mówi.

Chłopak musiał to jednak posłyszeć od starszych. Zawiść, że Kundzia wydała się za rycerza

wysokiego rodu, zamieniła się w złą radość z jej nieszczęścia. Jak wilki zażreć chcą słabego. Uchodzić stąd!

Dziewczynka widocznie to samo odczuwała, bo odezwała się:

- Jak urosnę, ucieknę do lasu, do tatusia. Westchnął.

- Ostawiłabyś matusię samą?

- A matuś mnie nie ostawia?

Rozplakała się. Wziął ją na kolana i tulił, a serce mu się ścisnęło. Jest miejsce, gdzie sieroty mogłyby znaleźć schronienie i ochronę przed biedą i złością: u Radochy. Ale od dwóch lat nie było od niego wieści. Widno niczego się nie dowiedział. A może pojął inną niewiastę? Nie każdy potrafi jak Kundzia czekać przez całe życie.

Gdy dziewczynka uspokoiła się i zasnęła, zaniósł ją do domu i wrócił na ławę.

Wyglądał Kundzi i zaczynał się niepokoić. Brama dawno zamknięta, u wojewody Jaśka nie mogła bawić tak długo, choć zapewne nie dla błahostki ją wzywał. Braciszek odetchnął, gdy na ścieżce posłyszał kroki. Szła, ale inaczej niż zwykle. Wlokła nogi, jak pod ciężkim brzemieniem, opuściła się na ławę i milczała. Zapytał:

- Zmęczył cię skwar?

Wiedział jednak, iż nie znużenie jest przyczyną, że siedzi tępo wpatrzona przed siebie, jakby w pustkę. W świetle księżyca po oczach poznał, że płakała. Nie zwykła była płakać nigdy, choć nie brakło trosk i przykrości, zawsze równa i spokojna. Widno dlatego tak późno przyszła, że ukryć chciała łzy, których już nie mogła powstrzymać. Udał, że nie widzi, i wstał, mówiąc:

- Posiedź sobie, a ja przysposobię wieczerzę. Wieczerzałem z Krzysia, bośmy się ciebie doczekać nie mogli, ale tyś pewnikiem nie obiadowała?

- Nie będę jadła - szepnęła z wysiłkiem. W taki skwar i zjeść się nie chce. Zjesz, gdy ochłodnieje i odpoczniesz, a tymczasem zsiadłego mleka się napij.

Przyniósł kubek. Wypiła, jakby nie wiedząc o tym, i nadal siedziała, milcząc. Coś złego ją spotkało. Braciszek pewny był, że sprawa dotyczy Krzycha, nie chciał jednak wypytywać. Kundzia powie, gdy ochłonie. Zapytał jeno:

- Może chcesz być sama?

- Ostań! - powiedziała cicho.

Wiedział już, że chce mówić, jeno coś przez usta przejść jej nie może. By jej ułatwić, zagadnął:

- Czego chciał od ciebie wojewoda?

- Zapłacić chciał za to, co Krzych dla niego uczynił.

Umilkła. Braciszek podjął:

- Prawisz, że chciał. Tedy nie zapłacił. A zdałoby się nieco srebra.

Westchnął. Ostróżka wyjechał, w pustym mieście ani zahandlować, ani wykpić gdzie parę skojców. Czas ciężki dla opuszczonych sierot. Ale zmartwił się jeszcze bardziej, gdy Kundzia powiedziała:

- Nie mogłam przyjąć, co ongi Krzych odrzucił.

- Wiesz, dlaczego, ale ninie to już nie ważne. Stało się, jakoś uradzim, jeno czemu wojewoda ciebie wzywał? Wždy przysłać mógł przez byle pachółka.

Przez chwilę nie odpowiadała. Potem rzekła z wysiłkiem:

- Sam chciał mi rzec, że Krzych nie żywię.

Wieść nie była nowa, można się jej było spodziewać, ale Braciszek rozumiał, jak Kundzi ciężko żegnać się z nadzieją. Siedziała z opuszczonymi rękoma i pochyloną głową. Po raz pierwszy, odkąd ją znał, załamała się. By coś rzec, zapytał:

- Skąd wojewoda wie?

- Od króla.

Długo milczeli. Wreszcie Braciszek podjął:

- Byli u króla w poselstwie komturzy Bonsdorf i Kesselhut, żalić się o pograniczne rozboje. Widno im Radocha doskwierał, szukając wieści o Krzychu. Ale żeby nalazł i królowi rzekł, a tobie nie, wierzyć się nie chce. Juści króla wypytywać nie będziem, zresztą nie ma go i nieprędko wróci. Radochę zdałoby się wpytać. Jeśli wieść nie od niego, on może się i od króla wywiedzieć - skąd. Ale i od Radochy nieprędko się dowiemy, a żyć trzeba dziś i jutro.

Coś musisz postanowić.

Kundzia jednak tylko niżej zwiesiła głowę. Ujął jej opuszczoną dłoń i mówił łagodnie:

- Wiem, że nie pora na swaty i nie o tym myślę. Ale masz się tu wysługiwać byle mieszczce, by się jeno radowała z twego poniżenia, możesz gospodarstwo prowadzić Radosze...

Przecząco potrząsnęła głową. Wahał się, czy jej wprost rzec, co spotkało Krzysię, może by wzgląd na dziecko skłonił Kundzię do opuszczenia Krakowa, a poza gródkiem Radochy nie widział innego miejsca na ziemi, gdzie mogłyby się przytulić. Ale powściągnął

się. Jeszcze doleje do jej kielicha goryczy, a nawet nie wie, co iście jest z Radocha. Sprawdzić trzeba, a wysłać nie ma kogo, samemu trzeba iść.

Westchnął ciężko: stary już jest, żal opuszczać sieroty, do których się przywiązał, a bardziej jeszcze poniechać je wśród nieżyczliwych ludzi bez żadnej pomocy czy wyręki.

Kundzia chociaż dziecko miała przy kim pozostawić, gdy sama uganiała za kawałkiem chleba dla małej.

Jakby zgadywała myśli Braciszka, szepnęła z wahaniem:

- Ostróżka wrócić winien skoro, niech się jeno upały skończą, bo małżonka jego wkrótce zlec się spodziewa. Może im będę potrzebna...

Zrozumiał prośbę, której widno nie śmiała wypowiedzieć, i przestał się wahać:

- Niech się jeno Ostróżki doczekam, powędruję do Radochy.

Ujęła obu rękami jego dłoni.

- Dobry z ciebie człek. Wstyd mi było cię prosić, bo nie dla cię już takowy trud, a mnie może jeno serce okłamuje, że czułabym, gdyby Krzych zmarł. Muszę wiedzieć, zali nie od Radochy król powziął wiadomość, a jeśli tak - czy nie to samo, co Radocha już raniej wiedział. Wždy po to z Krakowa wyjechał, by pewniejsze naleźć dowody, tedy widno i jemu niepewne się to zdało.

Braciszek powstrzymał westchnienie. Kundzia jeszcze snuje wciąż zrywaną nić nadziei.

Może jednak to i lepiej. Odparł lekko:

- Dawno drogi czekają na moje nogi, chocia i nie te, co były. Ale chęć ostała; tak by się nieraz szło, gdzie niebo z ziemią się styka. Po to mnie Bóg waganem stworzył, by wędrować. Gdyby chciał, bym w miejscu stał, miast nóg korzeń by mi dał. A ty się krzep, niewiasto, bo takiego jak Krzych iście poćwiartować by trzeba, by zeń ducha wygnąć.

Ugryzł się w język, bo zdało mu się, iż niepotrzebnie przypomniał, że Krzych wrócić nie może. Ale właśnie dlatego Kundzia może nie wierzyć w śmierć swego małżonka. Jej tak lepiej, a niczego to nie zmieni.

Sierpniowe słońce łagodnie pieściło wypoczywającą już po zbiorach ziemię. Ścierń rzyska złociła się w pochylonych jego promieniach, skiby podorywek pod ozime jak kot wystawiały ku światłu czarne grzbiety, chłonąc resztki dziennego ciepła. Leżące jednak w bruzdach cienie, fioletowe poprzez słoneczną kurzawę, rozszerzały się szybko. Rozleniwienie dobrze zasłużonego spoczynku ogarniało przyrodę, tylko na chwastach ugorującego łanu uwijały się stada krasnych szczygłów, czyniąc wesoły gwar. Ale gdy słońce dotknęło nieboskłonu, odlatywały szukać noclegu na ojczystych drzewach, błyskając złotem skrzydeł

w czerwonych już promieniach spłaszczonego słońca. Gwar nacichał szybko, łan opustoszał i nim słoneczna tarcza zdążyła się schować za widnokrzem, senny już świergot sadowiących się na drzewach ptaków zamarł i zapadła cisza wieczoru.

- Wstawaj lubo nocować będziesz w lesie. Pod jego ciemną ścianą siedział Braciszek i patrząc na swe zakurzone, bose stopy, zdał się prosić je, by go jeszcze dalej poniosły. Noce już były zimne, z lasu pociągał surowy chłód, przed którym podarty habit nie obiecywał

ochrony. Zdrętwiałe nogi widno jednak odmawiały posłuszeństwa, bo Braciszek zwrócił się o pośrednictwo do brzucha. Westchnął i mruknął:

- A powieczerać też zdałoby się. Gdy i to nie pomogło, zwrócił się wprost do siebie:

- Że też bata na ciebie nie ma! Skoroś się za konia podał, to ciągnij.

Ale cały dzień wędrówki bez obroku po piaszczystych drogach w sierpniowym słońcu wyszał widocznie jego siły, bo siedział dalej. Przemówił wreszcie do rozumu:

- W Łazisku prawili, że już niedaleko i drożyna tu ma gdzieś być. Ani ona do ciebie nie przyjdzie, ani jej nie najdziesz w mroku. Brzemię zawsze najcięższe pod koniec drogi.

Rozum widocznie zdołał przekonać ciało, wypowiadające posłuszeństwo, bo Braciszek, stękając, wstał i ruszył wzdłuż lasu. Drożyna - w rzeczy samej jeno zarosła już ślady kolein i świeższe końskich kopyt - istotnie nie była daleko. Gdyby nie resztki światła gasnącej zorzy, na pewno byłby ją ominął. Z szarzyzny odbarwionych już pól skręcił w czerń lasu. Nagrzane jeszcze dziennym trudem ciało ogarnął wilgotny chłód, przenikając je dreszczem, który przyspieszał kroki. Potykał się w ciemności o naziemne korzenie, wytrzeszczał wylupiate oczy, by nie zgubić krętej drożyny wśród nawisłych gałęzi. Do Radochowego gródka miało być niedaleko, a droga dłużyła się. Braciszek wkrótce stracił

pewność, czy dobrze idzie, i stanął, a po chwili usiadł.

- Chciało ci się spoczywać pod lasem, będziesz nocował w lesie - mruknął, po czym, jakby sam przed sobą usprawiedliwiając się, dodał:

- Na starość i smokowi wypadają zęby.

Podkurczył obolałe nogi, bo szczytać je zaczynał chłód. Ongiś były jak skrzydła, nosiły go, gdzie jeno pomyślał albo i bez myśli, przed siebie. A teraz, gdy ulżyć chciał

sierotom, odmawiają posłuszeństwa. Westchnął: Saraceni mówią, że w księdze żywota zapisane jest z góry, ile kroków człek wykonać ma w swym życiu. Może już nogi zrobiły swoje? Nie szczędził ich nigdy, jak rozrzutny bogacz skarbów, które zdają mu się nieprzebrane, póki dna skrzyni nie obaczy. Darmo wówczas wspominać, ile mógłby oszczędzić, nie dogadzając głupim zachciankom, by je zachować na istotne potrzeby.

Wspominał jednak: rozgrzane piaski pustyni, szorstki żwir morskich wybrzeży, śniegi alpejskie i gładki kamień rzymskich jeszcze dróg. Ale wspomnienia martwe już były, jak nagrobki przy Via Appia, a czas zacierał na nich nawet napisy głoszące przebytą drogę. Tyle zostało z bujnego życia waganta. Zatrzymana rzeka przestaje być rzeką.

- Szkoda poganiać zdechłego konia - mruknął i położył się na ziemi. Ciągnęła od niej zimna wilgoć. - Trzeba pomału do ziemi nawykać - szepnął jeszcze i usnął.

Nie obudził go głuchy odgłos kopyt po miękkim podłożu ani nawet głośne przekleństwo, gdy koń, omal nie nadepnąwszy na leżącego, chrapnął i zaparł się. Żgnięty jął

się boczyć, a siedzący na nim mąż zeskoczył, by zobaczyć, co wystraszyło rumaka. Mimo zupełnej niemal ciemności, nawykłe do niej i bystre oczy jeźdźca rozróżniły w kształcie leżącym w poprzek drogi człowieka.

- Co, u biesa! Ubili tu kogo?

Pochylił się nad nim. Po równym i głębokim oddechu poznał jednak, że ten śpi, i jął go trącać.

- Nie masz gdzie spać, jeno na drodze! Mało brakło, a byłby cię koń stratował.

Wstawaj! Braciszek usiadł z głębokim westchnieniem, ale nie wstawał.

- Wstawaj! - powtórzył przybyły. - Coś za jeden?

- Żebym to sam wiedział. Potrzebującemu każde miejsce dobrę, gdy go przyciśnie. Ale wyście rycerz Radocha.

- A ty żeś, jucho, Braciszek!

W głosie Radochy brzmiała zarazem radość, zaskoczenie i zmieszanie, gdy ciągnął:

- Skądeś się tu wziął? I czemuż śpisz na drodze, gdy do gródka nie więcej niż trzy stajania.

- Juści, że nie anieli mnie przynieśli, lecz nogi. Jeno o te trzy stajania za dużo im było.

- Gadać możem później. Od ranam w drodze i jeschcem nie wieczerzał.

- Ja od pięci niedziel i jeschcem nie śniadał.

- W gródku od jesz za całą drogę, jeno nie wiem, zali po Kundzinym będzie ci w smak chłopskie warzenie.

- Mam ci ja przyprawę, że za nic przy niej syropy i korzenie. Tak mi w brzuchu burczy, żebym głosu sumienia nie posłyszał i sierocie od gęby odjął. Jenom myślał, żeście niewiastę pojęli, skoro przez dwa gody słychu o was nie było.

Usiłował wstać, ale nogi mu ścierpły i nie mógł. Radocha, nic nie odrzekłszy, dźwignął go, podsadził na konia i ująwszy za wodze, ruszył. Nie było jak gadać, bo szedł

przodem, zważając na gubiącą się drogę między gałęziami, a Braciszek na oczy, którym te groziły w ciemności. Brak odpowiedzi ze strony Radochy zaniepokoił go. Mimo wszystko liczył na to, że Kundzia znajdzie u niego schronienie, a nijak ją było podsuwać żonatemu człowiekowi.

Do gródka rzeczywiście nie było daleko. Las uciał się nagle, po jego głębokim mroku w świetle wygwieżdzonego, pogodnego nieba zjawilo się lśniące jego odbiciem rozlewisko, przecięte ciemną grobelką, zębaty częstokół ze strażniczą nadbudówką przy bramie, a za nią na niewielkiej wyniosłości ciemna masa zabudowań, ze sterczącą od północnej strony samborza.

Na gródku oczekiwano pana, bo nim się oznajmili, zazgrzytały wrzeciędzie, z hukiem opadł zwodzony mostek i Radocha, zsadziwszy na ziemię Braciszka, cisnął wodze pachołkowi ruszył przodem przez dziedziniec do mieszkalnego budynku. Kopnął drzwi do sieni, potem do świetlicy, wrzasnął „żreć!” - i usiadł przed paleniskiem, cisnąwszy kilka szczap na dogorywający żar.

Braciszek na chwiejnych nogach wsunął się za nim, niemal omackiem wyszukał ławę, z westchnieniem ulgi opuścił się na nią i siedzieli w milczeniu. Zastanawiał się, co zeżliło Radochę. Może jeno głodny i znużony? Rozglądał się tymczasem po izbie, z ulgą stwierdzając, że niewieściej ręki znać tu nie było. Pociemniałe już ściany obwieszane były bronią, wałała się też po kątach, wszędzie panował iście męski nieład. Jeszcze bardziej brak ręki kobiecej dał się zauważyć, gdy pachołek przyniósł wieczerzę. Kasza przypalona, mięso twarde, placki z zakalcem. Ale głód istotnie starczył za przyprawy i jedli łapczywie. Radocha nasycił się pierwszy odpiął pas, cisnął go przez ramię i wziął się do picia. Braciszek również wkrótce skończył jeść, przeżegnał otarł gębę i by pociągnąć za język Radochę, który zaciął

się widocznie, zapytał:

- Pizło gdzie?

- Przy królu, we Wrocławiu, wraz ze starostą Henrykiem - odmruknął z widoczną niechęcią.

- To królu nie ma we Włocławku?

- Był, ale wyjechał hołd odebrać od wrocławskiego księżęcia w zamian za pomoc przeciw namysłowskiemu Konradowi. Za nim zasię Luksemburczyk stoi i z Łokciem się o Śląsk uganiają. Tam siły król pościągali, a ja tu szczekać mam, bo juści nic więcej poczynać nie mogę. Tyle żem się gospodarce czas miał zakrzętnąć, chocia i to po diabla. Co lepszych ludzi mi zabrali, i z Nakła takoz.

Zły był o to widocznie, bo fuknął:

- A tobie cóże o króla? Do niegoś szedł? Do niego i nie do niego. Król ma swoje kłopoty, a ja ni nu.woje. O Kundzię nie zapytacie? Zabyliście o niej?

- Głupiś! Gadaj, po coś przyszedł. Język ci chyba jeszcze służy.

- Chwalić Boga choć za to. Powiem: wojewoda Jaśko Leliwa Kundzi rzekł, jako od króla ma wiadomość, że Krzych nie żywię.

Radochę aż poderwało. Z widocznym podnieceniem zapytał:

- Król zasię skąd wie?
- Właśnie zapytać chciałem, zali nie od was.
- Jako żywo, nie!
- A nowego niceście się nie dowiedzieli?

Radocha zamyślił się, jakby coś liczył. Podniecenie jego wyraźnie przygasło, gdy rzekł:

- Starosta Henryk musiał panu powtórzyć, co ode mnie słyszał. A Kundzia uwierzyła?
- Ona wierzyć nie chce, ale jakoby ją w jątrzącą ranę ugodził. Dlatego i mnie do was wysłała po wieści.

Braciszka uderzyło, że Radocha pominął zapytanie i jakby unikał o tym rozmowy.

Patrząc na niego przenikliwie, powiedział:

- Wam też za wzdry język służył, zwłaszcza gdy posmarowany. Wzdry po to wyjechaliście z Krakowa, by wieści zbierać.

Teraz Radocha wyraźnie już, choć nieudolnie, usiłował się wykręcić:

- Widzisz, że doma siedzę albo przy gospodarce, choć i lichy mi po niej. Jeny żal by patrzeć było, jak ziemia zarasta borem, com mu ją, własnych kości nie żałując, wydarł.
- Nie o gospodarce mi prawcie, bo nie po tom stare nogi wyciągał. I nie z własnej ciekawości, jeno że Kundzia jako na węglach na wieści czeka. Gorzej, że jej dziewczuszka o rodzica dopytywać zaczyna. A bieda u nich i źli ludzie dokuczają.

Braciszek sądził, że Radocha - jak zwykle - powie, że u niego niczego by nie brakło sierotom. Na jego twarzy widać było wzruszenie, ale jeno wąs szarpał i milczał. Braciszek westchnął i podjął:

- Tedy spać pójdę, a jutro powlokę się z powrotem, skoro już im i słów żałujecie.

Nie się jednak i patrzył na Radochę, na którego srogiej twarzy widać było rozterkę, gdy powiedział z goryczą:

- Słów żałuję! Kości tłukłem i żywot stawiłem, by się czegoś dowiedzieć...
- Tedy powiedzcie Niechaj choć Kundzia wie, że jeszcze ktoś zbiega koło sprawy, która dla niej nad żywot ważniejsza.
- Radocha łamał się widocznie. Wreszcie wybuchnął:



- Żeby to choć pewny był...

- Czego? gadajcież! Społem rozważym. Ja ta o rękę Kundzi nie zabiegam, tedy jaśniej patrzę.

- Rzeknę ci, jeno zaręczyć musisz, że nikomu ani słowa.

- Jakoże - zakrzyknął Braciszek. - Ani Kundzi? Wždy dla niej zbieraliście wieści.

- Niepewne są. Mnie samemu wierzyć się nie chce, by Krzych... - urwał, machnął ręką i dokończył:

-...psubratom poszedł służyć. Tedy wiesz. Widzisz, dziwujesz się. Ale jeśliś nie głupszy, niż cię znam, sam rozumiesz, że to najgorsze, co się przytrafić mogło.

Braciszкови kudły opadły na oczy w zamyśleniu. Mruknął:

- Dla was najgorsze.

- A dla Kundzi?! Żonie wywołańca żyć nie dadzą. A zdrajcy na dobitkę! Wždy i tę budę jej odbiorą, wygnają na przepadłe. Ja bym ją i tak wziął, ale jakoż. Nie przyjdzie.

Wyłamywał palce, aż chrzęściły stawy. Braciszek rzekł:

- Opowiedzcie rządnie, skąd wiadomość?

Radocha powtórzył, co zasłyszał. Braciszek słuchał, zamyślony. Gdy Radocha skończył, powiedział:

- Dla Kundzi to szczęśliwa wiadomość. Byle pewność mieć.

- Pewność! Skądże ją wziąć? Skoro on sam znaku życia nie dał, to albo nie żywię, albo nie chce, by ona wiedziała. A jej cóże z tej pewności, skoro on tu nigdy wrócić nie może, chyba po śmierć. Pierwszy starosta Henryk by go ubił, Pizło drugi, i nie dziw. Od Krzyżaka jeno zdrajca gorszy, co mu służy.

Umilkli, Braciszek nad czymś rozmyślał i powiedział:

- Zajedno wiedzieć trzeba. Bo jeśli Krzych zginął, Kundzia musi o sobie i dziecku pomyśleć. Może się w końcu nakłoni, by wam tu lepszą strawę warzyć niżli ta. A jeśli ocalał, będzie, co Bóg da. Jeno umarłego nie wskrzesić, ale póki żywię, żywię i nadzieja.

- Wiedzieć trzeba! - zgryźliwie powtórzył Radocha. - Mnie - że nie żywię, tobie - że żywię. Dwa gody szukałem, namorzyłem zakonnych ludzi, z flaków bym im wyciągnął - i nic. Szukaj że go w zakonnych ziemiach, gdy ani wiada, czy żywię, a jestli - to gdzie. Z ciebie flaki wyprują, gdy się dowiadywać zaczniesz, bo wiedzą, że Łokieć swoich ludzi ma, którzy Krzyżaków przepatrują. A oni wzajem - ciągnął chmurnie. - Nie dziw, że Łokieć na zdrajców zawzięty.

- Gdyby wiedzieć gdzie, szukać by nie trzeba. Krzych znaczny jest, skoro go ów pruski chłop zauważył.

- Ja ninie nic poczynać nie mogę - zachnął się Radocha. - A ty ze swoimi nogami?

Może mniemasz, że cię tam kto po drogach będzie zbierał? Nie znasz Krzyżaków. Każdego cielaka mają zapisanego, by go kto nie zeżarł bez ich przyzwolenia, a narzazu nie zapłacił.

Każdy wirt pod srogimi karami donosić winien wójtowi, kto w jego gospodzie nocował. A ninie szczególnie czujni być muszą, gdy się znowu wielka wyprawa na Żmudź gotuje i ludzi ściągają ze wszech stron.

- W tłumie się zgubić najłatwiej - z uporem powiedział Braciszek.

- Twoja głowa - twoja wola. Byś jeno nie żałował.

- Dwa razy jabłko z drzewa nie spada, a każde kiedyś spadnie. Człek nikomu nieużyteczny tyle wart, co igła bez ucha. Wypocznę, a potem dacie mi spyży na drogę i ciżmy jakowe, bo jesień idzie, a stare mi z nóg zleciały. Nie będą mogły na to zganiać, że boso chodzić nie chcą, i jakoś pójdę.

Radocha ramionami wzruszył.

- Ja takż nieraz głowę stawiałem, jeno nigdy głupio.

- Głupiej głowy mniej szkoda. Zresztą póki na karku, żałować nie ma czego, a gdy spadnie - nie ma jak.

- Kto by cię przegadał - mruknął Radocha.- Ale możeś i praw.

Przedsięwzięcie braciszka w spokojnym czasie trudne i niebezpieczne, po ogłoszeniu przez Zakon wyprawy krzyżowej równało się szukaniu kamyka w zmaconej do dna wodzie.

Gospody były przepelnione, drogi roily się zbrojom ludem. Prócz zakonnych i miejskich ciągnęły poczty rycerskich lenników i gości, wojska śląskich książąt: Bernarda świdnickiego i Bolka ziembickiego, nadreńskich panów Juliachu, Lichtenbergu, Wildenbergu i innych. Zbór ich wyznaczono w pogranicznym zamku - a raczej warownym obozie - Mesoten, ale nikt. ze znaczniejszych nie pomijał Malborka, by obejrzeć świetność zakonnej stolicy, wziąć udział w ucztach wyprawianych ku czci dostojnych ości, a także rozpatrzeć się i zasięgnąć wieści.

Zakon, posiadając rozgałęzienia niemal we wszystkich krajach chrześcijańskich i stałych rezydentów w Kurii, najlepiej wyznawał się w zawiłych sprawach, najpewniejsze i najprędsze mając wiadomości.

W Malborku wiedziano już o klęsce zadanej Fryderykowi austriackiemu pod Muhldorf 19. On sam wraz z bratem Henrykiem popadł w ręce Ludwika Wittelsbacha, rozgrywka o niemiecki tron była skończona; papież Jan Dwudziesty drugi stracił głównego sprzymierzeńca. Nietrudno było przewidzieć, że pozostali pójdą w cenę, gdy umocniony na tronie Wittelsbach zmierzać teraz będzie do rozstrzygnięcia walki z papieżem. Położenie siedzącego na dwóch stołkach Zakon stawało się drażliwe, wymagało szybkich i trafnych postanowień, a odpowiedzialność spaść miała na barki małego grona dostojników, obecnych na Generalnej Kapitulie. Wielki mistrz wciąż jeszcze bawił w

Awinionie, zabiegając o uprawomocnienie bulli, obalającej wyrok inowrocławskie. Nie przybył też główny jego poplecznik, niemiecki mistrz Konrad von Gundelfingen, nie zamierzając widocznie odciążyć Wildenberga od odpowiedzialności za losy Zakonu, skoro ją wziął na siebie, wyzuwając Karola z Trewiru z godności. Brakło i landmistrza Inflan, Jana Hohenhorsta, wyznaczonego w miejsce nieudolnego Konrada von York. W czasie gdy należało wyteńczyć wszystkie siły, by pomścić klęskę i śmierć von Plotzkego oraz skończyć ze Żmudzią, inflancką gałęzią Zakonu 19 29 września 1322 r. wstrząsał otwarty już bunt. Bracia odmówili Hohenhorstowi posłuszeństwa, zarzucając mu sprzeniewierzenie pieniędzy zakonnych, i samowolnie obrali landmistrem komtura Segewaldu, Jana Ungnade. Miast współdziałania oczekiwać można było rozłamu.

Dostęp do małego refektarza w pałacu wielkiego mistrza! pilniej niż zazwyczaj był

strzeżony, gdy landmistrz modlitwą do Ducha Świętego otworzył zebranie uszczuplonej Kapituły. Choć obrady zawsze były tajne, teraz widno szczególnie zależało, by nic nie przedostało się poza cztery ściany refektarza. W niskim głosie landmistrza brzmiała groźba gdy przypomniał obowiązek milkliwości i kary za jego naruszenie.

Dumny i pobudliwy wielki szatny, Luter von Braunschweig, uwagą Wildenberga poczuł się dotknięty i oświadczył wyniośle:

- Obowiązki nasze są nam znane, a dobro Zakonu niemniej nam leży na sercu niż wam.

Landmistrz, widocznie się hamując, mierzył Lutra ponurym spojrzeniem. Jeden z licznych synów możnego księcia Brunszwiku, potomków Henryka Lwa, krewnych czczonej Zakonie świętej Elżbiety, jawnie po to wstąpił do Zakonu, by zostać wielkim mistrzem, jak i dwaj bracia jego, którzy zasilili szeregi templariuszy i joanitów. Nie o dobro zakonów im szło, lecz o podniesienie potęgi i znaczenia swego rodu. Gdy templariuszy rozwiązano, a joanici utracili znaczenie, w Lutrze już tylko leżała nadzieja i nie było niemal wątpliwości, że spełniona zostanie. Karol z Trewiru był stary i chory, Luter niewątpliwie spodziewa się z podwładnego stać się wkrótce przełożonym Wildenberga, nad którym górował świetnością rodu, ujmującą postawą i wykształceniem. Wsławił się jako twórca poematu o świętej Barbarze, obdarzony pięknym głosem sam pieśni układał, a także - jako komtur Christburga -

wykazał się umiejętnością sprężystego rządzenia. Wildenberg wiedział, że nie może się z nim równać. Odparł z goryczą:

- Ja cały żywot Zakonowi poświęciłem.

- Żywot to niewiele - rzucił Luter lekceważąco. - Tyle od każdego knechta można się domagać.

Obecni zrozumieli przymówkę. Wildenberg ledwo umiał się podpisać, godność landmistrza

zawdzięczał

von

Plotzkeinu,

którego

był

raczej

narzędziem

niż

współpracownikiem.

Wielki komtur, Werner von Orseln, nie bez ukrytego zadowolenia śledził zajście między dostojnikami. Sam po to niedawno opuścił Karola z Trewiru i przybył do Prus, by godność po nim objąć. Wildenberg uczyni wszystko, by nie dopuścić do wyboru Lutra, ale brzemenna w następstwa chwila nie była sposobna do otwartej między nimi waśni. Dlatego odezwał się pojednawczo:

- Każdy z nas służy Zakonowi w miarę swych sił. Dostojny landmistrz zapewne jeno zaznaczyć chciał, że to, co ma nam rzec, nie śmie dojść do niepowołanych uszu, by szkoda dla Zakonu nie wynikła.

- Iście tak - posępnie odparł landmistrz. - Gdy zaś postanowienia naszych statutów na każdym zebraniu braci odczytywać się zwykło, nie wiem, dlaczego brat szatny dotknięty się poczuł, że je przypomniał.

- Należało je tedy odczytać - rzucił Luter von Braunschweig uszczypliwie. - Z nas każdy rozumie różnicę między czytaniem a groźbą. Ale mniejsza z tym - machnął ręką lekceważąco. - Chcemy usłyszeć owe tajemnice.

Twarz landmistrza nabiegła krwią. I on zrozumiał przytyk, że niezbyt biegle szło mu czytanie, a nie potrafił się odciąć bystrzejszemu umysłem i językiem Lutrowi. Milczał przez chwilę, by głos nie zdradził wzburzenia, po czym przemówił:

- Pierwsza tajemnica, którą, póki się da, musimy utrzymać, to układ nasz z Ludwikiem Wittelsbachem, że syna jego, któremu brandenburską marchię nadać zamierza, będziemy popierać, w zamian za co Litwę oddaje nam w lenno.

Chełmiński landkomtur, Otto von Luterberg, uśmiechnął się.

- Wolej by nam marchię oddał w lenno, a synowi Litwę.

- Nie bliżej młodemu Ludwikowi do marchii niżli nam do Litwy - wtrącił von Orseln - ale nie przeszkadzajcie.

- Rzekłem, póki się da - ciągnął landmistrz niecierpliwie - bodaj tak długo, póki wyrok w sprawie

Pomorza prawomocnie uchylony nie zostanie. Bo każdy rozumie, że gdyby się Kuria o zawartym z Ludwikiem układzie dowiedziała, ani chybi przychyli się na stronę krakowskiego króla, który i tak po upadku Habsburgów dla niej na znaczeniu zyskał.

Dowodem, że dotąd sprawę w zawieszeniu trzyma, by mu się nie narazić.

- Cokolwiek Kuria uczyni, my trzymamy Pomorze - wtrącił Luter. - A dla nikogo nie tajemnica, że Zakon jest niemiecki i przeciw swoim trzymać nie będzie z francuską kukłą, choćby przybraną w papieską tiarę.

- To możemy rzec sobie, nie Kurii - zauważył von Orseln - a nie zapominaj, bracie, że Kuria nawet odpusty cofnąć może za wyprawę i zgoła ją udaremnić.

- Na to jest rada: wyruszyć, nie czekając zimy. A wciąż jeszcze nie słyszę owej tajemnicy, której przestrzeganie musu! nam dostojny landmistrz pod groźbą przypomnieć.

Von Wildenberg przeszył Lutra ostrym spojrzeniem i rzucił:

- Przejąłem pismo Giedymina...

Urwał, jakby się wahał, czy może zdradzić treść pisma. Luter podjął niecierpliwie:

- Giedymin lubi pisywać. Wiemy, że wysyła listy do książąt i miast, zapraszając rycerzy, kupców i rolników na Litwę i zapewniając im ochronę. Szczęściem nikt nie wierzy pogańskim zapewnieniom.

- Pozwólcie landmistrzowi skończyć - ozwał się wielki skarbnik, Konrad von Kesselhut. - Nie pismo jest chyba tajemnicą, lecz co i do kogo w nim pisał.

- Niechaj nam przeto brat landmistrz nie każe zgadywać, bo do primy nie skończym próżnego gadania.

- Do papieża - rzucił Wildenberg gwałtownie.

Umilkli zaskoczeni, a on ciągnął:

- Prosi o przysłanie kapłanów i zakonników, by objęli kościoły; ochronę im przyrzeka przy nawracaniu pogan. I sam zamierza przyjąć chrzest.

Wszyscy rozumieli, że byłby to nie tylko kres dalszych zdobyczy, ale zniweczenie pozorów celu istnienia Zakonu. Pierwszy von Orseln odzyskał głos:

- Co się stało z pismem i poselstwem?

- Pismo spalone, a poselstwo w bezpiecznym miejscu... - landmistrz urwał wymownie.

Von Orseln powiódł po obecnych badawczym spojrzeniem. Nie trzeba było słów, by poznać, że postępek landmistrza zyskał powszechne uznanie. Odetchnął z ulgą, ale zaraz zadumał się znowu. Giedymin pomiarkuje, że łudzono go rozejmem, znajdzie drogę do Awinionu i nie omieszka ujawnić roli Zakonu w tej sprawie. Giedymina nie obowiązuje tajemnica, położenie było niebezpieczne.

Tę samą myśl ubrał w słowa wielki szpitalnik, Henryk von Luckenburg. Landmistrz jednak odparł:

- Do czasu i Giedymin dotrzyma tajemnicy, bo sam mnie o nią prosił. Jeszcze nie całkiem umocnił się na wileńskim stolcu, lęka się, że wrogowie zamiar jego przeciw niemu wyzyskać mogą.

- Skoro wiedzieliście o poselstwie, Giedymin łącznie pomiarkuje, komu jego zniknięcie przypisać i o następnym was nie powiadomi.

- Nierychło pomiarkuje, do Awinionu daleko - zauważył Luterberg. - Byle nie zdradził

ktoś z tych, co posłów pojмали.

- Bądźcie spokojni - odparł landmistrz. - Ja pilnie strzegę tajemnic Zakonu.

Powiedział to z wyraźnym przekąsem. Von Orseln, obawiając się, że Braunschweig podejmie załagodzony wieścią spór, wtrącił prędko:

- Widzę, że jednej myśli jesteście. Mniemam, że i w tym, iż zwłoka udaremnić może wyprawę. Kończyć ze Żmudzią co rychlej.

- Rychlej i skuteczniej byłoby uderzyć z dwóch stron - wtrącił von Luckenburg. - Cóż, kiedy brat Hohenhorst ze zbuntowanymi poradzić sobie nie umie.

- Brat Hohenhorst wpierw sprawić się musi z zarzutu sprzeniewierzenia zakonnych pieniędzy, bo nie wolno brudnymi rękoma prowadzić spraw Zakonu. Wezwałem go już, a rzeczą Kapituły nowego landmistrza wyznaczyć dla Inflant.

- Brat Kesselhut by się nadał - rzekł von Orseln, a Wildenberg przy wtórzył:

- Sam o nim myślałem. Jeśli sprzeciwu nie ma, niechaj rusza, nie mieszkając.

Mniemam, że szybko zbuntowanych ukróci.

Kesselhut powstał na znak gotowości, mówiąc:

- Najłaciej bunt ukrócić, wyprawę ogłaszając, podczas której głową za nieposłuszeństwo się płaci.

- My za dzień lub dwa ruszymy do Mesoten, gdzie już t wojsk w gotowości stoi.

Polegam na was, że spotkamy się pod Bistenami, bo ten gród wpierw zniszczyć umyśliłem.

Zwracając się do obecnych, powiedział:

- Zwyczajne sprawy możemy odłożyć. Teraz pójdźmy im komplecie. Von Orseln jednak zabrał głos:

- Jeszcze jest jedna pilna sprawa. Gdy wszystkie siły zbierzecie na wyprawę, zbóje na kujawskiej granicy rozzuchwałą się do reszty. Skoro ja za spokój i bezpieczeństwo w kraju mam odpowiadać, naradzić się należy, jak ich w ryzach utrzymać.

- Łokieć nam wzór ostawił, jak sobie radzić na granicy, gdy sił nie ma - odezwał się von Braunschweig. - Nie brak i u nas łotrów, choćby tych, co po lochach na powróż czekają, a brat landkomtur chełmiński już raz skutecznie się mmi posłużył, by Gerwardowi za nieprzychylność dla Zakonu odplacić.

- Nie o to idzie, by odplacić - odparł von Orseln - i nic mi po takich, co bezbronnych łupią, a skóry własnej strzegą. Nie zapominajcie, że po tamtej stronie sprawami kieruje ów dostojny zbój z Nakła i nawet w zwyczajnym czasie poradzić sobie z nim trudno. Trzeba by i u nas takowego naleźć, który by

u łotrów posłuch miał i poważanie, a śmiały był i obrotny.

- Jest w Warmii ów słynny Muko - wtrącił von Luterberg - z którym tamtejsi komturzy dotąd uporać się nie mogli. Z nim się ułożyć, bezkarność i ochronę mu zapewniając. I w Warmii będzie spokój, i na granicy.

- Tedy się układajcie - powiedział z pewną niechęcią von Wildenberg - a my pójdźmy pomodlić się, by Wszechmocny prowadził oręż Zakonu ku swojej chwale.

- I oręż Muka także - uszczypliwie zakończył von Braunschweig.

Przygotowania do wyprawy wyrwały Krzycha z otępienia, jakie pozostało po straszliwych wyrzeczeniach i trudach powrotnej drogi ze Żmudzi. Ocalił życie Nendorfa, ale nie zdołał ocalić w nim nic z tego, co ongiś wyróżniało chłopca w gromadzie innych, do których Krzych czuł odrazę. I ten wysiłek był daremny. Odesłany do Królewca Krzych siły odzyskał rychło, ale wewnętrzne znużenie pozostało. Zakorzenione przekonanie, iż nic od niego nie zależy, przerodziło się w takie zobojętnienie, że niemal nie widział, co się dokoła niego dzieje. Tylko nocą we wspólnej sypialni oddechy i chrapania towarzyszy sen jego czyniły czujnym i niespokojnym, a jedzenie ze wspólnej miski z człowiekiem, którego nawet twarzy ni imienia nie pamiętał, budziło w nim obrzydzenie. Jeżeli czego pragnął - to samotności.

Życzenie to miało się spełnić choć w części. Wielki marszałek a zarazem komtur Królewca i wójt sambijski, Engelhard Rabe, dowiedziawszy się o ocaleniu przez Krzycha ранego rycerza zakonnego, pozbył się doń nieufności, jaką Krzyżacy zawsze żywili do obcych, a wiedząc też o jego doświadczeniu w hodowli i ujeżdżaniu koni, powierzył mu nadzór nad stadninami w całym wójtostwie. To dało Krzychowi władzę i niemal zupełną swobodę. Dni spędzał na koniu, noce gdzie popadło, w szałasach koniarów, chatach niewolnych chłopów, a z nastaniem ciepłej pory bodaj pod gołym niebem. Jeśli tylko nie trzeba było prowadzić tabunu, nie brał z sobą nawet pachołka. Przestrzegano go wprawdzie, że nie jest to całkiem bezpieczne, zdarzało się bowiem, że zakonny człowiek zniknął jak kamień w wodzie, mimo straszliwego odwetu spadającego na całą wieś, którą równano z ziemią bez dochodzenia sprawców, ale nie zważał na to. Wyganiał z izby lub szałasu mieszkańców i spał bez marzeń. Wewnętrzna pustka zasklepiła się. Gdzieś głęboko tkwiły w nim jednak wspomnienia, jak zarośnięty grot w ciele, który przypomni się jeno przy jakimś poruszeniu.

W ogólnym zobojętnieniu rozplynęła się nawet nienawiść Krzycha do Krzyżaków, okrucieństwo ich przestało go wzburzać. Jeżdżąc wiele po kraju, widywał jeńców litewskich, a raczej ich żywe szkielety, jak mozolili się przy budowie dróg, mostów, sypaniu grobli i osuszaniu bagien. Bez względu na porę zawsze pod gołym niebem, odziani w nigdy niemal nie wysychające łachmany, okradani przez nadzorców nawet z nędznego pożywienia, ścigali jego biały płaszcz nienawistnym spojrzeniem głęboko wpadniętych oczu. Przejeżdżał obok nich obojętnie. Jeśli nawet pomyślał o ich losie, nie odczuwał litości. I oni jej nie znali, wiedzieli, co ich czeka w krzyżackiej niewoli, mogli wybrać lżejszą śmierć. Nie oburzał się już nawet na widok bezwzględności, z jaką obchodzono się z nie wolnym chłopem pruskim, którego winą było tylko, że do upadłego bronił swej wolności. Zdrajcy, którzy w czasie drugiego powstania przeszli na stronę krzyżacką, dzierżyli ziemię swobodnie, czasem nawet na prawie rycerskim, jeśli zasłużyli się w walkach z Litwą. Ochrzczeni - niemczyli się szybko, by jeszcze polepszyć swe położenie. Naród pruski skazany był na śmierć, Jakby



w odwecie za rozlaną krew prawdziwych apostołów, którą skalał swą ziemię, i tym Krzyżacy bronili się w Kurii, gdy skargi na ich postępowanie doszły do jej odległych a niezbyt czujnych uszu.

Koniarzami byli niemal wyłącznie niewolni chłopcy pruscy i Krzyżacy, stykając się z nimi często, poduczył się ich mowy, ale używał jej tylko do wydawania rozkazów. Tę samą co u litewskich jeńców nienawiść widział i w ich oczach, a zjawienie się białego płaszcza wywoływało popłoch. Ale w nim nie budziło to żadnych uczuć. Żył jak drzewo, któremu obojętne, czy sąsiednie wichry złamie, czy zetnie topór, samo niczego nie pragnie, niczego nie czeka i niczego się nie lęka. Zamykał oczy na wszystko, co nie dotyczyło koni.

Zewnętrzny spokój Krzyżacy zakłóciły przygotowania do wyprawy, nie tylko przez wzmożone zajęcia. Rzadko teraz bywał samotny. Stale w objazdach towarzyszyli mu służebni bracia i knechci, by odprowadzać do komturii wybrane pod wierzch konie. Trzeba było doglądać ich objeżdżania lub samemu objeżdżać trudniejsze. Te zajęcia przeciągnęły się do jesieni, widocznie jednak wyprawa miała być przyspieszona, bo zaraz po nich nakazano wyznaczenie i ściągnięcie chłopskich podwód, co zazwyczaj czyniono dopiero po ukończeniu jesiennych robót. Ciężki ten i niebezpieczny obowiązek był na domiar pól do nadużyć zakonnych urzędników i znęcania się, a obciążony ponadto pobieraniem zakładników dla zapobieżenia zbiegostwu i zdradzie. Zakładników wyznaczał zakonny pfeleger lub wójt. Do Krzyżacy należało tylko dobieranie koni, ale zmuszony był patrzeć na bezwzględność, często i złośliwość gnębiących, a rozpacz gnębionych. Znowu jak piana na wzburzonej wodzie wstawała w Krzyżacy nienawiść, a hamowanie jej wybuchu męczyło go. Starał się nie widzieć i nie słyszeć, co się dokoła niego dzieje, ale niecierpliwie oczekiwał chwili wyruszenia na wyprawę. Tam okrucieństwo było wzajemne, nieprzyjaciel miał broń w rękę i płacił równą monetą.

Upalne lato i sucha jesień zdały się sprzyjać krzyżackim zamierzeniom. Bagna podeschły, na wiodących na wschód drogach wstawał kurz, wzbijany przez końskie kopyta i stopy zbrojnego ludu ciągnącego już na zbiórkę. Konie oddziały rycerskich braci czekały na przybycie rycerskich gości, a w miarę jak napływali, urządzano dla nich wspaniałe uczyty i gry rycerskie. Innych zajęć nie było. Tłum i gwar drażnił Krzyżacy, pod pozorem przeto obejrzenia stadnin przed wyruszeniem wziął konia i wyjechał. Chciał przynajmniej teraz być sam, wiedząc, że na wyprawie nie da się już unikać obcowania z ludźmi, których obecność przez sam przymus była mu wstrętna.

Dzień sprzyjał wypoczynkowi, pogodny, świetlisty. Jesień barwiła już drzewa złotem i czerwienią, w przyrodzie panował spokój. Ruch idącego stępem konia działał na Krzyżacy jak kołysanie na dziecko. Mógłby tak jechać w nieskończoność, nie myśląc o niczym. Z nawyku jednak w południe przystanął, napił konia w leśnej strudze, rozsiadł i puścił na paszę, a sam legł na wygrzonym mchu, zwinięty płaszcz podłożywszy pod głowę, i przez rzednące listowie zapatrzył się w błądzący błękit nieba. Ptactwo odleciało już, w lesie panowała senna cisza, którą mącił jeno jednostajny, znany chrzęst końskich zuchw. Świadomość bliskości przywiązanego a nienatrętnego stworzenia budziła w Krzyżacy poczucie spokoju i bezpieczeństwa. Przymknął oczy i zanurzył się w nim jak w nagrzanym wodzie, wolny od wszelkich innych myśli i wrażeń. Nie spał, ale nie czuł, że czas płynie, jeśli wstawały w nim wspomnienia, to nie związane z ludźmi, nawet myślą uciekał od nich do lasu, w którym spędził większą i lepszą część swego życia. Tam nikt go nie skrzywdził ni on nikogo.

Z zagubienia wyrwało go poczucie czyjejs obecności, którą potwierdził szelest.

Niechętnie podniósł powieki. Przed nim stała dziewczuszka, dziecko niemal, i wpatrywała się w niego wielkimi, ciemnymi oczyma z zaciekawieniem, ale bez przestrochu. Włosy jej, niesforne i jakby spłowiałe od słońca, splecione były w krótki warkoczyk, w rękę trzymała dwojaki pełne jagód. Krzych uświadomił sobie, dopiero gdy ujrzał uśmiech na twarzy dziewczynki, że po raz pierwszy od dawna uśmiechnął się. Widok jagód przypomniał mu też, że nie jadł od rana. Zapytał po prusku:

- Gdzież o tej porze tyle ożyn nasza? Zjadłbym.

Nic nie odpowiedziała, ale przystąpiła, rumieniąc się, i podała mu dwojaczki. Wziął garść jagód i zapytał:

- Nie boisz się sama chodzić po lesie?

- Do dom niedaleko - odparła - a matuś kazała nazbierać, bo miód syca.

Krzych zrozumiał, że dziewczynka nieświadoma, z kim mówi. Sycenie miodu zabronione było chłopom pod srogimi karami. Widocznie w swym krótkim życiu nie spotkała się jeszcze z krzywdą, która by ją nauczyła nieufności.

- Nie powinnaś tego mówić obcemu - powiedział.

- Dlaczego? A wyście nieobcy, mowę naszą znacie.

Nie mógł się zdobyć na to, by rozproszyć dziecięcą ufność. Tak dawno nie zetknął się z nikim, którego obecność sprawiałaby mu przyjemność. Ręka jego mimo woli wyciągnęła się do dziewczynki, by ją pogłodzić po głowie. Ale powściągnął się, wziął kilka ożyn, mówiąc:

- Ku zachodowi się ma, dzień krótki. Idź już do dom, bo jeszcze pobłędzisz w mroku.

- Do dom niedaleko - powtórzyła. - Pod samym lasem stoi, trafię i w nocy.

Odwróciła się jednak i odeszła. Patrzył za nią jak urzeczony. Tępy spokój prysnął w nim, widok dziewczynki przywiódł mu na myśl własną córeczkę, której nigdy nie widział i może nigdy nie zobaczy. A jeśli nawet kiedyś, po latach, to nie będzie już dzieckiem, które można gładzić po jasnej główce. Obca będzie, bardziej niż to dziecko, które odeszło przed chwilą, pogłębiając tylko pustkę w jego piersi. Chociaż wiedział, że nie wraca, co minęło, zerwał się i zapominając nawet o koniu, który, skubiąc trawę, gdzieś się oddalił, ruszył za dziewczynką.

Istotnie nie było daleko. Gdy wyszedł na skraj lasu, o pół strzelenia z łuku ujrzał

przytuloną do niego zagrodę, osłoniętą od północnej strony brzozowym, rudziejącym już gajem, a białe pnie różowiły się w zachodzącym słońcu. Zdać się mogła ukrytą przed światem przystanią spokoju, ale dochodzący z niej gwar zdradzał, że dzieje się tam coś niezwykłego.

Gdy Krzych zbliżył się, rozróżnił niemieckie przekleństwa i niewieści lament, dochodzący od dziedzińca, którego widok zasłaniała chata. Krew uderzyła Krzychowi do głowy, aż w oczach mu

pociemniało, ale przystanął. Czuł, że jeżeli się nie opanuje, ubije pierwszego spotkanego Niemca. Nie myślał o własnym położeniu, jeno że zgubę sprowadzi na chłopca i jego rodzinę.

Trzeba wiedzieć, co zaszło, i tylko zimnym rozsądkiem coś zaradzić. Zarzucił niesiony pod pachą płaszcz i przez furtkę w płocie wszedł na obejście, kierując się na dziedziniec. W tej chwili usłyszał żalospny płacz dziecka i zza węgła wyszedł brodaty knecht, ciągnąc za warkocz spotkaną niedawno dziewczynkę, tak że stopami ledwo ziemi dotykała. Na widok rycerza przystanął, a Krzychowi własny głos zdał się obcym, gdy rozkazał:

- Puść dziecko!

Obojętny spokój rycerza zwiódł widocznie knechta, gdyż zaśmiał się i dźwignąwszy dziewczynkę, zamierzał widocznie upuścić ją z góry na ziemię. Krzych chwycił go za dłoń i cały hamowany gniew wyładował w sile uścisku. Poczul, jak chrupnęły kości, knecht zawył

jak pies, osunął się na ziemię i wijąc się z bólu, skomlał cicho, a po brodatej twarzy ściekał

pot i łzy. Dziewczynka zerwała się i uciekła, ale Krzych nie patrzył za nią, gdyż za węglem rozległy się szybkie kroki i zwabiony widocznie krzykiem ukazał się zakonny pfeleger sąsiedniego folwarku, w którym Krzych niedawno wybierał konie. Na widok rycerza i jęczącego na ziemi knechta Niemiec stanął zaskoczony, ale Krzych opanował się już i wskazując na knechta, powiedział ostro:

- Nie wykonał rozkazu. Najsurowiej ukarać. - Nie czekając odpowiedzi ciągnął: - Co się tu dzieje?

- Pogański pies miód sobie warzył...

- Nie sobie, jeno mnie - uciał Krzych, a widząc drwiący uśmiech na twarzy pfelegra, przysunął się do niego i rzekł groźnie:

- Widzę, że się to wam nie podoba. I mnie nie wszystko się podobało na waszym folwarku. Jałowe kłacze miewają u was mleczone wymiona. A może wilki pożarły łoszęta?

Z twarzy pfelegera zniknął uśmiech. Przybladł i pochylając głowę, mruknął:

- Leben und leben lassen<sup>20</sup>. Lubicie miód, szlachetny panie mozem wypić sposobną porą.

- Świadców mi do picia nie trzeba - odparł Krzych oschle. - Ninie tu spokój chcę mieć, bo będę wieszerał i nocował.

Pfeleger zrozumiał; skłonił się sztywno i przy pomocy drugiego knechta dźwignął z ziemi ślaniającego się na nogach towarzysza. Odeszli w kierunku widocznej opodal wsi.

Krzych opuścił się na ławę przy wejściu do chaty. Serce jeszcze tłoczyło mu do głowy krew, która pulsowała w bliźnie po ranie, ale uspokajało się z wolna, natomiast wewnętrzny spokój Krzycha pierzchnął. Dla obcego dziecka zdołał opanować gniew, dla własnego uczynić tego nie potrafił. Nawet nie spojrzawszy na nie, porzucił je na łaskę losu lub obcych ludzi, a wraz z nim wszystko, co dobrego znaleźć zdołał w swym nieradosnym życiu: wierną i wyrozumiałą miłość takiej jak Kundzia

niewiasty, spokój, dobre imię, życzliwość towarzyszy.

A nic nie wydolił uczynić, by odwrócić skutki nieprzemyślanego postępu, którym zburzył

wszystko, co zbudował. Lata płyną, a jedyna nadzieja, że Łokietek ugodzi się z Zakonem i wybaczy odstępcom, gasła. Król nigdy nie wyrzeczy się Pomorza, Zakon zaś nie odda go z dobrej woli. Prędzej czy później przyjdzie do miecza. Krzych z bolesnym zdziwieniem śledził

drogę, która przywiodła go do tego, że może walczyć będzie musiał przeciw swoim, po stronie nienawistnego Zakonu. Dobrze jeszcze, że nie ma syna, jak rodzic mógłby zginąć z jego ręki. Nie tylko nieszczęście pchnęło go na tę drogę. Radocha, z pozbawionego domu sieroty, z pozbawionego praw zbója, zdołał odbudować swe życie, ustalić się, zyskać poważanie i majątność. Krzych wiedział o jego pragnieniu założenia rodziny i skłonności do Kundzi. Może ją Radocha już pojął, on sam uchodzić musi za zmarłego, skoro nie dał znaku życia, a uczynić mu tego nie wolno. Iskra nadziei, że jeśli los pozwoli, będzie mógł wrócić do Kundzi, przygasła w Krzychu. Grzebał się w przeszłości, by dojść do źródła tej rzeki nieszczęścia, która go niosła na głębię bez dna. Zapatrzonego w siebie Krzych nie widział, że słońce zaszło. Z zadumy obudził go szelest lekkich kroków. Z domu wyszła dziewczynka, i zbliżała się z wahaniem. Przystanąwszy opodał, powiedziała nieśmiało:

- Matusia kazała wam rzec, że wieczerza i izba gotowe.

Krzych spojrział na nią. Ni śladu dziecięcej ufności, jaką okazywała mu w lesie. Matka jej musiała słyszeć, co mówił z plegrem, ale nie wierzy, by jeno obronić chciał

krzywdzonych, a dziecku udzieliła się nieufność rodziców. Nie pokazali się nawet, by podziękować. Cięży im obecność zakonnego rycerza. Krzych wstał.

- Rzeknij, że nie będę wieczerzał i nocował - powiedział.

20 Leben und leben lassen (niem.) - Żyj i pozwól żyć.

Odeszła go już chęć pogłaskania dziewczynki po głowie. Uniknęłaby zapewne, gdyby wyciągnął rękę. Nie obzierając się, odszedł. Odszukał konia i ruszył z powrotem. Nie poganiał go ani nie kierował, było mu obojętne, kiedy i dokąd zajędzie.

Nazajutrz równie obojętnie ciągnął do Mesoten z hufcami rycerskich braci i konfratrów pod wielką chorągwią Zakonu, wraz z gośćmi pod sztandarami Najświętszej Panny świętego Jerzego. Z pogardliwym lekceważeniem patrzył na zachodnich krzyżowców wystrojonych niczym na turniej, w zbrojach zdobnych we wstęgi i klejnoty, w hełmach przybranych pióropuszcami lub pamiątkami zwycięstw po alkowach, Wiedli z sobą heroldów, opowiadaczy, śpiewaków i muzykantów, by ich wspaniałe czyny miał kto opiewać na ucztach, które, zda się, były głównym celem wyprawy. Książęta podejmowali się wzajem po kolei, prześcigając się w ilości i wymyślności potraw i napojów, podawanych na srebrze i złocie, oraz we wzajemnych podarunkach. Krzych wiedział, jak szybko sama już droga zetrze ten blichtr. Rad by przeżył raz jeszcze nędzę głodowego odwrotu jak w poprzedniej wyprawie, byle zobaczyć dufnych w sobie pyszałków, porzucających wszystko, co nie było wprost niezbędne do życia, zdolnych mordować się wzajem o ochłap końskiego mięsa. Ze

szczególnością niechęcią patrzył na świdnickiego księcia Bernarda, którego mianowano wodzem wyprawy, mimo że w istocie wszystkim zarządzał Wildenberg; w czasie gdy Łokietek zabiega o Śląsk, zięć jego nie waha się łączyć z zaklętym wrogiem. Gorycz zalewała Krzycha na myśl, że zięciowi król wybaczy, gdy tylko Bernard zechce o to poprosić, a ten tymczasem łyka krzyżackie podarunki i pochlebstwa.

Tym razem zdało się nie zanosić na klęskę Krzyżaków. Ponad dwadzieścia tysięcy dobrze zbrojnego i zaopatrzonego ludu ruszyło w pochód, któremu nieprzyjaciel nie mógł się w równej sile przeciwstawić. Pochód hamowała zrazu tylko przyroda, pasem bezludnej i bezdrożnej puszczy osłaniając osiadły kraj. Ale tysiąc siekier torowało drogę przez gąszcz zarośli, przez przekopy i strumienie, bagna i wykroty. Co chwila zsiadać trzeba było z koni, by je przeciągnąć przez niepewne mostki, sklecone z kilku pni, przez młaki pokryte jeno gałęzmi, zwalone wiatrołomy i przesieki, a wszystko wśród ustawicznych niemal wrzasków, zwiastujących zasadzki zaczejonych wrogów. Konie boczyły się i niepokoiliły, niejedem złamał

lub wycieczyl nogę, czy ulgnął tak, że trzeba go było zostawić na przepadłe. Nie nawykli do takiego pochodu nowicjusze rozmyślać zaczynali, że taniej można było kupić odpust grzechów, a większą i łatwiejszą sławę zdobyć na świetnych turniejach, niż w walce po krzachs z zajadłym i podstępnyim poganinem.

Pod wieczór mozolnego dnia obszar bezludny pozostał za wojskami, ale noc nie przyniosła im odpoczynku. Gromady pogan zwierzęcym wyciem płoszyły sen, z ciemności nadlatywały pociski, a raz po raz następujące napaści wprowadzały zamęt, gdy nie można było swego od wroga odróżnić. Dopiero świt przyniósł uspokojenie i parę godzin snu, ale gdy jesienne słońce wzbiło się nad mgłę, landmistrz podniósł wojska na nogi i weszły w osiadły już kraj, znacząc swój pochód zgliszczami osad i trupami mieszkańców. Dymy płonących wsi we dnie, a łuny w nocy jak wici wzywały napadniętych do broni, ale Krzyżacy łamali bezładny opór, silniejszego spodziewając się dopiero pod Bistenami. Mimo że pora była spóźniona i nadciągały słoty, landmistrz, dotarłszy pod gród, dał wojskom kilka dni wypoczynku, w nadziei, że tymczasem doczeka się nadejścia Kesselhuta z inflanckimi silami.

By zaś pozbawić obleżonych pomocy z zewnątrz, a własne wojska uchronić od wyczerpujących nocnych napaści, porozysłał liczne drobne podjazdy. Zapobiec miały gromadzeniu się większych sił wroga, a zarazem zaopatrzyć się w świeżą żywność; przepatrywać okolicę i niszczyć osady, mogące dać oparcie wrogowi oraz pobrać potrzebnych do obleżniczych robót jeńców, których dotychczas wycinano, by nie obciążać pochodu.

Krzych chętnie wyruszył na czele jednego z podjazdów, i choć na krótki czas oddalić się od gwaru i tłumu. Nie bacząc na niebezpieczeństwo, wysforował się naprzód, jeno weszli w las. Nawykły do czujnej samotności, nie lękał się, wyostrzonymi zmysłami baczny na każdy szelest i ruch. Listowie opadało już, grubą warstwą ścieląc podłoże, przez bezlistne gałęzie widoczność była dobra nawet w podszytym lesie, pierzchający dość często drobny zwierz wskazywał, że nikt tędy nie przechodził. Do południa nie napotkał Krzych najmniejszego bodaj śladu bytności człowieka. Nad strumykiem zarządził postój i posiłek i ruszył dalej z biegiem strumienia, spodziewając się że prędzej czy później napotka nad nim osadę. Szedł teraz jeszcze ostrożniej, konia prowadząc luzem, i pilnie baczył, czy nie dojrzy śladów, które by zdradzały bliskość ludzkiej siedziby. Nie uszedł jeszcze daleko, gdy

strumień rozlał się w płyciznę o piaszczystym dnie krzaki po obu brzegach rozstały się, tworząc łączkę, a zdeptana trawa wskazywała, że ktoś tędy przechodził. Krzych stanął nad brodem. Nie zamulone jeszcze ślady kopyt konia i liczniejsze ludzkich stóp zdradzały, że niedawno przejść tędy musiała gromada. Ruszył za tropem wiodącym w zarośla, które wychodziły na skłon niewielkiego pagórka.

Ucinały się nagle i przez gałęzie widać było zorane poletko. Osada musiała być tuż.

Doczekał nadejścia swoich i nakazawszy postępować za sobą na odległość wzroku, ruszył

wzdłuż strumienia, spodziewając się, że znajdzie nad nim ścieżkę wiodącą do osady. Pewna była niemal obecność w niej zbrojnych ludzi, których należało zaskoczyć. Jakoż, uszedłszy kilkadziesiąt kroków, natknął się na ścieżkę. Wiła się wśród zarośli, wiodąc w kotlinkę między dwoma pagórkami. Wcześniej niż ujrzał zagrodę, posłyszał Krzych dość liczne głosy.

Podsunał się do skraja zarośli, uchem łowiąc kroki postępujących w ślad za nim knechtów.

Ręką nakazał im ciszę, wychylił się i na rzut kamienia dojrzał niski, kryty jednospadowym dachem dom, z wejściem od strony rzeczki. W tyle za nim widoczne były częściowo gospodarcze budynki, przed którymi kręciło się kilku zbrojnych ludzi. Ale Krzych nie patrzył

na nich. Uwagę jego przykuwał bliższy widok: przed chatą stał młody wojak, zasobnie ubrany, z mieczem przy boku, trzymając za rękę młodą dziewczynę, która zdała się o coś prosić. Byli tak blisko, że można by zrozumieć słowa, gdyby nie to, że mówili półgłosem.

Wojak, uśmiechając się z zakłopotaniem, odmawiał widocznie, bo dziewczyna cofnęła dłoń z jego ręki.

Niespodzianie zaczęła śpiewać. Krzychowi głos zamarł w gardle, a serce jęło się trzepotać, aż mu w oczach pociemniało. Gdyby nie to, że widział dziewczynę jak na dłoni, mógłby przysiąc, że słyszy Kundzię. Wspomnienia zerwały się w nim jak stado ptaków.

Przymknął oczy i słuchał. Nie myślał o tym, po co tu przyszedł. Ale przypomniał mu zjadliwy szept, tuż przy uchu:

- Toki na jesieni. Wraz ustrzelę koguta.

Rozległ się szcęk cięciwy, a po nim przeraźliwy krzyk dziewczyny. Młody wojak legł na ziemi, a ona, pochylając się nad nim, usiłowała go dźwignąć. Knechci bez rozkazu wypadli z krzów z wrzaskiem, naprzeciw nadbiegli Żmudzini i w jednej chwili pod chatą wicherzył się tłum.

Krzych nie skoczył z innymi. Podchodził z wolna, oczyma szukając dziewczyny w kłębie przewalających się ciał. Dojrzał ją przez mgnienie oka, jak do drzwi chaty wciągnęła rannego zapewne młodzieńca. Knechci rzucili się ku niej, ale drogę zastąpili Żmudzini, a w tej chwili drzwi zatrzęsły się i widocznie założono je kłodą, bo dwóch knechtów darmo usiłowało je wysadzić, gdy reszta tymczasem na karkach pierzchających wrogów pognała na tyły chaty.

Krzych ruszył za nimi, spojrzął na leżące pod progiem ciała dwóch żmudzkich wojów, jednego z knechtów i starego chłopca, zapewne gospodarza chaty. Na dziedzińcu zastał tylko dwóch braci służebnych, którzy, ciężej zbrojni, nie mogli ścigać uchodzących. Ale i knechci wracali już, nim się ukazali, słyhać było przekleństw i jęki. Widno Żmudzini nie uciekali na oślep. Jednego z knechtów nieśli towarzysze, dwóch innych prowadzili. Ale Krzych nie patrzył na nich, czekał na pozostałych. Nadeszli po chwili gromadą, między nimi szła dziewczyna. Włosy miała rozwiane, suknie podarte, musiała walczyć o swoją wolność, ale teraz szła już bez oporu, z opuszczonymi oczyma w pobladłej twarzy. Zamknięto ją w komórce koło chlewu, bracia służebni jęli opatrywać rannych, a pozostali knechci gospodarzyć, łapiąc drób, rznąc świnie i na wóz ładując znalezione zapasy. Wkrótce rabunek był skończony, jeden ze służebnych braci jął krzesać ogień i z płonącym wiechciem w ręku ruszył do chaty, zamierzając ją widocznie podpalić. Krzych rzucił krótko:

- Ostawić. Tu będziem nocować.

Stary wojak zdeptał wiecheć i odszedł. Wiedział, że milczek nie powtórzy rozkazu ani wyjaśniać go nie będzie. Pozostawało jeszcze parę godzin dnia, które można było wykorzystać, by się oddalić z łupem. Czekanie na miejscu nie było bezpieczne, kręcących się pod Bistenami gromad było dużo, rozproszeni mogli wrócić w większej sile. Ale nie widział

rady, wyznaczył kolejność straży, a knechci wzięli się do gotowania wieczery i noclegu.

Krzych przeszedł na przeciwległą stronę chaty. Pobici leżeli tu jeszcze, ale oni mu nie przeszkadzali. Usiadł i zadumał się. Nigdzie nie uciecze przed sobą i nigdy nie odetnie się od przeszłości. I nieprawda, że mu obojętne, co się dokoła dzieje, darmo mówić sobie, że dola jeńców nie lepsza u Litwinów niż u Krzyżaków. Żał mu było dziewczyny, nie tylko dlatego, że przypomniała Kundzię. Wiedział, jaki los ją czeka.

Zapadł już mrok, gdy z zamyślenia obudził go pacholek, oznajmiający, że wieczerza i nocleg w izbie zgotowane. Krzych, podjadłszy, ułożył się i zasnął natychmiast. Gdy się ocknął, szarzejące w oknie błony wskazywały, że księżyc przechylił się ku zachodowi.

Krzych leżał jeszcze, usiłując przywabić sen, ale nie zdołał. Wstał, włożył kubrak i płaszcz i wyszedł na pole.

Noc była jasna i chłodna, w dolince nad strumieniem rozpostarła się mgła. Z jej lśniącej martwej powierzchni sterczały kępy krzów niczym trzcina na jeziorze. Krzych patrzył

przez dłuższą chwilę, jak niknęły, zatapiając się w mgle, która wznosiła się wyraźnie; wkrótce ogarnie wszystko, nieprzyjaciel, znając okolicę, podejść może niepostrzeżenie. Krzych skierował się na dziedziniec, by stwierdzić, czy strażnik czuwa. Nie dojrzał go nigdzie, natomiast od strony komórki przy chlewie doszły go jakieś odgłosy. Drzwi komórki były otwarte, w ciemnym wnętrzu słyhać było szamotanie. Nie miał wątpliwości, co się dzieje, i ogarnął go dziki gniew. Jednym skokiem znalazł się w komórce, omackiem schwytał knechta za brodę, podniósł w górę, pięścią wyciął w twarz i cisnął o ścianę. Z kąta dochodził zdyszany oddech. Nie myśląc o skutkach, Krzych rzucił po prusku:

- Uchodź!

Drobna postać przemknęła się koło niego jak łasica i zniknęła bezszelestnie jak cień.

Krzych namacał leżącego i zaniepokoił się. Nie słyhać było oddechu. Przywłókł go do drzwi i przy świetle zachodzącego księżyca ujrzał półotwarte, szkliste oczy. Teraz dopiero zdał

sobie sprawę, co uczynił. Ubicie knechta, który zaniedbał straży, mógłby jeszcze przed landmistrem usprawiedliwić. Ale ucieczka branki czyniła sprawę podejrzaną. Z

obrzydzeniem myślał, że będzie się musiał wyłgiwać, a nigdy nie nauczy się zawczasu pomyśleć o skutkach tego, co czyni.

Z zamyślenia ocknął go szelest za obejściem. Zrazu sądził, że może dziewczyna przytuliła się przez chwilę, a teraz uchodzi. Ale szmery zbliżały się ze wszystkich stron.

Krzych wpadł do chlewa, trącił pierwszego z kraju knechta i syknąwszy: „za broń” -

pognał do chaty. Porwał hełm i miecz, zbudził śpiących w komorze braci służebnych i poskoczył na dziedziniec. Zgromadzeni już knechci dociągali pasy i siodłali konie. Kazał

załadować na nie rannych i cofnąć się w cień pod chatę, sam zaś stał nasłuchując. Myślał już, że złudził go szmer skapującej z gałęzi rosy, jaką osiadała podchodząca pod wzgórek mgła.

Księżyc musiał zachodzić, gdyż cienie nagle rozlały się w mrok i jakby na hasło powietrze aż zadrżało od nieludzkiego wycia, a ziemia od tupotu biegnących.

Krzych bez wahania rzucił się w kotlinkę, a za nim runęli inni, obalając zaskakujących im drogę. Każdy rozumiał, że ratunek jeno we mgle i ciemności. Wparli się w krze, przebrnęli rzeczkę i wpadli w podszyty las. Za nimi rozlegały się jeszcze odgłosy walki, ale tłumiła je coraz bardziej odległość i mgła, aż ucichło. Na niewielkiej polance Krzych zatrzymał ludzi, by ich policzyć. Nie było ni połowy, przepadły też konie. Rozbicie podjazdu nie przysporzy Krzychowi zawołania, ale nie dbał o to. O ubitego knechta ni zbiegłą brankę nikt już nie zapyta.

Późnym rankiem dotarli do obozu, wracały też inne podjazdy, nie wszystkie w tej liczbie, jak wyszły. Ale okolica dokoła grodu na milę z górą zamieniona była w pustynię, w której nie mogły znaleźć oparcia znaczniejsze siły, by przeszkadzać oblężeniu. Prowadzono stada bydła, owiec i nierogacizny, wozy z zapasami i licznych jeńców, Wśród których nie brakło kobiet i dzieci, często bosych, z rozwianym włosiem, tak jak je zaskoczono, wiezionych na krowach i koniach wśród kpin i rozpustnych pokrzykiwań. Krzych, patrząc na to, miał

gorzką świadomość, że uwolnienie jednej branki było niczym. Gra nie opłacała stawki, mógłby walczyć z Zakonem otwarcie, gdyby nie kierował się porywami. Teraz niemal szczęściem zdał mu się okres, gdy po utracie Hanny jako cel życia wytknął sobie walkę z wrogiem. Ale i to zaprzepaścił, miast walczyć z Zakonem, musi mu służyć, jak ongiś ojciec.

Jeno że wówczas był stary Gotfryd von Hohenlohe, który nie wyciągał rąk po chrześcijańskie ziemie,



wierzył w swe posłannictwo, a surowa reguła nie była jeszcze martwą literą. I Mścigniew, nie znalazłszy sprawiedliwości u Łokietka, szedł jej szukać u Krzyżaków, a Krzych uchodził przed nią do gnijącego w swej nieprawości przybytku łotrów, którego nienawidził. Coraz częściej myślał o ojcu, który jawił mu się nawet we śnie. Budziła się w Krzychu przesądna wiara, że domaga się od niego pomsty nad krzywdzicielami, której sam dokonać nie zdążył. Krzych wiedział, że ród Nałęczów jest potężny, skoro liczyć się z nim musi sam król, a zemsty nad nimi poszukać można tylko w razie wojny między Polską a Zakonem. Uczepił się tej myśli, znajdując w niej ulgę w rozterce i przygnębieniu. Chciałby z kimś pomówić o ojcu, dowiedzieć się wszystkiego o jego życiu, ale wyparłszy się go raz, nie mógł się wypytywać, nie zwracając na siebie uwagi i podejrzeń. Żałował teraz, że nie wybadał ongi pojmanego grafa von Ost. Siedział pod namiotem, słuchając, jak listopadowy deszcz bębni po napiętym płótnie. Słoty wstrzymały wszelkie działania, nawet odwrót był

niemożliwy, choć wiadomo było już, że i tym razem nie uda się opanować Żmudzi. Jeden z podjazdów przyniósł wieści od Kesselhuta, że poskromił wprawdzie bunt inflanckiej gałęzi Zakonu, ale siły jej nie starczą nawet na odparcie najazdu litewskiego na Dorpat. Wyprawa krzyżowa na Żmudź musiała Giedyminowi otworzyć oczy, że nie u Krzyżaków szukać mu poparcia swych zamiarów ochrzczenia Litwy. Nietrudno mu będzie domyślić się, co stało się z jego poselstwem i poszuka lepszej drogi porozumienia się z Kurią. W grę wchodził teraz byt Zakonu, połączenie obu Jego gałęzi stało się sprawą drugorzędną, a na razie przynajmniej nieosiągalną. Wildenberg czekał jeno na mróz, by skończyć z Bistenami i wracać.

Dni stawały się coraz krótsze, a noce chłodniejsze i Braciszek, choć czuł jeszcze w kościach trudy wędrówki, zebrał się do dalszej drogi. Radocha zaopatrzył go nie tylko w ciżmy i żywność, ale i w barani kozuch i sakiewkę ze srebrem. Co więcej, uparł się, że go odwiezie aż do Myszynieckiej Puszczy, gdzie za garść soli łatwo znajdzie przewodnika, który Braciszka w zakonne ziemie przeprowadzi. Gdy ten próbował się sprzeciwić, Radocha fuknął:

- Jedna końska noga za twoje cztery stanie. Nimbyś na swoich kulasach nad Niemen załazł, Krzyżaki z wyprawy wrócą, rozleżą się po zamkach i szukajże.

O świcie mglistego wrześnieowego poranka załadował Braciszka wraz z tobołkiem na konia i ruszyli na wschód. Koło Włocławka przepawili się przez Wisłę i ciągnęli w górę Narwi. Podróż wlokła się, mimo że czas naglił, mitrężyli go na przepawach przez prawobrzeżne, bagniste przeważnie dopływy, a nie nawykły do konnej jazdy Braciszek też hamował pochód, tak że dopiero pod koniec miesiąca dotarli do zapadłego w borach Myszyńca, gdzie Radocha wyszukał przewodnika, i tu przyszło się pożegnać. Świadomy trudów i niebezpieczeństwa wyprawy, szorstkością pokrywał wzruszenie:

- Kieś uparty jako cap, tedy idź. Od dobrzyńskiej granicy Krzyżaki mniej się strzegą, ale na to nie licz, jako i na gościnę. Za granicą kraj pusty, a wejdiesz za jeziorami w osiadły, to pruski czy mazurski chłop sam zreć nie ma co, a obcego przyjąć się lęka, by się psubraty nie zwiedziały. Zimą zasię bez dachu przeżyć trudno. Gdzie się wojska zbierają na wyprawę, pomiarkujesz bez dopytywania, bo ani chybi nad Niemnem, jako zawdy. A nie najdziesz przy nich zguby, to i szukać szkoda. Machnął ręką i ciągnął:

- Szkoda i ciebie, chcesz głupi. Zmądrzejesz - wracaj, bardziej potrzebnyś Kundzi niżli takowy małżonek, co wrócić nie może, choćbyś go naszedł; tedy i po co szukać?

- A wyście to nie szukali?

- Szukałem - burknął Radocha - i cóżem znalazł? Jeno mnie lichy podpuściło, żem ci powtórzył, co ów pruski chłop prawił. Uczepiłeś się tego jak rzep psiego ogona, a przepadniesz - siebie będę winował.

- Cobym miał przepaść - odparł Braciszek lekko. - Albom to raz z postronka się urwał? Kundzia zasię najlepiej wie, kto jej potrzebniejszy, a co z Krzychem począć, gdy się najdzie, trapić się przedwcześnie. O jedno was jeno proszę: przyrzeknijcie, że cokolwiek by się okazało, pomocną dłoń mu podacie.

- Zdrajcy?!

- Wždy mniemacie, że nie żywię, tedy cóże wam szkodzi obiecać? A ja będę spokojniejszy.

Radocha poskrobał się po łbie i mruknął:

- Cosi znowu kręcisz, ale niech ci będzie. Jeno w zamian ty przyrzec musisz, że jeśli go w krzyżackim wojsku nie najdziesz, wrócisz do Kundzi. Jakiś ta jest, ale lepszy taki chłop niżli żaden.

- Sam rad bym wrócił, ale nie nalegajcie. Niechaj Kundzia nie mniema, żem jeno dla pozoru szukał.

- Widno o mnie tak sądzi, skoro ciebie wysłała - rzekł Radocha z goryczą. - Bóg z nią.

Udał się jej chłop, lepszy był ode mnie!

- Cóż chcecie? Serce i rozsądek - nie para. Człek zresztą rozsądek dla drugich ma, rzadko dla siebie. Dzięki wam za wszystko i żegnajcie.

Skinał ręką Radosze, który stał jeszcze, patrząc za odchodzącym, póki nie zakryły go chaszczce. Potem dosiadł konia i ruszył z powrotem, mruczając:

- Zali dobry człek zawdy musi być głupi? Ledwo to się plezie, a lezie. Przypomniał

sobie o danym Braciszkiowi przyrzeczeniu i ze złością żgnął konia.

- Chyba starosta Henryk praw, żem i ja głupi. A jeszcze i tego nie wie, com przyrzekł.

Dopieroż by się ze mnie natrząsał.

Zganiał na Braciszka, ale mimo to czuł, że i bez przyrzeczenia nie poniechałby w potrzebie dawnego towarzysza. W pamięci tkwiły mu jak żywe wspólne walki z krzywa kim najeżdżcą i nie mógł sobie wyobrazić, by Krzych z dobrej woli poszedł mu służyć. A jeśli nie, to musiał zginąć; żal mu było zarazem i jego, i Kundzi. Zezłił się na siebie i mruknął:

- Dobry to ja ta nie jestem, ale głupi pewnikiem.

Braciszek natomiast odwrotnego był mniemania. Gwałtowny i szorstki w obejściu, srogi i okrutny w walce Radocha był dla niego jak niańka, gdy słabował. Sam warzył stawę, a już Kundzi i dziecku zgiąć nie da, jakkolwiek się losy obróca. Nie tylko wysłał zaraz wóz zapasów do Krakowa, ale wystrugał swymi twardymi jak łopaty dłońmi łódeczkę z sosnowej kory dla dziecka i sam jak dziecko zabawiał się nią pod pozorem wypróbowania. Mimo woli Braciszek porównywał go z Krzychem i wzdychał. Jeśli jednak o Krzycha chodziło, był

dobrej myśli, trudno znaleźć takiego drugiego, pruski chłop nie mógł się pomylić.

Mniej dobrej myśli był natomiast co do wyniku swego przedsięwzięcia. Wędrówka przez puszcę z szarym i milczącym jak pień Kurpiem uprzytomniła mu czekające go mokoły, do których nie czuł sił. Mimo że chłop niósł tobolek, i nadażał mu z trudem, tęsknie wspominając konia, choć dziennej jeździe bolały go wszystkie kości. Teraz bolały też, ledwie się zbierał po każdym noclegu, choć przewodnik bez jego pomocy troszczył się o wszystkie potrzeby. Z niepokojem Braciszek myślał, że rychło zdany będzie tylko na siebie samego.

Pozostał sam prędzej, niż się spodziewał. Czwartego dnia podróży z podmokłego boru wyszli na łęg porośnięty rzadką krzewiną, która opodal przechodziła w szuwary. Za nimi, szara odbiciem chmurnego nieba, rozlegała się płaszczyna jeziora. Przewodnik zdjął z grzbietu tobolek, ręką wskazał na północ, mruknął coś na pożegnanie i już go nie było.

Braciszek teraz dopiero zdał sobie sprawę z trudności swego przedsięwzięcia i poczuł się bezradny jak motyl na wietrze. Nie pierwszy raz wędrować miał samotnie po nieznanym kraju, często nawet bez denara czy kawałka chleba w sakwie. Ale wędrował ongiś bez celu, a jeśli myślał o nie znanym jutrze, to jeno jak o czekającej przygodzie, która ciągnęła go i podniecała. Teraz odszukać ma w rozległej dali człowieka, o którym nie wiadomo nawet, czy żyje, a zarazem unikać ludzi. Z westchnieniem dźwignął tobolek, przeżegnał się i ruszył we wskazanym kierunku. Na razie nie potrzebował obawiać się niespodzianego spotkania, ni śladu człowieka, a raczej żywego człowieka. Wędrując bowiem na północ, nad jeziorami i strugami często spotykał porośnięte chwastami pozostałości osad i gródków. Nieraz jeno rozmyte wały i zamulone fosy zdradzały dawną obronną siedzibę, częściej kopczyki obwiedzione polnymi głazami - cmentarzysko dawnych panów tego kraju, zjadliwego plemienia Jadźwingów, które w ustawicznych tarcjach ze wszystkimi sąsiadami starło się z powierzchni ziemi. Niedobitki uszły na północ, gdy zjawił się nowy wróg w białych płaszczach, który spalił, co jeszcze stało, pojmał, co nie zdążyło ująć, i puszcza wróciła na swe odwieczne miejsce.

Szczęściem pogoda sprzyjała wędrówce, a w miarę jak Braciszek posuwał się na północ, kraj zaczynał się falisty i pagórkowaty, jeziora stawały się mniejsze i nierozlewiste, zdradliwe bagna i grząskie strugi rzadziej zastępowały drogę, a tobolek z żywnością z każdym dniem był lżejszy, mimo że Braciszek od początku starał się zapasy uzupełnić zwiędłymi jagodami, grzybami i korzonkami. Toteż ulgą ujrzał dym, świadczący o ludzkim osiedlu, i bez namysłu skierował się ku niemu. Chata była kurna, drzwi otwarte na ścieżaj, a z wnętrza dochodził płacz niemowlęcia. Leżało w zawieszanej u pułapu kołysce i darło się wniebogłose. Pokołysał malca, dorzucił szczap do ognia płonącego na palenisku i usiadłszy przed nim na pieńku, z przyjemnością zacierał ręce, chłonąc

wonie żywicznego dymu i świeżo pieczonego chleba, ciepłe i swojskie jak zapach przyjaznego stworzenia. Odprężył się, przestrogi Radochy wywietrzały mu z myśli i zadrzemywał już, gdy do izby weszła młoda niewiasta ze skopkiem mleka w ręku. Na widok obcego nie okazała lęku ni nawet zaskoczenia, a gdy obawiając się ją spłoszyć niemieckim językiem, Braciszek pochwalił Boga po polsku, zrozumiała widocznie, że prosi o poczęstunek, bo weszła do komory, podała mu ciepły jeszcze podpłomyk i nalawszy w gliniany kubek spienionego mleka, posła wita przed nim na ziemi, mówiąc coś po prusku. Schylił się by podjąć kubek, i drgnął: z ciemnego kąta izby wypełznął wąż i zwinawszy się w kłębek, sycząc, kołysał w obie strony głową, niedwuznacznie rozżłoszczony, że obcy zabrał mu mleko. Na ten widok niewiasta roześmiała się i postawiła miseczkę mleka przed gadem, który zaraz chłeptać począł tak chciwie, że ledwo widać było jego rozdwojony język.

Teraz i Braciszek roześmiał się i powiedział do siebie:

- I to Boży stwór, a cóż winien, że szatan sobie jego postać upodobał.

Wspomniał, że północni poganie uważają węże za święte i zrozumiał, że trafił do pogan. Zdziwił się: od pół wieku z górą kraj w ręku Zakonu, którego jedynym celem szerzenie prawdziwej wiary, a jeszcze jej światło tu nie dotarło. Pomyślał jednak, że dlatego, iż na odludzie ramię Zakonu z imienia jeno sięga. Zdało się, że gospodarz nie znał nawet wartości pieniądza, bo gdy zaopatrzony w żywność Braciszek wręczyć mu chciał parę denarów, chłop jeno ramionami wzruszył.

Pierwsze to spotkanie z ludźmi zmyło z Braciszka wpajaną przez Radochę ostrożność i nieufność. Ludzie tu zapewne jak wszędy, więcej dobrych niżli złych, a z władzą najlepiej nigdzie nie mieć do czynienia. Zakonna zapewne ni lepsza, ni gorsza niż inne, jeno Radocha w nienawiści swej przesadza. Toteż w dalszą drogę ruszył Braciszek beztrosko, w miarę jednak jak kraj stawał się gęściej osiadły, zauważył zmianę w zachowaniu się pruskich chłopów. Zjawienie się obcego budziło wyraźny niepokój, noclegów zaczęto mu odmawiać, mimo że słotna już jesień dach nad głową czyniła niezbędnym. Braciszek pomiarkował

wkrótce, że łatwiej oń, gdy do osady zajdzie o ćmie, bo budzono go też przed świtem. Widno przyczyną odmowy był lęk przed doniesieniem, iż goszczono obcego. Chłopi przyjmowali też, choć jakby ze wstydem, zapłatę, widocznie znając wartość pieniądza. Niewątpliwie rzadko go widywali, gospodarstwa bowiem były nędzne, nieraz nie było w nich nawet krowy, a jedyną żywność stanowiła pieczona rzepa. Mimo że zasobnych nie było, Braciszek rychło pomiarkował, że o ile ochrzczeni Prusowie mogli jeszcze żyć, u pogan nędza szczyrzyła zęby ze wszystkich kątów. Często już zmówić się mógł po niemiecku, ilekroć jednak dojść usiłował, skąd tylu nie ochrzczonych w chrześcijańskim kraju, odpowiadało mu nieufne milczenie. Zauważył też, że w pogańskich osadach często brak dojrzałych mężów. Nic dziwnego, że bieda i zaniedbanie, gdy wszystkie prace spadały na barki niewiast, wyrostków i starców. Mimo to z ostrożności na noclegi zachodził radziej do pogańskich chat, choć często nawet za pieniądze nie mógł tam zaopatrzyć się w żywność. Ważniejszy był spokojny sen pod dachem.

Jednego dżdżystego dnia, o zupełnym już niemal zmroku, zmoknięty i głodny dobił do nędzniejszej jeszcze niż zazwyczaj chaty, położonej opodal rozrzuconej wśród pagórków osady. Wyglądałaby na opuszczoną, gdyby nie ledwo wyczuwalny zapach dymu. Gdy wszedł

do wnętrza, na palenisku pośrodku izby istotnie ujrzał dogasający ogień, którego poblask odbijał się w stojącej na klepisku kałuży, drgając od rozbryzgu kropel wody. Ziąb tu panował

przenikliwy, tyle że hulający na dworze wiatr dawał o sobie znać jeno gwizdaniem w dziurawej widocznie strzesze. Przy palenisku siedział starzec, czerwone blaski ognia odbijały się w naciągniętej jak pergamin skórze jego wychudłej twarzy. Zmierzwił, długie, białe włosy opadały mu na czoło i wpadnięte oczy, tak że Braciszek nie wiedział, czy starzec czuwa, czy śpi, zwłaszcza że na odgłos kroków nie poruszył się nawet. Nie chcąc budzić śpiącego, Braciszek rozejrzał się po izbie. Pod ścianą ujrzał trzy barłogi, ale puste, w kącie trochę domowych statków. Nocleg nie zapowiadał się wygodny, ale nie pora była szukać innego w nocną zawieruchę i Braciszek usiadł na pieńku naprzeciw starca, z przygotowaniem posiłku postanawiając czekać na powrót gospodarzy. Niespodzianie stary odezwał się bełkotliwie po niemiecku, ale w głosie brzmiała niechęć:

- Skądś przyszedł i po co? Niczego tu nie najdziesz. Daj mi zdechnąć spokojnie.

Domyślając się, że siary wziął go za Niemca, Braciszek odparł:

- Z Polski. Zwólcie, że choć posiedzę przy ogniu do rana Nie będę wam gawędził.

- Do rana! Przy ogniu! - Stary wskazał na ledwo już pełgające. po główniach płomyki.

Istotnie czas już był najwyższy, by dorzucić dREW, a w chacie ich nie było. Zapytany o nie starzec ręką niechętnie wskazał za siebie i mruknął:

- Jest trochę chrustu za ścianą. Mokry.

Nie czas było dopytywać i Braciszek, brnąc w ciemności przez kałuże, odnalazł kupę chrustu i sporą naręcz przyniósłszy do izby, pospiesznie wybierał z niego co cieńsze i suchsze witki. Dorzuciwszy je na gasnące już ognisko, jął dmuchać, aż mu ścierpły zęby, ale płomień wreszcie wyskoczył. Teraz dołożył grubszych gałęzi i przez chwilę mrużył oczy od gryzącego dymu, który wypełnił izbę, ulatniał się jednak szybko przez dziury w strzesze. Gdy rozgorzało jasnym płomieniem, zdjął mokry kozuch, rozpostarł go na pieńku, po czym grzebać jął w tobołku, by przygotować wieczerzę. Powiedział z zadowoleniem:

- Teraz starczy do rana.

- Ale nie do wiesny - odmruknął stary.

Braciszek spojrział na niego, zmieszany, i wskazując na barłogi, zapytał:

- A tamci gdzie?

- Syna wzięli z toporem na Litwę. Synowa oberwała się i zmarła w połogu.

Powiedział to na pozór obojętnie, ale Braciszek rozumiał, że jest to obojętność zdychającego w samotności zwierzęcia, które wie, że nikt mu nie pomoże i nikt się nad nim nie uzali. Rozpacz jest jeszcze oporem przeciw losowi, ale starzec widocznie i na nią już nie miał sił. Braciszek zapytał z

przejęciem:

- Sąsiedzi nie pomogli?

- Pomogli pochować. U nich nie lepiej. Niewiasty z dziećmi.

Braciszek patrzył na starca bezradnie. Potem wyciągnął z sakwy kaszę i wędzone mięso, ustawił na ognisku kociołek z wodą i znosić ją do izby chrust z pola. Zawalił nim niemal pół izby i usiadł zdyszany, czekając, aż się uwarzy polewka. Nie wiedział, o czym mówić z człowiekiem, który czeka już tylko na śmierć. Gdy polewka była gotowa, nalał ją w misę i podając starcowi, powiedział:

- Pożywcie się.

Sądził, że ten rzuci się na jadło, ale stary jadł niesporo, widocznie zagłodzony. Nie spożył ni połowy i odstawił miskę, rzekł:

- Dobry z ciebie człek, choć z Polski.

- Co tam! Nasz Bóg nakazuje głodnego nakarmić. A cóże wam Polska zawiniła?

- Od was przyszła zaraza, która nas wygubi. Braciszek wiedział, o czym myśli stary.

Odpowiedział cicho:

- Może to kara Boża za przelaną krew świętych ludzi, którzy do was z Polski szli z miłością, niosąc Jego słowo.

- Mściwy jest wasz Bóg - mruknął starzec.

- Nie mściwy, jeno sprawiedliwy, ale i miłosierny. Wždy widzę, że i wasi, co Mu się pokłonili, jakoś żywią.

- Żywią. Nawet ziemię im wolno posiadać we własnym kraju, bo się czasu powstania swoich bogów odrzekli. I prawa mają. My - niewolniki - żadnych.

- Czemuż tedy i wy nie wyrzeczecie się fałszywych bogów, skoro i w tym życiu korzyść, a w przyszłym zbawienie?

- Nie lza. Niewolniki potrzebne, darmo pracują. Jeszcze pogłównne płacić. Z czego? -

ręką wskazał dokoła.

Braciszek głową kręcił z powątpiewaniem.

- Wždy jeno od woli ludzkiej zawisło, by się prawdziwemu Bogu pokłonić, zaśię chrztu każdy udzielić może, nawet poganin.

- O innym ty chyba Bogu prawisz, ale tu On nie władna. Jeno krzyżacki. Jego to arcykapłan, co w Królewcu siedzi, zabronił swoim kapłanom niewolnych Prusów chrzcić.

- Ewangelia Judasza - szepnął Braciszek wzburzony.

Choć od Radochy nasłuchał się o Krzyżakach, nie mógł pojąć i ledwo wierzył; że Zakon ustanowiony, by nieść pomoc chorym i słabym, a światło prawdziwej wiary poganom, skazuje podbity naród na śmierć głodową i wieczne potępienie. Nie było co odrzec starcowi, który sam był dowodem prawdy swoich słów, i nie słowami można go było przekonać, że Chrystus nakazał miłość. Przypomniawszy też sobie przestrogi Radochy, by nie gadać zbyt wiele.

Cóż zresztą zdziałać może jeden wagant przeciw Zakonowi, któremu misję zlecono wśród północnych pogan i który nie pozwoli jej odebrać sobie. I nie po to tu przyszedł, niczego nie wskóra, a udaremnić może własny cel. Zmusił się, by myśleć tylko o nim, i zapytał:

- Dawno syna waszego wzięli na Litwę?

- Miesiąc z okładem.

- Czemuż tak wcześniej? Wždy wyprawy bywają zimą.

Nie doczekał się odpowiedzi. Stary nie mógł wiedzieć. Jeśli wyprawa ruszyła wcześniej, Braciszek na Litwę za nią pójść nie może. Stracona najlepsza sposobność wywiedzenia się o Krzycha. Trzeba czekać powrotu wojsk, nie wiadomo, jak długo i gdzie.

Przed wyprawą gromadzą się w jednym miejscu, wracać mogą różnymi drogami w rozproszeniu. Niemniej zapewne znaczniejsza ich część wracać będzie gościńcem wiodącym z Ragnety na Królewiec. Może jednak słoty wstrzymały wyruszenie i wojska czekają mrozów. Tak czy inaczej, trzeba dotrzeć do gościńca. Zapytał starca, jak daleko. Stary odparł:

- Mil z dziesięć. Jeno tam nie mów, żeś z Polski, a już o wyprawie ni słowa. Sami tam Niemce, których wójt sambijski ściąga i naszych z ziemi ruguje. I gościnności tam nie najdziesz, wszystko jeno za pieniądz.

Braciszek westchnął: do niełatwego zadania dochodzą nowe trudności, żeby jeno starczyło sił. Ale od troski ich nie przybywa, lepiej wywczasować się przed dalszą drogą.

Dołożył grubszych gałęzi do ognia, przeżegnał się i ułożył do snu.

Zbudził się wcześniej, niezbyt wypoczęty, ale wiatr nacichł i deszcz ustał. Przed odejściem załatał jeszcze dziury w strzesze, nakarmił starego i zostawiwszy mu niemal cały zapas jada, zbierał się do odejścia. Stary patrzył na niego łzawiącymi się oczyma i powiedział:

- Dobryś człek. Jeśli i twój Bóg iście dobry, zwoli mi jeszcze syna obaczyć.

- Będę Go prosił, by wam go rychło wrócił.

- Niechaj i tobie zwoli należeć, czego szukasz.

Błogosławieństwo starca zdało się Braciszкови dobrą wróżbą na równi ze słońcem, które przeświecać jęło przez chmury. Tobolek miał lekki, ze sto mil już uszedł, co tam jeszcze dziesięć! Trzeba sprzątać siano, póki słońce świeci, potem wypocznie.

Nie wstępował do coraz częściej napotykanych osad, bo z dala już było poznać, że niemieckie. Wsie zabudowane były zwarcie w ulicówkę, budynki nowe, obszerne i porządne, ziemi uprawnej więcej. Jeśli trafiały się pruskie osady, to jeno zatrudnionych w zakonnych folwarkach niewolników, od których Braciszek szczególnie teraz stronił. Nocował w stogach siana, raz i drugi żywność zakupił w gospodzie, ale szędził sakiewki, nie wiedząc, na jak długo starczyć musi. Szóstego dnia przed wieczorem dotarł do gościńca i odetchnął z ulgą.

Dzień był mglisty, od południa znowu zaczęło mżyć, mroczyało szybko i mżawka przechodziła w deszcz. Skierował się na wschód i wkrótce ujrzał zabudowania samotnej karczmy, a za nią jaśniejszą od szarego mroku płaszczyznę wezbranej już Pregoly.

Rozjeżdżone brzegi wskazywały, że tutaj jest bród, ale teraz nie do przebycia. Dlatego gościniec był pusty. Stwarzało to dogodny pozór czekania na przeprawę, a czas było spocząć, bo wędrując niemal o głodzie, Braciszek wyzbyty był do cna z sił. Trudniej było o pozór dalszej wędrówki na wschód, ale w końcu jakiś się znajdzie, a może nikt nie zapyta. Niewiele myśląc, skierował się na obejście i wszedł do gospodniej izby. Obszerna była i ciemna, jeno płonąca drzazga smolna oświetlała długą ladę, za którą jakaś niewiasta ustawiała na półkach naczynia. Nie obejrzała się, gdy Braciszek wszedł, a gdy pochwalił Boga po niemiecku, burknęła przez ramię:

- Czego?

- Pożywić się chciałbym i spocząć - odparł, opuszczając się na ławę, za stołem i kładąc obok siebie węzełek i kostur.

Obejrzała się i widok steranego habitu Braciszka nie wzbudził widocznie jej zaufania, bo powiedziała gniewnie:

- Karczma nie dla dziadów i włóczęgów.

- Zasluga to przed Bogiem ugościć pielgrzyma, ale chodem ubogi, zapłacę.

- Znamy takowych pielgrzymów, co się z karczmy do karczmy i z jarmarku na jarmark włóczą. Zezre, wypije i nie zapłaci, a jeszcze na ręce mu patrz, by czego nie ukradł!

- Niechaj ci Chrystus wybaczy zniewagę wyrządzoną pielgrzymowi, co u grobu Jego klęczał.

- Byłeś to w Ziemi Świętej? - zapytała nieufnie, ale z widocznym zaciekawieniem.

- Gdziem był, com widział - nie dla niedowiarków, co w pieniądzu jeno wierzą.

Wysupłał z trzosa szeroki grosz i położył na stole. Zmieszała się widocznie, wahając się, czy wziąć



zapłatę z góry, i odparła:

- Nie dziw się i nie bądź gniewny. Czworo oczu mało, by wszystkiego dopatrzeć, a dwóch głów, by doliczyć. Krzyżowcy! Żre to, pije - post nie post, jenom nie widziała, by się który pomodlił. Naczynia potłuką, dojdzie to, który, dziewczki... tfu! - splunęła z obrzydzeniem.

Braciszek nie przerywał, czując, że dowie się czegoś bez dopytywania. Istotnie niewiasta ciągnęła:

- Boga chwalić, że się to przewaliło, choć nie wiada, czy już jest za co. W tym roku wcześniej jakoś ruszyła wyprawa i bez to widno wielu gości się spóźniło. Będzie pięć niedziel, jak wojska przeszły, a jeszcze nie dalej jak trzy dni temu była tu gromada. Niby za wojskiem spieszą, ale siedzieli, póki nie wyzarli i nie wypili wszystkiego, że nie znalazłbyś wina ni na mszę świętą. Wirt do Gierdawy pojechał po świeże, bo wiesz to, zali już ostatni!

Najgorsze zasię te powsinogi, igrce, szpylmany i inna gołota, co się przy rycerzach wieszają jak gzy na kobyli zadku; tu go spędzisz, gdzie indziej usiądzie, a brzęczy, że jeszcze nie wiem, gdzie mi głowa stoi.

- Wszystkiego pewnikiem nie wyzarli, może i dla mnie co zostało - przerwał Braciszek potok jej wymowy.

Wiedział już dość, a choć wiadomości nie były pomyślne, nie musiał się przynajmniej dopytywać. Teraz powstawało zagadnienie, gdzie i jak czekać na powrót wyprawy. Gdyby przyszedł parę dni wcześniej, mógł i on się uwiesić przy którymś z rycerzy, nieraz już żył ze swoich sztuczek. Odpadłby kłopot, niebezpieczeństwo i koszty czekania, co więcej, mógłby pociągnąć za wojskiem na Litwę i tam najłatwiej poszukać Krzycha lub zasięgnąć wieści o nim, a jeszcze i bezpiecznie odbyć spory szmat drogi powrotnej. Ale daremny żal.

Ongiś niosły go nogi jak woda, teraz wlecze je za sobą jak ciężar, dlatego się spóźnił.

Ze smutnej zadumy wyrwała go niewiasta, przynosząc obfitą wieczerzę i dzban piwa, widocznie zapomniawszy, że wypite zostało do ostatniej kropli. Spragniony i głodny Braciszek łapczywie patrzył na wędzone mięso, ale powiedział z westchnieniem:

- Na takowe zbytki mnie nie stać, bo pewnikiem dłużej czekać mi przyjdzie, nim rzeka opadnie lub stanie albo sposobność się trafi przeprawy.

- Jedz! - odparła. - Wirta nie ma, dziewczki śpią, jeszcze się nie wywczasowały po onych pobożnych gościach. Wszystko na mojej głowie, a w zamian żaden ni gęby nie otworzy do starej niewiasty, by powiedzieć, co gdzie na lecie słyhać, jeno przynieś, podaj a zrób.

Przysiadła się do Braciszka, widocznie zamierzając pogawędzić, ale w tej chwili z dworu doszły odgłosy licznej gromady ludzi.

- Christ, mein Gott! Zali nigdy nie będzie spokoju! - krzyknęła i zerwawszy się, wybiegła do tylnej izby, widocznie, by budzić służbę. Braciszek również najchętniej spożyłby spokojnie wieczerzę i poszedł spać, pomyślał jednak, że może trafi się sposobność, którą już za straconą uważał, i czekał

podniecony na zjawienie się nowych gości. W drzwiach stanął

otyły mąż w ociekającej wodą pelerynie i wysokim kapeluszu z wywiniętą w górę krezą i po niemiecku, choć wyraźnie obcą wymową, na cały głos zawołał:

- Jego wysokość sir William, syn księcia Salisbury, raczy tu zanocować!

Rozejrzał się po izbie i dostrzegłszy Braciszka, również po niemiecku zwrócił się do niego:

- Zawołaj wirta i służbę.

- Wirta wołać nie pomoże - odparł Braciszek - bo wyjechał, a służbę już budzą pewnikami.

- A tyś co za jeden? - zapytał herold.

- Ubogi pielgrzym, też jeno stanąłem gospodą.

- Tedy wynoś się, bo nie zwykliśmy wieczerzać z żebrakami.

Sposobność znowu zdała się wymykać Braciszкови. Powiedział pojednawczo:

- Wždy niczego od was nie chcę, jeno swoją wieczerzę spożyć, gospoda zasię jest dla wszystkich. Bywało, że jadałem przy jednym stole z prawdziwymi panami, a także z jednej misy z psami.

Z dworu słyhać było już gwar nadchodzącej gromady i Braciszek chciał przeciągnąć rozmówki, ale herold, widocznie dotknięty, chwycił go za rękę.

- Z psami możesz spożywać - warknął.

Jednocześnie otwarły się drzwi, w które wtoczyła się rozgadana gromada.

Tymczasem dopaliło się łuczywo, ogarek z sykiem wpadł do podstawionego naczynia i izbę zaległa ciemność. Braciszek zręcznie wywinął się prześladowcy i wmieszał się między przybyłych, którzy, klnąc i śmiejąc się, wołali o światło. W tej chwili weszła karczmarka z trójramiennym, żelaznym świecznikiem, a za nią dziewczki, jedna z naręczem drew, które układać jeła na kominie, druga z ręcznikami do nakrycia stołów. Gospodyni, postawiwszy świecznik, chciała zabrać przygotowaną dla Braciszka wieczerzę, ale rosły młodzian, który wyraźnie przewodził rozpasanej gromadzie, przeważnie gołowąsów, odezwał się:

- Ostaw! Zda się coś przekąsić, nim podasz wieczerzę. Gdy stała, patrząc niepewnie, dodał:

- Rusz się, a prędko, bo zgłodnieliśmy, a czekać nie lubimy.

- Zechciejcie, panie, zlecić mi wydać z waszych zapasów, bo ci, co przed wami ciągnęli, wyjedli spiżarnie do cna.

- A to? - zapytał drwiąco, mrużąc jedno oko.

Zmieszała się i odparła:

- Ostatnim, co było, poczęstowałam zgłodniałego pielgrzyma z ziemi Świętej. Kaszy jeszcze trochę zostało...

- Kaszą karmię psy. Ale żem i ja zgłodniały pielgrzym, tedy nie zmarni się twój dobry uczynek.

Wyjął zza pasa nóż i odkroiwszy kawał mięsa, zaczął jeść przy wtórze śmiechów towarzyszy. W tej chwili jak spod ziemi zjawił się przed nim Braciszek i pozdrowiwszy młodego rycerza po łacinie, powiedział:

- Niech waszej wysokości idzie na zdrowie. Ja chętnie się kaszą zadowolę.

- Dzięki ci za przyzwolenie - odrzekł młodzik z wyniosłą drwiną. - Że jednak nie chcę pozostać dłużny żebrakowi, wzajem cię poczęstuję.

Po angielsku wydał jakieś polecenie stojącemu za nim giermkowi i ciągnął:

- Ty zaś opowiesz mi o swej pielgrzymce, jeno bacz, byś nie łgał, bo rodzic mój bywał w Ziemi Świętej z królem Edwardem i niejedno mi opowiadał.

- Świętego Franciszka, którego niegodnym uczniem jestem, nawet kalif ze czcią gościł, choć nie znane mu przykazanie, by głodnego nakarmić, spragnionego napoić.

- Namnożyło się ninie niegodnych uczniów świętego Franciszka, którzy zawsze głodni są i spragnieni - odparł młody dostojnik. - Wiedz jeno, że odpustów nam nie przedasz, bo krzyżowcami jesteśmy, tedy nam już niepotrzebne, a łgarzy nie lubię i jeśliś zełgał, strać mi się z oczu, pókiś cały. Ale tymczasem napij się - dodał, widząc, że pachołkowie roznoszą i nalewają kubki. - In vino veritas, łacniej ci będzie prawdę mówić.

Braciszek, który istotnie spragniony był, wychylił kubek zakręciło mu się w głowie.

Ale nie zapomniał o tym, że przyczepić chciałby się do orszaku dostojnika. Rozpoczął:

- Nie wiem, jak mam waszej miłości udowodnić, że iście w Ziemi Świętej bywałem.

Znam saraceński język, obyczaje. a nawet ich księgę świętą, którą Koranem zowią. Gdyby tu byli prawdziwi krzyżowcy, mogliby uznać, zali prawdę mówię.

- To myśmy nieprawdziwi? - ostro zagadnął któryś z biesiadników.

Braciszek przypomniał sobie o zalecanej przez Radochę ostrożności i odparł

wymijająco:

- Chciałem jeno rzec, tacy, co sami w Ziemi Świętej bywali. Zasię każdy niechaj sumienia własnego zapyta, zali jeno wiary świętej bronić ciągnie przeciw poganom lubo dla próżnej chwały czy z

chciwości.

- Mniejsza z tym - niedbale odparł sir William. - Napij się jeszcze i gadaj. Już ja tam poznam, zali prawda. Po co czytałeś Koran i cóżeś tam znalazł?

- Wszędy można znaleźć ziarno prawdy, wiele tam zresztą wzięto z naszych ksiąg świętych. Jan Chrzciciel, który prostował ścieżki Pańskie, i u Saracenów doznaje czci. W

Damaszku społem z nimi klęczałem w meczecie, w którym głowa świętego spoczywa i który raniej świątynią był chrześcijańską pod jego wezwaniem. A jeszcze wcześniej najwyższego boga pogańskich Greków. Ale już ich mędrzec głosił, że Bóg jeden jest, przeto ten sam modły nasze przyjmował.

- Tedy mniemasz, że Saraceni nie są niewierni i Bóg ich jest prawdziwy? - zapytał ten sam rycerz, który już poprzednio zadał kłopotliwe pytanie. Braciszek jednak po trzecim kubku zapomniał o wszelkiej ostrożności:

- Skoro jeden jest, odwieczny i niezmienny, nie masz fałszywego Boga. Jeno że słaby rozum ludzki istoty Jego rozumieć niezdolny, przeto Bóg Syna swego posłał, by ją objawił i nie jeno Żydom, ale wszystkim, a tą jest miłość. Nie jest tedy winą Saracenów, że słuchają fałszywego proroka, który im niewiernych zabijać kazał, choć też jeno gwoli Boga, a nie z miłości walki. Ale chrześcijanie wiedzą, że Bóg zabronił zabijać. A jeśli ten, co zabija ciało, winien jest śmierci, ileż winien jest ten, co dla nędznego zysku cały naród na śmierć wiekuistą skazuje, obmycia chrztem świętym mu odmawiając. Radix omnium malorum cupiditas<sup>21</sup>.

Biada tym co meliora vident, deteriora sequuntur<sup>22</sup>. Oni są prawdziwie niewierni.

- Dziwne ty rzeczy prawisz - zauważył angielski rycerz: - Któże to podbitemu narodowi chrztu odmawia?

Braciszek teraz dopiero przypomniał sobie przestrogi Radochy i myślał, jak się od odpowiedzi wymigać, gdy poczuł na ramieniu ciężką dłoń i posłyszał głos:

- Dość! Resztę powiesz sambijkiemu biskupowi.

My zasię chodźmy spać - powiedział sir William i zakończył uszczypliwie: - Czasem lepiej prawdy nie znać, a zwłaszcza nie gadać.

To samo myślał braciszek, gdy po nocy spędzonej w chlewie, z więzami na rękach i nogach, pod strażą dwóch knechtów i zakonnego rycerza jechał na zachód. Nie pierwszy raz był uwięziony, umiał się wyswobodzić, czasu miał dużo, bo biskup sambijski w Królewcu miał siedzibę, a podróż po coraz bardziej rozkiszłej drodze wlokła się, nie tym się przeto trapił.

Odżałować nie mógł cudem nadarzonej, a przez własną gadatliwość lekkomyślnie straconej <sup>21</sup> Radix omnium malorum cupiditas (łac.) - Korzeniem wszelkiego zła - chciwość.

<sup>22</sup> meliora vident, deteriora sequuntur (łac.) -...lepsze widzą, za gorszym idą.

sposobności odszukania Krzycha. Daremny był trud i nędza dalekiej drogi, nie wierzył, by podołał im raz jeszcze późną jesienią lub nawet zimą. Nie warto uciekać, Kundzi może być jeno ciężarem, a wstyd będzie jej się pokazać, tym bardziej Radosze; przestrzegał przecie przed gadaniem.

Gdy jednak minęło pierwsze przygnębienie, Braciszek zaczął myśleć o ucieczce.

Radochę należy uwiadomić, co zaszło, niechby on dalej prowadził poszukiwania.

Ucieczka jednak nie była łatwa, strzeżony był pilnie, nawet w zamknięciu na noclegach stale czuwał przy nim jeden z knechtów, a i to zakonny rycerz zjawiał się po kilkakroć o różnych porach, w drodze zaś stale jechał za wozem.

Czwartego dnia dobili do Gierdawy i gdy za Braciszkiem zatrzasnęły się drzwi lochu, stracił niemal nadzieję. Jeśli tu czekać mu przyjdzie, może nie doczekać nawet sądu. Loch był

wilgotny, przemoczone w drodze szaty przejmowały go chłodem. Chwilami drżał, to znów czyniło mu się gorąco i dręczyło go pragnienie. Jeśli zachorzeje, to koniec. Myśl ta jednak przynosiła mu ulgę. To już nie jego wina. Wyczerpany zasnął nad ranem, ale obudzono go i znowu znalazł się na wozie.

Odetchnął lżej. Na bladym niebie świeciło słońce, lekki wiatr wschodni ziębił, ale i suszył, ważniejsze jednak było, że ponurego i milczącego rycerza zakonnego zastąpił młodzik lat niespełna dwudziestu, zapewne nowicjusz, bo płaszcz nosił bez krzyża. O więźnia zdał się nie troszczyć, natomiast niewątpliwie rad był z podróży. To wypuszczał konie przodem, to znów pozostawał w tyle, by cwałem dognać knechtów i wóz z więźniem. Braciszek liczyć zaczynał na jego niedoświadczenie i niedbalstwo, ale tymczasem nie miał nawet sposobności przyjrzeć się nowemu stróżowi. Nadarzyła się dopiero koło południa, gdy Krzyżak, wyhasawszy się widocznie, przez jakiś czas jechał koło wozu. Młody był niewątpliwie, choć twarz o regularnych, trochę kobiecych rysach przyniszczona była. Gdy jednak na więźniu spoczęło spojrzenie jego jasnych oczu, Braciszкови uczyniło się nieswojo. Były smutne, drwiące i złe, w kącikach ust, pod młodym jasnym zarostem czaił się uśmiech, w którym jednak nic nie było wesołego. Przez chwilę patrzył na Braciszka, jakby zamierzał o coś zapytać, i Braciszek, teraz pomny przestrogi Radochy, postanowił mieć się na baczności. Ale młody Krzyżak oschle i wyniośle wydał jeno rozkaz knechtom, by postarali się o suchy chrust na ognisko, a sam rozkładał konie, zdjął Braciszкови więzy i usiadłszy, patrzył na niego przez chwilę nieodgadnionym wzrokiem. Niespodzianie zapytał:

- Toś ty o herezję i obrazę Zakonu oskarżony?

- Nie wiem, o com oskarżony, bo mi nikt nie rzekł.

- Ja ci mówię. Tedy wiesz, co cię czeka. Zakon dba o swoją cześć jak dostojna a nierządna niewiasta. Wszyscy wiedzą, ale mówić nie lza.

Braciszek zdumiał się tak, że przez chwilę nie wiedział, co odrzec. Pamiętał jednak, że mówiąc o haniebnym postępowaniu z podbitym narodem, nie wymienił ni Prusów, ni Zakonu.

Jeszcze mógłby się wykręcać, może młodzik chce go przygwoździć. Odparł wymijająco:

- Bogu jeno wiadomo, co mnie czeka i przed Nim z przewinień swych złożę rachunek.

Jeśli zaś iście takie jest o Zakonie wasze mniemanie, zali nie lepiej odejść, zanim was śluby zwiążą?

- Mniemasz, żem nowicjuszem, bo krzyża nie noszę? - zaśmiał się Krzyżak. - To

„Jahresbusse”! Odebrano mi ten zaszczyt. Śluby! - machnął ręką lekceważąco. - Kto ich przestrzega? Jednego się domagają: posłuszeństwa, od takich jak ja.

Mięśnie mu wyskoczyły na szczękach i ciągnął przez zaciśnięte zęby:

- Łacno jest prawić kazania tym, którzy nie wierzą w to, co mówią, statuy układać dla innych. Sądźcie, abyście sami nie byli sądzeni! - zaśmiał się niespodzianie. - Obędzie się bez innych cnót, obędzie się i bez posłuszeństwa. Kto się ilu władzy dopcha, nikogo nie słucha, nawet Boga.

- W opuszczonej przez Boga świątyni szatan zakłada własną - szepnął Braciszek. -

Jeno po co mnie to mówicie?

- Nie wiem. Może wypluć chcę ten jad, co mnie zre. Ongiś szukałem dokoła siebie sprawiedliwych, by nie stracić wiary, z którą przyszedłem do Zakonu. Ninie już nie szukam gdym sam splugawiony. Nic mi do ciebie, ni tobie do mnie.

Zamilkł, bo nadeszli knechci z suszem, i zajął się ogniskiem. Braciszek lękał się, że Krzyżak nic więcej nie powie, a spodziewał się wyciągnąć jakąś wiadomość, która pomocą się stać może w ucieczce. Krzyżak kazał knechtom konie zawieść do wodopoju, ale gdy odeszli, milczał nadal. Braciszek zaczął nieśmiało:

- Młodziście, cały żywot przed wami. Za siebie jeno człek odpowiada, dlatego własnemu jeno sumieniu winien posłuszeństwo. Tylko woda dostosuje się do każdego naczynia. I ja byłem w zakonie, który zeszedł z swej prostej drogi. Porzuciłem go...

- Ja nie odejdę. Jako trądem zarażony, ostać muszę z nieczystymi.

- Chrystus uzdrawiał i trędowate. Można ostać czystym między nieczystymi, nawet czarna śmierć niejednego oszczędzi, jeśli jeno zarażonych unikać. Wzdyscie sami szukali tu sprawiedliwych. Nie naszliście?

Krzyżak zaśmiał się dziwnie.

- Naszedłem. On iście unikał wszystkich. Ja nie umiałem tak żyć. Dziś umiem, gdy za późno.

Braciszek wiedział jednak, że to nieprawda. Dlatego młodzian zwierza się przed więźniem, że udźwignąć nie może ciężaru samotności. Ale teraz umilkł i siedział zamyślony.

Braciszek nie miał nic do stracenia i zapytał wprost:

- Rychło też będziem w Królewcu?

- Mnie nie spieszno - odparł drwiąco zagadnięty. - Tu nie muszę siedzieć razem z knechtami, pożywać jeno chleb i wodę, na ziemi, jak pies. Żrę, co popadnie, spiłbym się, gdybym miał za co. Nie spieszno chyba i tobie? Biskup Jan nierad, by rozgłaszano, że niewolnych Prusów chrzcic zabronił, a Zakon nie lubi, by mu w rękawy zaglądać. Będą cię pytali, po coś tu przyszedł. Obmyśl zawczasu kłamstwo, w które mogą uwierzyć.

- Dzięki wam za przestrozę. Mógłbym rzec prawdę, jeno pewnikiem nie uwierzą.

Odszukać chciałem jednego rycerza, który z Polski uchodzić musiał i gdzieś się stracił, a małżonkę i córeczkę ostawił. Była wieść, ale niepewna, że go w waszym wojsku widziano na wyprawie, w której wielki marszałek zginął. Aleć mógł i on zginąć, pono mało kto z onej wyprawy powrócił.

- Iście mało kto, bez mała na palcach mógłby nas policzyć. Odwinął rękaw i pokazując bliznę na lewym przedramieniu, dodał:

- Z ranionych chyba ja tylko...

Umilkł i zasepił się. Z dala widać było nadciągających knechtów i Braciszek zląkł się, że los znów zadrwi z niego i nic więcej nie usłyszy, a czuł, że trafił na ślad. Wyjął sakiewkę zza pazuchy i podsuwając ją Krzyżakowi, powiedział:

- Jest tu trochę srebra. Nic mi po nim, bo i tak zabiorą. Jeno rzeknijcie: byli na wyprawie rycerz Krzych Nałęcz? Znaczny człek, bo ogromnej postawy i niebywalej siły...

Z niepokojem patrzył na Krzyżaka, którego zadumany wyraz twarzy zmienił się nagle:

- To on? Był. Odepchnął mnie, gdy mógł zratować, a potem żywot mi ocalił, choć go nie prosiłem.

- A ninie gdzie jest? - pytał Braciszek drżącym głosem.

- Pewnikiem znowu na wyprawie, bo ściągnięto, co się dało. Ostali jeno starcy i tacy jak ja, co na pokucie siedzą.

Roześmiał się zjadliwie i gorzko.

- Palić i mordować, rabować i gwałcić można jeno z czystym sercem.

Sięgnął po sakiewkę, wyjął z niej kilka sztuk srebra i zwracając resztę Braciszskowi, rzekł:

- Mnie nie potrzebujesz upijać, to dla knechtów. Spiją się za to w pierwszej karczmie, łatwiej ci będzie uciec.

- A wam... nic za to nie będzie?

- Nie troszcz się o mnie. Nie dla ciebie to czynię. Nie tak jeszcze odpłacę za to, co ze mną uczyniono.

Gdy knechci nadeszli, wręczając zdziwionym srebro, powiedział z kpina:

- Co mnie, to i wam. Podzielę jak z braćmi. Znalazło się przy więźniu, wypijcie za jego zdrowie.

Zaśmiał się złym śmiechem i dosiadłszy konia, ruszył przodem. Niebo zaciągało się ołowianymi chmurami, jakby szło na śnieg, i mrok czynił się wczesny. Trzeba było pospieszać, by schronienie znaleźć pod dachem.

Pod koniec zimy Radocha, korzystając ze spokoju, wybrał się na sądy do Łaziska.

Choć na prawie się nie znał, potrafił rychło dogadać się z chłopami ich językiem, narosłe sprawy załatwił gładko, pogodziwszy paru prawujących się tym łatwiej, że chłopci wiedzieli, iż nie lubi, gdy mu się sprzeciwiać. Ponieważ należnych za sądy koców nie pobrał, chłopci nieśmiało zaprosili go, by zapić zgodę. Radocha zaproszenie przyjął tym chętniej, że cniło mu się w gródku, a z grodowymi, by nie wyszli z karności, pić nie chciał. Biesiada, w której w końcu cała niemal wieś udział wzięła, przeciągnęła się i noc już zapadła, gdy Radocha zebrał

się w powrotną drogę. Mimo że głowę miał mocną, zaproszył ją nieco, liczył jednak na to, że na mrozie otrzeźwieje. Noc była wyiskrzona, śnieg skrzypiał i jednostajnie pod kopytami stępa idącego konia i Radocha kiwał się na kulbace w takt jego kroków, z trudem od czasu do czasu otwierając jedno oko. Widoczna zrazu wyraźnie na krańcu płaszczyzny ornych pól ciemniejsza linia lasu zdała się zamazywać, ale Radocha sądził, że to jeno senność oczy mu klei. Od wypadku, gdyby usnął na mrozie, pozapinał rozchełstany kozuch, futrzaną czapę nasunął głęboko i pewny, że koń sam trafi do stajni, beztróska usnął.

Jak długo spał, nie wiedział, ale obudziło go chrapanie konia. Rumak stał. Radocha podniósł powieki, sądząc zrazu, że po śnie i przepiciu wzrok mu nie dopisuje, bo ledwo rozróżniał zarysy najbliższych pni i chaszczów. Dopiero przetarłszy je, zrozumiał, że powstała mgła i osiadła szronem na przemarzniętych pniach i gałęziach. Mróz sfolgował, szło na odwilż. Radocha, przypuszczając, że koń poczuł zwierza i dlatego stanął, żgnął go ostrogą, ale rumak jeno wyboczył się i nie ruszył.

- Ki bies! - zaklął Radocha. Zziębnięty był i zdrętwiały, po drzemce rad jak najprędzej znaleźć się w ciepłym łóżu. Darmo jednak wytrzeszczał oczy, nie widział nic, co by mogło znarowić posłusznego zazwyczaj i niepłochliwego konia. Jeszcze raz dał mu ostrogę, ale gdy to nie pomogło i rumak jeno tańczyć zaczął, niechętnie zlął z siodła i ująwszy za uzdę, chciał

go przeprowadzić. Omal się nie przewrócił przez leżące na drożynie ciało, oszronione aż po zarost i włosy tak, że w mlecznym тумanie niewidoczne było na odległość ramienia. Mimo że na tej samej drodze znalazł jesienią śpiącego Braciszka, na myśl mu nie przyszło, że może to być znowu on. Sam przez dwa lata szukał wieści o Krzychu i tyle się dowiedział, co od Saganą. Braciszek uparty był, a mówił, że nie wróci, póki się czegoś pewnego nie dowie.

Jeśli wieść Saganowa nieprawdziwa, mógł szukać do sądneho dnia, a jeśli prawdziwa, to chyba przypadek mu posłużył, bo nawet dopytywać się było niebezpiecznie. Gdy jednak Radocha odgarnął



szron z twarzy leżącego, poznał Braciszka, mimo że zarośnięty był i wynędzniały do niepoznania. Tym razem pewny był, że podnosi trupa. Twarz była zimna, oddechu nie mógł się dosłuchać. Ale gdy rękę włożył za pazuchę, poczuł, że ciało jest ciepłe i serce, choć z rzadka i słabo, jeszcze bije. Roztrzęsiony i przejęty usiłował dźwignąć leżącego, by go wsadzić na konia, lecz przelewał mu się w rękach. Radocha zerwał z siebie kożuch, owinął nim Braciszka i pognął do gródka, nie bacząc, że sam łeb może rozbić w mlecznym tumanie, a koń nogi połamać. W gródku narobił piekła, jakby się paliło, i wkrótce we dwa wozy zjawił się z powrotem. Na jeden załadować kazał wciąż nieprzytomnego Braciszka, drugi wysłał do wsi po babę znającą, a tymczasem sam kazał natrzeć chorego śniegiem, a potem wyparzyć w łaźni. Ujrawszy wychudłe na szkielet ciało, zdziwił się, że jeszcze żywot się w nim kołace, a za wszelką cenę chciał go utrzymać, nie tylko dlatego, że mu go żal było.

Braciszek zapewne niósł wiadomość, po którą wyruszył, Radocha za nic nie chciał dopuścić, by przepadła. Senność go odeszła, czekając na babę, siedział przy Braciszku, wypatrując, czy się nie ocknie. Oddech mu wrócił, ale płytki i nieregularny, na białych policzkach wykwitł

niezdrowy rumieniec, ale wciąż jeszcze wpadniętych oczu nie otwierał. Chwilami zaczynał

rzęzić i wówczas Radocha chwycił go za rękę, jakby chcąc przytrzymać ulatujące życie, i klął

na babę o zwłokę. Gdy wreszcie nadjechała o świcie, Radocha omal jej nie sprął na powitanie, ale pohamował się, jeno zagroził:

- Pozdrowieje, to grzywnę srebra i krowę; a pomrze, to baty, jakich ci twój własny nie spuścił.

Znachorka znacząco palec położyła na ustach.

- Spluńcie od uroku, bo nie wiecie, komu grozicie - powiedziała tajemniczo. - Nie lza nawet o zapłacie mówić. O nagrodę sama się upomnę, jeśli odczytać wydolę zły urok.

Radocha splunął, ale ze złości.

- Jaki zaś urok - burknął. W zaklęcia i odczyniania niezbyt wierzył, widział jednak, że Braciszek cienko przędzie, a sam czuł się bezradny. Wyszedł, powstrzymując się, by dla ulżenia sobie nie huknąć drzwiami. Usiadł w przyległej izbie i zadumał się. Jeśli Braciszek przyniósł wiadomość, to zapewne dla Radochowych zamierzeń niekorzystną. Niechta! Byle choć Kundzia wiedziała, czego się trzymać. Ale gdyby pomarł, nie odzyskawszy zmysłów, tyle będzie z tego, że Kundzia straci jedyne dziecko, który choć dziecku mógł popilnować pod jej nieobecność. A może zawrócił z drogi, widząc, że zadanie ponad jego siły.

- Wždy gadałem głupcowi - mruknął - a ninie nawet skłąć go nie można.

Złość ogarnęła Radochę na wszystkich; na Braciszka, na Krzycha, a w końcu nawet na Kundzię. Mogłaby żyć jak pani, nie chce, to niechaj bieduje. A gdy pomyślał o małej, aż go uczy zapiekły; cóże dziecko zawiniło? Wiedział, co to sieroca dola, choć sam wyrostkiem był, gdy dom i rodziciele utracił, ale mocny, nie dał się, a zostały mu przynajmniej wspomnienia radosnego dzieciństwa. A taka

kruszyna, którą skrzywdzi, kto zechce! Gniew Radochy skupił

się na Krzychu. Niechby go starosta Henryk dostał, raz byłby koniec. Ale przypomniał sobie, iż przyrzekł Braciszкови, że będzie ochraniał wywołańca, i zaklął znowu:

- Jeszcze i to, jucha, ode mnie wyłudził! Swoją skórę mam stawić za to, że ukrzywdził

one biedoty. Ale co mu rzekę, tego jeszcze dotąd nie słyszał.

Gdy jednak przyszło mu na myśl, że może Krzych zginał w swym gródku nad Tonczyną, pożałował go. Żeby Pizło nie był go zelżył, nie byłby tam siedział. Dobrze, że towarzysza nie miał pod ręką, bo na nim byłby wywarł bezsilną złość. Pozostawało czekać, co będzie, a jeśli się nic nie dowie, na nowo trzeba rozpocząć poszukiwania, w których skuteczność stracił wiarę. Na dobitkę odwilż nastąpiła zupełna, łąki zamieniły się w bagna, moczary w jeziora, z dachów sakapywała woda, jednostajnie pluszcząc w kałużach odgłos ten, wyraźny w nocnej ciszy, wzmagał jeszcze rozdrażnienie Radochy. Obijał się po domu jak zwierz po klatce, warcząc i co chwila zachodząc pod drzwi komory, gdzie leżał Braciszek, nasłuchując jego chrapliwego i płytkiego oddechu, który chwilami przechodził w rżenie.

Gdy nie dosłyszał nic, za każdym razem pewny był, że Braciszek skończył. Jednego ranka nie wytrzymał, wszedł do komory, mimo sprzeciwów baby, i sam usiadł przy łożu Braciszka, od którego biła gorętką, a oddech chwilami zdał się zamierać. Radocha z doświadczenia wiedział, że konający czasem odzyskują zmysły, nim zgasną, i w napięciu czatował. Ale oddech Braciszka uspokajał się z wolna, choć płytki i ledwo dosłyszalny. Zdało się, że zasnął.

Radocha sam był znużony po dwóch niespanych nocach i odszedł spocząć, srodze przykazując babie, by go obudziła, gdyby Braciszek odzyskał przytomność. Późnym wieczorem obudził się sam i natychmiast udał się znów do Braciszka. Przy drzwiach znachorka zastąpiła mu drogę:

- Śpi! - szepnęła. - Gorętką popuściła. Miodem grzany teraz go poić, niechby spał

jak najdłużej. A ja także czasem zdrzemnąć się muszę, poślijcie po jakową niewiastę, by przy nim posiedziała.

- Dość mi tu jednej baby, sam posiedzę, a ty idź spać - mruknął.

Przesiedział przy łożu chorego do jasnego dnia, od czasu do czasu przytykając kubek z miodem do jego spękanych warg, za każdym razem spodziewając się, że Braciszek otworzy oczy. Ale spał twardo. Tak też zostawił go, gdy rano nadeszła znachorka. Poszedł spocząć, nakazując się jednak natychmiast przywołać, gdyby Braciszek ocknął się. Istotnie baba obudziła Radochę w południe wiadomością, że chory otworzył oczy i rozejrzał się, jakby zdziwiony, skąd się tu znalazł, ale natychmiast usnął znowu. Radocha zerwał się i zbierał, by iść do niego, ale znachorka wzbroniała:

- Ostawcie go w spokoju. Jeszcze jego żywot jako suchy liść na pajęczej nici, byle wiatr go zdmuchnie.

Gdy Radocha, nic nie odrzekłszy, zbierał się iść, dodała:

- Nie pójdziecie do niego, póki sam jeść i gadać nie pocznie. Albo ja mam staranie o niego, albo wy. Chcecie - wasza wola, ale ja zabieram się. Nie na wasze to ręce robota, cierpliwość musicie mieć.

- Cierpliwość to ja mam - warknął, zacisnąwszy zęby, aż wąż mu się zjeżył jak u kota.

-

Ale jej nie próbuj jako i moich rąk.

Usiadł jednak, a znachorka, widząc, że zyskała przewagę, ciągnęła:

- Najgorsze minęło, ale i parę niedziel trwać może, nim się zbierze do życia. Choć was baby mierzą, każcie drugą sprowadzić, bo sama nie wydołę.

Nic nie odpowiedział, wyszedł, by posłać do wsi po jakąś babę. Zaciął się w cierpliwości, a znachorka nie nadużywała jej, donosząc mu o każdej zmianie. Braciszek budził się kilkakrotnie, widocznie przytomny, jednak słaby tak, że z trudem przełykał

polewkę. Czasem usiłował coś szeptać, ale jeno z ruchu warg można to było pomiarkować.

Szczęściem wiosenny wiatr suszył ziemię, a nocą ścinały ją przymrozki i Radocha skracał

sobie oczekiwanie, po kilka razy na dzień wyjeżdżając, by się przewietrzyć.

Wracał raz z włóczęgi w przedwieczorz pogodnego dnia, gdy na drodze już zauważył

ślady kilku koni i zaraz przy bramie dowiedział się, że zjechał starosta Henryk. W zwykłym czasie rad byłby odwiedzinom w nudzie beczynności, ale teraz każdej godziny oczekiwał, że będzie mógł rozmówić się z chorym, najmniej zaś pożądanym świadkiem rozmowy byłby właśnie starosta, gdyby się okazało, że Krzych przystał do Krzyżaków. Radocha nie potrafił

ukryć, że mu odwiedziny nie na rękę, i strapił się, gdy Henryk powiedział:

- Widzę, żeście mi nieradzi, jeno nie wiem, dlaczego. Może podwikę jakową przygarnęliście na zimowe leże i lękacie się, bym wam jej nie podebrał.

- Zaś tam podwikę - bąknął Radocha. - Gościa mam, który chorzeje.

- To i cóż? Zali ja jemu wadzę lubo on mnie? Do Nakła jadę, gdzie zjazd rycerstwa wyznaczyłem, po drodze was zabrać chciałem. Ku wiosnie się ma, sądy trzeba odprawić, póki spokój, i uradzić, co poczynać.

Radocha próbował się wymigać:

- Póki mi król Pizły z poczem nie odeśle, jako na łańcuchu tu siedzę.

- Będę widział króla, to go poproszę, by wam Pizłę odesłał. A Nakło nie za morzem, onże gość zasię bez was chorować wydoli. Co za jeden?

Radocha łgać nie umiał, wiedział zaś, że Henryk zbyć się nie pozwoli. Odparł niechętnie:

- To ów wagant, któregoście w Krakowie u Kundzi widzieli.

- A skądże się tu wziął?

Radocha czuł, że starosta przypiera go do muru, i odrzekł wymijająco:

- Na drodze go naszedł bez duszy. Ninie lepiej się ma, ale zmówić się jeszcze nie można było. Tedy czekam.

Starosta patrzył na Radochę przenikliwie. Zbyt dobrze go znał, by nie zauważyć zmiany w jego zachowaniu i nie pomiarkować, że coś kręci. Powiedział na pozór niedbale:

- Coś ci ciekawego musi być, skoro wam tak pilno. Poczekam i ja.

W Radosze złość wzbierała, ale hamował ją, nie chcąc zadrzeć z możliwym a życzliwym człowiekiem. Nie wiedział, jak się go pozbyć. Zapytał szorstko:

- Czego chcecie się dowiedzieć?

- Wszystkiego. Od tego tu jest. A pierwsze to, czego nie mówicie: skąd i dokąd szedł i po co, bo juści z nieba nie spadł na drogę.

Radocha widział już, że się nie wykręci, ale wiedział też, że Henryk jest ludzki; postanowił więc mówić otwarcie:

- Wiecie, że szukałem wieści, co się z małżonkiem Kundzi stało...

- Juści wiem, że wdowę po nim radzi byście pojąć.

- Wiecie, to wiecie. Jeno ja nie wiem, zali wdową jest. Gdy starosta zdziwiony patrzył pytająco, Radocha ciągnął:

- Wieść mam zgoła nie do wiary, jakoby rycerz do Krzycha podobny na wyprawie był

z Krzyżakami na Żmudzi. Licho mnie skusiło, że się z nią przed Braciszkiem wygadał, którego tu Kundzia przysłała po wiadomości. On zasię do Prus się wybrał sprawdzić, choć odradzałem, bo sprawa ani łatwa, ani bezpieczna. Krzyżaki wiedzą, że ich przepatrujemy, i strzegą się.

- Wiem. Tedy tym bardziej chcę słyszeć, co przyniósł. Może być ważne dla króla.

Rozumiał już, czego się obawia Radocha, a nie lubił, by mu okazywano nieufność.

Radocha jednak, podrażniony tym, że starosta zmusił go, by gadał, czego nie chce, zakrzyknął:

- Sam zmiarkować potrafię, co ważne dla króla, a co dla mnie! U siebie jestem...

Henryk wstał.

- Mam rozumieć - ozwał się z zimną drwiną - że ja tu niepotrzebny, a wam rozstrzygać, co król ma wiedzieć, a czego nie?

Radocha za rękę go uchwycił.

- Wybaczcie! Jeśli Krzych iście do psubratów poszedł, król wiedzieć nie śmie...

Henryk niespodzianie roześmiał się.

- Wiem, o co wam idzie. Jeny nie wiem, co wam o Kundzię, jeśli jej pojąć nie możecie.

- Niechaj wam będzie, że głupi!

- Niechaj będzie! Nic mi do tej niewiasty, która tyle jeny winna, że nie was wybrała za małżonka, boby przy gospodyni żarcie u was lepsze bywało. Ale i o to nie dbam i zjem byle co, bom zgłodniał.

- Wybaczcie - powtórzył Radocha. - Ani wiem, gdzie moja głowa.

Kazał podać wieczerzę, ale roztargniony był, jadł niesporo i do picia się nie brał, każdej już chwili czekając, kiedy rozmówić się będzie mógł z Braciszkiem, gdy weszła znachorka.

- Pójdźcie, panie! - rzekła. - Zbudził się silniejszy i sam mówić z wami żąda. Radocha zerwał się, patrząc niepewnie i pytająco na starostę, który rzucił z uśmiechem:

- Idźcie sami. Ja wam ufam, że mi oczu mydlić nie będziecie. Są ważniejsze sprawy niżli ta, czy jeden więcej bezecny człek Zakonowi służy. Pójdę spocząć, jutro mi powtórzcie.

Potwierdzenie wieści o przystąpieniu Krzycha do Zakonu, które dla Radochy były przekreśleniem resztek nadziei na zamierzony związek, nie obeszło zbytnio Henryka.

Istotniejsze było, że mimo wzrostu wojskowej i gospodarczej potęgi, w samym Zakonie są ludzie, których mierzi głoszenie zakłamanych haseł, karność rozprzega się, a zabiegi, by ukryć przed chrześcijańskim światem swe prawdziwe oblicze, wymagały ciągłej czujności i obrotności. Giedymin, wprawdzie późno, pomiarkował, że łudzono go obietnicami rozejmu i pomocy w ochrzczeniu Litwy. Znalazł pośrednią drogę urzeczywistnienia swych zamierzeń i ujawnienia roli Krzyżaków, wysyłając przez rajców Rygi, Henryka von Kolmar i Jana Roge, listy do miast hanzeatyckich, niechętnych Zakonowi z powodu współzawodnictwa w handlu, który Krzyżacy, wykorzystując przywilej zwolnienia z wszelkich opłat, wbrew swym statutom rozwijali pod umięętym kierownictwem Wernera von Orseln.

Prosił w listach Giedymin o przysłanie duchowieństwa „z wyłączeniem sprzedających klasztoru na szkodę Pańską, którzy zamieniają je na siedliska łotrów, sprzedają jałmużnę i żywią zbrodniarzy. Spalili Krzyżacy - pisał - pieczęć uwieszoną u naszego pisma, aby zgasić rozpoczęte przez Boga dzieło i zmylić świat co do naszych obietnic. Toteż na tym miejscu uroczyście zaręczamy, że prędeż żelazo w wosk, a woda w kamień się zamieni, aniżeli zdradzimy dane tutaj słowo. Pogardzających tą pieczęcią ogłaszamy wszem wobec za fałszerzy, za prześladowców wiary i heretyków, a nawet za pozbawionych czci ludzkiej<sup>23</sup>.” Jeszcze list Giedymina nie znalazł się w ręku posłów, a treść jego znana już była w Malborku.

Zakon, iście jak dostojna nierządnicą, miał sposoby przytłumienia tego głosu. Gdy posłowie przybyli do Lubeki, czekał tam na nich komtur wendeński, Reimar Hane, z braćmi Niclasem von Parsów i grafem Gotfrydem von Ost. Bynajmniej nie usiłowali nakłonić posłów, by poniechali doręczenia listów. Przeciwnie, oświadczyli, że Zakon przyczyni się do pokrycia kosztów poselstwa i wysłania misjonarzy na Litwę, by wykazać, że zarzuty są fałszem i oszczerstwem. Ale zarazem zagrozili, że gdyby Giedymin nie dotrzymał przyrzeczenia, pomszczą obelgę.

Groźny cios jeśli nie został odparty, to przynajmniej złagodzony. Najgroźniejsze jednak byłoby, gdyby Giedymin istotnie się ochrzcił i temu należało zapobiec. Legaci papiescy, biskup Aletu Bartłomiej i Bernard, opat benedyktynów z Puy, byli już w drodze do Wilna, gdzie Giedymin przeniósł swą stolicę. Jechali lub obsyłali posłami zjazd arcybiskup Rygi, biskupi Ożylii i Dorpatu, zakony braci mniejszych i predykantów, jechał poseł

Krzysztofa Drugiego duńskiego. Wszystkim sąsiadom i ich przyjaciółom ofiarowywał

Gedymin pokój i przymierze. Jechali też krzyżacy posłowie: komtur Mitawy, Jan Lewenbork, i brat Otto Bramhorn z poleceniem przystąpienia do układu, pod walonkiem jednak, że chrzest natychmiast będzie dokonany. Jednocześnie jednak Konrad von Kesselhut zdążył do Nowogrodu, by zawrzeć przymierze przeciw Giedyminowi, a talkowie<sup>24</sup> na Żmudź, by judzić przeciw kniaziowi, iż zamierza porzucić wiarę przodków i zawrzeć przymierze ze śmiertelnym wrogiem. Nietrudno było wywołać wrzenie lam, gdzie krzyż znany był jeno z płaszczy zakonnych, oznaki mordu, grabieży i pożogi. Nie brakło oporów i na Litwie i Giedymin nie mógł się zgodzić na natychmiastowy chrzest. Mimo sprzeciwów krzyżackich układ doszedł do skutku, a Kuria skwapliwie go zatwierdziła. Zakon chwilowo miał ręce związane i nie mógł jawnie przeciwdziałać w czasie, gdy w Awinionie Karol z Trewiru wciąż jeszcze bezskutecznie zabiegał o wysłanie bulli, która przesądzić miała na niekorzyść Łokietka sprawę Pomorza.

23 List z 26 maja 1323 r.

24 szpiedzy z pruskich i litewskich zaprzańców

Łokietek jednak również nie zasypiał sprawy, choć nie ona jedna zwała się na jego siwiejącą głowę. Król zwołał zjazd do Poznania, gdzie trzymały go śląskie sprawy, by omówić poselstwo Gerwarda do Awinionu, z dawna zamierzone, a odwlekane na skutek choroby biskupa.

Król czekał na niego tym niecierpliwiej, że tymczasem wypadki na Rusi wzywały go na wschód. Andrzej włodzimierski i Lew halicki legli w walce z Tatarami, władza znalazła się w rękach

tatarskich baskaków, groźba niszczących najazdów stała u granic Łokietkowego państwa. Trzeba było rzucić dobrze rozpoczętą działalność zmierzającą do odzyskania

Śląska,

zostawiając

wolną

rękę

chytremu

i

przedsiębiorczemu

Luksemburczykowi, który jej nie omieszka na Śląsku położyć. Łokietkowi paliło się pod nogami, w Krakowie czekali zbiegli z Wołynia bojarzy, którzy, zapewniwszy już sobie węgierskie posiłki, ofiarowali włodzimiersko-halicki stolec wyznaczonemu przez króla księciu. Zalecił im Bolesława, pierworodnego syna swego bratanka, Trojdena czerskiego, jako wnuka po matce Jerzego halickiego. Należało go jednak siłą wprowadzić, toteż król, nie czekając już na Gerwarda, kazał kanclerzowi Filipowi wygotować prośbę do Kurii o ogłoszenie krucjaty przeciw Tatarom. Niemniej zniecierpliwienie jego przechodzić zaczynało w gniew, gdy wreszcie pod koniec czerwca nadjechał Gerward. Na jego widok gniew zmienił

się w troskę. Biskup postarzał się i pochylił, widocznie nie odzyskał sił, bo niedaleka droga z Włocławka do Poznania zmęczyła go wyraźnie. W Łokietku wstała wątpliwość, czy starzec wytrzyma daleką podróż do Awinionu przy rozpoczynających się na dobitkę upałach. Gdy jednak napomknął o tym, Gerward odparł:

- Człek zawsze może, co musi, a pomyślny wiatr bez zwłoki wykorzystać należy.

Ludwik papieża kacerzem ogłosił i Piotra de Corbario antypapą ustanowił. Tedy Ojciec Święty klątwą go obłożył, a elektorom nakazał wybór nowego króla, i nie może być Krzyżakom przychylny, skoro z wyklętym trzymają. A mnie zajęto, gdzie kości złożę, ale póki żywię, nie poniecham niczego, by kres położyć krzyżackim kręactwom. Zwólcie jeno, by wraz ze mną jechał dziekan mej kapituły, która w nim widzi mego następcę. To Maciej Pałuk z Gołańczy, z rodu wam oddanego, tedy mniemam, że i po waszej to będzie myśli, a lepiej, by na miejscu był, gdyby Bogu spodobało się tam powołać mnie do siebie. Skróci to czas sediswakansu i będzie mnie komu zastąpić.

- Niełacno was kto zastąpi - powiedział król poruszony - bo niewielu rozumie, z kim gra i o co. W Bogu mam nadzieję, że wróci wam zdrowie, boście potrzebni. Bogdajby każdy tak służbę dla powszechnego dobra rozumiał. O następcy jeszcze czas myśleć, choć Pałuki iście bliscy mojemu sercu, bo i na nich zawsze polegać można.

Mówiąc to, miał ha myśli raczej Henryka z Rynarzewa, który przyjechał na zjazd wraz z bratem. Jego

beztroskie, ale nie lekceważące ujmowanie wszelkich spraw pozwalało i królowi pogodniej na nie patrzeć. Przywiózł też wieści o przebiegu żmudzkiej wyprawy, która, mimo zdobycia Bisten i wyrżnięcia sześciu tysięcy załogi i zbiegów, na skutek strat poniesionych w odwrocie równała się klęsce i można się było spodziewać spokoju na krzyżackiej granicy. Henryk przedstawił prośbę Radochy, by mu odesłać Pizłę wraz z pocztem, bez którego nic poczynać nie może, a pora odpowiednia, by zbójów przetrzebić, którzy spokojnych osadników gnębią, znajdując oparcie w zakonnych zamkach.

- Niechaj mu będzie - odparł król. - Tu pociągnąć, tam krótko, aleć już nawykłem. A onże Radocha dostał już niewiastę, o którą zabiegał?

- Bogać tam! Jak się okazało, małżonek jej żywie i do Krzyżaków przystał. Uderzył się po ustach i dodał z zakłopotaniem:

- Raczcie zapomnieć, panie, com rzekł, bo mnie Radocha prosił, by nikomu nie gadać.

Lęka się, byście małżonce przeniewiercy reszty majątności nie odjęli.

- A cóże mu o to, skoro jej pojąć nie może? Przykład winien być, że zdrajca nie jeno własną głowę stawia. Ale niechaj, wolę, byś mi zawždy mówił wszystko, co wiesz. Jeno małżonce i wojewodzie Jaśkowi powtórzę, by wiedzieli, że niepotrzebnie się nad zdrajcą użalali. Tak oto jeden występek rodzi drugi. Wyrwać z korzeniem, jeno skielkuje, bo gdy urośnie, topora potrzeba.

Rozmowa była na wsiadanym, bo król ruszał już z wojskiem, pożegnawszy Gerwarda, który również zbierał się do drogi. Henryk poszedł żegnać brata. Ucałował wprawdzie jego dłoń, ale jednocześnie klepnął go po barku, aż się kanonik Maciej skrzywił, bo Henryk rękę miał ciężką, a powaga duchownej sukni też cierpiała na takiej poufałości. Kanonik powiedział

kwaśno:

- Tobie się zawždy zda, żeśmy to jeszcze wyrostkami pod ojcowym dachem.

- Cóżeś taki dostojny? Konia też klepię, bo go lubię. Ale prawda, żeś na następcę Gerwardowi wyznaczon. Jeno ostaniesz biskupem, nie będę cię już klepał. Nie bądź krzyw, bo prośbę mam, którą spełnić musisz: w Mediolanie pancerze i szłomy kowają, nad które nie ma lepszych. Przywieź mi.

- Bójże się Boga! - zakrzyknął kanonik. - Wždy to majątność kosztuje!

- To i cóże? Na ubogiego padło lubo małżonce i dziatkom od gęby odejmiesz?

- Nie praw byle czego. Jeno księgi i relikwie zakupić muszę, które na wagę złota.

- Co ta będziesz kości zwoził. Mało ich u nas? Mnie zbroja przeciw Krzyżakom potrzebna, bo uzbrojeniem nad nami górują. Któże, jeśli nie ja, majątności włocławskiej kapituły przed nimi osłania? A twoje księgi, co? Ty im kazanie, oni tobie lanie. Ja skórę stawię, a ty kiesy żałujesz. Wolałbyś brata na marach widzieć?



- Nie praw byle czego - powtórzył Maciej zmieszany. - Jeno że pieniądz masz własny, po cóż ci mojego?

- Właśnie, że nie mam. Myślałem, że jak między rodzonymi, jeszcze rad będziesz wiedzieć, co mi w gościńcu przywieźć. Ale wolisz zapomnieć, żeśmy jednych ojców syny, niż kiesą ruszyć - dobrze!

- A gdzieżeś pieniądz stracił? Wždy piękny dochód masz i sądownictwa, i z włości.

Juści, że gościniec przywieźć ci zamierzyłem, ale przecie nie za wszystko, co mam.

- Ja cię nie spowiadam, ile masz i na co wydajesz, i takż nie do spowiedzi przyszedłem.

Swemu kapelanowi raz na rok - jak przystało - wypowiadam, com ta nagrzeszył.

Dobrosław już przywykł, tedy nie wydziwia, co najwyżej westchnie i rozgrzeszy. Ale jak sobie chcesz, spraszać się nie zwykłem.

Udał urażonego, a kanonik kręcił się niespokojnie. Wreszcie rzekł płacźliwie:

- Nie bądź gniewny. Przywiozę, byś nie myślał, że ci załuję.

- Mójżeś ty! - Henryk uściskał brata, aż ten stęknął. Ale ze zdumienia aż usta otworzył, gdy Henryk zakończył:

- Braterskie miłowanie więcej niżli wór złota stoi. Rad jestem, żeś się na nim nie zawiódł. Ilekroć będę w potrzebie, zawždy do ciebie jak w dym, byś nie mniemał, że cię mam za sknerę.

Ucałował brata, raz jeszcze klepnął go zamasyście i odszedł, bo orszak jego stał już gotowy do drogi, a wraz z nim Pizło z ludźmi Radochy. Starosta jakiś czas jechał na przedzie zamyślony, coś widno rozważając. Potem skinął na Pizłę, a gdy ten podjechał, odezwał się:

- Prosił mnie Radocha, bym nie gadał, ale tobie muszę rzec, byś wiedział, jak sprawy stoją. Potwierdziło się, że rycerz Krzych żywię i u Krzyżaków bawi, tedy nic z Radochowych zamierzeń. Potrzebna mu ta sprawa jak bykowi siodło. Jeno sobie życie zawiązał.

- Pewna li to wieść? - zapytał chmurnie Pizło.

- Tym razem zda się pewna, bo ją ów Braciszek przyniósł, który aż gdziesi do Prus łąził, by się o Krzycha wywiedzieć. Spotkał jakowegoś Krzyżaka, który dwa gody temu z Krzychem był na wyprawie i wraz z nim powrócił.

Pono nawet Krzych psubratu żywot ocalił, wiernie nowym panom służy. Nie pokwapi się on ku nam, skoro nawet małżonce znaku nie dał, że żywię, tedy go nie dostaniem, chyba aż wojna będzie z Zakonem. Ale jak Radochę znam, szcędzić gotów przeniewiercę, żeby Kundzia nie płakała. Ja takż niewieścich słozów nie lubię, ale jeślibym go dostał, stracić każę, nie mieszkając. Niech się wdowa wybeczy, będzie ją mógł Radocha pocieszyć. Jeśliś mu iście druhem, nie z wolisz szcędzić zdrajcy. Król by tego nie przepuścił.

Pizło nic nie odpowiedział, ale zawzięty wyraz jego dziobatej twarzy starczył za odpowiedź, a starosta ciągnął:

- Ninie gadamy o niedźwiedziu w lesie, bo wojna być - będzie, ale chyba nierychło.

Na Śląsku nie skończone, na Rusi się zaczęło. Skończy się tam, z Marchii odebrać trzeba, co nam z Wielkiej Polski urwali, póki cesarski szczeniak na brandenburskim stolcu słabo siedzi.

Kiedy tam przyjdzie kolej na Krzyżaków, gdy im takż poręczniej byłoby Łokcia załagodzić, póki się z Giedyminem nie uporają. Najbardziej, ani chybi, lękają się, by się obaj nie zwąchali. Mocne juchy są, ale co najmniej koniec byłby zdobyciom, jeśli nawet im nie wyrzygać, co zeżarli.

Pizło nie był wdzięcznym rozmówcą i starosta milcząco już rozmyślał, jak dołożyć Zakonowi trudności, w jakich i bez tego się znalazł. Śmierć Karola z Trewiru pozbawiła go wpływowego popiecznika w Kurii, w czasie gdy nie były tam już tajemnicą układy z wyklętym Ludwikiem oraz nacisk wywierany przez komtura Bertolda z Koblencji na elektorów, by zlekceważyli nakaz papieski wyboru nowego króla w osobie Karola Czwartego.

Śmierć jego rzecznika, Leopolda austriackiego, ustaliła pozycję Wittelsbacha i Zakon nie zawahał się otwarcie już stanąć po stronie silniejszego w rozgorzałej na nowo wojnie dwóch najwyższych władz w chrześcijaństwie.

Skutki nie dały czekać na siebie. Bulla, okładająca Zakon klątwą i interdyktem, powtarzała podniesione ongiś przez ryskiego biskupa zarzuty: gusła, palenie rannych, mordowanie posłów i misjonarzy, rabowanie kościołów, stawianie wszelakich przeszkód w pracy misyjnej.

Zarzuty były tym przykrzejsze, że prawdziwe, ale do kar kościelnych Zakon z dawna nawykł i nie zamierzał się im podporządkować. Zależni od niego biskupi zarządzili wedle zwyczaju msze we wszystkich podległych sobie kościołach oraz modły ubogich, by obwołane wybory wyłoniły miłego Bogu mistrza. Wiadomo zresztą było z góry, że jest nim Werner von Orseln, gdy komturem wyborów został Wildenberg, a pełna Kapituła z przybyłymi na nią landmistrzami Niemiec, Inflan i Apulii z rzadką jednomyślnością zatwierdziła elektorów.

Wszyscy rozumieli, że nie pora na wewnętrzne zatargi, i gdy w kaplicy Najświętszej Panny biskup Jan włożył na prawicę Wenera pierścień mistrza, wręczył mu wielką pieczęć Zakonu i złożył na jego twarzy braterski pocałunek, Te Deum zabrzmiało bez fałszu. W kłopotliwym i zawiłym położeniu Zakon znowu był zjednoczony, a obrotność i doświadczenie nowego mistrza pozwalały żywić nadzieję, że go z trudności pewną ręką wyprowadzi. Przysiędże jego, że wiernie będzie strzegł praw Zakonu, można było wierzyć.

Zjazd w Malborku był ogromny, obydwie zamki wraz z przedzamczem ledwo mieściły przybyłych dostojników Zakonu, poselstwa miast i książąt oraz znakomitych gości; gospody w mieście zatłoczone były do ostatniego miejsca. We dnie turnieje i gry rycerskie ściągały do zamku tłumy ciekawych, wieczorami wielki refektarz rozbrzmiewał zgółą niezakonnym gwarem uczującego rycerstwa, a dziedzińce odgłosami biesiady pospółstwa.

W przyległym natomiast do wielkiego - małym refektarzu, gdzie wieczerzał wielki mistrz z najwyższymi dostojnikami, sklepienie wsparte na jednym słupie, odbijało jeno przyciszone głosy, a cztery okna wczesnie mrużyły się ciemnością. Natomiast w sąsiedniej mieszkalnej komnacie mistrza niepewny poblask płonącego na wielkim kominie ognia do późnej nocy wydobywał z mroku otwory okienne. Żółte światło świec pełgało po malowanych w winne kiście ścianach, lśniąc na złoceniach herbowych tarcz nad oknami, a migotliwe blaski nadawały pozory życia zawieszonym na ścianach podobiznom zasłużonych, jakby i oni brali udział w tajnych naradach, od których zawisły losy Zakonu.

Beztroska, jaką Werner okazywał, była pozorna: wiedział, że w niełatwym czasie wziął na się odpowiedzialność, ale świeża godność, której osiągnięcie uważał za cel życia, napawała go pewnością, że jej podoła. Jego zapobiegliwością wypełniony po brzegi skarbiec Zakonu, przepełnione lamusy, spichrze i zbrojownie są widomym znakiem Bożego błogosławieństwa, a Duch Święty oświeci go, jak ku chwale i korzyści Zakonu najlepszy z zasobów tych zrobić użytek. Sprawniejszy kupiec i gospodarz niż wojownik, wybór swej osoby uważał za wskazówkę Nieba, by do broni sięgać jeno z konieczności, gdy zawiedzie złoto i chytrność. Gdyby Bóg chciał inaczej, byłby wskazał wybrańca swego w młodym i wojowniczym Lutrze von Braunschweig, który, jak się okazało, miał też licznych zwolenników w Kapitułe i dlatego przedłużały się narady. Wielki mistrz pamiętał wprawdzie, że w myśl statutów słuchać ma roztropniejszych, a nie liczniejszych, pamiętał jednak także, iż niejednen ze wskazanych przez Boga jego poprzedników nie mógł spełnić wyznaczonych mu przez Opatrzność zadań, gdy większość braci była przeciw \*niemu. Z usposobienia cierpliwy i nieskłonny sięgać do ostatecznych środków, wolał przekonywać, niż rozkazywać, choć w samotności swej „izby rozmyślań” plan postępowania miał ułożony, i pewny jego skuteczności, nie zamierzał odeń odstąpić.

Przyczyną zaognionej różnicy zdań była jątrząca się od lat sprawa Pomorza.

Zaciętość, z jaką przy prawach swych do niego upierał się Łokietek, była źródłem stałego niepokoju i nie ostatnim z powodów rozdwojenia w Zakonie, które zmusiło Karola z Trewiru do wyjazdu z Prus. Teraz następca jego znowu podjął zamiar zakończenia sporu pieniądzem, ale - lepiej znając ludzi niż jego poprzednik - powalał wyburzyć się otwarcie rzecznikom orężnej rozgrywki, Spokojnie słuchał graniczących czasem z obelgami zarzutów: Polska jest i pozostanie wrogiem Zakonu, do wojny nią dojść musi, a głupi ten, kto wrogowi dostarcza środków, Widno uznając jego prawa, skoro je chce odkupić. Gdy Łokietek poczuje się na siłach, znajdzie byle jaki pozór odebrania Pomorza. Mistrz, dopiero złożwszy przysięgę, że strzec będzie praw Zakonu, czyni je przedmiotem targów, jak niedoświadczony młokos zawierając wiarołomnemu.

Gdy przeciwnicy zamierzeń mistrza wygadali się wreszcie i umilkli, Werner zabrał

głos:

- Chwalebnej gorliwości i trosce o dobro Zakonu przypisuję nieopatrzne słowa i gotowość rozlewu krwi. Ale jest ona najcenniejszym naszym dobrem i mnie nią szafować. Za nieomylnego się nie podaję, każdy jednak rozumie i przyzna, że krew zawsze w jedną płynie stronę, a wydane złoto wraca. I że taniej uderzyć wroga cudzymi niżli własnymi rękoma. Gdy nikt nie zaprzeczył, Werner ciągnął:

- Ważna jest sprawa Pomorza, ale nie ona jedna jest skałą grożącą bezpieczeństwu nawy, której ster Bóg przez wasze ręce mi powierzył. Rozpatrzmyż spokojnie, hamując młodzieńczą porywczosć, całe położenie, a nie wątpię, że jako wszyscy dobro Zakonu mamy na względzie, tak do jednego dojdziemy zdania, a Bóg błogosławi zgodzie i jedności.

Zdał się namyślać i podjął:

- Gdy dwóch wrogów się połączy, za czterech stoi. A to zda się grozić, bo Łokieć, wprowadzając krewniaka na halicki tron, by się od wschodu ubezpieczyć, zgodził się oddać Giedyminowi Podlasie. Gdy litewskie sąsiedztwo od tatarskiego nie lepsze, jakoweś zapewnienia otrzymać musiał od Giedymina, który się za siewcę pokoju przedstawia, a Kuria, ninie nam nieprzychylna, skwapliwie znaleźć w nim rada nowego sprzymierzeńca. Znamy Łokcia, wiemy, że spoczywać nie zwykł. I wiemy, do czego zmierza: zgarnąć chciałby pod swe berło wszystkie ziemie, które ongiś do państwa jego przodków należały, nim się rozpadło jak zmurszały garnek. Nie potrzebuję mówić, co to oznaczałoby dla Zakonu. Zagarnąć chciałby Pomorze, Śląsk i tę część Wielkiej Polski, którą zajęła Marchia. Choć wzmocnił się ninie, na wszystko na raz go nie stać. Pomyślmyż chwilę jego głową, co byśmy wybrali?

- Juści, że Marchię - wtrącił Wildenberg.

- To chyba leży jak na dłoni - przytaknął Werner z uśmiechem. - Kuria, w której łaski się wkręca, wezwała przecie do broni przeciw Ludwikowi. W Marchii zamęt, młody Ludwik przeciwników ma w pociotkach wielkopolskich możnowładców. Nowy margraf nie na rękę ni szczecińskim książętom, ni duńskiemu Krzysztofowi. Sposobność to dla Łokcia. Bezpieczny od Węgier i Rusi, gdyby zyskał pewność, że i od nas nic mu nie zagraża, ani chybi na Marchię uderzy. Przeto jeśli nawet za cenę pokoju i pomocy Pomorza zrzec się nie zgodzi, rozejmu uchwyci się skwapliwie.

- Pomoc w zamian za praw naszych uznanie przyrzekliśmy cesarzowi, by syna jego na brandenburskim stolcu osadzić, i nijak to pogodzić - wtrącił szorstko Luter von Braunschweig, ale wielki mistrz odparł:

- Zali pomagać można jeno mieczem? Słuchałem cierpliwie, co mieliście rzec, wysłuchajcie i wy. Ninie niebezpieczniejszym wrogiem niżli Łokieć jest Giedymin, a jako rzekłem, najgroźniejsze byłoby, gdyby się połączyli. Szczęściem, prócz wrogów, posiada Zakon i wypróbowanych przyjaciół, najlepiej zasię mieć ich we wrogim obozie. Płocki Wańko zięciem jest Giedymina, a z dobrzyńskimi krewniakami, nad którymi Łokieć opiekę sprawuje, w zadawnionych jest zatargach i nie miłują się ze stryjem. Nietrudno będzie go nakłonić, by na nich uderzył, ni jemu pomoc cieścia uzyskać. Tym sposobem kłodę Łokciowi rzucimy pod nogi, bo juści krewniaków bez pomocy nie ostawi, i klin wbijemy między niego a Giedymina, sami na uboczu pozostając.

Istotnie trudno było o lepsze rozwiązanie istniejących trudności i nawet Luter nie podniósł sprzeciwu, wielki mistrz zaś zakończył:

- Tedy widzę, że zgodni jesteśmy. Do Wańki poselstwo wyślę zaraz, do Łokcia, gdy uznam, że pora. A teraz pójdźmy do kaplicy prosić Boga, by błogosławił naszym poczynaniom.

Krzych przybył do Malborka z orszakiem wielkiego marszałka. Ohydna rzeź w Bistenach wywołała w nim uczucie odrazy do samego siebie. Bezczyinnie zmuszony był

patrzeć na wyuzdane okrucieństwo, z nieznośną świadomością, iż sobie winę musi przypisać, że znalazł się w położeniu bez wyjścia. Wieść o wezwaniu do krucjaty przeciw Tatarom roznieciła w nim przez chwilę iskierkę nadziei. Gdyby Zakon obesał wyprawę, jak powinien, byłaby sposobność walczyć pod wodzą Łokietka zasłużyć się i może do kraju wrócić.

Nadzieja jednak zgasła, nim zdołała się rozplomienić. Zakon nie tylko nie wziął udziału w wyprawie, ale zakazał brać go podwładnym i lennikom, nie zamierzając pomagać wrogowi.

Otrucie chańskich baskaków przez bojarów ułatwiło zamierzenia Łokietka i na halickim tronie zasiadł już pod imieniem dziada Jerzego Bolesław Trojdenowicz. Sposobność minęła i Krzycha coraz częściej nachodziła obawa, że - jak ojciec - żywota dokona w Zakonie. Lata płyną, rozpoczął czwarty ich dziesiątek, do niczego się nie zda kromie wojny, a na niej dorobił się jeno blizn na skórze. Nie ma na świecie człowieka, którego by obchodził jego los, nawet Kundzia zapomnieć już musiała małżonka, o którym od lat nic nie wie. Może jeszcze Hanna modli się za niego w swoim klasztorze, bo tam nie ma przyszłości, jeno wspomnienia.

Dla niego też była tylko wspomnieniem, ale wspomnienia to nie życie, kipiące w nim nadmiarem sił, z którymi nie wiedział, co począć.

Wspominał jednak, ale poruszał tylko osiadłą w okresach otępienia gorzycz.

Najbardziej zaprawione nią było wspomnienie o ojcu, mimo to myślał o nim. Może dlatego, że to nadawało życiu jego jakiś cel, a nawet usprawiedliwiało pobyt w Zakonie: los widno chce, by dokonał pomsty za krzywdę ojca - źródło nieszczęść ich obu - dla której jedynie warto jeszcze żyć, gdy powrót do żony i dziecka stawał się coraz bardziej wątpliwy. A może i ojciec, przekazując zabójcy swój szczyt, wraz z nim przekazać mu chciał to dziedzictwo? Ród Nałęczów zbyt potężny jest, by można go osiągnąć inaczej niż walcząc przeciw swoim w szeregach Zakonu. Nienawiść domagała się pożywki, zogniskowania się na osobach krzywdzicieli lub choćby ich potomków; rozproszona na cały liczny ród, traciła swą siłę.

Do Malborka jechał Krzych ze sprzecznymi uczuciami. Tłum drażnił go i niepokoił, ale na tym zjeździe całego niemal Zakonu nadarzyć się może sposobność spotkania kogoś znajomego dzieje Mścigniewa. Nie myślał już o tym, że wyparł się go, by nie zdradzić, że sam był jego zabójcą, ni o karach grożących tym, którzy podstępem wkradli się w szeregi krzyżackie. Zapewne zresztą z potyczki pod Grabiami nie ocalał nikt, kto mógłby go zdradzić.

Sam Malbork nasunął Krzychowi wspomnienia również niemiłe, ale czekało go jeszcze jedno. W czasie zjazdu wałęsał się po gospodach i piwiarniach, w nadziei, że przypadek pozwoli mu zetknąć się z kimś, kto bliżej znał Mścigniewa. Ale od jego śmierci minęły już lata, znać go mógł więc tylko któryś ze starszych braci, a Krzych spotykał

przeważnie młodzików lub obcych, którzy zjechali w poselstwach lub w gości. Nie umiał

zresztą nawiązywać rozmów, a choć potężną postacią swą zwracał uwagę, odpychające jego zachowanie zniechęcała ludzi. Tymczasem zjazd miał się ku końcowi, tłumy w gospodach rzedyły, pozostali tylko dostojnicy zakonni dla jakichś narad, obcych było coraz mniej, toteż Krzych, wszedłszy raz do gospody, zaskoczony - ze zdziwieniem i wzruszeniem posłyszał

mowę polską. Rzadko się z nią spotykał, a jeszcze rzadziej jej używał, chwycił się na tym, że myśli już po niemiecku. Polacy nie mogli nabywać ziemi, toteż nie było ich na północy.

Chłopi mazurscy siedzieli w Warmii, rycerstwo, które pozostało na Pomorzu i w ziemi chełmińskiej hołdowało Zakonowi dla własnej korzyści. Krzych unikał go, budziło w nim uczucie pogardy. Teraz jednak od pierwszych słów pomiarkował, że są to mazowieccy rycerze z poselstwa Wańki. Zdziwiło go, że jeszcze nie wyjechali, zapewne zatrzymały ich jakieś układy. Ale nie zastanawiał się nad tym, bo ogarnęła go przemożna Chęć pogwarzenia macierzystym językiem, hamowana jednak przez nieufność. Chwilę przysłuchiwał się tylko rozmowie. Gadali o sprawach obojętnych, jak to zwykle przy piwie, Krzych jednak poił się dźwiękiem, za którym nieświadomie tęsknił, który poruszał w nim struny, dawne umilkłe, wspomnienia z dziecięcych, beztroskich lat, zanim życie wzięło go w swoje obroty. Ale zatopienie we wspomnieniach nie trwało długo, bo jeden z obcych wyraźnie mu się przypatrywał, budząc w Krzychu czujność. Nieznajomy rycerz po chwili wstał i podszedłszy, zwrócił się do niego w niemieckiej mowie:

- Wybaczcie, szlachetny panie, ale zda mi się, że skądś się znamy. Krzych zaskoczony, również po niemiecku odparł:

- Nie pomnę. Tylu ludzi przewija się przez Malbork, że spamiętać trudno.

- Was nie trudno - zaśmiał się mazowiecki rycerz - ale jam tu po raz pierwszy. Nie bywaliście w Płocku?

- Nie! - odparł Krzych.

Odeszła go chęć rozmowy. Mimo że zapuścił zarost, którego w Płocku nie nosił, nieznajomy poznaje go widno i gdyby przypomniał sobie skąd, mogło się wydać, że to Krzych utopił krzyżackie poselstwo. Jednocześnie jednak wstawała w nim chęć wywiedzenia się o losie człowieka, który mu podał pomocną dłoń, a on w odwzięcie porywczym postępkem naraził go na niebezpieczeństwo, być może nawet na zgubę. Ale nijak było zapytać, by się nie wydało, że skłamał. Niespodzianie Mazur ułatwił mu. Uderzył się w czoło i zakrzyknął:

- Teraz pomnę! Iście, wziąłem was za kogo innego, jeno podobieństwo niezwykle. Był

u przewoźnika w Płocku pachół waszej postawy i nawet z twarzy podobny. Onże poselstwo wasze utopił i Wańko gęsto musiał się przed landmistrzem sprawiać. Słyszeliście o tym?

- Nie słyszałem - odparł Krzych, przybladłszy.

Najchętniej byłby odszedł, ale przemogła chęć wywiedzenia się o losie Sagana.

Wańko niewątpliwie szukał, na kogo zwalić winę. Krzych zapytał na pozór obojętnie:

- Cóż się z owym pachółkiem stało?

- Jak się okazało, nie był ci to żaden pachółek, jeno rycerz, bo zbroję miał i konie w karczmie w Radziwiu. Pewnikiem z ramienia Łokcia sprawy w Płocku przepatrywał, a po utopieniu poselstwa zbiegł. Głupi karczmarz za obu zapłacił, bo nie zatrzymał przechery, choć gdzie by tam dał rady takiemu. Ale Wańko, kiedy w złości, na kims ją wyrzucić musi, a przewoźnika także nie dostał, bo gdy przyszli po niego, już i miejsce ostygło. Chytry stary zbój musiał w znowie być i na Wańkową sprawiedliwość nie czekał. Dobrze pewnikiem miał

zapłacone, skoro dom porzucił i takową dzierżawę, która srebrem sypie. Spokojnie mógł na niej dożyć wieku.

Krzych zagryzł wargi. Wiedział już, jaką zapłatę otrzymał stary Sagan za życzliwość i pomoc udzieloną wywołańcowi. Jak mówił, małżonka jego trzydzieści lat czekała, by choć starość spędzić razem z mężem przy własnym ognisku. W zamian za to, że pozwolili mu przy nim się ogrzać, Krzych zgasił je! Wstał i powiedział nie bardzo do rzeczy:

- Iście po królewsku miał zapłacone.

Widząc zdziwione spojrzenie Mazura, dodał zmieszany:

- Wybaczcie! Spieszno mi.

Sklonił się i wyszedł. Spieszno mu było do swoich koni. Z ludźmi nigdy i nigdzie nie mógł dojść do ładu, nawet z samym sobą.

Do koni jednak nie wrócił, bo coś się gotowało nie. Kilkunastu rycerstwa, oddział

lekkiej jazdy pruskiej wittingów<sup>25</sup> i spory zastęp pieszych knechtów ciągnął na południe pod landkomtorem chełmińskim, Henrykiem von Gera. Krzych, jadąc wraz z nimi, z niepokojem rozmyślał, przeciw komu potrzebne będą te siły. Zbyt szczupłe były na wojnę z Polską, mało prawdopodobną w czasie, gdy obu stronom ich brakło. Uspokoił się wprawdzie, gdy w Chełmie rozdzielono wojska na kilka hufców, z poleceniem wzmocnienia załóg i straży brodów nad Drwęcą. Krzyżacy widocznie raczej spodziewali się napaści, niż ją zamierzali. A gdyby uderzyć miał Łokietek, to na Pomorze, które było przedmiotem zatargu i gdzie miał zaplecze, skąd ściągać mógł siły, a bezpieczny odwrót w razie niepowodzenia, nie na Warmię - z wrogim Wańka za plecyma. Napaść ze strony dobrzyńskich książąt zupełnie była nieprawdopodobna. Księżna Anastazja, w rzeczy samej sprawująca władzę nad księstwem i

<sup>25</sup> jazda pruska Wittigów - ziemianie pruscy synami, uznała wprawdzie w Łokietku nadrzędnego pana, by zyskać jego opiekę, ale aż nadto ustępliwa była wobec Zakonu.

Wyjaśniło się wkrótce, że Krzyżacy spodziewają się napaści ze strony Litwy. Krzych otrzymał rozkaz objeżdżania na czele oddziału pruskiego dobrzyńskiej granicy aż po bory i bagna Myszynieckiej Puszczy, z zadaniem strzeżenia przepraw i brodów, nieprzepuszczalna przez nie nikogo i przesyłania

wieści, gdyby ruchy jakieś zauważył.

Krzych podjął się z ulgą tego zadania. Nie wierzył też w napaść ze strony Litwy w czasie, gdy z poręki Giedymina odbywał się w Wilnie zjazd, mający radzić nad powszechnym pokojem. Jesień już szła, choć pogodna i sucha; wrześnieowe, ciepłe jeszcze słońce złościć zaczynało więdnące listowie borów, rudziały trzciny na bagnach, panującego w przyrodzie spokoju nie mąciły odgłosy zbierającego się do odlotu wodnego i błotnego ptactwa. Leśne już odeszło, w dziedzinie jego panowała senna i złota cisza, w której przygasiała rozterka Krzycha. Dni spędzał na koniu, noce przy ognisku, najczęściej samotnie, bo podzieliwszy swój zastęp na kilka oddziałów, rozłożył je na dużej przestrzeni i objeżdżał, przy żadnym nie zatrzymując się dłużej i poza rozkazem z nikim nie zamieniając ani słowa. Nachodziła go chęć, by rzucić ich i osiąść gdzieś w lesie. Okolice była bezludna, nie znajdzie go nikt i nikt nawet nie będzie wiedział, co się z nim stało. Zrzucił z siebie ciężar obowiązków wobec żony i dziecka, których dopełnić nie ma sposobu, pomsty za ojca, której warunkiem była zniechęcona służba w Zakonie.

Czuł jednak, że nie wolno mu tak postąpić. Echem odezwały się w nim słowa starego Budziwoja, któremu tyle zawdzięczał, a odpłacił pogardliwą obelgą i krzywdzącym posądzeniem: „kto sumienie ma głuche, bez czci jest”. Nie o sobie mu myśleć, jeno jak wynagrodzić krzywdy, a jeśli tego nie zdoła, zmyć przynajmniej ojcową krew z rąk krwią jego krzywdzicieli. Tylko przez chwilę wolno mu ukoić się ciszą, jaka jest dokoła niego, gdy wpatruje się w zorze zachodu. Nie trwało to długo. Jednego wieczoru, gdy zgasło już niebo na zachodzie, na południowym wschodzie zarumieniło się. Poblask był daleki i niepewny, ale Krzych nie miał wątpliwości, co oznacza. Giedymin jednak uderzył, i to od strony Podlasia, niedawno zajętego na podstawie układu z Łokietkiem; uderzył na znajdujące się pod opieką króla ziemie jego bratanków. A Krzyżacy zapewne maczali w tym palce, skoro sami zabezpieczyli się wcześniej przed litewską dziczą, która jak stado zajadłych wilków nie zwykła szczerzyć nawet sprzymierzeńców.

Krzych przez chwilę patrzył, jak poblask rozszerzał się i nasilał, w miarę jak zapadała ciemność. Potem z westchnieniem dosiadł konia, by rozesać wieści do pogranicznych zamków.

Nazajutrz niebo na południowym wschodzie zasnuło się sreżogą, a nocą świeciło coraz bliższymi łunami. Na trzeci dzień na dobrzyńskim brzegu ukazali się pierwsi uchodźcy, widocznie zamierzając szukać schronienia za rzeką, ale ujrzawszy, że bród po stronie krzyżackiej strzeżony jest przez zbrojnych, skierowali się ku zachodowi.

Krzych również ścigał swój oddział ku Brodnicy, do której zagon litewski zbliżał się widocznie, bo nocą całe niebo żarzyło się łunami, we dnie słońce zrudziało od dymów wlokących się nad krajem, a powiew przynosił swąd spalenizny. Najazd widocznie nie napotykał oporu, bo szybko posuwał się naprzód. Korciło Krzycha, by przejść za rzekę, ale oparł się pokusie. Niewiele zdziała ze swym szczupłym zastępem, do którego na domiar nie żywił zaufania. Dość już porywczością ściągnął na siebie nieszczęście i troskę, ale burzył go widok bezlitosnego niszczenia bezbronnych kraju.

Opodal Brodnicy pożar był tak bliski, że widać było płomienie, a bystre ucho Krzycha pochwyciło nawet odległy gwar. Sądził, że napastnicy natrafili wreszcie na obronę, a przynajmniej na opór, odgłosy bowiem świadczyły o walce. Musiała być jednak nierówna, a opór słaby, wrzawa bowiem zbliżała się szybko ku rzece. Droga na zachód była zamknięta przez, pasmo jezior i bagniste strugi



wpadające do Drwęcy, dlatego uchodzący widocznie za rzeką zamierzali szukać ocalenia. Bród, który przebyć musieli, był mulisty, brzegi miał

płaskie, ale grząskie, nie wiodła do niego żadna droga, używany też był przeważnie tylko przez swawolne gromady z obu stron granicy i zazwyczaj strzeżony przez podjazdy sąsiednich komturii.

Krzych wraz ze swym oddziałem posuwał się za odgłosami. Wbrew rozkazowi zamierzał przepuścić uchodzących, a gdyby litewski pościg przeszedł za nimi - wygubić go.

Noc była bezksiężycowa, ale wygwieżdżona, gładka, czarna płaszczyzna Drwęcy różowiła odbiciem łuny. Na krzyżackim brzegu trzciny i krzewy wycięte były szeroko, by ułatwić strzeżenie brodu, toteż Krzych zatrzymał swój oddział na skraju zarośli i czekał.

Gwar zbliżał się do brodu, a wkrótce na dobrzyńskim brzegu ukazała się ciemniejsza od otoczenia plama. Gromada ludzi nadciągała szybko, ale sfornie, widocznie bez popłochu, za nimi natomiast majaczyły coraz liczniejsze cienie bezładnego pościgu. Uchodzący wparli się w wodę, na jaśniejszym tle rzeki można było rozróżnić pojedyncze postacie. Pościg natomiast zatrzymał się na brzegu, widno czekając na skupienie się rozproszonych, bo rozległy się nawoływania. Za chwilę na rzece zaczęły znowu cienie, gdy tymczasem uchodzący wychodzili już na prawy brzeg i skupiwszy się szybko, zmierzali ku odległym o dwa stajania zaroślom.

Krzych czekał na to. Wydał rozkaz, żgnął konia i skoczył ku brodowi. Niespodziane uderzenie jazdy wprawilo w popłoch litewski oddział. Gdy ci, którzy się przeprawili, usiłowali stawiać opór, tylne szeregi zwracały z wrzaskiem. Opór był krótki, kto nie legł na brzegu, ciężarem koni zepchnięto go w rzekę i tam rozpoczęła się rzeź, gdy piesi, brnąc po pas w wodzie o grząskim dnie, bezbronni byli wobec jezdnych. Niewielu jeno udało się dotrzeć z powrotem na lewy brzeg, gdzie zaraz rozproszyli się w ciemności i na rzece ucichła walka. Toczyła się natomiast w zaroślach. Widno uchodzący wpadli na jakiś podjazd krzyżacki, zanim jednak Krzych zbliżył się, wrzawa ucichła. Wśród rzadkich zarośli dojrzał

gromadę jezdnych, a wśród nich białe plamy zakonnych płaszczy. Kilka ciał leżało na ziemi, jeńców właśnie wiązano. Krzych zbliżył się do rycerza, który wydawał rozkazy, i zapytał:

- Z Brodnicy?

- Z Lubawy - odparł zapytany. - A wy?

- Pruska jazda z Królewca. Baczę, by nikt nie przechodził przez rzekę.

- Ci przeszli - powiedział Krzyżak, wskazując na jeńców. - Pewnikiem zbóje, bo nie grodowi ani chłopci.

- Zabawiłem się z Litwą przy brodzie - odrzekł Krzych. - Ninie pociągnę dalej, bo zagon ku Brodnicy zmierza.

Wskazał na nową łunę, która barwić zaczynała niebo na zachodzie, gdy wschodnie już zieleniało pogodnym przedświtem.

- Tedy zabierzcie jeńców - powiedział Krzyżak - bo mnie spieszo z powrotem. Ać ich brodnicki komtur wybada i sprawi. Jak twoje imię, konfratrze?

- Nałęcz - odparł Krzych niechętnie.

Krzyżak wymienił swoje, pożegnał się podniesieniem ręki i zebrawszy swój oddział, odjechał na północ.

Jaśniało już i po niespanej nocy Krzycha ogarniała senność. Wysłał kilku ludzi, by pilnowali brodu, wyznaczył straż przy jeńcach, pozostałym kazał rozsiodłane i spętane konie puścić na paszę, a ludziom pożywić się i spocząć. Sam nie czekał na posiłek, podesał sobie na gałęzie sitowie, okrył się płaszczem i zasnął.

Spał krótko, bo obudził go blask pogodnie wschodzącego słońca. Cisza panowała dokoła, ogniska, przy których pruscy wojownicy gotowali posiłek, dymiły jeszcze. Teraz spali w krąg, żaden nie poruszył się, gdy Krzych, rozdmuchawszy płomień, przypiekał nad nim kawał wędzonego mięsa. Pojadłszy, zajął do koni. Pasły się spokojnie, z dala nad rzeką widać było strażników, nie budził przeto ludzi, by powiedli konie do wodopoju. Gdy się napasą, same pójdą. Przypomnił sobie o jeńcach. Trzeba i ich nakarmić i napoić. Wszedł w zarośla, gdzie leżeli, jak który mógł, na wilgotnej ziemi wśród trupów towarzyszy. Ręce boleśnie wykręcone do tyłu nie pozwalały im zasnąć, trzeba ich przewiązać tak, by sami mogli się pożywić.

Krzych rozejrzał się za strażnikiem, ale nie widział go nigdzie. Zapewne usnął, nie lękając się, by jeńcy uszli. Odkładając na później rozprawienie się z nim, przystąpił do jeńców. Tędy byli, przeważnie młodzi, ale wśród ciemnych i jasnych czupryn odbijała siwizna jednego. Leżał twarzą do ziemi i może spał, bo nie poruszył się, gdy Krzych, przystąpiwszy, rozwiązywał mu ramiona. Ale gdy jeniec ręce poczuł wolne, usiadł i zaczął je rozcierać. Krzych spojrzał na jego twarz i osłupiał. Miał przed sobą Sagana.

Twarz jeńca również wyrażała zaskoczenie, gdy spojrzenie jego padło na Krzycha.

Potem zjawił się na niej uśmiech złośliwy i drwiący.

- Tedy prawda, żeście do psubratów poszli! Licho was wie, komu służycie. Pewnikiem biesu i niechby was w końcu wziął.

Krzych pobladł i opuściwszy oczy, zapytał z wysiłkiem:

- Gdzie małżonka wasza?

- Odwdzięki twojej za gościnę nie doczekała - powiedział stary zjadliwie. - Obejdzie się już bez niej. Wolej, byśmy trędowatego pod dach przyjęli.

Krzych położył palec na posiniałych wargach i ręką wskazał na krze, ale stary rzekł

drwiąco na cały głos:

- Rozumiem. Chciałbyś się mnie pozbyć, bym cię twym nowym panom nie wydał, żeś ty utopił ich poselstwo. Pójdę, ale społem z nimi - ręką wskazał na towarzyszy.

Krzych sięgnął do pasa i wyjął nóż; Sagan obrzucił go ponurym spojrzeniem i rzekł z pogardą:

- Widzę ci, że masz pewniejszy sposób. Zabyłem, z kim sprawa.

Krzych blady jak chusta wcisnął nóż w dłoń zaskoczonego Sagana, odwrócił się i chwiejnym krokiem odszedł. Ułożył się z powrotem, głowę nakrył płaszczem i leżał tak długo, aż wszczął się ruch, a potem krzyki i ktoś zaczął go trącać. Usiadł, patrząc nieprzytomnym wzrokiem. Pruski wojak potrząsał nim, by go otrzeźwić, i mówił:

- Wstawajcie! Jeńcy zbiegli!

- Zbiegli! - powtórzył Krzych szeptem. Omal nie dodał: „to dobrze”.

Siedział, wpatrzony tępo przed siebie. Jednego chciał tylko: pozostać sam. Ale wojak stał nad nim, czekając na rozkazy. Gdy nie doczekał, zapytał:

- Chórzyście?

Nie otrzymał odpowiedzi, ale wygląd Krzycha musiał starczyć za nią, bo zebrał

hufiec, Krzycha kazał wsadzić na konia i ruszyli w dół rzeki. W Brodnicy zgłosił komturowi, co zaszło, i Krzycha, który nadal patrzył nieprzytomnie, jakby utracił pamięć i mowę, odstawiono do infirmerii.

Zajście z Saganem uprzytomniło mu, że gdyby nawet stał się cud i wrócić mógł do kraju, to jeno po to, by znosić podejrzliwość i pogardę, które wstrząsnęły nim do głębi.

Pamiętał, jak długo gnębiła go nieufność króla, gdy mu się sprzeniewierzył po raz pierwszy.

Po tym, co zaszło, nie zaufa mu już nigdy. Ale wówczas majątność zapewniała przynajmniej dostatni byt jego małżonce. Teraz byłby dla niej tylko ciężarem, podzielić z nim może tylko hańbę. Dla niej byłoby najlepiej, gdyby nie żył.

Stary kapelan, który wedle przepisu przyszedł Krzycha wyspowiadać przed przejściem do infirmerii, nie zdołał wydobyć z niego ni słowa. Krzych zaciął się w milczeniu, niechęć jego do życia była tak wielka, że nie chciał nawet jeść i nie odpowiadał na żadne pytania. Drażniła go obecność kapelana, który siedział nad nim cierpliwie, szepecząc modlitwy.

Oddalał się tylko na przepisane nabożeństwa, po czym zjawiał się znowu i wpatrywał się w leżącego wyblakłymi oczyma krótkowidza. Rozdrażnienie Krzycha zaczęło przechodzić w gniew. Gdy trzeciego ranka kapelan zjawił się znowu i milcząco usiadł przy łożu, Krzych zerwał się i fuknął ostro:

- Darmo się trudzicie! Zdrów jestem, nie trzeba mi infirmerii, nie będę się spowiadał.

Sądził, że kapelan odejdzie, ale ten patrzył na Krzycha smutnymi, rozumnymi oczyma i odparł:

- Nie znam się na chorobach ciała. Ale dusza twoja jest chora. Spowiedź dobrze by ci zrobiła, mój synu.

Krzych pamiętał spowiedź, jaką odbyć musiał przed przyjęciem do Zakonu. Była jak badanie przez inkwizytora, przed którym z trudem i wzburzeniem bronił się kłamstwem.

Odparł gwałtownie, siląc się na kpinę:

- Pono walka z pogany wszelkie grzechy gładzi. Dopiero z niej wracam, a tu, choćby człek chciał, zgrzeszyć nijak.

Sądził, że stary kapelan odejdzie urażony i zniechęcony. Ale ten odparł łagodnie:

- Rzekłeś: „pono”. Tedy i ty w to nie wierzysz. Grzech! Kto się nie wyzbył sumienia, sam wie, zali czysty jest w sobie i gotów Bogu zdać z żywota rachunek. Ono jest sędzią, który prawdę zna i wyrok wydaje sprawiedliwy. Ale ponad sprawiedliwością jest miłosierdzie, którego szafarstwo Chrystus kapłanom zwierzył. Stary jestem, z górą pół wieku w Zakonie, i wiem, że mieczem nie wywojuje zbawienia. Może dlatego, że słabe już cielesne oczy moje, oczyma duszy widzę, jak na murach tego gmachu pychy i kłamstwa Boża ręka pisze „mane, tekel, fares”, bo miast Jego królestwa Zakon własne buduje. Biały płaszcz nie chroni przed boską, jeno przed ziemską sprawiedliwością. Jeśli ciężar dźwigasz, nie wiem - grzechu zali nieszczęścia, rad bym ci ulżyć. Najdziesz mnie zawždy w gotowości, gdybyś poczuł, że sam go nie udźwigniesz. Módl się, synu, o łaskę skruchy.

Starzec odszedł, zostawiając Krzycha w zadumie: pół wieku w Zakonie, a nie zaraził

się fałszem. Pewnie dlatego jest jeno kapelanem w podrzędnej komturii. Jemu mógłby się zwierzyć, znalazłby wyrozumiałość i zrozumienie a zarazem odczuł ulgę. Lękał się jednak to uczynić. Znał tylko „Ojczy nasz” i dziesięcioro przykazań, których go jeszcze stary Duszka wyuczył, niewielkie miał pojęcie, co to jest grzech. Czuł jednak, że stary kapelan kazałby mu wyrzec się pomsty za ojca.

Rozterka Krzycha nie trwała jednak długo. Gdy zgłosił się u komtura, dowiedział się, że dowodzony przez niego oddział jazdy pruskiej, wraz z zebranymi naprędce innymi wojskami, odszedł na Mazowsze na pomoc Wańce, którego w Płocku obiegił Łokietek. Tym razem chwilowa słabość oszczędziła mu jeszcze walki przeciw swoim.

Landkomtur von Gera powiódł Wańce posiłki bez porozumienia się z Kapitułą, na które nie było czasu. Zdobycie Płocka wzmocniłoby położenie Łokietka na Mazowszu, a - jak się okazało - landkomtur słusznie mniemał, że gdy dla obu stron wojna nie w porę, nie rozpęta jej udzielenie pomocy Wańce, który był Zakonowi potrzebny. Istotnie Łokietek po jednej utarczce wycofał się za Wisłę, zwłaszcza że i litewski zagon, dotarłszy pod Brodnicę, zawrócił, uprowadzając jeńców i łupy, a nie było już niebezpieczeństwa, by Wańko zajął

Dobrzyń. Za udzieloną mu pomoc król kazał odpłacić Krzyżakom Henrykowi z Rynarzewa, nie mógł bowiem ściągnąć na wschód znaczniejszych sił i zasobów w czasie, gdy gromadził

je dla zamierzonej wyprawy na Marchię. Wańce zakarbował na przyszłość, nie miał bowiem wątpliwości, że to on podjudzał teścia do najazdu.

Wielki mistrz osiągnął swój cel: uderzył Łokietka cudzymi rękoma, posiał nieufność do Giedymina, przeszkodził w wyprawie na Marchię; Uznał, że teraz pora wszcząć z Łokietkiem układy i do Brześcia, gdzie w drodze król zatrzymał się, zmierzało krzyżackie poselstwo z komturem grudziądzkim Siegehardem von Schwarzburg na czele.

Dowiedziawszy się o tym, król powiedział gniewnie:

- Pewnikiem Henryk z Rynarzewa dogryzł im i pieklić się będą. Szkoda, że go tu nie ma, bo on by im rzekł, czego mnie rzecz nie przystoi.

Mylił się jednak. Znany mu już, zazwyczaj oschły i wyniosły, komtur gładki był i układny. Wspomniał wprawdzie o grabieżach i okrucieństwach, które żyć nie pozwalają spokojnym kupcom i osadnikom, ale jeno ubolewał, nie groził. Gdy król odparł szorstko, że nie będzie pogranicznych napaści, gdy nie będzie granicy między Pomorzem a Kujawami, Siegehard powiedział pojednawczo:

- Wiemy, miłościwy panie, że praw Zakonu do Pomorza nie uznajecie. Ale wiecie i wy, że nierychłe i nietanie rozstrzygnięcie z Awinionu. Zali między chrześcijańskimi sąsiadami sędzia lub miecz ma rozstrzygać?

- Nie stronicie wy od miecza i od niegoście zaczęli. A i świeżo przykład mieliśmy, że wrogi moje zawždy u was znajdą poparcie - odparł Łokietek.

- Źle nas sądźcie, miłościwy panie - z wyrzutem powiedział Siegehard. - Nie wrogi wasze, lecz przyjaciele Zakonu zawždy znajdą jego poparcie. Miecza iście nie lękamy się, ale nieradzi wnosimy go przeciw chrześcijanom i jeno we własnej lub przyjaciół obronie. A i to landkomtur von Gera naganę otrzymał od wielkiego mistrza, że samowolnie wojska Wańce w pomoc wysłał w czasie, gdy Zakon ze wszystkimi sąsiadami, a z wami szczególnie, sąsiedzkie, a jeśli zechcecie - przyjazne stosunki ułożyć zamierzał. Nawet z pogańskim Giedyminem pokój zawarliśmy, choć - jak świadczy świeża jego napaść - nie ma pokoju z wilkiem.

- Nie wiem, zali nie z waszej to poręki napaść wyszła - wtrącił Prandota Odrowąż, ale Siegehard przeszył go groźnym spojrzeniem i rzekł:

- Gdybym był jeno grafem Ton Schwarzburg, inaczej bym odpowiedział. Oto jak oszczerstwa powstają! Wždy znieśliśmy niemal do nogi litewski zagon pod Brodnicą.

Świadców mógłbym stawić, alem tu nie podsądny, jeno poseł Zakonu i tak mniemam, miłościwy panie, że miłe wam lub nie nasze poselstwo, przed obelgami je osłonicie.

Prandota widno zbierał się do ostrej odpowiedzi, ale król skinął na niego, by milczał, i sam odpowiedział:

- Że Wańko w tym palec maczał, to pewne. A gdy pokarać go chciałem, wyście nie dopuścili. Miłe lubo niemiłe wasze poselstwo - nie wiem, skoro nie mówicie, ale dobra się od was nie spodziewam.

- Jako rzekłem, Zakon jeno wiary dochowuje swoim przyjaciołom - odparł komtur dostojnie - a od was, panie, zależy, czy nim zechcecie ostać.

- Bogdaj kto inny waszą wiarę słaWił, ale starczy przymówek. Wrogów mam zadość, ale przyjaciół nie kupuję. Mówcie prosto, grafie, czego ode mnie chce wielki mistrz.

- Powiem, a obecni tu panowie niechaj świadkami będą, że to my przyjaźń waszą kupić chcemy. Wielki mistrz, czcigodny i dostojny Werner von Orseln, zlecił mi rzec: zapomnijmy, co było, bo nikt nie jest bez winy. Miast sprawę, która kamieniem niezgody legła między nami, stronnictwem sądom lubo niepewnym losom wojny powierzyć, ułożmy ją dobrowolnie i po sprawiedliwości. Nie spierając się, czyje prawa do Pomorza lepsze, dla chrześcijańskiej zgody Zakon dziesięć tysięcy grzywien srebra wypłacić gotów.

- Myśmy już to słyszeli - przerwał sucho król - wy zasię naszą odpowiedź.

- Pozwólcie ukończyć, miłościwy panie. Jak przodkowie waszej miłości dobrodziejami byli Zakonu, za których dusze Zakon po dzień dzisiejszy modły zanosi, tak i was między nich policzyć byśmy radzi. Klasztor ufundujemy z osiemnastu mnichów, którzy po wiek wieka za duszę waszą modlić się będą.

- Jeszczem żyw, a troskę o duszy mej zbawienie mnie pozostawcie - wtrącił Łokietek.

Ale komtur ciągnął:

- Nie jeno pokój będzie między nami, ale przyjaźń i przymierze oraz pomoc przeciw wszystkim wrogom, których, jak rzekliście, wam nie brak. Co więcej, Zakon zwrócić gotów posiadłości swe na Kujawach, by nigdy więcej sporów ni wątpliwości co do praw posiadania nie było.

Siegehard sądził, że wreszcie utrafił, król bowiem zwrócił się do stojącego przy nim kanclerza kujawskiego, Jana Grotowica Rawity, i coś powiedział, po czym kanonik wyszedł, a Łokietek jakby się namyślał. Groto wic wrócił po chwili i wręczył królowi zwitek pergaminu, a ten wyciągnął go do posła, który spojrzał zdziwiony i zapytał:

- Co to jest?

- Wierny odpis bieckiego przywileju, którym pradziad mój, Konrad, ziemię chełmińską jeno na czas podboju Prus nadal Zakonowi, praw swych książęcych się nie zrzekając.

W głosie króla było hamowane wzburzenie, gdy ciągnął:

- Taka wasza uczciwość i wiara! Pomoc - mówicie - przeciw wrogom? Żywią jeszcze świadkowie, jakeście mi jej w Gdańsku udzielili; zeznania ich umocnione zostały przysięgą i utrwalone na pergaminie, którego nie sfalszujecie. A gdyby nawet, to świadczyć będą mogiły niewiast i dzieci, któreście w Gdańsku wyrzneli. Komtur odparł przez zaciśnięte wargi:

- Nie wiem, kto jest fałszerzem, bo my mamy odpis bieckiego przywileju przez Kurię potwierdzony, w którym co innego stoi. Von Plotzke zasię Bogu już zdaje rachunek, a tu na ziemi sam jeno Zakon

członków swych sądzić ma prawo. Przybyłem pokój zawrzeć, a nie słuchać zarzutów i wyrzutów.

Król patrzył ostro na Siegeharda, ale odparł spokojnie:

- Przyczynę sporów z wami najdzie bez szukania. Wierę, że wydolicie nawet zyskać przez Kurię potwierdzony pergamin, jakom się Pomorza zrzekł. Dlatego obecnych tu: syna mego oraz baronów i prałatów biorę na świadków, jako do ostatniego tchu i za żadną cenę tego nie uczynię, a następcom moim pod błogosławieństwem zabronię.

Spojrzał na siedzącego obok Kazimierza, ale z twarzy jego, na której sypał się już młodzieńczy zarost, nic nie mógł wyczytać. Komtur zaś odparł oschle:

- Nam starczy pergamin w Soldinie<sup>26</sup> przez brandenburskich margrafów wystawiony, a przez cesarza zatwierdzony, którym Pomorze od prawowitych panów kupiliśmy. Kromie zasię pergaminu posiadamy miecz, gdybyście, jak rozumiem, jemu rozstrzygnięcie chcieli zawierzyć.

Król hamował gniew. Wojnę z Zakonem uważał za nieuchronną, ale nie czuł się do niej gotowy. Przynajmniej na czas zamierzonej brandenburskiej wyprawy spokój był mu niezbędny. Siegehard wiedział o tym, dlatego grał zuchwale, ale znał też zamierzenia wielkiego mistrza, dla których przeprowadzenia potrzebne było choćby chwilowe załagodzenie sprawy z Polską. Dlatego nie przeciągał struny i podjął ugodowo:

- Nie grajmy fałszywymi kośćmi, miłościwy panie, gdy wzajem je znamy. Do broni sięgnąć zawždy czas, ostawcie go sobie i nam. Może Wielka Kapituła z nowymi przedłoženiami wystąpi, może wam się odmieni, gdy się przekonacie, że Zakon nie jest i nie chce być waszym wrogiem i tam, gdzie słusność i prawo po waszej jest stronie, życzliwym okiem na dochodzenie ich patrzeć będzie.

- Rozumiem tedy, że chcecie rozejmu - odparł król. - Na to mogę się zgodzić.

- My chcemy pokoju, ale że rozejm często wstępem bywa do niego, zgodzimy się na wszystko, co chrześcijańskiej krwi rozlanie powstrzymać może.

Królowi rozejm był na rękę, ale drażnił go fałsz, uciał przeto oschle:

- Nie moja sprawa, po co wam rozejm potrzebny. Czas i warunki z kanclerzem Janem Grotowicem omówicie.

- Jedno chciałbym od was uzyskać zapewnienie, miłościwy panie - odparł komtur - że pomorska granica nasza przez łupieskie zgraje naruszana nie będzie.

Łokietek zmarszczył się.

- Nie będziemy pisać o granicy, bo nie o nią się układamy. Co zasię rozumieć przez rozejm, każdy wie. Gdybyście mc przy swoim upierali, zmuszony byłbym mniemać, że pozór wam potrzebny, by rozejm zerwać każdego czasu. Ja się wielkiemu mistrzowi nie żalę, jeno starostom swym i kasztelanom ściagać zleciłem zbójckie szajki, które z waszej strony, a bodaj i poręki, po Kujawach i Krainie grasują. Niechaj wasi komturowie czynią to samo, o to wojny nie będzie.

- Nie o zwykłych zbójów chodzi - odparł Siegehard, pokrywając zmieszanie - ale o waszych rycerzy, a nawet dostojników, że choćby nakielskiego starostę wymienię.

- Tak i myślałem, choć co innego mówiliście. Przeze mnie nakazane ma jeno poselskich ni kupieckich pocztów przez Noteć nie przepuszczać, a łupieżców ścigać, i tego nie odmienię. Co zasię więcej robi, to na własny rachunek. Chcecie i z nim rozejmu, to się układajcie.

26 Myślibórz - Zakon się jeno z równymi układa - odparł komtur dumnie, ale król wzruszył ramionami.

- Mogliście sojusz przeciw niemu zawierać z kamińskim biskupem i szczecińskim księżciem, możecie się i z nim samym układać. Ale to nie moja sprawa. Warunki rozejmu z kanclerzem moim spiszecie.

Król wstał na znak, że posłuchanie skończone. Układom z Krzyżakami nie ufał, wiedział jednak, że rozejm musi im być potrzebny, skoro o niego zabiegają, sam przeto może spokojnie zająć się swymi zamierzeniami przeciw Marchii. Wincenty Nałęcz z Szamotuł

donosił, że przez swych brandenburskich swojaków zdołał przygotować sojusz przeciw Wittelsbachom z książętami zachodniego Pomorza, Warcisławem i Barnimem, oraz z kamińskim biskupem. Wiadomość była pomyślna, ale Wincenty zaprawił ją goryczą, podnosząc swoje zasługi i otwarcie już domagając się dla siebie stanowiska poznańskiego wojewody i starosty wielkopolskiego. Król wiedział, że musi zadośćuczynić żądaniu kosztem wypróbowanego Przybysława Borkowica, co więcej - współpraca Wincentego z Henrykiem z Rynarzewa z góry nie zapowiadała się zgodnie. Nałęcz nie zapomniał zniewagi wyrządzonej jego rodowi, Henryk nie należał do ludzi ustępliwych, nie zwykł kryć, co ma do powiedzenia, a słów mu nigdy nie brakło. Gorsza, choć nie całkiem niespodziewana, była wiadomość przekazana przez stałego rezydenta Kurii, Piotra, dziekana poznańskiego: późną jesienią<sup>27</sup>

zmarł w Awinionie Gerward, ubył Łokietkowi doświadczony współpracownik i zacięty wróg Zakonu. Jeszcze na ostatek zadbał o to, by nie przewlekano, jak zwykle, sediswakansu dla ciągnięcia dochodów z opróżnionej stolicy. Już trzeciego grudnia wobec śmierci biskupa in curia, papież mianował Macieja Pałuka wrocławskim ordynariuszem. Człowiek był pobożny i wykształcony, król jednak wolałby, aby inne zalety miał biskup diecezji, obejmującej ziemie zagrabione przez Krzyżaków, przynajmniej jednak zwłoki nie było i Maciej, wyświęcony już, wracał do kraju. Wraz z wieścią o tym król otrzymał wezwanie do krucjaty przeciw wyklętemu Ludwikowi bawarskiemu.

Zachęty Łokietkowi nie było potrzeba, odebranie utraconych na rzecz Marchii grodów wielkopolskich było najbliższym celem, ale nie jedynym. Marchia w ręku zaprzyjaźnionego z Zakonem Ludwika była groźbą w chwili nieuniknionej rozprawy z Krzyżakami. By go lenna pozbawić, nie starczy ni własnych sił, ni przymierza z Warcisławem i Barnimem, którzy nie z miłości, ale ze strachu z góry zastrzegli się, że przymierze nie będzie zobowiązywać do walki z Zakonem. A król, mimo rozejmu, nie był pewny, jak w czasie wojny z Marchią zachowa się Zakon. Łokietek oglądał się więc za silniejszym i pewniejszym sprzymierzeńcem. Kazimierz dojrzały był już, czas pomyśleć o stosownym dla niego ożenku, który zarazem umocniłby podwaliny odbudowującego się państwa. Wybór był jeno między czeskim a litewskim sąsiadem,



żaden

z nich

nie był

przyjacielem

Polski.

Młody,

bo

zaledwie

dwudziestoosmioletni Luksemburczyk, obrotny, przedsiębiorczy i chytry, ostatnio poróżnił

się z Ludwikiem, a przez to zbliżył się do obozu jego przeciwników. Swego czasu Kazimierz zaręczony był nawet z jego młodszą córką Julią, ale wówczas dzieckiem była. Siostra jej, Małgorzata, liczy już dwanaście lat, wkrótce zdatna będzie do małżeństwa. Giedymin z czterech córek dwie wydał już za Dymitra twerskiego i Wańkę płockiego, najmłodsza dzieckiem jest jeszcze, natomiast średnia - Aldona - zaraz mogłaby być wydana.

27 1 listopada 1323 r.

W drodze do Krakowa czas było przemyśleć obie możliwości, ale postanawiać król nie chciał bez rozważenia sprawy ze swymi doradcami, a zwłaszcza z Jaśkiem Leliwą, ni rozstrzygać o małżeństwie syna bez wiedzy matki. Jej spokój zresztą i bezstronność nieraz już powstrzymały króla od pochopnych poczynań. Zdawał sobie też sprawę, że w miarę ubytku sił coraz staje się niecierpliwszy. Chciałby synowi zostawić państwo silno, zjednoczone i uładzone, usunąć mu z drogi wszystkie trudności, a wiedział, że świat chrześcijański stanowi kipieli, po której niełatwo jest sterować, by nie stracić właściwego kierunku. Kazimierz nie tylko wzrośli ni, lecz i umysłem przerastał towarzyszy. U Jaśka, który dbał o rycerskie ćwiczenia, rozrósł się i okrzepł, ale zamiłowania do nich nie nabrał. Nie szukał towarzystwa rówieśników, a przy starszych słuchał i milczał. Łokietek znał się na ludziach, po synu miarkował, że wojownikiem nie będzie, a w wielu sprawach tylko na mieczu można było polegać. Myślał o tym z niepokojem. Sam wojownik z usposobienia, od pierwszej młodości w ustawicznej walce, w miarę jak dojrzewał, przestawał ją uważać jeno za grę, która go podniecała, bez względu na cel, ale za czynnik niezbędny do jego osiągnięcia. Teraz, gdy starość zaczynała mu ujmować sił, rad by znaleźć wyrękę w następcy. Widział jednak, że sam walczyć będzie musiał do końca swych dni. Gdybyż choć jak Chrobry miał stałą, dobrze wyćwiczoną i zbrojną, na rozkaz gotową drużynę, jak luźno chodzący w pochwie miecz, zawsze gotowy do użytku! Zbierać trzeba było wojska doraźnie na każdą potrzebę, tracąc korzyść, jaką dawała szybkość działania. Co gorsze, blisko dwa wieki podziałów zatarło w rycerstwie poczucie wspólnoty, a wielmoże nie chcieli zapomnieć o znaczeniu, jakie posiadali przy dzielnicowych książętach, gdy rodowymi i dworskimi hufcami rozporządzali wedle swej woli,

siedząc na grodach swych jak udzielni władcy. Władzą każdy rad się dzielić, jeno nie odpowiedzialnością i troskami.

Takie rozważania towarzyszyły królowi w drodze, u której kresu także nie spokój czekał i wypoczynek, lecz - prócz zaległych zwyczajnych spraw - zjazd krakowski i sandomierskiego rycerstwa. Trzeba je przekonać, że nie pora na wczasy, dlatego że spokojna wschodnia i południowa granica. Mieszczanstwo, które lepiej niż rycerstwo rozumiało znaczenie, jakie ma odzyskanie Śląska i Pomorza, nie przedstawiało niestety potrzebnej królowi siły.

Posiłki przeciw Brandenburgii spodziewał się król zyskać od przyszłego swojaka.

Dlatego zamierzony związek Kazimierza był pierwszym przedmiotem obrad, na których miejsce obrał król kościół Najświętszej Marii Panny, mimo że katedralny był pod ręką, a sklepiona już główna nawa więcej miejsca dawała niż skromna Odrowążowa bazylika. Trzeba by prosić Nankera, a tego król nie chciał, gdy na wstępie dowiedział się, że Nanker wniósł

przeciw niemu pozew do Kurii o oddanie biskupiego zamku w Bieczu. W obecnym położeniu nie było wprawdzie obawy, by zapadło rozstrzygnięcie na niekorzyść króla, jednak Kuria swym zwyczajem trzymać będzie sprawę w zawieszeniu, by ją wyrwać w miarę potrzeby.

Drażniło Łokietka, że przed obcy sąd woła go człowiek, którego za podwładnego uważał.

Gdy jednak mówił o tym z królową, Jadwiga uśmiechnęła się:

- Najtrudniej o dobrowolną zgodę między ludźmi, którzy wzajem do siebie podobni.

Gdy Łokietek spojrział pytająco, dodała:

- Nie Nankera winić, że wciąż nie ustalone, jestli lub nie jest Kościół od świeckich władz zależny.

Gdy Włodzisław nadal patrzył pytająco, Jadwiga ciągnęła:

- Biskup, gdy praw lub zda mu się, że praw, nie ustąpi. Nie wiem, zali nie lepiej byłoby rozumnego i zacnego człeka mieć po swej stronie, choćby kosztem onych nieszczęsnych zamków.

Król zachnął się, ale hamując podniecenie, odparł spokojnie:

- Nie zapomnieć mi, ile kości pod onymi zamkami osławiłem, nimem ich dobył.

Nanker jest dziś, jutro może być nowy Muskata. Do kościelnych spraw biskupowi się nie mieszam, dla swego duchowieństwa stanowi prawa, jakie chce; ale dość mi innych panów, bym ich jeszcze przysparzał, a już sądzić mnie w moim kraju nikt nie będzie. Szczepanowski był nie jeno zacny, ale święty, a wiadomo, co z tego wynikło, że się z królem prawował.

- Ostawcie! Wždy patronem jest zjednoczenia kraju.

- Ostawmy, bo nie z tym tu przyszedłem. Kazko żrały już, za żoną dla niego obejrzyć się pora. Juści,

że przez ów związek sprzymierzeńca też chcę pozyskać.

Jadwiga przytaknęła. Wiedziała o sprawkach Kazimierza, o których nie chciała mówić małżonkowi. Skłonny do rozwiązłości, umiał wyzyskiwać stanowisko królewskiego syna, a pamiętała, ile ta sama skłonność u męża kosztowała ją ongiś zgryzot, a jego nie w ostatku panowanie w Wielkopolsce. Ujęła męża za rękę i powiedziała ciepło, by nie myślał, że mu wypomina:

- Przyznajcie, że najpewniejszym sprzymierzeńcem bywa wyrozumiała małżonka.

Inne przymierza często zmieniać się zwykły. Wiem ci, że temu, co kiedyś koronę ma dźwigać, nie sercem się kierować w wyborze, ale i przymioty przyszłej małżonki należy mieć na uwadze.

Król bez wypominania pamiętał, ile sam zapłacił za młodzieńcze swawole, których skutki po dziś dzień dawały się odczuć. Spochmurniał.

- Wiecie - napomknął - że ów Krzych, który raz już niewdzięcznością nam odpłacił, Krzyżakom służyć poszedł. Oto do czego wiedzie wyrozumiałość. Ni sobie, ni komu fol -

gować nie lza. Ale nie o tym sprawa, jeno o wybór małżonki dla Kaźka. Jeno dwie dziewczki mogą być brane w rachubę: Małgorzata luksemburska i Aldona Giedyminówna.

- Z panami rady swej rozważycie, który z dwóch lepszym byłby sprzymierzeńcem -

odparła Jadwiga. - Ze mną jeno, która zdatniejsza na synową. Ja bym głos dała za Aldoną.

Żrała już, starsza od Kaźka, zaraz mógłby ją pojąć, a niechby się ustalił, zanim nawyknie ulegać pokusom, których nie brak królewskiemu synowi. Małgorzata zasię - dziecko prawie, związek odwlec by trzeba, a raz już się rozchwiał, bo Luksemburczyk jako kurek na kościele, tak się kręci, jak wiatr zawieje.

- Wezmę pod rozwagę wasze zdanie - odparł król - ale od nas zależy, gdzie swaty pošlemy, a nie jak będą one przyjęte. I Jan czeski, i Giedymin swoje wyrachowania także mają. Rozważyć trzeba starannie, bo niełatwe postanowienie.

Istotnie było niełatwe; nazajutrz na radzie król słuchał samych niemal zarzutów przeciw każdemu ze związków. Spustoszenie ziemi dobrzyńskiej na kilka dni przed zawarciem układu o powszechny rozejm usposobiło nieprzychylnie i nieufnie do Giedymina, choć nie ulegało wątpliwości, że głównym winowajcą był Wańko. Podejrzenie Prandoty, że istotnymi sprawcami byli Krzyżacy za pośrednictwem swego przyjaciela, biskupa Floriana, oparte było jeno na tym, że zależeć im musiało, by wbić klin między Łokietka a Giedymina i wykazać, że jego pokojowe usposobienie było nieszczerze. Podnoszono też, że Giedymin, pochodzący ze żmudzkiej dynastii Pukuwera, na Litwie ma licznych przeciwników, że nawet jego dojrzały synowie nie liczą się z ojcowymi zobowiązaniami, a zwłaszcza sąsiad Mazowsza, Dawid Narymunt, wojowniczy i nieokiełzany książę na Nowogródku i starosta grodzieński.

Gdy jednak z kolei omawiać zaczęto związek z Luksemburczykiem, zarzuty posypały się jak grad: lekkomyślny, marnotrawca, gracz, wiecznie w pogoni za pieniędzmi, których, nie znalazłszy gdzie

indziej, poszukiwać umiał nie tylko w synagogach, ale i w kościołach, zrywając podłogi i sklepienia; kupić go może każdy, kto ma za co, a wiadomo, że Krzyżakom nigdy nie brak zasobów. Nie będzie się liczył ani ze swojactwem, ani z własnym słowem, prędzej czy później przyjdzie z nim do rozprawy o Śląsk, który już oplata swymi mackami.

Od Łokietkowego zięcia, Bernarda, wyłudził Kłodzko, od Mikołaja na Falkenbergu kupił

zamek Frankenstein, obydwie miejsca obsadzając rabusiami; to on - siewca nieładu i niezgody, by je dla własnych celów zużytkować - podjudził Bolka legnickiego do wojny przeciw bratu, Henrykowi wrocławskiemu.

Łokietek słuchał, chmurnie zamyślony. Sam żywił wątpliwości, ale brał pod uwagę, że Luksemburczyk jest obrotnym politykiem i dzielnym rycerzem. Jasne było jednak, że temu związkowi wszyscy są przeciwni, i uciał sprawę:

- Tedy słać będziemy swaty do Giedymina, i to niezwłocznie, póki w Wilnie bawią legaci papiescy, bo pomogą do skutku związek doprowadzić. Jedno przynajmniej pewne, że Giedymin jest i pozostanie wrogiem Krzyżaków.

Po skończeniu obrad król, wychodząc z kościoła, rozmyślał nad składem poselstwa, gdy z gromadzącego się tłumu ciekawych wystąpił Wierzynek i skłonił się panu z daleka, ale patrzył tak, jakby chciał mu coś rzec. Łokietek skinął na niego łaskawie, by się zbliżył. Lubił

wypróbowanego i gładkiego człowieka, którego znaczenie i wpływy w mieście wzrosły jeszcze od czasu, gdy z poręki królowej zasiadł w Ławie. Król domyślał się, czemu zaufany jego człowiek wstawiennictwo Jadwigi zawdzięczał, ale nie dopytywał się, rad, że drażliwa sprawa skończyła się tylko na zaocznej proskrypcji Radochy; sam wolał, by zadzierzysty człowiek po mieście się nie uwijał. Gdy Wierzynek zbliżył się, król łaskawie rękę mu podał

do ucałowania.

- Widzę - powiedział - że masz jakąś sprawę, ale jeśli nie pilna, przyjdź tymi dniami na zamek, bo ninie głowę mam czym innym zaprzątniętą.

- Nie wiem, czy pilna, miłościwy panie, jeno wiem, że lepiej kłopotom zapobiegać, niżli się potem głowić, jak się z nich wymotać. Krótko rzekę: rycerz Radocha przyjechał i w karczmie na Bawole stoi. Nie ma prawa bliżej niż w mili od miasta przebywać, już przez to samo proskrypcję naruszył, a wżdy to jedyny rygor, jakiście miastu wobec ludzi rycerskiego stanu ostawili, i Rada o naruszenie go upominać się będzie. Gorzej przeto byłoby, gdyby rycerz po mieście jak przódzi wałęsać się zaczął i po swojemu zabawiać. Tedy jeno chciałem rzec, że nijak by mi było skutki tego łagodzić.

Król zmarszczył brwi.

- Każ do niego słać - rzekł - by się bez zwłoki na zamku stawił. Gdyby zasię o jego przyjazd chciał kto sprawę wszczynać, powiedz, że ja go wezwałem i że zaraz miasto opuści.

Króla podrażniła samowola Radochy, ale wkrótce złość mu przeszła. Lubił nowych ludzi, nie związanych z rodami i od niego jeno zależnych, a Radocha zasłużył się już i bez ochyby wiadomo było, czego się po nim można spodziewać. Domyślił się też, co go ściągnęło do miasta. Mruknął do siebie:

- Już ja staremu capowi kiecki z głowy wybiję. Trzeba go dla przykładu zgrzebłem przeczesać.

Ale poniechał tego zamiaru, gdy wrócił do myśli o poselstwie. Wiedział, że Krzyżacy uczynią wszystko, by do związku z Giedyminem nie dopuścić, a niestety zbyt często wie -

dzieli, co się dzieje zarówno na Łokietkowym dworze, jak i na Giedyminowym; kilku już jego posłów wymordowali lub morzą głodem w lochach, nawet na stan ich duchowny nie bacząc. Orszak poselski poprowadzić musi człowiek pewny, śmiały i obrotny, z krzyżackimi podstępami obyty. Nie było zdatniejszego niż Radocha, który zresztą o proskrypcji może i nie wiedział, bo wyjechał z Krakowa przed wszczęciem sprawy. A kiecki? Łokietek pamiętał, ile ważyć potrafią w życiu. Nie temu potępić, kto sam nie bez winy.

Radocha o skazaniu go na proskrypcję istotnie nie wiedział, ale gdyby nawet otrzymał

wyrok śmierci, nie byłby zgoła zastanawiał się nad tym, miał bowiem poważniejsze strapienia.

I Braciszek przeleżał całą wiosnę i choć zrazu zdało się, że z wolna przychodzi do sił, odmrożone nogi gnoiły się, nie pozwalając opuścić łoża. W tym stanie mógł być dla Kundzi tylko ciężarem, ale widocznie miał nadzieję, że wyzdrowieje, bo nie nalegał, by jej przesłać wiadomość, iż Krzycha odnalazł u Krzyżaków. Nie było zresztą przez kogo, bo Radocha sam jechać nie mógł, z nastaniem ciepłej pory rzadko nawet bywając w domu, zrazu zajęty przy gospodarce i objazdach, a gdy wreszcie latem wrócił Pizło, wyruszył wraz ze starostą Henrykiem na łowy zakonnych i kupieckich pocztów i nie było go przez parę niedziel. Gdy zjechał do gródka, Pizło powitał go:

- Dobrze, żeś wrócił, bo Braciszek co dzień dopytuje o ciebie. Zda się, że nic już z niego nie będzie.

Od pierwszego wejrzenia Radocha poznał, że Pizło nie przesadził. Przy świetle kaganka czoło chorego lśniło od potu, skronie miał zapadnięte i wyciągniętą twarz. Rozjaśniła się uśmiechem na widok Radochy.

- Myślałem, że się was nie doczekam - szepnął. - Nadchodzi moja godzina. Już nie zaniosę Kundzi szczęśliwej wieści.

- Więcej Kundzi z ciebie było niżli z onej wieści - szorstko odparł Radocha. -

Zmamiłeś się za nic.

- Ona wie, co dla niej ważniejsze. A czymże odpłacić mogłem, że mi była jako siostra lub córka; dom u niej znalazłem, któregom nie miał jak żywot długi. Ale wagantowi nie w domu umierać, jeno w drodze. Wam dziękować, że nie na drodze.

Radocha ręką machnął; Braciszek położył na niej wychudłą dłoń.

- Nie odrzucajcie podziękę, choć Pismo mówi, że szczęśliwszy ten, co daje, niżli ten, co bierze; wiem ci, że nie dla was ta wieść szczęsna. Żeby nie wy, przepadłaby wraz ze mną.

Sami ją Kundzi zanieście, bo nie Iza jej rozgłaszać. I powtórzcie jej, coście mnie przyrzekli, że pomocną dłoń podacie Krzychowi.

Radocha ręką przejechał po czuprynie.

- Łatwo ci rzec! Nawet nie ukryć mi wywołańca, gdyby wrócił. Nijak mu wracać i sam wie o tym. Dlatego widno wieści nie przesłał, bo chce, by go Kundzia miała za zmarłego.

- Ale żywię, a wraz z nim jej nadzieja. Gdyby nie miał wrócić, cóże wam szkodzi, iż będzie świadoma, że nie jeno ona sama wszystko dla niego uczynić gotowa. Bóg jeno przyszłość zna.

- Nie życzę mu źle - chmurnie rzekł Radocha. - Dla Kundzi i dla małej uczynię, co wydolę.

- Dzięki wam - szepnął Braciszek. - Wiem, że im zginąć nie dacie. Rad bym je ujrział

jeszcze, ale wola Boża. Ode mnie je pożegnajcie.

- Mam jechać, to zaraz. Starosta Henryk prawil, że ku wojnie się ma z Marchią. Jeśli sam nie pociągnę, Pizłę z pocztem wysłać muszę i znowu siedź na uwięzi. Jeno co z tobą, biedoto? Może po kapelana posłać do Nakła?

- Im więcej pośredników, tym więcej wody w winie. Bóg lepiej wie niżli ja sam, com ta napsocił. Może mi wybaczy, bom Mu nigdy nie bluźnił, choć mnie i przycisnął, a świadomie nie ukrzywdziłem nikogo. Na Boże miłosierdzie się zdaję.

Braciszek umilkł wyczerpany i zdał się zasypiać. Radocha wyszedł cicho, by przygotować się do drogi. Niebo szarzało za ledwie, gdy pacholek przy bramie trzymał już konie wierzchowe i jucznego, a Radocha poszedł jeszcze zajrzeć do Braciszka. Błona w okienku komory różowiła się dopiero od zorzy, w półmroku bielala twarz leżącego. Gdy Radocha pochylił się nad nim, by sprawdzić, czy śpi, ujrział półotwarte, szkliste oczy i zastygły już, dziecinny uśmiech na twarzy.

- Skończyłeś, chudziaku, wędrowanie - szepnął.

Teraz dopiero zdał sobie sprawę, jak lubił tego człowieka, który nie skarżył się nigdy, a radować się umiał byle czym. Ale dla Kundzi to nie tylko strata życzliwej duszy, co gorzej gotowa sobie przypisać winę jego śmierci.

Do Krakowa gnał Radocha jak do ognia i nie zajeżdżając do miasta, stanął gospodą w karczmie na Bawole. Tak był zajęty swymi myślami, że nie zauważył, iż znajomy karczmarz zmieszał się na jego widok. Kręcił się niespokojnie i wreszcie zapytał:

- Długo też zamyślacie, panie, stać u mnie?

- Jak mi wypadnie. A cóże?

- Nie bądźcie gniewni, że Ławę uwiadomić muszę, iżeście zjechali, bo ortył wydała, by was z miasta wyświecić na lat sto i dzień.

- Dzięki za dobre słowo, jeno że nijak mi było czekać, aż zrok wyjdzie - odparł

Radocha lekceważąco.

Przebrał się z drogi, pachołkowi kazał nieść za sobą toboły i brzegiem Wisły ruszył na Rybaki. Od czasu gdy był tu raz ostatni, Wawel urósł, nad wzgórzem górowały mury nowej katedry, skaliste urwisko od rzeki odcinały kamienne umocnienia. Przylepiona na zboczu chata Kundzi natomiast jakby zmaląła. Doszedłszy do niej, Radocha pomiarkował, że w domu nie ma nikogo. Nieco zawiedziony usiadł, postanawiając czekać. Z wyrokiem się nie liczył, ale nie miał ochoty wałęsać się po mieście, zresztą ku wieczorowi szło, bramy wkrótce będą zamykać, tedy i Kundzia musi wrócić. Pachołkowi kazał złożyć toboły i odejść do koni, a sam zapatrzył się na rzekę. Słońce błękitną mgiełką zasnuło już lesiste wzgórza na lewym brzegu i nieciło blaski na zwierciadelkach wiślanych zalewisk. Cienie wierzb i topoli na -

brzeżnych wydłużały się, a wraz z tym pełznął jesienny chłód.

Smętny spokój przedwieczorny udzielał się Radosze. Gdy wyjeżdżał stąd, żywił

jeszcze słabą nadzieję, że po burzliwym życiu ustali się choć na starość, że zatroszczy się ktoś o niego, w jesienny wieczór będzie z kim pogwarzyć. Nie było mu pisane, ale niechta! Żeby choć Kundzi i dziecku na dobre wyszło, w to jednak nie wierzył. Każdy musi do końca dźwigać swe brzemię.

Zadumę Radochy przerwał odgłos szybkich i lekkich kroków. Zza węgła wybiegła dziewczynka i na jego widok stanęła jak wryta. Przez chwilę patrzyli wzajem na siebie, potem jak ongiś wskoczyła mu na kolana i jąła ścisnąć go i całować. Oddawał jej uściski, hamując rozrzewnienie. Nie widział jej od czterech lat.

- Myślałem, żeś mnie zabyła - chrząknął. - I ja bym cię sam nie poznał, gdybyś nie tak do rodzica była podobna.

- Myśmy myślały, żeście wy o nas zabyli - odparła, poważniejąc. - Przywozicie wieści o moim ojczusiu?

- Tu ci gościńce przywiozłem - rzekł, wskazując na toboły. - A wieści takż, ale poczekajmy, aż matuś wróci. Tymczasem sobie obejrzyj.

Widocznie wieści były dla niej ważniejsze, bo nie spojrzała nawet, lecz poskoczywszy za węgiel, zawołała:

- Prędzej, matuś! Ani wiecie, kto tu na was czeka!

Dźwignął się z ławy, gdy ukazała się Kundzia. Na jego widok przystanęła, a na twarzy jej malowało się zakłopotanie i jakby rozczarowanie. Mimo wszystko nie takiego spodziewał

się powitania.

- Nieradaś mi? - zapytał.

- Mniemałam, że Braciszek wrócił. Tyle lat was nie było... ani wieści...

- Wiem ci, że nie na mnie czekasz. Nie było wieści, nie było mnie. Uchwyciła go za rękę.

- Mówcie! Krzych...

- Żywię. Do Krzyżaków przystał.

Kundzia usiadła na ławie i twarz zakryła dłońmi. Dziewczynka przytuliła się do niej.

- Nie płacz, matuś. Pojedziem do tatusia.

Ale Kundzia oczy miała suche, gdy podniosła głowę i odparła:

- Co ty wiesz, dziecko! Zwracając się do Radochy, zagadnęła:

- Pewneż to? Skąd wiadomość?

- Zrazu niepewne było, tędym nie donosił. Ale Braciszek sprawdzić poszedł i iście tak jest.

- A onże gdzie? - zapytała niespokojnie.

- Pomarł.

Dziewuszka wybuchnęła płaczem. Kundzia siedziała w milczeniu, ale przez przymknięte powieki łzy ściekały na jej pobladłą twarz. Po chwili wyszeptwała:

- Czułam, że go coś złego spotkało. To ja go po śmierć posłałam.

- Gadasz, a nie wiesz - odburknął Radocha. - Śmierć najdzie każdego bez szukania.

Tyżeś go wysłała do mnie, a do Prus sam polazł, mimo że odradzałem. Jeszcze by to nic nie było, żeby pyskować nie zaczął, jak to on zawždy. Pojmali go, a choć jakoby cudem zbiegł, zmarnił się i półmartwego na drodze naszedł. U mnie dogorzał i pożegnać was zlecił. A jeszcze i powtórzyć, com jemu przyrzekł, że gdyby się Krzychowi wrócić udało, pomogę, jak ino wydolę.

Wstał, jakby zamierzając odejść. Uchwyciła go za rękę.

- Nie wiem, jak wam dziękować...

- Bogdaj było za co - uciał. Wyszwolecił ręce z jej dłoni. Czując, że jest rozgoryczony, powiedziała stropiona:

- Wybaczcie! Takowe wieści, jakoby mnie kto w głowę uderzył. Ostańcież!



Opowiecie wszystko, jak było.

- Od ranam w drodze - odparł wymijająco - a jutro mi wracać. Ale zajdę tu jeszcze przed odjazdem, to opowiem.

- Cóż tak pilno? Spoczęlibyście choć dni parę...

- Ortyl tu na mnie mieszczany wydały, na wyświecenie z miasta. Co ta będę się z nimi darł, kiej czekać nie ma na co.

Wiedziała, że nie to jest przyczyną; za nic nie chciała dopuścić, by wyjechał rozżalony. Zwróciła się do pochlipującej wciąż jeszcze dziewczynki:

- Ty, Krzysiu, wujka proś, by ostał, a ja tymczasem wieczerzę przysposobię.

Weszła do chaty, a mała zbliżyła się do Radochy i przytuliła do niego bez słowa.

Przygarnął ją i gładzić ją po jasnych włosach, mówiąc:

- Nie beczże już, bo zazdrosny będę o Braciszka. Po mnie byś nie płakała.

W odpowiedzi rozszlochała się jeszcze bardziej. Zły był na siebie i opierał się wzruszeniu. Małej brak ojcowskiej pieczy, dlatego tuli się do niego. Gdyby Krzych wrócił, odebrałby mu i to. Żeby tak swoje dziecko mieć, choćby bez niewiasty! Czuł, że teraz nie odejdzie.

Po wieczerzy rozgadał się i zasiedział do późnej nocy, aż mała usnęła mu na kolanach.

Ciężko było Radosze odejść, a tym bardziej odjechać. Istotnie jednak w Krakowie nie miał

nic do szukania, a starosta Henryk czeka na niego i znowu pokpiwać będzie. Niechętnie zbierał się do odejścia.

- Obiecałem też Braciszкови - rzekł - że wam zginąć nie dam. Niechaj wiem, czego wam trzeba. Prawił, że wam tu ludzie dokuczają. Powiedz jeno kto, a już ja mu tak przełożę, że was z dala będzie obchodził.

Sam przed sobą chciał stworzyć pozór do przedłużenia pobytu choć na parę dni, ale Kundzia odparła:

- Niczego nam nie trzeba, a że tam głupie dzieciaki bawić się nie chciały z Krzysia, o to ona już nie stoi. Ostróżka ma chłopaczka, z nim się zabawia, gdy ja przy gospodarstwie krzątam się, bo Margaretka znowu się spodziewa, a słabuje trochę. Jakoś przy nich wyżyjemy.

- Juści, że łącniej ci od nich przyjmować, bo niemało ci są dłużni, ale nie lękaj się, bym ja na jakowąś odpłatę czekał.

- Wiem, że nie czekacie, lecz ciężko dłużnikiem być zawždy. A widzę, żeście nam znowu nazwozili.

- Nie wam, tylko małej - przerwał. - Łachy to są, które mi na nic, jeno się po kątach poniewierają. Przybierzesz córę jak kasztelanę, zaraz głupcy i na cię inak patrzeć będą. Mnie zasię wracać, kiem tu niepotrzebny.

Wstał i oddając śpiącą dziewczynkę w ręce Kundzi, powiedział:

- Ją bym ci zgoła zabrał, ale ani ty jej nie dasz, aniby ona nie poszła. Pizło mi za małżonkę i dziatki starczyć musi. Ostróżkę pozdrów ode mnie. Polubiłem juchę, choć zawidzić mu winienem. On takż sierota bez domu, a umiał dolę na kark wziąć. I swoich ma, i was...

- I on was polubił - przerwała - a my takż mile was ujrzym, ilekroć sposobność wam się trafi tu zjechać.

- Kiedy się tam trafi - machnął ręką. - I teraz nie byłbym przyjechał, żeby nie one wieści. Zайдę tu jeszcze jutro Krzysię pożegnać, bo ninie nie chcę jej budzić.

- Zachodźcie. Będziemy czekały.

Darmo jednak nazajutrz czekały od rana. Radocha, wywczasowawszy się, przybierał

się, by iść do nich, nim jednak zebrał się, zjawił się komornik z wezwaniem od króla, by nie mieszając stawil się na zamku. Radocha z trudem powstrzymał przekleństwo. Gdy komornik odszedł, warczał do siebie:

- Już się, psiejuchy, panu zdążyły poskarżyć. Gdy zbuntowanych łyków poskromić trzeba było, Radocha był dobry. A ninie oni ważniejsi. Za psa mnie tu mają, co mu wtedy jeno kasać wolno, gdy poszczuty.

Szedł nastroszony, gotów kasać, a przynajmniej zęby pokazać każdemu. W obszernej izbie drewnianej dobudówki przy stołbie tłok był, na rozmowę z królem czekało wielu dostojników duchownych i świeckich. Niektórych Radocha znał, nie skłonił się jednak nikomu. Gdy jeno zwolniło się miejsce na ławie pod oknem, usiadł i hardym spojrzeniem odpowiadał tym, którzy mu się przyglądali; podejrzewał, że o nim szepcą między sobą, i drażniło go to. W miarę - jak czas płynął, zaczynał się też niecierpliwić. Kundzia z małą czekają na niego, on zaś tu traci czas, a potem może zaraz miasto opuścić przyjdzie. Resztką rozsądku wstrzymywał się, by nie odejść i nie wyjechać, jak poprzednio, nikomu się nie opowiadając. Od rozmowy z królem nie czekał nic miłego.

Niecierpliwił się takż sam Łokietek, napotkał bowiem niespodziewaną przeszkodę w swych zamierzeniach. Wstawszy z łoża, kazał przyzwać syna, by mu oznajmić postanowienie o jego małżeństwie. Kazimierz wysłuchał w milczeniu, nie podnosząc oczu, i nie odezwał się ni słowem, gdy ojciec skończył. Tknęło to króla i zapytał:

- Cóż ty myślisz o tym?

- Wždy to nieważne - powiedział Kazimierz, ale król podrażniony rzucił ostro:

- Odpowiadaj, gdy pytam!

- Mam rzec, co iście myślę, zali to, co chcecie usłyszeć?

Król pohamował gniew; trudno czekać od młodzika, by rozumiał konieczności państwowe, choć niejednokrotnie stwierdził, że syn umysłem jest ponad wiek dojrzały. Ale w piętnastu latach żądze nad rozumem górować zwykły. Król zaczął spokojnie:

- Mów jak syn z rodzicem, który ci dobrze życzy. I wierz mojemu doświadczeniu: namiętności są jak burza, obowiązek jak drzewo. Burza minie, drzewo ostaje. Na stare lata nic krom obowiązków, a dłużej człek stary jest niżli młody.

- Gdy będę stary, pewnikiem i ja tak będę myślał - odparł Kazimierz. - Ale ninie młody jestem. Po cóż mi się wiązać, zanim się nie rozejrzę po świecie, lubo ślubować wiarę, gdy wiem, że jej nie strzymam.

Trudno było odpowiedzieć, zwłaszcza że siebie nie mógł Łokietek podać za przykład.

Dłuższy czas chodził po izbie, zadumany. Potem stanął przed Kazimierzem.

- Dobrze, że mówisz szczerze i ja cię rozumiem - zaczął. - Staraj się i ty zrozumieć mnie. Macierz twoją też nie ze skłonności ku niej pojąłem. Gdybym jednak dziś miał

wybierać, spośród wszystkich niewiast, które znałem, ją bym wybrał. Bo nie po kwieciu, jeno po owocu poznaje się wartość krzewiny. Aldona zresztą urodna ponoć, przywiążecie się wzajem, a mnie przymierze z Giedyminem potrzebne...

- Zali jemu niepotrzebne? - przerwał Kazimierz.

Łokietek zrozumiał, do czego zmierza to pytanie. Odparł niecierpliwie:

- Gdyby nie było mu potrzebne, nie dałby za ciebie swej córy. Ale sam rozumiesz, że inna rzecz doraźne układy, a inna trwałe, na związku krwi oparte przymierze, jak z węgierskim królem przez małżeństwo Bietki. Zrozum zasię i to, że jak najrychlej wnęków po tobie chciałbym doczekać. Starym już, a na pokolenia to dzieło, którem rozpoczął. Im zasię prędzej się ustatkujesz, dla ciebie lepiej. Nie będziesz musiał żałować kiedyś, gdy ci się

zbraknie, żeś na rozpustę czas i siły strwonił.

Kazimierz zarumienił się, ale pomijając napomknienie, odrzekł:

- Wiem ci, że przymierze z Litwą potrzebne przeciw Zakonowi. Każecie mi pojąć Aldonę - posłucham. Ale jeśli mam tę ofiarę ponieść, niech i mnie wolno będzie rzec, co iście myślę: wždy Zakon za wyrzeczenie się Pomorza wieczysty pokój i przyjaźń ofiarował.

Gdybyście przyjęli, Giedymin nie byłby potrzebny. A za ów pieniądź który Krzyżacy zapłacić chcieli, moglibyście palatium wybudować. Na Śląsku byle książątko w okazalszym zamku siedzi niżli my. A jeszcze ninie, gdy katedra się rozparła, każdy pomyśleć może, że to nie królewska, jeno biskupia siedziba...

- Też nie od kurka na wieży ją budować rozpoczęto - przerwał Łokietek. - Gdy będziesz królem potężnego państwa, okazalszą wybudujesz, jeno nie tak jak na Śląsku, za pieniądze z wyprzedaży ojcowizny i praw książęcych.

- Jako zięć wasz, Bernard, który nie jeno Kłodzko sprzedał Luksemburczykowi, ale społem z Krzyżakami przeciw Giedyminowi wojował - wtrącił Kazimierz. - A ninie, gdy Giedymin rozejm zawarł z Zakonem na lat pięć, wy zasię jeno na rok, i głosi, że ochrzcić się zamierza i wieczysty pokój utrzymać, cóż nam z takowego sprzymierzeńca?

Znowu odpowiedź była trudna, mimo zniecierpliwienia Łokietek nie mógł się oprzeć uznaniu dla bystrości syna. Starał się mówić spokojnie:

- Nie przeczę, że zawiodłem się na Bernardzie. Bywa jednak, że walczy nawet i syn przeciw ojcu, i brat przeciw bratu. Ale więcej przykładów swojackiej wiary i przychylności.

W nijakie układy z Krzyżakami nie wierzę i nigdy oni do chrztu Litwy nie dopuszczą, boby się wynieść musieli, skąd przyszli. Gdybym jednak przez przymierze z Litwą nic więcej nie zyskał, jak uwolnienie brańców, zaniechanie napaści i pomoc przeciw innym wrogom, nie będzie daremna twoja, jak mówisz, ofiara. Jako rodzic wolałbym, byś i swoje szczęście znalazł w tym związku. Ale jeśli jeno pożytek przyniesie on narodowi, za którego dolę przyjdzie ci kiedyś zdać Bogu rachunek, zasługę będziesz miał przed Nim, a ulgę w ciężkim brzemieniu rządzenia. Tedy ja wdzięcznym sercem przyjmuję gotowość synowskiego posłuszeństwa. Poselstwo niebawem wyruszy, jeno pisma przysposobić trzeba, dary dla Giedymina i - da Bóg - przyszłej twej małżonki.

Łokietek wstał na znak, że rozmowa skończona, ale Kazimierz podjął:

- Jeśli pojąć mam małżonkę, urząd lubo dzielnicę winienem otrzymać wedle obyczaju.

- I o tym pamiętam - rzekł król, chmurząc się. - W Wielkiej Polsce rządy bym ci zawierzył. Zaufany i doświadczony Przybysław Borkowic królewicowi chętnie by ustąpił, by mu radą służyć i pomocą, bo zaszczyt to i korzyść. Jednakowoż Wincentemu z Szamotuł

starostwo wielkopolskie i poznańskie województwo nadać musiałem, choć mu nic ułam, a na dobitkę Borkowic, mimo że się zarzekał, urazę powziąć może. Ale ninie Nałęcz mi potrzebni do brandenburskich spraw, choć wiem, że swego jeno pilnują i jak udzielni książęta postępować zwykli. Wždy nawet grabież Pomorza uznali, by tam położonych majątności nie utracić, i z nich Krzyżakom świadczą. Będzie sposobność, ty po Wincentym obejmiesz starostwo, a tymczasem jako mój wysłannik kraj i ludzi poznać musisz, do rządów i sądów się wdrożyć. O tym myśleć przyjdzie pora, gdy poselstwo z pomyślną odpowiedzią wróci.

Król zaklaskał w dłonie i zlecił komornikowi wprowadzić wezwanych do sąsiedniej komnaty. Gdy komornik zaczął ich wywoływać, cierpliwość Radochy bliska była wyczerpania. Do południa albo i dłużej czekać mu przyjdzie, nim król z wszystkimi załadzi.

Zdziwił się a zarazem zaniepokoił, gdy zaraz po dostojnikach komornik wywołał i jego imię.

U biesa! - pomyślał. - Sądzę będą nade mną odprawiać? - Podkreślił jednak wąsa i szedł śmiało.

Łba mu nie utną.

Zdziwił się jeszcze bardziej, gdy król zwięzłe mówić począł wezwanym o poselstwie do Wilna, potem zlecenia wydał kanclerzowi wystosowania pism do Giedymina i legatów papieskich, a skarbnikowi przygotowania darów i pieniędzy na podróż. Radocha w głowę zachodził, po co go wezwano. Skłonił się wraz z innymi, gdy król skończył, i zbierał się do wyjścia. Łokietek jednak zatrzymał go:

- Ty ostaniesz - rozkazał.

Gdy za odchodzącymi zamknęły się drzwi, przystąpił do Radochy.

- Boga chwalić - zaczął surowo - że wojna z mieszczanami skończona. Zadość mam innych, a tu spokój chcę mieć. Nie miłuję i ja Niemców, ale ci, którym ostać zwoleń, pewniejsi i użyteczniejsi niżli niejeden rycerz. Nie pytam, coś nabroił, skoro im prawo proskrypcji ludzi rycerskiego stanu ostawiłem, orzecz przez Ławę wydane powagę mają jak moje własne.

Radocha miał ochotę poskrobać się za uchem, gdy król niespodzianie uśmiechnął się.

- Wiem, co cię tu ciągnie. Po prawdzie z siwym włosem do niewiast jako z jeżem do psa, ale nie moja sprawa. Tym razem ujdzie ci na sucho, boś mi potrzebny. Ławę zawiadomić kazałem, żeś na moje zlecenie tu przybył. Słyszałeś, z czym poselstwo wysyłam. Nie mam pewności, że nie słyszeli tego i Krzyżacy, a wszystko uczynią, by do związku z Giedyminem nie dopuścić. Potrzebny mi człek, który by poselstwo bezpiecznie przeprowadzić wydolił.

Orszak sam sobie dobierzesz, pewny, ale niezbyt liczny, i z nim w Kowalu na poselstwo masz czekać. Nikt nie śmie wiedzieć, którędy i jak je powiedziesz, nawet ja wiedzieć nie chcę. Stąd ruszą za parę dni, tedy możesz i ty sprawy, jakie tu masz, załadzić, byleś na czas z pocztą w Kowalu się zjawił, a tu znowu mieszczanom nie napakościł. Ninie cię nie zatrzymuję, bo wiem, żeś nie do mnie zjechał. Sprawisz się dobrze, postaramy się, by orzecz uchylony został, i sposobniejszą porą będziesz mógł siedzieć w Krakowie do woli.

Król łaskawie rękę podał do ucałowania Radosze, który wyszedł oszołomiony.

- Cie! Posłem bez mała ostałem. Alem ci się z królem ugadał!

Podkreślił wąsa i przechodząc przez izbę na przyziomie, dumnym spojrzeniem mierzył

czekających dostojników, którzy patrzyli na niego z zaciekawieniem. Nie potrafił też odmówić sobie zadośćuczynienia i zamiast do Kundzi - poszedł na Rynek. Pokazał się pod Ratuszem, by zaświecić w oczy członkom miejskich magistratur, a potem wałęsał się po Sukiennicach i ławach, podziwiając obfitość i różnorodność towarów. - Teraz by się zdało Krakowa dobywać - mruczał, ale tymczasem kupował, co popadło, póki nie ujrzał dna w trzosie. Korciło go, by wstąpić do jakiejś piwnicy, bo dzień był ciepły i zbliżało się południe, powściągnął jednak chęć, wiedząc, że gdy podpije, znowu burdę gotów wywołać. Wynajął

przeto dwóch wyrostków, by za nim nieśli zakupy, i poszedł na Rybaki. Ochłonął już z zaskoczenia niespodziewanym obrotem spraw i pomarkotniał: co mu po zaszczytach, których nie ma komu przekazać, czy z uchylenia wyroku, gdy niczego w Krakowie nie wysiedzi. Tyle że plugawemu Zakonowi na szkodę wyjdzie powierzone mu zadanie. Żeby miał łbem nałożyć, bezpiecznie przeprowadzi poselstwo.

Prowadził je jak krzew maliny podziemny korzeń, który nie wiadomo gdzie i kiedy pęd wypuści. Już w ziemi dobrzyńskiej unikał osad, grodów i uczęszczanych gościńców, często podążał bezdrożami i nocą, by się wieść nie rozniosła, a naglił tak, że nie nawykli do konnej jazdy duchowni ledwo trzymali się w siodłach. Nawet i świeccy posłowie - rozperski kasztelan Andrzej i miecznik krakowski Żegota Topór z Wielogłów - nadażali z trudem. Gdy jednak kasztelan spróbował domagać się wygodniejszych noclegów i mniej wyężdżającej jazdy, Radocha, którego drażniła wyniosłość rodowych dostojników, odpalił:

- Panu trzeba było rzec, że nie wydolicie, byłby zdatniejszych wyznaczył. Wzdym starszy od was, a także nie w kolebce jadę i gdy wy śpicie, ja czuwam. Król mnie za bezpieczeństwo wasze odpowiedzialnym uczynił, a nie by was kości nie bolały, tedy nic nie macie do rozkazowania.

Gorzej było jeszcze, gdy Radocha, ominąwszy od południa obszar jezior, zanurzył się w bory i bagna Podlasia. Podległe już było władzy Giedymina, ale rządził w nim samowładnie grodzieński starosta ze swą rozbójniczą drużyną. Radocha nie ufał mu i miast zażądać od niego przystawów, chyłkiem ominął Grodno i brnął przez bagna, do osad wstępował tylko po przewodników, których dla pewności sam prowadził na powrozie.

Posłowie odetchnęli dopiero na właściwej Litwie, gdy suchymi borami dotarli do Niemna.

Wzdłuż rzeki biegł gościniec, osady coraz częstsze i zasobniejsze dawały na noc wygodne schronienie. Odetchnął i Radocha. Nie obawiał się już krzyżackich zasadzek, nawet gdyby dowiedzieli się o przyjeździe i celu poselstwa.

Krzyżacy dopiero w Wilnie dowiedzieli się o zamiarach Łokietka i zaraz wieść pobiegła do Malborka, że Giedymin, chcąc wobec legatów wykazać szczerą swych zamierzeń, nie tylko mile przyjął swaty, ale zgodził się na zdawiny, by córa przed poślubieniem Kazimierza mogła zostać oświecona w wierze i chrzest przyjąć. W posagu ofiarował wolność dwudziestu czterem tysiącom polskich jeńców oraz posiłki na wyprawę brandenburską, zyskując zarazem przychyłność legatów papieskich przez udzielenie pomocy w walce przeciw Wittelsbachom.

W Malborku wieści z Wilna wywołały poruszenie. Von Wildenberg, teraz wielki komtur po obiorze wielkim mistrzem Wenera von Orseln, zaszedł do jego „izby rozmyślań” po wieczornym nabożeństwie. Wenera zastał na klęczkach przed krucyfiksem i sądząc, że zatopiony jest w modlitwie, stanął cicho przy drzwiach, nie chcąc mu przerywać.

Wielki mistrz jednak powstał i wskazując miejsce za stołem, powiedział:

- Siadaj, bracie! Nietrudno mi odgadnąć, z czym przychodzisz.

- Iście nietrudno. Trzeba zwołać Wielką Kapitułę, by się nad położeniem naradzić; od stu lat, gdy Zakon nasz wygnano z Węgier, nie było niebezpieczniejszego. Nie czekać nam, aż ten zawzięty karzeł jeszcze w siły urośnie...

Werner wiedział, że Wildenberg wierzy tylko w siłę. Wraz z wojowniczym Lutrem von Braunschweig gotów wymóc złamanie rozejmów, w czasie gdy na Litwie bawili jeszcze legaci, zabiegając o sprzymierzeńca przeciw wyklętemu Ludwikowi. Wielki mistrz wolał

złamaniem układów obciążyć przeciwników, a pozornym niestawianiem przeszkód odwrócić nieprzychylny nastrój Kurii. Dlatego odparł:

- Jako wojownik wiesz, że wrogowi nie należy zwolnić narzucić sobie czasu i miejsca orężnej rozprawy. Nam nie pora, a nie zda mi się też, by pożyteczne było nad tymi sprawami na Kapitułe uradzać.

- Gorzej jeszcze, gdy się przeciwnikowi okazuje słabość i trwogę. W mieczu jest siła Zakonu - przyciął Wildenberg.

Werner zrozumiał przytyk, ale uśmiechnął się jeno.

- Jak sądzisz, bracie, zali sławnej pamięci Herman von Salza, który podwaliny położył

potęgi Zakonu, mieczem to uczynił? Wždy miał jeno dziesięć białych płaszczy. Umiał się na rozjemcę naraić między papiestwem a cesarstwem, by od obu stron pozyskać przywileje, które pozwoliły Zakonowi państwo swe zbudować. Siłę i męstwo okazemy, gdy już dojdzie do wojny, ninie rozsądek potrzebniejszy.

- Nie przeczę - przerwał Wildenberg. - Dlatego żądam zwołania Kapituły. Więcej głów - więcej rozumu.

- I więcej gąb. Jeśli upierać się będziesz przy swym żądaniu, nie mam prawa odmówić. Ale zważ, że tajemnicą jest to, co wie tylko jeden. Gdy wie dwóch, wiadomo przynajmniej, kto ją zdradził. Gdy wie trzech, nie ma tajemnicy i nawet nie dojdzie do zdrajcy.

- Obrady Kapituły tajne są - z uporem nalegał Wildenberg. - Nie wiem też, co ma być tajemnicą.

- Rozważmy tedy przódzi sami, bo i mnie lżej odpowiedzialność podzielić. Modliłem się do Ducha Świętego i pytałem własnego sumienia, zali dla dobra Zakonu wolno użyć sposobów, które brat Luter za niegodne rycerza gotów głosić.

- Dla dobra Zakonu wszystko wolno - szorstko przerwał Wildenberg. - Jeno rozważyć trzeba, co jest dobrem Zakonu.

- Dzięki ci, bracie, że wątpliwości moje rozpraszasz. Uradzajmyż tedy. Zali dobrze byłoby wywołać najazd litewski na Mazowsze, w czasie gdy krakowski król układy z Giedyminem prowadzi, a tenże legatów o swych pokojowych zamiarach przekonać usiłuje?

- Dobrze, jeno czy się uda? - mruknął Wildenberg.

- Dawid grodzieński jako łasica, chciwy jeno krwie i łupu, a z ojcem się nie liczy.

Udało się raz, spróbować nie zawadzi.

- Próbujcie. Jeno że w dzielnicach Ziemomysłowiców leżą liczne majątności przyjaciela naszego, biskupa Floriana, a Dawid nikogo i niczego szczerzyć nie zwykł.

- Zakon od przyjaciół swych ma prawo ofiar się domagać. Zresztą gdy nikt wiedzieć nie będzie, że z naszej to poręki... Kapitule zdamy sprawę, gdy się powiedzie. Choćby się i później wydało, szkoda niewielka, a zaprzeczyć zawsze można.

Wildenberg głową skinął, ale zauważył:

- Jeno czy przez to zerwiemy niebezpieczny związek?

- Starczy czasem jeno włókno przeciąć w powrozie, by się zerwał, gdy go napręży.

Werner wstał i z kowanej skrzyni wyjął pergamin. Kładąc go przed Wildenbergiem, powiedział:

- To jest bulla, którą awinioński papież wzywa do krucjaty przeciw Ludwikowi. Co o tym sądzisz?

- Wždy nie będziesz wrogom przeciw sprzymierzeńcom pomagać... Wielki mistrz uśmiechnął się.

- Nie zapominaj, bracie, że nad dobrem Zakonu radzimy, a nie cesarskim.



- Nie widzę tu dobra Zakonu - sarknął wielki komtur. - Kurii i tak nie pozyszczemy, bo Łokieć i Giedymin jej uległej si, sprzymierzeńca stracimy, a w starym kraju liczni stronnicy Ludwika za złe by nam to wzięli.

- Prędkie sądy masz, bracie, nie wysłuchawszy, co ja zamysłam - z pewnym zniecierpliwieniem rzucił Werner.

- Słucham!

- Nie zamierzam ni jednego miecza do sprawy dołożyć, jeno bratu Lewenborkowi zlecę przychylić się do żądania legatów, by Giedyminowe posiłki dla Łokietka przez zakonne ziemie do Marchii przepuścić. Zapomnieli, że i wracać trzeba...

Uśmiechnął się znowu i ciągnął:

- Bullę odeślę Ludwikowi. Starczy nam na usprawiedliwienie, a jemu za dowód, że papież pogan na chrześcijański kraj naprowadza. Ze Litwa kościołów ni klasztorów szczerdzić nie będzie, to pewna. Lepszy to oręż dla cesarza niżli miecz, sownie straty mu opłaci.

- Prawda! - przytaknął Wildenberg z mimowolnym podziwem. - Mnie by to na myśl nie przyszło.

- Widzę tedy, żeśmy zgodni, nie ma zatem po co Kapituły powiadamiać o tym, cośmy tu uradzili. Jeśli Bóg pozwoli ziścić, zdamy sprawę w swoim czasie.

Najazd późną jesienią Dawida grodzieńskiego na Mazowsze, tym bardziej niszczący, że niespodziewany, który zostawił po sobie zgliszcza ponad stu wsi i w perzynę obrócił

biskupi gród w Pułtusk, poderwał zaufanie do zobowiązań Giedymina. Świadczył, że nie panuje on nad rozkiełznanymi i sprzecznymi siłami swego kraju. Dla Łokietka był przyczyną nowej troski. Wzburzony poniesionymi stratami biskup płocki natychmiast wszczął kroki, by nie tylko wrogi stryjowi Wańko, ale i jego bracia, Ziemowit i Trojden, ulegli dotychczas królowi, wspólnie z Zakonem wystąpili do Kurii o unieważnienie układów wileńskich. Kuria wpraw - dzie zbyt wielką wagę przywiązywała do spraw litewskich, by do ich żądania się przychylić, ale wszczęte w Brodnicy układy bratanków i sojusz z Zakonem przeciw Litwie, był dla króla dowodem, że dzielnicowi książęta nadal jeno własne sprawy mają na oku, nie doceniając krzyżackiego niebezpieczeństwa. Co więcej - poseł Zakonu, Henryk Reuss, wprost z Mazowsza udał się do Halicza, niewątpliwie z zamiarem wciągnięcia do sojuszu także Jerzego Trojdenowicza. Wysilek osadzenia go na halickim tronie byłby zmarnowany.

Bratankowie usprawiedliwiali swój postępek koniecznością ochrony, zapewniając Łokietka, że sojusz nie obowiązuje przeciw niemu. W tym był zarzut, że nie mają ochrony od króla, tym gorszy, że prawdziwy. A w razie wojny z Zakonem nie można było na nich liczyć.

Przygotowania wyprawy na Marchię odciągały wszystkie siły na zachód, zbliżające się zaślubiny Kazimierza, mimo uchwalonej przez Kraków kolekty, poważnie obciążały skarbiec, osobę zaś króla trzymały w stolicy. Młodym należało przygotować siedzibę i Łokietek wyznaczył ją w bieckim

zamku, poważnie uszkodzonym w czasie walk z Muskatą; trzeba go było odnowić i urządzić. Nanker, który już poprzednio, niecierpliwiąc tym króla, nie chciał

przyspieszyć chrztu Aldony, zanim jej do tego nie przygotuje, teraz wyraźnie zaczął unikać spotkania. Wyznaczenie Biecza na siedzibę Kazimierza musiał zrozumieć jako zapowiedź, że król nie ustąpi żądaniu zwrotu zamków biskupich bez względu na wyrok, którego zresztą Nanker nie mógł się doczekać. Mimo upływu dwóch lat od wniesienia pozwu i wyznaczenia sędziego w osobie dziekana gnieźnieńskiego oraz zagrożenia klątwą świadków, gdyby zeznawać nie chcieli, dotychczas nie przesłuchano żadnego, a król nie krył się z tym, że we własnym kraju sędzić się nikomu nie pozwoli.

Jadwiga czyniła, co było w jej mocy, by załagodzić zadrażnienie między małżonkiem a biskupem, nie szcędząc ni własnej pracy, ni szkatuły na ozdobienie i wyposażenie katedry, gdzie biskup pobłogosławić miał związek Kazimierza z Aldoną. Lękała się, by nieporozumienia nie zmaciły uroczystości lub zgoła jej nie przeszkodziły. Wyznaczono już dzień weselny, ale nie zapowiadał się wesoło. Król był gniewny i bardziej niż zazwyczaj zniecierpliwiony, królowa stroskana, biskup rozdrażniony. Królewicz nie taił swej niechęci do związku, musiał to dać odczuć przyszłej małżonce w drodze z Brześcia, gdzie ojciec kazał mu się udać na spotkanie wracającego z nią poselstwa, przyjechała bowiem spłoszona i niepewna, jak branka wleczona w niewolę, a nie oblubienica. Obca mową, obyczajami i wiarą, zachowywała się jak złowione w lesie zwierzątko, które nikomu nie ufa i wszystkiego się lęka, starając się każdemu zejść z oczu. Jadwiga daremnie czyniła, co mogła, by ją ośmielić, natomiast Kazimierz zgoła się nie starał zbliżyć do przyszłej małżonki. Jadwiga próbowała mówić z synem, by wzbudzić w nim choć współczucie dla dziewczyny, która przybladła i kryła się po kątach. Kazimierz jednak odpowiedział wprost:

- Czemuż jeno ja mam się nad nią użalać? Ja także nie czekam szczęścia z tego związku. Mnie go rodzic nakazał, jej Giedymin. Jeno miłowania samemu sobie nakazać nie można.

Królowa westchnęła.

- Nie można. Ale tak łatwo jej serce mógłbyś pozyskać, gdy opuszczona tu czuje się i bezradna. Któże jej bliższym być winien, jeśli nie małżonek? Tyżeś u siebie, ona wśród obcych, mężem jesteś, los twój zgoła inny, w działaniu znaleźć możesz zadowolenie, jeśli nie szczęście. A niewiasta, jeśli go doma nie najdzie, nie najdzie nigdzie.

Nie chciała wprost powiedzieć, że mężowie poza domem uciech szukać zwykli, a Kazimierz aż nadto zdradzał ku temu skłonności. Rodzic jego nie był lepszy, ale gdy minęła burzliwa młodość, od lat już wierny jest i przywiązany. Zadumała się, wspominając własny związek bez miłości, ciężkie przejścia pierwszych lat pożycia, długi okres oczekiwania, ukrywania się i wyrzeczeń, bez żadnej pewności, a czasem i nadziei powrotu małżonka.

Przygarnęła syna, mówiąc:

- Życie jest twardsze, niż się młodemu zdaje. Bądź miły dla Aldony. Dobrze jest mieć kogoś, na kim zawsze polegać można, gdy wszystko inne zawiedzie.

- Będę się starał, matko - powiedział, całując jej dłoń, i wyszedł. Pozostała zatroskana.

Nie miała dobrych przeczuć, nijak przekaże synowi własne, drogo kupione doświadczenie.

Z ulgą powitała oczekiwany, choć nie upragniony dzień, kiedy - ochrzczona przez Nankera imieniem Anny - Aldona stanęła wraz z Kazimierzem na ślubnym kobiercu we wspaniale przystrojonej wawelskiej katedrze. Biskup nie stawiał żadnych warunków, które by zakłócić mogły uroczystości wobec obcych poselstw, zjazdu dostojników i zbiegających się ze wszystkich stron tłumów ciekawych. Weselne obrzędy skrócono jednak, zamek i miasto pustoszały, przybierając zwyczajny wygląd, król bowiem spieszył z wyjazdem do Nakła, gdzie spotkać się miał z Warcisławem oraz posłami Barnima i biskupa Arnolda kamieńskiego, celem zawarcia sojuszu przeciw Ludwikowi. Mimo to pozostał jeszcze po wyjeździe młodych, by - korzystając z obecności węgierskiego poselstwa - prosić zięcia o posiłki przeciw Marchii. Całkowicie zajęty nadchodzącą wyprawą, zapomniał o Nankerze i z niechęcią przyjął zapowiedź zjawienia się biskupa. Niemal pewny był, że znowu poruszy sprawę zajętych zamków, z których nie chciał i nie mógł ustąpić. Nie mógł jednak odmówić posłuchania, postanowił zbyć biskupa, przyjmując go wieczorem w przyległej do sypialnej komory komnacie, bez ceremoniału i świadków.

Nanker jednak niewątpliwie przyszedł z powziętym z góry zamiarem, iż zbyć się nie da. Stawił się w szatach pontyfikalnych, w asyście dwóch kanoników. Uprzedzając biskupa, król sam rozpoczął:

- Wyjechać muszę jutro z rana, a pilne i ważne sprawy nie pozwoliły mi dotąd podziękować wam za trudy i starania położone koło przygotowania uroczystości i pobłogosławienia związku mego syna. Sposobniejszą porą pomyślimy, jak nie słowem jeno wam odwdzięczyć...

- Pobłogosławienie związku - wtrącił Nanker - było moim prawem i obowiązkiem.

Nie czekam za to nagrody, jeno byście wzajem swoich obowiązków wobec krakowskiego Kościoła dopełnili.

Nie było wątpliwości, co Nanker ma na myśli. Król zacisnął zęby, by nie wybuchnąć, ale biskup jakby nie widział jego wzburzenia, ciągnął:

- Nie wiem jeno, zali Bóg błogosławić będzie pożyciu młodych, które w zrabowanej Kościołowi majątku rozpocząć mają.

Łokietkowi żyły nabrzmiały na czole, ale jeszcze się powściągnął i odparł:

- Nie znam i ja Bożych zamiarów, ale nie zda mi się stosowne Boga wciągać do sprawy, która przedmiotem jest wniesionego przez was pozwu.

- Każdemu wiadomo - rzucił biskup ostro - że to wy nie dopuszczacie do jej rozpatrzenia, jak zawždy czynić zwykł pozwany, który sam wie, że filius est iniquitatis. Qui male agit, odit lucem<sup>28</sup>.

Łokietkowi gniew czerwoną mgłą przesłonił oczy. Nie panując nad sobą, przyskoczył

do Nankera i wymierzył mu policzek. Struchleli kanonicy z przerażeniem oczekiwali, czym się skończy zajście. Łokietek już żałował swojej porywczosci, tylko Nanker stał

nieporuszony, surowe spojrzenie wpierając w króla. Nie miał zamiaru załagodzić sprawy.

Dwa upory nie do złamania stały naprzeciw siebie. Król wiedział, że jeno ustępując żądaniu mógłby przejednać biskupa; opanowany był już: nie ustąpi, bez względu na skutki, i nieporuszony słuchał, gdy Nanker podjął:

- Gdyby nie ta szata, którą w mej osobie sponiewieraliście, krwią by wam przyszło płacić za takową zniewagę. Ninie żałować mi jeno, że wyście, uderzając, miecza nie mieli w 28 filius est iniquitatis. Qui male agit, odit Lucem (łac.) -...synem jest nieprawości (wyrażenia użyte w bulli na sąd). Kto czyni źle, lęka się światła. ręku, by moją krwią dopełnić miary bezprawia. Majętności należnych mej diecezji odrzekę się tylko wraz z nią.

Odszedł, nie skłoniwszy się nawet, a król długo w noc niespokojnym krokiem przemierzał komnatę. Ale świt zastał go już na koniu.

Radocha nie skorzystał z obietnicy króla uchylenia proskrypcji, jeśli bezpiecznie przeprowadzi poselstwo. Kundzia go nie potrzebuje, na weselu królewicza tyle ma do szuka -

nia, co pies w kościele, dostojnicy, którzy się zjadą, by oglądać te wspaniałości, obmierzli mu do reszty w czasie drogi. Wówczas przynajmniej byli od niego zależni, tam nawet nie spojrzą; ucztować mu przyjdzie z rycerskim motłochem, a znając siebie, wiedział, że gdy zaproszy głowę, nawet z krakowskim kasztelanem burdę wszcząć gotów. Po co mu to, z wiosną nie braknie chłopskich weselisk w jego wsiach, gdzie za zaszczyt poczytują sobie, gdy przyjmie zaproszenie, pierwsze miejsce i najlepsze kąski dla niego. Nic to, że w zamian trzeba przyjechać z podarunkiem; stać go! Wiosna zresztą idzie, rozejm z Krzyżakami pozwoli zająć się gospodarką, na zwyczajne objazdy i roboty w gródku starczy Pizło. Za nim też się stęsknił, choć przed samym sobą do tego się nie przyznawał. Zabawny nie jest, ale pożyteczny i pewny. I jego nikt mu nie odbierze, jakoś razem przebrną nadchodzącą starość.

W Brześciu, gdzie zastali poczet królewicza Radocha uznał zadania swe za spełnione.

Dla osłony nie był potrzebny, gromady uwolnionych jeńców, przeważnie pochodzących z Mazowsza, które sporo kłopotu i pracy przysparzały na początku powrotnej drogi, teraz stopniały do niewielkiej garści, nie trzeba się troszczyć o ład, spyzę i noclegi. Pożegnał przeto królewicza, który przyrzekł łaskawie pamiętać o nim, posłom pokazał plecy i odetchnął w samotności. Jaki ta dom, ale swój! W pogodny przed wieczorz, na leśnej drożynie wiodącej do gródka, klepnął jeszcze konia, który i tak przyspieszał kroku, i mruknął do niego:

- Spieszno ci do swojej stajni! Mnie takoz.

Gdy drożyna weszła na groblę i otworzył się widok na gródek, zwolnił jednak, bo rozmyta była przez roztopy i właśnie przy poprawianiu jej pracowało kilku parobków. Od nich dowiedział się, że Pizło z resztą ludzi jest na objeździe i w gródku nie zostanie nikogo.

Poleciał nie przerywać pracy, bo do zachodu nie było daleko, sam zadba o konie i siebie. Zdjął

siodło, by je zanieść do komory, i puścił konia, który skierował się do otwartej stajni. Gdy jednak Radocha wyszedł znowu na dziedziniec, by obejść gródek, zauważył, że koń stoi u wejścia i strzyże uszami.

- Ki bies? - mruknął Radocha. Może koń poczuł tchórza lub szczura. Podeszedł do niego, mówiąc:

- Nuże, gniady! Cóżes taki płochliwy? Wzdys u siebie.

Koń ruszył, ale węszył podejrzliwie. Doszedłszy do żłobu, tupnął i odskoczył.

Radocha, zaciekawiony, zajrzał tam i zdumiał się:

- Cóże ty tu działasz, raku?

Ściągnął ze żłobu na ziemię kilkuletniego wyrostka, lekkiego jak kot. Widno obudzony ze snu, wpatrywał się w Radochę okrągłymi ze strachu oczyma w wynędzniałej, zda się nie większej od pięści twarzy. Ledwo go puścił, malec smyrnąć chciał ku wyjściu, ale Radocha ułapił go.

- Nie bójże się, nie zjem cię. Skądś się tu wziął? Ujął go za rękę, by zaprowadzić do świetlicy, i zaklął:

- Gryziesz, jucho!

Wziął go pod pachę, usta zakrywając dłonią, jak pysk złemu szczeniakowi, i wyszedłszy na pole, krzyknął:

- Gajdoch!

Gdy parobek podeszedł, pokazał mu wierzgającego wyrostka i zapytał:

- Czyżże to przychówek? Gajdoch wzruszył ramionami.

- Chyba wasz. Pierwsze go widzę.

- Głupiś!

Chłopak jednak, korzystając z chwili nieuwagi, wysmyknął się Radosze spod pachy i pognął ku bramie gródka.

- Łapaj! - krzyknął Radocha. Parobcy zastąpili drogę uciekającemu, który bez namysłu skoczył w bagno. Ulgnął jednak zaraz przy brzegu, a wyciągnięty - jął kopać i gryźć parobka, który w złości zamachnął się, by mu przyłożyć, ale Radocha rzucił:

- Ostaw! Jeszcze mu co przetrącisz.

Zabrał chłopca i zaniósłszy do świetlicy, założył drzwi na kłodę i puścił go, a wyrostek natychmiast szurnął w kąt i stamtąd śledził oczyma, jak Radocha, udając, że nie zwraca na niego uwagi, krząta się

przy posiłku. Nałożył sobie jadła na jedną misę, na drugą dla chłopca, z którego twarzy aż nadto wyraźnie wycierał głód, i postawił ją na przeciwległym końcu stołu. Za pacholęcych lat nieraz oswajał dzikie zwierzęta i ptaki, wiedział, jak się wziąć do tego. Sądził, że chłopak podejdzie, ale gdy się nie ruszył, wyszedł, zapierając drzwi kłoda. Gdy zajrzał znowu późnym wieczorem, zauważył, że malec pojadł i zaszył się w kącie w kupie starej odzieży; spał, skulony jak kot. Radocha wyszedł po cichu, rozważając, co począć z wyrostkiem. Trudno go trzymać w zamknięciu, a uciecze - zmarni się. Z przyzwyczajenia czekał na Pizłę, by się naradzić, a przynajmniej głośno pomyśleć. Gdy druh wrócił nazajutrz koło południa, przywitał go pytaniem:

- Jakowegoś wyrostka w stajnim naszedł. Nie wiesz, co za jeden?

Gdy Pizło patrzył pytająco, widocznie nie wiedząc, o co chodzi, Radocha dodał:

- Taki pętaś, ze sześć godów mu będzie, choć z gęby na starszego patrzy. A dzięki to, jakby ludzi nie widziało.

- Może właśnie dlatego, że widziało...

- Prawda! Myśmy takż od ludzi patrzyli, póki się człek nie zmógł na tyła, że zęby zdołał wyszczerzyć. Ba! Onże już gryzie.

Pokazał ślad zębów na dłoni. Pizło mruknął:

- Wcześniej się nauczył. Co myślisz z nim poczynać?

- Już bym ja go przyswoił. Pomnisz ową kunę, com ją to doma miał ostatnio? Żal mi jej, choć pewnikiem w las uszła.

- I tak było czego żałować. Takim, jak my, lepiej nie mieć nic swojego.

- To nie miej, ale ja chcę mieć.

- Kunę możesz mieć. Właśnie pora na młode. A w razie czego poradzi se bez ciebie.

- Z tobą gadać! Chłopak podrośnie, to i wyrękę można mieć z niego, gębę do kogo otworzyć...

- Gębę otwierasz bez tego. A kóże będzie tu o niego miał staranie, gdy nas po parę niedziel nie ma? Z kuną spałeś albo ją za pazuchą nosił, dlatego przywykła. Jego nie będziesz, zwydrzy się albo i zmarni.

Radocha skrobał się po łbie.

- Babę by się zdało sprowadzić, by dbała o niego...

- Tak gadaj, że ci się znowu baby zachciało.

- Głupiś! - cisnął się Radocha. - O malca mi idzie.

- Jeśli iście tak, to go oddaj na wieś. Zelczynie chłopak pomarł, prawie w tych leciech, dasz jej na utrzymanie i przyodziewę, przyjmie znajdka.

- Zelczyna baba złośnik i kłótnica. Swego prała, cóż mówić o znajdku.

- Od prania nie pomrze. A takiej drugiej, jak macierz twoja była, nie szukaj, bo nie najdziesz.

Obydwaj spochmurnieli i umilkli. Pizło podjął:

- Ze wszystkim głowy sobie chłopcem nie zaprzataj, bo już tu był posłaniec od kasztelana Zbyluta Pałuka, byś się w Nakle stawił u niego.

- U licha! Dopierom wrócił, a cóże mi kasztelan ma do rozkazowania?!

- Kasztelan ninie starostę Henryka zastępuje, który aże do Grodna wysłań, skąd posiłki ma przywieźć na brandenburską wyprawę. Może i po to, by dopilnować, żeby Litwa w naszym kraju nie łupiła, ale tak myślę, radziej dlatego, by się ze szczecińskim księżciem i posłami kamińskiego biskupa nie zetknął, którzy w Nakle z królem zjechać się mają przymierze zawierać. Tedy lepiej, by starosty nie było, bo i u nich ma zakarbowane.

- Krzyżaki zgodziły się posiłki przez swój kraj przepuścić - mruknął Radocha. - Tam zasię starosta jechać nie może, boby go zgładzili ani chybi, na żadne układy nie bacząc. Za dużo sadła zalał im za skórę.

Radocha przez chwilę rozmyślał, po czym zakończył:

- Pojadę do Nakła, dowiem się, co słyhać. Może nam takż do Marchii ciągnąć przyjdzie, skoro z Zakonem rozejm, ale to chyba jesienią lubo zimą. Chłopaka iście Zelczynie ostawię po drodze, bo i pies się zwłóczy, gdy zadbać o niego nie ma komu, i gdy na coraz innych rękach. A zdałoby się choć psy mieć, do łowów i do stróży. Starosta Henryk przyrzekł

mi parę ze swej psiarni, ale nawet odebrać nie było kiedy.

Machnął ręką i poszedł doglądać robót, a pod wieczór zajrzał do świetlicy. Chłopiec jak wczoraj czaił się w kącie. Radocha pokręcił nosem i spróbował zagadnąć:

- Nie lękajże się, nikt tu nic złego nie chce. Rzeknij, skądeś, to cię do rodzicieli odwieźć każę.

Zamiast odpowiedzieć, chłopak trząść się zaczął. Radocha z wolna podszedł do niego i ostrożnie gładził po zmierzwionej czuprynie.

- Wždy widzisz, że cię nie ukrzywdzę. Niemowaś albo nie wiesz skądeś, ale może się kiedyś dogadamy. Nie będę cię tu więził, bobyś mi chlew zrobił ze świetlicy.

Podszedł do drzwi, otworzył je i ciągnął:

- Przeleć się, ale nie uciekaj, bo gdzie? Tu masz żarcie. Potem idź spać, bo jutro ze świtem zabiorę

cię na wieś do jednej niewiasty, która zadba o ciebie. Przyrodziwem dostaniesz i rówieśników do igrów. A będzie ci źle, wracaj. Jakoś się przeżywisz, nikt cię nie ukrzywdzi, boby ze mną miał sprawę.

Zawarty w Gołubiu przez Ziemowita i Trojdena układ z Zakonem o wzajemną pomoc zakarbował król Wańce do sposobniejszej pory, zajęty przygotowaniem wyprawy na Marchię, z błogosławieństwem papieskim i pochwałą walki z wrogami Kościoła. Wyprawa, rozpoczęta odbiciem bez większego wysiłku wielkopolskich grodów i odparciem najazdu Bolesława brzeskiego, zapowiadać się zdała pomyślny przebieg. Mimo braku silnego oporu pozostały one jedynym jej rzeczywistym plonem, bo trudno było za taki uważać spustoszenie kraju od Brandenburga po Frankfurt, sto czterdzieści spalonych kościołów i cztery klasztory, parę tysięcy jeńców i nieco łupu. W miarę jak czas płynął, coraz jawniejsze było, że główny cel wyprawy nie będzie osiągnięty, i na przedwiośniu król wracał znużony i zgryziony. Zimny wiatr północny niósł jeszcze śniegowe płaty, przemoczzone i zziębnięte wojska szły w milczeniu jak po kłęsce i rozplływały się w szarudze, w miarę jak hufce wracały do swych powiatów. Król ciągnął do Poznania, odrzuciwszy zaproszenie starosty Wincentego, by u niego w Szamotułach przeczekać słotną porę. Czuł potrzebę wypoczynku, ale drażnił go pewny i zadufany w sobie możnowładca. Wymusił na królu dostojęstwa w zamian za przygotowanie przymierzy, które się zawodne okazały. A ninie zapewne na rękę mu to, bo potrzebny będzie, skoro z konieczności układać się przyjdzie z margrabią Ludwikiem, dla zabezpieczenia się od strony Marchii w chwili rozprawy z Zakonem. Król odrzucał

podsuwaną przez Kazimierza myśl uzyskania pokoju kosztem wyrzeczenia się Pomorza. Nie wyrzeknie się go nigdy i nie będzie pokoju z Zakonem. A tylko na własne siły może liczyć, by postawić tamę krzyżackiej zachłanności.

Gorzkie były rozważania nad przymierzem, które wbrew synowi i jego kosztem zawarł z Giedyminem. Króla dręczyła wątpliwość, czy Kazimierz nie trzeźwiej patrzył na sprawy. Przymierze z Litwą, którego Zakon tak się obawiał, na razie przyniosło same straty.

Przysłane posiłki pod synem Giedymina, Dawidem grodzieńskim, zajadłe, ale lichy zbrojne, niezdatne do zdobywania grodów, natomiast niekarne i nie rozumiejące innych celów wojny poza łupem i użyciem, jak szarańcza niszczyły wszystko na swej drodze. Król daremnie usiłował powściągnąć rabunek i puszczanie z dymem kościołów i klasztorów, wiedząc, że Krzyżacy jego tym będą obciążać. Doraźne skutki nie dały na siebie czekać. Żupan Rykolf Tarczay, dowódca węgierskich posiłków, oświadczył, że nie będzie walczył społem z poganami, i odszedł. Niewątpliwie z tej samej przyczyny zawiodło współdziałanie biskupa Arnolda, a pod koniec i szczecińscy książęta, pod pozorem, że Warcisław zając się musi odziedziczoną po zmarłym właśnie Wisławie Trzecim Rugią, odstąpili króla i zawarli odrębny pokój z Ludwikiem. Nie dziw, że możnowładcy z partii starobrandenburskiej, widząc, że Ludwik utrzyma się na stolcu margrafa, wszczęli z nim układy, nie chcąc palić mostów za sobą. Łokietek pozostał tylko z litewskimi posiłkami, a tych rad byłby się pozbyć jak najprędzej, bo stanowiły jeno wodę na krzyżacki młyn. Jeszcze w drodze do Poznania król otrzymał wieść, że komtur Luterberg napadł na wracające przez Pomorze oddziały, rozproszył

je i przeszedłszy Noteć, zajął kilka miejscowości w Wielkopolsce, głosząc przy tym, że to Polska rozejm zerwała. Ustąpił wprawdzie bez walki przed nadchodzącymi siłami starosty Henryka, ale



jasne było, że Dawid z litewskimi posiłkami nie może wracać przez Prusy, bo groziło to zupełną ich zagładą i tarciami z Giedyminem, z którym sojusz należało jednak utrzymać. Król z konieczności zgodził się przepuścić Litwinów przez Krainę i Mazowsze, ale opryskliwie i groźnie przestrzegał Dawida, by powstrzymał swych dzikich wojowników od gwałtów i rabunków.

Dawid jednak zgoła zdał się nie przejmować królewską przestrogą, a nawet jakby nie rozumiał, o co chodzi. Król przeto z przezorności rozkazał kujawskim hufcom towarzyszyć Litwinom aż do Włocławka i tam przekazać je mazowieckim książętom. By zaś Dawid zrozumiał, że przelewek nie będzie w jego obecności, zalecił wracającemu z niewielkim hufcem Radosze zapewnienie Litwinom w drodze zaopatrzenia, za rabunki natomiast nakazał

karać nawet na gardle. Dawid, który znał mowę ruską, a polską rozumiał, nieznacznie ramionami wzruszył. Radochę ubodło to i powiedział:

- Bądźcie pewni, miłościwy panie, że ze mną pójdą jak owieczki, choćbym obwiesić miał samego księcia, bo i to mi nie pierwszozna.

Król, znając Radochę, wiedział, że lubi się przechwalać, ale nic nie mówi na wiatr, Dawid jednak uśmiechnął się drwiąco. Nie zwykł słuchać nawet własnego rodzica, a niezbyt obfite łupy z Marchii zamierzał uzupełnić po drodze, by opłaciła się wyprawa.

Wyruszył rankiem w górę Noteci, a w ślad za Litwinami ciągnęły polskie hufce. Nowi sprzymierzeńcy nie cieszyli się mirem u nikogo. Rycerstwo zdawało sobie sprawę, jakie szkody wyniknąć mogą z litewskiej pomocy, a chłopci, jeśli nawet na własnej skórze nie mieli zakarbowanych nowych sprzymierzeńców, znali Dawida ze złej sławy jego najazdów na Mazowsze. Radocha ludziom swym nakazał pilnie baczyć, czy sprzymierzeńcy nie wymykają się z pochodu. Jakoż niemal zaraz po wyruszeniu doniesiono mu, że gromadka litewskich wojowników skryła się w krzaczach, niewątpliwie po to, by zawrócić do osady, którą pochód niedawno minął. Radocha zebrał swych konnych ludzi i pognął za nimi. Z dala już pomiarkował, że się nie pomylił: z osady dochodziły wrzaski, ze strzechy najbliższej położonej chaty zaczynał unosić się dym. Niewieści lament mieszał się ze spłoszonym gdakaniem i gęganiem drobiu, chwytanego i zarzynanego przez kilku wojowników. Dwaj inni wlekli za włosy młodą dziewczynę. Radocha ujrzał jeszcze leżącego przed chatą we krwi chłopca.

Zacisnął zęby i skoczył. Zajęci rabunkiem Litwini, nim zdolali sięgnąć do broni, trzepotali się już na ziemi wśród pobitych kur i gęsi. Tylko dwaj, którzy znajdowali się za chatą, przestrzeżeni odgłosami, wypadli z sulicami w rękę, ale obezwładniono ich w mgnieniu oka.

Widząc, że nadeszła pomoc, zbiegli się sąsiedzi gasić pożar, a Radocha już miał na ustach rozkaz, by stracić brańców na miejscu, rozmyślił się jednak. Opatrzył chłopca, który czoło miał

rozorane do kości, ale czaszkę nie naruszoną, uspokoił roztrzęsione niewiasty, po czym związanych brańców kazał wziąć na powrót i pognął ich, by jak najprędzej dociągnąć do pochodu.

Doszedł jednak dopiero na południowym popasie. Polacy i litewscy woje stanęli osobno, tak jak szli, i gdy Radocha dotarł do swoich, wylegli, by patrzeć, co się będzie działo z wiedzionymi jak bydło

litewskimi wojownikami. Rycerz Klemens Taczała z Wieszek przystąpił do Radochy i zapytał:

- Cóż się stało?

- Próbowali wojować jak w Marchii - odparł Radocha.

- Tedy trzeba ich było sprawić na miejscu - zauważył Taczała, patrząc niespokojnie w stronę litewskiego obozowiska, gdzie widocznie również nie uszło uwagi nadejście Radochy z pojmanymi, bo coraz to ktoś podrywał się od ogniska i szedł niewątpliwie z zamiarem odbicia towarzyszy. Klemens mruknął:

- Puśćcie ich, bo bitka z tego wynijść może.

- Wraz ich puszczyć, jeno z wiatrem na pętli. Po tom ich tu przywiódł, by każdy wiedział, że co król przykazał, to będzie. Ac u siebie łupią i gwałcą.

Pachołkom wskazał na rosnący przy drodze rosochaty dąb i rozkazał:

- Obwiesić!

Na widok przygotowań do kaźni groźny pomruk przebiegł przez tłum wciąż jeszcze nadbiegających Litwinów, ale umilkł, gdy ukazał się sam starosta Dawid. Rozstąpili się, a on podszedł do Radochy, który z dobytym mieczem stał obok brańców; łamiąc z ruska polską mowę Dawid rzucił:

- Puśćcie ich! Jeśli winowaci, sam osądzę. Tobie od nich wara!

- Sądu nie trzeba - odparł Radocha - gdy na licu schwytni przy rabunku. Tu nasz król rządzi i będzie, co nakazał.

Zwracając się do pachołków, którzy trzymali brańców, powtórzył:

- Obwiesić.

Zawahali się, bo Litwini, patrząc na swego wodza, czekali jeno słowa, by rzucić się na Polaków. Ale zawahał się i Dawid; liczbą miał przewagę, lecz polscy woje lepiej zbrojni i są u siebie. Radocha patrzył zuchwale na kniazia, nie pozostawiając wątpliwości, że gotów jest do bitki. Inni też sięgali do broni, jasne było, że rozpoczęta - powszechną się stanie. Hamując gniew, starosta Dawid rozmyślał, jak wycofać się, nie tracąc powagi. Powiedział:

- Rodzic mój potrafi się o swych ludzi upomnieć, bo mnie rozkaz nad nimi powierzył.

- Ac się upomina. A jestli wasz rozkaz nad nimi, kaźcie sami gwałtowników obwiesić, chyba że z waszego przyzwolenia rabowali.

Radocha zadrwił, nie spodziewając się, że wskazał sposób, pozwalający kniaziewi ustąpić. Dawid zwrócił się do swoich ludzi i wskazując na zwisające z konaru pętle, po litewsku wydał rozkaz. Radocha oczom nie wierzył i z mieczem w ręku postąpił za litewskimi wojownikami, którzy, ujawszy

obwinionych, z wprawą podsadzili ich do zwisających pętli i obojętnie patrzyli na haniebną śmierć towarzyszy, których przed chwilą siłą gotowi byli odbić. Gdy drgające ciała skazańców uspokoiły się, Dawid odwrócił się i odszedł bez słowa, a za nim pociągnął również w milczeniu tłum litewskich wojowników.

Rycerz Taczała przystąpił do Radochy, który jeszcze nie ochłonął ze zdumienia.

- Boga chwalić, że się tak skończyło - zaczął. - Żeby mi kto powiedział, nie byłbym uwierzył, ale zuchwały z was człek. Iście dzicz to jest, a onże starosta nawet nie zapytał, zali prawda, że swawolili.

- Nie zapytał, bo wiedział. Tak mniemam, że ninie spokój będzie aż do Włocławka.

A co dalej, nie moja sprawa. Nie wierzę, by spokojnie zaszli do dom. Na Mazowszu znowu hulać zaczną z nawyku. Do biesa z takowym sprzymierzeńcem.

- Ale król wielce o nich stoi, a nie wiada, czy się Giedymin o to pieklić nie będzie - wskazał na wisielców.

Radocha ramionami wzruszył.

- Miłościwy pan wiedział, co przykazał. Wielki kniaź takż nie po to zawarł

przymierze, by królowi dogodzić. A ninie, gdy głosi, że pokoju chce ze wszystkimi i ochrzcić się zamierza, pewnikiem rad by się odrzekł nie jeno tych obwiesiów, ale i synała, by nie szło na jego poczet, co czynią; bo juści, że to dla Krzyżaków dobry pozór, by fałsz zadać Giedyminowym obietnicom.

Dawid nie zaprzętał sobie głowy skutkami swych poczynań. Pozbywszy się za Wisłą Radochowej opieki, sobie i swoim pofolgował jak we wrogim kraju. Ale i tu trafiła kosa na kamień: rycerz Jędrzej Gost, któremu starosta pohańbił umiłowaną żonę, rozszalały, sam jeden pognął za odchodzącą Litwą, dopadł kniazia pośród jego drużyny i przebił włócznią, a w powstałym zamieszaniu zdołał ująć. Wieść o tym rozniosła się wichrem, wzburzenie ogarnęło całe Mazowsze, a zarazem powstała niechęć do króla. Kto żyw chwycił za broń jak w czasie najazdu. Który z litewskich wojów ważył się oddalić od hufca, nie wracał.

Pozbawione wodza, zmuszone przemykać się chyłkiem bezdrożami, litewskie oddziały, zdziesiątkowane i wynędzniałe, z wiosną dotarły do Grodna. Ale wieść o tym, jak skończyła się pierwsza próba współdziałania sprzymierzeńców, wcześniej jeszcze niż do Wilna, dotarła do Malborka..

Giedymin ani chciał, ani mógł upominać się o zadośćuczynienie za śmierć najbardziej nieokielzanego ze swych pięciu synów. Wywołany i podsycany przez Krzyżaków, otwarty już bunt na Żmudzi przeciw przyjęciu nowej wiary, wobec oporu książątek, grożący rozszerzeniem się na Litwę, zmusił go do cofnięcia uroczystych przyrzeczeń. Jednocześnie poselstwa Zakonu i mazowieckich książąt domagały się od bawiących jeszcze w Rydze legatów papieskich uznania rozejmu za zerwany i

unieważnienia układów wileńskich.

W Malborku śpiewano Te Deum jak po walnym zwycięstwie. Nawet stronnicy Lutra von Braunschweig przyznać musieli, że wielki mistrz Werner von Orseln, nie dobywając miecza, groźne ciosy zadać potrafił wszystkim wrogom Zakonu: wbił klin w niebezpieczny związek między Polską a Litwą, Giedymina przedstawił jako oszusta i oszczercę, a naród jego jako dzicz pogańską, której tylko zupełne wytepienie zapewnić może panowanie Krzyża. Po wszystkich dworach chrześcijańskich krążyła ukuta w Malborku i przez Krzyżaków rozpowszechniona opowieść o cudzie, jaki wydarzyć się miał w czasie najazdu na Marchię, i nowej męczennicy, której relikwii znaczne ilości rozprzedano, wykorzystując wzburzenie mężów, a wzruszenie niewiast. Mniszka, wleczona na zhańbienie przez litewskiego wojownika, pobożnym podstępem ocaliła swą cnotę kosztem własnego życia, przyrzekając, że jeśli ją uszanuje, zdradzi mu tajemnicę, której posiadanie sprawi, iż żelazo imać się go nie będzie. Gdy uwierzyć nie chciał, rozkazała mu, by na próbę ciął ją mieczem w kark. Głowa spadła, ale patrząc groźnie na mordercę, wyrzekła: „Tak będzie każdemu, kto się na Bogu poświęcone dziewice porwać odważy.”

Wobec wciąż jeszcze nie rozstrzygniętej sprawy o Pomorze przezorny Werner nie zamierzał otwarcie zerwać z Kurią, tym bardziej że jej nakazem usprawiedliwiał prze -

puszczenie litewskich posiłków do Marchii przez zakonne ziemie. Ale przesłana cesarzowi bulla papieska, wraz z rozpowszechnionymi wieściami o przebiegu wyprawy, posłużyła Ludwikowi, by ogłosić papieża kacerzem, który pogan naprowadza na chrześcijański kraj.

Ubywało stronników papieskich, zyskiwał ich Ludwik. Walka z poganami znowu stała się hasłem ściągającym liczne rycerstwo do Malborka, Zakon odzyskał cel swego istnienia.

Wielka Kapituła jednomyślnie uchwaliła stanąć po stronie Ludwika i wbrew zakazowi Kurii podjąć walkę z Litwą, zapewniwszy sobie udział mężnego Jana czeskiego. Luksemburczyk podstępem, chytrością czy siłą zhołdował sobie już znaczną część Śląska, korzystając z trudności Łokietka, a teraz zwyczajem swym patrzył jeno, skąd wziąć pieniądze i do czego miecza przyłożyć, Zakon zyskiwał w nim cennego sprzymierzeńca, od dwóch lat poniechany zimowy rejs miał zadać Litwie potężne uderzenie.

Malbork ożył, a ożywienie doszło do szczytu z chwilą przybycia czeskiego króla.

Zamek przez dzień cały rozbrzmiewał odgłosami turniejów i ćwiczeń rycerskich, w których Jan chętnie sam brał udział, dając dowody męstwa i sprawności, a wieczorami gwarem uczt wyprawianych ku jego czci, na których równie chętnie pochłaniał wymyślne potrawy i najlepsze wina, jak pochlebstwa i podarunki.

Gdy jednak noc uciszyła odgłosy biesiady, wielki mistrz w samotności swej „izby rozmyślań” pieścił większe, dalej idące zamiary niż jeden więcej, choćby najlepiej udany rejs na Litwę. Patrzył na podobiznę poprzednika swego, Hermana von Salzy; z ślepego zaułka, w którym znalazł się Zakon po ustaniu walk z Saracenami, wyprowadził go na szerokie wody, tchnął w niego nowego ducha, którym żył dotychczas. A teraz znowu Giedyminowe zamierzenia groziły, że kierowana ręką Wenera nawa osiądzie na mieliźnie, skazana na zmurszenie. Opieka nad pielgrzymami i chorymi to nie jest cel

godny potęgi Zakonu, nie po to tu przywędrował kwiat niemieckiego rycerstwa. Odłożyć miecz, znaczyłoby skazać Zakon na zagładę lub nędzne bytowanie na łasce lub niełasce byle sąsiada. Szczęściem udało się udaremnić groźne zamierzenia, nawa Zakonu znowu znalazła się na fali, a przemyślny Werner widzi dlań horyzonty, których nie mógł dostrzec nawet wielki jego poprzednik.

Podbiwszy Litwę, mieczem usunie schizmę na Rusi i otworzy drogę nowym wyprawom krzyżowym przeciw tatarskiej dziczy. Dalej leży Bizancjum, a jeszcze dalej grób Chrystusa, cel, którego osiągnąć nie zdołało rozdarte i skłócone chrześcijaństwo. Von Salza umiał

wyzyskać te przeciwieństwa. Von Orseln osadzać i strącać będzie papieży, królów i cesarzy; jak ongiś pax romana, nad światem zapanuje pax teutonica, zdobyta i utwierdzona mieczem Zakonu.

Werner pohamował rozbujającą dumę i wyobraźnię. Nocne myśli nierzeczywiste zdają się za dnia, a już szary świt znaczył zarysy wysokich okien i światła świec pożółkły. Dobrze jest widzieć daleki Cel, ale najbliższych nie wolno tracić z oka, a zwłaszcza przeszkód na drodze. Kłoda jest na niej Łokietek. I on wie, do czego zmierza, uparcie, zawzięcie, nieustępliwie, ale czymże jest jego cel wobec celów Zakonu!? Jednak odbudowa silnego państwa Piastów udaremnić musi zamierzenia Wenera, odcinając Zakon od życiodajnych źródeł jego siły. Karzeł widocznie to rozumie i dlatego za żadną cenę nie chce wyrzec się Pomorza. Zakon nigdy nie będzie go spokojnie posiadał, póki nawet myśl Łokietkowa nie zgaśnie. Skoro nie da się przejednać, trzeba go zniszczyć, z gruzów jego dzieła zbudować podwaliny takiej potęgi, jakiej nie było od czasów Karola Wielkiego.

Dzień świtał już, świece zgasły, znużona myśl Wenera wróciła do małych, codziennych spraw. Werner patrzył już trzeźwo, nie lekcewał nawet piasku w ciżmie, która chronić ma nogę w dalekiej drodze. Myślał o sprawie Hansa von Nendorf. Zuchwały a nieokiełzany młokos! Sprawki jego znowu znalazły się na Kapitule, po raz trzeci już nałożono na niego Jahresbusse i wykluczono z gotującej się wyprawy. Niekarność i zuchwalstwo nie były rzadkie, ale zazwyczaj jedna pokuta roczna starczyła, by złamać najtwardszego. Może przełożeni nie umieją z nim postępować, sposobną porą Werner sam wejrzy w tę sprawę.

Mimo to jeszcze usypiając wielki mistrz nie mógł się pozbyć myśli o Nendorfie i jak zmora dręczyła go nawet w ciężkim a niespokojnym śnie.

Na jednostajnym życiu Krzycha przygotowania do rejsu na Litwę odbiły się tylko wzmożoną pracą; wewnątrz pozostał nieporuszony. Przystawał więcej z końmi niż z ludźmi, a dochodzące go czasem wieści nie budziły żadnego oddźwięku. Nawet sojusz Łokietka z Giedyminem, który kładł kres żywej ongiś nadziei, że walkę z Litwą król za zasługę może mu poczyta, nie obszedł go. Jak koniom Krzycha obojętne było, kogo i przeciw komu niosą do boju, tak on od czasu spotkania z Saganem, wyzbywszy się nie tylko nadziei, ale i poczucia obowiązku powrotu do swoich, nie dbał o to, czy i przeciw komu walczyć mu przyjdzie. Zajęcia, dające mu swobodę, pozwalały na życie bez myśli, częsta samotność czyniła je znośnym. Umiał ją zresztą zachować nawet wśród ludzi, ze swej wysokości patrząc ponad ich głowy kamiennym spojrzeniem, nie odpowiadając na pytania, jeśli nie dotyczyły wprost jego zajęć. Uważano go za wyniosłego i pysznego, nikt nie próbował zbliżyć się do niego, unikali go nawet przełożeni. Obowiązki swe spełniał, a niewiedza, co się kryje za jego jasnymi i lśnącymi jak lód w słońcu oczyma, budziła nieokreślony niepokój.

Z jednostajnego bytowania, w którym czas nie znał śladu, wyrwał Krzycha rozkaz komtura, by wybrał i co prędzej objeździł dziesięć najlepszych koni, na podarunek dla czeskiego króla, i sam odprowadził je do Malborka. Krzych wzruszył ramionami: objeżdzenie nie nawykłych do siodła trzylatków wymagało dłuższego czasu. Niemniej wziął się natychmiast do pracy, dech z koni wypierając. Po tygodniu sam nie czuł kości i konie zeskapiały, ale można je było już brać pod siodło, z wyjątkiem przepięknego karego ogiera, który nie chciał zapomnieć żrebięcej swobody. Krzych postanowił dojeździć go jeszcze w drodze, postawił konie na owsie, by się podebrały, sam odpoczął przez kilka dni, po czym, wzięwszy tabunik, ruszył do Malborka.

W Elblągu, gdzie zatrzymał się na dłuższy popas, mówiono więcej o wojnie z Polską niż o rejsie na Litwę. Zawarty w Łęczycy rozejm kończył się w Boże Narodzenie, ale rejs zdał się oznaczać, że Zakon nie liczy się z podjęciem walki przez Łokietka, mimo że król odrzucał wszelkie próby polubownego załatwienia sporu. Krzychowi przyszło na myśl, że rejs może być także pozorem, celem uspienia czujności i tym skuteczniejszego zaskoczenia Polski. W drodze jednak z Elbląga do Malborka spotkał ciągnące przodem nad Niemen piechoty krzyżackie i chwilowe podniecenie przerodziło się w obojętność. W szare, grudniowe już południe dotarł do stolicy i zgłosił swe przybycie na zamek. Komtur domowy z zadowoleniem obejrzał konie, kazał je umieścić w stajniach zamkowych, a Krzychowi z koni arami stanąć gospodą w mieście, i czekać tam na rozkazy, oba zamki bowiem i przedzamcze zatłoczone były całkowicie.

Tu również gadano o wojnie z Polską. Krzych zaczął baczniej się przysłuchiwać i zamierzenia wielkiego mistrza stały się jasne: nie mogąc dojść do układu z zawziętym przeciwnikiem, postanowił go usunąć. Za narzędzie służyć miał wojowniczy Jan Luksemburski, który już przed koronacją Łokietka, z namowy krzyżackiej, podnosił

roszczenia do polskiej korony, jako spadku po teściu Wacławie. Ale wówczas w samych Czechach nie czuł się pewny na tronie, od Polski dzieliły go niezawisłe jeszcze księstwa śląskie, w znacznej części sprzyjające Łokietkowi. Teraz upewnił się w Czechach, zhołdował

większość Śląska. Zięć Łokietka, Bernard świdnicki, zmarł, Henryk wrocławski przestał być hołdownikiem polskiego króla, poróżniwszy się z nim o powieszenie rozbójnika, i zawarł

przymierze z Zakonem. Roszczenia swe mógł Luksemburczyk poprzeć siłą, tym łatwiej, że zaręczywszy córkę swą Annę z synem Karola Roberta, Włodzisławem, spodziewać się mógł, iż jedyny sprzymierzeniec Polski w walce między swoim teściem a dawnym dziewierzem i zarazem przyszłym teściem swego syna, pozostanie na uboczu. Wielki mistrz rozmyślnie zapewne nie czynił tajemnicy z toczących się na zamku układów, licząc na to, że wieść o nich dojdzie do Łokietka, który wreszcie zrozumie, że służy mu jeno wybór między zrzeczeniem się Pomorza a utratą tronu.

Krzych mimo woli myśleć zaczynał, jaki wpływ może to wywrzeć na jego własny los.

Zdeptał jednak wschodzącą jak trawa nadzieję: córka nie zna go, żona musiała zapomnieć, ludzie, do których ongiś zbliżyła go wspólna walka, będą nim gardzić. Wolał o tym nie myśleć, bo gardzić zaczynał sam sobą. Łokietek nieustępliwy jest, walczyć będzie jeszcze klęcząc. Ongiś Krzych sam życie chciał poświęcić, by mu dopomóc w jego zmaganiach, teraz się zastanawia, jaką korzyść może odnieść z jego klęski!

Klęska Łokietka zdała się nieunikniona, wrogowie, nawet każdy z osobna, górowali nad nim siłą. Zjazd w Malborku stał się pokazem potęgi i zasobności Zakonu, uczty, turnieje, gry rycerskie i płasy, na których nie brakło i niewiast, służyć miały zjednaniu Luksemburczyka dla planów wielkiego mistrza. Zgodnie ze swym ostrożnym usposobieniem wołał on jednak, by Jan czeski sam zniszczył lub skruszył przeciwnika. Przewidujący i nieufny, wiedział, że najgroźniejszym przeciwnikiem jest ten, kto na końcu ze świeżymi siłami przystępuje do walki oraz ile czasem na przebiegu spraw zaważyć może przypadek.

Dlatego spokojnie i statecznie opierał się wojowniczym członkom Kapituły, którzy zarzucali mu nadmierną ostrożność, niemal tchórzostwo. W poczuciu słuszności swego stanowiska umocniło go zajęcie, jakie zdarzyło się przed samym wymarszem.

Piechoty czekały już nad Niemnem na nadejście konnego rycerstwa, suchy mróz ścinał ziemię, na przyprószonym z lekka śniegiem łągu nad Nogatem stawały hufce jazdy, których przeglądu dokonać miał czeski król, jako honorowy wódz wyprawy. Tymczasem posilał się jeszcze w małym refektarzu w towarzystwie Wenera, który czekał na sprowadzenie koni, jakie przed wyjazdem zamierzał ofiarować królowi.

Gdy Krzych na wezwanie przyszedł do stajen, stajenni przybierali właśnie wierzchowce w barwne kropierze i bogatą uprząż. Przysłany przez Wenera brat służebny ponaglał ich. Darmo jednak usiłowali osiodłać karego ogiera. Gryzł, dębił się i bił kopytami.

Krzych go przytrzymał i wreszcie udało się zarzucić siodło, ale rumak wydał się tak, że stajenni nie mieli siły dociągnąć popręgów. Krzych odsunął ich i podszedłszy, potężnie kopnął konia kolaniem w brzuch, a gdy ten skurczył się, Krzych dociągnął zapinki i skoczył w siodło. Pod bramą zsiadł i sam ujął za wodze, koń bowiem niepokoił się i drżał, a gdy zabrzmiały trąby, oznajmiające nadejście dostojników, spłoszony znowu ciskać się począł. W

ciszy oczekiwania Krzych zdołał go jednak uspokoić, gdy na czele świetnego orszaku zbliżał

się właśnie król w towarzystwie Wenera. Wskazując na konie, wielki mistrz powiedział:

- Niechaj najlepsze, co należć można było w naszych stadninach, poniesie was od zwycięstwa do zwycięstwa i przyczyni chwały rycerskiej.

Ruchliwe oblicze króla o męskich, choć delikatnych rysach rozjaśniło się nie ukrywaną radością. Lubił konie i znał się na nich widocznie, bo ogarnąwszy je jednym rzutem bystrych oczu, przystąpił do kar ego ogiera, obejrzał go z wyraźnym zadowoleniem. Potem z tym samym zaciekawieniem obejrzał Krzycha, jakby i jego szacował, i ozwał się niespodzianie:

- Zgaduję, że wyście go objeżdżali. Sam ogień!

- Ja - odparł Krzych, a widząc, że król zaraz zamierza dosiąść rumaka, dodał:

- Nie dojeżdżony, dajcie baczenie...

Nie skończył, bo król zaśmiał się lekceważąco i włożywszy nogę w strzemień, lekko skoczył w siodło.

Nawet Krzych nic spodziewał się tego, co nastąpiło. Ogier z miejsca stanął dęba, mocno dopięty, a widocznie zleżały popręg pękł i król bez oparcia w strzemionach, kurczowo ściągając trzecie, przeważał konia w tył. Rumak walił się na wznak, zdało się, że zmiążdży jeźdźca. Obecni krzyknęli bezradnie, wielki mistrz załamał ręce, tylko najbliższy stojący Krzych nie stracił głowy i całą swą siłą i ciężarem pchnął konia, tak że przewalił się na bok i bijąc kopytami, usiłował się zerwać. Krzych skoczył i okraczył go, by znaleźć się na

grzbiecie z chwilą, gdy wstanie, i nie pozwolić mu rozhulać się. Inni rzucili się podnosić króla, Jan jednak wstał sam, roześmiał się beztrosko, jakby przed chwilą śmierć nie przeszła obok niego, i zwracając się do wielkiego mistrza, rzekł:

- Tymczasem koń sobie, nie mnie sławy przysporzył, bo to pierwszy, który mnie zrzucił. A więcej jeszcze dojeżdżaczowi, który, widzę, choć bez siodła, już go poskromić wydolił. Wynagrodzić go chciałbym, gdyby nie on, może na zawždy koń ostałby zwycięzcą.

Istotnie Krzych już opanował ogiera i oddając wodze nadbiegłym stajennym, zeskoczył na ziemię. Omal nie upadł. Teraz dopiero poczuł, że koń ugodził go kopytem w uszkodzoną swego czasu w krakowskiej mennicy stopę. Kulejąc i zaciskając z bólu zęby, podchodził do wielkiego mistrza, który przyzywał go skinieniem. Gdy się zbliżył, król Jan zapytał z troską w głosie:

- Co wam się stało?

- Koń musiał mnie potraścić - odparł Krzych.

Przybladł i czoło miał spotniałe od coraz przenikliwszego bólu. Widząc to, król powiedział:

- Medyk mój was opatrzy, jeno żal, że nie pociągniecie z nami.

Zdjął pierścień, włożył go Krzychowi na palec i uściskawszy dłoń jego, dodał:

- To nie nagroda, jeno znak, że wam wdzięczność wam dłużny. Sposobną porą upomnijcie się o nią.

Krzych w tej chwili nie myślał, jaką korzyść odnieść może z doznanej przygody. Z

trudem, przy pomocy pachołków, zawłókł się do infirmerii, gdzie medyk królewski opatrzył

go, zalecił leczenie i odszedł. Nie było wątpliwości, że Krzych skazany jest na dłuższą bezczynność, nie zamierzał jednak pozostać w infirmerii, mimo że wielki mistrz polecił

okazywać mu względy jak dostojnemu gościowi. Niecierpliwiły Krzycha odwiedziny, a drażniły pochwały jego męstwa i zasługi dla Zakonu, któremu ocalił cennego sprzymierzeńca.

Zbywał je odpychającym milczeniem, a wielkiemu szpitalnikowi, który sam przyszedł

dowiedzieć się o jego zdrowie, omal nie cisnął w oczy, że gdyby zastanowił się przedtem, nie byłby nawet ręką ruszył. Miał gorzką świadomość, że nigdy nie nauczył się przewidywać skutków tego, co



czyni. Nieznośna mu była myśl, że ludzie, z którymi społeczeństwem walczył ongiś przeciw Niemcom, mogą dowiedzieć się, że żyje i zasługuje się wrogom. Gadanie o tym zamilknie, gdy zniknie z oczu. Ledwo zdołał zwlec się o kiju, wybrał się w powrotną drogę, nikomu się nie oznajmiając. Rad był jeno, że ominęła go wyprawa. Chciał być sam, mieć spokój i nic więcej.

Pozbywszy się opieki nad Dawidem, Radocha poczet swój ze zdobycznymi końmi odesłał do gródka, sam zaś zabawił we Włocławku, by sprzedać łupy z brandenburskiej wyprawy. Przepuściwszy większą część z uzyskanej gotowizny, zebrał się do wyjazdu.

Wiosna już szła, ciepłe deszcze zmyły resztki śniegu, rozkisiły drogi, na polach stały kałuże śniegowych roztopów, wezbrane strumienie utrudniały przeprawy, toteż podróż wlokła się. W

Inowrocławiu nie popasł, dość miał już popijania z nieznanymi ludźmi, a pogoda tymczasem ustaliła się. Ciepły powiew w oczach wysysał kałuże, błękitne ich zwierciadła mętniały od wychylającej się ku słońcu świeżej roślinności; roilo się od ciągnącego na północ wodnego i błotnego ptactwa. Czas rozpocząć wiosenne roboty, Pizło ani nie zagładnie na wieś, jakby chleb z nieba spadał.

- Wszystko na mojej głowie - mrucał do siebie Radocha, ale udobruchał się, pomyślawszy, że za to o gródek troszczyć się nie potrzebuje, o konie, sprzęt i zaprawę ludzi.

Zimą chłopci w Nowej Trzebieży mieli karczować las, ziemi przybyć musiało i budulca nie braknie na dworzec. Stadninka już okazała, klacze pewnikiem się poźrebiły, baby też, za parę lat stawać będzie na wojnę z poczem liczniejszym niż Toporczycy z Szubina. Za nic go mieli, da się widzieć, kto lepszy!

Pycha rozděła Radochę, ale ukłuło go przypomnienie, że nie ma dla kogo się dorabiać.

Ciołek, którego mu przekazał koniuszy Budziwój, zdechnie bezpłodnie. Starość na karku, krzepa już nie ta, co była. Radocha westchnął i pycha wyszła z niego jak złe powietrze. Pół

wieku już niemal orze toporem, bronuje sulicą i młóci mieczem, na jednego zadość. Orać pługiem jeszcze może od świtu do zmroku. Gdy szedł za wołami, odwalając skibę, która kładła się jak fala przed dziobem czółna, zapach bydlęcego potu i świeżo poruszanej ziemi upajał go. Nie myślał wtedy, dla kogo orze, szedłby aż tam, gdzie ziemia z niebem się styka, prostą niby lot strzały, życiodajną ścieżką, jak szedł rodzic jego, dziad i pradziady, by z kolei pług przekazać synowi. Ale tę ścieżkę przeciął upiór w białym płaszczu i urwała się na zaoranym pogorzeliśku rodzinnego domu. Pług pozostał zhańbiony i niepotrzebny. Pizło już go nie tknął, ale w Radosze od nawyku do broni silniejszy był wciąż nawyk pokoleń do pługa.

Spieszył teraz, nowiny pora obsiać, las nie czeka, sieje się sam, wraca z uporem na wydarte sobie miejsce.

Ostatniego dnia podróży Radocha nie zatrzymał się na nocleg. Za parę godzin winien być w gródku, choćby zasnął, koń trafi sam. Co swój dach, to swój, wypoczywać pod nim najlepiej. Choć zrazu zdał mu się ponury i nieprzytulny, przywykł już do niego, nawet przywiązał się.

Gdy wjeżdżał w nadnoteckie bory, słońce zachodziło właśnie za mgiełkę, czerwone przeświecało przez nią jak złoty pieniążek, zacierało się i zgasło, ale wkrótce wychylił się peł

- ny księżyc i posrebrzył szary półmrok lasu, siejąc swe światło przez splątana sieć gałęzi i konarów. Ptactwo umilkło już, jeszcze tylko drozdy ostrym pogwizdywaniem mąciły leśną ciszę lub chrapnęła przelatująca słonka. Gdzieś bardzo daleko rechtały dziki, czasem zaszeleścił drobny zwierz po zeszłorocznym listowiu. Znużony całodzienną drogą koń przeszedł w stępa, a Radocha nie poganiał go. Myśli mąciły mu się, podrzemywał, aż usnął na dobre.

Zbudziło go potknięcie się konia. Otworzył oczy i rozejrzał się, ale w szarej mgle widać było tylko niepewne zarysy najbliższych pni. Do świtu musiało już być niedaleko, a do gródka też, bo z drzew dochodziły złe syki budzących się cietrzewi. Samo ich tokowisko leżało na mszarze przechodzącym w bagno, przez które wiodła grobla. Schodziły na tok, raz za razem słyhać było łopot skrzydeł, pierwszy kogut gulgotał już, wyzywając przeciwnika.

Radocha lubił patrzeć na ich zawzięte, choć bezkrwawe walki. Gdy las się uciał, zatrzymał konia, czekając, aż się rozjaśni. Tuż nad głową przeleciał mu cietrzew, o paręnaście kroków opuścił się na wrzosowisko, po chwili nadał się, rozcapierzył ogon i rozpoczął

wojenny taniec. Był tak blisko, że wyraźnie słyhać było szelest suchych wrzosów, po których szurał lotkami, zarazem szukając i strasząc przeciwnika.

Radocha sięgnął do łubów po łuk, ale rozmyślił się. Wytokowany stary kogut chudy będzie i tykowaty. Niech sobie tańczy, kiedy wiosna. Młode na jesieni będą tłuste i smaczne.

Pchnął konia, spłoszony cietrzew odfrunął, a Radocha, minawszy mszar, wjechał na groblę.

Dniało, mgła siadała, przeświecał przez nią blady błękit. Z gródka dochodziły już pierwsze odgłosy dnia. Nim Radocha dojechał pod bramę, strażnik poznał go widocznie mimo mgły, bo opuścił bronę. Radocha zapytał go o Pizłę, oddał konia i poszedł do świetlicy.

Pizło pożywiał się właśnie. Na widok druha mruknął coś pełną gębą, podsunął mu misę z polewką i kołacz. Przez chwilę jedli w milczeniu. Radocha skończył pierwszy, otarł

wąsy, przeciągnął się i zapytał:

- Cóż nowego?

- Nic - odmruknął Pizło, a po chwili dodał: - Starosta Henryk przysłał szczeniaki.

- Później obejrzę - rzekł Radocha.

W ciepłe i sytości ogarniała go znowu senność. Dość miał obozowego i karczemnego gwaru, z przyjemnością myślał o własnym wyrku w zacisznej komorze. Zdjął zabłocone ciżmy, cisnął je w kąt i otworzył drzwi. Słońce już wzeszło, ale w komorze panował

bursztynowy półmrok. Sosnowe wióry w małym okienku niewiele przepuszczały światła.

Radocha wpięrow usłyszal spokojny i głębowi oddech, nim spostrzegł na swym legowisku skuloną, małą postać. Cofnął się, zdumiony.

- Skąd się tu znaj dek wziął? - zapytał.

- Wždyś mu sam rzekł, by wracał.

- Źle mu było u Zelczyny?

- Nie gadał.

- Od ciebie by się gadać nauczył! A jako się woła?

- Wołam to go! Źreć ostawię i robi, co chce. Nie trza mu opieki.

- Tyżeś radził, by go Zelczynie oddać. Prawda, że i piastun z ciebie jak z capa wierzchowiec.

Pizło ramionami wzruszył.

- Potrzebny ci znajdek, to go masz. Kiejś wrócił, jadę z końmi do kowala, i rzemieni przykupię.

- Jedź! Ja spać idę.

Radocha posłał sobie na ławie, ale nie mógł usnąć. Podniecony był i dumny. Do niego znajdek wrócił!

Chłopiec, istotnie obrotny i zaradny, nie potrzebował opieki, ale pod jej pozorem Radocha przebaraszkował wiosnę i lato. Sam jak wyrostek wałęsał się z chłopcem po lesie i bagnach, podbierając gniazda ptakom, łowiąc ryby i raki lub zgoła bez celu. Zaniedbał nawet gospodarkę, zauważywszy, że chłopiec między ludźmi nieufny się staje i spłoszony.

Poniechał też dopytywania, skąd jest i jak się zowie, bo gdy raz i drugi spróbował, chłopiec milknął nastroszony. Radocha zresztą nie chciał już wiedzieć, ale miano jakieś trzeba było dać chłopcu, by go nie wołano znajdkiem. Ważył coś w sobie i postanowił uradzić z Pizłą, który jeno mruknął:

- Obmyśliłeś szczeniakom, to obmyśl i jemu.

- Z tobą gadać! Głowię się, jakie by najlepiej do Ciołka przystawało. Może Budziwój, jak koniuszemu było?

- Tędy cię wiedli - rzekł Pizło, ale wcale nie zdał się zaskoczony. Radocha powiedział

z namysłem:

- Budziwój Ciołek z Radoszyna!

- Co ta będziesz przymierzał. Ciołek do obory przystaje lubo do chlewa.

- Z tobą gadać - powtórzył Radocha urażony. - Albo to Ciołek gorszy niżli Stary Koń, Świnka lub Baran?

- Na tym się nie wyznawam, ale widzę, o coć idzie. Tedy go nazwij Sędziwój, jako jest panu na Szubinie. Będzie się pieklił, bo to pono rodowe imię Toporczyków, oni zasię za najlepszych się mają.

Radocha pokręcił głową.

- Co go będę pod cudze podszywał.

- Jak pod swoje, to go nazwij Radek. I ciebie tak doma wołali. Żle ci z tym było?

- Praweś - westchnął Radocha. - Albom to gorszy niżli oni „woje”? Jenó zdałoby się jakowąż uroczyństwo odprawić, postrzyżyny czy jak, by ludzie pamiętali i życzliwość mieli ku niemu.

- Kudły zda mu się ostrzyc, bo pełno w nich igliwia i suchych liści - mruknął Pizło. -

Komu trzeba - i tak będzie pamiętał, a spędu mi tu nie rób, bo i chłopak do ludzi się nie garnie. I kogóż, u licha, prosić zamyślasz?

- Możeś i praw - z namysłem przytwierdził Radocha.

Istotnie nigdy dotąd u nikogo nie gościł z rycerskich sąsiadów ani w goście nie prosił, wiedząc, że się za lepszych od niego uważają, a za złe mu biorą, że chłopów rozpuszcza. Szło mu jeno o starostę Henryka, którego lubił i przychylność jego dla chłopca chciał pozyskać.

Dawno jednak Henryk nie był w gródku, a Radocha teraz dopiero uprzytomnił sobie, że i on od powrotu z brandenburskiej wyprawy nie pokazał się ni w Nakle, ni w Rynarzewie.

- Starostę zdałoby się zaprosić - bąknął.

- Dobrze, żeś go sobie przypomniał, boś mu nawet za szczeniaki nie podziękował.

- Czasu nie stało - odparł Radocha i nie czekając na drwiny Pizły, ciągnął: - Pojadę do niego. Żniwa w stodole, psy zdałoby się wypróbować na łowach, a i dowiedzieć się, co w świecie słyhać.

Sam wiedział, że nazbyt sobie pofolgował. Zebrał się zaraz i pojechał do Nakła.

Starosty jednak nie zastał, dowiedział się jeno, że wyjechał wezwany przez króla. Wieści dochodziły, że Luksemburczyk ciągnąć ma do Malborka, rzekomo przeciw Litwie, ale zgoła nie było pewne, co w końcu uknuje z Krzyżakami, i należało gotowym być na wszystko.

Radocha z żalem myślał, że minął czas beztroski i trzeba odrobić zaniedbania. Jesienne roboty były pokończone, w powrotnej drodze przeto ściągnął ze wsi co tęższych parobków na ćwiczenia i objazdy. Wkrótce jednak nastały słoty, aż do mrozów nie było obawy poważniejszego starcia i Radocha znowu baraszkować począł. Utopiony w bagnach gródek, połączony ze światem jeno

rozkiłą groblą, zda się, pojaśniał. Całymi dniami Radocha zabawiał się wraz z chłopcem zaprawianiem psów, a w długie wieczory, siedząc przed kominem, prawił o swych przygodach, znalazłszy wreszcie wdzięcznego słuchacza, choć nie bardziej niż Pizło mownego. Ale nawet Pizło, często siadując razem, nie poprawiał i nie przerywał, choć znał to wszystko równie dobrze jak Radocha. Raz jeno, gdy ten opowiadać jął, jaką drogą wraz z towarzyszem znaleźli się w lesie, Pizło niespodzianie warknął:

- Ostaw!

Radocha spojrział na druha zdziwiony, bo opowiadał tak, jak iście było, ale Pizło wzrokiem wskazał na chłopca; trząśł się, twarz mu przybladła, wyraz oczu miał dziki i półprzytomny. Radocha szybko odwrócił, i zaczął prawić o swych łowieckich zamierzeniach.

Wojka szczenna już jest, trzeba ją szanować, ale Uchacz sam jeden wydoli przytrzymać dzika, a nawet wilka zadusić. Za rok sfora już będzie niezgorsza, choćby do niedźwiedzia się brać.

Radek jednak, który zazwyczaj o psach i łowach słuchał ze świecącymi z podniecenia oczyma, teraz zdał się nawet nie słyszeć. Radocha przeto zaprowadził go do komory, gdzie razem sypiali. Gdy wrócił do świetlicy, Pizło syknął:

- Co mu prawisz, kędy droga z domu do lasa! Radocha nic nie odrzekł, ale długo w noc siedział przed ogniem, zadumany. Ile piskłat ze zniszczonych gniazd zmarniło się i marni.

Nie nowe zakładać, jeno za zniszczenie odpłacić.

Koło północy Radocha wyszedł na pole. Zaczynał prószyć pierwszy śnieg, może będzie ponowa, choć i wiatr się ruszył. Ale nie myślał o łowach na zwierza, nie na to tu osiadł. Ułożył się wreszcie, ale długo nie mógł zasnąć, bo wiatr wzmagął się, przechodząc w zawieruchę, a Radek rzucał się przez sen niespokojnie.

Obudził Radochę niski głos szczekającego Uchacza. I psy nie do łowów, jeno do straży zaprawia, ich czujności nie zwiedzie ciemność ni zawieja. Wymiarkować trzeba, jak zwierza głośzą, a jak człowieka. Zdałoby się jednak wziąć je na łowy.

Gdy zaskrzypiały zmarznięte wrzeciądże, psy, zamiast rozszcekać się, umilkły.

Chyba ktoś swój przyjechał, z grodowych wszyscy byli na miejscu. Ani chybi - starosta. W

taką porę!

Radocha ubierał się co prędzej, zarazem zmieszany i rad. Że to nie zwykłe odwiedziny, tego był pewny. Zarzucił kozuch, by wybiec naprzeciw gościa, ale starosta wchodził już, zaśnieżony od stóp do głów. Zrzucił futrzaną jakę z kapturem, strzepnął śnieg z brwi i wąsów i zaklął, ale bez złości:

- Bierz lichu wasz gródek. Ani drogi znaleźć do niego. Wodziło mnie całą noc. Żreć dajcie, a potem spać idę.

- Zeście się w taką porę wybrali - wtrącił Radocha, ale Henryk odparł:

- Nie wybrałem się, jeno z Brześcia jadąc, zboczyłem do was. Król przykazał

gromadzić siły, ile wydoli, bo nie wiada, co poczną Krzyżaki.

- Mówili mi o tym w Nakle, gdzie był, by za psy wam podziękować.

- Niech wam służą. Ninie mnie usłużyły, bo żeby się nie odezwały, byłbym gródek minął w zawiei.

W tej chwili wszedł Pizło, za nim pacholek z ręcznikami i naczyniem, a przez otwarte drzwi wpadły ośnieżone psy i w podskokach, ze szczekaniem rzuciły się ku Henrykowi.

Radocha zerwał się wyganiać, ale starosta rzekł:

- Ostawcie! Nagroda im się należy.

Nie czekając na zaproszenie, jął się pożywiać, karmiąc jednocześnie psy, przy czym zauważył:

- Widzę, że suka szczenna już. Przecie się coś urodzi w waszym klasztorze.

Urwał i patrzył ze zdziwieniem. Zwabiony widocznie głosami psów, z komory wyszedł

Radek, ale na widok obcego cofnął się, zmieszany. Starosta zaśmiał się.

- Widzę, że i inny przychówek macie. Czemuż przede mną kryć, kiedy nie wstyd.

- Do ludzi nie nawykły. Niedawno tu jest.

- Jakoże się wabi?

- Radek.

- Po oćcu? Nawet podobny do was - powiedział starosta. Radocha patrzył

podejrzliwie, czy starosta nie kpi, ale ten ciągnął:

- Niech się wam zdrowo chowa. Będziecie go chcieli przysposobić, wstawię się u króla. Krewniaków nie macie, by się o puściznę lubo prawa bliższości darli, tedy myślę, że trudności czynić nie będzie, bo i wam przychylny. Teraz rozumiem, co was tu trzymało, żeście się u mnie nie pokazywali. Byście jeno nie zależeli pola, bo gdy człek nie siebie samego jeno ma, lęka się ostawić sieroty na Bożej łasce lub - co gorsze - krewniaczej.

- Bądźcie spokojni - odparł Radocha. - Waszej łasce go polecam, a ruszać mogę, choćby zaraz. Zawždy jednak milej człeku, gdy wie, że ktosi na niego czeka.

- Możecie jechać, to jedźcie do Nakła, a ja się prześpię, bo jakoby mi kto piasku w oczy nasypał - rzekł starosta, ziewnąwszy. - Niechaj kasztelan, nie mieszkając, wici roześle.

Gdy starosta udał się na spoczynek, Radocha wyszedł, by wydać zarządzenia, a potem

- gotów już do drogi - pozywiał się, nad czymś zamyślony. Niespodzianie zapytał druha:

- Prawdali to, że Radek do mnie podobny?

- Kup se źrzadło, to sam uznasz. Żeby jeszcze wąs miał...

- Mało gadasz, ale za to głupio - fuknął Radocha. - Chłopca mi pilnuj, by się nie włóczył samotnie.

Poszedł go pożegnać, ale musiał przyznać, że nie wyjeżdża z tak lekkim sercem jak ongiś.

Łokietek i bez poufnych wieści domyślał się, o czym radzono w Malborku. Pamiętał, że z poręki Luksemburczyka, który mienił się królem Polski jako spadkobierca Wacławów, wybuchł krakowski bunt, uniemożliwiając skuteczną obronę Pomorza. Z poduszczenia i z poparcia Zakonu Jan czynił w Kurii zabiegi, by udaremnić koronację Łokietka, podnosząc swoje roszczenia. Teraz, gdy upewnił się na tronie czeskim i osadził na Śląsku, siłą ich będzie dochodził. Poszukiwacz przygód i pieniędzy, niewątpliwie po jedno i drugie uda się do Prus, ale wyprawa na Litwę mogła być też pozorem ściągnięcia sił na północ, by wspólnie z Krzyżakami uderzyć.

Król zjechał do Brześcia, gotując się do odparcia napaści, zaraz jednak po Nowym Roku doszła go wiadomość, że rejs na Litwę istotnie wyruszył, ale przerwały go ostre mrozy i w połowie stycznia Jan wrócił do Czech, a Krzyżacy, jak zwykle po wyprawie, rozpuścili miejskie i najemne wojska. Łokietek, uspokojony, przed powrotem do Krakowa jął się załatwiania zwyczajnych spraw, gdy z początkiem lutego posłańcy wojewody Jaśka Leliwy na zagnanych koniach przynieśli wieść, która poderwała króla: Jan luksemburski ze znacznymi siłami wkroczył przez Kłodzko na Śląsk i idzie na Kraków, wojewoda gotuje opór w pogranicznym Sławkowie.

Łokietek natychmiast ściągnąć kazał, ile konnych wojsk było pod ręką, i czekając na nie niecierpliwie, snuł gorzkie myśli: dziesięć jeno mil dzieli Śląsk od stolicy. Po buncie umocnione jeszcze obwarowania i połączenie z zamkiem pozwoliłyby długo stawić opór, jeżeli mieszczaństwo dotrzyma wierności. Ale tego nie był król pewny. Na czele mieszczaństwa postawił wprawdzie ludzi, których wierność wypróbował czasu buntu, ale nie braknie chętnych podnieść go znowu, jeśli Luksemburczyk zapewni miastu przywileje, których odebraniem król je ukarał. Gorycz pogłębiała myśl, że zagrożenie stolicy z jego nieobliczalnymi następstwami zawdzięcza śląskim krewniakom. Wolą hołdować obcemu niżli najlepszemu spośród siebie, wyrzekli się nawet wspólnego znaku rodowego, białego orła.

Haniebne wyrodku, niegodne go nosić! Niewiele lepsi najbliżsi mazowieccy krewniacy: niedołęgi lub głupcy, wpatrzeni w koniec swego nosa, a najgorszy z nich płocki Wańko, wraz ze swym biskupem szczujący innych przeciw stryjowi, niezdolny przewidzieć, że prędzej czy później sam padnie ofiarą własnych knowań.

Doczekawszy nadejścia jazdy, król ruszył na jej czele na południe. Nie żałując siebie, ludzi ni koni, jednym dniem dotarł do Przedcza, ale tam odetchnął: Luksemburczyk przeliczył

się, sądząc, że Karol Robert nie będzie się mieszał do spraw między teściem a przyszłym swojakiem. Poselstwo węgierskie groźbą zerwania zamierzonego związku i wypowiedzenia wojny, na którą Jan nie był przygotowany, zmusiło go do odwrotu.

Łokietek z wdzięcznością myślał o węgierskim zięciu, a z rozczuleniem o córce, pewny, że jej wpływowi na małżonka zawdzięcza szybką i skuteczną pomoc. Żywością swą i wdziękiem umiała ująć męża dla swego kraju i rodziny, do której szczerze była przywiązana, a zwłaszcza do brata. I jemu potrzebne będzie to cenne przymierze, sposobną porą wysłać należy Kazimierza do Budy, niechby się nim siostra nacieszyła, on zaś zaprzyjaźnił się z dziewierzem i poznał siostrzeńców. Pierworodny Karol zmarł wkrótce po urodzeniu, ale Włodzisław i Ludwik chowają się zdrowo. Król sam rad by uściskał wnuków, ale wiedział, że nie ujrzy ich nigdy. Zażegnany przed osiemnastu laty rzezią gdańską spór z Zakonem tli się wciąż, zmuszając do ustawicznej czujności i gotowości, by nie prześlepić chwili, gdy znowu wybuchnie pożarem. Nie gasiły go nawet krótkotrwałe rozejmy, których żadna ze stron nie chciała i nie mogła dotrzymać. Napaść Luterberga na wracające z Marchii wojska była oczywistym zerwaniem rozejmu łeczyckiego. Należy za to odpłacić, korzystając ze skupienia własnych sił, a rozpuszczenia krzyżackich i wycofania się Luksemburczyka. Płocki Wańko od swych krzyżackich przyjaciół wie już niechybnie o najeździe króla czeskiego, a nie może jeszcze wiedzieć o jego odwrocie, sposobność jest, by bratankowi przypomnieć pokrewieństwo i podziękować za knowania z wrogiem, nim Krzyżacy zdołają wesprzeć sprzymierzeńca. Do Płocka konno jeno dwa dni drogi, król będzie tam, nim wieść doleci o pochodzie. Kazał Wojciechowi z Kościelca z pieszymi ciągnąć za sobą, po drodze, jeśli się da, ubiegając Gostynin, a sam - omijając go - z konnymi ruszył na Płock.

Wańko istotnie wiedział o zamierzonym najeździe Luksemburczyka i sądził, że stryj jest już daleko na południu, spiesząc na obronę Krakowa. Toteż wieść o napaści, którą obudzono go w nocy, zdała mu się nieprawdopodobna. Sam jednak, wypytawszy posłańca gostynińskiego, pozbył się wątpliwości. Nie miał pod ręką sił na obronę miasta, ściągnął

przeto, co się dało, do grodu, i pchnął gońców do brata Ziemowita i to toruńskiego komtura z zawiadomieniem o najeździe i prośbą o pomoc. Zamknął się w grodzie i czekał, przeklinając i modląc się, by pomoc nadeszła w porę. Za nic nie chciał spotkać się ze stryjem.

Na spotkanie nie czekał długo. Nisko w dole leżąca w szarej mgiele przedświt płaszczyzna poczerniała od zbrojnego ludu. Wańko bezradnie patrzył, jak nadchodzące gromady rozsypały się po przystani, a za chwilę przez mgiełkę przeświecać jęły płomienie, po czym w mroźnym powietrzu zawlokły się dymy, zakrywając przed oczyma księcia dzieło zniszczenia. Wiedział, że przepelnione na skutek zamarcia żeglugi składy stają się łupem, a wyciągnięte na brzeg statki i łodzie żerem płomienia. Wiedział też jednak, że Łokietek bez pieszych wojsk nie pokusi się o zdobywanie grodu położonego łącznie z zabudowaniami kapituły i katedrą na wysokiej szkarpie wiślanej, umocnionej murem i basztami.

Król rad by porozmawiać także z biskupem Florianem, ale czekać musiał na nadejście wojewody z pieszymi i sprzętem, a tymczasem rozłożył się w mieście i wysłał podjazdy, licząc się z nadejściem odsieczy dla Wańki. Niecierpliwił się coraz bardziej i ogarniać go jęły podejrzenia, że wojewoda rozmyślnie zwleka z przybyciem, by szczerzyć swego brata biskupa. Stosunki między nimi nie były wprawdzie braterskie, ale król żywił nieufność do możnych rodów, których więź przetrwała jedność



państwa, odbudowa jego nie była im na rękę, a zastępowanie rodowych dostojników nowymi, od siebie jeno zależnymi ludźmi, niesporo szło, budząc niechęć i opór.

Nie doczekawszy się wojewody, Łokietek trzeciego dnia ruszył do Gostynina, zostawiając jeno część jazdy, by strzegła dostępu do grodu i na podjazdy, celem zbierania wieści.

Gostynin również nie dał się zaskoczyć, ale znacznie mniej obronny niż Płock, łatwiej mógł ulec niezbyt wielkim siłom Łokietka. Król, stwierdziwszy, że mimo mrozu wojewoda poczynił już przygotowania do natarcia, postanowił nie rozpraszać sił i kończyć szybko z Gostyninem. W ciągu tygodnia poczyniono wyłomy w umocnieniach i zdało się, że gród lada dzień padnie lub podda się, gdy przybyli zbiegowie z Kowala z wieścią, że komtur toruński, Hugo von Almenhausen, niespodzianie nocą naszedł gród, zdobył go i zrównał z ziemią.

Jednocześnie podjazdy z Płocka doniosły, że - paląc i niszcząc - nadciąga chełmiński Otto von Luterberg.

Ważniejsze było odparcie najazdu niż ukaranie Wańki, król pchnął wici do Lubrańca, Chodczy i innych pobliskich grodów, nakazując ciągnąć pod Włocławek, zagrożony przez Luterberga, sam zaś na czele jazdy ruszył na Kowal, gdzie dotarł pod wieczór. Nie zważając na zmęczenie i zapadający zmrok, niespodzianie uderzył na Hugona, mimo zacieklego oporu rozbił go i tylko zapadająca noc ocaliła niedobitków. Klęska Hugona była zupełna, sam komtur poległ, ale i król poniósł znaczne straty. Nie wiedząc, z jakimi siłami ciągnie Luterberg, wolał zaczekać na resztę swych wojsk spod Gostynina i pozostawioną w Płocku część jazdy.

Mimo pomyślnego wyniku potyczki król chmurny był. Nie cieszyło go zwycięstwo odniesione wyborem swych wojsk nad jednym komturem. Almenhausen, mimo zaskoczenia, opanował popłoch, a choć otoczony i bez nadziei zwycięstwa, bronił się zaciekle i sprawnie do końca. Zwycięstwo nie było tanie, a szybkość, z jaką Zakon przyszedł na odsiecz swemu sprzymierzeńcowi, mimo rozpuszczenia wojsk po litewskiej wyprawie, jaskrawo odbijała od powolności, z jaką sam król na każdą potrzebę ściągać musiał siły. Krzyżacy jednym dniem od ręki wzięli Kowal, gdy on przez dziesięć dni daremnie oblegał Gostynin, choć gród miał

jeno drewniane i ziemne obwarowania. Zakon zdobył swe zabezpieczenia murowanymi zamkami, a królowi brak zasobów na sprzęt i zaciąg najemników, umiejących się z nim obchodzić; nawet w otwartym polu męstwem i liczbą trzeba wyrównywać wyższość krzyżackiego uzbrojenia, karność i umiejętność walki. Może istotnie słuszość ma Kazimierz, że kosztem Pomorza należałoby pokój uzyskać z Zakonem, a zasoby obracać na umocnienie odbudowującego się państwa.

Król gniewnie odegnał myśl, wypływającą z chwilowego przygnębienia. Nie o jedną dzielnicę walczy, ale o byt narodu i państwa; nie można żyć z takim sąsiadem, którego zachłanność nie zna granic. Niechaj jątrzy się sprawa, niech palą i niszczą, niech krzywda budzi nienawiść. Gdy wzbierze jak rzeka, gdy każdy zrozumie, że walczy o życie, gołymi rękami zdławią potwora.

Wojak nie śmie jednak wiedzieć, że wódz prowadzi do klęsk, miast do zwycięstw.

Niechaj się radują wczorajszym, może na długo starczyć im musi. Król samotnie przeżywał

gorycz słabości, nie wolno jej okazać ni swoim, ni wrogom.

Przemógł ją i w sobie. Gdy ongiś, wyzuty z resztek skromnej ojcowizny, uchodził z Sieradza na wygnanie, nie zostało mu nic, krom własnej zaciętości i wytrwałości. Nikt na świecie nie byłby uwierzył, że kiedyś sięgnie po koronę. Jak zaprzysiągł przy koronacji, nigdy nie wyrzeknie się ni piędzi ziemi, bez walki do ostatniego tchu. Krzyżakom do czasu uporania się z Litwą potrzebny jest pokój z Polską. Nie będą go mieli.

Doczekawszy nadejścia reszty wojsk z Gostynina i Płocka, król ruszył naprzeciw Luterberga, by wyprzedzić go w zagrożonym Włocławku. Biskup Maciej to nie Gerward.

Miast gotować obronę swej stolicy, zapewne modli się i płacze. Tymczasem jeszcze w drodze doszła króla pomyślna wiadomość: Giedymin, swym zwyczajem, najazdem odpłacił

Krzyżakom za najazd, rozejm wileński w rzeczywistości przestał istnieć, sojusz Polski z Litwą znowu nabrał znaczenia; choć jeszcze słabsza niż Polska uzbrojeniem i sztuką wojenną, zawsze ciosem odpowiadała na cios zmuszając Krzyżaków do podziału sił.

We Włocławku król zastał już ściągające wojska. Luterberg musiał wiedzieć o tym, a przestrzeżony losem Almenhausena, niszcząc tymczasem i grabiąc, zapewne też czeka na posiłki. By temu zapobiec, król pchnął znaczniejszy oddział jazdy pod kowalskim kasztelanem Przybysławem Trojanowicem. Rozłożywszy pozostałe wojska obozem, sam za -

jechał do biskupiego dworca u ujścia Zgłowiączki do Wisły, połączonych fosą dawnego grodu książęcego, w którym za czasów Chrobrego stała zawsze gotowa na rozkaz załoga ośmiuset pancernych i dwu tysięcy tarczowników. Teraz gród i miasto należą do biskupa, a na zgromadzenie wojsk czekać trzeba i nigdy nie wiadomo, kiedy i ile się zbierze.

Biskup Maciej istotnieomal nie płakał, opowiadając o dokonanych przez Luterberga spustoszeniach jego majątności. Łokietek zrazu słuchał cierpliwie, dziwiąc się tylko, że jednych ojców synowie mogą być tak różni, jak Maciej i Henryk. Ale gdy biskup napomknął, że należałoby się ułożyć z Zakonem, bo chyba z jałmużny żyć mu przyjdzie, król stracił

cierpliwość i fuknął:

- Katedrę swoją macie pod bokiem, jeno że i dziady o swe miejsce pod kościołem walczyć muszą. Kto swego bronić nie umie, temu zdychać.

Maciej umilkł, urażony i spłoszony, a król pomyślał, że tu zdałby się Nanker. Nigdy i nikomu nie ustąpił, zawsze gotów do walki o swe prawa. Ale krakowski biskup, uzyskawszy po trzyletnim procesie uznanie swego pierwszeństwa po metropolicie, przeniósł się do Wrocławia. Widno nie zapomniał zniewagi, a i król rad był, że nie zastanie go już w Krakowie. Zamierzał obsadzić opróżnioną stolicę przez gnieźnieńskiego proboszcza Ottona, ale papież Jan, znając ze studiów w Bolonii Jana Grotowica, bez porozumienia z królem, jego zamianował. Łokietek nie zamierzał spierać się, Groto wic również cieszył się jego zaufaniem, a znajomość z papieżem Janem zapewnia mu wpływy w Kurii.

Król odwrócił myśli do innych spraw: Przybysław nadesłał wiadomość, że osadził

Luterberga, zniósłszy parę drobnych oddziałków, które niszczyły i rabowały. Od jeńców dowiedział się jednak, że z Malborka nadciąga sam wielki mistrz; z jakimi siłami - nie umieli jeńcy podać, mimo że się z nimi Przybysław nie bawił.

Wieści raczej zdziwiły, niż zaniepokoiły Łokietka. Zima miała się ku schyłkowi, mróz złamał się, wkrótce nastaną roztopy. Pora do wielkiej wojny ani odpowiednia, ani zbyt korzystna dla Zakonu, gdy ruszył się Giedymin, a Luksemburczyk zawiódł. Niemniej król sposobił się do rozprawy, gdy niespodzianie zjawił się Przybysław z posłańcami wielkiego mistrza. Werner prosił o wyznaczenie czasu i miejsca spotkania, celem omówienia, jak zapobiec dalszemu rozlewowi krwi chrześcijańskiej.

Poczta zakonna przenosiła wieści szybko i wielki mistrz wiedział już o wycofaniu się Luksemburczyka i najazd Łokietka na Wańkę stał się zrozumiały. Wiadomość o nim przesłał

Almenhausen przez landkomtura Henryka von Gera, donosząc jednocześnie, że wyrusza z siłami, jakie ma pod ręką. Nie wiadomo było jeszcze, co i jakimi siłami przedsięwziąć zamierza Łokietek i landkomtur natychmiast polecił chełmińskiemu Luterbergowi wesprzeć Almenhausena, komturom zaś Gołubia, Kowalewa i Brodnicy ściągnąć siły na dobrzyńską granicę i stać w pogotowiu, sam zaś pognął do Malborka po rozkazy.

Werner nie sądził, by pora była do rozstrzygającego starcia sposobna, obawiał się natomiast, że przeciwko niemu dojdą do niego bardziej wojowniczy członkowie Kapituły. Mimo doznanego zawodu nie zamierzał wyrzec się współdziałania króla czeskiego w zniszczeniu Łokietkowego państwa. Luksemburczyk szybko rósł w siły, opanował już niemal cały Śląsk, a równie szybko zwykł zmieniać przyjaźnie i przymierza, gdy mu stawały się niepotrzebne.

Prędzej czy później nadejdzie chwila, kiedy przestanie się liczyć z Karolem Robertem, a dochodzić znowu swych roszczeń do polskiej korony. Tymczasem należy zabezpieczyć się od Giedymina, przeciąć niebezpieczny związek między Polską a Litwą, który Wenera niepokoił.

Plany swe rozkładał na lata i nie pozwolił im sobie pokrzyżować niecierpliwością.

Nie zwołując Kapituły, natychmiast ruszył na południe z samym pocztem przybocznym, przesławszy Luterbergowi rozkaz unikania bitwy. Do Łokietka zaś skierował

prośb o spotkanie. Ufał, że dzięki znajomości ludzi i wymowie uda mu się doprowadzić do układu i uspić czujność zawziętego przeciwnika. Gdy przyjdzie pora, roszczenia Luksemburczyka starczą za pozór do rozprawienia się z Łokietkiem, a Jan czeski za ich poparcie chętnie zapłaci udziałem w zdobyczy.

W Nieszawie Werner zastał Luterberga, który z łupem i jeńcami wycofał się za Wisłę.

Sroga zima ustępowała już przed ciepłym powiewem z południa, po lodzie płynęła woda, obfite śniegi zmieniały się w grząską maź. Jeden deszcz i lody puszcza, Wisła zamieni się w jezioro, a kraj

w bagno.

Widząc, że sama przyroda kładzie kres walce, Łokietek odpowiedział wielkiemu mistrzowi, że oczekiwać go będzie w Szpetalu pod Włocławkiem. Nie chciał, by biskup Maciej brał udział w spotkaniu, a trudno go było odsunąć pod jego własnym dachem. Król niczego się zresztą po układach nie spodziewał, walka w rzeczywistości i tak ustała, jeden więcej rozejm dla obu stron stanowić będzie - jak poprzednie - jeno podstawę wzajemnych zarzutów. Król chciał tylko poznać przeciwnika i wymiarkować jego zamiary. Kasztelan Przybysław wyjechał już naprzeciw wielkiego mistrza, lada chwila winni przybyć i król czekał w małym refektarzu zgromadzenia cystersów, przechadzając się w zamyśleniu. Było wczesne, ale chmurne popołudnie. Wnętrze izby mroczniało, małe okienka bowiem niewiele dawały światła, ciągnął natomiast przez nie od rzeki wilgotny chłód. Król kazał zamknąć okiennice i przynieść świece. Przemierzał izbę szybkim krokiem, widocznie zniecierpliwiony.

Przystanął, nasłuchując, i zwrócił się do wojewody Wojciecha:

- Jada! - mruknął, usiadł naprzeciw drzwi przy końcu długiego stołu z prostych tarcic.

W sieni rozległ się chrzęst zbroi i brzęk ostróg. Drzwi otwarły się i stanął w nich komornik, oznajmiając przybycie oczekiwanych.. Wszedł wielki mistrz, a za nim landkomtur von Gera i kasztelan Przybysław. Zatrzymali się przy drzwiach i Werner patrzył na króla, jakby czekając na powitanie. Gdy jednak Łokietek nie poruszył się ni odezwał, zaczął:

- Laudetur Jesus Christus!

- In secula - odpowiedział Łokietek i wskazując Wernerowi miejsce na przeciwległym krańcu stołu, odezwał się po polsku:

- Siadajcież!

Werner, wiedząc, że król zna język niemiecki, od razu pomiarkował, iż Łokietek podkreślić chce, że nie on prosił o rozmowę. Udał jednak, iż nie spostrzegł sztywnego przyjęcia. Von Gera natomiast, podrażniony, że król zdał się nie zwracać uwagi na jego dostojną osobę, mierzył go wyzywającym spojrzeniem. Wernerowi nie na rękę byłoby zajście, dlatego wskazując na towarzysza, powiedział:

- To jest brat Henryk von Gera, były wielki komtur, ninie landkomtur chełmiński.

Ponieważ nie znam waszej mowy, wy zasię niemieckiej, pośredniczyć będzie między nami.

Łokietek obojętnie głową skinął, a Krzyżacy usiedli i zdjęli hełmy. Teraz król lepiej mógł się przypatrzeć Wernerowi. Lat nie wyżej trzydziestu, urodziwy, jasne oczy pod ciemnymi brwiami w pociągłej twarzy, o wyrazie dobrotliwym i rozumnym. Ruchy miał

powściągliwe i spokojne, głos opanowany, a słowa jakby odważał, gdy podjął:

- Zda mi się, że łatwiej dojdziemy do porozumienia, gdy - jak przystało przywódcom państw i narodów - nie o wczorajszym dniu mówić będziemy, jeno jak na przyszłość sprawy ku obopólnemu dobru ułożyć.

Von Gera widocznie zamierzał tłumaczyć, Łokietek jednak, nie czekając, odparł po polsku:

- Najłatwiej zapomnieć własne przewiny. Ale ja pamiętam, komu wdzięczność winienem, a komu odpłatę.

Von Gera przekładał półgłosem, a Werner poważnie głową kiwał. Podjął:

- Iście pamięć darem jest Ducha Świętego, który pozwala z grzechów się oczyścić, a od nich zasię nikt wolny nie jest. I to prawda, że własne grzechy wyrzucić z niej najłatwiej, a o cudzych pamiętać i chętniej człek sędzią bywa niżli podsądnym.

Król zamierzał odpowiedzieć, ale Werner ciągnął:

- Bóg mi świadkiem, iż nie ze strachu rękę wyciągam do zgody. A i przed ludzkim sądem świadków mógłbym stawiać, że zapalczywych braci hamuję, by nie mścić krwi, przelanej w niepotrzebnych walkach między chrześcijanami, gdy bezecne pogaństwo imieniowi Pańskiemu urąga. Skoro Bóg kierownictwo chwale swej poświęconego Zakonu w moje ręce zawierzył, nie czułbym się czysty w sumieniu, raz jeszcze własną osobą nie podjąwszy próby uładowania spraw między nami, by krew braci, Jego służbie poświęconych, nie płynęła w godnych pożałowania sąsiedzkich sporach. I wy za nią zdacie Bogu rachunek.

Łokietek, który postanawiał wybadać jeno zamierzenia Wenera, nie wdając się w stawianie ni odpieranie zarzutów, podrażniony fałszem, odparł popędliwie:

- Na mojej ziemi popłynęła ta krew. Gdyby jeno z waszej zdać mi przyszło Bogu rachunek, pewny byłbym zbawienia.

Wyraz twarzy wielkiego mistrza nie zmienił się, gdy von Gera gniewnie słowa Łokietka przełożył.

- Brat Almenhausen żywota zbył, w poczuciu rycerskiej czci na pomoc spiesząc napadniętemu niesłusznie sprzymierzeńcowi Zakonu - powiedział Werner. - Zali mu to za złe, nie za chlubę poczytać należy? Wždy i wam Zakon przyjaźń i przymierze ofiarował.

Gdybyście je przyjąć zechcieli, też od niego czekaliście pomocy w razie napaści.

- Pono wasz statut zabrania pomocy przeciw chrześcijanom, ale nie moja to sprawa -

sucho odparł Łokietek. Pomnę ci ja natomiast pomoc, jakiej mi von Plotzke w Gdańsku udzielił, gdy mnie najechali margrafowie. Słucham, co macie mi rzec. Jeśli nic ponad to, co mówił poseł wasz, von Schwarzburg, trudziliście się daremnie.

Werner zdał się namyślać, gdy landkomtur przekładał. Podjął:

- Wiem, co miał rzec brat Siegehard, widno jednak przekonać was nie umiał, choć nie nowina mu posłowanie. Oto i teraz układ o pomoc wzajemną z krewniakiem waszym, Jerzym halickim, zawrzeć wydolił.

Wiadomość była zła, choć można było jej się spodziewać. Twarz króla zmierzchła; Zakon osacza go ze wszystkich stron. Werner, udając, że nie spostrzegł wrażenia, jakie wywołał, ciągnął:

- Wracacie do nieszczęsnych wypadków, które kością niezgody legły między nami.

Wždy już od nich dwadzieścia niemal lat minęło, pamięć ludzka zawodna jest. Brat von Plotzke twardym był człkiem, być może, w surowości swej przekroczył miarę. Łacno jednak dziś oszczerstwa miotać przeciw niemu, gdy sławną śmiercią legł i czci swej bronić nie może.

Łokietek stracił cierpliwość. Gwałtownym ruchem odgarnął włosy z czoła i rzekł

ostro:

- Wasza dostojność sędzią chce być nad sędziami, oszczerstwem zowiąc zaprzysiężone zeznania świadków, na których sąd wyrok oparł. Nie mnie mówić, że Zakon zawsze praw jest, nawet gdy zdradą niewiasty i dzieci wyrzyna.

Von Gera, przekładając, aż się zacinał ze złości, a wyraz twarzy Wernera stwardniał.

Odpowiedział oschle:

- Zakon z ludzi ułomnych się składa, ale sam jeno sędzią nad nimi. Nie będę wzajem waszych zbrodni wypominał, bo nie spierać się przyjechałem. Własnego zapytajcie sumienia, komu winę niszczenia i rabunku domów Bożych, mordowania Jego sług i hańbienia służebnic przypisać. A własny rozum niechaj wam odpowie, co krom hańby wobec całego chrześcijaństwa przyniosło wam przymierze z podstępny poganinem, który jednocześnie z tatarskim Uzbekiem przeciw Krzyżowi się zmawia. Iście godny chrześcijańskiego władcy związek!

Łokietek wstał. Żył nabiegły mu na skroniach, ale powiedział spokojnie:

- Mnie rozum mówi, że niemiły wam ten związek. O wiarołomstwo zasię pomawiajcie Giedymina tam, gdzie was nie znają, bo ja wiem, kto, jak i dlaczego zamiar jego ochrzczenia kraju udaremnił.

Werner wstał również, panował jednak nad sobą. Z tym przeciwnikiem słowami nic nie wskóra i nie słowami poszuka zadośćuczynienia, ale wtedy gdy uzna, że pora dla Zakonu korzystna. Powiedział z pozornym ubolewaniem:

- Wolę nie rozumieć, co macie na myśli, choć sama podejrzliwość i nieufność wasza obelżywa dla mnie. Odkładam na bok urazę, bo nie w swojej sprawie tu przybyłem.

Uczyniłem, co mi nakazywało sumienie, i nie mnie skala krew, jeśli znowu popłynie. Nie wierzycie w dobrą wolę, za nic was przekonywać. Ale ostawcie sobie czas, by spokojnie rozważyć, zali nie więcej strat przyniosło wam już, niżli korzyści obiecuje, dobijanie się o ten płacheć zakonnej ziemi, który swoim mienicie.

Łokietek zmarszczył brwi. Nim rozpęta się wojna z Zakonem, spokój sobie zapewnić należy od strony Marchii, a z ziemi dobrzyńskiej i Mazowsza usunąć niedołączonych bratanków, na których opór

w razie najazdu liczyć nie można. Odparł:

- Rozejm możemy zawrzeć, choć niczego to nie odmieni.

- Tedy na rok odłożmy miecze. Modły zarządzę, by Bóg umysł wasz odmienił, bo w tym jeno przeszkoda błogosławieństwa pokoju.

Król głową skinął. Wiedział, że choćby tego nawet szczerze pragnął wielki mistrz, z Zakonem pokoju nie będzie, bo Zakon z wojny rzemiosło sobie uczynił. Obu stronom rozejm potrzebny tylko po to, by się do wojny przysposobić. Królowi potrzebny był wypoczynek.

Trudy i niewczasy zimowej wyprawy nadszarpnęły jego siły, drobna postać jakby zmaląła jeszcze, pochylona pod brzemieniem, które dźwigał już od pół wieku, a nie miał z kim podzielić. Ubywało wypróbowanych współpracowników, po Gerwardzie zmarł wojewoda Tomisław Rawicz z Ostrowa, kasztelan Pakosław Lis z Mstyczowa, Jaśko Leliwa chorzeje i nie obiecuje długiego żywota. Trudu codziennych spraw ujął już wprawdzie ojcu królewicz Kazimierz, ale najcięższego brzemienia walki z Zakonem nie można mu zawierzyć.

Łokietek sam dźwigać je musi do końca.

Werner w bezpośrednim zetknięciu z Łokietkiem zrozumiał, że tego przeciwnika nie da się ugiąć ni kupić, że świadomy jest niebezpieczeństwa, jakie jego dziełu grozi ze strony Zakonu i nadciągające starcie nie do pierwszego przykłonienia będzie, lecz do ostatniego tchu. Obydwaj przeciwnicy rozjechali się z przekonaniem, że rozejm to nawet nie chwilowy spokój, lecz jedynie odroczenie walnej rozprawy. Nie było tajemnicą dla Wenera, że jeszcze przed odjazdem do Krakowa Łokietek ściągnął do Włocławka mazowieckich bratanków, a dokonane z nimi zamiany dzielnic jawnie świadczyły, że nie ufa książątkom, z którymi Zakon zwykł sobie radzić pieniądzem czy postrachem, i pogranicze obsadza własnymi siłami, pieczę nad nią powierzając wypróbowanym ludziom: z Dobrzyńa usunął wdowę po Ziemowicie wraz z synem Włodzisławem, oddając w zamian w dożywocie Łęczycę, łęczyckiego zaś wojewodę, Paszkę Ogończyka, ustanowił starostą ziemi dobrzyńskiej; Przemkowi za Inowrocław i Wyszogród oddał Sieradz. Jaśko z Płonkowa, którego osadził w Wyszogrodzie, już poprzednio dał się we znaki pogranicznym komturium. Tylko Kazimierz gniewkowski oparł się stryjowi, zapewne licząc na to, że uda mu się w nadchodzącej rozgrywce pozostać na uboczu. Wielki mistrz uśmiechnął się na tę myśl: Kazko w czasie zajmowania Pomorza, gdy powierzoną miał przez stryja obronę silnego grodu w Tczewie, umiał jeno na klęczkach błagać von Plotzkego o odstąpienie. Skwapliwie skorzystał z drwiącego zezwolenia na swobodne wyjście, mimo że miasto broniło się jeszcze. Z nim nie będzie i teraz kłopotu.

Werner wypatrywał słabych stron Łokietka, nie zamykając oczu i na własne, niczym w grze w szachy, którą uważał za sprawdzian bystrości umysłu, a rzadko spotykał godnego przeciwnika. W Malborku nie było nikogo, kto by choć przez chwilę potrafił stawiać mu opór. Prostacy woleli grę w kości, wbrew regule grywając o pieniądze. Wielki mistrz patrzył

na to przez palce, z pogardliwą wyrozumiałością. Swoich celów nie ziści dziesięcioma sprawiedliwymi, działać trzeba takimi, jacy są, byle jak pionki na szachownicy poruszali się wedle jego woli. W samotności swej izby zwykł był grywać w szachy sam z sobą, a jedyną żywą istotą,

która nie zakłócała toku jego myśli, był piesek maltańczyk, dar landmistrza Apulii. Gorące, wyłączone przywiązanie tego stworzenia wzbudziło w chłodnym i opanowanym sercu Wenera nie znane mu cieplejsze uczucie, piesek stał się jego nieodstępnym towarzyszem. Sypiał w nogach jego łoża, gdy Werner modlił się na klęczkach, warował cichutko z pyszczkiem między łapkami, towarzyszył mu nawet na modłach w zamkowej kaplicy. Gdy zwyczajem samotników Werner myślał głośno, piesek potakująco merdał puszystym ogonkiem, każdy ruch swego pana śledząc rozmiłowanym spojrzeniem bystrych, czarnych jak tarki ślepków. Toteż po powrocie z Włocławka Werner pod pozorem zmęczenia zbył dostojników, witających go i dopytujących o przebieg i wynik układów, a rozkoszował się szalem radości, z jaką witał go piesek. Gdy wreszcie uspokoił się, spożyli razem wieczerzę i wielki mistrz, gładząc jedwabistą sierść, zatopił się w rozmyślaniach.

Nadciągająca rozgrywka to jednak nie gra w szachy, w której Werner bez ochyby przewidzieć umiał wszelkie możliwe ruchy każdej figury, poruszały się bowiem wedle ustalonych reguł; w wielkiej grze natomiast, jaką prowadził, nie było żadnych. Trudno kierować nawet własnymi pionkami, a tym mniej przewidzieć, co poczną obce ważniejsze figury. Jan luksemburski, któremu Werner wyznaczał w tej grze rolę królowej, przypominał

raczej konika, zdolnego nawet zeskoczyć z szachownicy. Przyczyna zawodu ostatnio przezeń uczynionego wyjaśniła się wprawdzie: Karol Robert popadł w spór z Habsburgami o Bratysławę, Jan chciał na nich zdobyć Karyntię. By Karola zjednać do wspólnej przeciw nim wyprawy, Luksemburczyk nie chciał mu się narażać. Ale położenie zmieniło się.

Koronowany w Rzymie przez antypapę na cesarza, Ludwik Wittelsbach ogłosił

złożenie Łokietka z tronu i podarował Polskę swemu synowi. Papież odpowiedział

wezwaniam do krucjaty przeciw Wittelsbachom. Łokietek jednak przez Wincentego z Szamotuł zdołał z margrafem Ludwikiem zawrzeć rozejm na lat trzy i ten czas Luksemburczyk musi wykorzystać. Jeśli ubiec zechce nowego współzawodnika do polskiej korony, niewątpliwie zażąda krzyżackiej pomocy. Trudny wybór między współzawodniczącymi sprzymierzeńcami Zakonu trzeba przynajmniej odsunąć, a tymczasem posłużyć się czeskim królem, by zniszczyć lub choćby osłabić Giedymina, na którego liczy Łokietek. Karol Robert pogodził się właśnie z Habsburgami, nie weźmie udziału we wspólnej z Luksemburczykiem przeciw nim wyprawie, który wobec tego również od niej odstąpi. Nie powinno być przeto trudności z ponownym ściąganiem Jana przeciw Litwie.

Werner wiedział, że wojowniczy król lubuje się w ludziach wyróżniających się siłą i sprawnością; przyrzekł pamiętać i odwdzińczyć przysługę wyświadczoną przez konfratra Na -

łącza. Postanowił go sprowadzić do Malborka na czas pobytu Luksemburczyka.

Przemyślawszy plan własnych poczynań, wielki mistrz usiłował myślą przeniknąć przeciwnika. Łokietek nie jest królem z szachownicy, którego starczy osaczyć, by wygrać.

Nawet strącony, potrafił wrócić do gry. Zbyt doświadczony jest, by nie widzieć przewagi Zakonu. Na co liczy, upierając się przy Pomorzu, którego nie odzyszcze, a stracić może wszystko. Ugodzić się winien, nawet jeśli nie wierzy, by za tę cenę kupić zdołał wieczysty pokój z Zakonem. Musi mieć



swoje wyrachowanie, którego Werner nie mógł zrozumieć, budziło to w nim niepokój. Zmęczona jego myśl zeszała na łatwiejszą drogę: Łokietek stary już jest i sterany, jego następca - niedoświadczony młodzik. Werner jest w pełni lat męskich, cokolwiek zajdzie - przetrzyma Łokietka.

W nocną ciszę wdarł się przenikliwy głos sygnaturki, wzywającej braci na Nachtdienst, i Werner ukląkł do modlitwy. We wspólnych modłach wołał nie brać udziału, by nie wysłuchiwać kłamliwych usprawiedliwień nieobecności wielu braci. Wiedział nawet, że nie wszystkich opieszalnych zastałby w dormitorium. Utrzymywanie karności wśród nich zepchnął na niższych przełożonych, sobie pozostawiając łagodzenie kar zbyt surowych.

Ustami modlił się, ale nie mógł powstrzymać rozbujającej myśli, teraz krążącej dokoła wewnętrznych spraw Zakonu. Nie wszystko było w nim, jakby sobie życzył, ale nauczony doświadczeniem niejednego ze swych poprzedników, nie zamierzał przeprowadzać zasadniczych zmian. Najgłębszą rysę w jednolitości Zakonu stanowiła niechęć braci mieszczańskiego pochodzenia do potomków możnych rodów. Choć Zakon założony został

przez mieszczan, droga do wyższych dostojęństw została dla nich zamknięta, mimo że wykształceniem i karnością górowali nad prostackim, często niepiśmiennym rycerstwem.

Werner, potomek rycerskiego rodu, sam niemal od chwili wstąpienia do Zakonu piał się po szczeblach godności, ale doce - niał też mieszczan, im powierzając stanowiska wójtów, pfliegerów i w miarę możliwości zastępstwo naczelnych urzędów. Rzadsze wśród nich bywały wypadki zuchwalstwa i niekarności, pospolite u rycerskich braci. Znowu na myśl przyszedł

Wernerowi Hans von Nendorf, choć od roku nie słyszał o nowych jego sprawkach; może wreszcie zdołano go złamać.

Gniewało jednak Wenera natręctwo tej myśli, której nie mógł się pozbyć nawet układając się na spoczynek. Sprawa Hansa była jaskrawsza od innych, ale nie ważniejsza, Werner nie zwykł niczego lekceważyć, zajmie się Hansem w swoim czasie. Teraz chciał

spocząć, znużony już był. Wychylił kubek wina, by zwabić sen, i usnął istotnie, zanim w ciemności przestały się jarzyć knoty zgaszonych świec. Rozpędzona myśl jednak pracowała dalej, jeno - zmęczona snem i winem - przechodziła w zmorę. Czuł ucisk, jakby ktoś klęczał

mu na piersi, wyduszając z niej oddech, a członki ogarniał taki bezwład, że nie mógł nawet podnieść powiek. Ocknął się jakby pod dotknięciem zimnego palca na swej twarzy i poderwał

się ze stłumionym krzykiem. Odetchnął z ulgą, słysząc tuż koło siebie cichutkie skomlenie psa. To on dotknął go wilgotnym noskiem, usiłując polizać po twarzy; zapewne pan jego jęczał przez sen.

Werner nie wierzył w sny, przeczucia, wróżby i horoskopy, wbrew swym dostojnikom nie przestrzegał trzydziestu dwu feralnych dni, ustanowionych przez mistrza Paryża. Wierzył

we własny umysł i posłannictwo swe w Zakonie. Przytulił miłe stworzenie, słuchając, jak miarowo bije jego wierne serduszko, czuł, że świadomość odpływa niczym wzburzona fala, aż rozplynęła się

we śnie, teraz już spokojnym i posilnym.

Posłaniec wielkiego mistrza z rozkazem stawienia się w Malborku odnalazł Krzycha koło Słupska, krzątającego się przy założeniu stadniny dla nowej komturii. Werner tym razem me z mieczem, lecz z kieszą wyciągał ramię zakonne ku szczecińskiemu Pomorzu, tym samym umacniając się na gdańskim. Ziemię słupską nabył od Barnima tytułem antychretycznego<sup>29</sup>

zastawu na lat dwanaście, ale urządził się jak w swoim, pewny będąc, że lekkomyślny książę zastawu nie wykupi.

Rozkaz odrywał Krzycha od zajęć dających mu zupełną swobodę, z dala od zbiorowego życia zakonnego i przełożonych. Dzięki temu Krzych zdołał niemal zapomnieć, gdzie jest i komu służy. Otrzymały rozkaz przywołał go do rzeczywistości, posłaniec bowiem przywiózł mu zbroję, odzież i pieniądze na drogę. Oznaczało to, że wziąć ma udział w wyprawie, rzekomo przeciw Litwie. Trudy i niebezpieczeństwa były mu obojętne, ale z niechęcią myślał o czekającym w natłoczonym Malborku gwarze przygotowań, uczt i uroczystości we dnie i o nocach we wspólnym dormitorium, do którego nigdy nie mógł

nawyknąć. Toteż nie kwapił się, wykorzystując w drodze ostatki swobody i samotności. W

Malborku zjawił się w sam dzień wigilijny. Wielki mistrz zajęty był poselstwami i gośćmi, Krzych przeto zgłosił swe przybycie komturowi domowemu i z ulgą przyjął polecenie, by stanął gospodą w mieście, zamek bowiem znowu wypełniony był do ostatniego miejsca.

Zaniepokoiła Krzycha posłyszana w gospodzie wiadomość, że Jan luksemburski z początkiem grudnia wyruszył z Pragi przez Śląsk, gdzie przyłączyć się mają do wyprawy zhołdowani Bolesław ziembicki, Bolesław brzeski, Włodzisław legnicki i Henryk wrocławski, zaprzańcy Piastowego rodu, z zawiści do Łokietka gotowi służyć każdemu jego wrogowi. Droga ze Śląska do Prus wiodła przez sam środek Łokietkowych ziem, jeśli król przemarszowi sprzeciwi się siłą, miast wyprawy na Litwę, rozpęta się wojna z Polską. Wielki mistrz liczył się z tym, a może nawet na to liczył, gdyż zaraz po świętach ruszył na spotkanie króla Jana do Torunia, z licznym orszakiem, w którym znalazł się Krzych. Wprawdzie Werner niewątpliwie zabiegał o przychylność czeskiego króla, wrażliwego na oddawane mu hołdy, ale nie potrzebował w tym celu aż własną osobą witać go na granicy ziem krzyżackich.

Krzych jechał przygnębiony, zdało się, że nadchodzi to, przed czym wzdragał się: walka przeciw swoim.

Wieść o wyzywającym poczynaniu Jana czeskiego doszła Łokietka w Poznaniu. Nie dane mu było ni przez krótki czas zażyć spokoju, by pomyśleć o sobie i swoich. Nie zamierzał

<sup>29</sup>Zastaw antychretyczny - Zastaw z przypadkiem przedmiotu w razie braku zwrotu pożyczki. Wprawdzie podjął rękawicy rzuconej przez Luksemburczyka, który umyślnie nie prosił nawet o zezwolenie na przemarsz przez Polskę, by okazać, że mu niepotrzebne, gdyby jednak Łokietek przeciwstawił się temu, rozpętać mógł wojnę na dwu granicach, bez pomocy sprzymierzeńców. Karol węgierski z namowy swych doradców gotował się do uderzenia na Wołoszę, Litwa, skłonna

do zbójeckich raczej napaści, nie zwiąże sił Zakonu. Niemniej Łokietek nie mógł spoglądać beczynnie na obecność w kraju potężnych wojsk wroga.

Pobiegli gońce do leżących przy drodze ze Śląska do Torunia grodów z rozkazem wzmocnienia załóg i stawienia oporu, gdyby Jan pod jakimkolwiek pozorem próbował zyskać wstęp do nich. Kujawskie i dobrzyńskie siły kazał król gromadzić na chełmińskiej granicy, sam zaś z wielkopolskim rycerstwem ruszył na Pyzdry, w ślad za Luksemburczykiem.

Widząc gotowość Łokietka, Jan uznał położenie za niekorzystne i przyspieszył pochód, omijając miasta i grody. Z początkiem stycznia po zamarznętej już Wiśle dotarł do Torunia.

Łokietek zatrzymał się w Inowrocławiu, czekając na dalszy rozwój wypadków. Gdy nadeszła wiadomość, że wielki mistrz wraz z Janem czeskim pociągnęli do Malborka, wojska wielkopolskie odprawił, sam zaś postanowił odwiedzić starostę Henryka w niezbyt odległym Rynarzewie, by naradzić się nad położeniem i wypocząć. Zabrawszy z sobą jedynie wojewodów, Wojciecha i Paszka, w mroźny styczniowy dzień, bez uprzedzenia, zajechał do Henrykowego dworca.

Starosta witał króla, zarazem rad z zaszczytu i zmieszany, że nic nie przygotował na przyjęcie dostojnego gościa. Gdy jednak począł czynić wymówki, że król nie zawiadomił go o zamierzonych odwiedzinach, Łokietek uciał dobrotliwie:

- Jeść pewnikiem masz co, dworzec, widzę, obszerny, nie będziem spać w stodole. Nie przyjechałem ucztować, jeno odpocząć i spokojnie pogwarzyć o tym, co dalej poczynać.

- Sam tu gościem bywam - odparł Henryk - jeno co wróciłem z Wyszogrodu od Jaśka z Płonkowa. Ale coś się zawždy najdzie spożyć i wypić. Zechciejcie się rozgościć, miłościwy panie, jak u siebie, i spoczywajcie choćby rok, bo widzę, że iście zda się wam wypoczynek.

- Dałby Bóg choć miesiąc, a dobry i dzień. Ale nie nad tym nam radzić, jak wczasować.

- Wždy syna macie już żrałego, pora, by ujął wam ciężaru.

- Pogadamy i o tym. Ninie rad sobie przed kominem posiedzę, by odtajac, bo stara krew nie grzeje, a ty się zakrzątnij koło gości, skoro niewiasty u ciebie jak nie było, tak nie ma. Tobie by o synu pomyśleć, pono jeszcze rodzic twój na śmiertelnym łożu żenić ci się przykazał.

- Święta wola rodzica, tylko nie mówił kiedy. Alem sobie ślubowałem, że jeno spokój nastanie, wraz się ożenię.

Król uśmiechnął się, choć niewesoło.

- Kręt z ciebie, kiedy tam spokój będzie! Daj Bóg, by doczekały go wnęki. Ale skąd ich weźmiesz, gdy synów nie ma.

- Żeby o co, jak o to - lekko powiedział Henryk. - Dobrze, że mi się przypomniało: rycerz Radocha prosić was zamierzył, byście mu przysposobić zwolili wyrostka, który skądś za nim przylazł. Nawet podobny do niego, a bez małżonki się obeszło.

- Tedy już żenić się nie zamyśla?

Starosta wyszedł wydać zarządzenia, a król zamyślił się o ważniejszych sprawach.

Groźba walki na dwóch granicach chwilowo minęła. Uderzenie krzyżackie skierowane było przeciw Giedyminowi, ale nie oznaczało to bynajmniej spokoju. Położenie było drażliwe, zrok rozejmu z Zakonem jeszcze nie wyszedł. Jeśli król cały ciężar walki pozostawi sprzymierzeńcowi, przepuściwszy na domiar bez oporu wraże siły przez swój kraj, Giedymin bez ochyby pozostawi Polskę bez pomocy, gdy na nią z kolei przyjdzie uderzenie. A Łokietek nie wątpił, że przyjdzie. Rozejm kończył się za miesiąc, Krzyżacy w tym czasie wrócą z Litwy i skorzystają z obecności Luksemburczyka, by go namówić do napaści.

Jeno usiedli do stołu, król począł mówić o tych sprawach. Wojewoda Wojciech rzekł:

- Giedymin zrozumieć musi, że ręce macie związane rozejmem. Gdybyście go nie strzymali, pozór damy Zakonowi, że słuszną wojnę prowadzi.

- Prawda i to - powiedział król - ale za nic wyjaśnienia, gdy raz nieufność posiana, a i czas nie czeka. Dobrze to Werner ułożył, bogdaj go!

Król wąs szarpał w rozterce, Wojciech i Paszko milczeli, ale Henryk zabrał głos:

- Ułożył Werner, to mu rozłożyć. Liczy na rozejm, niechaj się przeliczy. Co tam po dworach o nas prawić będzie, na to nam się wypiąć. Gdy słusność była nasza, pomógł nam kto? Komu Zakon potrzebny, jemu ją przyzna, komu my - nam. Wždy łośkiego roku mimo rozejmu Luterberg aże pod Kiecko się zapędził, rzekomo w pościgu za zbójcami. O pozór nietrudno. Jedno pewne, że dogodniej nam zacząć, gdy Krzyżaki z Janem na Żmudzi bawią, a Giedymin nie będzie mógł rzec, żeśmy go w potrzebie bez pomocy osławili.

- Wszystko to prawda - przytaknął król - ale pozór trzeba mieć. Prawisz, że on łącno, tedy najdź.

- Ani mi szukać. Brat mój Maciej kolektorem jest świętopietrza z Pomorza i chełmińskiej diecezji, o które się Krzyżaki dawno ze Stolicą Świętą spierają. Juści, że mu nie płacą, a Maciej - ciepłe piwo - ni palcem nie kiwnie. Ale niechby od was świeckiego ramienia zażądał, z papieskim błogosławieństwem wyczyścimy Krzyżakom lamusy i spichrze, a Kuria już zadba o to, by nas za pobożną gorliwość chwalono.

Paszko parsknął śmiechem, uśmiechnął się nawet król, choć zdawał sobie sprawę, że postanowienie rozstrzygnie o rozpętaniu ciężkiej walki, o przebieg której nie mógł być spokojny. Polska w jego rękę dopiero zrastać się zaczyna, złe nawyki dwu wieków podziału wolno ustępują, nie zagrożone dzielnice nie chcą widzieć wspólnego niebezpieczeństwa. Ale też władza najsilniejsza jest czasu wojny, a wspólnie przelana krew najjęźszym bywa spoiwem.

Król przestał się wahać. Z wdzięcznością spojrzął na Henryka: znenawidzony przez Krzyżaków, własną osobę, dostojeństwa i majętności stawić gotów tak lekko jak stare ciżmy.

Beztroska jego była zaraźliwa. Uśmiechnął się do gospodarza, mówiąc:

- Tedy jedź do Macieja, niechaj zaraz wezwie chełmińskiego Ottona o spłatę zaległego świętopietrza, z zagrożeniem, że siłą będzie ściągnięte. A wy - zwrócił się do wojewodów -

bądźcie w pogotowiu.

- Tedy i nam jechać, miłościwy panie - rzekł Paszko. - Gdzie zbór wyznaczyć?

- W Dobrzyniu. Z Brześcia kanclerza mi przyślijcie, by pismo wygotował dla Wincentego z Szamotuł, który z nim do margrafa pojedzie. Ja tu na syna poczekam, bo jemu kiedyś sprawy kończyć przyjdzie, tedy niech się przyucza. Pół wieku mija, odkąd wojować zacząłem, a końca nie widać. Sił mi będzie potrzeba.

Król pozostał sam, odpoczywał i myślał. Los pruskiego narodu był przestroga, że pokój z Zakonem może być tylko pokojem niewolnika, zdanego na łaskę bezlitosnego pana.

Nawet umierać lżej z bronią w ręku.

Zamierzenia wielkiego mistrza Łokietek odgadł trafnie. Werner natomiast pomylił się co do jego zamierzeń. Wiedział o ściągnięciu sił nad Wisłę, sądził jednak, że jak poprzednio król uderzy na Płock. Teraz zakazał spieszyć z pomocą sprzymierzeńcowi, ułożył już z królem Janem, że dzielnica Wańki stać się ma lennem czeskim, walka płockiego księcia ze stryjem sprzyjała tym zamierzeniom.

W Malborku nie było uczt, zabaw i turniejów, połączone wojska bezzwłocznie ruszyły na Królewiec. Ostra zima, która położyła lodowy most na Zalewie Kurońskim, stwarzała dogodną sposobność, by obejść bezludny, pełen zdradliwych zasadzek pas nadniemeńskiej puszczy i niespodzianie uderzyć na zasobny kraj przybrzeżny nad Jurą i Anczą. Droga była łatwa i szybka, trzystu rycerzy czeskich, niemieckich i francuskich z pocztami, dwieście białych płaszczy i osiemnaście tysięcy wojska ze sprzętem oblężniczym uderzyło na bezbronny niemal kraj, szerząc popłoch i zniszczenie. Kto zdołał ująć choćby z gołym życiem, chronił się w licznych grodach, których główną ochronę stanowiła woda, teraz ścięta w lód, drewniane zaś i ziemne obwarowania nie dawały oparcia przeciw krzyżackim machinom. Tym razem Werner spodziewał się silną stopę postawić za Niemnem, obsadzając zdobyte grody swymi załogami, duży krok na wytkniętej sobie drodze.

Ostatniego stycznia pod wieczór wojska jego opasały Medwiagołę. Opustoszałe osady zajęła starszyzna, reszta rozłożyła się obozem. Łuna tysięcy ognisk zgasiała blaski gwiazd, szum i gwar niósł się daleko w mroźnym powietrzu, tylko położony na niewielkim wzniesieniu gród, jak ciemna wyspa w morzu światła, przysiadł w trwożnym milczeniu, choć wypełniony był po brzegi. Sześć tysięcy uchodźców czekało w nim swego losu. Paręset ludzi licząca załoga niczym była wobec krzyżackiej przewagi, jeńców Krzyżacy brać nie zwykli.

Do jutrzejszej walki gotowali się wesoło, na wyprawie nie obowiązywała wstrzemięźliwość, milczenie i modlitwy, zrabowanego bydła, drobiu i świń był nadmiar, nie brakło miodu ni piwa i ucztowanie ku uczczeniu jutrzejszego zwycięstwa przeciągało się do późna.

Werner, choć wolałby spokój i ciszę, polecił nie hamować powszechnej wesołości, wiedząc, że król

Jan lubuje się zarówno w gwarze uczt, jak i bitew. Wydawszy zarządzenia na dzień następny, wielki mistrz również zasiadł do biesiady w obszernym namiocie, wraz z królem i dostojnikami. Luksemburczyk nie gardził uciechami stołu, upodobanie miał do zbytku i okazałości, a wielki mistrz dogadzał tym słabostkom wszystkimi sposobami, by zjednać jego przychyłność. Dopóki nie rozstrzygnie się walka z Łokietkiem, był

najważniejszym ze sprzymierzeńców. Niedoświadczonemu zdać się mógł Jan hojnym, dobrodusznym, rycerskim i wylewnym, Werner wiedział jednak, że w istocie chciwy jest, podstępny, zmienny i bezwzględny; pomny, że ojciec jego był cesarzem, niewątpliwie kiedyś sam zechce wyciągnąć rękę po cesarską koronę, a wówczas poparcie Zakonu będzie mu potrzebne. Werner nie zamierzał jednak zaciągać żadnych zobowiązań; drogi ich mogą się rozejść. Tymczasem jednak wspólna jest, choć każdy jeno swoje ma na oku. Nie szczędził

Janowi pochlebstw, podarunków i rozrywek, z uwagą słuchał jego rad i uprzedzał życzenia.

Sądząc, że król rad będzie widział Nałęczą, zwłaszcza w czasie walki, w której lubił brać osobisty udział, i chcąc mieć przy królu pewnego człowieka, choćby dla ochrony cennego sprzymierzeńca, podsuwał mu Krzycha. Podejrzliwy jednak i przezorny, wywiedziało się naprzód o niego, pochodzenie mogło budzić wątpliwości. Werner zdawał sobie sprawę, że Łokietek nasyła ludzi, by mu donosili, co się w Zakonie dzieje; rozpatrzywszy się jednak, zbył podejrzeń: milczący odludek, zajęty jeno końmi, nie był zdatny na szpiega. Wieść o popełnionych przez niego zbrodniach pochodziła od przyjaznego Zakonowi biskupa Floriana, ród Nałęczów nie liczył się do stronników Łokietka, uznał na własną rękę zabór Pomorza i z dóbr swych świadczył należne powinności. Sam Krzych w czasie nieszczęsnej wyprawy Plotzkiego odznaczył się męstwem i ocalił życie zakonnemu rycerzowi. Werner zaliczył go przeto do swego orszaku, sądząc, że i on zechce się przypomnieć królowi, by skorzystać z obietnicy. Krzych jednak wyraźnie trzymał się na uboczu, a choć trudno go było nie zauważyć, Luksemburczyk jakby nie pamiętał wyświadczonej przysługi, zapewne czekając na zabieganie o łaskę. Niemniej w czasie gotowanego nazajutrz uderzenia, w którym król chciał

osobiście uczestniczyć, Werner polecił Krzychowi trzymać się w jego pobliżu. Jan widocznie lekceważył przeciwnika, wymógł bowiem, by uderzenie nastąpiło przed zniszczeniem umocnień, obawiając się zapewne, że w przeciwnym razie ominie go walka, gdyż z kilkuset ludzi złożona załoga grodu w bezpośrednim starciu nie zdoła ni chwili stawić oporu. Werner ustąpił, kazał jednak gotować sprzęt i maszyny do przełamania umocnień, wiedząc, że obrońcy walczyć będą do ostatniego tchu, nie oczekując miłosierdzia.

Król ucztował do późna, lecz gdy o pierwszym świcie zimowego dnia sygnaturka z namiotukaplicy wezwała na nabożeństwo, zjawił się zaraz w towarzystwie swego sekretarza i dziejopisa, Wilhelma de Machaut. Przybrany był w pozłocistą zbroję, z ogromnym pióropuszem z białych strusich piór na hełmie, widocznie w tym celu, by w zamęcie walki męstwo jego nie uszło niczyjej uwagi.

Dla Wenera jednak bitwa nie była turniejem, nie zamierzał tracić w niej bez potrzeby zakonnych sił. Toteż w pierwszym szeregu stawały piechoty Jana i jego lenników, konne zaś rycerstwo naprzeciw trzech bram grodu, by w razie ich otwarcia skoczyć i dokończyć walki.

Werner przewidywał jednak, że do tego nie dojdzie bez wybicia bram i zniszczenia potrójnego

częstokołu wzdłuż wałów, przeto oddziały rzemieślników z miejskich piechot i zakonnych knechtów krzątały się przy ustawianiu machin. Naprzeciw bram podciągano zadaszone dla ochrony od pocisków i obłożone mokrymi skórami tarany, których z żelaza kute baranie łby kołysały się na linach, jakby rozpędzając się do skoku. Wszędzie panował

gwar i skrzęt, giermkowie biegali z rozkazami, tylko gród leżał cichy, jakby wymarło w nim wszystko. Na wałach nie było widać ni jednego człowieka, ale wzbijające się w przejrzystym powietrzu poranka dymy zdradzały, że gotuje się obrona. Słońce już wzeszło i pożłociło ich kiście, świat załśnił od blasków, tylko po zachodniej stronie, na płaszczyźnie między wałem a wojskami, gdzie w otoczeniu orszaków stał król z wielkim mistrzem, leżał odbiciem pogodnego nieba błękitnawy cień, który jednak cofał się szybko ku grodowi. Król zwrócił się do Wenera:

- Jeśli obiadować mamy w grodzie, pora zaczynać. Wenera z lekka głową skinął.

- Dziś wigilia święta Patronki Zakonu. Ku jej czci uderzajcie.

Przeraźliwy dźwięk spizu jakby echem obleciał gród. Nim umilknął, zagubił się we wrzawie. Płaszczyzna przed wałami zaczerniała od biegnących ku nim ludzi, a na wałach zaroilo się. Zaświstały pociski i szły coraz gęściej, lecz napastnicy w mgnieniu oka przebyli zamarniętą fosę i dostawiwszy drabiny, jęli się piąć po nich. W jaskrawym świetle rozróżnić można było niemal każdego człowieka, ale już u podnóża wałów wznosić się zaczęły czarne dymy płonącej smoły i białe kłęby pary z wylewanego na nacierających wrzątku, które zasłoniły widok i tylko wzmagająca się wrzawa świadczyła, że gród odpiera napastników.

Król, który zrazu przyglądał się z uśmiechem, jak widowisku, w miarę przedłużania się walki spochmurniał i ruszył ku niej, patrząc, jak coraz wymyka się ktoś z wrzącego pod wałami piekła. Znowu świstać jęły pociski, nie zważał jednak na nie, ale wielki mistrz, podjechawszy, powiedział:

- Za nic rycerskie męstwo przeciw jadowitemu robactwu. Każcie odwołać uderzenie.

Do wieczora wyszczerbimy zęby gada, a jutro nogami rozdepczem jego gniazdo, z wolą Bożą i Jego Rodzicielki pomocą.

Król jeno głową skinął i odjechał do obozu, a wielki mistrz wydał rozkazy. Piesze wojska wycofały się, natomiast do walki wstąpiły maszyny. Po południu niebo zaciągać się jęło chmurami, a ku wieczorowi zaczął prószyć śnieg, gęstniejąc coraz bardziej, aż biała zasłona zakryła gród, tylko dogasający żar strawionych płomieniem, potrzaskanych drabin i zwywracanych częstokołów przeświecał tu i ówdzie, znacząc w białym mroku linię obwarowań. Jednak coraz blednął, aż zgasł.

Wcześniej też zgasły ogniska obozu, wojska pożywiały się bez zwyczajnego gwaru, król również nie miał ochoty ucztować. Bez sprzeciwu zgodził się, by nazajutrz uderzenie roz

- poczęto od wybijania bram, a dopiero gdy przy nich skupi się obrona, przypuścić je na długość wałów.

O świcie śnieg padał jeszcze, ale niebo przecierało się, gdy po uroczystym nabożeństwie wojska

znowu stawały w sprawie. Skrzypiąc zmarzniętym drewnem, pierwsze ruszyły tarany, a za nimi szeregi kuszników, które pociskami razić miały obrońców i nie dopuścić do zniszczenia machin. Król niecierpliwie jeździł od zachodniej do północnej bramy, czekając, kiedy rozlegnie się łoskot wywalanych wierzei, ale wciąż jeszcze przez nasilającą się, to znów cichnącą wrzawę dochodziły tylko miarowe i głuche uderzenia taranów.

Zbliżało się południe, wielki mistrz postanowił kończyć, nie czekając już na wybicie bram. Dźwiękowi trąb odpowiedziały głosy rozkazów, tupot tysięcy stóp, ciemna fala ludzka wspięła się na wały i przez szczyty w obwarowaniach niemal bez przeszkody wlewać się jąła do grodu. Jednocześnie zachodnia brama zakolebała się i runęła z trzaskiem. Oddział

kuszników pędem puścił się ku niej, ale uprzedził go król. Na czele konnego oddziału rycerstwa dopadł bramy, zeskoczył z konia i z mieczem w ręku wtargnął do grodu.

Walka jednak gasła już, docinano resztki obrońców, natomiast wąskie uliczki zaroły się bezbronnym tłumem, który z wrzaskiem uciekał do środka grodu. Król kazał sobie podać konia i na czele orszaku ruszył w ślad za pierzchającymi, słuchając coraz nasilającej się wrzawy, w której przeważały rozpaczliwe głosy niewiast i dzieci.

Krzych, który towarzyszył królowi, teraz pozostał w tyle. Wiedział, że wielki mistrz wydał rozkaz, by nie żywić nikogo, i nie chciał znowu świadkiem być ohydnej rzezi.

Tym razem jednak powstrzymał ją Jan i przez tłumaczy kazał ogłosić, że żywot będzie darowany każdemu, kto przyjmie chrzest. Werner, dowiedziawszy się o tym, jeno ramionami wzruszył: wody nie braknie. Zdanych do pracy mężów polecił zatrzymać, resztę zaś ludności wygnąć. Wśród śmiechu i drwin polewano wodą wypełzające ze wszystkich zakątków gromady, po czym blisko sześć tysięcy starców, niewiast i dzieci wygnano z grodu, w którym pozostać miała krzyżacka załoga.

Król wydał rozkazy, ale nie zatroszczył się o ich wykonanie. Dumny ze swej wspaniałomyślności i odegranej roli krzewiciela prawdziwej wiary, odjechał do obozu, by zarządzić uroczystość ku uczczeniu zwycięstwa. Nie widział, jak gromady nowych chrześcijan wyganiano na mróz, w zapadającym już zmroku.

Uczta przeciągnęła się do późnej nocy, ale o świcie wojska ruszyły dalej. W grodzie pozostała tylko szczupła załoga krzyżacka, jeńcy przeznaczeni do jego odbudowy i ranni, niemal wyłącznie z wojsk króla i jego lenników. Zapłaciwszy za swą rycerską porywczosć dużymi stratami, Luksemburczyk nie narzucał już więcej Wernerowi sposobów prowadzenia wojny. Z kolei padły Sisditen, Żakajny i szereg pomniejszych grodów, mistrz spieszył się, by zająć jak największą połąć wybrzeża, nim Giedymin nadejdzie z odsieczą, umocnić się na niej, i wrócić do kraju przed upływem rozejmu z Łokietkiem.

Wyprawa skończyła się jednak wcześniej. Od komtura Ragnety przyszła wieść, która zmusiła Wenera do szybkiego odwrotu: Łokietek gromadził siły nad Drwęcą, biskup Maciej zażądał spłacenia zaległego świętopietrza, ani chybi dla upozorowania napaści, landkomtur chełmiński prosi, by natychmiast odesłać ściągnięte na Żmudź siły. Wieść była pewna, pochodziła od przekupionego człowieka z otoczenia Łokietka. Werper jednak nie zamierzał



poprzestać na odparciu napaści, obecność wojsk sprzymierzonych stwarzała dogodną sposobność, by upartemu przeciwnikowi zadać takie ciosy, które wreszcie zmuszą go do ustępliwości.

W Ragnecie wojska stanęły obozem dla wypoczynku przed dalszym pochodem do Torunia, część ich miała wzmocnić załogi zamków i warownych grodów nad Niemnem, w przewidywaniu, że Giedymin jak zwykle odpowie napaścią. Dla pośpiechu Werner wraz z królem Janem ruszyć mieli przodem na czele samej jazdy i Krzych otrzymał polecenie przeglądu koni, by wymienić niezdatne. Teraz niechybnie już walczyć mu przyjdzie przeciw swoim; nie jemu jednemu, w krzyżackim wojsku nie brakło polskich rycerzy ze Śląska i Pomorza. Choćby się zresztą stał cud, nie ma po co wracać ni do kogo. W jego pamięci lata zatarły już twarze bliskich mu ongiś istot. Jeśli jemu co pamiętają, to krzywdy, które wyrządził, bo i on sam własne najlepiej pamięta, ale o wszystkim starał się zapomnieć, bo niczego już nie odmieni.

Ragneta przypominała mu pierwszy pobyt w czasie wyprawy von Plotzkego, a wraz z nim Hansa von Nendorf. Tutaj stracił go z oczu i dawno przestał o nim myśleć. I on musiał

zapomnieć, lata upłynęły. Upodobił się zapewne do innych i żyje jak oni.

Trzeciego dnia postoju w Ragnecie Krzych skończył swe zajęcia i wracał do obozu.

Przeznaczone na wzmocnienie załóg oddziały krzyżackie wychodziły właśnie. Na widok Krzycha jadący na czele ostatniego z nich rycerz zakonny zatrzymał konia i patrzyli wzajem na siebie. Krzych poznał Hansa, choć ten zmienił się. Czyste i jasne ongiś jego oczy były zapuchnięte, urodziwą jeszcze, ale jakby zmiętą twarz szpecił przykry uśmiech. Niemiłe też było przedłużające się milczenie i Krzych przerwał je:

- Nie wiedziałem, żeś i ty tutaj. Dokąd idziesz?

- Do Christmemla. A ty coś myślał, żeś już w niebie? Troszczą się tu o moje zbawienie, trzy razy odbyłem Jahresbusse. Może ci wstyd gadać z takim jak ja, bo słyszę, żeś w łaskach u wielkiego mistrza. Zasługujesz się, a ja myślałem, żeś dawno wrócił do swoich.

Krzych zbladł i odparł przez zaciśnięte zęby:

- Nie czekają i... nie twoja sprawa. Hans wzruszył ramionami i odparł:

- Wždy mówiłeś, żeś dlatego nie chciał ze mną się wiązać, bo czekają na ciebie.

Widzę, żeś się łącać nauczył nie jeno na świętej spowiedzi. Miałem ci coś rzec, ale nie chcesz wiedzieć, tedy żegnaj.

Żgnął konia, ale Krzych uchwycił go za rękę, tak że Hans omal nie spadł z siodła.

- Gadaj! - wyszeptał groźnie.

- Puść no! Mnie nic nie straszne. A tobie pono nie lubowało w lochu, a znowu byś posmakował, zakonnego rycerza ubiwszy.

Krzych puścił rękę Hansa. Przez chwilę zmagał się z sobą. Wreszcie wyszeptał:

- Zmiłuj się, powiedz.

- Małżonka i córka czekają na ciebie. Krzych otarł dłonią spotniałe czoło.

- Skąd wiesz?

- Waganta tu jednego przysłały po wieści o tobie i on mi rzekł. A ja jemu wzajem.

Gdy Krzych stał z opuszczonymi oczami, Hans ciągnął:

- Pewnikiem wolałbyś, by nie wiedziały, skoro wracać do nich nie myślisz.

- Nijak nie mogę - wykrztusił Krzych, ale Hans parsknął śmiechem.

- Gdyby na mnie kto czekał, wróciłbym choćby po śmierć. Są i tu ludzie, którzy się twojemu królowi zasługują, ty mógłbyś łacniej niż inni, skoro cię wielki mistrz do swej osoby dopuszcza.

- O czym ty mówisz? - wyszeptał Krzych, ale Hans wzruszył ramionami.

- O niczym. Luksemburczyka miałeś w bitce pod ręką, ale przepadłaby ci zasługa.

Pewnikiem czekasz, aż on królem polskim ostanie.

Gdy Krzych milczał, wstrząśnięty, Hans zakończył pogardliwie:

- Ty ani miłować, ani nienawidzić nie umiesz. Rad jestem, żeśmy się nie zbratali.

Trącił konia ostrogą i odjechał, nie obejrząwszy się.

Spotkanie z Nendorfem skruszyło do reszty skorupę sztucznego spokoju Krzycha.

Kundzia wie, że małżonek żyje, i czeka na niego, a on nic nie potrafi uczynić, by do niej powrócić. Podsunięty mu przez Hansa sposób, choć może byłby skuteczny, budził w Krzychu nieodparty wstręt, ale zarazem rozterkę. Z ulgą też, na rozkaz wielkiego mistrza, wracał do Słupska. Nie będzie miał sposobności posłuchać rady Hansa i nie będzie zmuszony walczyć przeciw swoim. Ale pozostało gnębiące uczucie bezradności wraz ze świadomością, że zawsze już będzie musiał myśleć o powrocie.

Myślał, lecz nic nie wymyślił. Wbrew swemu usposobieniu nie unikał ludzi, słuchał i zbierał wiadomości, które szybko przynosiła poczta zakonna. Utwierdzały go jeno w przekonaniu, że wskazana przez Hansa droga powrotu, choć ohydna, byłaby jedyna.

Śmierć choćby jednego z wrogów Łokietka pozwoliłaby królowi okrzepnąć, a dużo zapewne dałby za usunięcie jednego z nich, bo wiodło mu się źle. Wyjawszy południową granicę, wszystkie inne były niepewne i nie mógł ich ogołocić z sił, które, nawet zgromadzone, nie zapewniłyby pomyślnego

wyniku w niewątpliwie nadciągającym starciu z Zakonem. Król czeski wraz z wielkim mistrzem bawił w Toruniu, czekając na powrót pieszych wojsk ze Żmudzi. Wieść o zawarciu przez nich wieczystego przymierza przeciw Polsce przyszła jednocześnie z wiadomością o śmierci Łokietkowego wnuka i imiennika, zaręczonego z Małgorzatą luksemburską. Zamierzony związek tym samym został zerwany, Jan przestanie liczyć się z Karolem Robertem i nie da się powstrzymać od wystąpienia przeciw Łokietkowi. Trzeba prosić zięcia o zbrojną pomoc i król postanowił wysłać syna, którego ściągnął na chełmińską wyprawę, by go oswoić z wojną. Zapału do niej u syna nie zauważył, lepiej winien się sprawić jako poseł, gdy Bietka zawsze słabość żywiła do brata, a wpływ ma na małżonka.

Ale węgierska pomoc nie wcześniej mogła nadejść niż latem, a uderzenie zagrażało w najbliższych dniach. Zostawiwszy przeto będące pod ręką wojska w najbardziej zagrożonej ziemi dobrzyńskiej, pod wodzą bratanka Włodzisława i wojewodów Paszki Ogona i Wojciecha Leszczyca, król postanowił jechać do Poznania, by samemu dopilnować ściągnięcia sił wielkopolskich i rozmówić się z wojewodą Wincentym z Szamotuł. Król nigdy nie żywił do niego zbyt dużego zaufania, wiedząc, że dba jeno o własne wpływy i znaczenie, ale nie był wojewoda wyjątkiem wśród możnowładców, niechętnych zjednoczeniu dzielnic.

Łokietek zazwyczaj nie dawał wprawdzie ucha nieprzychylnym dla wojewody poszeptom swego otoczenia, wyczuwając w nich zawiść. Ale bierne zachowanie się wojewody wobec grożącego najazdu krzyżackiego, drażniąc i rozgoryczając króla, budziło w nim podejrzliwość.

Źródła goryczy osamotnienia nie brakło królowi. Wyruszywszy ze Steklina, ominął

Gniewków, by nie spotkać się z bratankiem Kazimierzem; poprzednio uchylił się od zamiany swej dzielnicy, tłumacząc się, że ma synów, którym ją chce pozostawić, obecnie zaś odmówił

posiłków przeciw Krzyżakom. W razie zetknięcia z bratankiem, król lękał się własnej porywczosci, która z Kazimierza, krótkowzrocznego niedołęgi, uczynić mogła otwartego wroga, jakiego Łokietek miał już w płockim Wańku. Mniej łatwowierni Ziemowit i Trojden, mimo zawartego przeciw Giedyminowi przymierza z Zakonem, gotowali się wprawdzie do obrony, ale jeno własnych dzielnic. Los Śląska niczego ich nie nauczył.

Mimo pośpiechu król zboczył na Rynarzewo, jeśli nie tam, to w Nakle spodziewając się zastać Henryka Pałuka, na którym spoczywał ciężar obrony kraju za Notecią. Granicy z Pomorzem nie chroniły grody, bory stanowiły jedyną osłonę, przeprawy przez Wisłę bronił

tylko Wyszogród, z dawna będący solą w oku Krzyżaków. Ostatnio w czasie chełmińskiej wyprawy, Jaśko z Płonkowa zalał Zakonowi sadła za skórę, schwytawszy na rzece sześć statków płynących z posiłkami do Torunia. I król obawiał się uderzenia tym bardziej, że sam Pałuk dojadł Krzyżakom do żywego i za wszelką cenę radzi by się go pozbyć. Należałoby tutaj wzmocnić obronę, a nie było czym.

W Rynarzewie jednak król starosty nie zastał i dowiedział się, że nie zostanie go w Nakle. Henryk zabrał, ile było zdatnych rąk, wozów i koni, ze spyżą i sprzętem, z którymi pociągnął za Noteć, gotować obronę na Brdzie. Włodarz, który króla przyjmował, nie umiał

powiedzieć, kiedy starosta wróci. Gdy sam go o to pytał, Henryk odparł, że wróci, gdy się wojna skończy. Stary rozgoryczony był, zły i widocznie niespokojny o Henryka, którego znał

od wyrostka i przywiązany był do niego. Choć król go onieśmielał, stary nie mógł wytrzymać, by się nie wyzalić:

- Wróci! Pcha się w łapy psubratom, a wżdy nagrodę wyznaczili za jego głowę. Jak tu gospodarzyć, gdy nie ma kim i dla kogo. Baby i szkapy mi ostawił, tyle z wiesny zaorane będzie, co dziki zryją. Inni panowie się dorabiają, on zmarni, co mu rodzic ostawił, a siebie nie w ostatku.

Byłby zrzędził dalej, ale król uciął:

- Daj Boże takich więcej, co się nie dorabiają.

Ruszył dalej, spokojny, że Henryk, nie oglądając się na nikogo, sam troszczy się o obronę, a za zasługi nie czeka nagród i przywilejów. Z tym większą niechęcią król myślał o Wincentym z Szamotuł. Najwyższe dostojęstwa uważa za swój rodowy przywilej, a świadczone przysługi niemal za łaskę, wiedząc, że dla spraw z Marchią jest niezastąpiony.

W Żninie czekały króla wieści złe, choć spodziewane. Krzyżacy uderzyli jednocześnie z Torunia, Kowalewa i Brodnicy, odbili zajęte w czasie chełmińskiej wyprawy Papowo i warowny młyn w Lubiczu i mimo roztopów, łupiąc i paląc, posuwają się w głąb ziemi dobrzyńskiej. Książę Włodzisław dobrzyński donosił, że wraz z wojewodami ściągają wojska na Lipno, wobec przewagi krzyżackiej obawiają się, by ich nie odcięto od przeprawy, zwłaszcza gdyby ruszył się Wańko.

Postanowienie było rozsądne, król liczył tylko, że przez opóźnianie krzyżackiego pochodu zyska na czasie, drogi tymczasem podeschną i ściągnąć będzie można znaczniejsze siły. Nie zaskoczyła go również wieść, która doszła go w Gnieźnie, o zajęciu Dobrzynia.

Wypadki toczyły się szybko. Król wysłał rozkazy do wojewody kaliskiego, Marcina Zaremby, i sieradzkiego, Klemensa Pilawy, by spiesznie ciągnęli nad Wisłę, sam zaś ruszył

do Poznania. Wojewody Wincentego nie zastał, natomiast poznański kasztelan Piotr Zaremba powitał go wiadomością również niezbyt pomyślną, ale tak zaskakującą, że król aż w ręce plasnął. Oto Luksemburczyk uderzył na Płock, zajął go zaskoczeniem i zmusił Wańkę, by mu złożył hołd jako królowi czeskiemu i polskiemu, a przeciw Łokietkowi udzielił pomocy.

Mimo że Jan uczynił to bez udziału Krzyżaków, jasne było, że działali w porozumieniu.

Choć Wańko był wrogiem, wiadomość wzburzyła króla.

- Werner obrażonego udawał, że mu nie wierzę. Gębę z pozoru ma pocziwą, a gadzinowy język. Von Plotzke przynajmniej otwarty był, gdy rzekł Kazkowi, że woli na Pomorzu słabego sąsiada niżli silnego, ale najchętniej posiadzie je sam. Oto i nauka, gdyby głupców można czegoś nauczyć, a Wańce od pobratymca30 nagroda, że stryjowi odmówił

posłuchu.

Łokietek lękał się, że rozdrobnione Mazowsze podzielić może los Śląska.

Bratankowie nie chcieli się bronić razem, będą musieli bronić się sami, ale osadzenie się Luksemburczyka na wschodzie pogorszyłoby jeszcze i tak złe położenie.

Szczęściem Janowi nie brakło wrogów, których niepokoiła ustawiczna jego pogoń za nowymi zdobyczami, a on jak zwykle potrzebował pieniędzy. Sprzedał Zakonowi połowę ziemi dobrzyńskiej za 4800 kóp groszy, drugą oddał jałmużną, zatwierdził go w posiadaniu Pomorza i odszedł, zagrożony wojną przez Fryderyka Habsburga. Można się było spodziewać, że nacisk zelżeje i król, nie czekając już na przyjazd starosty Wincentego, zarządzenia przekazywał kasztelanowi i w drugi dzień Wielkiej Nocy wyjechał do Krakowa, gdzie z jego polecenia czekała córka Kunegunda, wdowa po Bernardzie świdnickim. Król nosił

się z zamiarem nowego jej związku, który by zapewnił sprzymierzeńca przeciw Janowi czeskiemu, nie chciał jednak postanawiać wbrew jej woli. Zostawiła na Śląsku dzieci, z których najstarszy, Bolko, liczył niespełna czternaście lat, ale położenie zmuszało króla do żądania tej ofiary z macierzyńskich uczuć. Na myśli miał Ottona Habsburga, jeśli Kunegunda zgodzi się, o pośrednictwo zamierzał prosić węgierskiego zięcia i dlatego polecił wstrzymać wyjazd Kazimierza na Węgry, choć pilne było uzyskanie od nich posiłków. Pospieszał też, ile wydolił, ale często wypoczywać musiał w drodze. Do innych ciężarów przybywało brzemień starości.

Wielki mistrz w swych wszechstronnych rozważaniach nie w ostatku brał w rachubę, że Łokietek dochodzi siedemdziesięciu lat, a niewojowniczy następca jego nie ma dwudziestu. Sam czuł się w pełni sił, długo jeszcze kierować będzie sprawami Zakonu, z którego możliwości najlepiej zdawał sobie sprawę. Co ma być wielkie i trwałe, wolno rosnać musi,

30 Wańce od pobratymca - cioteczny brat Elżbiety, żony Jana luksemburskiego łatwiej o nowe zdobycze niż ich utrzymanie. Statut nakazywał wprawdzie zasięgać rady, ale zostawiał furtkę, nakazując słuchać lepszych, a nie liczniejszych. Największe zaufanie żywił

Werner do własnego rozumu, toteż ze spokojnym uporem sprzeciwiał się naleganiom członków Kapituły, by korzystając, że nowy landmistrz inflancki Reimar von Hane obiegł

Giedymina w Wilnie, a Karol węgierski zajęty jest walką z Wołoszą, wszystkie siły i zasoby Zakonu rzucić przeciw Łokietkowi i jego mazowieckim bratankom. Wyprawa żmudzka, która mimo udziału znacznych sił sprzymierzonych nie przyniosła trwałych wyników na skutek najazdu Łokietka, dowodziła, że Zakonu nie stać jeszcze na rozprawienie się z dwoma wrogami na raz.

Wypadki potwierdziły ostrożne przewidywania Wenera. Luksemburczyk zmuszony był odejść, wykrwawiona, zda się, Żmudź wyroiła się znowu, by najazdem odpłacić za najazd, mimo pozostawionych posiłków kraj nad Niemnem wydany był na pastwę rozjuszonego pogaństwa, broniły się tylko zamki, obleżony Christmemel wzywał o pomoc.

Przerzucenie w toku walki wojsk z jednej granicy na drugą osłabiłoby obydwie, Werner przeto nakazał zwabić żmudzką starszyznę na układy, spalić zamek wraz z nią i wycofać się za Niemen. Jan czeski, gdy tylko upora się z trudnościami na zachodzie, niewątpliwie podejmie współdziałanie,

które obiecywało mu dalsze zyski. Zanim to nastąpi, skorzystać należy, że siły polskie ściągną pod Łęczycę, pozbyć się zbójceckich gniazd w Wyszogrodzie i Nakle, a przy sposobności odplacić włocławskiemu biskupowi za wniesiony do Kurii pozew o zrabowanie jego dóbr. Maciej to nie Łokietek, gdy się przekona, że niczego przeciw Zakonowi nie wskóra, ugodzi się tym łacniej, im bardziej mu dopiec. Werner żywił zresztą nadzieję, że klęski przekonają także Łokietka, iż upieranie się przy Pomorzu jeno strat jest przyczyną. By się na nim umocnić, Werner zakupił Bytów od panów von Beeren i polecił

wybudować w nim zamek jako siedzibę nowej komturii. Ziemi dobrzyńskiej na razie nie zamierzał obwarowywać, uważając ją za zastaw, którego zwrot miał być ceną pokoju z Łokietkiem.

Ułożywszy plan działania, zlecił jego wykonanie landkomturowi chełmińskiemu. Von Gera był biegłym wojownikiem, nieobecność Łokietka ułatwiała jego zadania. Zdała się wskazywać, iż król nie liczy się z podjęciem poważniejszych działań po odejściu Jana czeskiego, a zgromadzenie sił nad Łęczycą nakazał tylko z ostrożności, na wypadek napaści na Ziemowita i Trojdena. Nie były to zresztą siły zbyt znaczne i von Gera, zleciwszy utrzymanie ich w ryzach chełmińskiemu komturowi Luterbergowi, przystąpił do wykonania rozkazów.

Pierwsze ciosy spaść miały na biskupa Macieja, który najmniej się ich spodziewał.

Włocławek był grodem biskupim, wniesiony pozew powinien powstrzymać Krzyżaków od dalszego łupiestwa, muszą liczyć się z Kurią, której znaczenie wzrosło z chwilą, gdy skończył

się rozłam i pojmany w Pizie antypapa czekał na swój los w Awinionie. Henryk śmiał się wprawdzie z łatwowierności brata, radząc przeznaczone na proces pieniądze użyć na wynajęcie i uzbrojenie zbójów, którzy by złupili zakonne wójtostwa lub statki, ale biskup nie zamierzał dostarczyć Zakonowi zarzutów przeciw sobie, aby nie ułatwiać Krzyżakom kręctw. Czekał przeto na wyznaczenie terminu procesu, a tymczasem zajęty był kościelnymi sprawami. Wielki Post miał się ku końcowi. Maciej, choć znużony już był nabożeństwami, po odegraniu w katedrze officium sepulchri<sup>31</sup>, własną osobą doglądał przyozdobienia kościoła na rezurekcję, po czym udał się na spoczynek. W mieście też ukończono już przygotowania 31 officium sepulchri (łac.) - nabożeństwo przy Grobie do radosnego święta, uczt i zabaw po długim poście. Wcześniej też niż zwykle wygaszono światła i ognie i ciemność wiosennej, cieplej już nocy otuliła miasto.

Pogodne niebo szarzało dopiero, gwiazdy zaczynały sennie mrugać, a z wody podnosiła się poranna mgiełka, gdy ten i ów ocknął się, słysząc tupot szybkich kroków, a potem okrzyki:

„gore!” Kto posłyszał, powtarzał i zbierał się co prędzej, krzyk szedł przez miasto jak tysięczne echo i coraz liczniejsze gromady pędziły ku przystani, nad którą rudawy poblask kłócił się już ze światłem wstającego dnia. Biegący w przdzie napotkać jednak musieli jakąś przeszkodę, nagle bowiem cizba uczyniła się zwarta i kolebała się w ciasnych uliczkach.

Gdy spóźnieni parli ku przystani, ci, którzy pobiegli wcześniej, zawracali ku staremu rynkowi, a wrzask i zamęt uczynił się taki, że własnego słowa słyszeć nie było można.

Prędzej niż pożar, który ogarnął już całe składy i spokojnym płomieniem lizał błękitniejące niebo,

rozchodziła się wieść: Krzyżacy!

Obudzony nią biskup Maciej struchlał tak, że ubrać się nie zdołał trzęsącymi się rękoma. Szczęściem dwaj klerycy porwali go wraz z szatami, niemal siłą zawlekli do przystani na Zgłowiączce, wsadzili do łodzi i co sił powiosłowali w górę rzeki. Biskup siedział osłupiały i patrzył, jak z górującej nad miastem katedry wydobywać się zaczyna czarny dym, a potem płomień. Z kolei zapłonął kościół Świętego Jana przy starym rynku, pamiętający jeszcze czasy Chrobrego, ale wiatr pociągnął od wschodu i chmura dymu zasłoniła wszystko. Maciej zamknął oczy, chciał uwierzyć, że to jeno zły sen. Gdy po dłuższej chwili podniósł powieki, dokoła panował spokój. Rzeka weszła w las, który przysłonił okrutny widok, miast wrzasków mordowanych słychać było śpiew ptaków, zresztą panowała cisza. Maciej wciąż jeszcze nie mógł pojąć, że Zakon Najświętszej Panny mordem i pożarem czci dzień Zmartwychwstania Jej Syna. Ale zrudziałe słońce, które tymczasem wzbiło się ponad bór, świadczyło o okrutnej prawdzie.

Późną nocą biskup dotarł do Brześcia, gdzie była już wiadomość o krzyżackim napadzie i kasztelan gotował się do obrony. Pchnął też gońców do wojewody Wojciecha i podjazd do Włocławka, by wymiarkować, co zamierzają Krzyżacy. Odeszli jednak, zostawiając zgliszcza miasta i ruiny kościołów.

Biskup pomału przychodził do siebie po klęsce. Posiadał jeszcze kasztelanię raciąską, w Brześciu ciasno się czyniło od zbiegów, znalazło się kilku członków kapituły. Po naradzie z nimi postanowił przenieść tymczasem swą siedzibę do Raciążka, gdzie, na szczęście, jak sądził, znajdował się też skarbiec. Z wyjazdem czekał jeno na wiadomość, czy droga jest bezpieczna. Zamiast tej wieści otrzymał inną: Krzyżacy spalili Raciążek i zrabowali skarbiec.

Werner dobrze obliczył. Maciejowi opadły ręce. Kuria daleko, sądy Zakon ma za nic.

Biskup gotów już był zdać się na jego łaskę i prosić plockiego Floriana o wstawienie i pośrednictwo. Król za złe mu to poczyta, ale on sam nakłonił go przecie do narażenia się Krzyżakom, a potem bez osłony zostawił. Biskup rozdrażniony był; skoro Łokietek sił nie ma i on winien się z Zakonem ugodzić.

Pozbawiony swej diecezji, Maciej siedział beczynn timer u plebana w Brześciu i z niepokojem patrzył, jak topnieją skromne resztki zasobów. Zamierzał przenieść się do brata do Rynarzewa, ale posłaniec wrócił z wiadomością, że starosta jak zimą wyszedł w Bory Tucholskie, tak przepadł. Biskup rozżalony był i na niego. Gdy najbardziej mu potrzebny, gdzieś się wałęsa, a bronić przyrzekał majątności biskupa, gdy go o mediolańską zbroję przyciskał.

Wiosna już była w pełni, a wieści o Henryku nadal nie było. Maciej zaczynał się niepokoić. Toruński komtur cenę na głowę Henryka wyznaczył, może lekkoduch już ją stracił? Biskup wzdychał i modlił się, wolałby najgorszą wieść niż jej brak. Wymodlił ją wreszcie. Była zła, ale szczęściem dotknęła jeno obolałej kiesy, a nie obolałego serca jego.

Najazd na biskupa był jeno pierwszym uderzeniem nadciągającej burzy, po którym nastąpiła złowroga cisza. Król siedział w Krakowie, zaciągał ruskich i niemieckich najemników, gromadził zasoby dla wojsk i gotował poselstwa do Giedymina i Karola Roberta. Na Litwę jechać miał Wierzynek,

podniesiony do stanu rycerskiego - stolnik sandomierski, na Węgry królewicz.

W Malborku wyprawa była postanowiona, ale Werner, mimo nalegania dufnych jeno w siłę dostojników, nie spieszył się z przystąpieniem do niej. Dbał zawsze o pozory, a złupienie kujawskiej diecezji i spalenie katedry mogli wrogowie wyzyskać, by szargać po dworach zawołanie Krzyżaków jako obrońców prawdziwej wiary. Najazd na chrześcijański kraj wołał Werner także przedstawić jako pomoc daną sprzymierzeńcowi w dochodzeniu słusznych praw. Jan czeski niechybnie upora się wkrótce z Habsburgami i chętnie weźmie udział w nowych zdobyczach, a i wynik wojny będzie wtedy pewniejszy.

Czasu zresztą Werner nie tracił. Zwyczajem swym sprawę przemyślał dokładnie i przygotował starannie. Najłatwiej odeprzeć zarzuty, uprzedzając je wzajemnymi zarzutami, i w tym celu zwołał do Radzyna na Zielone Świątki zjazd kościelnych i świeckich wasali Zakonu oraz komturów z Pomorza i ziemi chełmińskiej. Przedmiotem obrad miała być z dawna zawleczona sprawa świętopietrza z odpadłych od Polski ziem, którą Werner uznał za potrzebne teraz poruszyć.

Sprzyjała ciepła pogoda i zjazd obesłany był licznie. Wasale oraz rycerscy i duchowni bracia krzyżackiej reguły po uroczystym nabożeństwie, celebrowanym przez biskupa Ottona chełmińskiego, czekali zagajenia obrad. Na przygotowanym przy wejściu do kościoła podwyższeniu zasiedli już biskupi pomezanski, warmiński i sambijski, a wraz z nimi wielki komtur, wielki skarbnik i landkomtur chełmiński. Jaskrawe słońce nieciło iskry na złotych łańcuchach dostojników, na tle białych płaszczy zakonnych jarzyła się purpura biskupich szat.

Tłumy gapiów otaczały dostojne zgromadzenie, gwar panował jak na jarmarku, wybuchały kłótnie o miejsca, z których lepiej można było widzieć i słyszeć, nad czym uradzać będą panowie. Wielki mistrz widocznie nie zamierzał czynić z tego tajemnicy, bo pilnujący ładu knechci powstrzymywali jeno napór ciekawych i uciszali głośniejsze swary.

Gwar ucichł sam, gdy zjawili się oczekiwani. Biskup Otto zajął swe miejsce, wielki mistrz stał jeszcze, czekając, aż uspokoi się poruszenie. Cisza zapanowała taka, że słyhać było szelest liści na drzewach cmentarnych, gdy Werner zaczął. Nie podnosił głosu, ale mówił dobitnie i słowa jego dochodziły do najdalszych szeregów:

- Z tego miejsca zwykliśmy wymierzać sprawiedliwość. Dziś sami po nią przychodzimy. W naszych osobach stoi przed wami Zakon Najświętszej Panny. Stoi jako oskarżony, wy będziecie świadkami i sędziami.

Skłonił z lekka głowę, przeczekał szmer zdziwienia i ciągnął:

- Nawykliśmy do oszczerstw miotanych przeciw Zakonowi przez nieprzyjaciół. Nie trudziłbym waszych wielebności i dostojności, by się oczyszczać z zarzutów stawianych przez wrogów Krzyża i ich popleczników; plugawa ślina nie skała zakonnego płaszcza. Ale gdy daje im ucha Stolica Apostolska, Głowa Kościoła, którego Zakon jest wiernym i - śmiem rzec - zasłużonym synem, sprawić się muszę. Qui enim tacet, consentire videtur<sup>32</sup>.

Werner podniósł głos:



- Nie damy wrogom tego oręża przeciw sobie, choć wstyd powiedzieć, że wytaczają przeciw nam zarzut sprzeniewierzenia pieniędzy kościelnych; nie odprowadzamy denara świętego Piotra z chełmińskiej diecezji i pomorskiego dziekanatu. Bogiem się świadczę i potwierdzam obecni tu bracia, wielki komtur i wielki skarbnik, którzy społem ze mną klucze dzierżą od zakonnego skarbcza, że za naszego urzędu ni jeden fenig nie wpłynął doń na świętopietrze. Dlaczego nie wpłynął, niechaj się sprawią komturzy, których rzeczą ściągać daniny.

Wielki mistrz usiadł, zerwał się natomiast komtur chełmiński i podjął gwałtownie:

- Ślubowałem pokorę i posłuszeństwo, dlatego odpowiem wielkiemu mistrzowi. Ale gdyby kto inny śmiał mnie o to zapytać...

Urwał i usiadł, gdy Werner uśmierzył go ruchem ręki. Wstał natomiast biskup chełmiński i zwrócił się do wielkiego mistrza:

- Wybaczcie, wasza dostojność. Po cóż zadawać obelżywe pytanie, które słusznie wzburzyło brata Luterberga, gdy należytem porządkiem przódzi przestępstwo stwierdzić należy, potem dopiero dochodzić, kto je popełnił. Mógłbym świadkiem być w tej sprawie, alem i ja członkiem Zakonu, tedy i na mnie cień pada. Ale są tu szlachetni wasale, jest i pospólstwo. Niechaj każdy, kto denar świętego Piotra płacił, wystąpi i rzeknie, ile dał, kiedy i komu.

Patrzył na zgromadzonych, ale gdy nie podniósł się nikt, ciągnął:

- Oto i odpowiedź. Tak bywa, że oszczerca z oskarżyciela obwinionym się staje.

Mógłby jednak ktoś mniemać, że Zakon nie dba o prawa Kościoła, należnej mu daniny nie ściągając. Za mej pamięci z chełmińskiej diecezji nigdy świętopietrze płacone nie było i Zakon ściągnięcia go *expressis verbis*<sup>33</sup> odmawiał, przed siedmiu laty apelację wniósł do Kurii, która uwzględniona została, bo diecezja moja do ryskiej, a nie do gnieźnieńskiej metropolii należy. Nie wiem, jako było na Pomorzu, ale są tu starzy ludzie. Niechaj rzekną, zali świętopietrze przódzi płacili, nim Zakon ziemię tę nabył.

Na to wstał siwowłosy rycerz i starczym głosem powiedział:

- Siedziałem na Pomorzu jeszcze za Sambora. Płaciłem i płacę, co Kościołowi świętemu i zwierzchniemu panu należy. Ale świętopietrza ode mnie nigdy nikt się nie domagał.

<sup>32</sup> Qui enim tacet, consentire vide tur (łac.) - Kto bowiem milczy, zda się potwierdzać.

<sup>33</sup> *expressis verbis* (łac.) - wyraźnie - Oto mamy odpowiedź i na wtóre pytanie. Nad czymże tedy uradzamy? *Qui rogat, probare debet*<sup>34</sup>, choćby był Głową Kościoła. Nie mnie sądzić ni oskarżać, każdy wie, kto i jak tych rzekomych praw dochodził, a świadczą o tym zgliszczą i ruiny.

Rudolf, biskup pomezanski, już od dłuższej chwili niecierpliwie kręcił krótką, kędzierzawą brodę. Trzęsła mu się z podniecenia, gdy wpadł w słowo Ottonowi:

- Rzekłeś, przewielebny bracie! Głową Kościoła! Od zarania, gdy Zbawiciel Kościół

swój zbudował, głową był prawowicie wybrany biskup rzymski, a cesarz jego *bracchium seculare*<sup>35</sup>, by społem władzę sprawowali nad światem. Któż onego szewskiego syna papieżem wybrał i zatwierdził? Francuz! I pod swoim korcem go chowa w Awinionie, a w jego więzieniu gnije biskup rzymski, przez cesarza zatwierdzony!

- Wybacz, dostojny bracie - przerwał, wstając, wielki mistrz. - Nie będziem pogłębiać nieszczęsnego zamętu, rozpatrując sprawę, która nie do nas należy. Wolej nawet nienależne świętopietrze zapłacić - i o to sprawa, a nie, kto głową jest Kościoła. Na awiniońskiego papieża rozkaz przepuściliśmy przecie pogan przez swój kraj, gdy z pomocą szli krakowskiemu królowi przeciw synowi cesarskiemu. Niechaj udział w hańbie popełnionych tam bezceństw nie spada na Zakon.

Spokojniej, ale zgryźliwie Rudolf odparł:

- Iście, nie trzeba rozpatrywać sprawy, która już przez zebranie kościelnych i świeckich dostojników pod cesarskim przewodnictwem rozpatrzona została i samozwańczego papieża za pozbawionego czci heretyka uznano. Ale pozostańmy przy świętopietrze: jaśniejsze niż to słońce - podniósł rękę - że jego ściągnięcie pozorem jeno było do napaści na Zakon, w czasie gdy w obronie prawdziwej wiary krew swą w walce z poganami przelewał. I kogóż użył za narzędzie tego bezceństwa? Zajadłego wroga Zakonu, jawnie z pogaństwem sprzymierzonego krakowskiego króla. Kto pozór stworzył do napaści? Nadużywając swego urzędu kolektora świętopietrza, niegodny tego imienia biskup włocławski. Któż to jest? Brat onego zbójckiego przywódcy, który od lat, gdzie wydoli, słowem i czynem Zakonowi szkodzi. Biskupa dosięgło już karzące ramię Zakonu. W waszym i ręku miecz sprawiedliwości - zwrócił się do wielkiego mistrza. - Pokąd spokojny osadnik czy kupiec, pokąd majętności Zakonu, zbożnym jego celom służące, wydane być mają na łup rozbójników, a cześć Zakonu szargana przez wiarołomnego wroga? Nie on tylko bezczynność waszą za słabość jeno poczyta, ale i wierni poddani Zakonu, którym ten ochronę winien.

Rudolf podniósł głos. Werner stał z opuszczonymi oczyma, uchem łowiąc podniecony gwar. Gdy przycichł nieco, wielki mistrz podjął:

- Ochrona mienia i życia poddanych Zakonu, bezpieczeństwa na drogach obowiązkiem jest komturów i nikt nie może im zarzucić, by go zanieczywali. Nie ich wina, że zbóje ostoję i pomoc znajdują w grodach nieprzyjacielskich, tedy nakażę owe gniazda zbójckie zniszczyć, bo to, jak rzekliście, nie jeno prawo nasze, ale obowiązek. W sumieniu waham się jednak, zali wojnę wszczynać, i Bóg mi świadkiem, że nie z opieszalstwa lubo trwożliwości

34 Qui rogat, probare debet (łac.) - Kto żąda, winien dowieść.

35 *bracchium seculare* (łac.) - ramię świeckie nie podjąłem rzuconej nam przez krakowskiego króla rękawicy i próbowałem ułożyć się z nim, by zapobiec rozlewowi krwi chrześcijańskiej...

- A w zamian jeno zelżono was, że krew się burzy na samo wspomnienie - gwałtownie wtrącił landkomtur von Gera.

- Zbawiciel nasz policzkowany był, by przykład dać pokory - Werner odparł. - Za grzechy swoje przyjąłem obelgi. Łacno rzucić żagiew wojny, niełacno rozniecony pożar ugasić.

- Ugasimy go krwią wrażą - rzucił von Gera popędliwie. - Nie będzie z Polską pokoju, póki na jej tronie nie zasiądzie prawowity dziedzic, nie umilkną oszczerstwa, póki oszczercy na gardło nie nastąpi. Co się tli, niech się wypali. Wojna!

Werner stał, słuchając burzy okrzyków. Gdy przycichły, powiedział:

- Vox populi, vox Dei<sup>36</sup>. Niechaj się spełni Jego wola, a krew niechaj spadnie na sprawcę jej rozlewu.

Bardziej jeszcze niż ochrona mienia Zakonu i jego poddanych leżało wielkiemu mistrzowi na sercu zabezpieczenie najkrótszego połączenia ze Śląskiem. Dzięki niemu istniałaby możliwość wyboru pory wspólnego uderzenia z Luksemburczykiem w chwili, gdy Łokietek pozbawiony będzie pomocy sprzymierzeńców. W przeciwieństwie do podległych mu dostojników, Werner rozumiał, że rosnąca potęga Zakonu na niezbyt trwałych spoczywa podstawach, na zewnątrz zależna od dopływu zachodniego rycerstwa, w kraju oparta na ucisku. Lęk jeno trzymał w ryzach nie tylko podbitą ludność pruską i mazurską, ale i niemieckie miasta, pozbawione samorządu i znacznej części zysków z handlu, jakim cieszyły się w dawnej ojczyźnie. Zażegnane chwilowo niebezpieczeństwo chrztu Litwy nadal będzie wisiało nad Zakonem, póki się nie dokona podboju. Skutki najazdu Łokietka na ziemię chełmińską były dowodem, że Polska w jego ręku zawsze będzie kamieniem, o który Zakon się potknie w wyznaczonej mu przez Wenera drodze. Łokietek jednak może przegrywać wojny i będzie walczył dalej, dla Zakonu przegrana wojna oznaczała kres. W tym leży przyczyna nieustępliwości Łokietka. Tym ostrożniej Werner gotował się do walki.

Czeskiego króla wciąż jeszcze pochłaniał zatarg z Habsburgami. Połączenie ze Śląskiem nadal było niepewne i niebezpieczne. Dorywcze zwalczanie zbójeckich gromad od ubiegłej zimy przerodziło się niemal w wojnę, wzrastająca zaś zaciekłość i okrucieństwo, z jakim była prowadzona, zamiast strachu wywoływały odwet, na myśl o którym na zakonnych ludziach cierpła skóra. Toteż gdy przyszło do spotkania, walczone ze śmiertelną zajadłością, ale brakło śmiałków w zakonnych szeregach do pościgu za nieuchwytnym przeciwnikiem po leśnych komyszach. Od czterech z górą miesięcy prowadzona walka przez komturów Czerska, Człu - chowa i Chojnic wyników nie dawała.

Sprawa zgniecenia oporu na Pomorzu zdała się Wernerowi najpilniejsza, gdy na zwołanej po ukończeniu zjazdu naradzie omawiał z dostojnikami rozpoczęcie działań wojennych. Tutaj maska obrońcy pokoju nie była już potrzebna i Werner, raz postanowiwszy działać, jął się tego z całą przemyślnością i bezwzględnością. By obezwładnić zbójeckie gromady, nie

<sup>36</sup> Vox populi, vox Dei (łac.) - Głos ludu, głos Boga. starczy poprzestać na obronie, należy zniszczyć ich ostoje: osady bartników, drwali, smolarzy, bobrowników i innych leśnych ludzi, którzy dostarczali zaopatrzenia, a znając niemal każde drzewo w borach służyli za szpiegów i przewodników. Donosili o każdym zakonnym czy kupieckim poczie, i o ruchach zakonnych oddziałów. Przede wszystkim jednak trzeba zrównać z ziemią grody nad Notecią, źródło uzbrojenia i kierowania gromadami. Nie było tajemnicą, że dowództwo spoczywa w ręku osławionego starosty nakielskiego, który dziesiąty już rok grasował

bezkarnie po całym Pomorzu, nigdy nie pozwalając zmusić się do otwartej walki. Chytrzeż niż wilk umiał unikać zastawianych pułapek, a nawet przyciśnięty wymykał się jak węgorz, wszędzie mając

zaufanych ludzi i sobie tylko znane kryjówki. Szeroko zakrojone działania wymagało współpracy wszystkich komturów pomorskich i Werner powierzył dowództwo grudziądzkiemu Siegehardowi, doświadczonemu w leśnych walkach na Żmudzi, w których wyróżniał się nie tylko bezwzględnością i przebiegłością, ale i stale sprzyjającym szczęściem.

Łatwiejsze zadanie wyznaczył Werner landkomturowi: splądrowanie dzielnic Ziemowita i Trojdena, by przed rozpoczęciem działań Łokietka wymóc na mazowieckich książętach uległość, a nawet udzielenie posiłków. Nie miał być oszczędzony i Kazko gniewkowski, ale temu wystarczy pogrozić.

Wydawszy zarządzenia, wielki mistrz z Radzyna wrócił do Malborka, by dokończyć przygotowań wojennych, a dostojnicy przystąpili do wykonania rozkazów. Mazowsze znowu zawleкло się dymami, końskie kopyta tratowały kwitnące właśnie zboża, ludność uchodziła w lasy lub do pobliskich grodów, ruch na drogach ustał, a wraz z nim dochody z ceł. Książęta odgryzali się, jak umieli, śląc o pomoc do stryja, która jednak nierychło nadejść mogła.

Sklonni już byli pójść na układy z Zakonem, gdyby jeno o nie się zwrócił. Von Gera wolał

jednak, by o pokój prosili książęta, wówczas bowiem będą musieli przyjąć narzucone im warunki; nie spiesząc się, nadal palił wsie i uprowadzał w niewolę bezbroną ludność, nie biorąc się do zdobywania grodów i nie szukając walnej bitwy. Wielki mistrz na razie nie zamierzał zajmować Mazowsza, gdy upora się z Łokietkiem, samo wpadnie w ręce Zakonu.

Trudne było natomiast zadanie Siegeharda. Przeciwnikiem jego był zaprzysiężony wróg Zakonu, doświadczony, podstępny, zajadły i zuchwały, walka w jeziorzystych i bagnistych, bezdrożnych borach nie była łatwa, zajęcie położonych w głębi nich grodów nad Notecią, możliwe tylko przez zaskoczenie. Jedynie Wyszogród nad Wisłą dałoby się wziąć siłą, choć obronny z natury i sztuką, a dowodzony przez mężnego Jaśka z Płonkowa, świadomego, co go czeka, gdyby wpadł w ręce krzyżackie, też niełatwy był do zgryzienia.

Siegehard jednak był wodzem biegłym, a szczęście nie zawiodło go i tym razem.

Gdy z Nowego i Starogrodu ruszały w Bory Tucholskie piesze zastępy krzyżackie i lekka jazda pruska, z rozkazem niszczenia leśnych osad, by ściągnąć na siebie uwagę i siły przeciwnika, z Czerska zaś, Chojnic i Człuchowa chyłkiem lasami przemykały na południe pancerne piechoty miejskie i najemne, poczty lenników i silny hufiec zakonny, starosta Henryk w tym samym czasie samotrzeć wracał beztrąsko do Nakła. Rozpuścił znaczną część swych lotnych wojsk, bowiem ludzie po zimowych i wiosennych pochodach, zasadzkach i starciach potrzebowali wypoczynku. Cel działań zdał się osiągnięty, od dawna nie było słyhać, by jakikolwiek poczet zakonny czy kupiecki próbował przedrzeć się na Śląsk.

Henryk zamierzał również odpocząć, uładzić zaległe sądy i sprawy, a przede wszystkim zasięgnąć wieści o położeniu na innych granicach. Zadowolony był z siebie i mniemał, że król również winien być z niego zadowolony. Folwarki zakonne na Pomorzu były wypłukane, Krzyżacy siedzieli po zamkach, nie ważąc się nawet wychylić po ściągnięcie danin, niemieccy osadnicy uchodzili, miejscowi rozzuchwalili się, a zaopatrzeni w broń zaczęli sami stawiać opór.

Radocha wraz ze swym poczem i Pizłą zbierał się jechać ze starostą, ale Henryk kazał

mu wstąpić do kasztelana Jaśka z Płonkowa, z prośbą, by tymczasem dał oko na przeprawy i gościniec. Radosze spieszo było do chłopca i gospodarki, ludziom jego też patrzył się wypoczynek i mieli własne sprawy, odprawił ich przeto, zabrawszy jeno Pizłę, by było do kogo gębę otworzyć, i pacholika, by się zatroszczył o konie. Ruszyli do Wyszogrodu, starosta zaś zatrzymał się w Koronowie u znajomego przeora tamtejszego klasztoru, by przez parę dni wypocząć, odżywić się i zasięgnąć wieści. Szerniały był, zarośnięty i obdarty, tak że przeor ledwo go poznał i zdał się zaskoczony. Henryk, sądząc, że przyczyną tego jest jego nędzny wygląd, zaśmiał się:

- Wraz się u was odpasę, bo na parę dni zapraszam się w gościnę. Jeno się wyparzę i ogolę, rad posłyszę, co w świecie zaszło, bo wieści zapewne macie.

- Dobrodziejowi klasztoru rad bym lepszymi służyć, niżli są - odparł przeor.

- Wieści - nie jadło, nijak w nich wybrzydzać. Prawcie, jako jest, oskomy mi to nie popsowa.

- Na zjeździe w Radzynie wielki mistrz walną wyprawę nakazał przeciw królowi.

- Wojna nie od dziś, tyle że wici trzeba będzie rozesłać.

- Na was szczególnie zawzięci...

- Też nie od dziś - beztrosko przerwał starosta. Widząc, że przeor nadal nie rozpogodził się, dodał:

- Nie trapie się o mnie, skoro ja się nie trapię.

- Brata waszego, przewielebnego biskupa, nieszczęście pościgło - rzekł przeor z westchnieniem. Henryk zaniepokoił się i zniecierpliwił zarazem:

- Wzdym nie wdowa po nim, płakać wam nie będę. Cóż się stało?

- Ledwo żywot uniósł - odparł przeor trochę dotknięty - gdy go we Włocławku w sam dzień Zmartwychwstania Pańskiego Krzyżacy naszli, miasto spalili, kościołów ni nawet katedry nie oszczędzając, a potem skarbiec zrabowali w Raciążku. Przewielebny biskup w Brześciu siedzi, Bożego zmiłowania czekając, bo nikt się nie ruszył w jego obronie. Pytał

nawet o was, bo chciał do Rynarzewa zjechać...

- Wždy mówiłem przewielebnemu niedoładze, by miast na procesy łożyć, ludzi najął.

Ninie płacze pewnikiem, bo inny o własną skórę tak nie stoi, jak on o cielęcą w trzosie, ale nos niechaj sobie sam uciera. Do tegom niepotrzebny, a bronić go nie mogłem, bom się gdzie indziej z psubraty zwodził. Coś ci mu tam pewnikiem w kiesie ostało, bo zabiegliwy, ma po ludziach pieniądz, a swój Gołańcz takż, tedy głodny nie jest jako ja. Raniej nade mną się użalcie.

- Wybaczcie, panie - rzekł przeor, nieco zgorszony - wraz każę podać posiłek.

Gdy wyszedł, Henryk zamyślił się. I żał mu było brata, i zły był na niego. Skarbiec w Raciążku jakby na wabia złodziejom trzymał, wierząc, że się w czasie procesu nie porwą na nowe bezprawie. A może to odpłata krzyżacka za ściąganie świętopietrza, które sam doradził.

Henryk poczuł się trochę winien, ale machnął ręką, tak czy inak trzeba bratu pomóc, rozpatrzy się w Nakle.

Przyspieszył wyjazd, ale podróż wlokła się. Konie miał zmarnowane, lipcowy upał

zmuszał do długich postojów w skwarne godziny, gdy powietrze drżało od żaru i dokuczały gzy, choć trzymał się lasów, na noclegi nie szukając osad, bo noce były krótkie, zorze zachodu ścigały przedświt, a w zamkniętej izbie oddychać było trudno. Wiedział już, że w Nakle nie wypoczynek go czeka, a nawet nie zwyczajne zajęcia. Słońce wypijało wody, bagna podeschły, brodów przybyło, wszystkich nie upilnuje, jeśli Krzyżacy zamierzili walną wyprawę, pora dla nich korzystna. Wkrótce zapewne znowu przyjdzie sypiać na kulbace lub z pięścią pod głową.

Czwartego dnia o świcie, wyjechawszy z lasów, Henryk ujrzał na skłonie baszty nakielskiego grodu i po chwili wjeżdżał do rozłożonego nad rzeką miasteczka, które budziło się właśnie. Na grodzie ruch zastał mniejszy niż zazwyczaj, od dowódcy straży dowiedział

się, że kasztelan Zbylut przed dwoma dniami wyszedł z jazdą, by sprawdzić wieść, jakoby w lasach za Wyrzyskiem zauważono ślady obozowiska znaczniejszych wojsk. Pod nieobecność stryjecznego brata Henryk, jeno z konia zsiadł, zatroszczyć się musiał o obronność grodu.

Sprzętu i zapasów było pod dostatkiem, jeno ludzi niecała setka, a jeszcze z wiciami pchnąć ich należało. Pozostali nie starczą na dwie zmiany na wypadek napaści. Ale Wyrzysk nie za morzem, Zbylut winien wrócić każdej chwili, sam pomyśli o ściągnięciu naroczników, a starostę dość czekało zajęć i spraw, jak zwykle po długiej nieobecności, tak że dzień zeszedł, ani się obejrzał, i dopiero po zachodzie znalazł czas, by odwiedzić starego proboszcza Dobrosława w jego dworku pod kościołem, koło południowej bramy.

Dobrosław siedział tu od wieku, chrzczył Henryka i Macieja i słabość żywił do obydwu.

Co prawda, Henryk, od wyrostka psotny i przekorny, niewiele skorzystał z początkowych nauk, jakich im kapelan udzielał, Maciej za to był przedmiotem dumy staruszka i Henryk, wiedząc o tym, starał się przy nim hamować swą kąśliwość, najchętniej gwarząc o czym innym. Przedmiotem dumy kapelana był także jego kościółek, jeden z najstarszych w Polsce, jak wieść głosiła, ufundowany przez brata świętego Wojciecha, pod jego wezwaniem.

Dobrosław rozbudował kościółek i ozdobił, a przywiązał się do niego tak, że odejść nie chciał, choć przy poparciu możnych wychowanków dawno mógł osiągnąć wyższe godności.

Trudno było jednak w rozmowie z plebanem uniknąć tego, co stanowiło treść życia staruszka, zwłaszcza obecnie, gdy Macieja spotkało nieszczęście i Dobrosław, choć wiedział, że Henryk nie zwykł niczym się przejmować, mówił ze łzami w oczach:

- Wy nie wiecie, co to dla kapłana pieczy jego powierzony Dom Boży. Więcej niżli dla świeckich rodzinny. Z niego człek wyfrunie, gdy jeszcze pstro ma w głowie, założy - lubo nie

- własny, w którym nie usiedzi - z wyrzutem spojrział na Henryka - a i to, gdy doczesny żywot zakończy, opuścić musi. A my u stóp ołtarza, z niego i dla niego żyjemy, a gdy duszę oddamy Bogu, ostajem pod uświęconym dachem do dnia zmartwychwstania. Wiem, że Maćkowi, czcigodnemu biskupowi - poprawił się - przyganiacie, że nadto zabiegliwy o ziemskie dobra.

Aleć na chwałę Bożą ich używa, nie skąpiąc ubogim jałmużny, a swej katedrze ksiąg kościelnych, aparatów i ozdoby. I oto świętokradcze ręce wyzuły go z tego, czemu serce i siły poświęcił.

- Bo nie słuchał rozsądnej rady - przerwał Henryk - by pierwej na żelazo i najemników łożył niżli na księgi i dziadów. W takowym sąsiedztwie, wiadomo, nic się nie osto i nie ostatni i nie pierwszy to kościół, co go psubraty spalili. Popiół zasię jednaki z katedry czy z chlewa. Ale Maciej wierzy, że piórem coś wskóra, bo tym jeno władać umie.

- Cedant arma togae<sup>37</sup> - z powagą odpowiedział Dobrosław, Henryk jednak odpalił:

- Rzeknijcie to Krzyżakom, tyle rozumieją, co ja, choć uczyliście mnie łaciny; a to chłopcy grube, jeno wojować umieją i mieczem, nie księgami, rosną.

- Pokąd się Boża cierpliwość nie wyczerpie, gdy dopełnią miary nieprawości - dodał

kapelan.

- I to pociecha, ale ja wolę nie czekać, aż dopełnią i o to troska moja. Pokaż zasię wrogowi, że cię w bolące miejsce ugodził, to ci dołoży. Nawet od was Maciej zawsze więcej cięgów zbierał niżli ja, choć się lepiej do ksiąg przykładał, a to dlatego, że płakał i spraszał

się, gdym ja jeno dworował.

- Hardy byłeś od wyrostka. Daj ci Bóg, byś się nigdy płakać nie nauczył.

- Tedy się waszej modlitwie polecam, bo sam często zabędę i przeżegnać się przed snem. Ale jutro święta niedziela, solennie przyrzekam na nabożeństwo przykładnie przyjść i obaczyć, coście tam nowego wystroili.

Pocałował staruszka w rękę i udał się na spoczynek, bo od przedświtu był na końskim grzbiecie, a potem na nogach przez cały długi, lipcowy, skwarny dzień. Słońce już zachodziło czerwono, upał jednak nie folgował. Chwilami wstawał podmuch, ale jak z pieca, gwiazdy zmętniały; noc będzie ciemna, może na burzę idzie.

Mimo otwartych okiennic w komorze było duszno. Starosta rozdziewał się przy oknie, czekając na chłodniejszy powiew od rzeki, który zazwyczaj wstawał o tej porze, niosąc głosy nocującego na rozlewiskach Noteci ptactwa i oddychającego po znojnym dniu miasta. Ale cisza była głucha, bagna wyschły, a w mieście wcześniej wygaszono światła, zapewne w obawie przed burzą, i utonęło ono w mroku i milczeniu.

Starosta mimo znużenia długo przewracał się na łożu. Gdy wreszcie zwabił sen, spał

tak twardo, że nie zbudziło go tłuczenie się okiennic od porywów wiatru, jeno w senne majaki mieszać się zaczęła rzeczywistość. Nasilająca się wrzawa niewątpliwie oznaczała walkę, ale nie mógł sobie uświadomić jaką. Z wysiłkiem przypomniał sobie, gdzie jest, i sięgnął, nie otwierając oczu, do wiszącego nad łożem miecza. Dopiero dotknięcie zimnego żelaza otrzeźwiło go. Walka nie była snem, niebo płonęło łuną, wrzask tysięcy piersi nasilał się i przybliżał.

37 Cedant arma togae (łac.) - Siła ustępuje przed umysłem.

W czerwonym półświetle Henryk zbierał się, omackiem szukając odzieży. W samym gieźle i portkach, z gołym mieczem w ręku, wypadł z komory. W sąsiedniej świetlicy jasno było jak w dzień, choć dopiero szarzał przedświt, a ponad gwar wybiło się nieludzkie wycie, nasilało się i ucichło, jak uciał. Starosta skoczył ku wyjściu, w drzwiach jednak wpadł na Dobrosława i omal go nie przewrócił. Podtrzymał chwiejącego się i usiłował posadzić na ławie, ale starzec uczeplił się go kurczowo, wołając zdyszczanym głosem:

- Tam piekło! Nie idź! Kościół zażegli wraz z ludźmi! Chwycił się za głowę, szepcząc:

- Jezu! Jezu! Zali to już dzień Twego sądu, że szatanom zwolisz chodzić po świecie!

Henryk wiedział już, co zaszło i co go czeka. Przegrał, trzeba zapłacić, ale w drzwiach jeszcze bronić się może. Wołał zginać od miecza i ruszył ku wyjściu, Dobrosław jednak zastąpił mu drogę. W tej chwili kopnięte drzwi od pola rozwarły się, w sieni rozległy się stapania i ukazał

się rycerz zakonny, wiodąc za włosy małego pacholika; za nim pchało się kilku knechtów z napiętymi kuszami. Dobrosław rzucił się zasłaniać Henryka. Przez chwilę przeciwnicy stali, patrząc wzajem na siebie. Krzyżak łamaną mową polską zapytał wyrostka:

- To jest starosta?

Gdy pacholik, trzęsąc się, zwlekał z odpowiedzią, rycerz uderzył go tłustą łapą po głowie. Henryk wyniośle i ostro powiedział po niemiecku:

- Ostaw wyrostka! Jam jest starosta Henryk Pałuk z Rynarzewa.

Krzyżak, puściwszy chłopca, zwrócił się do Dobrosława:

- Odstąpcie! Po tom was oszczędzić kazał, by oszczercy nie łgali, że Zakon sukni duchownej nie szanuje.

- Zakon Domów Bożych nie szanuje - odparł Dobrosław wzburzonym głosem. -

Hańba wam!

- Zakon tępi wrogów, gdzie ich najdzie - obojętnie rzucił Krzyżak. Zdjął hełm, otarł



spoczone czoło i rozsiadł się za stołem, z wyrazem pychy w małych oczkach patrząc na starostę. Nie widząc objawów strachu, na które zdał się czekać, powiedział groźnie:

- To wyście ów zbójcecki przywódca? Ciśnijcie miecz. Ninie zapłacicie Zakonowi za wszystkie zbrodnie.

Henryk, odsuwając struchlałego Dobrosława, usiadł naprzeciw Krzyżaka i zapytał z kpina:

- Ile?

Krzyżak aż się poderwał.

- Ile? Głową!

- Pono ją toruński komtur na sto marek srebra wycenił. Mało! Wasze męstwo najmniej dwieście stoi, na waszym miejscu nie wziąłbym ni feniga mniej.

- Odechce wam się drwić - rzucił Krzyżak ze złością.

- Uchowaj Boże! - odrzekł Henryk. - Nie wiem, ile własną cenicie, ale moja głowa dla mnie nawet trzysta warta.

Widząc, że Krzyżak jakby się zawahał, starosta dźwignął się na całą wysokość i ręką wskazując na drzwi, wrzasnął na knechtów:

- Raus!

Poderwali się, patrząc niepewnie na swego rycerza, ale gdy się nie odezwał, wyszli pospiesznie, a Henryk usiadł z powrotem i powiedział z uśmiechem:

- Łacniej się dogadamy bez świadków.

Zauważył chytry błysk w oczach Krzyżaka, gdy ten mruknął:

- Nie będę gadał o okupie, póki nie widzę pieniędzy.

- Prędeż własne ucho ujrzysz bez żrzadła niż jedną grzywnę, póki pewny nie będę, za co płacę. Nie myśl, żeś na głupszego trafił niżes sam.

- Już ja z was wydobędę, gdzie są pieniądze - warknął Krzyżak ze złością, ale Henryk zaśmiał się.

- Nie potrzebujesz się trudzić. U brata mego, włocławskiego biskupa.

- Nie wezmę mniej niżli pięćset. Kiedy będą tu?

- Nie dam więcej niż czterysta. Starczy, byś mógł chlać do końca żywota, póki cię krew nie zaleje lubo tłuszcz nie zadusi. A pieniądz będzie tu, gdy ja będę tam.

Krzyżak dźwignął się. Nalana jego twarz wyrażała zawód i złość.

- Mniemacie, że głupszy od was i dam się wywieść w pole! Nic z takowego targu, zapłacicie głową!

Dobrosław, który w zdumieniu przysłuchiwał się rozmowie, teraz wtrącił

roztrzęsiony:

- Ja poręczę i ostanę zakładnikiem.

- Nic mi po takim zakładniku, wolę pewnych sto marek i pomstę. Rozniecona chciwość nie chciała jednak zgasnąć, bo dodał:

- Chcecie mu żywot ocalić, wymyślcie tak, byśmy sobie wzajem ufać nie musieli.

Jeno prędko, bo nas tu samych nie ostawia.

Nasłuchiwał odgłosów plądrowania, które to zbliżały się, to znów oddalały.

Dobrosław rzekł pospiesznie:

- Pismo wygotuję do biskupa. Dacie mi dwóch ludzi z wozem, przez nich uwiadomię, gdzie okup będzie złożony. Prześlecie ich wraz z jeńcem, odbiorą pieniądze. Bogiem się świadczę, że nijakiej zasadzki nie będzie.

- Wam zawierzę - odparł Krzyżak z namysłem. - Tedy piszcie.

- Jeno nie ja wam - wtrącił Henryk, a zwracając się do Dobrosława, dodał:

- Osłonę weźcie, bo gdy psubraty pieniądze zwęszą, ubić was gotowi.

- Dobrze - rzekł Krzyżak ze złością. - Byle prędko. Henryk wyniósł z komory zwitek pergaminu, inkaust i pióro i zaczął dyktować:

- „Czcigodny i miły bracie! Słyszałem, że skarbiec twój ubrali zakonni złodzieje...” Krzyżak pięścią wyciął w stół.

- Nie zwolę lżyć Zakonu! Zdobycz jest nagrodą za męstwo!

Henryk wzruszył ramionami.

- Niechaj wam będzie, jeno nie przeszkadzajcie - odparł i ciągnął:

- „...nagrodę za męstwo zabrali pobożni rycerze Najświętszej Panny, a jeszcze ja zgryzoty ci przyczyniam, przez nieopatrność wpadłszy w ich złodziejskie ręce...” Widząc, że Krzyżak znowu zamierzył się, by wyrznąć pięścią, zapytał z głupia:

- A jak chcecie?

Odgłosy plądrowania zbliżyły się znowu i Krzyżak machnął ręką, a Henryk ciągnął:

- „Szczęściem znalazł się brat zakonny, któremu sprzykrzyło się ubóstwo...” Jak wasze miano? - zwrócił się do Krzyżaka.

- Nic to nie ma do sprawy.

- Jeno zapamiętać chciałem dobrodzieja - wtrącił Henryk i ciągnął:

-... i za czterysta grzywien chce mnie wypuścić, tedy albo przyślij srebro przez wielebnego Dobrosława, albo pomódl się za duszę jedynego brata...”

- Nie czterysta, jeno pięćset! - przerwał Krzyżak, ale Henryk uciął:

- Jedno mam słowo. A chcecie jeszcze sto grzywien, za głowę toruńskiego komtura dopłacę. Wiedźcie, żem i ja hojny.

- Przestańcie drwić, bym się nie rozmyślił. Zakon posłuszeństwem stoi, dostojników swych czci i ochrania.

Henryk ramionami wzruszył: - Mniemałem, że ubóstwem i czystością. „Bogu cię polecam” - dokończył - „a siebie Twej łasce i modlitwom.” Przyłożył pieczęć i wręczył zwitek Dobrosławowi, a Krzyżak wyszedł. Po chwili kroki rozległy się pod drzwiami, ale nie wszedł nikt. Henryk ziewnął i rzekł:

- Straże postawił. To i dobrze, bo spać mi się chce. Jeszczem nigdy taki rad nie był, że nie mam małżonki ni dziełek.

Radocha spieszył, by wypełniwszy zlecenie starosty, co rychlej wrócić do swego gródka. Gnała go nie tylko chęć wypoczynku, ale nieokreślony niepokój. Parł ku Wiśle, nie trzymając się żadnych szlaków. Susza wypięła wody, bagna i strugi rzadko stawały w drodze, krótkie noce spędzali w lesie i trzeci nocleg wypadł o kilka już tylko godzin jazdy od Wyszogrodu. Radocha o ćmie obudził towarzyszy i nie pożywiwszy się nawet, ruszyli.

Wkrótce drogę im przeciął gościniec wiodący ze Świecia do Bydgoszczy. Tu kończył się już zwarty bór, kraj zaczynał się osiadły i uprawny, opodal widać było zabudowania osady, na skraju zaś przy gościńcu rozsiadła się karczma. Słońce już stało wysoko i zaczynało dopiekać, Radocha poczuł pragnienie i ruszył ku niej. Gdy dojeżdżali, uderzyła go cisza. Na obejściu zostawił pachołka z końmi i wraz z Pizłą weszli do wnętrza. W pustych izbach panował

nieład, brudne naczynia i porozrzucane sprzęty świadczyły, że karczmę opuszczono w pośpiechu.

Wyszli na dziedziniec i dosiedli koni. Radocha spojrział ku osadzie, ale i tam nie było widać nikogo. Bez słowa wjechał w las. Okolica zaczynała się falista, przechodząc w dość wyniosłe pagórki. W wąwozie, którego dnem sączyła się struga, Radocha zwrócił się do pachołka:

- Tu będziesz na nas czekał, jeno oczy i uszy miej otwarte. Gdyby ci uchościć przyszło, to na zachód, i jeśli się da, czekaj u brodu na Brdzie, ale nie dłużej niż do rana. Nie doczekasz, jedź do dom i przestrzeż, iż napaści mogą się spodziewać.

Skinął na Pizłę i ruszyli na wschód, południowym stokiem pagórków. Gdy pasmo wzgórz skreśliło na północ, Radocha wyjechał na szczyt, skąd widok już był na dolinę Wisły i leżący o kilkanaście stajają Wyszogród. Zamiast grodu ujrzeli chmurę czarnego dymu, który z odległości ledwo uchwytnym dla oka ruchem wzbijał się ku pogodnemu niebu. Przez chwilę stali w milczeniu. Pizło mruknął:

- Wiadomo już wszystko. Wracajmy.

Radocha jakby nie słyszał, zjechał w dół po stoku. Przetrzebiony, ale zarastający już samosiewem las dochodził niemal do grodu. Radocha zeskoczył z konia i rzuciwszy Pizle wodze, nakazał:

- Poczekaj!

Skradał się od pnia do pnia, nasłuchując. Las uciał się, z rzadka porośnięty krzami łęg ciągnął się aż do grodu. Radocha wyszukał miejsce, skąd widok miał otwarty, i przystanął. Na drodze nad Wisłą widać było gromady ludzi, wśród nich białymi plamami lśniły w słońcu płaszcze zakonnych braci. Gromady skupiały się, niewątpliwie gotując się do odejścia; trzeba przestrzec kasztelana w Bydgoszczy, który może nie wiedzieć o napaści. Radocha szybko ruszył z powrotem. Byłby minął kępkę zarośli, gdyby nie brzęczenie roju much, który zerwał

się, gdy potracił gałęzią.

Za krzwem leżał człowiek. Zdał się martwy, zęby szczyrzyły się ze splekanych, pokrytych szerniałą już krwią warg. Ale gdy Radocha pochylił się nad nim, zauważył, że krew sączy się jeszcze, wabiąc muchy, a gdy rękę położył na piersi leżącego, by zbadać, czy serce bije, podniosła się oddechem i ledwo zrozumiała, chrapliwy szept poruszył usta:

- Wody!

Nie pora była szukać jej w pobliżu, ale wśród pagórków mijali strumyk. Radocha bez namysłu zadał sobie bezwładnego na barki i zataczając się pod ciężarem, dotarł do Pizły.

- Do wody! - rzucił, dosiadł konia, z pomocą towarzysza wciągnął nieznajomego na łęk i ruszył z powrotem.

Gdy dotarli do strumyka, ściągnął bezwładne ciało i ułożywszy nad brzegiem, chlustać jął wodą na twarz omdlałego. Ten ocknął się widocznie, bo szerniałym językiem usiłował

zliżyć wilgoć z warg, ale gdy Radocha, dźwignąwszy jego głowę, próbował go napić z ręki, nie mógł widocznie przełknąć wody wyschniętym gardłem, bo zakrztusił się i rozkaszał

tak, że zdało się, iż duszę wyzionie. Radocha stał bezradny, ale Pizło ujął leżącego pod pachy i oczyma wskazując na nogi, mruknął:

- Pomóż.

Usadowili bezwładnego w wodzie po pachy i Pizło jął chlustać nią na twarz i głowę obcego. Teraz nieznajomy szybko zlizywał ściekające krople, a po chwili otworzył

przekrwione oczy i zanurzywszy usta, zaczął pić. Pił i pił, przerywając tylko dla zaczerpnięcia oddechu. Wreszcie Pizło mruknął:

- Zadość, bo pęknie.

Wywłókł go na brzeg. Nieznajomy zrzucił wypitą wodę, ale odzyskiwał widocznie siły, bo usiłował sam spleść się do strumyka, Radocha jednak rzekł:

- Nie z nagła, woda nie uciecze. Z Wyszogrodu? - zapytał. Nieznajomy skinął głową półprzytomnie i szepnął z wysiłkiem:

- Woda uciecze. Studnię podkopali. Muł żarliśmy.

- Zmyślne psubraty - mruknął Radocha, a zwracając się do Pizły, rzekł:

- Nie czas się nim zabawiać. Ja skoczę do Bydgoszczy, a ty jedź z niebożęciem do pachółka i na bydgoski gościniec. Tam się spotkamy.

Pomógł Pizle wciągnąć ocalonego na konia, doskoczył swego i ruszył z kopyta.

Dotarłszy na gościniec, zwolnił i zamyślił się. Jeśli Krzyżacy ciągną na Bydgoszcz, konne oddziały mogły go uprzedzić. Bezpieczniej zajechać od zachodu, gdzie las dochodził pod miasto, a parę stajają powyżej grodu, leżącego w zakolu rzeki, jest bród. W karczmie koło niego zastanie ludzi, od których będzie mógł zasięgnąć wieści lub je przesłać przez nich.

Opustoszały o tej porze gościniec nie był jednak dobrym znakiem, Radocha skreślił w las.

Gdy wyjechał na łysą płaszczyznę koło brodu, zdarł konia i zawrócił. Przez bród waliły piesze zastępy krzyżackie. Spod Wyszogrodu jeszcze nie mogły nadszedzieć, nadeszły z zachodu. To nie pograniczna napaść, ale wojna.

Teraz Radocha gnał, ile pary w koniu, szczęściem, gdy jeno wypadł na gościniec, ujrzał nadjeżdżającego Pizłę wraz z pachółkiem i ocalonym, który z widocznym trudem trzymał się na podwodnym. Dojechawszy, Radocha bez słowa skreślił w las, przystanął i zwrócił się do pachółka:

- Jedź z nim do Łaziska i Trzebieży. Co zdatnego do broni, niechaj idzie do gródka, reszta w lasy.

Skinął na Pizłę, ruszyli szybko i zaraz stracili z oczu pozostałych. Gdy wjechali w gonny bór bez podszycia, Radocha zrównał się z Pizłą i powiedział:

- Są już pod Bydgoszczą. Od zachodu nadeszli, widno w dużej sile, skoro się w biały dzień przeprowadzają. A ty wypytałeś onego człeka?

- Narocznik z Osielska. Dwustu ludzi miał kasztelan Jaśko, a studnie jedną przy wale.

Musieli wiedzieć psubraty i tanio Jaśka dostali, bo trzeciego dnia mało kto w grodzie mógł

ustać o własnej sile. Który ruszać się wydolił, próbował nocą zbiec z piekła i on z nimi. Jak się ocalił, sam nie wie. Pewnikiem on jeden, bo juści, że Krzyżacy nikogo nie poiili. Jeszcze na kpiny cebry z wodą stawiali naprzeciw bram.

- Bogdaj ich biesi smołą poiili! - mruknął Radocha i popędził konia.

Bez brodu przeprawili się przez Brdę i skręcili ku południowi. Tu byli już jak u siebie, ale konie zaczynały ustawać i o zachodzie musieli zatrzymać się na dłuższy postój, choć do gródka nie było już daleko. Gdy konie wytarzały się i napasły, Radocha jednak osiodłał je i ruszyli na noc. Bezksiężycowa była, ale wyiskrzona gwiazdami i wkrótce trafili na drożynę wiodącą do gródka. Jeszcze wczesny świt nie barwił nieba, gdy wjechali na mszar, przechodzący w bagno, przez który wiodła grobla.

Coś się zmieniło, górująca nad gródkiem samborza winna odcinać się na tle jaśniejszej smugi wschodniego nieba. Gwiazdy zaczynały mrugać, świt rozszerzał się szybko, teraz można by już dostrzec bryłę zabudowań gródka. Radocha mrugał oczyma, nie widząc nic, ale nie oczy go zawodziły, bo w półświetle wstającego dnia rozeznał liczne ludzkie i końskie ślady na grobli. Potem czarniejsze od ustępującego mroku ujrzał osmolone pale pogorzeliśka.

Zostawiwszy konie na grobli, przebrnęli wyschlą fosę w miejscu, gdzie ongiś był zwodzony mostek. Koło szczątków rozwalonej bramy ujrzeli zwłoki czterech ludzi, zniekształcone już przez zwierza czy ptactwo. Musiały leżeć parę dni, bo bil od nich mdlący zaduch i pogorzeliśko już wystygło.

Radocha łaził po nim, odwalał osmolone pale, grzebał w popiele, odrzucał przepaloną darń ze zwałonego dachu. Pizło bez słowa snuł się za nim, pomagając i czekając, kiedy druh się odezwie. Wiedział, kogo szuka. Długo trwało, nim zziajany, z poczerniałą twarzą Radocha usiadł na nadpalonym tramie i zamknął zaczerwienione oczy. Gdy i teraz się nie odzywał, Pizło zaczął:

- Psów takóž nie ma. Pewnikiem z nimi Radek uszedł. Može się jeszcze najdzie.

Nie doczekawszy się odpowiedzi, zapytał:

- Nad czym dumasz?

- Praw byleś, że takim jak my lepiej nie mieć nic swojego - stłumionym głosem powiedział Radocha i dodał cicho: - Mądra była Kundzia, że mnie nie chciała. Nie będzie rodu Ciołków z Radoszyna.

Pizło głową kiwał ze zrozumieniem. Po raz drugi Radocha siedzi na zgliszczach swego domu, z którym wiązał wszystkie swe nadzieje. Tylko teraz stary już. Szerokie bary zgarbił, jak pod zbyt ciężkim brzemieniem, twarz z obwisłymi wusami jakby się skurczyła i zmalała, spod przymkniętych powiek wymknęły się dwie krople i stoczywszy się na wąsy, wyżłobiły jaśniejszą bruzdę na osmolonych policzkach.

Pizłę dławilo coś w gardle, ale rzekł szorstko:

- Szkoda, że cię psubraty nie ujrzą. Beczysz jak baba. Lutowaliby się pewnikiem.

Chciał pozłościć druha, ale Radocha dłonią roztarł zdradliwe krople i odparł

zawstydzony:

- Widzi ci się. Jeno oczy zaproszyłem. A myślę, co dalej. Krzyżaki, ani chybi, pod Bydgoszcz od Nakła przysły. Zda się, że nie ujrzym już Henryka z Rynarzewa.

- To i co? Wyrostkami my we dwu zaczynali i teraz wydolim. A droga każdemu kanyś się skończy, jeno rad bych ją krzyżackimi kośćmi wymościł.

- I ja - rzekł Radocha, wstając. - Przędzi pogrzebać trzeba tych, co tu zostali. Potem uradzimy, co poczynać.

- Jeno już gniazda nie zakładaj, bo ci je znowu przysrają.

- Nie pisane mi widno - Radocha powstrzymał westchnienie. - Ale ktoś ci je zakładać musi, boby naród wyzdychał bez krzyżackiej pomocy. A jakoż? - wskazał na pogorzelsko.

- Baby zawsze będą rodziły, bo od tego są, a że nie Ciołków z Radoszyna, to i cóże? I zawsze się jakowyś Radek najdzie, który na Radochę wyrośnie.

- Daj to Bóg - westchnął Radocha.

Nadchodzące do Krakowa, jedna po drugiej, wieści o najeździe i klęskach zastały króla w łozu. Chorobą była starość, dobiegał siedemdziesięciu lat i sam widocznie czuł

upadek sił, bo się zrazu nawet nie wrywał, ale Jadwiga obawiała się, że wieści go wzburzą, a medyk Marcin z naciskiem zalecał królowi spokój i wypoczynek. Zamierzała zataić przed mężem niepomyślnie wiadomości, on dopytywał jednak o nie, a kłamać nie umiała. Ku jej uldze, a nawet zaskoczeniu, przyjął je spokojnie, choć groźne były. Wojska krzyżackie zalały już całą Krainę, zajęły lub spaliły grody nad Notecią, zdobyły Bydgoszcz, posuwając się w głąb Kujaw, spustoszyły okolice Brześcia i zagrażają samemu miastu, ulubionemu przez króla. Wojciech z Kościelca i Paszko Ogończyk zebrany pod Łęczycą siłami próbowali odciążyć grody, które pozbawione pomocy z zewnątrz, każdy z osobna, stanowiły łatwy łup, ale komtur Otto von Luterberg osadził na miejscu polskie siły, a nawet zdobył Przedecz, wycinając do nogi osiemdziesięciu jeno ludzi liczącą załogę. Na dobitkę Ziemowit i Trojden, nie doczekawszy posiłków, prosili Krzyżaków o pokój. Giedymin, który najłatwiej mógł ich wesprzeć, nie uderzył, trudniejsze jeszcze będzie współdziałanie z nim, gdy Zakon zabezpieczy się od przemarszu Litwy przez Mazowsze. Nie nadchodziła też spodziewana pomoc z Węgier, Karol Robert zapędził się w walkę z Wołoszą i nieprędko będzie mógł jej udzielić.

Królowa dobrze wiedziała, co czuć musi małżonek, gdy u schyłku życia, miast zbierać owoce z górą półwiekowych zmagają, patrzeć musi, jak chwieją się zręby dopiero odbudowującego się państwa. Znaczne i ważne jego połacie zajmował wróg, jedyni niemal książęta, którzy uznali zwierzchność

królewską i dochowali wierności, nie tylko odpadli, ale Zakon wymusił na nich udzielenie pomocy przeciw stryjowi, a Kazko gniewkowski stał na uboczu.

Jadwiga, która, wierząc w posłannictwo małżonka, zawsze dotychczas zachęcała go do wytrwania, gdy zdał się chwiać pod ciosami, teraz wątpić zaczynała, czy słuszność ma, upierając się przy Pomorzu. Ciągająca się od dwudziestu lat walka niosła jeno klęski i coraz nowe straty, wzmagające się okrucieństwo Zakonu budziło w królowej litość nad ofiarami, a skutki jego, jakie dawały się odczuć w kraju - niepokój. Niemieckie mieszczaństwo niechętnie i z oporem ponosiło związane z wojną ciężary, rycerstwo szemrać zaczynało, że król na darmo szafuje jego krwią, można władcóm na rękę było osłabienie Łokietka.

Bezczynność Wincentego z Szamotuł, gdy Wielkopolska bezpośrednio już była zagrożona, dawała do myślenia, a nie sposób pozbyć się pysznego wielmoży, który - podrażniony -

wpływów swych w Marchii użyć mógł przeciw królowi.

Jadwiga wiedziała, że Kazimierz kilkakrotnie usiłował przekonać ojca, by poniechał

beznadziejnej walki z Zakonem, a uzyskanych i zaoszczędzonych zasobów użył na wzmocnienie i zagospodarowanie kraju. Zdało jej się starczym uporem, że Włodzisław mówić o tym nie chciał nawet z synem, tym bardziej nie pozwoli zwołanym na naradę krakowskim i sandomierskim dostojnikom. Znając zresztą króla, żaden nie waży się poruszyć tej sprawy, raczej stawiać zaczął bierny opór, a tymczasem położenie pogarszało się, w miarę zaś wzrastającej przewagi Zakon niewątpliwie wysuwać będzie coraz mniej korzystne warunki ugody, o ile zgoła zechce ją jeszcze zawrzeć. Królowa rozumiała, że tylko ona może próbować nakłonić do niej małżonka.

Wiedziała też, że spokój jego jest pozorny, skoro nic nie dał poznać po sobie nawet na wieść o śmierci Jaśka z Płonkowa ni o niepewnym losie Henryka z Rynarzewa. Jeżeli nawet starosta nie spłonął żywcem w spalonym przez Krzyżaków wraz z załogą Nakła kościele, to dostał się do niewoli, a nie można się było spodziewać, by Krzyżacy wypuścili człowieka, który dobrze dał się im we znaki. Łokietek lubił i wysoko cenił tych dwóch ludzi, którzy bez wojsk i pieniędzy tak długo potrafili podtrzymywać walkę o Pomorze, strata ich nie mogła mu być obojętna.

Że król taił jeno w sobie gorycz, Jadwiga przekonała się, gdy mimo jej prośby, by wezwanych na naradę nielicznych dostojników przyjął, pozostając w łożu, kazał przygotować świetlicę na przyziomie. Na uwagę, że słaby jest jeszcze, odpowiedział:

- Sam wiem, na co mnie stać. Słabego nikt nie szanuje, ni wróg, ni przyjaciel. Od uzalania do lekceważenia jeden krok. I w Zakonie wiedzieć nie śmia, żem w łożu, a nie w siodle.

Królowa przyszła z zamiarem, by pomówić o ugodzie z Krzyżakami, i szukała sposobności, by na nią skierować rozmowę. Odparła:

- Na nic słabemu silnego udawać, bo i tak się wyda. Spokój wam potrzebny, póki siły nie wrócą.

- Na starość siły nie wracają, te, które mam, starczyć muszą. Nie pora mi się oszczędzać, bo nie o



mnie idzie - uciał szorstko.

- Mnie o was chodzi - szepnęła. - I nie dla siebie chcę was zachować. Ale wam nie Iza reszty sił trwonić w przegranej walce.

Zarumieniła się pod przenikliwym spojrzeniem małżonka, zebrała jednak na śmiałość i ciągnęła:

- Nie powstrzymywałam was nigdy, gdyście nasz spokój i szczęście... i naszych dzieci

- westchnęła - stawką czynili dla celu, który i moim jest. Dlatego niech mi wolno będzie mówić o tych sprawach - dodała szybko, widząc, że Włodzisław marszczy czoło. - Wiem, coście rzekli Kazkowi, gdy doradzał pokój z Zakonem; może wonczas słusznie. Ale zmieniło się na gorsze, zali nie pora i wam zmienić zdanie?

Widząc, że mąż spojrzenie utkwiał w powale, jakby się zamyślił, ciągnęła śmielej:

- Każda wojna, nawet zwycięska, krew, pot i łzy wyciska. Wiem jednakowoż: mężowi nie litością się kierować, że ofiary z mienia i krwi żądać musi, by pokoleniom pokój, bezpieczeństwo i dostatek zapewnić. Nawet umierać lżej, gdy choć nadzieja przyświeca, że nie darmo, ale i grosza żal, gdy nic w zamian kromie strat. Nawet najemnikowi, który walczy dla zysku, nie zajedno, zali go wódz do zwycięstwa prowadzi lubo do klęski.

Widząc, że król marszczy znowu czoło, zakończyła szybko:

- Przyjmijcie ofiarowane przez Zakon warunki, bo każdemu oczywiste, że Pomorze przepadło. Daj to Bóg, by nic więcej - westchnęła i patrzyła z niepokojem na męża, czekając odpowiedzi. Zdał się rozważać, zmarszczka na jego czole pogłębiła się, gdy zaczął:

- Wysłuchałem cierpliwie, bo wspólna nam była droga od sieradzkiego stolca do polskiego tronu i zawżdy u was znajdował pokrzepienie i zrozumienie. Tym ci boleściwiej, że gdy najciężej, a sił brak, ninie oparcia nie znajduję. Samostałem.

Uchwyciła męża za rękę i trzęsącymi się wargami wyszeptała:

- Co prawicie? Ja z wami do śmierci i na śmierć. Aleć iście nie o nas idzie. Słaby mój niewieści rozum, ale to, co rzekłam, mówią lubo myślą wszyscy...

- Wszyscy? - przerwał. - Ci, którym zda się, że - na zatrąbę wydając bodajże najlepszą część naszego narodu - dla siebie haniebny pokój kupić mogą u tych piekielnych mnichów.

Zali wielkiego rozumu trzeba, by to pojąć? Od zarania, gdy pradziad nasz w złą godzinę te wilki wpuścił do owczarni, przed żadnym łotrostwem się nie cofnęli, by nasycić chciwość swą i pychę. Ale po cóż sięgać w przeszłość, gdy starczy tego, co ninie czynią, by zrozumieć, że sam się oszukuje, kto wierzyć chce ich słowu. Myśli Kazko gniewkowski, że siebie uchroni, odmawiając udziału w walce. Tedy bez walki przegra. Wańko się z psu braty przyjaźnił, nie cześć mu było hołdować starszemu krewniakowi z dobrej woli. Przedali sprzymierzeńca Luksemburczykowi, z musu hołduje obcemu.

- To prawda - szepnęła Jadwiga pobladłymi wargami. - Ale co czynić, gdy sił nie ma, by się oprzeć najeźdźcom? Choć na krótki czas pokój potrzebny, by je zebrać...

- Na czas! - przerwał Włodzisław. - Na taki, jaki im potrzebny, by stłumić pozbawiony nadziei wsparcia opór na Pomorzu, jak stłumili pruski; by niemiecki kolonista wyparł

polskiego chłopca, którego niewolnymi rękoma zamki pomurują, by bezpiecznie i bez przeszkód siły i zasoby ściągać ze starego kraju, a zbałamuczone zachodnie rycerstwo - by Litwę po swojemu nawracać. Gdy z nią skończą, na nas przyjdzie kolej.

Jadwiga załamała ręce.

- Cóż tedy działać? Choćbyście, na zdrowie nie bacząc, sami ruszyli w pomoc Paszce i Wojciechowi z krakowskim i sandomierskim rycerstwem i tą odrobiną najemników, zali zdolacie choćby powstrzymać najazd? Już teraz szerzy się zniechęcenie i niewiara, a cóże w razie klęski? Sami rzekliście, że słabego nie szanuje nikt. Sprzymierzeńcy odstępują pokonanego, pobite wojsko wychodzi z posłuszeństwa. Nie masz już Jaśka z Płonkowa i Henryka z Rynarzewa, którzy opór podsycali na Pomorzu, nie ruszył się Giedymin, by wesprzeć Ziemowita i Trojdena, nie widać węgierskich posiłków, darmo Kazko tam siedzi.

Nie wiada, co zamyśla Wincenty Nałęcz. Najbliżej mu było grody wesprzeć nad Notecią, nie uczynił nic. Raz już Wielka Polska odpadła od was, gdy najciężej było...

Król zachmurzył się.

- Pojadę tam, jeno się dźwignę. Borkowic nie patrzyłby beczynnemu, jak Krzyżacy zajmują Krainę. Gdyby mi Wincenty nie był potrzebny dla brandenburskich spraw, nie byłby starostą ni chwili. Nie miłują Nałęcz Henryka z Rynarzewa, może dlatego ostawili go bez pomocy. Ale nie uwierzę, póki się dowodnie nie przekonam, by tak obrotny człek nie znalazł

wyjścia z matni.

Król zamyślił się, ale podjął po chwili:

- Obaczmy, co z Wilna przywiezie Wierzynek. Może Giedymin, jako zwykle, ruszy się zimą. Jedno pewne, że z nim Zakon pokoju zawrzeć nie chce i nie może. Ninie jesień idzie, nie pora walki podsycać, bo i tak przygasną. A z wiosną może Kazimierz z posiłkami wróci, gdy się nasz zięć z Wołoszą upora.

- Każcie mu wracać zaraz - powiedziała Jadwiga. - Nie czas na zabawy, gdy was słabość w łożu trzyma, wyręka wam winien być.

- Ostawcie. Tyle mu młodości, póki ja żywię. Widno są mu tam radzi, dobrze, by się z dziewierzem poznali i zaprzyjaźnili. A mnie nie słabość w łożu trzyma, jeno wy z medykami.

I koń się zastoi, gdy go zbyt długo nie brać pod siodło. Ale zadość będzie. Jutro wstanę, a potem, jak rzekłem, do Gniezna i Poznania. Związek Kingi, który by z korzyścią był dla królestwa, skojarzyć

trzeba. Pono Otto Habsburg o jej rękę uderzyć zamierza, zdałby się sprzymierzeniec przeciw Luksemburczykowi.

Jadwiga powstrzymała westchnienie. Kunegunda ma iść na obczyznę, porzucając na Śląsku syna i córkę, by ich nie ujrzeć więcej. Włodzisław wszystko ciska na szalę, nawet spokój i szczęście dzieci. Czy nie na próżno? Posmutniała.

Gdy nie odzywała się, król widocznie zrozumiał jej wątpliwości.

- Szukam sił gdzie je znaleźć mogę - powiedział. - Gdyby obudzić te, które są w kraju, starczyłyby. Prawda, że mocny zda się Zakon jako zamki murowane, ale jego podwaliny na bagnie. Od dwudziestu lat klęskę nam zadaje za klęską. Ale nie ten zwyciężony, kto pobity, jeno kto walczyć przestał. Ni stu lat nie starczy, by zniszczyć naród, a jedno zwycięstwo obalić może Zakon. Zmienne są koleje wojny.

- Jeno że klęski niewiarę szerzą w zwycięstwo - szepnęła.

- Zali wiarę w nie poddaniem się można obudzić? Gdy nie odpowiedziała, Łokietek ciągnął:

- Na każdego chwila słabości przyjść może i zwątpienie. Aleć gdy na mnie przyjdzie, wspominam, com przy koronacji przysiągł, nie jeno Bogu i ludziom, ale sobie: że niczego z ziem do tego królestwa należnych nie uronię, a stracone odbiorę. I na zbawienie duszy, do ostatniego tchu dotrzymam.

Jadwiga wyszeptwała zawstydzona:

- Wybaczcie, że zabyłam. I jam waszą przysięgą związana.

Zarządziwszy przygotowania do wyprawy przeciw Zakonowi, którą z wiosną zamierzył, król wyjechał do Poznania. Choć nieco z drogi było, wstąpić postanowił także do Gniezna, by się rozmówić z arcybiskupem Janisławem. Stosunki z dawnym kanclerzem kujawskim, a teraz biskupem krakowskim, Janem Grotowicem, zrazu poprawne, a nawet życzliwe, popsuły się od czasu, gdy i on z kolei upomina się zaczął o zabrane zamki. Otwarty spór wybuchł jednak o dziesięciny z nowin, które król przeznaczyć chciał na fundowanie nowych parafii, biskup zaś zażądał ich dla siebie i wniósł pozew przed arcybiskupa. Króla rozjątrzyło, że Grotowic bardziej zabiega o dochody swego stołu niż o zaniebaną przez długie lata pracę duszpasterską, i zamierzał nacisnąć w tej sprawie Janisława. Arcybiskupa jednak w Gnieźnie nie zastał, a o sprawie niemal zapomniał, gdy powitał go tam Henryk z Rynarzewa. Dowiedziawszy się o przyjeździe króla, przybył z Gołańczy, gdzie - wykupiwszy się z niewoli - siedział u brata, który uszedł tam z Brześcia, gdy Luterberg podchodził pod gród. Nakło zajęte było przez Krzyżaków, Rynarzewo spalone, obydwaj z Maciejem pozbawieni byli swych urzędów i zasobów, ale Henryk opowiadał o swych opałach tak, że król mimo woli śmiać się musiał. Starosta drwił z Krzyżaków i pokpiwał też z Macieja, choć bez zwykłej uszczypliwości, bo biskup resztki mienia zastawił, by brata wykupić. Toteż Łokietek powiedział:

- Nie dworuj z Macieja, że boleje nad stratami, skoro dowód dał, że brat mu miłszy niż srebro. Nie mały to pieniądz - czterysta grzywien, zwłaszcza gdy go brak. Ale najdzie się, byś mu zwrócił, choć u mnie kuso. Dwakroć tyle bym dał, takim rad, że cię widzę całym, bo prawdę rzec, nie bardzo

się spodziewałem.

- Tedy już się nie troszczcie, miłościwy panie. Skórom żyw, sam pieniądz najdę, gdzie go stracił. Mało dziesięćkroć tyle społem my z rycerzem Radocha psubratom wydarli, jeno że się mnie pieniądz nie trzyma.

- Boś lekki, pieniądz zasię ciężki - uśmiechnął się Łokietek. - Żebyś jednakowoż inny był, pewnikiem głowy byś nie uniósł, bo prawda, żeś niemało Krzyżakom napakościł. Mogli cię w ogień cisnąć jako innych.

- Który Krzyżak czterysta grzywien w ogień ciśnie? Radziej duszę w ogień piekielny.

Żem głowę uniósł, to przez ich chciwość i sknerstwo. Żeby Luterberg nie sto grzywien moją głowę wycenił, jeno pięćset, tobym jej nie uniósł, bo Maciej z ledwością i płaczem czterysta uścibał.

- Jeno bacz, byś wtóry raz w ich ręce nie popadł. A z onym Radocha cóże się stało?

- Społem my zimę i wiosnę przewojowali w borach i społem wracaliśmy, jenom go wraz z Pizłą z Koronowa do Wyszogrodu wysłał, by Jaškowi opiekę nad gościńcem zalecić.

Nie wiem, zali tam dotarli, a źle by było, bo noga z Wyszogrodu nie uszła. Ale że im Krzyżaki nie nowina, mniemam, że się w porę spostrzegli, jeno nie wiada, gdzie ich szukać, bo obiedwie wsie Radochowe spalone, a pono i gródek, choć trudno go było naleźć. Jeno gdyby ich tam popadli...

Henryk urwał i zatroskał się. Król spochmurniał również.

- Szkoda byłaby niepowetowana - powiedział. - Właśnie teraz najbardziej takich trzeba, co by mir mieli u chłopstwa i osadników, a nie lękali się Krzyżaków.

Henryk jednak, który nie zwykł był długo się martwić, odparł:

- Najdą się inni, a na zapas szkoda się lutować.

- Może do Krakowa pojechali - rzucił król - skoro Radocha tu wszystko stracił, tam zasię niewiasta siedzi, do której go ciągnęło.

- Chyba mu przeszło, bo bardziej niż do podwiki do dziecka go ciągnęło, a tu sobie wyrostka przylubił, o którym wam powiedziałem.

Uderzył się w czoło.

- Onże wyrostek w gródku pozostał. Pewno i po nim, bo psubraty i dzieci szcędzić nie zwykli. Ale tym bardziej Radocha, jeśli ocalał, zechce im odpłacić.

- Im odpłaci - powiedział król w zamyśleniu - jeno kto odpłaci jemu? Taki widno jest, że sercem do kogoś i lgnąć musi, a szczęścia nie ma. Gdyby chciał jeszcze ona niewiastę pojąć, tobym jej przykazał. Zresztą i ona pewniki, ni już na swego wywołańca nie czeka.

Dziesięć godów - szmal czasu, a żywot nie wieczny.

- Kto by się wyznał na niewieście. Jedna i za grobem wiary dochowa, inna jeno portki ujrzy, leci jak ćma do płomienia. To pewne, że przyniewalać za nic.

- Prawyś. Zresztą nie wiada, zali Radocha żywie, a nam innych trosk nie brak. Do Poznania mi jechać, ze starostą Wincentym rozmówić się i do Marchii go wysłać, by się upewnić, że nas w spokoju ostawia, gdy przeciw Krzyżakom działać przyjdzie.

- Psa żal wygnać w takową pluchę - odparł Henryk. - Poślę po starostę, niechaj się przewietrzy, a wy wczasujcie, bo coś niemocno wyglądacie.

- Słabowałem, ale już dobrze, jeno znużyła mnie droga. Za młodu w siodle lepiej odpoczywałem niż ninie w łożu. Jeno nie chcę, byście się spotkali, bo jakoby pies z kotem.

- Nie zjem go ani on mnie, ale mam siedzieć z kagańcem na pysku, wolę go nie widzieć.

- Tobie i kaganiec nie pomoże, tedy poślij po Wincentego, a sam jedź. Co zasię poczynać zamýślasz?

- Jeno drogi stwardnieją, rozejrzę się, kto z naszych ludzi pozostał po krzyżackim najeździe. Jeśli Radocha ocalał, to się odnajdziemy. A co będziem czynić? To, co raniej.

- Daj Bóg! Jeno bacz, byś znowu nie popadł w krzyżackie ręce - powtórzył król. - Nie zawždy świętego Jana.

- U nich takóž - zaśmiał się Henryk. - Z dziesięć lat znowu poczekać muszą, nim mnie dostaną.

- Gdyby się Radocha odnalazł, daj wiadomość. Trzeba i jemu jakoś szkody wynagrodzić. Do Godów zabawię w Wielkiej Polsce, potem wracam do Krakowa, gdzie córa czeka. Może i Kazimierz z Węgier wróci, dowiem się, kiedy posiłków od zięcia mogę się spodziewać.

- Zdałoby się, by wyręczać zaczął rodzica. Zrały już, u wyście niemłodzi.

- Cóż mi lata wypominasz? I tobie ich przybywa, choć po prawdzie nie widać. Ileż to już liczysz?

- Nie liczę - zaśmiał się Henryk. - Swoje robię, a tym się nie trapię, na co rady nie widzę.

Na przedwiośniu król wracał do Krakowa z lżejszym sercem. Przez Wincentego z Szamotuł zawarł pokój z Marchią do świętego Marcina 1332 roku. Nałęcz sobie przypisywał

zasługę, król wiedział jednak, że Wittelsbachowie chcą mu zostawić wolną rękę przeciw Janowi czeskiemu, a może nawet wciągnąć do przymierza przeciw Luksemburczykowi, wraz z Karolem Robertem i przyszłym zięciem Ottonem Wesołym, którego posłowie czekali już na króla w Krakowie, by omówić związek z Kunegundą.

Wenera zaniepokoiły te układy, pozbawiające Zakon czeskiego sprzymierzeńca w walce z Polską, jej zaś zapewniające pokój ze strony wrogich dotychczas Wittelsbachów. By wyrzucić na nich nacisk

groźbą przejścia na stronę papieża, Werner polecił płacić świętopietrze z Pomorza, jednocześnie zapewniając Luksemburczykowi poparcie Zakonu przeciw gotującej się koalicji, w której trwałość nie wierzył.

Nadal trudno było utrzymać łączność z Janem czeskim przez Pomorze. Mimo że wiele starań dołożono, by oczyścić bory i pozbawić rozbójników oparcia, jakie mieli w grodach nad Notecią, znowu zaczęły się niepokoje, niszczenie mostów, zasadzki i rabunki, zmuszające komturów pomorskich do stałego strzeżenia gościńców i przepraw. Niemniej przewidywania wielkiego mistrza okazały się trafne. Obrotny Luksemburczyk poradził sobie bez pomocy Zakonu. Nie czekając, aż zamknie się pierścień osaczających go wrogów, uderzył w naj słabsze miejsce, zmuszając Ottona Habsburga do poniesienia związku z Łokietkiem.

Zawiedziony król wydał córę za Rudolfa saskowirtemberskiego. Po kądzieli spokrewniony z Habsburgami, nigdy nie należał do stronników cesarza, ostatnio zaś otwarcie przeszedł do wrogiego mu obozu, gdy Ludwik godność elektorską przyznał lauenburskiej linii saskiego domu. W jeszcze nie skleconej koalicji powstała nowa rysa, Łokietek liczył już tylko na węgierskiego zięcia, a chwilowe związanie Luksemburczyka wykorzystać zamierzał, by Zakonowi za zeszłoroczną napaść odpłacić i wzbudzić wiarę w skuteczność walki z Krzyżakami, zachwianą przez ustawiczne klęski.

Niecierpliwiła go, a nawet zaczynała niepokoić przedłużająca się nieobecność Kazimierza, nie dlatego by czekał od niego wyroku, z nastaniem bowiem cieplejszej pory poczuł się silniejszy. Chciał za swego życia wnuka po synu zobaczyć, a drugi już rok Aldona żyje jak wdowa lub mniszka. Pamiętał własną młodość i podejrzewał, że syna podobne sprawy trzymają z dala od żony i kraju, za które sam tak drogo zapłacił. Gdy nastąpiła chwila folgi w troskach o sprawy państwa, miejsce ich zajęły rodzinne. Kunegunda bez słowa sprzeciwu poddała się woli ojca, ale w milczeniu jej czuł gorycz. By jej osłodzić rozstanie, sam odprowadził ją do granicy i tu żegnali się, wiedząc, że na zawsze. Może córka przeczuwała, że wyprzedzi ojca w zejściu ze świata, bo, gdy dla pocieszenia jej przyrzekł

przysłać do niej brata, by poznał się z nowym dziewczynem, powiedziała cicho:

- Nikogo już nie ujrzę z tych, których miłuję.

Król sądził jednak, że ma na myśli pozostawione na Śląsku dzieci i żywi do ojca żal, iż dla swych celów poświęcił jej macierzyńskie uczucia. Wracał do Krakowa przygnębiony.

Nie gotował szczęścia swym dzieciom, Elżbieta też tęsknić musiała za swymi, dlatego tak długo zatrzymuje ukochanego brata. Ale on sam winien rozumieć, że mu nie czas na zabawy.

Król spodziewał się, że go zastanie w Krakowie. Zajechawszy późnym wieczorem na Wawel, już przy bramie zapytał o syna i dowiedział się, że Kazimierz istotnie wrócił z Węgier, ale zatrzymał się w Bieczu.

Łokietek niezadowolony był, syn winien sam zdać sprawę I poselstwa, jeśli nawet stęsknił się za żoną, mógł ją zabrać I sobą. Prosto jak z konia zsiadł, król udał się do babińca.

Mimo późnej pory Jadwiga nie zbierała się jeszcze do spoczynku, czekając widocznie na małżonka. Gdy wszedł, odprawiła dworki. Nie zauważył zaszłej w niej zmiany I ledwo ją przywitawszy, rzucił niecierpliwie:

- Rozumiem, że Kazkowi najpilniej było do żony, ale wie przecież, że czekam na wieści.

- Są i wieści - odparła. - Żupan Druget sam przywiedzie posiłki ze Spiszą i Ujvaru.

- Dobre i to, ale chcę wiedzieć, czego od zięcia mogę się spodziewać, a i posłyszeć bym rad o Bietce i wnekach. Zaraz jutro ślę po Kazimierza.

- Już posłałam - rzekła Jadwiga. - Są wieści i o tym, co zaszło na dworze węgierskim.

Nie z tęsknoty za Anną pozostał Kazimierz w Bieczu. Może i lepiej, byście pod jego nieobecność posłyszeli, co działał.

Król wstał i usiadł znowu.

- Prawcie! - powiedział ochryłym głosem.

- Bóg ustrzegł od najgorszego, miłosierdzie okazał nad niewinnymi dziatkami, a pokarał jeno Elżbietę. Lękam się, że Jego sprawiedliwość dosięże i naszego syna.

Lękała się też nieopanowanego gniewu małżonka, który rzucił już ostro:

- Prawcie!

- Bardziej niż Kazka winuję Bietkę - zaczęła. - Że mężowie chuciom swym folgować zwykli, zwyczajna rzecz. Ale gdy stateczna niewiasta chuci żonatego człowieka fol - guje, to nie miłość siostrzana, ale wszeteczeństwo.

Włodzisław pięścią wyciął w stół.

- Dowiem się wreszcie, co zaszło?! Czy skończycie objeżdzać?

- Mówić mi trudno, wysłuchajcie spokojnie. Bietka od małości psuła Kazka, dogadzając jego zachciankom, a przed karami osłaniając. Taiłam przed wami, by nie zakłócać spokoju waszego, gdy nieczęsto zjechaliście do dom. Może źle robiłam. Zło urosło, a ninie zataić się nie da, gdy całemu światu wiadomo, a na losach obu narodów zaciężyc mogło...

Widząc, że małżonek zachnął się niecierpliwie, podjęła:

- Każko rozmiłował się w dworcie Elżbiety, córce palatyna Zaha. Gdy u cnotliwej dziewczki swego osiągnąć nie mógł, siostra mu chorego udać kazała, leżącego w łożu wraz z Klarą odwiedziła i pod jakimś pozorem samą z nim ostawiła. Nie sądziła widno, by dziewczka się komu przyznała, iż ją Kazimierz siłą wziął. Osiągnąwszy, co chciał, wyjechał.

Na swoje szczęście.

Gdy przerwała, król zapytał na pozór spokojnie:

- Cóż się dalej stało?

- Klara się rodzicowi poskarżyła i Felicjan, pomsty szukając za hańbę córy, zbrojnie naszedł Elżbietę i Karola, gdy z dziećmi wieczerzę pozywali. Bietka cztery palce utraciła u prawej ręki, którą się od ciosu zasłoniła, zięć nasz w ramię raniony. Szczęściem, gdy szaleniec na dzieci się rzucił, nadbiegł stolnik Jan z Potoken i ciąwszy w bark, na ziemię go obalił, a zwabieni hałasem domownicy rozsiekali leżącego i pojмали jego syna, który ojca odstąpić nie chciał, gdy inni siepacze zbiegli. Ale pochwymano wszystkich i końmi włączono, póki z nich kości i dusze nie wyszły.

Włodzisław słuchał, zachmurzony, Jadwigę natomiast, w miarę jak mówiła, ogarniało wzburzenie i groza, że głos jej się rwał. Widząc to, król powiedział:

- Każko jeszcze ode mnie o tej sprawie posłyszysz, bo haniebny to postępek. Elżbieta karę już poniosła. Ale nad zdrajcami się nie litujcie, którzy rękę na uświęconą osobę króla podnieść się ważyli. Straszna to kaźń, ale wszędy i zawżdy tak za zradę karano.

- Żebyż jeno ich! Stracono drugą córę Zaha i jej małżonka, choć o niczym nie wiedzieli.

A ona dziewczka nieszczęsna...

Jadwiga załamała ręce.

- Cóż się z nią stało? - zapytał Włodzisław.

- Nos i wargi jej obcięli, odrąbali palce u obu rąk i katując obwozili po kraju, zmuszając, by własnego rodzica, który żywot za jej cześć położył, jako zdrajcę potępiała. Gdy pomyślę, że to z winy naszych dzieci, przekląć bym chciała płody własnego łona...

Rozpłakała się.

- Nie śmiem nawet Boga prosić, by im wybaczył - rzekła, szlochając.



- Uspokóście się - powiedział łagodnie. - Zbędne było ono okrucieństwo, ale jego winę już nie naszym dzieciom przypisać. Niechaj Kazimierz pokuty czyni i ja mu od siebie dołożę, ale nam Bogu dziękować, że tak się skończyło. Bo gdyby się zamiary zdrajcy powiodły, Kazko mógł głową przyplącić i wszystko, com działał, na marne by poszło. I bez tego jest się czym trapić. Na Węgrzech zamęt pewnikiem, a lękam się, że Aldona zażąda, by ją ojcu odesłać, bo juści że sprawy przed nią ukryć się nie da, i Giedymin za obelgę to poczyta, teraz, gdy mi sojusz z nim najbardziej potrzebny. Pomówić z nią musicie, by jakoś sprawę między nią a Kazkiem załagodzić. Ninie zaś pójdźmy spocząć, bo drugie kury już piałły. Zdrożonym a wypoczynek mnie nie czeka. Oto mi od syna wyręka - zakończył gorzko.

Jadwiga pozostała sama, ale długo jeszcze siedziała w smutnej zadumie. Bała się przekleństwa ofiar rozpusty swego syna.

Miniona zima nie była dla Zakonu pomyślna. Niepokoje na Pomorzu, niepewność czeskiego sprzymierzeńca, ciężkie walki na Żmudzi zakończone utratą Christmemla, który wielki mistrz polecił opuścić i spalić, by nie stanowił oparcia dla pogan - wszystko to nie pozwalało podjąć z wiosną walki przeciw Łokietkowi. Zachodziła natomiast obawa, że on ją podejmie, chcąc wykorzystać trudności Zakonu. Przyszła wprawdzie wiadomość o chorobie Łokietka, ale wkrótce też o wyjeździe jego z Krakowa, a zaraz potem o zawartym z margrafem rozejmie. Niewątpliwie zabezpieczał się, by mieć wobec Zakonu wolną rękę.

Wiosna jednak była już w pełni, a Łokietek nie ruszył się, zaś wieści z Węgier przyniosły odprężenie. Zamęt, jaki wypadki musiały tam wywołać, czynił wątpliwym udział Karola Roberta w sojuszu przeciw Janowi czeskiemu a także udzielenie pomocy Łokietkowi.

Istotnie lato upłynęło bez poważniejszych starć, a Werner nie tracił czasu, by bez walki osłabić przeciwnika. Do tego celu zmierzały wszczęte układy z biskupem Maciejem.

Werner za zwrot i ochronę zajętych jego dóbr zażądał zamiany dziesięciny z Pomorza ze snopowej na pieniężną po sześć groszy z łanu oraz zobowiązania, że biskup do swego grodu w Raciążku nie wpuści wojsk Łokietka. Maciej wahał się jeszcze, oznaczało to bowiem niemal przejście na stronę Zakonu, w każdym zaś razie uzależnienie od niego. Otrzymał już wprawdzie zezwolenie arcybiskupa na zawarcie układu, ale liczył jeszcze na to, że Łokietek rozpocznie działania i przywróci mu utraconą diecezję lub że brat pomoże mu ją odzyskać.

Dla niego wyzbył się Maciej resztek zasobów i pozostawał niemal bez środków do życia. Ale Henryk znowu grasował gdzieś na Pomorzu, nie troszcząc się o to, a lato miało się ku końcowi i Łokietek się nie ruszył.

Rozżalony Maciej zbuntował się. Z końcem sierpnia u toruńskiego komtura, który z ramienia Zakonu prowadził układy, zjawił się biskup Florian płocki z pismem Macieja, wyrażającym zgodę na wszystkie warunki krzyżackie. Komtur zadowolony był, ale powiedział drwiąco:

- Przecie się czcigodny biskup przekonał, że lepiej w zgodzie żyć z Zakonem. Ale że mu nie spieszno było, niechaj jeszcze poczeka, aż mnie Kapituła, a jemu arcybiskup układ zatwierdzi. Żniwa jeszcze my zbierzem.

Zgromadzona w dniu Podniesienia Krzyża Świętego Kapituła układ skwapliwie zatwierdziła. Tym samym upadał wytoczony przez Macieja przed Kurią proces, w którym poruszona być musiała sprawa spalenia jego katedry. Łokietek stracił jeszcze jedno oparcie na Kujawach, a wyraźnie przeciw niemu skierowany układ poróżni go zarówno z Maciejem, jak i arcybiskupem, z którym stosunki i tak się popsuły; gdy sprawę o dziesięciny z nowin rozstrzygnął na korzyść krakowskiego biskupa.

Jak się ponadto okazało, układ zawarty został w samą porę. Obradowano jeszcze, gdy gońcy komtura Lubawy donieśli, że pod Bartoszcami zjawily się znaczne siły litewskie pod wodzą samego Giedymina. By niespodzianie podejść tak blisko, wojska litewskie przebyć musiały bezdroża bagnistych puszczy i jezior. Pora najazdu była dość niezwykła. Sprawa wyjaśniła się, gdy z Golubia przysłała wiadomość o walkach toczonych nad Drwęcą i oblężeniu przez Łokietka Dobrzynia. Posiłki z sąsiednich komturii - z Torunia, Chełmna i Grudziądza - nadeszły już, poczyniły na brzegu zasieki na kilka mil i strzegą przepraw przez Drwęcę pod Lubiczem. Gdyby jednak Łokietkowi udało się przejść, nie zdołają stawić oporu jego przeważającym siłom. Jawne było, że wrogowie działają w porozumieniu i zmierzają do połączenia swych wojsk. Jeżeli im się powiedzie, położenie Zakonu stanie się trudne, a nawet groźne i za wszelką cenę należało temu zapobiec. Werner wraz z wielkim komturem, Ottonem von Bonsdorf, i landmistrzem inflanckim Eberhardem von Monheim wyruszyli bezzwłocznie na czele sił, jakie były pod ręką, ściągając dalsze po drodze, i dotarli do Prabutów. Stąd wielki mistrz pociągnął wprost na południe, by zabiec Łokietkowi drogę od Brodnicy, von Bonsdorf zaś ruszył pod oblężoną Lubawę. Gdy przed rozstaniem omawiali dalsze poczynania, Werner powiedział:

- Jeśli zdołasz, bracie, odeprzeć Giedymina, nie ścigaj go, jeno ciągnij ku mnie. Nie Litwa nam groźna, przyjdzie i odejdzie, jeno ten zawzięty starzec. Nie będzie spokoju, póki on żywie. Ale przetrzymam go.

- Nie będzie spokoju, póki nie rozbijemy tego zlepką, który on sklecił - odparł wielki komtur. - Z dzielnicowymi książęty nie było kłopotu.

- To prawda, jeno poczekać trzeba, póki się król Jan ze swymi sprawami nie upora.

- Król Jan spraw ma za wiele, nie liczyć nam na niego, jeno na własny miecz.

- Niechaj mu Bóg błogosławi, ale zważ, bracie, że mieczem można lwa ubić, ale nie szczury wytepić. Na Pomorzu do tej pory z chłopstwem poradzić trudno, gdy z rycerstwa ci, co nie zbiegli, łącznie się nagięli do posłuchu.

- Poradzimy i chłopstwu, gdy się przywódców wytepi. Ninie uporać się nam z najazdem.

Gluck auf!

Szcęście istotnie sprzyjało Krzyżakom. Giedymin z Łokietkiem umówili spotkanie na dzień ósmego września pod Brodnicą, by wspólnie uderzyć na Prusy, obydwaj jednak spóźnili się. Wielki książę zatrzymał się pod Lubawą. Gdy przestrzeżeni o jego nadejściu Krzyżacy nie dali się zaskoczyć, próbował wziąć zamek siłą, bronili się jednak zawzięcie i umiejętnie. Pozostawiwszy przeto pod nim

część pieszych wojsk, Giedymin z pozostałymi ruszył ku Brodnicy. Nie spodziewając się napotkać oporu, szedł szeroką ławą, niszcząc i łupiąc kraj. Gdy dotarł pod Kurzętnik, spaliwszy miasteczko, podszedł na pół mili do Brodnicy i stanął obozem na nocleg, wysyłając podjazd na spotkanie Łokietkowych wojsk.

Nad ranem otrzymał wiadomość, że Łokietek oblega Dobrzyń, pod Brodnicą natomiast zauważono znacznie większe siły krzyżackie. Giedymin nie zamierzał sam wdawać się w bitwę wobec rozproszenia własnych wojsk, postanowił na miejscu czekać na nadejście Łokietka.

Następnej nocy jednak niespodziewana napaść wprawiała w popłoch cały obóz, a w zamęcie wielki książę omal nie popadł w niewolę. Rozsierdzony na sprzymierzeńca, którego spóźnieniu przypisywał winę swego niepowodzenia, cofnął się pod Lubawę, sądząc, że nadeszły zgromadzone pod Brodnicą siły krzyżackie. W istocie napadu dokonał wójt chełmińskiego biskupa, Hans, na czele czterdziestu jeno ludzi, wielki mistrz natomiast ruszył

pod Dobrzyń. Na wiadomość o tym Łokietek zwinął oblężenie, pozornie ruszył naprzeciw Wenera, nocą jednak zawrócił, nie zauważony przez stojące na drugim brzegu wojska krzyżackie, w nocnym napadzie zajął warowny młyn na wyspie w Lubiczu i opanowawszy bród, przeprawił się za Drwęcę. Do wielkiego księcia wysłał wiadomość, że ciągnie na Kowalewo, by w myśl umowy uderzyć na Prusy.

Czekając na Giedymina, Łokietek przez cztery dni oblegał Kowalewo, a sądząc, że Litwa spóźnia się skutkiem napotkania oporu, zamierzał podesłać węgierską jazdę, w sile około ośmiu tysięcy ludzi. Żupan Druget jednak odmówił współdziałania z poganami i król obawiał się, by - podobnie jak w czasie brandenburskiej wyprawy - z chwilą nadejścia Litwy Węgrzy nie odeszli. Pchnął ich przeto naprzeciw wielkiego mistrza, który, wcześniej otrzymawszy wiadomość o cofnięciu się Giedymina, szedł za Łokietkiem, nie zamierzając jednak wdawać się w bitwę przed połączeniem się z wielkim komturem, wobec widocznej przewagi polskiej.

Nie doczekawszy się Giedymina pod Kowalewem, silnie bronionym przez komtura Hermana von Oppen, Łokietek ruszył pod Lipę, gdzie zamknęli się Luterberg i Gunther von Schwarzburg, którą z kolei obiegił, wysyłając jednak zbędną przy oblężeniu jazdę, która złupiła kraj aż po Oszę, a nawet niektóre oddziały wtargnęły do Prus.

Niespodzianie Łokietek zawrócił i doszło do niepomysłnej dla Krzyżaków potyczki, po której wielki mistrz wycofał się do Torunia, rozsyłając rozkazy ściągnięcia wojsk i zasobów do zamków, wiedząc, że Łokietek nie ma sprzętu i obleganiem wobec spóźnionej pory zabawić się nie może.

Przyczyna odstąpienia Łokietka od zamierzeń wyjaśniła się wkrótce. Nie wszystko szło wedle jego przewidywań, król jednak był dobrej myśli. Siły jego, wraz z posiłkami węgierskimi i ruskimi oraz austriackimi najemnikami pod rycerzem Kittelicem, wynosiły do pięćdziesięciu tysięcy, w tym dwadzieścia tysięcy jazdy lekkiej, a dwa z górą pancernej. Duch w wojsku panował dobry, mimo zajścia z Drugetem, i król spodziewał się wespół z Giedyminem zadać Zakonowi ciosy, które zmuszą go do zawarcia korzystnego dla Polski układu. Gdy jednak Giedymin nadal nie nadchodził, a pogoda psuć się zaczęła, Łokietek pchnął podjazd ku Lubawie, by ponaglić połączenie z Litwinami. Wkrótce po jego wyjściu doniesiono królowi, że podjazd zawrócił, napotkawszy jadące do króla litewskie

poselstwo.

Król, zadowolony, że nie będzie dalszej zwłoki, natychmiast polecił zwijać obóz i sam gotów do drogi w towarzystwie dostojników czekał niecierpliwie na posłów.

Ukazali się wkrótce i na widok króla, zeskoczywszy z koni, z czapami w ręku szli naprzeciw niego, co parę kroków kłaniając się w pas. Nie czekając na przemówienie, król po rusku rzucił pytanie:

- Kiedy nadejdzie wasz pan?

- Nie nadejdzie - odparł kudłaty bojar. - Kazał wam rzec: nie stawiliście się w słowie, z waszej winy omal w plen nie popadł, łupy utracił i wojowników niemało.

W Łokietku zaskoczenie walczyło z gniewem. Hamując go, powiedział:

- Kto na wojnie bywał, wie, że wszystkiego nie przewidzi. Ja nie winię wielkiego kniazia, który także na umówiony zrok i miejsce nie stanął.

- I słusznie go nie winujecie, miłościwy królu, bo gdyby stanął, miał waszych wojsk -

wraże by napotkał i sam z nimi walczyć musiał. Z waszej też winy cofnął się przed napaścią, której nie mógł się spodziewać, gdybyście wy, jak stała zmowa, w porę do Brodnicy nadeszli.

Tedy polecił wam rzec, że do dom wraca, bo społem z wami, nie za was, wojować się podjął, a za trudy i straty wynagrodzenia żąda.

Łokietkowi wąsy drgały, gdy odparł:

- Najemnikom płacę, ale wielki kniaz sojusznikiem jest. Wyprawa nie skończona, w Prusach łupów nie braknie, które sprawiedliwie podzielim.

- Dla nas wyprawa skończona - odparł bojar. - Wielki kniaz zasię niczego więcej nie chce, jeno byście z nim łup sprawiedliwie podzielili, skoro swój z waszej winy utracił.

Król opanował się na tyle, że jeno skinieniem ręki posłów odprawił i dosiadłszy konia, skierował go na południe. Za nim w milczeniu ruszały hufce. Tak więc wyprawa, która zaskoczyła Krzyżaków i przynieść mogła trwałe wyniki, skończyć się miała na złupieniu folwarków zakonnych, nie zwracając nawet kosztów przygotowań. W wojsku duch przygasł, współdziałanie z Litwą nie układało się pomyślnie, liczyć trzeba na własne tylko siły.

By nie zmarnować całkowicie wysiłku, Łokietek zamierzał przejść na lewy brzeg Wisły, by odbić zajęte przez Krzyżaków grody na Kujawach. Wahał się jeszcze, brak sprzętu i nadchodząca jesień mogły i ten zamiar udaremnić, gdyby się oblężnicze roboty przeciągnęły. Niespodzianie zjawiono się poselstwo krzyżackie pod Siegehardenem von Schwarzburg. Wielki mistrz prosił o rozejm do Świętej Trójcy następnego roku, ofiarowując zwrot zajętych na Kujawach grodów, i oświadczał gotowość poddania sprawy o Pomorze rozjemstwu króla Jana czeskiego i wyznaczonego przez Łokietka arbitra.

Zakorzeniona nieufność do Krzyżaków kazała Łokietkowi wietrzyć w tym jakiś podstęp. Siegehard przywiózł złoto i trafił z nim do niektórych dostojników. Na zwołanej naradzie większość głosów podniosła się za zawarciem rozejmu. Przekonał króla zaufany wojewoda Tomisław Bogoria, który przyłączył się również do nich, mówiąc:

- Nie wierzę i ja Krzyżakom, miłościwy panie, ale cóż tracimy? Miast siły i czas trwonić na obleganie grodów, odbierzemy je darmo. Jeśli zasię i z onego rozjemstwa nic nie wyjdzie, nic się na gorsze nie zmieni. Prawda, że Luksemburczyk wodę ciągnie na krzyżacki młyn, ale nie on sam sędzić będzie, a wiadomo, że kupić u niego można wszystko, nawet sprawiedliwość.

- Ale Krzyżacy więcej mogą zapłacić - powiedział król - a jedno pewne, że swoją, nie naszą korzyść mają na względzie. Jeno dojść nie mogę, jaką. Gdy nikt się nie odezwał, Łokietek zakończył:

- Niechaj będzie. Ze swej strony Karola Roberta sędzią wyznaczę i bogdaj nam żałować nie przyszło.

Gdyby król mógł słyszeć, co mówił wielki mistrz na naradzie w Toruniu, miałby gotową odpowiedź na swe wątpliwości. Niektórzy dostojnicy zrazu sprzeciwiali się wszelkim układom, żądając ściągnięcia znaczniejszych sił i podjęcia walki, zarzucając Wernerowi słabość. Wysłuchał cierpliwie, po czym odparł:

- Kto wojować lubi, sposobność będzie mu dana, bo zimą rejs pójdzie, odebrać Christmemel i Żmudź poskromić, by spokój od niej mieć, gdy nam tu działać przyjdzie.

Niechaj się tymczasem krakowski król rozjemstwem ubezpiecza, na które ani mi w myśli stawać, i wojska rozpuści, które nie zbierają się łącno. Ninie ma je w rękę, a my zbierać byśmy musieli, po to jeno, by parę grodów utrzymać, z których nam nic, kromie kłopotu, bo obwarowanie przestarzałe. Jak zasię świadczą wypadki na Pomorzu, nie grody, jeno kraj opanować trudno, i tam radziej trudu dołożyć, by raz rozboje poskromić. A ze wszystkim nie o ten czy inny spłacheć ziemi idzie, jeno by raz skończyć z wrogiem, od którego nie będzie spokoju.

Istotnie zbójckie gromady zjawiały się jak sępy, a znikały jak woda. Kupcy z dawna poniechali drogi przez Bory Tucholskie, nie można było jednak poniechać jej dla poczty zakonnej, która mimo wszelkich ostrożności i ubezpieczeń kilkakrotnie wpadła w ręce zbójckie, co było dowodem, że nie tylko łupów szukali na gościńcu. Szybkość a zwłaszcza tajność porozumień z Luksemburczykiem miała wagę istotną i Werner, widząc, że szczupłe siły miejscowych komturów nie są w stanie zapewnić bezpieczeństwa, ściągnąć kazał konne posiłki z północnych komturii. Krzych, nadzorujący budowę zamku w Bytowie, otrzymał

rozkaz strzeżenia najniebezpieczniejszego odcinka drogi między Chojnicami a Czerskiem.

Nowe zajęcie dawało wprawdzie Krzychowi zupełną swobodę ruchów, budziło jednak gorzkie skojarzenia i wspomnienia. Przy drodze pod Chojnicami rosła jeszcze samotna sosna, na której Radocha powiesił schwytanego Krzyżaka, gdy po raz pierwszy społem z nim Krzych podjął walkę z krzyżackim najeźdźcą. Dwadzieścia lat minęło, a pamięta jeszcze nieprzytomny gniew, jaki go ogarnął na widok rzezi w płonącym mieście. Miasto odbudowało się już, w miejscu spalonego

drewnianego stał kościół murowany, zniknęły ślady brutalnego okrucieństwa. W Krzychu wraz ze świadomością, że wbrew swej woli znalazł się po przeciwnej stronie, wstawał żal, iż strzała, która wówczas drasnęła jego pierś, nie była lepiej wymierzona.

Od czasu ostatniego spotkania z Nendorfem Krzych nie zaznał spokoju, nie mógł się też pozbyć myśli o nim, czuł się winny, że odepchnął Hansa, który na skutek tego stoczył się na dno. To jedynie Krzych uczynił, by się nie wiązać z Zakonem. Zasłużył na pogardę Nendorf a, odrzucając podsunięty przezeń sposób - przed którym nawet w myśli się wzdragał

- zerwania więzów i zasłużenia się Łokietkowi. Ale pozostała rozterka, wołałby nie spotkać więcej Hansa i zapomnieć o nim. Sposób, w jaki Hans go pożegnał, odczuł niczym policzek.

Hans prawdę rzekł, że ani miłować, ani nienawidzić nie umie.

Resztki ciepłej jeszcze jesieni spędzał Krzych na koniu, niemal bez dachu nad głową; niebaczny na niebezpieczeństwo, najczęściej samotnie, objeżdżał wystawione przy brodach i mostach strażę lub nocował przy ognisku. Gdy jednak nadeszły październikowe chłody i słoty, skończyła się samotność. Na noc stawał zazwyczaj w karczmie w Chojnicach, sypiał

mało i źle, wieczory ciągnęły się jak smoła. Siadywał przeto w izbie gospodniej, choć raził go bezmyślny gwar pijących, wołał jednak to, niż rozmyślać, przewracając się po łożu. Zrazu w obecności rycerza przyciszano głosy, ale zdał się słuchać jeno, jak wiatr szumi na dworze lub ulewa pluszcze w kałużach. Biesiadnicy przestali zwracać na niego uwagę, pili, śpiewali i gzili się z dziewczkami po ciemnych kątach, a on patrzył w ogień niewidzącymi oczyma, póki karczmarz nie oznajmił, że gasi światło.

Ponure i słotne dni listopadowe spędzał Krzych niemal beczynn timer. Rozmiękły gościniec pusty był, o napaściach nie było słyhu i Krzych czekał na rozkaz powrotu do Bytowa, mimo słoty wyjeżdżając dla zabicia czasu. Szczególnie złośliwy dzień jednak skłonił

go raz do powrotu pod dach zaraz z południa. Zrzucił w swej izdebce na poddaszu przemokniętą odzież i siedział bezmyślnie w mroku, póki czczość nie przypomniała mu, że nie jadł od rana. Zszedł do gospodniej izby, pożywił się i znowu zapadł w zadumę; gwar dochodził do niego jak przez wodę.

Ocknął się, gdy nagle ucichło. Do izby wszedł obcy rycerz zakonny, rozejrzał się, jakby kogoś szukał, po czym skierował się wprost do Krzycha. Sądząc, że to ktoś do niego z oczekiwanym rozkazem, Krzych zamierzał się dźwignąć, ale przybyły usiadł naprzeciw niego, tyłem do ognia. Zdjął ociekający wodą pilśniowy kapelusz i drząc, widocznie zziębnięty i przemoczony do nitki, siedział bez słowa. W tej chwili podszedł karczmarz i przybyły odezwał się ochryplym głosem:

- Dzban grzanego wina i dwa kubki.

Mimo zmienionego głosu Krzych poznał Hansa von Nendorf. Nadal siedzieli w milczeniu. Po chwili karczmarz podał wino i postawił przed nimi kubki, Hans chciał nalać Krzychowi, ale gdy ten dłonią zasłonił swój kubek, odezwał się:

- Nadal nie pijesz?

Nalał sobie, wypił i nalał znowu. Przestał drżeć, zdjął przemoczony i zabłocony płaszcz, cisnął go na ławę i mruknął:

- Cięży mi ta szmata.

Wypił powtórnie i milczał. Krzycha ogarniało rozdrażnienie. Zapytał szorstko:

- Po coś tu przyszedł?

- Do ciebie. Widzę, że się nie radujesz.

Znowu wziął się do picia. Rozdrażnienie Krzycha przechodziło w gniew, odsunął dzban i rzucił gwałtownie:

- Czego ode mnie chcesz?

- Byś zapłacił za wino, bo ja nie mam ni feniga. O reszcie pogadamy, jeno nie tutaj.

- Nie będę gadał z pijanym.

- Będziesz. Wiemy wzajem co nieco o sobie.

Parsknął śmiechem i biorąc dzban z ręki Krzycha, przytknął do ust i pił przez dłuższą chwilę, a Krzych patrzył na niego. Ogarniała go zarazem litość, wstręt i nieokreślony niepokój. Chciał się pozbyć nieznośnej obecności Hansa. Gdy Hans skończył i odstawił pusty dzban, Krzych powiedział:

- Pójdź!

Zapalił smolną drzazgę przy kominie i po stromych schodach ruszył do swej izdebki, słysząc, jak Hans, potykając się, idzie za nim. Zaświecił łożowy kaganek i przy jego migotliwym, żółtym świetle patrzył na Hansa.

- Gadaj, czego chcesz?

- Czekaaj. Noc długa. Leje, że psa nie wygnać.

Krzych zagryzł wargi. Gotów był zrobić wszystko, czego gość zażąda, byle ten poszedł sobie. Ale Hans rozsiadł się i patrzył świecącymi podnieceniem oczyma. Trudno było uwierzyć, że to te same, które ongiś wpatrywały się błagalnie w Krzycha, lśniąc łzami.

Krzych powtórzył:

- Czego chcesz?

- Przódzi pieniądze. Komtur nie daje mi ni feniga. Krzych zdjął z palca pierścień i podając Hansowi,

rzekł:

- Pieniędzy mam tyle, by na żywność i gospodę starczyło. Przedaj to.

Hans oglądał pierścień, kręcąc nim pod światło. Wielki rubin czerwonymi iskierkami odbijał się w jego oczach. Zwrócił go Krzychowi, mówiąc:

- Tyle mi nie trzeba, a tobie pierścień może się jeszcze przydać. To ten od króla czeskiego?

Krzych zrozumiał uszczypliwość i odparł gwałtownie:

- Mnie na nic, a tobie przyda się na pijaństwo i rozpustę.

Hans długo mierzył go nieodgadnionym spojrzeniem Wreszcie powiedział obojętnie:

- Trzeba mi jeno na nóż.

- Na cóż ci nóż?

- Paznokcie obcinać.

Krzych wyjął trzos spod zagłówka i wręczając go Hansowi, mruknął:

- Weź, ile ci trzeba. Czego jeszcze?

- Potrzebuję dwóch koni.

- Skądże ci wezmę? I na cóż ci? Na rejs dostaniesz zakonne. Zamiast odpowiedzieć, Hans zapytał:

- Topiłeś się kiedy w bagnie?

- Nie - odparł Krzych zdziwiony. - Zarwałem się nieraz na kozuchu, alem sobie zawsze poradził.

- Sobieś poradził. Ja się topiłem. Nieraz się przyśni. Co ruszysz, ciągnie cię w dół.

Cuchnąca woda, cal po calu wyżej, już ci do ust podchodzi. Zadzierasz głowę, a nad nią błękitne niebo. Jeno Boga w nim nie ma.

Oczy Hansa straciły drwiący i zły wyraz, zdało się Krzychowi, że jak ongiś zalśniły łzami. Ogarnęło go współczucie, mimo woli wyciągnął rękę do Hansa, ale ten odtrącił ją gwałtownie.

- Potrzeba mi dwóch koni, a nie twojej litości. Pomóż samemu sobie. Uspokoił się równie niespodzianie, jak wybuchnął, i podjął obojętnie:

- Komtur wyłączył mnie z rejsu, bo znowu mam sprawę w Kapitulie. Skalałem zakonną szatę, bom w płaszczu poszedł do zamtuza. Inni ostawiają go doma.

Roześmiał się i znowu wściekłość wykrzywiła mu nagle twarz.



- Nie będę czwarty rok siedział na pokucie, nie będę mnie chłostać, nie będę jak pies jadł na ziemi ni spał z cuchnącymi knechtami. Jeszcze mi Zakon za wszystko odpłaci. Zdało mi się, że wszystko mi zajędo, że wstydzic się już nie potrafię. Wstydzilem się, że w Christmemlu nie ostrzegł żmudzkiej starszyny, co ją czeka z rozkazu wielkiego mistrza...

który wzorem pono jest dla braci.

- Po cóż ci koni, skoro komtur wykluczył cię z rejsu - przerwał Krzych, ale Hans odparł niecierpliwie:

- Zażądałem od wielkiego mistrza, by zmienił zarządzenie komtura. Przędzi kazanie mi jął prawić o obyczajności i posłuszeństwie, jako jedynie z czystym sercem można mordować i gwałcić, ale widno pomiarkował obłudnik, co ja o tym mniemam i że zajędo mi wszystko, bo się sianem wykręcił, że nie ma dla mnie koni. Chcę usłyszeć, co powie, gdy je przywiodę.

Wyjął z zanadru zwitek pergaminu i wręczając go Krzychowi, ciągnął rozkazująco:

- To pismo doręczysz memu krewniakowi. Zwie się Emunt von Grunau, żywie w Marchii nad Drawskim Jeziorem. On ci da dla mnie dwa konie. Jeśli się pospieszysz, możesz tu być za dwa dni. Ja poczekam.

Krzych bezwiednie wyciągnął rękę i biorąc pergamin, zapytał cicho:

- A jeśli nie da?

- Rzeknij mu, że dla niego lepiej, by dał. On już zrozumie.

Krzych schował pergamin, wciągnął wilgotny jeszcze kaftan, zarzucił płaszcz i wyszedł. Za chwilę Hans posłyszał chlupot kopyt idącego klusem konia, ale odgłos ten rozplynał się zaraz w szumie ulewy.

Emunt nie czynił trudności z wypełnieniem prośby, życzliwie dopytywał o Hansa, wychwalając jego zalety, i niemal przemocą zatrzymał Krzycha, by przynajmniej wysuszył

szaty i pożywił się przed powrotną drogą. Krzych ustąpił jedynie ze względu na zeganego konia, lękał się bowiem dalszych pytań, a wiedział, że zmyślać nie umie. Na szczęście, gdy podano południowy posiłek, nadszedło kilku gości i Emunt zajął się nimi, a Krzych, zdrożony, pożywił się w milczeniu, nie zwracając zrazu uwagi na rozmowę, która obracała się dokoła spraw Marchii. Wciąż jeszcze były nieuporządkowane, gdy dwie partie możnowładców podnosiły roszczenia do regencji imieniem nieletniego Ludwika. Krzych zaczął nasłuchiwać dopiero, gdy w rozmowie kilkakrotnie padło imię Wincentego z Szamotuł. Wiedział, że przez wojewodę Łokietek zawierał układy z Marchią i na wspomnienie o tym nie zwróciłby nawet uwagi, gdyby z rozmowy nie wynikało, że wojewoda bywa tam i bez wiedzy króla, w jakichś własnych sprawach. Krzychowi zdało się to podejrzane, gdyż panowie nie taili swej wrogości do Łokietka, z powodu jego niszczycielskich najazdów na Marchię i odebrania jej zdobyczy w Wielkiej Polsce. Z dalszej rozmowy Krzych wywnioskował, że rozejm z Łokietkiem zawarto jedynie po to, by go zachęcić do

wyprawy przeciw Janowi czeskiemu, którą podobno zamierzył, by wykorzystać rozejm z Krzyżakami. Graf Ulryk von Lindów zwrócił się do Krzycha:

- Wasz Zakon też pewnikiem nie zamierza dotrzymać rozejmu, gdy się krakowski królik z Luksemburczykiem zwiąże. Warci siebie, o Janie jednak wszystko można rzec, jeno nie, by o swoje i nieswoje - zaśmiał się - zabiegać nie umiał. Pono już się z wami zmówił, by społem na Łokietka uderzyć. Zakonowi na pozór starczy, że napadniętemu sprzymierzeńcowi spieszy z pomocą, a nam sposobność będzie odebrać, cośmy stracili.

- Nic mi o tym nie wiadomo - odparł Krzych, siląc się na spokój.

- Wiem, że wam milkiwość przystoi - domyślnie uśmiechnął się von Lindów - ale przyda się wam wiedzieć, że i my chętnie urwiemy, co się da, z Wielkiej Polski.

- To sprawa Kapituły - hamując wzburzenie, odrzekł Krzych. - Ja gościńca strzegłem w borach, a ninie wracam do Bytowa, tedy nie wiem, co się w Malborku gotuje i mówi.

Korciło go zapytać, czy o tym wiadomo Wincentemu z Szamotuł, ale się powstrzymał.

Wojewoda musi wiedzieć, sprawa nie mogła mu być obojętna, skoro majątności Nałęczów graniczą z Marchią i w ich rękach pozostają grody nad Notecią - w Czarnkowie, Wieleniu i inne. Uznali nawet zabór Pomorza, by nie stracić położonych tam majątności, tym bardziej nie zechcą ich stracić w Wielkiej Polsce i w razie napaści Brandenburczyków łatwo się z nimi porozumieją. Tymczasem jednak były to tylko przypuszczenia, król wie o stosunkach Wincentego z Marchią, a Krzych nic więcej donieść by mu nie mógł. Niespodzianie von Lindów powiedział:

- Prosbę miałbym do was: koło Bytowa siedzą krewniacy moi, panowie von Beeren.

Oni to waszemu Zakonowi Bytów przedali. Zechciejcie ich uwiadomić, że na Wielkanoc zjazd będzie w Soldinie w ważnych sprawach, na który przybyć ma także wojewoda Wincenty.

Krzych miał już na ustach szorstką odmowę, szczęściem w porę pomyślał, że tu może być źródło wiadomości, i odrzekł:

- Ninie jeszcze wracam do Chojnic, ale do Wielkiej Nocy szmat czasu, może się trafi sposobność.

Nie wiedział jeszcze, co pocnie, musi sprawę przemyśleć.

Do Chojnic wrócił dobrze po północy i w gospodzie swej zastał Hansa. Rozstali się niemal bez słów, Hans naobroczył tylko zdrożone konie i wyjechał, a Krzych, wyczerpany, legł i spał do wieczora. Nazajutrz obudził Krzycha posłaniec komtura z rozkazem powrotu do Bytowa, ale nie spieszo mu było i koń był zmarnowany. Wyjechał przeto dopiero trzeciego dnia, też konia nie gnając, tak że gdy przybył do Bytowa, zastał tam już wieść o wypadkach w Malborku. W powszechnym poruszeniu nikt się nim nie zajmował, ale Krzych świadomy był

zawisłego nad nim niebezpieczeństwa i nie pora było rozważać nad tym, co słyszał u Emunta.

Nie rozstając się z bronią, czekał.

Mimo słotnej pory, w wigilię czczoną w Zakonie świętej Elżbiety zjazd w Malborku był znaczny i niczyjej uwagi nie zwrócił młody rycerz zakonny, który, wiodąc za sobą luźnego konia, wraz z gromadą innych wjechał przez bramę nad Nogatem na podwórzec. U

wjazdu w szyję wiodącą na dziedziniec zamku średniego zeskoczył z siodła, ale do knechta, który odbierał konie od przyjezdnych, by je zaprowadzić do stajen w niskim zamku, powiedział:

- Ostaw konie tu. Nie zabawię długo.

Długo jednak nie wracał. Zdrożone, widno nie pojone i nie obroczone konie niepokoiły się i knecht nie wiedział już, co począć, gdy przyszedł brat służebny i odebrawszy je, odprowadził do stajen. Knecht pomyślał, że rycerz został na obiedzie, a że pora posiłku była, sam poszedł się pożywić.

Hans jednak nie myślał o posiłku, choć od rannej polewki nie miał nic w ustach, a jechał przez noc całą. Wszedłszy na podwórze średniego zamku, skierował się do domu wielkiego mistrza. Chciał ominąć stojącego przy wejściu strażnika, który zatrzymał go jednak.

- Wybaczcie, panie, ale bez oznajmienia wchodzić nie zwolone.

- Tedy mnie oznajmij.

- Nie mogę zejść ze straży, ale wraz poślę.

Wszedł do budynku i wrócił zaraz, ale Hans długo czekał, nim zjawił się kompan wielkiego mistrza, Henryk von Bartenstein:

- Nie wiem, zali cię przyjmie, bracie, wielki mistrz, bo gości ma. W jakiej sprawie? - zapytał.

- Przyjmie - odrzekł Hans. - Jestem Hans von Nendorf z tczewskiego konwentu.

Rzeknijcie jeno jego dostojności, że przywiódłem konie.

Wszedł wraz z Bartensteinem do sieni i znowu długo musiał czekać. Gdy kompan zawiadomił wielkiego mistrza o przybyciu Hansa, Werner istotnie domyślił się, o co sprawa.

- Niech czeka - powiedział.

Stropiony był i niezadowolony z siebie, że zamiast od razu i stanowczo odmówić zuchwałemu żądaniu Hansa, wykręcił się wtedy brakiem koni. Nie chciał przyznać przed sobą, że Hans budzi w nim niepokój. Wahał się, co teraz począć, by nie narazić na szwank swej powagi. Nie zamierzał ustąpić, ale starał się spokojnie przemyśleć, jak uzasadnić stanowczą odmowę. Wreszcie kazał przywołać Nendorfa. Gdy Bartenstein go wprowadził, Werner zapytał surowo:

- Czy otrzymałeś zezwolenie u komtura na opuszczenie swego konwentu? Przypomnę ci, co mówi reguła: „ohne Urlaub soli kein Bruder vom Hause gehen”<sup>38</sup>.

- Wasza dostojność zapomniała - nie zmieszany odparł Hans - że reguła mówi: „ohne Urlaub oder nötige Sachen”<sup>39</sup>. Skoro z braku koni nie mogłem wziąć udziału w wyprawie, musiałem się o nie postarać. Proszę o rozkaz dla komtura, by mnie włączyć do rejsu.

Werner z trudem panował nad sobą, zuchwalstwo było niesłychane.

- Skoro tak znasz statuty - powiedział rozdrażniony - winienesz też to wiedzieć: „Es solle kein Ritterbruder ein eigenes Ross haben”<sup>40</sup>.

- „Wer eines Rosses bedurfe solle es von seinem Obem erhalten”<sup>41</sup> - dokończył

Hans.

- Skoro brakło dla mnie koni, musiałem się o nie postarać, bo mi potrzebne na wyprawę.

- Nie tobie o tym stanowić. „Bracia winni być w pokorze posłuszni i we wszystkim łamać własną wolę” - podniósł głos Werner, ale Hans zuchwale odparł:

- A wielki mistrz winien dawać wszystkim braciom przykład dobrych czynów.

- Dość! Wrócisz do konwentu i tam dowiesz się, co o tobie postanowi Kapituła. -

Zwracając się do Bartensteina, polecił:

- Konie jego zaprowadzić do stajen. A ty precz! Nauczę cię posłuszeństwa! Pod spojrzeniem Hansa opuścił oczy i zakończył niepewnie:

- Jesteś pijany lub szalony. Odejdź!

- Posłuszeństwa odmawiam. Jestem trzeźwy - odparł Hans, odwrócił się i wyszedł. Do strażnika przy wejściu powiedział:

- Wracam wkrótce. Wielki mistrz czeka na mnie.

Mglisty dzień listopadowy mroczniał szybko, mgła przechodziła w mżawkę, a potem w drobny deszcz. W rynku kupcy zaczęli zamykać kramy, nie spodziewając się nabywców.

<sup>38</sup> „ohne Urlaub soli kein Bruder vom Hause gehen” (niem.) -...bez zezwolenia żaden brat nie może opuścić domu.

<sup>39</sup> „ohne Urlaub oder nötige Sachen” (niem.) -...bez zezwolenia albo potrzeby.

<sup>40</sup> „Es solle kein Ritterbruder ein eigenes Ross haben” (niem.) - Żaden brat rycerski nie ma mieć własnego konia.

41 „Wer eines Rosses bediirfe solle es von seinem Obem erhalten” (niem.) - Kto potrzebuje konia, ma go otrzymać od swego przełożonego.

Słysząc było odgłosy zatrząskiwanych okiennic, służących zarazem za ławy, na których rozkładano towary.

Nożownik zbierał się właśnie, gdy nadszedł zakonny rycerz i zatrzymał się przed jego kramem. Kupiec pochwalił Chrystusa; nieco zdziwiony, że nie otrzymał odpowiedzi, zapytał:

- Czego potrzebujesz, szlachetny panie?

- Noża.

- Wždy wiem, że nie szukacie u mnie piwa - spróbował zażartować kramarz. -

Wiedzieć jeno chcę, do czego wam nóż potrzebny.

- Nic ci do tego - szorstko odparł Hans, a kramarz, zmieszany, usprawiedliwiał się:

- Iście nic, jeno noże są różne. Innego trzeba kuśnierzowi, innego rzeźnikowi. Do czego zasię potrzebny zakonnemu rycerzowi, nie wiem, bo uzbrojenie na wyprawę Zakon darmo wojownikom daje.

- Niech ci będzie do sprawiania ryb - opryskliwie odparł Hans. - Byle był spiczasty, ostry i długi.

Spróbował na palcu podany nóż, zapłacił bez targu i odwrócił się, by odejść. Kramarz, widząc, że trafił na dobrego odbiorcę, zapytał:

- Może wam pochwa potrzebna? Mam do wyboru od najtańszych do najdroższych.

Rycerz odwrócił się i odparł z niezrozumiałym uśmiechem:

- Mam do niego taką, że droższej nie najdziesz w całych Prusiech. Zostawił

zdziwionego kramarza i szybko odszedł w stronę zamku.

Zajście z Hansem von Nendorf pozostawiło w wielkim mistrzu uczucie przygnębienia.

Daremnie usiłował zlekceważyć sprawę. Niekarność nie była rzadka, zuchwalstwo niemal powszechne, ale ten wypadek był szczególnie jaskrawy, a Werner nie mógł przed sobą zaprzeczyć, że i sam zawinił. Nie należało wykręcać się przed młokosem brakiem koni. Nie chciał natomiast przyznać, że przyczyną tego był lęk, który teraz ogarniał go znowu. Może przygnębiał mistrza ponury dzień listopadowy. Wczesny mrok zalegał komnatę, na dworze wstawał wiatr. Bryzgi zimnej zlewy bębnić zaczynały po oknach, a strumienie wody, spływające ze stromych dachów, rozdzwoniły się w ołowianych rynnach. Pogodne myśli nie rodzą się w taką porę.

Mimo młodego jeszcze wieku, Werner był człowiekiem doświadczonego. Rozumiał, że od ludzi,

których najdziksze rozpasanie na rejsach uchodziło za męstwo, trudno oczekiwać, by w konwencji stawali się owieczkami, pokory oczekiwać od tych, których samowoli powierzono życie i mienie podbitego narodu. Grudziądzki komtur zawsze jeździł z powrozami przy siodle i na miejscu wieszał każdego, kto mu się w czymkolwiek sprzeciwił.

Władza upaja.

Sam Werner upajał się władzą. Jej żądza przywiodła go do Zakonu, siebie chciał

wywyższyć, stawiając mu cele nic nie mające wspólnego z głoszonymi hasłami, a obawa jej utraty była przyczyną, że przez palce patrzył na szerzącą się zgniliznę. Nie chciał podzielić losu Gotfryda von Hohenlohe czy Karola z Trewiru. Ale zazdrościł niedawno zmarłemu Wildenbergowi. Prostack wierzył, że dobro Zakonu i Boga to jedno. Werner wiedział, że to nieprawda, ale udawał, że wierzy. Obłuda!

Rachunek sumienia? Należy do zbiorowości, a zbiorowość nie ma sumienia.

Wszystko osłonić można jej dobrem, przepisem czy rozkazem. Niczego w Zakonie nie odmieni, nawet gdyby chciał. Uporządkował gospodarkę, zorganizował handel, wypełnił

skarbiec złotem nie po to, by przyznać, że skończyła się rola Zakonu. Nie będzie jego grabarzem. Jego świetność i potęgę uważał za cel swego życia, gdy go osiągnie, pomyśli o wieczności; od tego jest starość.

Werner zaklaskał i służebnemu bratu kazał przynieść świece. Mimo woli uśmiechnął

się; od spraw najistotniejszych myśl odwróciła się do pieska, który dotychczas drzemał u jego stóp, a teraz zerwał się i merdając ogonkiem, doskakiwać jął do drzwi, spodziewając się, że pan jego zamierza wyjść na zwyczajną wieczorną przechadzkę. Gładząc jego jedwabistą sierść, Werner powiedział:

- Nie pójdziemy. Na polu brzydko, zmoczyłbyś futerko. Za to pójdiesz ze mną na wieczorne modły. Byś się jeno nie kręcił i nie przeszkadzał.

Werner wrócił do swych rozważań, ale myślał już spokojnie. Statuty Zakonu nie są Ewangelią, nie mogły przewidzieć rozwoju wypadków. W Prusach nie ma pielgrzymów, których należałoby bronić, nie ma Grobu Chrystusa, o który można by walczyć. Czy dlatego zniszczyć ma dorobek wiekowych już zmagania, na pastwę zemsty zgnębiętego ludu zostawić niemieckiego osadnika, który przyszedł tu ufny w opiekę Zakonu? Wielki mistrz z okien swej komnaty miał co dzień przed oczyma mlekiem i miodem płynące Żuławy, dzieło landmistrza Meinharda z Kwerfurtu. Ongiś były tu bagna i zalewiska, teraz spichlerz kraju. Sześć lat pracy pochłonęła budowa wałów, co prawda umocnionych kośćmi pruskich niewolników, ale wszędzie i zawsze niewolnicy pracowali dla panów. Zanim Zakon stopę swą w Prusach posta

- wił, nie było tu portów, dziś skutecznie współzawodniczą z hanzeatyckimi, nie było miast, gdzie tysiące ludzi znalazło dobrobyt, rozwija się rzemiosło i sztuki piękne, nie było kościołów, gdzie dziś

głoszą chwałę Bożą. Dziki lud, który skalał swój kraj męczeńską krwią świętych apostołów Wojciecha i Brunona, zmuszony został przyjąć Dobrą Nowinę, pieśń głosi chwalebne dzieło rycerzy Najświętszej Panny, „di da mit Strit vertriben haben uz Pruzenlande - Abgote mancherhande - mit ritterlichen Schwerte”<sup>42</sup>. Niemal naj -

szlachetniejszej krwi niemieckiej wsiąkło w tę ziemię. Bracia nie są wolni od ludzkich błędów i słabości, ale i dziś gotowi krew swą przelewać. Nawet ten zuchwały Nendorf, upierając się przy swym żądaniu, gotów jest narazić swe życie. Gdy surowość nie odniosła skutku, może przyniosłaby go wyrozumiałość?

Rozmyślania wielkiego mistrza przerwały głosy, dochodzące z kaplicy świętej Anny, przypominając, że pora na nieszpór. Werner wstał i powiedział do pieska: 42 „di da mit Strit vertriben haben uz Pruzenlande - Abgote mancherhande - mit ritterlichen

Schwerte”(niem) - Którzy w walce wygnali z pruskiego kraju wszelkie bożyszczą rycerskim mieczem.

- Pójdźmy!

Maltańczyk pobiegł przodem przez długą i ciemną sień, zawrócił jednak, widząc, że pan jego skierował kroki do swej domowej kaplicy. Werner chciał pomodlić się w samotności.

W kaplicy panował mrok, tylko kaganek przed ołtarzem oświetlał obraz patrona jej, apostoła Bartłomieja, przedstawiający jego straszliwe męczeństwo. Werner przyklęknął na kobierczyku, a piesek legł obok niego, mordkę oparłszy na przednich łapkach, i miłośnie patrzył na swego pana, który rozpoczął przepisane modlitwy. Werner nie mógł się jednak skupić; zdało mu się, że na znanym mu do najdrobniejszych szczegółów obrazie jeden z siepaczy Astiagesa podobny jest do Nendorfa. Werner ustami modlił się, a jednocześnie wy -

tęzał oczy, usiłując stwierdzić, na czym polega podobieństwo. Odgadł wreszcie: w spojrzeniu.

Ten sam wyraz nienawiści, z jakim Nendorf spojrział na niego, gdy mu oznajmił

postanowienie. Tak wygląda braterska życzliwość, której domaga się reguła. Duch bezceństwa, z którym walka - wedle słów Bernarda z Clairveaux - była zadaniem Zakonu, w nim samym uwił sobie gniazdo, biały płaszcz osłania cuchnące wrzody okrucieństwa, pychy, szalbierstwa i chciwości. Sobie samemu prawdę rzec należy.

Z ponurej zadumy wyrwało Wenera dziwne zachowanie się pieska. Nie poruszył się wprawdzie, ale sierść zjeżyła się na jego karku, a z gardła wydobywało się ciche warczenie.

Werner położył na nim rękę, by go uspokoić, i czuł pod nią drzenie napiętego ciała, które udzieliło się jemu samemu. Nic dzisiaj z modlitwy, przekłeta sprawa Nendorfa zmaciła do dna duszę wielkiego mistrza.

Dochodzące z kaplicy świętej Anny śpiewy i chóralne modły umilkły i zapanowała cisza. Od nieszpóru obowiązywało milczenie. Bracia gromadzili się na wieczerzę w wielkim refektarzu,

ciemne bowiem dotychczas okno kaplicy rozjaśniło się odbłaskiem zapalanych tam świateł.

Wielki mistrz korzystał z przywileju spożywania posiłków na osobności, jeśli nie był

zmuszony brać udziału w wystawnych ucztach ku czci dostojnych gości. Zakazanych regułą smakołyków używać mógł do woli. Ongiś jedno prawo i jedna żywność była dla wszystkich, pod wspólnym namiotem bracia dzielili się skromnymi zasobami, nie zawsze wystarczającymi do zaspokojenia głodu. Teraz spichrze i lamusy pękają od nadmiaru wszelkich zapasów, cóż dziwnego, że i bracia chcą z nich korzystać. Werner westchnął i skierował się do wyjścia. Zdziwił się, że piesek, który zazwyczaj wyprzedzał go, doskakując do drzwi, teraz podchodzi do nich warcząc, ze zjeżoną sierścią. Werner otworzył je i powiedział:

- Chodźmy!

W sieni cień był głęboki, przez okno jednak wpadał snop światła z przeciwległego budynku, odcinając głębię mrocznej części korytarza, z którego nagle wynurzyła się jakaś postać, zastępując Wernerowi drogę. Niespokojnie zapytał:

- Kto tu?

- Nendorf. Nimm mir mehr das Meine!<sup>43</sup>

W chrapliwym głosie brzmiała groźba. Werner cofnął się, ale 'już nie zdołał uchylić się przed uderzeniem w pierś, które pchnęło go w tył tak, że zatoczył się i przyklęknął. W

oczach mu pociemniało, zabulgotało w gardle i nagle zdał sobie sprawę, że umiera.

- Niech ci to Chrystus wybaczy - wyszeptał.

- I to też! - warknął Hans.

Drugi cios cisnął Wenera na posadzkę, ale słyszał jeszcze wściekle ujadanie pieska, który doskakiwał do zabójcy.

Przewiezione nazajutrz do Marienwerder zwłoki wielkiego mistrza pochowali uroczyście w parafialnym kościele biskupi Rudolf pomezanski i Otto chełmiński. Już po pogrzebie nadjechali Henryk warmiński i Jan sambijski, by wraz z biegłymi w prawie i dostojnikami Kapituły naradzić się nad położeniem. Niesłychany wypadek mógł ciemną plamą lec na zawołaniu Zakonu, należało go czymś usprawiedliwić, by zatrzeć wrażenie, jakie wyrzeć musiało zabójstwo.

Pierwszy, który nadbiegł na miejsce zbrodni, notariusz wielkiego mistrza, sporządził

świadcstwo, by utrwalić jego wyjaśnienia i ostatnie zarządzenia, po czym rozpoczęto śledztwo. Pojmany zabójca na zarzut zdrady odparł:

- Zadźgałem go jak wojownik. Nie jestem zdrajcą. Przódzi wypowiedziałem posłuszeństwo.



Zapytany, czy żałuje swego czynu, zadrwił zuchwale:

- Jeno pieska mi žal.

Potem zaciął się w milczeniu, choć inkwizytorom nie brakło sposobów wydobywania prawdy. Po ustaleniu samych tylko zewnętrznych okoliczności zabójstwa przystąpiono do narady nad dalszym postępowaniem. Zakonne statuty nie przewidywały nawet kary za taką zbrodnię, najsurowszy z istniejących przepis ustanawiał karę dożywotniego więzienia za zabójstwo dokonane między braćmi. Zgodnie jednak uznano, że nie można go stosować do wypadku, gdy ofiarą padł najwyższy przełożony i ojciec duchowny, potraktować przeto należy zbrodnię jako ojcobójstwo. Zakon jednak jako instytucja kościelna nie miał prawa karać na ciele i krwi<sup>44</sup>. Wysłano przeto pismo do Kurii z prośbą o wydanie odpowiedniego zarządzenia, by zarazem wciągnąć w sprawę powagę Stolicy Apostolskiej, pozwolić czasowi zatrząść wrażenie, a przy sposobności stwierdzić, że zabójca działał w przystępie szaleństwa<sup>45</sup>.

43 Nimm mir mehr das Meine!(niem.) - Zabierz mi jeszcze to, co moje.

44... uber Menschenfleisch und Blut richten”.

45 Frater Joan von Nendorf fuerit ectramentem suam et sensum, raptus et frenetico morbo percussus. (Brat J. v. N. był pozbawiony zmysłów i rozeznania w porywie przejmującego szaleństwa.

Sąd nad mordercą odłożono na czas po dokonaniu wyboru nowego wielkiego mistrza, wyznaczając termin na siedemnasty lutego następnego roku. Do czasu przyjazdu Deutschmeistra Wolframa von Nellendorf, który objąć miał namiestnictwo a zarazem był

komturem wyborów, sprawami Zakonu kierował wielki komtur Otto von Bonsdorf. Nie czas było zajmować się przygotowaniem do wojny z Polską. Szczęściem, zawarty do końca maja rozejm pozwolił zostawić rozstrzygnięcie nowemu mistrzowi, tymczasem zaś wstrzymano nawet przygotowania do zimowego rejsu na Żmudź. Wzniesiony wypadkiem zamęt i nadchodzące wybory zepchnęły na dalszy plan wszelkie inne sprawy.

Do Krakowa wieść o zabójstwie wielkiego mistrza, wyznaczeniu dnia wyborów i odwołaniu rejsu na Żmudź przywiózł Radocha, wysłany przez starostę Henryka, który z na -

staniem słotnej pory wrócił i osiadł u brata w Gołańczy. Król ucieszył się z odnalezienia Radochy, dopytywał o jego przygody, a domyślając się, po co starosta wysłał Radochę do Krakowa, polecił mu czekać na zwołany po Godach zjazd. Król pewny był, że Krzyżacy dochowają, chcąc nie chcąc, rozejmu, a Giedymin, który, otrzymawszy żądane wynagrodzenie, przyrzekł najechać Prusy, tym razem wywiąże się ze słowa, gdy osłabiony zamętem Zakon odwołał nawet wyprawę na Żmudź. Bezpieczny od Krzyżaków, król istotnie zamyślał o uderzeniu na Luksemburczyka, by odebrać Śląsk i rozerwać osaczenie, niemniej przystało poczekać na wynik sądu rozjemczego, chociaż Łokietek nie wiązał z nim zbyt wielkich nadziei.

Nie było zresztą i tak spokoju, pora teraz poskromić ustawiczne napady tatarskie na wschodniej granicy. By oszczędzić własnych sił, Łokietek prosił nawet Stolicę Apostolską o ogłoszenie wyprawy

krzyżowej przeciw poganom. Zamiast tego otrzymał błogosławieństwo i zezwolenie na sprzedaż na ten cel odpustów na jubileusz i przeniesienie świętego Stanisława, po dwa dukaty od duszy. I to nie było do pogardzenia, jesienna wyprawa mocno nadszarpnęła skarbiec, ale i sił nie było do zbytu. Gorzej, że i królowi zaczynało ich brakować, trzecią już z rzędu zimę polegiwał, ale nie pozwolił zapędzić się na dłużej do łoża, Jadwiga zaś nie nalegała, chcąc w małżonku podtrzymać wiarę we własne siły. Na ich zanik patrzyła z niepokojem, tym bardziej że po zajściach na węgierskim dworze król odsunął syna od spraw.

Wbrew zapowiedzi nie ukarał go, natomiast pozostała niechęć i nieufność. Gdy radzono nad wysłaniem poselstwa na sąd rozjemczy, a jawne było, że król sam jechać nie może, Jadwiga napomknęła, by wysłał Kazimierza; Włodzisław fuknął:

- Po to, by tak sprawę załadził jak na Węgrzech? Niechaj siedzi przy małżonce.

Jadwiga sama nie zapomniała synowi bezecnego postępu, ale odsuwanie go od spraw państwowych całe ich brzemień zwałało na pochylone wiekiem barki króla, a w przyszłości niedoświadczenie syna zaważyć może na losach królestwa. Mimo przeto macierzyńskiego niepokoju o życie syna, wymogła na mężu, by Kazimierz przynajmniej udział wziął w wyprawie przeciw Tatarom, którą poprowadzić miał młody Spytek Leliwa, teraz wojnicki kasztelan, z Kazimierzem zżyty, a w walkach na wschodzie już doświadczony.

Spytek przyjechał wraz z ojcem, wojewodą Jaśkiem, który zebrał się na zjazd, choć niemocny był i dawno już nie ruszał się z Melsztyna. Oboje królestwo uradowali się przy -

jacielowi, który wiernie towarzyszył Łokietkowi na wyboistej drodze do zjednoczenia państwa, a teraz, zbywszy w niej sił, zostawiał godnego następcę. Łaskawie też powitali dorodnego młodziana, a gdy król oznajmił mu postanowienie o wysłaniu z nim Kazimierza, Jadwiga dodała:

- Jako matka i jako królowa proszę, dopilnujcie, by się syn nasz zbyt nie narażał, bo jedyny to następca mego małżonka.

Umilkła widząc, że Włodzisław zachnął się wyraźnie. Nie uszło to również uwagi Jaśka. Poleciał synowi odejść, a gdy za młodym kasztelanem drzwi się zamknęły, Łokietek gniewnie zwrócił się do Jadwigi:

- Jeślim się zgodził, by Kazimierz uczestniczył w wyprawie, to nie po to, by wojom pokazał, jak się własnego żywota strzeże. Ich rzeczą jest strzec go bez gadania, ale nie Iza temu cudzą krwią szafować, kto własnej szczędzi.

Jadwiga zmieszała się. W słowach męża, który nigdy nie szczędził siebie, a teraz, gdy siły sterał, nie widzi w synu wyreki, wyczuła niechęć do Kazimierza.

Jaśko słuchał z zakłopotaniem słów króla, korzystając, że dopuszczony był do poufności, wtrącił:

- Nie dziwić się, miłościwy panie, niewieściemu sercu, że niepokój żywi o niedoświadczonego w boju syna. I prawda, że troska o przyszłość szczędzić nakazuje królewica.

- A w twoim synu przyszłość twego rodu. Zaliś mu takż zalecił, by siebie chronił?

Wojennego doświadczenia nie zbiera się w cudzych łóżach.

Zaległo napięte milczenie, które po chwili przerwał Jaśko:

- Zda się przedwcześnie sądzić, będzieli z królewica wojownik lubo nie. Jeden się nim rodzi, drugi nauczyć się może. Innych zaś zalet, królowi potrzebnych, nikt Kazimierzowi nie odmówi. Może Bóg da, że potrzebniejsze będą niżli męstwo. Wždy często bywa, że ociec karczuje, a syn buduje.

- Daj to Bóg - spokojnie już powiedział król. - Jeno że ciężkie jeszcze zmagania przed nami, a mnie sił ubywa i nie wiada, pokąd starczy.

Pojednawczo zwrócił się do Jadwigi:

- Już się rozpogódź i nie myśl, że twego niepokoju nie rozumiem. Nie ma bojów bezpiecznych, ale przypadek wszędy człeka poścignąć może, nawet w łózu. Zwłaszcza w cudzym... - sarknął, zaraz jednak dodał łagodniej:

- Wierzaj mi, że gdybym widział groźne niebezpieczeństwo, sam bym Kazimierzowi nie zwolił wystawiać się na nie, bo iście w nim, nie we mnie, przyszłość, jaki tam jest. A ty, jak to niewiasta: samażes wymogła, by go wysłać, a zarazem pod korcem chciałyś go chować.

Królowa westchnęła:

- Prawda, że chciałabym i wyręki dla was, i bezpieczeństwa dla syna. By uciąć niemiłą rozmowę, zakończyła:

- Ze starym druham pewnikiem pogwarzyć chcecie. Miodu wam przyślę. Gdy wyszła, król powiedział:

- Iście radem ci, jako nikomu, bo z tobą gadać mogę jak z samym sobą. Tobie rzec, kamień w studnię.

Zamyślił się i podjął po chwili:

- Mierzi, że często wrogom wiadomo, co się u nas dzieje i gada, choćby na radzie przybocznej. Gdy człek ufność straci, sam ostaje.

- Macie kogoś w podejrzeniu?

- Nie chciałbym skrzywdzić nikogo. Zawždy i wszędy zdrajcy się trafiają: z chciwości, z zawiści, z głupoty...

Machnął ręką i dodał:

- Mam ci i ja takich, którzy donoszą, co się u wrogów dzieje... Urwał i podjął znowu:

- Tobie mogę rzec, bo wiem, że pomożesz rozważyć, żadnymi względami się nie kierując, a sprawa niebłaha i drażliwa. Własnemu zasię sądowi nie ufam, bo nie lubię tego człeka i dawno bym go odsunął, gdyby mi nie był potrzebny.

- Mam odgadnąć, o kim mówicie?

- Jeśli iście zgadujesz, widno podejrzenia słuszne. Jaśko pokręcił głową.

- Nie dowód to. Mówicie o Wincentym z Szamotuł. Człek pyszny, ród swój nad wszystkie wynosi, tedy wrogów mu nie brak, którzy zaszkodzić mu radzi. Przez gęste sito cedzić, co wam o nim donoszą.

- Dlatego właśnie postyszeć chcę, co ty mniemasz, tym bardziej że wieść bezimienna, a źródło mętne. Ze Wincenty w Marchii bywa, nic nowego. Nowe jeno to, że na wielkanocnym zjeździe ma pono być w Myśliborzu, gdzie się coś przeciwko nam knuje.

- Tedy poczekać: pojedzie lubo nie.

- Nie w tym rzecz. Wieść od Krzyżaków i przez trzecie ręce, dlatego się głowię. Po ich myśli byłoby zamęt u nas wywołać, bo odsunąć Wincentego - pół Wielkiej Polski mieć przeciw sobie. Tedy mogli fałszywą wieść podrzucić. Przez to samo klina mi zabili, bo sprawdzić niełatwo. Ale wieść może być i prawdziwa, od kogoś, kto pod Zakonem ostał, ale nam dobrze życzy, bo i takich nie brak. Nie byłoby dziwne, że ujawnić się nie chce z obawy, by się nie wydać. Jeśli tak, mogłoby to znaczyć, że panowie z Marchii z Krzyżakami się wachają, a Wincenty wraz z nimi.

Jaśko głową pokiwał w zamyśleniu.

- Tak czy inak, rozumiem, że zaufania do Wincentego sprawa ta nie wzmogła.

Wezwijcie go, panie, do siebie. Człek jest gwałtowny i sobiepan, taki zazwyczaj przytając się nie umie, może coś wymiarkujecie. Iście trudno w niebezpiecznym czasie Wielką Polskę w rękę pozostawiać człeka, któremu nie ufacie.

- Nie z dobrej woli starostą go ustanowiłem, a ninie odebrać mu urząd, wroga sobie napytać.

- Pycha u takiego człeka drażliwsza nawet od kiesy - powiedział Jaśko z namysłem. -

Wincenty mniema, że z rodu pierwsze miejsce mu przystoi w Wielkiej Polsce. Aleć już głupi byłby, gdyby siebie nad królewica wynosił. Gdybyście syna starostą uczynili, nie czułby się wojewoda poniżony. Aniby to dziwne było, że skoro Kazimierz dojrzał, do rządów go chcecie zaprawić.

- Dojrzał! - niechętnie mruknął Łokietek. - Wolałbym kogoś doświadczonego w takowym czasie, a nie spodziewać się, by mu Wincenty służył pomocą; radziej okazać zechce, że bez niego Kazko nie wydoli. Rozważę jeszcze, ale zgoła lepiej, by nie ode mnie to wyszło. Przed Świętą Trójcą zjazd rycerstwa zwołam do Chęcin. Niechaj rada uchwali, nie do mnie będzie uraza. A ninie iście wezwę Wincentego do Krakowa; może coś pomiarkuję.

Niezbyt sroga, ale śnieżna i wietrzna zima zatarasowała drogi wysokimi na chłopa zaspami. Ruch ustał, wieści przychodziły rzadko i spóźnione, a Łokietek oczekiwał ich niecierpliwie. Pora do uderzenia Giedymina na Prusy była najstosowniejsza, gdy Zakon zajęty wyborem. Potem okrzepnie, nowy mistrz ujmie sprawę w swe ręce, sposobność minie.

Nie było wątpliwości, że wielkim mistrzem zostanie obrany Luter von Braunschweig.

Tym razem nie miał współzawodnika, który mógłby z nim się równać dostojnością rodu, długoletnią, od pacholęcia, służbą w Zakonie i osobistymi zaletami. Ujmującej postaci, poeta i śpiewak, nie gorszy od Wenera gospodarz, a lepszy wojownik, odziedziczył zdolność do czynu pradziada Henryka Lwa, spokrewniony blisko z wieloma książętami Rzeszy, wpływów swych nie omieszka użyć na korzyść Zakonu.

W połowie lutego zima załamała się, ale ustępowała krok za krokiem. W pogodne dni słońce topiło śniegi, nocami mróz ścinał je w skorupę. Na stwardniałych drogach zaroilo się; kto żył spieszył, by uładzić zaległe sprawy, nim odwilż zmieni szren w grząską maź, a potem w przepadliste błoto.

Wieści teraz nadchodziły szybko, już z końcem lutego znany był, zgodny z przewidywaniem, wynik wyborów w Malborku, wciąż jednak głucho było o wyprawie Giedymina na Prusy. Łokietek sądził już, że wielki książę zgoła jej poniechał. Zawód był

przykry, chwila zmarnowana, król czekał już raczej tylko na wyjaśnienie, co przeszkodziło sprzymierzeńcowi w dotrzymaniu układu. Z ulgą za to przyjął wiadomość od Spytka, że -

pomyślnie ukończywszy wyprawę - wraca. Król rad był tym bardziej, że syna zamierzał

wysłać do Wielkiej Polski by - nim obejmie tam wielkorządztwo - na miejscu się rozpatrzył i poznał z ludźmi. Może Wincenty domyśli się nadchodzącej zmiany, ale to i lepiej, gdy nie będzie zaskoczony.

Oczekiwany z dnia na dzień Nałęcz zjechał do Krakowa przed Kazimierzem, zwłokę lekko usprawiedliwił złym stanem dróg, z widocznym zadowoleniem z siebie pokrótce zdał

sprawę ze swych poczynań i zapytał o rozkazy, nie tając, że spieszo mu z powrotem. By wybadać, do czego mu pilno, król oznajmił, że zamierza wysłać z nim syna, który w najbliższych dniach winien powrócić. Wojewoda rzekł niechętnie:

- Zaszczyt to dla mnie, rad królowica ujrzę gościem u siebie, ale na jego powrót czekać nie mogę, bo na świętą Krystynę zmówiłem się z krewniakami w Myśliborzu.

Zaskoczony otwartością król, nie patrząc na Nałęcza, od niechcienia zapytał:

- Pewnikiem jakoweś ważne wzywają was sprawy?

- Iście ważne, nie jeno dla nich, ale i dla was. Wiecie, jako w Marchii dwa stronnictwa zabiegają, kto rządzić będzie imieniem nieletniego Ludwika. Nie chwaląc się, i ja tam coś znaczę, tedy podeprzeć mi przystoi panów von Ost, von Lindów i von Wedel, którym cesarz nieprzychylny. Nie

jeno dlatego, że krewniacy czy swojacy, ale że z nimi i przez nich rozejm zawierałem. Gdyby ich odsunięto, nie wiada, zali będzie dotrzymany.

Król zagryzł wargi pod wąsem: prawda czy nieprawda, jedno pewne, że wojewoda znowu swymi zasługami i niezbednością w oczy świeci; jeśli zaś czegoś się domyślił - to grozi. Łokietek dość oschle odparł:

- Tedy nie zatrzymuję was. Mniemam, że gdy Kazimierz nadjedzie, zechcecie mu ułatwić, co trzeba.

- Wszyscy radzi ujrzą królewica - rzucił wojewoda wymijająco. - Żal jeno, że nie ja go powitam, jak przystało, choć nadzieję żywię, że będę z powrotem, gdy nadjedzie. Po wyprawie zechce pewnikiem spocząć, a w drodze i inne ziemie odwiedzić.

Z rozmowy z wojewodą król niewiele wymiarkować zdołał, ale niechęć do niego wzmogła się jeszcze. Już tylko trzy miesiące rozejmu dzieli Polskę od nowych zmagania z Zakonem, przedtem usunąć należy niepewnego człeka. Położenie, które po śmierci Wenera zdało się przejaśniać, zaciemniło się znowu.

Sojusz z Litwą raz już okazał się zawodny. Król czekał na wyjaśnienie bezczynności Giedymina. Gdy wreszcie wiadomość przyszła, biegał po komnacie, zaciskając pięści.

Okazało się, że Giedymina wyruszył późno, w drodze za stały go roztopy. Nie mogąc przejść przez krainę jezior, skierował się lewym brzegiem Drwęcy. Gdy i tu bagna i rozlewiska uniemożliwiły przeprawę, złupił Mazowsze aż po Wisłę i odszedł. Nic po sprzymierzeńcu, który na wojnę ciągnie jeno dla łupu, zajedno mu, na kim weźmie. Na żadne współdziałanie z nim w przyszłości liczyć nie można; jeno wrogom dostarcza zarzutów, a innych sprzymierzeńców odstrasza.

Król rozumiał jednak, że nic nie zdziała zaciśniętymi pięściami. W niekorzystnym układzie sił należało próbować zyskać na czasie. Kazał przeto wezwać Mikołaja Wierzyńka i zlecił mu poselstwo do Malborka, celem przedłużenia rozejmu. Luter może się zgodzi, gdy sam jeszcze nie rozpatrzył się w położeniu, niemniej nie wolno było zwlekać z przygotowaniem, a przede wszystkim trzeba pomyśleć o obronie granicy. Zastanawiając się nad tym, król przypomniał sobie Radochę i polecił go sprowadzić. Gdy zjawił się, zapytał go łaskawie:

- Mniemam, żeś już tu uładził swoje sprawy, chcę ci zlecić zadanie.

- Nijakich spraw tu nie mam - markotnie odparł Radocha. - Siedzę, boście kazali, kany zresztą mam iść?

- Pomyślimy o tym w swoim czasie. Rozejm z Zakonem kończy się, wyłudzi go, gdy im był potrzebny, dla pozorów na sąd rozjemczy się godząc, na który nie stanęli. Jawne już, że miecz musi rozsądzić.

Radocha ramionami wzruszył.

- Głupi, kto psubratom wierzy - mruknął i ugryzł się w język, zmieszany. Łokietek jeno się uśmiechnął.

- Nie jam wierzył, jeno panowie z rady. Parę grodów Krzyżacy iście zwrócili...

- Które im potrzebne nie były - wtrącił Radocha. - A Nakła nie. Żeby waszych panów tak uczyli jako mnie, jedną by wam radę dali: prać!

- Gdybyż to wszyscy rozumieli! - król powstrzymał westchnienie. - Ale jeden ze strachu, inny dla wygody czy korzyści albo i z niechęci ku mnie układać się z nimi gotów.

Nawet tym, co staną na zawołanie i serca im nie brak, za parę niedziel do domu spieszo, jakoby dniówki na pańskim odrabiali. A krzyżacka gadzina zawždy kasać gotowa. Jeno rozejm wyjdzie, walka zacznie się znowu, grody słabo obronne, żaden się nie oparł, ani Krzyżakom niewola pod nimi się zabawiać. Rycerstwa, jako rzekłem, na stałe pod bronią nie utrzyma, na najemników zasobów brak... Król urwał i zadumał się. Po chwili podjął:

- Skarżyli się na ciebie, że chłopów do broni przyuczysz, a zbiegów nie wydajesz...

Radocha ramionami wzruszył.

- Ać się skarżą. Ninie zresztą nikogo nie przyuczam, bo i nie mam kogo ani do czego.

Tak ostałem, jak stoję, na piwo mi nawet nie starczy, a żelaza darmo nikt nie da ani go dobyć gołymi rękoma.

- Na początek naleźć się musi - rzekł król. - Dla ciebie takoz, trzeba było jeno rzec, żeś w potrzebie.

- Nie nawykłem po prośbie chodzić.

- Hardyś! Trzeba się jeno przypomnieć, nie to jedno mam na głowie. Zajdź jutro, skarbnik ci wypłaci, by i na żelazo, i na piwo starczyło. Gdzie ludzi szukać, gadać ci nie trzeba, o niczyje gniewy możesz nie dbać.

Radocha lekceważąco ręką machnął, a Łokietek ciągnął:

- Wrócisz nad granicę. Myślę, żeś się z tą twoją niewiastą już uładził.

- Jaka tam ona moja - mruknął Radocha. - Nawet do niej nie zachodzę, bo z czym? Z

pustymi rękoma, biedoty objadać?

- Jutro możesz zejść z pełnymi. Rzeknij jej, by na swego wywołańca nie czekała, po raz wtóry nie daruję przemieszania. Może ci się przychylniejsza okaże.

Radocha nic nie odrzekł, podaną łaskawie rękę króla ucałował, skłonił się i wyszedł.

Nazajutrz z dobrze wyładowanym trzosem i gęstsza miną kręcił się po Sukiennicach, rozsądkiem hamując chęć nabywania wszystkiego, co ciągnęło oczy. Poczynionych zakupów część odesłał do

gospody na Bawół, gdzie Pizło przygotować miał wszystko do drogi, pożywił się sownicą, wypił w miarę i podkręciwszy wąsa, skręcił na Rybaki, by pożegnać się z Kundzia i jej córeczką. Zastał tylko dziewczynkę zajęętą przy gospodarstwie. Rozczuliła go radość, jaką okazała na jego widok. Chciała zaraz zakrzętać się przy poczęstunku, ale powiedział:

- Pośniadałem w mieście, pódzi ze mną posiedzieć, póki macierz nie nadejdzie, bo nierychło się znowu ujrzym. Może dopiero na twoim weselisku, bo skoro patrzeć, żrała będziesz, a urodna z ciebie dziewczuszka.

Z przyjemnością patrzył na jej smukłą postać, już nie dziecięcą, gładkie liczko z jasnymi oczami. Zauważył, że posmutniała, i dodał:

- Nie sumujże się. Czas szybko leci. Macierz twoja niewiele starsza była od ciebie, gdym ją poznał, a ninie już jej córa dorasta. Dawnoś to na kolanach mi siadywała i za wąsy ciągnęła? - usiłował ją rozśmieszyć, ale sam pomarkotniał na przypomnienie: starość!

Rozwinął przyniesione bławaty, a pokazując kwiecistą, barwną tkaninę, rzekł:

- Za kasztelankę cię każdy weźmie w takowej przyodziewie, choćby do ślubu w niej iść. Spojrzała, ale oczy jej zaszklily się, gdy odrzekła cicho:

- Nie przystoją takowe zbytki sierocie bez rodzica i wiana.

- O wiano się nie trap - rzekł niepewnie. - Ninie psubraty obrały mnie ze wszystkiego, ale na wojnę ciągnę. Coś ci się z łupów uścibie, pan takoz jakowas oprawę mi przyrzekli, a komuz ostawię, jeśli nie tobie? Wždy nie mam nikogo.

Przygarnął dziewczynkę, a ona oddała mu uścisk, mówiąc:

- Matusia takoz nie ma nikogo, krom mnie. Nigdy jej samej nie ostawię, choćby ksiązę po mnie przyjechał.

Rozplakała się, a Radocha wąs targnął, nie wiedząc, jak ją pocieszyć. Wreszcie rzekł:

- Czas ci jeszcze, a może się coś odmieni. Wždy rodzic twój żywię...

Pożalował od razu. Uchwyciła jego kościstą dłoń, okrywając ją pocałunkami i zraszając łzami.

- Wždyście mu pomoc przyrzekli. Matusia wam ufa. Jeśli nie wy, to nikt.

- No, dobrze już, dobrze. Uczynię, co wydołę, ale Ninie muszę już iść.

Szedł szybko, jakby uciekał, i kłął pod wąsem sam siebie, aż się ten i ów obejrzał.

Zamiast powtórzyć, co mu król powiedział, nadzieję pozwala żywić sierotom, którą spełnić nie w jego mocy. Nigdy tu nie będzie śmiał oczu pokazać.



Pizło zauważył, że druhowi coś niemiłego musiało się przygodzić, o nic jednak nie pytał, a Radocha, choć czuł, że ulżyłoby mu, gdyby się wygadał, milczał też, naglił tylko do wyjazdu. Wiedział, co by od Pizły posłyszał, ale sam sobie to już powiedział.

Z nastaniem ciepłej i pogodnej wiosny król poczuł się silniejszy i w drugiej połowie maja ruszył na zwołany do Chęciny zjazd rycerstwa. Miejsce rozmyślnie wyznaczył w dawnym zamczku biskupim, którego rozbudowę rozpoczął, mimo że w skarbcu pustawo było, by zaznaczyć, że nigdy go zwrócić nie zamyśla. Dość panów w królestwie, gotowych dla własnej korzyści przeszkadzać w zjednoczeniu i rozbijać jedność, gdy wszystkich się

trzeba, by się nadciągającej burzy przeciwstawić. Rozjątrzyła króla szczególnie zawarta przez biskupa Macieja ugoda z Zakonem, w której biskup nie tylko zrzekł się odszkodowania za rabunek i spalenie katedry, cofnął także pozew i ustępstwa poczynił w sprawie dziesięciny z Pomorza. Zobowiązał się również nie dopuścić do obsadzenia swego grodu w Raciążku przez załogę Łokietka, osłabiając tym obronę Kujaw. Bulla papieska<sup>46</sup> wyliczająca zbrodnie Zakonu z nakazem dla biskupów krakowskiego i poznańskiego przeprowadzenia śledztwa i ustalenia odszkodowania - stała się świstkiem. Przed obcą siłą świeccy i duchowni możnowładcy umieją się korzyć, własnemu królowi, któremu wierność zaprzysięgli, opór stawiać gotowi. Godząc się na wybór Macieja po Gerwardzie, nie mógł się spodziewać, że okaże się przeciwieństwem poprzednika i zawód rozgoryczył króla.

Troski towarzyszyły mu w drodze, nie pozwalając cieszyć się wiosną, która wdzięczyła się wszystkimi urokami barw, woni i dźwięków, a on wiedział, że niewiele ma już wiosen przed sobą. Rad był jeno, że przy pięknej pogodzie zjazd obesłany będzie licznie, obozowanie pod namiotami miłsze niż w dusznych izbach, będzie gdzie popaść konie, a życzliwość przyrody udziela się ludziom. Nawet umierać lżej, gdy słońce świeci.

Mijając łąki u zlewu Czarnej i Białej Nidy, król zatrzymał się na chwilę, pojąc oczy widokiem bezkresnego pola jaskrów i kaczeńców, jakby kto wszystkie skarby ziemi, lśniące w - słonecznych promieniach, rozsypał, aż oczy trzeba było mrużyć. Wspomnił pacholące lata nad Wartą. Minęły prędko, jak przekwita kwiecie, jeno nie zakwitły już nigdy na nowo, szczęśliwe i beztrudne. Ale urwały się wspominki, gdy na widnokręgu wyłoniła się z równiny wyniosła skała. Pięła się w górę, a na szczycie poczerniałe ściany starego drewnianego zamczku odbijały od jaskrawej bieli nowo wznoszonej budowli z wapiennego kamienia.

Chęciny, cel podróży. Z lasu namiotów na łagodnym stoku u południowego podnóża zamkowej góry wyroiły się gromady i powiadomione o przybyciu króla, biegły witać. Wśród nie milknących okrzyków orszak królewski pięć się jął zakosami wiodącą drożyną na stromą 46 Z 31 marca 1331 r. górę zamkową. Król wzajem łaskawie ręką witał rycerstwo, myśląc jednocześnie, jak łatwo o zapal w pełni sił, w sytości, bezpieczeństwie, pod błękitnym niebem, a jak trudno, gdy szaruga ziębi pot śmiertelnego wysiłku, a ręka już dźwignąć się nie chce, nawet by wyczerpane niewczasem ciało osłonić przed ciosem.

U wejścia do zamku witali króla dostojnicy, między którymi stał Wierzynek; właśnie wrócił z Malborka z wieścią, że wielki mistrz zgodził się na przedłużenie rozejmu do świętego Jana. Sandomierski wojewoda Tomisław Bogoria i kasztelan Krystyn Rawicz z Ostrowa przywiedli

posłów węgierskich, znanych królowi, Piotra Pthowa i Tomasza Csirke, którzy powitali go wiadomością, że zgromadzone już w Bardiowie i Koszycach posiłki węgierskie, w łącznej sile około dziesięciu tysięcy, przeważnie lekkiej jazdy, czekają na rozkazy.

Łokietek nie wątpił, że Krzyżacy zgodzili się na takie przedłużenie rozejmu, jakie im samym potrzebne. Należało być gotowym, zanim upłynie termin. Trudno natomiast było przewidzieć, gdzie nastąpi uderzenie. Uzależnienie mazowieckich książąt od Zakonu, wrogość Wańki czy bierność Kazka pozwalały Krzyżakom uderzyć na północnwschodniej granicy w kilku miejscach na raz. Wojska przeto należało trzymać zgromadzone z dala od przepraw strzeżonych przez grody, a podjazdy wyprawiać, by w miarę rozwoju wypadków skierować siły, gdzie zajdzie potrzeba. Na miejsce zboru obrał król Łęczycę, dokąd Wisłą i Bzurą ściągnąć można było zasoby i sprzęt oraz węgierskie posiłki, które kazał pchnąć na Sandomierz, dokąd sam zamierzał się udać po zjeździe. Węgrzy niewiele bardziej niż Litwa przebierać zwykli, skąd łup brać, król wołał unikać zniszczenia kraju i zadrażnień.

Nazajutrz, po nabożeństwie w zamkowej kaplicy, Łokietek zwołał naradę na podwórku, na szczycie wzgórza. Szczupłe komnaty zameczku z trudem mogłyby pomieścić przybyłych licznie dostojników, milej uradzać pod błękitnym niebem niż pod gniotącymi, okopconymi powałami ponurych izb. Wysokie już słońce wypięło poranną mgiełkę i widok ścielił się rozległy: od przytulonego ufnie do urwistego, północnego stoku miasteczka poprzez poprzerzynaną miedzami płaszczyznę uprawnych pól do pstrej zieleni borów na przedgórzach Świętego Krzyża, ku południowi zaś na ruchliwy jak mrowisko w słońcu obóz, kwieciste łąki na zalewiskach Nidy aż ku błękitnym pasmom wzgórz w dali za Krakowem. Na niebie bez chmurki tu i ówdzie ciemniejszą plamką wisiał jastrząb, wypatrując dopiero wyszłego z gniazda ptactwa. Przypominał, że panujący w przyrodzie spokój i szczęśliwa beztroska są pozorne. Póki życia, poty walki, spokój jest jeno w śmierci. Łokietek westchnął.

Zagaiwszy obrady, król wezwał Wierzyńka, by sprawozdanie złożył z poselstwa.

Choć dostojnicy ze starych rodów z lekceważącą niechęcią patrzyli na nowego człowieka, który szybko wznosił się w godnościach, a zasobnością wyrósł już ponad nich, gdy mówić zaczął, słuchać go jęli z uwagą. Musieli przyznać, że król nie darmo pokłada w nim zaufanie: mówił swobodnie i rzeczowo, nie sobie przypisując pomyślny wynik poselstwa, wyjaśniając natomiast przyczyny, które skłoniły Zakon do zgody na przedłużenie rozejmu. W naczelnych władzach jego nastąpiły istotne zmiany, zwracało zwłaszcza uwagę obsadzenie wakującej od śmierci von Plotzkego godności wielkiego marszałka, z urzędu naczelnego wodza stojących w polu wojsk. Został nim komtur Bałgi i wójt Natangii - burgraf Dietrich von Altenburg, który, objąwszy ten urząd, potrzebował czasu, by się w nowych swych obowiązkach rozejrzeć.

Gdy Wierzynek dalej zdawał sprawę, okazało się, że załatwił nie tylko to, po co był

wysłany. Niemiec z pochodzenia, potrafił wzbudzić u Krzyżaków mniemanie, że najemnikiem jest. Nie zwracając uwagi wyglądem ni mową, zdołał wymiarkować sprawy, które mogły zaważyć na przebiegu i losach wojny. Król Jan nie wrócił jeszcze z italskiej wy -

prawy, wszczął jednak układy z cesarzem. Jeśli pogodzi się z Wittelsbachami, zyska wolną rękę

przeciw Polsce. Rachuby na Luksemburczyka skłoniły Zakon do przedłużenia rozejmu.

Uderzenie krzyżackie przeto, miast na Kujawy, skierowane być może przeciw Wielkiej Polsce, by ułatwić współdziałanie Jana czeskiego. Zmuszało to Łokietka do podziału zarówno sił, jak i dowodzenia. Zwracając się do króla, Wierzynek zakończył:

- Tu i tam być, nie wydolicie, miłościwy panie, choćby wam siły i zdrowie dopisywały.

Z dala zresztą więcej widać i lepiej nad całością czuwać. Tedy niechaj tu po staremu wojewodowie Wojciech Leszczyk i Paszko Ogończyk dają baczenie, na zachodzie zasię starosta Wincenty Nałęcz, gdyby najazd przyszedł od pomorskiej ściany. Niechby się jednak wasz następca zaprawiał, by z was brzemień zdjąć wiekowi nie w siły.

Gdy padło imię wojewody Wincentego, rozległy się szmery. Wierzynek uśmiechnął się tak nieznacznie, że tylko król zauważył, ręką dał znak, że jeszcze nie skończył, i ciągnął:

- Widzę, że jakoweś sprzeciwy obudził. Mówię o panu z Szamotuł, bo mu z urzędu jako staroście troska o obronę przystoi. Ale nie jeno dlatego. Przez niego rozejm zawarliśmy z Marchią, gdy Luksemburczyk wspólnym był wrogiem, nie masz jednak przyjaźni między nami. Gdyby się Wittelsbachowie z królem czeskim pogodzili, łącznie by mogli rozejm złamać.

Potrzebny ktoś, co rękę trzyma na sprawach w Marchii i choćby przestrzeże w porę.

Teraz już nie szmery, ale pomruk przeszedł przez zgromadzonych, który jednak król podniesieniem ręki uciszył, a głosu udzielił kaliskiemu kasztelanowi.

Wiadomo było, że Andrzej Borkowic, brat Przybysława, którego Wincenty Nałęcz wysadził ze starostwa, nie należy do jego przyjaciół, toteż z zaciekawieniem słuchano, co powie. Hamował widocznie podniecenie, niemniej z miejsca zaczął:

- Ani to przystoi, by królewic do rządów i wojny się zaprawiał pod rozkazami wojewody. A potrzebna mu będzie rada, mniemam, że ją najdzie u pewniejszych ludzi...

Kasztelan urwał, ale nie wytrzymał i rąbnął:

- W porę Wincenty przestrzeże! Kogo? Nas lub Sasów? Oni mu bliżsi.

Znowu podniósł się rumor, a król pilnie patrzył, kto milczy. Nałęczowie mieli stronników, Wincenty będzie wiedział, kto i co mówił. Król zaś nie chciał, by Nałęcz odjęcie mu starostwa poczytywał za dowód niechęci lub podejrzliwości. Ręką uderzył o poręcz stołka i rzucił gniewnie:

- Nikogo o zdradę pomawiać nie zwolę bez dowodu. Że iście potrzebna mi wyręka, syna namiestnikiem swym dla Wielkiej Polski, Sieradza i Kujaw ustanawiam, ale rąk mu wiązać nie będę, u kogo rady ma zasięgać lubo pomocy. Każdy mu ją winien jako mnie samemu i na tym dość.

Narady potoczyły się już spokojnie. Król był zdania, że Krzyżakom jednak dogodniej uderzyć od

mazowieckiej granicy, gdy w każdym miejscu rzeką mogą podciągnąć sprzęt i wojska, a w razie niepowodzenia za nią znaleźć schronienie; nadnoteckie bory zaś stanowią trudną do pokonania przeszkodę i same przez się, i przez grasujące tam luźne gromady.

Obronę Wielkiej Polski postanowiono przeto pozostawić jej własnym siłom, główne zaś skierować do Łęczycy.

Po skończonym zjeździe król wyjechał do Sandomierza, gdzie dopiero w połowie lipca doczekał się nadejścia węgierskich posiłków. Natychmiast wysłał je Wisłą w ślad za resztą wojsk, sam zaś ruszył do Krakowa, gdzie zająć się musiał przygotowaniem obrony Moraw i Śląska na wypadek napaści Luksemburczyka. Jechał wolno, dzienny upał

wyczerpywał go, zmuszając do częstych postojów, nie w porę przyszła starość, iście czas, by syn zdjął z niego brzemię wojownika i rządów.

Powitała króla w Krakowie wiadomość o śmierci Kunegundy, zmarłej przy urodzeniu syna. Inne wieści, jakie kolejno nadchodziły, uświadomiły mu, że brzemię wojny sam będzie musiał dźwigać do końca.

Po powrocie z Myśliborza Wincenty Nałęcz zatrzymał się w Szamotułach i tam dowiedział się, że Kazimierz zjechał już do Poznania. Choć nic w tym nie było niezwykłego że sędziwy król następcę swego zaprawia do rządów, wojewoda podejrzewał, że bystry Kazimierz zechce wglądać we wszystkie sprawy, tym samym krępując go. Daleki był jednak od myśli, że Łokietek odejmie mu urząd starosty w czasie, gdy wojna z Zakonem była pewna, niepewny natomiast pokój z Marchią. O tym Wincenty lepiej wiedział niż król, zawarty z Polską rozejm nie będzie margrawowi potrzebny, gdyby ojciec jego zdołał pogodzić się z Janem czeskim, o co ten zabiegał, gdzie indziej widno zamierzając szukać nowych przygód, nabytków i pieniędzy. Przepuszczane przez Marchię poselstwa jego do Malborka wyraźnie wskazywały kierunek, w jakim teraz poniesie go nienasycona łapczywość.

Wincenty wahał się nawet, czy o tym nie donieść królowi, tymczasem jednak wolał

zachować wiadomości dla siebie, by w miarę potrzeby zaznaczyć swą pożyteczność i ważność. Łatwiej mu było milczeć, niż kręcić, dlatego wolał nie zetknąć się z Kazimierzem.

Nie mógł jednak Wincenty udawać, że nie wie o jego przybyciu, posłał przeto brata Tomisława z podarunkami i zaproszeniem królewicza do Szamotuł, słabością usprawiedli -

wiając, że sam nie spieszy go powitać. Pewny był jednak, że ten nie przyjmie zaproszenia, bo i z tym wojewoda nie pospieszył, mimo że czas do podróży był pomyślny, a do Poznania niedaleko. Jakoż Tomisław wrócił z wieścią, że królewicz wyjechał na objazd kraju.

Wojewoda ramionami wzruszył.

- Widno mu niepotrzebnym. Mnie on jeszcze mniej.

Rozdrażniło go jednak okazane lekceważenie, a także wiadomość, że królewicz mieszczan wzywał na narady, od chłopów zbierał wiadomości, niewiele czasu poświęcając rycerstwu. Widno od

obronności kraju ważniejsze mu źródła wpływów do skarbu. Wojewoda zbierać się jął do Czarnkowa, na uwagę jednak Tomisława, że jawnie przez to okaże, iż unika spotkania z Kazimierzem, który wkrótce królem może zostać, odparł ze złością:

- Jeszcze nikt nie rządził w Wielkiej Polsce, kogośmy nie chcieli. Jeśli o tym Kazko nie wie, niechaj zapyta rodzic jak z wielkopolskiego stolca zsiadł, kiedy się nam nie spodobał.

Wyjechał do swych grodów nad Notecią i zajął się własnymi sprawami, pewny, że Kazimierz rychło zmuszony będzie prosić go o pomoc i radę. Darmo jednak czekał, królewic bawił na południu, termin rozejmu z Zakonem upływa wkrótce, a Wincenty nie mógłby usprawiedliwić poniechania przygotowań do obrony obecnością królewicza. Umacnia jął

przeto grody i zamierzał zwołać zjazd rycerstwa, gdy wraz z wieścią o przedłużeniu rozejmu otrzymał rozkaz, b urząd starosty zdał Kazimierzowi. Tego w czasie nadciągającej rozprawy z Zakonem nie spodziewał się. Pohamował wzburzenie, ale gdy posłańcy odeszli, mruknął

zjadliwie:

- Obaczym, jak sobie ten żółtodziób bez nas porad Jeszcze mnie prosić będą, bym starostwo objął z powrotem.

Nie poniechał jednak przygotowań do obrony włości i grodów własnych i swych rodowców, choć równie jak Łokietek nie sądził, by uderzenie krzyżackie skierowane zostało na Wielką Polskę, zwłaszcza że wiedział, iż na współdziałanie Luksemburczyka Krzyżacy jeszcze liczyć nie mogą. Wprawdzie podjazdy donosiły, że na granicy pomorskiej krzyżacki oddziały z północnych komturii uganiają się po borach z gromadami chłopstwa i zbiegów, ale oznaczało to jedynie, że pilna stała się potrzeba utrzymania łączności ze Śląskiem.

Gdy okres rozejmu upłynął, wojewoda zebrał hufce własne i rodowców i ruszył w górę Noteci, gdzie prędsze i pewniejsze otrzymać mógł wieści. Pierwsze nadeszły w połowie lipca. Znaczne wojska krzyżackie ruszyły z Torunia, ponownie zajęły Wyszogród i Bydgoszcz, po czym podeszły pod Gniewków. Wystraszony księżę Kazko wysłał prośbę do wielkiego marszałka, by go zostawiono w spokoju, ponieważ do walki mieszać się nie chce, żadnej pomocy królowi nie udzieli ani załogi jego do grodu nie wpuści. Jak ongiś von Plotzke w Tczewie, von Altenburg odpowiedział drwiną: znając księcia, wierzy, że mu do walki nie spieszo, ale może być do niej zmuszony ze strachu przed stryjem, który, nie pytając go, zechce niewątpliwie Gniewków obsadzić własną załogą. By się przeciw temu zabezpieczyć, Zakon żąda, by księżę syna oddał w zakład, a gród w Gniewkowie lepiej by sam zburzył, niżby to miały uczynić wojska zakonne, z wielkim żalem chrześcijańskiej krwi, która by przy tym popłynąć mogła.

Wśród kpin nadzorujących Krzyżaków Kazko gorliwie jął się wykonania rozkazów i z płaczem pożegnał syna, którego Krzyżacy odesłali do Malborka, a sami nocą odeszli w niewiadomym kierunku. Otrzymaawszy te wieści, wojewoda pogardliwie wobec zebranych odezwał się:

- Ostał ślimak bez skorupy. Jeny dlatego nie rozdeptali go, by ciżmy nie zabrudzić.

Onże też bywał królewskim namiestnikiem. Obaczym, co drugi ślimak pocznie, gdy na niego kolej przyjdzie.

Jątrzyło wojewodę, że królewicz po powrocie z objazdu osiadł w Pyzdrach, a nie w Poznaniu, widocznie nie zamierzając żadnego kroku uczynić, by spotkać się z wojewodą. W

miarę napływania dalszych wieści o rejsie jasne się stało, że celem jego są właśnie Pyzdry.

Niejasne było natomiast, czy Kazimierz wie o nadciągającym niebezpieczeństwie. Wincenty zaciął się jednak; skoro Kazimierz jest królewskim namiestnikiem, jego rzeczą zbierać wieści i czynić przygotowania do odparcia najazdu. Jeśli chce, by go wyręczyć, niech prosi.

Niemniej wojewoda z hufcami nadwornymi i rodowymi szedł równolegle do krzyżackiego pochodu, postanowiwszy jednak nie mieszać się do walki, chyba w obronie własnych i rodowych włości.

Marszałek von Altenburg istotnie znał miejsce pobytu Kazimierza i wiadomość zamierzał wykorzystać dla zakończenia przewlekłej sprawy bez większego wysiłku i strat.

Powodzenie zależało jednak od szybkości działania, dlatego - nie czekając na zburzenie grodu w Gniewkowie - ruszył na odległy dwie mile z okładem Inowrocław. Nie prowadząc pieszych wojsk ni sprzętu, nie mógł się zabawiać w zdobywanie silnego grodu, wiedząc jednak, że niemieckie mieszczaństwo sprzyja Krzyżakom, postanowił spróbować, czy nie uda się wziąć Inowrocławia mimochodem, i pod wodzą komturów Nieszawy i Świecia pchnął silny oddział

jazdy na miasto.

Wieść wszakże o wkroczeniu Krzyżaków na Kujawy dotarła już do Brześcia i wojewoda Wojciech wysłał posiłki pod Mikołajem Doliwą z Biechowa, by wzmocnić załogę grodu i zapobiec zdradzie.

Krzyżacy, natrafiwszy na niespodziewaną a silną obronę, poniechali próby zajęcia i odeszli, a w ślad za nimi ruszył Mikołaj. Dwustu ludzi liczący jego hufiec nie mógł się porwać na wielotysięczne wojska krzyżackie. Doliwa jednak pewny był, że gdzieś natrafią na poważny opór, zwłaszcza że jeziorzysty kraj, mimo obniżonych przez lipcowe upały wodnych zwierciadeł, stwarzał korzystne warunki obrony. Około dwie mile odległe Gopło, z silnym grodem w Kruszwicy, stanowiło najbliższą zaporę na drodze krzyżackiego pochodu. Gdy jednak Doliwa, idąc w trop, dotarł tam wieczorem, Krzyżacy już ją minęli bez walki. Od rycerza Antoniego z Kujaw, który z ramienia księcia Kazka był burgrabią Kruszwicy, Mikołaj dowiedział się, że wobec tego, iż księżę nie jest w stanie wojny z Zakonem, marszałek poniechał grodu. Nie przeszkodziło to jednak Krzyżakom z łęgów nad jeziorem zagarnąć siedem tysięcy owiec, bydła i nierogacizny, i ubić przy tym pięciu ludzi, usiłujących przeciwstawić się grabieży. Zaopatrzywszy się w żywność, Krzyżacy odeszli na oddalone o godzinę jazdy Strzelno.

Doliwa jeno zaklął i w zapadającej ciemności ruszył w ślad. Mimo że noc już była, w Strzelnie panowało poruszenie, niezbyt odległa luna nad Osikowem zdradzała kierunek krzyżackiego pochodu, a zarazem pośpiech, z jakim się posuwał, by zaskoczyć Wielką Polskę, niewątpliwy już cel najazdu.

Wzmocniony przez kilka poczłów rycerstwa, które - choć bez wici - na wieść o najeździe ściągnęło do Strzelna, Doliwa ruszył za Krzyżakami. Nie wątpił, że siły jego będą wzrastały w miarę posuwania się w głąb kraju, różnorodna jednak zbieranina ni liczbą, ni uzbrojeniem nie mogła sama przeciwstawić się zakonnemu wojskom.

W Osikowie zastał już jeno zgliszcza i trupy, nowa łuna na zachodzie zwiastowała, że Krzyżacy palą Kwieciszewo, bezbronne, niedawno przez arcybiskupa Janisława lokowane miasteczko. Doliwa ze swym oddziałem podszedł tak blisko, że dostrzec mógł płomienie pożaru, ale odgłosy gwałtów i rzezi umilkły już i miasteczko płonęło w ciszy jak olbrzymie, opuszczone ognisko. Paru zrozpaczonych zbiegów dołączyło się znowu do oddziału. Doliwa nakazał im prowadzić do brodu na Małej Noteci, za którą leżała już Wielka Polska, w odległości zaś niespełna mili za rzeką ciągnęło się z południa na północ pasmo połączonych bagnistymi strugami jezior Szydłowskiego, Mogilnieńskiego i Wiecanowskiego. Była to przez przyrodę stworzona linia obrony kraju.

Doliwa rozpytał miejscowych o położenie. Nie było wątpliwości, że jeśli Krzyżakom zależy na pośpiechu, obejść muszą przeszkodę, nawet bez zbrojnego oporu trudną do przebycia dla większych wojsk. Noc już była późna, ludzie pomęczeni, zatrzymał więc pochód, by pożywić się i spocząć, nie paląc ognisk. O świcie zamierzał ruszyć w ślad za wrogiem. Niepewny poblask na południu zdał się wskazywać miejsce krzyżackiego obozu.

Przejście na Pyzdry wiodło ćwierć mili szerokim przesmykiem między jeziorami Szydłowskim a Kamienieckim; tu znowu nieznacznych nawet sił starczyłoby jeśli nie do zatrzymania, to przynajmniej do zahamowania niszczącego pochodu i wykorzystania zwłoki na przygotowanie obrony.

O wczesnym świcie znowu dołączyło się do oddziału Doliwy kilku okolicznych rycerzy i trochę grodowych z Mogilna i ruszyli w trop za Krzyżakami. Doliwa z kilkoma ludźmi, znającymi okolicę, wysforował się naprzód, pewny niemal, że wkrótce usłyszy walkę.

Ale nic nie mąciło ciszy, minęli parę opustoszałych jak po przejściu zarazy osad, których mieszkańcy zbiegli widocznie w porę; nigdzie innych śladów prócz krzyżackich.

Doliwę ogarniało zniechęcenie, ale miejscowi rycerze przypuszczali, że zapewne siły ściągnięto w głąb kraju, a przesmyk między jeziorami Powidzkim i Niedzięglem, przez który Krzyżacy muszą przechodzić, sposobniejszy do bitwy dla pieszych wojsk, bo pagórkowaty i zalesiony, jazda krzyżacka nie może tam walczyć zwarcie ni wykorzystać ciężaru i pędu.

Doliwa zebrał ile było konnego rycerstwa i zleciwszy pieszym nadażać co sił, pognał

za Krzyżakami. Na przesmyku podszedł tak blisko, że widział tylne ich straże. Gdy zniknęły w lesie, stanął, by doczekać nadejścia pieszych i w razie rozpoczęcia bitwy uderzyć na tyły wroga. Niespodziane uderzenie nieznanymi sił mogło wywołać popłoch i rozstrzygnąć walkę.

Darmo jednak Doliwa nasłuchiwał. Gdy dociągnęła piechota, ruszył ostrożnie naprzód, by samemu nie wpaść w zasadzkę. Jechał w przedniej straży, czujny i napięty, ale w lesie spokój panował. Nie skrzeczały nawet zdraczkiny sójki, dziecięta pilnie oddawały się swemu zajęciu. Krzyżacy dawno już musieli tędy przejść.

Tak czy inaczej należało wojsku dać spocząć i pożywić się po niespanej nocy. Doliwa wysłał przeto podjazd, a z resztą stanął obozem. Cienie wydłużały się już i światło stało się złote, gdy podjazd wrócił. Dotarł do Powidza, gdzie przesmyk rozszerzał się. Osadę zastał

opustoszałą, Krzyżacy bez przeszkód pociągnęli na południe.

Doliwa nie wiedział, co o tym sądzić. Nikt widocznie nie zatroszczył się o przygotowanie oporu, mimo że wieść o najeździe rozchodziła się widocznie, bo coraz częściej zasilaly oddziały gromadki zbiegów, poczty rycerskie i chłopcy z wsi okolicznych. Doliwa ruszył przeto dalej i do zapadnięcia ciemności uszedłszy blisko dwie mile, znowu ujrzał łunę.

Płonęła osada Młodojewe wraz z kościołem. Nim do niej dotarł, zbiegowie donieśli, że Krzyżacy odeszli już na Słupię. Zbiegów było coraz więcej, ale zrozpaczeni, przeważnie bezbronni, wprowadzali jeno zamęt, przeklinając dowódców, a zwłaszcza Wincentego z Szamotuł, gdyż wielu nie wiedziało nawet, że przestał być starostą. Doliwa zatrzymał przeto pochód i zwołał rycerstwo na naradę, by jakiś ład wprowadzić we wzrastającym liczbą, lecz rozprzęgniętym oddziale.

Narada również rozpoczęła się od przekleństw i zarzutów, nawet ci, którzy wiedzieli o zaszłej zmianie, wprost pomawiali byłego starostę o zdradę. Szczęściem podczas narady, na czele silnego hufca ciężkiej jazdy, zjawił się miecznik poznański, Jarosław Grzymała z Iwna, z bratankiem Mikołajem z Błażejowa. Ich również do Młodojewa ściągnęła łuna. Doliwa odetchnął, ktoś wreszcie zdejmie z niego odpowiedzialność i powagą urzędu zaprowadzi ład.

Jarosław z miejsca uciął zarzuty i wyrzekania:

- Nie pora dociekać, kto winien, gdy królewic w Pyzdrach bawi, może nawet nie wiedząc, co nadchodzi. Choćbyśmy gardła dać mieli, zapobiec trzeba, by go psubraty nie dostali.

- Skąd by o nim wiedzieli, gdyby nie zdrada? - rzucił ktoś, ale Grzymała odparł ostro:

- Zdrajcy ni osłaniać nie będę, ni sądzić. Ninie na koń, kto go ma, a wy - zwrócił się do jednego ze starszych rycerzy - ostaniecie z pieszymi do świtu. Wybrać co zdatnego do walki, setników i dziesiętników ustanowić i w ślad za nami na Pyzdry.

Wszyscy wiedzieli, że Grzymalicy z dawna nie pijali z Nałęczami z jednej studni, nikt przeto głosu nie podniósł, i ruszyli do koni. Oddział liczył już do tysiąca jazdy, w tym połowa pancernejszej. Nic to jednak wobec wielokrotnej przewagi krzyżackiej, ale wyboru nie było i Jarosław parł, o ile tylko pozwalały ciemności, by dognać Krzyżaków nocą i zniemacka na nie przygotowanych uderzyć.

Jeno ruszyli, niebo na południowym zachodzie znowu zabarwiło się łuną. Płonęła z kolei Słupia, ale gdy Jarosław, nie oglądając się nawet, kto za nim nadąża, dotarł do miasteczka, Krzyżaków już nie było. Pośpiech, z jakim szli, zdradzał, że znają miejsce pobytu królewicza i uprzedzić chcą wieść o swym pochodzie, dlatego nie rozpuszczają zwyczajem swym zagonów dla niszczenia kraju i rabunku.

Mimo to Jarosław zmuszony był zatrzymać pochód, aż dociągnie cały oddział, a zwłaszcza hufiec pancerny Doliwy, który od bitwy pod Inowrocławiem niemal bez wypoczynku był w drodze; ludzie



przemęczeni, konie zmarnowane, do Pyzdr już jeno trzy mile, ale przed świtem nijak dognać Krzyżaków. Miasto jednak jest obwarowane, na grodzie silna załoga, jeśli nie da się zaskoczyć, może się bronić, a przy pomocy z zewnątrz doczekać odsieczy. Niemniej należało choć próbować ostrzec o nadciąganiu wroga i kasztelan, wybrawszy ludzi znających okolicę, w nadziei, że o ćmie zdołają obejść krzyżackie wojska i na czas dotrzeć do miasta, pchnął ich podjazdem, a reszcie pozwolił spocząć.

Wieść o najeździe istotnie nie dotarła jeszcze do Pyzdr i obudzony przed świtem burgrabia Krzywosąd Niesobia zrazu uwierzyć nie chciał, że każdej chwili spodziewać się może Krzyżaków. Niemniej budzić kazał królewicza i konie siodłać, a sam spiesznie pobiegł

do łódzkiej bramy. Wieść rozeszła się już widocznie, bo na wałach zbierał się tłum, coś sobie niespokojnie pokazując ku wschodowi. Krzywosąd wspiał się na wyżkę i wątpliwości pierzchły. Na tle świetlistej smugi pogodnego nieba w trzech miejscach wznosiły się czarne dymy i załśniły nagle w pierwszych promieniach wschodzącego słońca. Płonęły arcybiskupie wsie Kąty, Ciężen i Szamarzewo. Krzyżacy widocznie płacili Janisławowi za wyrok inowrocławski, wskazywało to jednak zarazem, że podzielili się na trzy oddziały, zapewne, by opasać miasto ze wszystkich stron na raz. Do płonących wsi niewiele ponad milę, jazda skoro patrzeć ukazać się może pod miastem. Krzywosąd jak młodzik sam pognął do grodu, bez zapowiedzi wpadł do królewicza, który przy pomocy szatnego przybierał się właśnie, i łapiąc oddech, krzyknął:

- Uchodźcie! Krzyżaki pod bramami!

Niewiele przesadził, bo gdy Kazimierz z kilkoma ludźmi wyjeżdżał przez środką bramę koło wójtowskiego dworca, na łódzkim gościńcu ukazał się idący pędem hufiec lekkiej jazdy, wśród której widniało kilka białych płaszczy. Dopadłszy na dwa strzelenia z łuku, rozdzielili się, jedni pognali ku mostowi na Warcie, za którą na łąkach widać było przemykającą się krzyżacką jazdę, drudzy ku północy, do wrzesińskiej bramy.

Krzywosąd nie miał głowy, by pomyśleć o obronie. Stał, póki szczupły orszak Kazimierza nie zniknął mu z oczu. Otarł pot z czoła i odetchnął. Najgorszego uniknął, ale nie najlepsze i to, co go jeszcze czekało. Wojska krzyżackie opasywały już miasto, po obu stronach stawu ukazały się gromadki jazdy pruskiej, nie wymknie się więcej nikt. Krzywosąd skierował się do wójtowskiego dworca, ale wójt już pobiegł na ratusz.

W rynku niespokojny i poruszony tłum czekał widocznie na wynik narady miejskich władz, które zebrały się w ratuszu. Słysząc było zawodzenia niewiast i płacz dzieci, mężowie stali w ponurym milczeniu. Krzywosąd miarkował, że nie myślą o obronie. Sam może się bronić w grodzie, ale znać musi zamiary mieszczan. Odtrącając stojących w drodze, wszedł

do sali sądowej, gdzie zebrana Rada i Ława już widocznie powzięła postanowienie, bo gdy oświadczył, że w grodzie bronić się zamierza, zakrzyczano go, że miasto chce wydać na łup.

Choć niechętnie, zgodził się, by do Krzyżaków wysłać poselstwo z prośbą, by w zamian za okup pozostawili miasto w spokoju.

Należało spieszyć, nim Krzyżacy, którzy tymczasem rozłożyli się obozem dokoła miasta, przystąpią do uderzenia. Gdy Krzywosąd wraz z dwoma ławnikami, braćmi Maciejem i Piotrem Srodarami, wyszedł przez furkę w łądzkiej bramie, bieleło już przed nią miasto namiotów, a chorągiew z czarnym krzyżem, zatknięta nad największym z nich przy gościńcu, wskazywała miejsce pobytu dowódcy.

W namiocie marszałka zgromadzona była starszyzna, przy porannym posiłku omawiając dalsze poczynania. Gdy oznajmiono przybycie wysłanników, marszałek kazał im czekać Stali w słońcu, które zaczynało doskwierać. Krzywosąd coraz bardziej niespokojny i gniewny sam na siebie, że zgodził się na układy. Teraz w mieście nikt nawet nie myśli o przygotowaniu obrony. Gdy wreszcie wezwano wysłanników, na ich pozdrowienie żaden z dostojników nawet skinieniem głowy nie odpowiedział, a marszałek przez tłumacza rzucił:

- Będę się z miastem układał, jeśli wydadcie królewica. Krzywosądowi krew uderzyła do głowy i odparł:
- Gdyby królewic był w grodzie, ja bym się nie układał.
- Tedy sami obaczym. Wiemy, że był.
- Obaczcie. Był i uszedł.
- Dokąd i którądy?
- Do Poznania. Mógł średzkim gościńcem, mógł wrzesińskim. Nie wiem. Miasto chce okup zapłacić.

W tej chwili przed namiotem zatętniły kopyta, brat służebny dopadł do marszałka i powiedział coś po niemiecku. Ten zwrócił się do wysłańców:

- Poczekać przed namiotem. Odpowiedź otrzymacie wkrótce.

Dostojnicy krzyżacy wyszli po chwili i odjechali ku miastu, o wysłańców nie troszczył się nikt, prócz strażnika. Krzywosąd, znużony i przygnębiony, przysiadł na pieńku.

Najchętniej bez odpowiedzi wróciłby do grodu, ale wiedział, że straż go nie puści. Musiał czekać.

Nie czekał zresztą już długo. Jeden z towarzyszy trącił siedzącego w zamyśleniu.

- Patrzcie!

Coś niepokojącego było w jego głosie, tak że Krzywosąd poderwał się i spojrział. Nad miastem zaczynał się dźwigać kłęb czarnego dymu. Burgrabia ruszył ku niemu, ale knecht zastąpił mu drogę, mówiąc łamaną polszczyzną:

- Kazali czekać, to czekać.

Krzywosąd rozejrzał się przekrwionymi oczyma i ujrzawszy przechodzącego jakiegoś dostojnika, z hamowanym wzburzeniem zwrócił się do niego:

- W poselstwie przyszliśmy. Nie Iza siłą nas trzymać.

- Co on gada? - zapytał brat knechta, a gdy ten wyjaśnił, Krzyżak roześmiał się.

- Jeszcze by oszczercy gadali, że Zakon posłów nie szanuje, a tam - wskazał kciukiem na miasto - mogłoby się wam coś przygodzić. Ostaniecie.

Czekali tedy i patrzyli, jak pożar rozszerza się. Płonął już gród, klasztor Braci Mniejszych, ratusz, potem dymy zasłoniły całe miasto. Za jego murami kościół Świętego Krzyża również po chwili objęły płomienie, z kolei młyn łudzkiego klasztoru, przy moście nad Wartą.

Uwagę wysłanników od straszego widoku odwróciła wrzawa idąca od lasu, z północy dochodzącego o parę stająg do miasta, oraz poruszenie w obozie krzyżackim, a zaraz potem wrzaski i szcęk broni. Obalając po drodze namioty, pędem szedł po równinie silny hufiec jazdy i zmierzał ku północnej bramie. Krzyżacy jednak, choć zaskoczeni, dawali widno silny opór, bo pęd wolniał, a coraz nowe hufce krzyżackie stawały w sprawie i gnały do walki. Przez chwilę bitwa kłębiła się pod bramą, potem przetaczać się ją z powrotem ku lasowi. Niedługo trwało i umilkły ostatnie jej odgłosy, na równinie pozostały tylko trupy i rozbiegane konie. Po chwili wysłańcy ujrzeli, jak prowadzono jeńców. Na rozkaz jakiegoś dostojnika obdarto ich niemal do naga, po czym jeden po drugim szedł pod miecz. Umierali w milczeniu, tylko jakiś kilkunastoletni pacholik płakał głośno. Dostojnik widocznie miał

miłosierdzie, bo kopnął go i kazał puścić. Wśród śmiechów gapiących się na widowisko chłopiec pomykał jak zajac - ku lasowi i zniknął w gęstwinie.

Koło południa dostojnicy wrócili, ale żaden nie spojrział nawet na wysłanników, czekających w słonecznej spiekocie, głodnych i spragnionych. Zwijano namioty, a po posiłku rozległy się głosy rozkazów i wojska krzyżackie jęły gotować się do odejścia. Pierwszy ruszył

trzytysięczny hufiec jazdy i pognał na zachód, za nim reszta, równina opustoszała i wysłańcy ciężkim krokiem powlekli się tam, gdzie rano jeszcze stało ludne i bogate miasto, a teraz sterty dopalających się głowni i kupy szarego popiołu. Zewsząd rozlegał się płacz nowych wdów i sierot, zgwałconych niewiast, przekleństwa i wyrzekania mężów. W ocalałym jakby cudem kościele parafialnym, obdartym jednak ze wszystkiego, nawet z relikwii w ołtarzu i z cieszącego się wielką czcią obrazu Najświętszej Panny, pleban Jan opatrywał lżej rannych i błogosławił w ostatnią drogę pobitych, ciężiej rannych odsyłając do ocalałego również szpitala za miastem.

Słońce zaszło tymczasem, ale zorze długo jakoś stały na niebie, po zapadnięciu ciemności okazało się, że to nowe łuny. Płonęły wsie kościelne, Winna Góra i Murzynowo, bracia teutońskiego Zakonu nieśli dalej żagiew i miecz.

Próba odsieczy skończyła się porażką, Jarosław jednak z ulgą dowiedział się od zbiegów z miasta, że królewicz z Pyzdr uszedł. Wysłany przodem trzytysięczny oddział

krzyżacki zapewne miał go ścigać, w ślad za nim ciągnęły na zachód główne siły. Choć osłabiony stratami w zabitych, rannych, pojmanyh oraz zbiegłych, których po bitwie nie mógł się doliczyć, Jarosław ruszył za Krzyżakami, spodziewając się, że siły jego znowu zostaną wzmocnione przez napływających zbiegów oraz okoliczne rycerstwo. Widoczne było, że mimo szybkości krzyżackiego pochodu wieść o nim wyprzedzała go jednak i można było żywić nadzieję, że wreszcie zgotowany zostanie opór. Osady przeważnie opustoszały, ze Środy cała ludność zbiegła wraz z mieniem do Poznania, pozostał jeno wójt i dwie stare baby.

W Środzie pochód krzyżacki skierował się wprost na północ, widocznie marszałek stracił nadzieję, że dopadnie królewicza Kazimierza, a na obleganie silnego grodu w Poznaniu nie mógł sobie pozwolić. Jak się okazało, gromady zbiegłego zewsząd chłopstwa pod wodzą okolicznych rycerzy połączyły przekopami jeziora od Zamiemyskiego po Kurnickie i umocniły prastary wał, ciągnący się wzdłuż nich od Głuszyna po Kępę i Zwolne.

Napotkawszy nieprzebytą przeszkodę i silny opór, trzytysięczny zagon krzyżacki skręcił na Bnin, pod Winną wpadł w zasadzkę, a nadejście w czasie bitwy hufca pancерnej jazdy z Kalisza dopełniło jego klęski, tak że noga niemal nie uszła, i to zapewne skłoniło marszałka do odwrotu.

Wieść o tym podniosła na duchu przygnębionych i zniechęconych ludzi Jarosława. On sam również nabrał otuchy i ciągnął ostrożnie za Krzyżakami, wysyłając podjazdy w nadziei, że i jemu uda się dopaść wroga w czasie bitwy i pomścić klęskę pod Pyzdrami, a tymczasem zasilą go znowu jakieś oddziały, które ściągnąć musiała zewsząd powszechna już wieść o najeździe. Wszędzie chwymano za broń, brakło jeno kierownictwa.

Jakoż na pierwszym noclegu, za Środą, przed świtem obudziła Jarosława wieść, że nadciąga silny oddział pancерnej jazdy. Postawił obóz na nogi i sprawiwszy go do pochodu, czekał na nadejście zapowiedzianych, by nie tracąc czasu, ruszyć za Krzyżakami.

Słońce wschodziło właśnie, gdy w jego promieniach na drodze od Wrześni zagrały iskry na grotach i pancierzach. Jarosław ruszył naprzeciw, ale gdy się zbliżył, zdarł konia i złym wzrokiem patrzył na nadchodzących. Na czele ich, pod proporcem z Nałęczką, jechał

okazały mąż, który, ujrzawszy stojący w pochodowym szyku oddział, z kilku towarzyszami puścił się ku niemu. Jarosław poznał wojewodę Wincentego z Szamotuł i patrzył chmurnie na zbliżającego się.

Wojewoda poznał go również. Nie lubili się nigdy, ale w obecnym położeniu wołał

udać, że nie dostrzega odpychającego przyjęcia, i odezwał się:

- Krzyżacy idą na Kostrzyn. Ruszamy za nimi.

- Moja sprawa, co pocznę. Wy czyńcie, co wasza wola - odparł oschle Jarosław.

Wojewodzie gniewnie błysnęły oczy, ale pohamował się i powiedział wyniośle:

- Ja tu rozkazuję, jako godnością najwyższy, a wy służyć będziecie lubo odpowiecie przed królem. Wiadomo wam, czym grozi nieposłuszeństwo czasu wojny.

- Przed królem się sprawię, przed wami - nie. Wiadomo mi też, czym czasu wojny grozi zdrada. Obaczmy, czy się sprawicie, dlaczego królewic ni wieści, ni pomocy od was nie otrzymał.

Wojewoda uchwycił za rękojeść miecza, ale miecz już błysnął w ręku Jarosława, a pomruki, jakie słycać było w jego oddziale, nabrzmiwały jak burza. Jeden cios, a rozpęta się walka. Mimo że szalony gniew ćmił wzrok wojewody, zdawał sobie sprawę, że siły nierówne, a gdyby nawet zwyciężył, wrogowie nowy oręż ukują z tego przeciw niemu. Przez zaciśnięte zęby syknął jeno:

- Ninie nie pora, ale odpowiecie mi za oszczerstwo!

Zdarł konia i wśród ścigających go przekleństw i wyzwisk zawrócił. Wzburzony był

do dna, usiłował jednak chłodno przemyśleć, co mu teraz uczynić wypada. Ale pycha, boleśnie ugodzona, nie pozwalała mu przyznać przed sobą, że sam stworzył pozory zdrady, niczego nie podejmując dla obrony kraju ani nawet dla obrony królewicza, mimo że wiedział o grożącym mu niebezpieczeństwie. Nie on zdradził miejsce jego pobytu, nie jego rzeczą było zadbać o ściąganie sił, z niepopelnionych win nie będzie się sprawiał przed nikim, nawet przed królem. Sam Łokietek zawinił, niedoświadczonego młokosa czyniąc namiestnikiem, który jeno plecy potrafił wrogowi pokazać. Wojewoda nie myślał o tym, że mimo iż biegły wojownik, on również nie spieszył do walki. Dopiero gdy nieprzyjaciel, dokonawszy zniszczeń, gotował się do odwrotu, chciał zebrać przypadkowo napotkane siły, by się potrzebnym okazać. Spóźnił się. To, co posłyszał od Jarosława, myśli wielu, nie omieszkają przed królem oczerniać wojewody.

Wincenty zachnął się: prócz wrogów ma także stronników, a przede wszystkim oparcie w Marchii, z którą graniczą ziemie jego rodu i własne. Nie jest bezbronny, nie pozwoli się sądzić, a tym bardziej znieważać.

Powzięte w gniewie postanowienie natychmiast wprowadził w czyn. Nie myślał już o pościgu za Krzyżakami. Za dwie niedziele margraf zjazd zwołał do Nowego Landsbergu, tam się wojewoda zabezpieczy przed knowaniami wrogów i niełaską królewską. Przeszedł przez płonący Kostrzyn, z dała obojętnie patrzył na łunę nad Pobiedziskami. Omijając od północy Poznań, ciągnął wprost do swych Szamotuł, by przygotować się na zjazd w Landsbergu.

Wieść o czynie Hansa, mimo że Krzych podejrzewał, co ten zamierza uczynić, wstrząsnęła nim. Wiedział, że Hans z całą świadomością cisnął swe życie pod nogi Zakonowi, który mu je złamał. Kłamstwem było, iż czyn popełnił w szaleństwie. Krzych wiedział też, że Zakon przed niczym nie cofnie się, by wobec świata osłonić swą zgniliznę.

Gdyby Hans ujawnił, skąd wziął pieniądze na nóż i kto mu dostarczył koni, byłby to dostateczny powód, by na Krzycha rzucić podejrzenie, że nasłany został przez Łokietka, a Hansa przedstawić jako narzędzie. Krzych postanowił, że żywym wziąć się nie pozwoli. Żył

w napięciu, czujny nawet w nocy.

Z czasem napięcie zelzało, Hans nic nie zeznał, sprawę odłożono, Krzych uprzytomnił

sobie jednak, że dłużej w Zakonie pozostać nie może. Myśl o ucieczce nachodziła go już nieraz, gdy jednak warunki dawały mu swobodę, przestawał o tym myśleć. Nie mógł powziąć postanowienia, bo tkwiła w nim tęsknota, tłumiona wraz z nadzieją, że jakiś cud pozwoli mu wrócić do swoich. Uciec zaś mógł jedynie na Litwę i tylko z wyprawy. Teraz wyprawę odłożono, droga z Bytowa nad Niemen była daleka, jesienną czy zimową porą nie mógłby unikać ludzkich osiedli, a nikomu nie wolno było przyjąć pod dach obcego bez wiedzy zakonnego wójta, pfliegera czy komtura. Ucieczka nie mogła się udać.

Sprawa Hansa jak pchnięcie wytrąciła Krzycha ze stanu bezwolnej martwoty; musi porzucić służbę w Zakonie. Tak jak Hans postąpić nie potrafi, ale gdy rozmyślać jął nad tym, rozjarzyła się w nim iskierka nadziei. Tłumił ją: wbrew swej naturze musi cierpliwie się, przytając i chytryć. Ale jeśli jeno zdoła, może oddać królowi przysługę, a zaszkodzić Zakonowi. Czuł, że przypadkiem natrafił na ślad jakichś knowań Nałęczów przeciw Łokietkowi. Siad był słaby, ale zdał się niewątpliwy, Krzych głowił się, jak go nie stracić. By nie zwracać uwagi, starał się zachować pozory obojętności, nie unikał jednak ludzi, bo tylko przez nich mógł pomiarkować, co się dzieje. Bezimiennie i z największymi ostrożnościami przesłana królowi przestroga nie mogła utorować Krzychowi drogi do powrotu, ważniejszą przysługę trzeba by oddać.

Od wyboru nowego wielkiego mistrza nie było wątpliwości, że gotuje się wyprawa przeciw Polsce, i to w większych niż dotychczas rozmiarach. Luter von Braunschweig postawił sobie za pierwsze zadanie skończyć na zawsze przewlekły, uciążliwy i niebezpieczny spór z Łokietkiem. Z wiosną Krzych otrzymał rozkaz przysposobienia znacznej ilości koni; z Marchii, ze Śląska, z Niemiec, a nawet z dalekiej Anglii werbował

Zakon najemników i spraszał rycerskich gości, z północnych komturii ściągano do Chełmna i Torunia zapasy i sprzęt, o jawnie czynionych przygotowaniach Łokietek musiał wiedzieć.

Zapewne również pochłonięty nadciągającą wojną, a ubezpieczony rozejmem od strony Marchii, nie mógł król tej sprawie poświęcać uwagi. Krzych przeczuwał, że w tym oddać może królowi znaczne przysługi, a zarazem dokonać pomsty nad rodem Nałęczów za krzywdę ojca. Podejrzenia, obudzone przez grafa von Lindów, umacniały się. Korzystając z pozorów, jaki dało mu jego zlecenie, Krzych odwiedził pana Arnolda von Beeren, a pomiarkowawszy, że ten utrzymuje stosunki zarówno z Marchią, jak Zakonem, kilkakrotnie zjeżdżał do niego i istotnie po wyborach wielkiego mistrza zastał tam grafa Betkina von Ost, który spieszył do Malborka dla złożenia hołdu wielkiemu mistrzowi z posiadanego na Pomorzu lenna. Graf był dziewiarzem Wincentego z Szamotuł, większość jego ziem leżała między Drawą a Chudą, w kraju oderwanym od Polski, i już z tego powodu nie mógł sprzyjać Łokietkowi. W rozmowie z Arnoldem graf nie czynił tajemnicy, że zamierza starać się o poparcie Zakonu dla partii starobrandenburskiej w rozgrywce z miśnieńską o władzę. Jasne było, że Zakon poparcia nie udzieli jedynie dla dogodzenia Betkinowi. Rozłam i nieład w Marchii nie sprzyjały wprawdzie odwetowi za niszczące najazdy Łokietka, wojna Zakonu z Polską stwarzała jednak sposobność, którą widocznie zamierzano wyzyskać, graf napomknął

bowiem, że cesarz nie zatwierdził rozejmu, powód do jego zerwania był przeto pod ręką.

Krzych nie próbował więcej wyciągnąć z grafa, by nie obudzić podejrzeń, zwłaszcza że Betkin, z zaciekawieniem przyglądający się ogromnej jego postaci, napomknął w rozmowie, że brat jego

Bertold w czasie pierwszego najazdu Łokietka na Marchię pojmany został przez jakiegoś rycerza, który z wyglądu przypominał słynnego Mściwniwa Nałęczca.

Czy napomknienie było przypadkowe, czy też Betkin kojarzył w jakiś sposób tę sprawę z osobą Krzycha, trudno było dopytywać i Krzych prędko odwrócił rozmowę, by pan von Beeren nie pomiarkował, że Krzych ongiś służył Łokietkowi, i nie powziął nieufności.

Nieprędko jednak mógł go znów odwiedzić, z nastaniem bowiem suchej pory wszczęły się niepokoje i walki w Borach Tucholskich. Tym razem rozpoczął Zakon, większymi niż zazwyczaj siłami, zapewne chodziło nie tylko o poskromienie rozbojów, ale o ściągnięcie uwagi i sił Łokietka na północną granicę. Obeznanym z lasem i zbójceckimi podstępami, Krzych umiał unikać niebezpieczeństw tej walki. Nie miał zamiaru narażać się teraz, gdy - choć słaba jeszcze - zaczynała mu przyświecać nadzieja odmiany.

Walki ustały jednak z początkiem sierpnia i Krzych wrócił do Bytowa, gdzie zastał

rozkaz dostarczenia dużego tabunu koni do Malborka. Tam mógł również zasięgnąć potrzebnych wieści, zwłaszcza że ruch panował niezwykle, nawet w gospodach i piwiarniach trudno było o miejsce, wiele pocztów najemnych i rycerskich obozowało pod namiotami na łąkach nad Nogatem, a wciąż jeszcze nadciągali nowi goście i poselstwa.

Szczególnie uroczyście witano grafa Wilhelma de Machaut, który z ramienia Jana luksemburskiego przyjechał potwierdzić zawarte przeciw Polsce przymierze. Mówiono o tym wszędzie, król Jan usprawiedliwiał się, że nie przyjechał własną osobą, ponieważ na dzień trzynasty sierpnia umówił się na zjazd z cesarzem Ludwikiem na wyspie Dunaju pod Ratzboną, celem uroczystego przypieczętowania zawartej ugody. Przyniósł natomiast, że w ciągu pięciu niedziel stawi się z wojskiem pod Kaliszem.

Z układu tego nie czyniono tajemnicy, zdać się mogło, że Zakon chce, by wieść o nim doszła do Łokietka, zmuszając go do podziału i tak szczupłych sił. Lekceważono je zresztą, uczestnicy lipcowego rejsu z prześmiewkami opowiadali, jak bezkarnie i niemal bez oporu niszczyli spore połacie nieprzyjacielskiego kraju, od Kiecka i Gniezna, gdzie oszczędzili tylko katedrę, nie chcąc zadrażniać stosunku z Kurią, po Żnin i Łekno. Potem, niemal nienagabywani, przez Wójcin i Szczepanowo z jeńcami i łupem wrócili do Torunia. Wielki mistrz nie zamierzał już zawierać z Łokietkiem jakiegokolwiek ugody. Celem uderzenia było zajęcie Kujaw przez Zakon, a Wielkiej Polski przez Luksemburczyka. Reszta trudem całego życia odbudowanego przez Łokietka państwa polskiego miała być spustoszona, by stała się tworem bez znaczenia, które prędzej czy później wpadnie w ręce silniejszego sąsiada.

Wieści te, zamiast przygnębić Krzycha, rozbudziły w nim dawną zjadłość, ale teraz zdołał ją okiełzać. Nie miało celu starać się o przekazanie królowi wieści, które i tak musiały go dojść. Łokietek mógł natomiast nie wiedzieć o knowaniach z Marchią możnego rodu Nałęczów, które w czasie nadciągającej zawieruchy groziły wydaniem Wielkiej Polski na łup.

I bez tego położenie Łokietka było groźne, w czasie lipcowego najazdu król słabował w Krakowie, Kazimierz nie umiał zatroszczyć się nawet o własne bezpieczeństwo, wojewoda Wincenty pozostał

bierny, a pozbawione przywódcy rycerstwo, po klęsce pod Pызdrami, nie ważyło się więcej stawić czoła krzyżackiej przewadze. Jedyne poważny cios zadali Krzyżakom chłopci, którzy wiedzieli, że dla nich nie ma litości. Krzych wspominał Radochę i jego ludzi, którzy zawsze jak dzikie zwierzęta walczyli do ostatniego tchu, bo dla nich niewola równała się wymyślnej śmierci. Jeśli marzył mu się powrót, to do nich, by Kundzia czekała, w to nie wierzył. Gdyby dał się ponieść swej popędliwej naturze, zbiegłby i zebrawszy kupę straceńców, rozpoczął walkę z Zakonem. Zdawał sobie jednak sprawę, że tym nic nie wskóra. Zachowywał spokój nawet wysłuchując, jak uczestnicy lipcowej wyprawy z drwinami opowiadali o popełnionych zbrodniach i okrucieństwie. Zbierał te wieści i przechowywał w pamięci jak karmę dla nienawiści, którą taił z wysiłkiem, by nie wybuchnęła przed czasem. Czekał z wzrastającym napięciem.

Przygotowania wojenne miały się ku końcowi, w przystani na Nogacie ładowano już na krypy i łodzie sprzęt oblężniczy, widocznie, by go podciągnąć w górę Wisły, gdy Krzych otrzymał rozkaz ściągnięcia z północnych komturii i odprowadzenia do Płocka większej ilości koni. Zalecono mu pośpiech, ale spieszył i sam, by nie prześlepić sposobności wykonania swych zamierzeń. Niemniej jesienne słońce zaczynało już złocić pierwsze liście na drzewach, gdy ze stadem koni i przydzielonym oddziałem lekkiej jazdy pruskiej stanął w Sławnie i bez zwłoki ruszył na południe. Przybywszy do Bytowa, setnikowi kazał ciągnąć dalej; luźnym stadem prowadzone konie nie mogły iść zbyt szybko, asposobność trafiała się skoczyć do pana von Beeren, który musiał już wrócić z Landsbergu.

Wrócił istotnie i sam jął mówić o sprawach uładowanych na zjeździe. Obecni tam Wincenty z Szamotuł wraz z braćmi, Tomisławem i Dobrogostem, zobowiązali się względem margrafa pozostać na uboczu w razie wybuchu wojny z Polską, w zamian margraf przyrzekał

wziąć ich w obronę, gdyby ze strony Łokietka spotkała ich samych lub ich przyjaciół obraza lub krzywda. W takim wypadku Nałęczce przejść mieli na stronę margrafa i zobowiązali się nie zawierać bez jego zezwolenia żadnej ugody z królem. Krzych wiedział, że zachowania się ich w czasie lipcowego najazdu król płazem puścić nie może, układ - rzekomo warunkowy -

oznaczał przejście Nałęczów na stronę wroga. Nie było wątpliwości, że nie wezmą udziału w walce z Zakonem, choćby się z nim oddzielnie nie porozumieli.

Tłumacząc się pośpiechem, Krzych począł się żegnać, by nie zdradzić swego wzburzenia i podniecenia. Pan Arnold rzekł, uśmiechając się:

- Nie zatrzymuję, bo rozumiem, że pilno wam ręki przyłożyć, by skończyć z krakowskim królikiem. Ważne to dla was, że Nałęczce nie będą wam przeszkadzać, tedy oznajmijcie to, komu trzeba.

Gnając za swym oddziałem, Krzych rozmyślał o groźnym położeniu Polski: do zewnętrznych niebezpieczeństw dołączyła się zdrada. Jak przeciw niej zabezpieczyć się może Łokietek, tego Krzych nie wiedział, ale jednego był pewien: pomsta nad znieawidzonym rodem będzie zarazem zasługą wobec króla.

Dopędziwszy swój oddział, nie zważając już na konie, naglił pochód i szóstego dnia podróży dotarł do Torunia. U zamkowego wójta czekał na niego rozkaz, by - dla pośpiechu zabrawszy po jednym



luźnym na jeźdźca - nadażał za wojskiem, które, przeprawiwszy się pod Płockiem, ciągnąć ma przez Koło do Kalisza. Wójt nie mógł określić, gdzie obecnie znajdują się siły zakonne, ale sądził, że nie będzie trudno trafić na ich ślad po dymach we dnie, a łunach w nocy.

Otrzymał rozkaz stanowiący dla zamierzeń Krzycha okoliczność pomyślną. W rękę miał oddziałek nawykłych do ślepego posłuszeństwa Prusaków i - co ważniejsze - swobodę ruchów. Wojsk zakonnych będzie długo szukać i nie zmuszony nawet dla pozorów uczestniczyć w walkach, może znaleźć sposobność wykonania własnych zamiarów. Nadzieja ich spełnienia wzrosła, a jednego był pewien: tak czy inaczej rozstanie się z Zakonem.

W Toruniu nie popasał i mimo że konie były zdrożone, a dzień miał się ku schyłkowi, postawił swój oddziałek na nogi i ruszył na południe, jak strzelił. Ciągące się zwanie na przestrzeni dwóch mil bory znał jak własną dłoń. Na południowym krańcu borów leżał ongiś jego gródek.

Nie był tutaj od dziewięciu lat z górą, ale trafił wprost na pamiętne miejsce, choć trudno by je poznać nawet przy dniu. Wiatry rozwiały zgliszcza, pogorzeliśko zarosło zielskiem i pokrzywą, wody rozmyły wały nad Tonczyną, zamuliły fosy, obaliły i uniosły częstokół. Jeny spłaszczone brzegi rzeczki u brodu wskazywały, gdzie stała północna brama, a srebrząca się w księżycowym świetle korona samotnej lipy pozwalała wymiarkować, gdzie ongiś wznosiły się zabudowania.

Krzych kazał swym ludziom rozłożyć się obozem nieco opodal, napoić konie i spocząć. Sam, choć również zdrożony, nie myślał o spoczynku. Zbyt wiele wspomnień ożywało w tym miejscu. Tu gdzieś spoczywa Terka, która wychowała go dla pomsty za krzywdę ojca. Miast niej doczekała, że poległ z ręki syna, tu doszedł z rany i złożył swoje kości. Pod tym drzewem Krzych, zaskoczony przez Krzyżaków, bronił się, póki cios zadany w tył głowy nie pozbawił go zmysłów. Tu się zaczęła jego droga do Zakonu i tu się musi skończyć. Dłużej z niego los drwić nie będzie.

Noc była bezwietrzna, pogodna i ciepła, pochylony księżyc zaczynał się złocić, potem szcerwienił, spłaszczył się i schował za borem. Krzych odszukał mogiłę ojca, znaczącą się jedynie bujniejszą kępą zielsk, i usiadł przy niej w zadumie. Nie czuł już wyrzutów, pokonał

go w równej walce, w której sam mógł polec; rodzic wybaczył mu swoją śmierć. Ale tarczę ze znakiem rodu, który go skrzywdził i odepchnął, po to kazał nosić synowi, by pamiętał o tym. Krzywdziciele dotychczas zachowali korzyści ze swego bezceństwa, teraz rzucają je na szalę wroga, nieprawość, której król wówczas nie pokarał, zwróciła się przeciw niemu. Ale Krzych rozumiał już, że król nie mógł domierzyć sprawiedliwości, tak jak i teraz nie może.

Nie wiedział jeszcze, co sam uczyni, ale żeby żywotem miał przyplącić, nie pozwoli dłużej urągać Bożej i ludzkiej sprawiedliwości.

Krzych siedział długo, aż przemogło znużenie i usnął. Gdy się obudził, gwiazdy już gasły, niebo na wschodzie barwiło się zielenią, rozjarzyło się złotem i pierwszy promień słońca musnął wierzchołek wyniosłej lipy. Krzych wstał, mieczem odrąbał prosty konar, wyciosał z niego krzyż i ustawił go na mogile ojca. Przeżegnał się i skierował do obozowiska, skąd dochodził przyciszony gwar, a siwe dymy zdradzały, że Prusacy gotują posiłek. Dzień wstał świetlisty i myśli Krzycha po raz pierwszy od niepamiętnych czasów stały się jasne.

Wiedział, czego chce i do czego zmierza. Tu zaczęła się droga powrotu; cel jej leży gdzieś jeszcze w dali, wyłaniającej się z porannej mgiełki.

Prusacy, którzy brali udział w lipcowej wyprawie, byli nieco zdziwieni, że Krzych nie wprost na południe skierował pochód, lecz ku zachodowi, jakby zmierzał do Poznania. Nie śmieli jednak pytać dowódcy, który zdał się żałować każdego słowa, w przeciwieństwie do wrzaskliwych rycerzy zakonnych rozkazy wydawał cichym głosem, ale nie zwykł ich powtarzać. Zapuszczanie się z kilkudziesięcioma ludźmi w nieprzyjacielski kraj nie zdało się bezpieczne, ale może rycerz otrzymał rozkaz nawiązania łączności z Janem czeskim, który winien już znajdować się blisko. Szli ostrożnie, bezdrożami, unikając osad i grodów. Trzeci dzień spędzili na postoju w lesie i ruszyli na noc gościńcem wiodącym przez Gniezno do Poznania. Od Strzelna jednak Krzych skręcił znowu na południe, powyżej łądzkiego klasztoru przeprawił się przez Wantę i stanawszy w lesie nad Prosną, o milę od Kalisza, wysłał na poznański gościniec podjazdy, z rozkazem zatrzymania i sprowadzenia napotkanych ludzi.

Czternasty września, na który Krzyżacy umówili tu spotkanie z Luksemburczykiem, już minął, nic jednak nie zdradzało obecności większych wojsk w okolicy. Krzych zakazał

palenia ogni i czynienia hałasu. Czekał na wieści, musiał się upewnić, czy przyszedł za późno, czy za wcześnie.

Nie czekał długo. Słońce zachodziło właśnie, gdy postyszał, że jeden z podjazdów wraca. Gdy wyjechali na polankę, Krzych ujrzał, że prowadzą pięciu konnych, którzy niewątpliwie przybyli dobrowolnie; niewiele liczniejszy podjazd nie mógł ich bowiem pojmać i nie zostawiłby im broni. Krzych rzucił okiem na zawieszoną przy łęku tarczę jadącego na czele męża. Widniał na niej znak Nałęczów. Rycerz, miarkując po płaszczu zakonnym, że stoi przed dowódcą, zwrócił się do Krzycha po niemiecku:

- Każcie mnie odprowadzić do wielkiego marszałka.

- Wam po co do wielkiego marszałka? - zapytał Krzych przez zaciśnięte zęby. Brała w nim górę popędliwość, ale hamował ją, by się czegoś dowiedzieć. Rycerz odparł krótko:

- Poselstwo od wojewody Wincentego z Szamotuł.

- Wojewoda gdzie?

- Ciągnie z wojskiem od Poznania. Chce się spotkać z marszałkiem.

- Czego chce od marszałka?

Rycerz zdał się zaskoczony i odparł oschle:

- Nie moja ni wasza rzecz. Nie każecie mnie zaprowadzić, najdę go sam.

- Nie najdziecie go. Dobądźcie miecza!

Na twarzy Nałęczu zjawił się wyraz zaskoczenia. Nie rozumiał, w czyje ręce popadł, wiedział jeno, że z tym przeciwnikiem sobie nie poradzi, a uciec nie może, bo dokoła stali pruscy wojownicy. Ci z nich, którzy znali język niemiecki, też nie rozumieli, o co sprawa, ale nic nie mieli przeciw obdarciu pojmanych. Po raz pierwszy od wyruszenia kroił im się łup i spoglądali na nich drapieżnie. Krzych powtórzył:

- Dobądźcie miecza!

Nałęcz zrozumiał, że tylko chytrą siłą może się wykręcić z opałów. Siląc się na spokój, powiedział:

- Nie będę walczył, bo to jakoweś nieporozumienie, które się musi wyjaśnić.

Przybyłem jako poseł, ale chcecie we mnie mieć brańca, oto mój miecz.

Dobył go i cisnął pod nogi Krzychowi, który stał nad nim, jakby się namyślał.

Podniósł miecz i ku zdumieniu i przerażeniu Nałęczu rzucił po polsku:

- Zdrajcom od własnego miecza umierać.

Postąpił ku Nałęczowi, który w przerażeniu ręką osłonił głowę, ale żadnej osłony nie stanowiła przed strasliwym ciosem.

Jak na dane hasło Prusacy rzucili się na pozostałych. Tylko jeden zdołał doskoczyć siodła i wyrwać się z kręgu, ale już kilku Prusaków dopadło koni i pognało za nim. Krzych patrzył przez chwilę, jak dzicy wojownicy obdzierali z prześmieciami jeszcze drgające ciała, kłócąc się między sobą. Potem odszedł i usiadłszy na uboczu, zadumał się. Teraz miał

wątpliwości, czy - jak zwykle idąc za popędem - dobrze postąpił. Niewiele zaszkodził

Nałęczom, mniej jeszcze pomógł królowi. Należało pojmanych zatrzymać, przynajmniej póki się nie dowie, gdzie Łokietek z wojskami przebywa. Krzyżacy wyruszyli z Płocka tak późno, że jeśli po drodze napotkali na silniejszy opór, mogli jeszcze nie nadciągnąć pod Kalisz, król z wojskiem zapewne krąży koło nich. Wiadomość powinien przywieźć podjazd wysłany w stronę miasta. Z jeńcami w rękę mógłby się Krzych odważyć stanąć przed królem, który w ciężkim położeniu skłonniejszy być musi do wyrozumiałości, a od pojmanego Nałęczu mógł

się ważnych rzeczy dowiedzieć. Nadarzoną, może jedyną, sposobność Krzych zmarnował, używać umie tylko miecza, ale jeden miecz, choć ciężki, na niczym nie zaważy, z nim jeno i z pustym słowem, któremu król ufać nie będzie, zjawić się przed nim nie może.

Krzych żywił jeszcze nadzieję, że pościg schwyta zbiega, choć prosty wojak mógł

nawet nie wiedzieć, co knują panowie. Po dłuższej chwili jednak pościg wrócił, nie dopadłszy go, pozostawało czekać na wieści z Kalisza. Krzych siedział w zadumie i rozważał swe położenie. Jest sam; do królewskich wojsk przyłączyć się nie może, do zakonnych nie chce.

Nie mógłby zresztą usprawiedliwić przed Krzyżakami wygubienia poselstwa wojewody Wincentego. Na ludzi swych mógł liczyć tylko, dopóki widzą w nim zakonnego rycerza.

Gdyby zmiarkowali, że zdradzić chce Zakon, schwytają go i wydadzą. Nienawidzą Krzyżaków, ale w Prusach zostawili domy i zakładników.

Rozmyślenia przerwał powrót podjazdu spod Kalisza, a wieści, jakie przywiózł, poderwały Krzycha. Chociaż Krzyżacy spóźnili się o tydzień na umówiony z Luksemburczykiem termin, król czeski dotąd jeszcze nie nadszedł. Czekali przez trzy dni, pustosząc okolicę i próbując wziąć miasto, ale gdy broniło się silnie, poniechali go i wczoraj odeszli na północ, a w ślad za nimi Łokietek. Nie doczekawszy się Luksemburczyka, Krzyżacy uznali widocznie główny cel wyprawy za chybiony i wracali już do Prus z łupem i jeńcami. Słoneczny wrzesień miał się zresztą ku końcowi, noc zaczynała być zimna, ranki i wieczory mgliste, wkrótce nastaną śloty. Koniec wyprawy, a wraz z nim kres związanych z nią nadziei Krzycha. Nie wiedział, co dalej począć; jedno pewne: jeżeli jeszcze ma coś zdziałać, dognać musi wojska, które wyprzedziły go o dzień.

Mimo zapadającej ciemności zwinął więc obóz i spiesznie ruszył drogą na Konin.

Wszędzie świeże ślady przejścia wojsk: ciepłe zgliszcza Stawiszyna, nad Rychwałem stała jeszcze luna, ale dogasała już, a blask jej mieszał się z szarym półświatłem przedświt.

Krzych odetchnął: wojska są niedaleko. Obciążeni łupem i jeńcami Krzyżacy nie mogli iść szybko. Za dnia nie może się do nich zbliżyć, zresztą ludziom i koniom zda się wypocząć.

Niemniej czas naglił, za kilka dni Krzyżacy znajdą się w Prusach, musi wreszcie powziąć postanowienie. Dotąd jedno przychodziło Krzychowi do głowy: jak Hans, pośrodku wojsk ubić marszałka lub landmistrza i zginąć.

Rozbudzona jednak nadzieja nie chciała zgasnąć, a rozsądek mówił, że nic królowi po takiej przysłudze. Hans ubił wielkiego mistrza, w jego miejsce jest inny i czyni to samo. Ale nawet aby tego dokonać, wysforować by się trzeba przed królewskie wojska. Po posiłku Krzych zboczył z drogi ku zachodowi, przeprowił się przez Wartę i dotarłszy o zmroku do poznańskiego gościńca, zapadł w las i czekał. Krzyżacy przeprowiają się pod odległym niespełna ćwierć mili Koninem, przeprawa znacznych sił wraz z taborami musi trwać długo, stanowiąc dla króla sposobność skutecznego uderzenia, w chwili gdy rzeka przedzielać będzie nieprzyjacielskie siły.

Słuszność przypuszczenia potwierdził wkrótce czerwony poblask na wschodzie, który rozszerzał się szybko. Krzych dosiadł konia, setnikowi kazał czekać na swój powrót i ruszył

gościńcem na Konin. Ujechawszy kilkanaście stająg, zatrzymał się i nasłuchiwał. W ciszy nocnej dochodził go wyraźny gwar bitwy. Zwinął zakonny płaszcz, schował go pod siodło i ruszył w tę stronę. W miarę jednak jak się zbliżał, gwar, miast się nasilać, przygasał, aż ucichł.

Krzych zatrzymał konia i jął rozważać. Znowu w nie przemyślanym porywie chciał

jeno upust dać swej nienawiści. Póki Łokietek idzie za Krzyżakami, na popełnienie szaleństwa czas

jeszcze, nie wolno wyzbywać się jedynej siły, jaką ma w ręku: kilkudziesięciu pruskich jeźdźców. Nie wiedział wprawdzie, czy już nie żywią podejrzeń, że prowadzi jakąś grę, która dla nich samych może okazać się niebezpieczna. Że nie przyłączył

się do wojsk zakonnych w czasie bitwy, nad tym głowić się nie będą, bo im samym nie spieszo było ginąć, ale jak wyjaśnić, dlaczego nie dołącza teraz, gdy ciągną już niemal na oczach?

Wracał do obozu przygnębiony, nadzieja odmiany była tylko jej pragnieniem. Za kilka dni minie nawet sposobność, by zginąć nie na darmo. Przestał już marzyć o powrocie do swoich. Zmarnował życie całe swą popędliwością, szkoda się głowić, co uczynić z jego resztką. Dogna Krzyżaków, ubije, kogo się da, i niechaj się skończy.

Popędził konia, ale nagle zdarł go i skręcił w przydrożne chaszczce. Noc była ciemna, z rozlewisk Warty wstawała zimna mgła, ale odgłos, jaki go doszedł, nie budził wątpliwości: nadchodził spory oddział jazdy, ziemia dudniła głucho, chrzęściło żelazo. Krzych, dygocząc z podniecenia, do bólu wyteżał oczy. Z zachodu mogły nadchodzić albo wielkopolskie posiłki, zwolnione na skutek opóźnienia Luksemburczyka, albo Wincenty Nałęcz ze swymi. Na gościńcu z ciemności wyłoniły się zarysy jeźdźców. Krzych mrugał oczyma, by się upewnić: mimo mroku, w którym czerwień zawieszonych przy lękach tarcz zdała się czarna, widniał na nich biały znak Nałęczów.

Krzychowi krew dudniła w skroniach, by się uspokoić, starał się liczyć mijających go jezdnych. Było ich do tysiąca, siła znaczna. Pierwszą myślą Krzycha było uwiadomić króla o nadejściu nowego wroga, ale porzucił ją zaraz. To król wymiarkuje sam i niewielka mu z tego korzyść, nawet gdyby zaufał Krzychowi. Zresztą gdzie szukać króla w ciemności i mgle?

Potyczka pod Koninem musiała wypaść niepomyślnie dla Łokietka, skoro ustąpił tak szybko.

Krzych znał go z zawołania i z wyprawy na Litwę, wiedział, że nieustępliwy jest i w boju zajadły. W ciemności wojska zapewne wyszły królowi z ręki, ale nie wątpił, że zbierze je i nie poniecha Krzyżaków, jak wilk pomykający za stadem dzików, wypatrujący sztuki, która odbije się od stada.

Gdy ostatnie szeregi ciągnących rozmazały się w mgle, a stłumiony nią tupot umilkł, Krzych odetchnął z ulgą. Jego oddziałek lekkiej jazdy pruskiej niewiele zdziałać zdolny przeciw hufcowi Nałęczów, ale więcej niżli on sam. Krzych pamiętał, jak czterdziestu ludzi liczący oddział wojsk krzyżackich wprowadził w popłoch całe wojsko Giedymina i udaremnił

wyprawę na Prusy. Niespodziane uderzenie z zasadki może mieć podobny skutek, w takiej walce nie brakło Krzychowi doświadczenia ni śmiałości. Co potem będzie, nie myślał, ale teraz wiedział już, co czynić.

Dopadł swych Prusaków i spiesznie ruszył na północ, by wyprzedzić hufiec Nałęczów, pewny, że wojewoda Wincenty podąży za Krzyżakami, którzy musieli już odejść.

Dotarłszy przed świtem do wąskiego przesmyka między jeziorami Gosławskim i Pątnowskim, wystawił strażę, przytulił się i czekał. Ale dzień już wstawał ospały i mglisty, a nikt nie nadchodził. Krzych zrazu sądził, że Nałęcz zatrzymali się na nocleg, ale i w tym wypadku musieliby już nadejść.

Koło południa jednak jasne się stało, że Krzyżacy, a w ślad za nimi Nałęcz, nie na Strzelno i Kruszwicę ciągnęli, ale na Radziejów. Stracił zatem na darmo czas.

By się nie wracać, nie zważając już, że zmarnować może konie, pognął na północ i za Slesińskim Jeziorem wykręcił na wschód. Przed zmierzchem trafił na niewątpliwe ślady krzyżackiego pochodu: trupy i zgliszcza, już stygnące. Krzyżacy jednak pospieszali i Krzych powziął nadzieję, że wojewoda Wincenty nie zdążył jeszcze z nimi się połączyć. Ale wysłany ku południowi podjazd wkrótce wrócił, donosząc, że nadchodzą polskie wojska. Wojewoda przeto wyprzedza go i połączy się z Krzyżakami w Radziejowie, gdzie niewątpliwie zatrzymają się na nocleg. Stamtąd do Torunia niespełna trzy dni drogi, i te dni przynieść muszą rozstrzygnięcie. Krzych nie łudził się już, jakiego Łokietek musi uderzyć, zanim Krzyżacy wejdą do Prus.

Przed Radziejowem Krzych zboczył na wschód i przeszedłszy brzeski gościniec, stanął na nocleg. Obojętne mu już było, co myślą Prusacy, zresztą zapewne nic, bo walili się z nóg ze znużenia. On sam tylko nie mógł usnąć, po chwili wziął konia, wyjechał z lasu na gościniec i skręcił ku Radziejowu. Nie ujechawszy ni ćwierć mili, zauważył stojący nad nim poblask, pewnością od ognisk krzyżackiego obozu. Miasto było spalone w czasie poprzedniego najazdu, a Łokietek nie zdradzałby miejsca swego postoju.

Krzych zawrócił, spętawszy konia, puścił go na paszę, a sam usiadł pod drzewem i popadł w tępą zadumę. Przemogło jednak znużenie i usnął. Spał ciężkim snem, z którego nie mógł się ocknąć, choć wyczuwał, że coś się dzieje. Głuchą ciszę zmącił jakiś gwar, który przycichł, by po chwili wszcząć się na nowo. Przez sen jeszcze usiłował uświadomić sobie, gdzie jest i co oznaczają te odgłosy. Gwar ucichł jednak i myśl Krzycha znów rozplątywała się w nieświadomości, ale ktoś zaczął go trącać. Setnik pruskiej jazdy stał nad nim, mówiąc:

- Obudźcie się, szlachetny panie. Jakoweś wojska idą.

Krzych zerwał się. Dzień już był, mgła jednak tak gęsta, że ledwo widać było zarysy najbliższych zarośli. Zbierał myśli, starając się uprzytomnić sobie położenie. Krzyżacy niewątpliwie, miast iść na Toruń, zboczyli na Brześć. Nasłuchiwał, ale tylko z niezbyt odległej wsi, stłumione przez mgłę, dochodziło zajadłe szczekanie psów. Nie trwało jednak długo, a znowu zbliżający się pogwar na gościńcu zdradził pochód wojsk. Tym razem Krzych nie miał wątpliwości, że to Krzyżacy, rozróżnił bowiem skrzypienie wozów, których na pewno nie wiódł Łokietek. Krzych nie wątpił, że ciągnąć będzie za wrogiem, a gęstniejąca jeszcze, zda się niemal dotykalna mgła sprzyjała niespodzianemu uderzeniu, zanim słońce, które zapewne już wschodziło, rozproszy tuman.

Krzych poczuł, że zbliża się rozstrzygająca chwila: podejść może nie dostrzeżony i wziąć udział w bitwie. Nie zależało mu już, czy król będzie o tym wiedział i co uczynią Prusacy, bo nie sądził, że bitwę przeżyje. Dosiadł konia i nie bacząc, kto za nim ciągnie, ruszył w kierunku wsi, skąd wciąż dochodziło szczekanie psów i głosy ludzkie. Wrzawa wzmagająca się; Krzych zaledwie posłyszał dudnienie kopyt na gościńcu, a już zamajaczyły we mgle szeregi kłusem nadchodzącej pancерnej jazdy. Na tarczach idącego w przódzie hufca widniał znak

Nałęczki. Krzychowi aż pociemniało w oczach. Krzyknął „vorwärts!” - i skoczył, obalając przed sobą wszystko. Ale już i na niego posypały się ciosy, od pchnięcia w piersi zabalgotało mu w

płucach. Ostatnie, co słyszał, to ogromny wrzask od strony wsi i nagle wszystko ucichło i zgasło.

Od chwili wkroczenia na Kujawy wojska krzyżackie stale czuły za sobą obecność Łokietka, jednak widocznie słabszy, walnej bitwy wyraźnie unikał, polując na zagony krzyżackie. Oddział wysłany spod Kłodawy na Łęczycę po łup i celem niszczenia kraju król zmusił do odstąpienia od oblężenia grodu, bronionego przez wojewodę Paszkę Ogona, i do szybkiego wycofania się. Niemniej miasto wraz z kościołem parafialnym i klasztorem dominikanów Krzyżacy złupili i spalili. Uchodząc przed Łokietkiem, pod Spicymierzem przeprawili się przez Wartę i dołączyli do głównych sił, które tymczasem obróciły w perzynę Uniejów i zdobywszy gród w Spicymierzu, niszcząc i paląc wszystko po drodze, ciągnęły w stronę Kalisza. Nie stać jednak już było Łokietka na obronę ziemi sieradzkiej, którą wysłany spod Uniejowa pancerny hufiec krzyżacki pustoszył, równając z ziemią Szadek i Sieradz.

Król liczyć się musiał z nadejściem Luksemburczyka i nie mógł rozpraszać swych sił, zbyt nikłych, jak się okazało, by przeciwstawić je samym nawet Krzyżakom. Nocna potyczka u przeprawy pod Koninem skończyła się rozproszeniem polskich wojsk, marszałek i landmistrz za nic już je mieli, a ich pewność siebie wzrosła jeszcze w drodze do Radziejowa, gdy - przez nikogo nie napastowani - rabowali i niszczyli leżące na szlaku osiedla.

Niemniej krzyżacki najazd głównego celu chybił i wielki marszałek, przybywszy do Radziejowa, zwołał dostojników, by się naradzić, jak choć w części powetować zawód. Nara -

da była krótka i jednomyślna: zaledwie o cztery mile na wschód leży stolica Kujaw - Brześć.

Gród jest silny, ale pozbawiony pomocy z zewnątrz ulec musi krzyżackiej przewadze, jeśli nawet nie uda się go zaskoczyć. Uradzono tedy, że o świcie komtur Bałgi, Henryk Reuss von Plauen, ruszy na Brześć w pięć tysięcy jazdy, by zaskoczyć lub przynajmniej opasać gród. Za nim pospieszy landmistrz Otto von Luterberg z hufcami lenników, gości oraz pieszymi knechtami celem przygotowania oblężenia, gdyby się potrzebne okazało, na końcu zaś, pod wodzą marszałka Dietricha von Altenburg, pójdzie reszta - ze sprzętem, łupem i zapasami.

Po naradzie dostojnicy odeszli, by wydać zarządzenia i spocząć, ale ciemno było jeszcze, gdy w obozie wszczął się ruch, zapłonęły ogniska i wojska kolejno ustawiały się w szyk pochodowy. W miarę jak ruszały, ogniska zaczęły przygasać, blask ich zresztą mieszał

się już z bladym przedświtem i tłumiła go mgła wstająca z bagien, które od południowego wschodu docierały niemal pod sam Radziejów. Wkrótce zimne jej pasma okryły pogorzelnisko coraz gęstniejącą zasłoną. Nie trwało jednak długo, gdy w ciszę opustoszałego obozu wdarł

się tętent licznych kopyt. Jak gromada cieni przesunął się silny oddział jazdy i zniknął we mgle. Wojewoda Wincenty szedł w ślad za Krzyżakami.

Dotkliwa porażka pod Koninem wzmogła jeszcze w wojskach Łokietka przygnębienie i zniechęcenie. Od początku wyprawy wypatrywana przez króla sposobność zadania Krzyżakom ciosu, który by przywrócił rycerstwu wiarę w swe siły, obróciła się przed Koninem przeciw niemu. Okrucieństwo, z jakim dwukrotnie w ciągu dwóch miesięcy wojska zakonne pustoszyły kraj, miało ujść bezkarnie.

Gdy nad ranem po potyczce zbierać się jeły rozproszone oddziały polskie, nie można się było doliczyć wielu, których nie było też między poległymi. Zebrana przy królu starszyzna milczała, ale milczenie było wymowne.

Szczególnie jednak drażniło Łokietka milczenie Kazimierza. Po lipcowym najeździe królewicz wysłuchać musiał kazania, które nie wygładziło stosunków między ojcem a synem.

Królowi zdało się, iż Kazimierz niemal rad jest, że na jego wyszło: kto nie ma sił, winien się układać. Zwrócił się do niego z zapytaniem:

- Cóż byś ty począł na moim miejscu?

- Uczynię, co rozkażecie - odparł królewicz wymijająco.

- To wiem - popędliwie rzucił Łokietek. - Jeno że wkrótce rozkazywać ci przyjdzie, nie słuchać.

Kazimierz odrzekł śmiało:

- Nie traciłbym darmo sił, skoro jawnie nie starczy ich na wojnę z Zakonem. I oszczędzałbym waszych, bo jakoby was z krzyża zdjęto - dodał miękcej. - Wracajcie do Krakowa. Jesień idzie, nie na wasz wiek i zdrowie trudy wojenne, a niczego już nie działacie.

W świetle mglistego dnia poorana zmarszczkami twarz króla istotnie szara była i ściągnięta, ale oczy błysnęły, gdy fuknął:

- Ostaw matce troskę o moje zdrowie, a jedno sobie zapamiętaj: gdyby się wszystko obliczyć dało, nijakich wojen by nie było. Bywa, że Dawid ubije Goliata.

Znając upór i popędliwość króla, nikt się nie odezwał, ale myśleli to samo, co królewicz: za dwa lub trzy dni wojska krzyżackie znajdą się już za murami swych warowni, co miały zniszczyć, już zniszczyły. Czego można jeszcze dokonać z uszczuplonym i zniechęconym wojskiem? Nikt nie chce walczyć bez nadziei zwycięstwa.

Król jednak wiedział, czego chce. Czuł, że niedługo już przewodzić będzie walce ze śmiertelnym wrogiem, do ostatniego tchu nie odłoży miecza, a to, co rzekł synowi, nie z kazań się dowiedział, ale z półwiekowych zmaganiań, które małe książytko, a potem wygnańca bez ziemi wyniosły na tron. Wstał i rozkazał:

- Szykować się do pochodu.

Wojska już stały w sprawie i król rozmawiał z chorążym krakowskim Żegotą z Morawicy, który miał iść w przedniej straży, gdy ukazał się niewielki hufiec jazdy. Zapewne uchodząc po bitwie, odbił się dalej, a teraz wracał. Żegota, który wzrok miał bystry, powiedział:

- To Andrzej Szaszor z Koszanowa.

Urwał i dodał niepewnie:



- Czyżbym się mylił? Z nim chyba Tomisław Nałęcz.

Nie mylił się. Na widok gotowych do drogi hufców nadjeżdżający puścili konie w cwał i

Andrzej, dopadłszy króla, skłonił się i powiedział:

- Posłany od wojewody Wincentego brat jego prosi, byście go wysłuchać raczyli.

Tomisław, zeskoczywszy z konia, stał opodal, patrząc niepewnie na Łokietka, który skinął na niego. Gdy się zbliżył, król zapytał oschle:

- Czego ode mnie chce wojewoda? Gdym go wezwał po pierwszym najeździe, by się sprawił, do margrafa pojechał, układ przeciw mnie zawierać. A wy z nim.

Twarz Tomisława oblała się rumieńcem, ale odparł:

- Winniśmy, miłościwy panie. Ale winni i oszczercy, przy których żywota nie mógł

być pewny. Gdybyście poręczyli...

- Nie poręczam żywota zdrajcom - przerwał król - i nie oszczerstwo to, żeście beczynn timer patrzyli, jak bezecny wróg ojczyznę pustoszy.

- Wolej bym legł - powiedział Tomisław zdławionym głosem - niżli od was posłyszał

te słowa. Ale nie sprawiać się przybyłem, jeno o wybaczenie prosić i zezwolenie, byśmy czynem mogli zaprzeczyć, że swego patrzymy jeno.

Król zdał się coś ważyć, po czym rzekł:

- Długoście się namysłali. Jakże mogę wam zawierzyć, gdyście margrafowi obiecali nijakiej zgody ze mną bez jego przyzwolenia nie czynić.

- Nie wypominajcie, panie, bo nie słowa przynosim, ale miecze. Tysiąc luda dobrej jazdy, w tym dwieście pancernei rodowego hufca. Zechciejcie wybaczyć, nikogo nie wyłączając, a uczynim, co rozkażecie, choćbyśmy sami na całe siły krzyżackie mieli uderzyć.

- Jeśli to prawda, wybaczam. Tedy niechaj wojewoda drogę zabiegnie Krzyżakom, a ja za nimi pociągnę. Upatrzymy stosowną porę, z dwóch stron uderzymy i niechaj czyn słowu zaświadczy.

Gdy Tomisław odjechał, król ruszył wojska. Niespodziane posiłki podniosły ducha, choć nie brakło takich, którzy podstęp wietrzyli w poselstwie Nałęczów. Jarosław Grzymalita, podjechawszy do króla, powiedział:

- Zwólcie, miłościwy panie, że powiem, co myślę; Bogiem się świadczę, nie dlatego, że Nałęczom nie druh. Jawnie wojewoda czasu lipcowego najazdu Krzyżakom wydać chciał królewica, a z wojskiem zjawił się, gdy już odchodzili. Ninie po raz wtóry to samo czyni, bo wie, że nic już nie

zdziałamy.

- To się okaże. Tysiąc świeżych wojów - siła nie do pogardzenia; prawda, że gdybym ją od początku miał, może by inaczej poszło. Ale nie pierwszy raz wybaczać muszę, gdzie by karać przystało. Że Wincenty jakoweś wyrachowanie ma, nie ważne, byle uczynił, co przyrzeka.

Król wyjechał na czoło i ponaglał pochód. Mijali bez postojów spalone osady i wsie; zmrok już zapadał, gdy król skręcił z gościńca i kazał stanąć obozem. Do Radziejowa niespełna mila, okolica zaczynała się pagórkowata i lesista, spocząć można było bezpiecznie, a wojska były znużone, sam zaś król niemal u kresu sił. Należało jednak wiedzieć, gdzie są i co poczynają Krzyżacy, i król wysłał podjazd ku miastu, a czekając na wieści, usiadł przy małym ognisku i pożywiał się w zamyśleniu, patrząc na rosnącą postać syna. Ponad siedem stóp wybijał, nie znać było po nim zmęczenia. Król westchnął, wspomniawszy, co za pacholęcych lat posłyszał od matki, gdy się na swój marny wzrost użalał: „człek nie sukno, łokciem go nie mierzyć”.

Od niedalekich bagien ciągnął wilgotny chłód. Król, drżąc, otulił się derą, ale sen go nie brał. Może najbliższe godziny pozwolą mu przekonać syna, że zwycięża się nie tylko słab

- szego. Jeżeli wojewoda Wincenty wyprzedzi Krzyżaków, przyjdzie uderzyć jeszcze tej nocy. Król czekał na wieści, podjazd winien wrócić lada chwila.

Istotnie ktoś półgłosem zaczął dopytywać o króla, głos zdał się znajomy, ale nie był to głos Żegoty. Król ręką przysłonił oczy od blasku ogniska i w zbliżającej się barczystej postaci poznał Radochę, który, skłoniwszy się jeno, nie czekając na pytanie, zaczął:

- A tom was w szczęśliwą porę znalazł, miłościwy panie. Psubraty w Radziejowie stoją i na Brześć się mają.

Wiadomość poderwała króla. Ulubiony jego gród, stolica Kujaw, z osłabioną załogą wpaść może w ręce krzyżackie. O tym nie pomyślał i zapytał niespokojnie:

- Skąd wiadomość? Czy aby pewna?

- Od jednego psubrata. Nawet niewielem mu przygrzał, a wyśpiewał, co wiedział.

- Gdzie jest? Sam go wypytam.

- Nic już nie rzeknie, ale spowiadał się szczerze, jako to przed śmiercią - okrutny uśmiech poruszył siwy wąs Radochy. - Chyba że wam nowego ułowię. Widno za nic was mają, bo nawet strażę nie bardzo pilnują.

- Czasu nie stanie - odparł król. - A ty skądęś się tu wziął?

- Tak się ta kręcę wedle nich, czasem się coś urwie, a luda ze zbiegów nazbierałem kupę, jeno żelaza mało, dobrze uzbrojonych i konnych garść ledwo. Tak sobie myślałem, że za nimi pójdziecie, bo takowych gości nijak wypuścić bez gościńca. I prawie myślałem.

Tymczasem, posłyszawszy, że są wieści, jeden po drugim schodzili się dostojnicy.

Niektórzy z nich znali Radochę, ale druhów między nimi nie miał, bo ich nie szukał. Choć od dwudziestu lat pas i ostrogi nosił, z chłopami przestawał i rycerskiego obyczaju sobie nie przyswoił ani się kłaniać nie nauczył. Król jednak lubił go i cenił, bo jeśli rękę wyciągnął, to z mieczem przeciw wrogowi. Ucieszył się, jakby mu się wierny pies odnalazł. Zwracając się do obecnych, powiedział:

- Jest wiadomość, że Krzyżacy na Brześć się mają. Bez pomocy ostawić go nie mogę.

- Krzyżakom bliżej do Brześcia niżli nam - rzucił ktoś, a Jarosław z Iwna powiedział:

- Należałoby wiedzieć, co poczyna wojewoda Wincenty. Jakoś wieści od niego nie masz.

W tej chwili jednak zadudniły kopyta po miękkim podłożu i Żegota, zeskoczywszy z konia, wskazał na dwóch towarzyszy:

- Od wojewody Wincentego. Krzyżacy stoją w Radziejowie. Zaszedł ich od północy i czeka na rozkaz.

Łokietek zwrócił się do obecnych:

- Radźcie!

Radocha pierwszy zabrał głos, nie bacząc na zgorszone spojrzenia dostojników.

- Słyszę, że się wojewoda ku nam namyślił. Ale i z nim mało nas. Znacie, panie -

zwrócił się do króla - gościniec brzeski. Będzie mila od Radziejowa, za Płowcami młaki się zaczynają, ninie rozkisie, i mostek jest bez nie na strudze. Tam psubratom paści zastawić, przepuścić za strugę, czemu nie wydoli, resztę odciąć, wyrznąć, łupy i jeńca odebrać, bo wozy z tyłu prowadzić zwykli. A potem w las, któren tam do samej wsi podchodzi.

Król uśmiechnął się.

- Dobrześ to obmyślił - powiedział - ale pozwól, że i ja rzeknę swoje, bo ja mam dowodzić.

Zwrócił się do posłańców wojewody Nałęczu, mówiąc:

- Jak słyszycie, Krzyżacy na Brześć chcą nastąpić. Niechaj wojewoda ciągnie za nimi, jeno tak, by nie pomiarkowali. Gdy ich tylna straż dojdzie do Płowieć, niechaj uderza. My już tam będziemy czekać.

Zwrócił się do Radochy:

- Weźmiesz, co tu jest pieszego ludu, i ruszaj zaraz. My; z jazdą przed brzaskiem będziemy na miejscu. Nie będę ci gadał, co masz czynić, bo wszystkiego nie przewidzi, głowę masz własną.

- Juści, mam - odparł Radocha i skłoniwszy się, odszedł. Rozeszli się też dostojnicy, by wydać rozkazy. Pozostał jeno Stefan Pobóg, sieradzki wojewoda, i zapytał z powątpiewaniem:

- Wierzycie wy, panie, Wincentemu?

- Choćbym nie wierzył, uczyniłbym to samo - odpowiedział król. - Ni Brześcia bez pomocy nie ostawię, ni miejsca lepszego do bitwy nie najdę, zajedno, czy Wincenty weźmie w niej udział, czy nie. Będzie, co Bóg da, a nam jeno dziękować mu, że Luksemburczyk się spóźnił, boby się Nałęcz ze nim układali lubo z Zakonem. Ninie dogodniej im ze mną. I tak, jeno tu skończymy, do Poznania nam ciągnąć.

- Wam by czas spocząć, miłościwy panie - rzekł wojewoda, patrząc na wynędzniałą postać sędziwego króla, ale Łokietek podniósł na niego zaczerwienione z bezsenności oczy, a posiniałe wargi skrzywiły się w gorzkim uśmiechu.

- Następcę mam, ale nie zastępcę, tedy mi jeszcze spocząć nie pora. Jeno ninie przespać się chciałbym, bo jutro walka nas czeka. Albo i dziś, bo Kurki już wzeszły pewnikiem.

Naprzeciw nadeżdżającego Radochy dźwignęła się jakaś postać. Radocha zapytał:

- Ty, Pizło? Setnikom zapowiedz, że zaraz ruszamy paści zastawiać na onego zwierza.

- Naszedłeś króla?

- Naszedłem. Z pięćset zbrojnego chłopca przywiodłem. Król z jazdą nadejdzie przed świtaniem. Idziem, bo drogi kawał, a rozpatrzeć się trzeba i spocząć co nie bądź przed bitką.

W mroku wszczął się ruch i po krótkiej chwili z chaszczów na łąkę wysypywać się jęły ciemne gromady. Pizło wraz z Radocha dosiedli koni i wyjechali na czoło.

Ciągnęli w milczeniu, bardzo wolno, bo ciemność panowała głęboka, a wstająca mgiełka jeszcze zmniejszała widoczność. Wreszcie wyrosła przed nimi ściana lasu. Na skraju Radocha zatrzymał pochód i polecił Pizie:

- Niechaj Skrzywan z garścią ludzi ode wsi da baczenie na gościniec, a ty pódzi ze mną. Zanurzyli się w smolistą ciemność lasu, więcej słuchem niż wzrokiem się kierując.

Grunt wznosił się, przechodząc w wyżynkę. Potem las urwał się. Uszedłszy jeszcze kilkadziesiąt kroków, raczej poczuli, niż ujrzeli, że są na gościńcu. Ku zachodowi ledwo majaczyły jakieś ciemniejsze kształty. Radocha wskazał na nie, mówiąc:

- Tam jest wieś. Mostek tu kany jest na strudze, obaczym, czy przebrnie bez nią.

Zsiedli z koni i ruszyli ku wschodowi, a za chwilę zadudniły pod nimi dyle. Zeszli na łąkę, pod stopami zachlupotała woda, a grunt się ugiął.

- Młaka - mruknął Radocha - ni piechty nie przebrnie.

Rozejrzał się, ale widoczność słabła, choć ciemność rzedła już. Z moczarów wstawał

opar, ziąb brał przenikliwy. Od wsi doszło pianie kogutów.

- Trzecie kury. Świtać będzie niedługo. Wracamy. Pizło nic nie odrzekł, jeno patrzył na zachód. Widnokrąg odcinał się od lekko szarzejącego już nieba słabym czerwonym poblaskiem.

Pizło wskazał ręką.

- Pałą psubraty - mruknął. - Od pół wieku nam tak świecą.

- Niewiele w Radziejowie do spalenia zostało. Może śniadanie gotują. My im tu lepsze zgotuję. Pomniesz, jako pod Chojnicami łuna na pół nieba stała? Ani się wierzyć nie chce, że to już dwadzieścia godów. Rycerz Krzych wonczas był z nami, a ninie może z jego ręki lec przyjdzie.

- Lubo jemu z naszej. Mógłbyś Kundzię pojąć.

- Nie zaczynać mi od nowa. Ile jeszcze żywota zostało, psubratom odpłacić. Jeno żal Kundzi i dziewczuszki. I jego takż.

- Jeno się nad nim nie rozbecz. Sam sobie namotał.

- Co ty wiesz o takowych sprawach! Łacniej mokrą sieć rozsuptać.

Ruszyli szybko z powrotem. Mimo że mgła, siadając, gęstniała, dniało już wyraźnie.

Na skraju lasu zauważyli kilku konnych i zbliżywszy się, poznali wśród nich króla. Radocha podszedł, by zdać sprawę, a Łokietek słuchał z twarzą skupioną i zaciętą.

- Już wyruszyli - powiedział. - Jazdy jeno patrzeć, ale przepuścimy ją, a uderzymy dopiero, gdy wozy nadciągną. Ty ze swymi koło wsi się przytairsz i czekać masz, póki Wincenty z Szamotuł nie uderzy na tylną straż, by odwrót zamknąć na Radziejów. Paszko Ogończyk z łęczyckim hufcem zaskoczy od mostku na Bachorzy. Musimy Krzyżaków z gościńca zepchnąć w łąki, gdzie im wojewoda Stefan z Sieradzany drogę zamknie na północ.

Szybko działać trzeba, nim ci, co przejdą, pomiarkują, co się dzieje. Ruszaj z Bogiem!

Radocha zabrał swoich i chyłkiem podsuwali się ku wsi, inne hufce też zajmowały wyznaczone miejsca. Dzień już musiał być i słońce widocznie przygniatało mgłę, bo zgęstniała tak, że na kilka kroków nie rozróżnił człeka. Ucichło i słychać było tylko kapanie kropel osiadającej na pożółkłym już listowiu mgły i odległe głosy obudzonej wsi.

Niedługo trwało jednak, a wmieszał się w nie zrazu jakby szmer idący od zachodu, który wzmagął się szybko i przeszedł w dudnienie, aż ziemia drżała. Kłusem nadjeżdżała przednia straż krzyżacka, złożona z pancernejszej jazdy zakonnej, stu kopii angielskich gości pod Tomaszem de Uffart, synem księcia Suffolk, i parotysięcznego hufca lekkiej jazdy pruskiej.

Nie zatrzymując się we wsi, która przycupnęła w milczeniu, minęli zabudowania, na mostku przeciągłym grzmiotem zahurkotały kopyta jak lawina kamieni, tętent zaczął się oddalać, rozsypał się znowu w szmer, wsiąknął w mgłę i cisza zadzwoniła w uszach.

Czas dłużył się, zanim nadciągnął główny oddział krzyżacki. Szło dwieście białych płaszczy, za nimi miarowym krokiem angielscy kusznicy, długi wąż pancernych knechtów, oddziały piechoty pruskiej, zamykały zaś pochód konne hufce lenników i gości. I teraz wojska nie zatrzymały się we wsi, widocznie rabować i palić miała straż tylna, prowadząca wozy. Tym razem głosy oddalających się wojsk długo było słyhać, ale gdy umilkły, nie wróciła już cisza. Polskie oddziały, korzystając, że mgła zmieniła się w mleczny tuman, przysuwały się do gościńca, by tym skuteczniej zaskoczyć wroga, a wojewoda Paszko na czele łączyckiego rycerstwa stanął na samym gościńcu przy mostku. Choćby go zauważyły wojska krzyżackie, nie miały możliwości zawrócić, nawet gdyby porzuciły bez walki wozy z łupem i sprzętem.

Napięcie wzrastało i wszystkie serca załomotały, gdy od zachodu znowu rozległy się głosy nadchodzącego wojska, tupot kopyt, dudnienie kroków i skrzyp wozów. Chwila jeszcze, a między zabudowania wsi wkroczył idący stępą, trzysta pięćdziesiąt koni liczący hufiec ciężkiej jazdy zakonnej pod komturem gdańskim Albertem von Ore. Tuż za nim jechał

na karym koniu marszałek Dietrich von Altenburg w towarzystwie wielkiego komtura Ottona von Bonsdorf, z poczem wielkiej chorągwi Zakonu, zatkniętej w tuleję przy siodle potężnego wzrostu rycerza. Wielki szpitalnik i komtur Elbląga, Herman von Oettingen, wiódł szeregi pieszych knechtów i braci służebnych, za nimi sunął długi szereg wozów, ubezpieczonych przez piechoty miejskie i pruskie, potem gromady powiązanych jeńców, a hufiec konnych półbraci i gości zamykał pochód.

Marszałek zamierzał go widocznie zatrzymać, gdyż stanął w strzemionach, gdy z tyłu rozległ się pojedynczy krzyk, zaraz po nim wrzawa i tupot kopyt idących w skok koni. Jak echo odpowiedziały mu od czoła podobne odgłosy, ale wszystko zgłuszyła wrzawa we wsi, a jednocześnie z mgły, stojącej nad łąką, na północ od gościńca wynurzyła się chorągiew sieradzka i z wraskiem szła w bok oddziałowi gości.

Krzyżacy jednak, oswojeni z zasadzkami i podstępami W walkach z Litwą, mimo zupełnego zaskoczenia nie stracili głowy. Gdy Sieradzanie skłębili się z gośćmi, hufiec pół -

braci sprawnie wykonał zwrot ku północy i wahadłowym ruchem zabiegał w bok Sieradzanom, co widząc wojewoda Pobóg wydał rozkaz i sieradzka chorągiew jęła się wycofywać. Bitwa jazdy przetoczyła się na łąkę, ku bagnetom Bachorzy, a w tej chwili na piechotę pruską wpadły pierwsze szeregi Wielkopolan wojewody Wincentego. Uporawszy się bez trudu z niewielkim oddziałkiem jazdy pruskiej, który pierwszy uderzył, szły teraz do bitwy, obalając i tratując najbliższe szeregi piechoty. Ale gromady spętanych jeńców powstrzymywały pęd, a tymczasem Krzyżacy co rychlej ustawiali wozy w poprzek gościńca i powiązawszy je łańcuchami, zza nich razić jęli pociskami nadbiegających polskich rycerzy.

Na pierwsze głosy walki Radocha na czele swoich chłopów wyskoczył zza opłotków i niespodzianie wpadł w sam środek wojsk krzyżackich, wywołując zamęt, powiększany przez wymykających się ze skrzytu jeńców. Ale karne wojska zakonne rychło przysły do sprawy, a przeważając uzbrojeniem i

wyćwiczeniem, jęły szerzyć spustoszenie wśród nie okrytych i przeważnie w siekierę jeno lub zgoła sękaty kij zbrojnych chłopów. Widząc to, Radocha gwizdnał przeraźliwie i ludzie jego poczęli uskakiwać za węgły chałup, by stamtąd, kto jeno miał czym, razić pociskami knechtów, którzy zaraz odpowiadać jęli z kusz, choć mało sku -

tecznie, bp chłopci kryli się umiejętnie. Radocha zamierzał zgromadzić swoich do nowego uderzenia, gdy rozległ się głos rogów, wzywających do wycofania się z walki. Gdy król, stojący z chorągwiemi krakowską i sandomierską w odwodzie na wzniesieniu pod lasem, pomiarkował, że zaskoczenie nie wywołało popłochu i natrafiło na twardy opór krzyżacki, postanowił przerwać bezładną bijatykę i składnie uderzyć, póki ma jeszcze przewagę liczby.

Czasu do stracenia nie było, bo oddziały zakonne, które poszły na Brześć, każdej chwili mogły zawrócić, toteż pospiesznie wydawał rozkazy do nowego uderzenia.

Ale i marszałek nie tracił darmo chwili spokoju. Podzieliwszy swe wojska na pięć hufców, pieszym kazał opasać się łańcuchami, by uniknąć rozproszenia. Pod osłoną wozów mieli chronić od uderzenia z tyłu siły skierowane ku mostkowi na Bachorzy. Zamierzał

przebić się za rzeczkę, by wyprowadzić wojska z potrzasku i ściągnąć pomoc idących w przedzie oddziałów.

Mgła opadała. Blade, ale już wysokie słońce oświetliło pole bitwy i król zmiarkował, co zamyśla marszałek. Bitwa rozegrać się miała przy mostku, król przeto pchnął ku niemu chorągwie, które jeszcze nie brały udziału w walce. Żegota Topór z Morawicy na czele krakowskiej i Piotr Jastrzębiec z sandomierską ruszyli ze stoku, a za nimi sam król na czele nadwornej chorągwi, by mieć na oku tę część bitwy, która przynieść winna rozstrzygnięcie.

Hufiec ten zarazem stanowił jedyną osłonę, na wypadek gdyby w zamęcie walki nadeszły nowe wojska krzyżackie. Byłaby to ostateczność. Król wiedział, że sam może wówczas położyć głowę. Z niepokojem patrzył na syna. Skinął na przybocznego rycerza, Grzegorza Toporczyka, zwanego Nekanda, wskazał na Kazimierza i rzekł:

- Gdybyś widział, że na złe się obraca, masz z nim uchodzić. Gdy Grzegorz zbierał się coś przedstawić, król przeciął:

- Wiem, co mówię. Jeden z nas dwu ostać się musi.

Król nie był widocznie zbyt dobrej myśli. Znienacka przypuszczone uderzenie zawiodło. Teraz wszystko zawisło od tego, jak prędko wrócą wysforowane naprzód oddziały krzyżackie. Czas był drogi, król kazał dać hasło do walki.

Drugie uderzenie polskie, wsparte świeżymi siłami krakowian i sandomierzan, zakolebało hufcami krzyżackimi. Ciężka jazda zakonna zepchnięta została z gościńca na łąkę, obskoczone zaś zewsząd przez chłopów i naroczników Radochy piesze oddziały krzyżackie cofały się ku własnej jeździe, broniły się jednak zaciekle, trupem własnym i polskim ścieląc gęsto drogę. Oddział gości, osłaniający tyły jazdy zakonnej, również nie wytrzymał nacisku Sieradzan i Wielkopolan, a spychany

ku bagnom Bachorzy - rozsypał się pierwszy.

Radocha, miotając się jak szalony na czele wybranego oddziału, rozerwać zdołał

czworobok pruskiej piechoty, która w beładnej już obronie kładła się pod maczugami i siekierami. Knechci zakonni nie pozwolili rozerwać swych szyków, ale też ustępowali, spychani coraz dalej od gościńca. Wkrótce stłoczone już i pomieszane krzyżackie wojska poczuły pod nogami grząską młakę. Dalej cofać się nie sposób, od łąk zaś otaczało je półkole polskich wojsk, prac naprzód z wzrastającą zajadłością.

Marszałek wciąż jeszcze liczył na nadejście pomocy i zachęcał swoich do wytrwania.

Ale w miarę jak przeciągała się walka, coraz to spoglądać zaczynał ku słońcu. Przeświecało przez opar i zbliżało się już do południa. Znużenie i zniechęcenie ogarniało krzyżackie zastępy. Ten i ów, nie mogąc już dźwignąć broni mdlejącą dłonią, ciskał ją, ręce wyciągając do wroga z prośbą o zmiłowanie. Nie było go, ale i Polakom ręce zaczynały opadać. Bitwa trwała już od trzech godzin, po całodziennym pochodzie i niespanej niemal nocy.

Mimo że każda chwila przynieść mogła zmianę położenia, król widział, że musi swoim dać wytchnienie. Dźwięk rogów i głosy rozkazów znowu wzywały do wycofania się.

Wynoszono rannych, by nie tratowały ich końskie kopyta. Ale jeszcze łapiące oddech w zdyszane piersi polskie hufce król na nowo sprawiał do ostatecznego uderzenia.

Marszałek pojął, że tego wyczerpane jego wojska nie przetrzymają, a spodziewana pomoc może już nie nadejść. Postanowił ocalić, co się da: jazdą przebić się do Radziejowa, zaś piesze wojska wyprowadzić na północ ku Przysiekowi podmokłymi łąkami, gdzie przynajmniej polska jazda ścigać ich nie będzie mogła.

Król jednak przejrzał i ten zamiar; piechoty Radochy pchnął na łąki, hufcami Wielkopolan, Sieradzan i Łęczycan zastawił drogę ku Radziejowu, a sam na czele przybocznego hufca wraz z chorągwiami krakowską i sandomierską uderzył w bok szykującej się dopiero jazdy krzyżackiej. Stawiał wszystko, byle skończyć jak najrychlej.

W czele poszła krakowska chorągiew pod Żegotą z Morawicy. Nim Krzyżacy zdołali się ku niej zwrócić, wbiła się głęboko w ich szeregi, wywołując zamęt, Żegota zaś parł ku wielkiej chorągwi Zakonu, pod którą stał Dietrich von Altenburg, głosem i znakami usiłując doprowadzić swe hufce do sprawy. Ścisk i wrzawa uczyniły się nieopisane, kto żył rzucił się bronić chorągwi. Żegota zaś darł ku niej jak szaleniec, obalając ludzi i konie, a za nim w śmiertelnej zawziętości parli Krakowianie, by zdeptać zamię krzyżackiej pychy.

Nagle koń dzierzącego chorągiew brata Iwana, spychany ciężarem napierających, potknął się i runął, przywalając tkwiące w tulei drzewce. Wielki wrzask targnął krzyżackimi zastępami. Jedni rzucili się, bezskutecznie usiłując podnieść chorągiew, gdy inni z marszałkiem Dietrichem skoczyli bronić. Ale idący w przód Żegota ciał Altenburga w głowę, rozbijając hełm i ciężko raniąc w twarz. Marszałek bezwładnie opadł na grzywę końską, Żegota jednak czyn swój życiem przypłacił. Pod



dziesiątkami ciosów runął na ziemię, a końskie kopyta ostatni dech z niego wyparły.

Wilcza zajadłość ogarnęła walczących. W strasliwym ścisku, gdy brakło miejsca na zamach mieczem, bito się pięściami, duszono za gardła, ściągano wzajem na ziemię pod końskie kopyta. Ale pozostałe wojska krzyżackie popłoch ogarnął na widok padającej chorągwi. Kto jeno mógł, na własną rękę usiłował wyłamać się z zamętu. Część hufca braci rycerskich zdołała wymknąć się ku północy, gdzie gromady chłopstwa ścigały właśnie rozbitą oddział knechtów, dalej zaś kłębiły się po łące niedobitki gości rycerskich i półbraci, ujadając się z rozwichrzonymi również hufcami wielkopolskim i sieradzkim. Ujrawszy idący w jakiej takiej sprawie oddział jazdy zakonnej, rozbitki jęły się ściągać ku niemu, jednak na karkach krzyżackich siedzieli polscy rycerze, zajeżdżając drogę od północy, a od pieszych gromad odrywał się, kto jeno ręce miał wolne, i biegł szukać zajęcia.

Jadący na czele wielki komtur von Bonsdorf nie zamierzał już wdawać się w beznadziejną walkę i zwabiony zdradliwą gładzią nie stratowanej jeszcze łąki, tędy ominąć chciał zastępujących mu drogę. Nagle idące wyciągniętym kłusem konie zaczęły zapadać się po brzuchy, niektóre waliły się, mogąc powstać, na dobitkę przygniatając jeźdźców.

Przerażenie ogarnęło Krzyżaków. Kto nie zdołał cofnąć konia, zeskakiwał i brnąc przez trzęsawisko zmierzał do suchszego brzegu. Ale już gnała ku nim gromada chłopów, a na ich czele Radocha. Zatrzymawszy się na skraju bagna, patrzył urągliwie na taplających się w nim Krzyżaków, którzy z bezsilną rozpaczą, jak lis schwyty w paści na widok zbliżającego się łowcy, okrągłymi ze strachu oczyma spojierali ku nadbiegającym. Radocha krzyknął do nich:

- Miecze kinać i wyłazić lub w bagnie wasza mogiła!

Niejeden z pieszych miał łuk i sięgał już do łubów. Widok ten dopomógł pamięci wielkiego komtura, który nie zwykł był kalać języka słowiańską mową. Teraz kalecząc ją, niezbyt pewnym głosem odpowiedział:

- Miecze oddamy w wasze ręce, szlachetny panie, jeśli nam żywot poręczycie.

Radocha parsknął drapieżnym śmiechem.

- Szlachetny jestem, ale poręczać nie ma czego, gdy wasz żywot ni skojca niewart.

Jeno zbroje wasze żal by było w bagnie potopić. Może was król Zakonowi odprzeda. Będzie, jako on postanowi, tedy wyłaźta, bo nie pora się tarzyć.

Zrozumieli, że przelewek nie ma, i wychodzić jęli z młaki, wśród drwin oddając wszystko, po co sięgały twarde ręce. Opór gasł już wszędzie, wrzawa bojowa zamieniała się w podniecony gwar. Zewsząd prowadzono obdartych już ze zbroi jeńców. Gdzieniegdzie rycerstwo bronić ich musiało przed zajadłością chłopów, zwykle bezbronnych ofiar krzyżackiego okrucieństwa, które raz wreszcie mogli odpłacić.

Wszędzie już zresztą starszyzna na rozkaz króla zaprowadzała ład. Wojska ściągały się ku wsi,

prowadzono jeńców, opatrywano i ładowano na wozy rannych, gotowano naprędce stawę. Król jednak jeszcze nie spoczął, lecz w otoczeniu starszyny obchodził

pobojowisko. Twarz jego promieniała, jakby mu lat ubyło.

- Od czasu gdy zdobyłem stolicę, nie miałem większej radości. Nazwiemy je „Kraków”

- rzekł, wskazując na pokryte trupami pole.

- Jakoby jeden zęb wilkowi wyłamał - burknął Chebda, kasztelan brzeski, ale Łokietek odparł żywo:

- Wiem ci, że nie koniec to jeszcze, nawet na dziś, ale Krzyżakom przestroga, że aby naszą krew wytoczyć, swoją stawić trzeba. To jeno początek ku przykładowi synów i wnęków. Może oni wybiją jadowite kły z plugawego pyska, by na zawsze kąsać przestał.

Wojewoda Stefan Pobóg odezwał się:

- Zabierajmy, panie, co Bóg zdarzył, więcej go nie kusząc, bo skoro patrzeć, jak wrócą od Brześcia.

- Poczekamy na nich - odparł król. - Nieprędko nam się przytrafi w równej sile z Krzyżakami potykać.

Sędziemu Chwałowi z Żychlina rozkazał:

- Weźmijcie paru konnych i skoczcie ku Brześciowi, byśmy w porę wiedzieli, kiedy nadejdą. Tymczasem wypoczniem.

Król liczył widocznie na zapal i wiarę w siebie, jaką obudziło zwycięstwo, a dostojnicy, znając go, wiedzieli, że nic go nie odwiedzie od postanowienia. Sam zwykł

walczyć do kresu swych sił i od innych tego oczekiwał. Wojska istotnie znużone były drogą, bezsennością i walką, ale trudno było rzec to sędziemu królowi, który siebie nie szczędził.

W milczeniu tedy obchodzili pobojowisko, licząc zwłoki jak pokot wielkich łowów.

Radosze, gdy pomiarkował, że król nie uważa walki za skończoną, ważniejsze niż wypoczynek zdało się zaopatrzenie swych chłopów w broń. Uwijał się tedy z nimi na pobojowisku jak gospodarz doglądający zbioru plonów, a warczał na swoich jak pies pilnujący mięsa, gdy choćby spojrzeniem zdradzili chęć wzięcia odwetu na prowadzonych jeńcach. Sam jednak ze zjadliwą drwiną patrzył, jak świetni rycerze i dostojnicy zmieniali się w obdartych niemal do naga nędzarzy. Zwracając się do Pizły, powiedział:

- Obacz! Jeno widły im dać, myślałby kto, że rataje od gnoju.

Chłopi jednak nie otrzymywali okupu za jeńców ani nie mieli krewniaków na wymianę. Tłący się żar nienawiści potrzebowal jeno podmuchu, by wybuchnąć płomieniem.

Krzążający się wśród chłopów Radocha postłyszał jakiś hałas, obejrzał się i pognał. Gromada chłopów doskakiwała do ogromnego rycerza w płaszczu półbrata, grzmocąc go, czym popadło. Zdał się martwy, gdy jednak jęto go obdzierać, ocknął się widocznie i zaczął się bronić. Radocha wpadł, roztrzając kupę i grzmocąc pięściami co zajadlejszych. którzy okładali leżącego znowu bez ruchu na ziemi. Odskoczyli, ale stali dokoła jak sfera rozjuszonych ogarów, któ - rym łowca wydarł zaszczutego odyńca.

Zdało się jednak, że jeńcowi już więcej nie trzeba. Leżał twarzą do ziemi, z rozpostartymi rękoma, w których dzierzył miecz i tarczę. Na jej czerwonym polu widniała biała Nałęczka. Radocha rzucił na nią okiem i wskazując nadbiegającemu Pizie, powiedział:

- Nałęcz. Musi coś więcej miał na sumieniu, skoro z królewskiego wybaczenia nie korzystał.

Nagle uderzył się w czoło, schylił się i dźwignął głowę leżącego. Spod okapu hełmu, zagiętego od ciosu, spojrzały na niego jasne oczy, a zsiniałe wargi, na których zastygła krew, poruszyły się szeptem:

- Dobijcie!

Radocha złapał się za głowę.

- Na rany Chrystusa, cóżeście uczynili!

- Nie wiedziałem... że Nałęcz... z wami...

Ale szept Krzycha utonął we wrzaskach, w których brzmiało śmiertelne przerażenie.

Chłopi, korzystając z nieuwagi Radochy, rzucili się na prowadzonych zewsząd jeńców.

Dostojnicy Zakonu ginęli od kijów i siekier, drgające jeszcze ciała pruto nożami, szal zemsty ogarnął chłopów i szerzył się jak pożar. Rycerstwo rzuciło się bronić, ale niewielu jeńców udało się wydrzeć z mściwych rąk. Król kazał dać w rogi, wzywając do gromadzenia się. Gdy wojewoda Stefan, rozdrażniony nieposłuszeństwem, rzucił:

- Ukarać należy sprawców! - Łokietek odparł:

- To jedyna ich nagroda. Nikogo karać nie będę.

Obojętnie obejrzał stertę zwłok. Z pojmanych pięćdziesięciu sześciu rycerzy zakonnych ocalał sam tylko marszałek Dietrich, dzięki temu, że pod strażą odesłany został do wsi. Reszta leżała jak mierzwa, a w wytrzeszczonych oczach szkiło się jeszcze przerażenie, jakie dotąd sami budzić zwykli.

Zresztą nie czas było szukać winowajców, bo od strony Brześcia ukazał się idący w skok oddział sędziego Chwała. Nim dopadł, wiadomo było, co to oznacza: nadchodzą Krzyżacy.

Porzucono rozpoczęty posiłek, konne hufce stawały półkolem, czołem do mostu, piesze obsadzały

wieś, na gościńcu zaś pod nowym wodzem, synem krakowskiego kasztelana, młodym Krystynem Rawitą z Ostrowa, najsilniejsza chorągiew krakowska przyjąć miała pierwsze uderzenie.

Czekano jednak dość długo i słońce przebyło już znaczniejszą część swej drogi z południa ku zachodowi, gdy wreszcie na gościńcu ukazała się nadchodząca ostrym kłusem jazda krzyżacka. Na widok stojących w sprawie polskich hufców, pomiarkowawszy widocznie, że bitwa skończona i nie wesprzeć ją trzeba, ale nową stoczyć, land komtur Luterberg zawrócił, by czekać na dalsze oddziały. Ale czas mijał, pozostało już tylko kilka godzin dnia, który, rozjaśniony się koło południa, teraz mroczniał znowu, bo niebo zaciągało się chmurami.

Luterberg pojął, że dłużej czekać nie może, toteż gdy tylko nadciągnęły jego piesze wojska, ustawił je w szerokim szyku czołem do rzeczki, sam zaś z jazdą podsunął się ku niej tak blisko, że stojący w przedzie kasztelanie Krystyn rozeznąć mógł na proporczyku białego lwa na czerwonym polu, znak ziemi chełmińskiej. Pierwszy raz mając dowodzić w bitwie, niecierpliwie czekał na rozkaz uderzenia, oglądając się na króla, który z przybocznym hufcem stał tuż za krakowskim.

Ale Łokietek nie zamierzał dać się wywabić za rzeczkę, mimo liczebnej przewagi, jaką rozporządzał jeszcze. Wiedział, że w czasie walki nadejść musi Reuss von Plauen ze znaczną siłą jazdy zakonnej. Wyczerpane walką wojska polskie nie dostoją przewadze, a pozbawione możliwości odwrotu, ulec by mogły zupełnej zagładzie. Luterberg zrozumiał, że jeśli ma odbić jeńców i pomścić klęskę, sam musi rozpocząć, a pozostałe oddziały włączają się do bitwy w miarę, jak nadejdą. Trąby zabrzmiały w krzyżackich szeregach i gościniec zadudnił od kopyt.

Zapalczywy Krystyn, widząc nadchodzących, nie czekał na rozkaz. Skoczył

naprzeciw i znowu szczęk broni, kwiki końskie i wrzaski ginących przewalały się po równinie. Ale ciężej zbrojni i niewyczerpani jeszcze bojem Krzyżacy spychać jęli krakowską chorągiew, król zaś, miast podeprzeć ją, ustąpił z drogi, a stojące obok gościńca hufce darmo czekały na rozkaz uderzenia. Widocznie król ustępował pola, by przenieść bitwę na zachodni brzeg rzeczki. Cel osiągnął, lecz krakowska chorągiew krwią za to płaciła. Mężnie walcząc, padł drugi tego dnia jej dowódca, kopią na wylot przeszyty, legło wielu innych i chorągiew, zrazu dająca silny opór, zaczęła się wykruszać i rozsypywać. Krzyżacy w pościgu wpadli między zabudowania, tu jednak ze wszystkich stron posypały się na nich pociski i Luterberg zwarł się z nowym przeciwnikiem.

Ale jazda nie mogła wiele wskórać między zabudowaniami przeciw pieszym.

Luterberg przeto zawrócił i uderzył na najbliższej stojący hufiec sieradzki. Tymczasem zaś knechci zakonni i angielscy kusznicy, którzy w ślad za landkomturem przebyli most, ustawili się w szyku, dzidy wbili w ziemię, by się przed uderzeniem jazdy zasłonić, i z wielką wprawą bić jęli z kusz do najbliższej stojących Łęczycan. Widząc to Paszko Ogończyk skoczył ku nim i bitwa rozplomieniała się znowu, przybierając na zaciętości.

Król jednak wciąż jeszcze nie wprowadzał do walki Wielkopolan Wincentego i sandomierskiego hufca. Gdy z krakowskiego pozostały jeno niedobitki, a Krzyżacy zaczęli uzyskiwać przewagę, pchnął gońca po Radochę, by ze swymi uderzył na piesze zastępy krzyżackie, które skutecznie opierały się Łęczycanom. Tymczasem przyparci do bagien Sieradzanie ostatkiem sił zmagali się z

Luterbergiem. Widząc to król zwrócił się do syna i wskazując na chorągiew nadworną, rzucił:

- Nie umozoliłeś się jeszcze. Podeprzyj wojewodę Stefana.

Kazimierz wyjechał na czoło, a gdy za nim ruszył Grzegorz Nekanda, król powiedział

do niego:

- Pomnij, com ci rzekł.

Sam jeno z poczem przybocznym pozostał na miejscu, spoglądając to na mroczniejące niebo, to na gościniec. Landkomtur spoglądał również. I jego wojska były w drodze od świtu, konie zaczynały ustawać. Bitwa zdała się gasnąć wraz z dniem.

Wieść o bitwie doszła Henryka von Plauen pod samym już Brześciem, gdy zarządził

wypoczynek, by przed uderzeniem pożywić ludzi i naobroczyć konie. Natychmiast zabrał, co było pod ręką, polecając wysyłać hufce w miarę, jak będą gotowe, i pognął z powrotem, wiedząc, że rychła, choć szczupła pomoc lepsza niż wielka, a spóźniona. Nie doceniał jednak Łokietka i przypuszczał, że ten nie zdąży rozbić wojsk marszałka przed nadejściem Luterberga, który był bliżej. Dlatego szedł tak, by przed bitwą zbytnio nie zagnać koni, które -

jak mniemał - będą potrzebne do pościgu, by doszczętnie zniszczyć zajadłego wroga. Jednak na milę przed Płowcami dopadł goniec z wieścią o całkowitej klęsce wojsk marszałka i ciężkiej walce toczonej przez Luterberga. Nie zważając już przeto na nic, von Plauen puścił

się w skok i tym samym pędem wpadł na most tratując własną i nieprzyjacielską piechotę.

W zamęcie mało kto dostrzegł nadchodzący hufiec krzyżacki. Król w ostatniej chwili wydał rozkaz hufcom wielkopolskiemu i sandomierskiemu, by uderzyły na most i zamknęły drogę dalszym posiłkom krzyżackim. Teraz pozostał bez odvodu, gdy wszystko związane było walką, coraz bezładniejszą. Zawziętość nakłaniała króla, by jeszcze ją przeciągnąć, ale rozsądek wziął górę. Uderzenie von Plauena wprawilo w popłoch chorągiew nadworną i sieradzką, nie panując już nad bitwą, król nie mógł jej przeciągać.

Czas był ostatni, jeden za drugim, choć bezładnie, napływać zaczynały konne hufce krzyżackie. Pod naporem wzrastającej przewagi Wielkopolanie i Sieradzanie ustępowali coraz bardziej, aż poszli w rozsypkę i od ostatecznej klęski ocaliły ich piesze wojska, które znowu obsadziły wieś. Naskoczywszy niespodzianie, wstrzymały pościg i związały się bezładną walką między opłotkami, którą sam komtur von Plauen niewolą przyplącił, bo chłopska siekiera na długim toporzysku zgruchotała goleń jego konia. Nim się obejrzał, już z więzami na rękach a nożem przy szyi wleczono go ku lasowi, gdzie coraz więcej wyczerpanych całodziennym bojem polskich wojów szukało schronienia. Kto z nich nie zdążył, szedł teraz pod miecz lub w pęta, walka wrzała już tylko w samej wsi, ale i tam gasła.

W lesie panował mrok i Krzyżacy nie wazyli się tam zapuszczać. Podpalili natomiast wieś i nasilający się krwawy blask oświetlał łowy na polskich niedobitków. Von Luterberg zsiadł z konia i

obchodził pobojuwisko, w blasku pożaru oglądając żniwo krwawego dnia. Mimo że odzierał pole, twarz jego była chmurna. Z dostojników Zakonu we wsi odnaleziono tylko rannego marszałka wraz z garścią jeńców, których nie zdążyli uprowadzić uchodzący Polacy.

Pozostałych szukał Luterberg na polu, gdzie tylko w blaskach pożaru zabielała plama zakonnego płaszcza.

Na północnowschodnim krańcu pobojuwiska białał cały ich płacheć. Landkomtur ze zgrozą oglądał obdarte niemal do naga trupy. W wykrzywionych przerażeniem martwych rysach jednego po drugim poznawał wczorajszych, pewnych siebie zwycięzców spod Konina: leżał wielki komtur Otto von Bonsdorf, wielki szpitalnik Herman von Oettingen, komtur Gdańska Albert von Ore, słynny Konrad von Kesselhut. Z zadanych obrażeń poznać można było, że nie polegli w walce.

Ten widok rozjuszył Luterberga. Nikt i nigdy nie ważył się jeszcze tak postąpić z dostojnikami Zakonu. Spojrzał z wyrzutem na zaczerwienione od łuny niebo, ale zamiast piorunów, zaczynała padać mżawka. Bez boskiej pomocy sam wymierzy sprawiedliwość.

Skinał na knechtów, którzy prowadzili powiązanych jeńców polskich i ochrypłym ze wzburzenia głosem wydał rozkaz:

- Dawać ich tu!

Stał i ponurym spojrzeniem obrzucał wleczonych. Wiedzieli już, co ich czeka.

Ale pruscy lennicy wiedzieli też, że Łokietek uprowadził znaczną część jeńców, wśród których mieli krewnych i przyjaciół, a przypomnieli landkomturowi, że jest między nimi von Plauen i czterdziestu rycerzy zakonnych. Leżące obok zwłoki stanowiły przestrożę, że okrucieństwo nie jest wyłącznym przywilejem Krzyżaków, Luterberg kazał przeto wybrać na wymianę stu co znaczniejszych jeńców, a reszta oddała głowy pod miecz.

Gdy umilkły krzyki mordowanych, zabrzmiały trąby, ale nie głosiły zwycięstwa, jeno odwrót. Chlupocąca pod nogami krew przypominała, ile się płaci za lekceważenie przeciwnika, który po porażce pod Koninem zdał się już nie liczyć. Landmistrz wolał nie próbować, co jeszcze chowa w zanadrzu zajadły wróg, dość Zakon zapłacił za błąd marszałka. Zarządził odmarsz, nie wypocząwszy i nie pogrzebawszy nawet własnych poległych. Koło północy umilkły wreszcie odgłosy odchodzących wojsk, dogasały zgliszcza spalonej wsi, zaległa cisza i ciemność i nic już nie mąciło spokoju tych, co tu pozostali na zawsze, czekając jeno, by ciała ich oddano ziemi, która wessała ich krew. Trzeciego dnia po bitwie biskup Maciej włocławski pobłogosławił ich w ostatnią drogę, a nad wspólną mogiłą wystawić kazał kaplicę, by w niej modły wznoszono za dusze w szale walki wygnane z ciał.

Dopiero w Malborku landkomtur na mocno przerzedzonej Kapitulie dowiedział się, że w czasie gdy nocą pospiesznie zmierzał do Torunia, obawiając się nowej zasadzki, Łokietek, zabrawszy wszystko, co jeszcze było zdadne do walki, równie spiesznie pociągnął na Poznań.

W Radziejowie, dokąd dotarł nocą, król zastał wiadomość, że Jan luksemburski ze znacznymi siłami

i obłączonym sprzętem wyruszył z Głogowa i zmierza na stolicę Wielkiej Polski.

Sędziwego króla i wyczerpane, zdziękowane wojska nie wypoczynek czekał, ale walka ze świeżym nieprzyjacielem.

Łokietek wiedział jednak, że nie starczy sam zapal ni przywrócona wiara we własne siły. Choć więc słańiał się na nogach, do późnej nocy opatrywał nadciągające do Radziejowa spod Płowieć oddziały, które rozkładały się na świeżym jeszcze obozowisku krzyżackim i z nie dopalonych głowni rozniecały ogniska, by ogrzać się i pożywić. Gdy dopytywał o syna, którego w Radziejowie nie zastał, od naocznych świadków dowiedział się, że po rozbiciu przez Luterberga sieradzkiego i nadwornego hufca, Kazimierz zbiegł. Król, uspokojony, machnął ręką: wojownikiem Kazimierz nie będzie, a że nie zatroszczył się nawet o sędziwego ojca - mniejsza z tym. Ważniejsze sprawy zaprzętały Łokietka.

W miarę jak wojska ścięgały, król odbierał sprawozdania dowódców i wydawał rozkazy na dzień następny. Zaniepokoiła go nieobecność Radochy z jego pieszymi zastępami.

Ostatni wprawdzie zeszedł z pola, we wsi osłaniając odwrót, ale już powinien był nadażyć.

Król udał się wreszcie na wypoczynek do ocalałego na przedmieściu dworku. Jenó wstał o świcie, zaraz zapytał o Radochę. Dowiedziawszy się, że wrócił, król odetchnął z ulgą. Cenił i potrzebował człowieka, który nie upominał się o nagrody i godności, mimo że w walce z krzyżackim najeźdźcą całe mienie utracił, a do dawnych zasług wczoraj nowe dołożył.

Łokietek przypo - mniał sobie dane mu w Krakowie przyrzeczenie, trzeba o wykonaniu pomyśleć.

Choć szary świt mglistego dnia dopiero wypierał nocny mrok, Łokietek dopatrywał

odejścia wojsk. Pierwszy odchodził wojewoda Wincenty z Wielkopolanami i swym hufcem rodowym, by bronić własnych rubieży i dachów. Niemało przyczynił się do wczorajszego zwycięstwa i niejednen z jego rodowców krwią odkupił winy. Oni pierwsi ją przelali w niespodziewanym spotkaniu z oddziałkiem pruskiej jazdy, mężnie walczyli do końca i niejednen pozostał na zawsze na krwawym polu. Toteż król zęgnął Wincentego łaskawie, a widząc chmurną twarz wojewody, rękę mu podał do pocałowania, mówiąc:

- Zapomnijcie, wojewodo, o tym, co raniej było, jako i ja chcę zapomnieć, a jeno wczorajszy dzień zachować w pamięci.

Wincentemu krew uderzyła do twarzy i odparł rwącym się głosem:

- Jenó zapomnieć mi trudno, żem o zdradę pomówiony został, nim mi w myśli postęła.

Bronić się jeno chciałem przed krzywdą.

Król rozumiał gorycz Wincentego. Nie w porę pozbawił go wielkopolskiego starostwa. Ale i króla ogarnęła gorycz i rzucił porywczó:

- Tak trzeba było pod Pызdrami zaprzeczyć oszczercom, jako wczoraj pod Płowcami.

- Widzę, miłościwy panie, że nie jeno dzień wczorajszy pamiętacie.

- Iście zapomnieć trudno - hamując się rzekł Łokietek. - Ale wierzę wam, że jutro nie będziecie gorsi niż wczoraj, dlatego wybaczam.

Mysłał o tym, czy będzie kiedyś dość silny, by każdemu sprawiedliwości domierzyć, a nie tarzyć nią, jak kupią, z każdym możniejszym rodem. Musiał wybaczyć Nałęczom, bo mieli tysiąc mieczów, bez których nie mógł się obejść. Nowy ład tylko na takich ludziach oprzeć można jak Radocha. Król przypomniał go sobie i poszedł odszukać.

Wśród krzątających się chłopów nie dostrzegł go zrazu, natomiast zauważył Pizłę i przystąpiwszy, zapytał:

- Gdzie Radocha?

- Poszedł sprowadzić kogoś, co się na ranach wyznawa, bo pobitego tu mamy, co - zda się - cienko przędzie.

Wskazał na wóz. Król rzucił okiem i zdumiał się, a potem powiedział gniewnie:

- Lepiej, by sam dogorzał, oprawcy oszczędzi trudu. Powiedz Radosze, by do mnie przyszedł.

W tej chwili jednak ujrzał nadchodzącego z jakimś starym chłopem. Gdy się zbliżył, król zapytał ostro:

- Odkąd to zdrajców osłaniasz?

- Wždy Nałęcz. Samiżeście im na pytel wszelkie przewiny darowali.

- Wojewody zapytam, zali go do rodu policzy i za nim się ujmie.

- Mnie królewskie słowo ważniejsze niżli wojewody - zuchwale odparł Radocha - a Krzych lepszy od niego, bo nie z dobrej woli psubratom służył. A żeśmy ongi społem wojowali, tedy jeśli co zdziałał, społem niech nam będzie policzone.

Król zdał się namyślać i odparł chmurnie:

- Zamierzałem cię nagrodzić, ale jeśli z nim podzielisz, nie ostanie nic.

- Dzięki wam, miłościwy panie. Mniemam, że jeszcze zasłużę, a i on takóž, jeśli wyzdrowieje, a przed prawem nie będzie musiał uchodzić.

- Niech ci będzie - król machnął ręką. - On zasię niechaj trzeci raz cierpliwości mej nie próbuje.

Król odszedł, a Radocha wraz ze sprowadzonym chłopem dźwignął Krzycha. Zdjął



pancerz, powyginany od ciosów i razów; puścił tylko w jednym miejscu, gdzie było stare uszkodzenie. Radocha dobrze pamiętał, gdzie, kiedy i jak uczynione. Gdy zdjęli kubrak i giezło, ukazała się rana na piersi, z zewnątrz przyschnięta, ale w płucach grało, a na wargach widniały ślady krwawej piany. Poza tym znaczniejszych obrażeń nie było, jeno sińce, blizn natomiast bez liku. Stary chłop zadumał się, widząc jednak niespokojne spojrzenie Radochy, powiedział:

- Płuco skaleczone. Jeśli go zrazu krew nie zadusiła, może się wyliże przy dobrym starunku. Łatwo się goić musi, bom tak porzniętej skóry jeszcze nie widział.

Wprawnie obmacując i opatrując rannego, ciągnął:

- Po łbie też dostał, ale kości całe, tedy dur przejdzie. Też nie pierwszy raz - wodził

ręką po głębokiej bliznie na tyle głowy. - Jeśli od tego ducha nie puścił, to go ni kłonicą nie dobije.

Odział rannego, okrył go derą, bo chłód był dotkliwy, i dodał:

- Babom go oddać, one najlepiej dopilnują, by wydobrzał, bo urodna jucha, choć już niemłody. Gdów nie braknie, choćby po tych, co wczora legli, a lepszy połatany chłop niżli żaden.

Gdy stary odszedł, Radocha wraz z Pizłą usiedli przy ognisku i pożywiali się w milczeniu. Radocha jednak podniecony był i przejęty. Rad by się rozgadał, drażniło go milczenie Pizły. Ze złością cisnął kość w ognisko i fuknął:

- Do żarcia jeno gębę masz?

- Szkoda ją strzępić. Tom ci już nieraz rzekł, żeś głupi. Spać legnij, bo skoro ruszamy, a masz się zasługiwać. Prawie pora, skoro ci kopa minęła. Lubisz siać i orać, nadanie trza było wziąć, skoro Radoszyn i Łazisko biesi z krzyżami zabrali.

Radocha ramionami wzruszył.

- Kości możem siać wszędy, póki własnych nie posiejem, a z nadania mi nic, bom stary i nie mam komu ostawić.

Z nagłą złością żgnął polanem w ognisko, aż iskry sypnęły jak rój świetlików, i warknął:

- Dziewuszcem przyrzekł oddać rodzica. Do śmierci mają tęsknić, sieroty?!

- Tak trzeba było rzec od razu - mruknął Pizło. - A skoroś się wypienił, spać legnij albo gadaj sam do siebie.

Okrył się kożuchem i położył plecyma do ogniska. Radocha siedział zadumany. Po chwili wstał i podszedł do Krzycha. Gdy się pochylał nad nim, ujrzał, że ranny oczy ma otwarte i przytomne.

- Trzeba wam czego? - zapytał.

- Pić! - szepnął Krzych.

Gdy Radocha, podtrzymując mu głowę, napił go, Krzych uchwycił go za rękę.

- Dzięki wam.

- Co ta! Kundzia lepiej będzie koło was chodziła. Żeby was na kawałki posiekał, zeszyłaby. Pozdrowiejecie i jeszcze z niejednego psubrata ducha wypuścim. Król wybaczył -

dodał.

- Wiem - powiedział Krzych. - Jeno nie wiem, jak wam się odwdzięczyć.

- Co ta! Gdy człek własnego ogniska nie ma, miło choć przy cudzym się zagrzać!

22 marzec 1963 r.

# Table of Contents

[Rozpoczni](#)